

PRZEGLĄD POWSZECHNY.

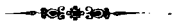


Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. Ps. 143.

ROK PIĄTY. — TOM XVIII.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1888.



KRAKÓW.
DRUK WŁ. Ł. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1888.

WAŻNIEJSZA OMYŁKA DRUKU.

Str. 394 wiersz od dołu 3 zamiast: »przesadę« czytaj: »prawdę«

SPRAWA SZKOLNA W SEJMIE KRAJ.

I WNIOSEK KS. LIECHTENSTEINA.

W krótkim od siebie odstepie czasu podniesiona została kwestya naprawy szkół ludowych w kierunku wyznaniowym raz w Sejmie naszym podczas dyskusyi nad projektem reformy ustaw szkolnych, drugi raz w parlamencie wiedeńskim przez znany wniosek ks. Liechtensteina. Czy to przypadek? Tak i nie. Przypadek, bo z pewnością twierdzić można, że posłowie hr. Stadnicki i Popiel główni szkoły wyznaniowej apologety, ani pośrednio, ani bezpośrednio w związku z ks. Liechtensteinem nie są, i tenże zapewne nigdy o istnieniu, przynajmniej ostatniego z nich, nie słyszał. Nie przypadek, bo rzecz prosta, że ludzie tych samych w pewnej mierze zasad, do tych samych dążyć muszą celów i w działaniu się spotykać, a więc, że jak ks. Liechtenstein dał wyraz życzeniom katolickich Niemców monarchii, tak pp. Stadnicki i Popiel stali się rzecznikami potrzeb naszego katolickiego kraju. Rozumie się, że życzenia katolickich Niemców Austrii sformułowały się jaśniej niż nasze, bo tam ogół więcej wykształcony; poczucie potrzeb religijnych u naszego ludu jest pewnie bardzo stanowcze, ale jak dotąd więcej instynktowe niż wyrozumowane. Pozwolę sobie zastanowić się nad dyskusją szkolną w Sejmie naszym i nad wnioskiem ks. Liechtensteina; w obu tych enuncyacyach znajdujemy obok żądania pocześniejszego niż dziś stanowiska dla kapłanów objawionej religii w szkole ludowej, i inne, bądź politycznej, bądź finansowej natury programowe.

Zaczynając w chronologicznym porządku najprzód od dyskusyi w sejmie galicyjskim, uderza różnica obu pierwszych przemówień to jest pp. Popiela i Stadnickiego. Pierwsze z nich czysto zasadnicze (jak mu zarzucano, doktrynerskie), zupełnie bezosobiste a nawet nie kończące żadnym wnioskiem, drugie zasady też same przypuszczając, jak na mowę polityczną przystoi, idzie wprost do praktycznego, osiągnąć się dającego celu, stawia wniosek oddania seminarjów nauczycielskich w zarząd kraju.

Obiedwie mowy doczekały się żwawych replik, które podzielić można na polemiczne i osobiste. Do pierwszych należą odpowiedzi pp. St. Badeniego i W. Dzieduszyckiego. Ostatni z nich, nie zbijając twierdzeń p. Popiela, zarzucił mu tylko, iż mowa jego jest akademicką, albowiem przy znanym składzie parlamentu wiedeńskiego, osiągnięcie większości dwóch trzecich potrzebne do zmiany ustaw państwowych jest niemożliwem. Argument to niby bardzo praktyczny, w rzeczywistości nie tak zabójczy, jak się zdaje, bo jestem przekonany, że żądania nasze pod względem szkół, byle raz jasno postawione, a potem stanowczo ponawiane, doprowadziłyby jeśli nie do zmiany ustaw zasadniczych, to do przyznania nam pod względem szkół ludowych odrębności bardzo daleko sięgającej; na drodze do tego celu prędzej stanęliby nam doradcy korony niż partya niemiecko-liberalna w parlamencie. Pan St. Badeni oponując p. Stadnickiemu za jego wyrażenie o bezwyznaniowości szkoły i o utracie w niej wiary (w czem poseł Popiel mniej daleko poszedł, bo szkoły ani raz bezwyznaniową nie nazwał, ale tylko świecką), dowiódł tego tylko, co twierdził i p. Popiel, to jest, że stan obecny jest jeszcze znośny, ale nie dowiódł ani jednym słowem, że p. Popiel jest w błędzie, gdy się boi o przyszłość wskutek organicznie wadliwych ustaw państwowo-szkolnych. Na krytykę bezpłatności szkół przez p. Popiela wypowiedzianą odpowiedział p. Badeni sofizmatem, którego się pewno później sam zawstydził, że to Kościół katolicki sam przodował w bezpłatności szkół; zarzut to zupełnie taki, jak gdyby kto powiedział, że Kościół nakazuje jałmużnę, a więc jest socyalistą. Ale bodaj jeszcze takich adwersarzy, jak ci dwaj panowie.

Inne były pp. Hausnera i Romanowicza repliki; tu szło po prostu o przewrócenie przeciwnika, nie zaś argumentów jego; o ile się

to udało, czas pokaże. Posypały się przydomki bardzo niestety już oklepane ultramontana, klerykała, reakcyonisty, izolowanego, stronniczego i t. d., spróbowano nawet najcięższego ołowianego obucha tj. zarzutu niepolskości. Ale gdzie były argumenty? Z biedą wyłowilem dwa; jeden niby ważny: wszak mieliśmy szkoły konkordatowe, czyż obecne nie lepsze? Sądzę i ja, że lepsze, ale przypomnieć trzeba, że szkoły konkordatowe jako narodowe ledwo lat cztery istniały i że od tego czasu kraj wydał na szkoły ludowe z górą 400 milionów reńskich. P. Romanowicz, mówiąc za bezpłatnością szkoły, twierdził, jako radny miasta Krakowa, iż miasto to nie czuje tych 135 tysięcy, które jej budżet szkolny rocznie wynosi; ja śmiem twierdzić, że czuje i ciężko. Na twierdzenie zaś moje poparte datami, których nikt, nawet wezwany przezemnie do tego p. Pilat nie zbił, to jest, że statystyka kryminalna kraju nie nam nie ma do powiedzenia pocieszającego pod względem błędnego wpływu szkół na umoralnienie ludności, tenże p. Romanowicz nie znalazł nic lepszego do odpowiedzenia, jak tylko, że podobnych twierdzeń publiczności rzucać nie można, bo to ją może oziębić dla sprawy oświaty. Ks. Czartoryski w długim przemówieniu znalazł czas na pochwalenie zasad 1789 r. i na niesmaczne zbliżenie ich do konstytucyi 3 maja, upomniął, by każdy swą powinność czynił, a wtedy i z obecnymi ustawami błogo będzie, ale niczem nie dowiodł, że p. Popiel się mylił twierdząc, że są złe.

Taki był przebieg dyskusyi ogólnej. Rozprawa szczegółowa nie mogła z natury rzeczy iść na tak szerokie tory. Głównymi punktami dyskusyi był najprzód paragraf pierwszy, który odbiera radom szkolnym miejscowym wpływ przeważny na nominacye, a oddaje takową prawie całkowicie Radzie szkolnej krajowej. Mimo usiłowań p. Popiela i Rusinów, a może właśnie z powodu tych ostatnich, paragraf ten przeszedł tak jak go uchwaliła Rada szkolna. Rady szkolne miejscowe co do wyboru nauczycieli do zera prawie zredukowano tak, że dziś konsekwentnie trzeba by nauczycielom ludowym dać tytuł c. k., boć ich c. k. władza, to jest rada szkolna z wyjątkiem miast i bogatszych gmin, jedynie mianuje.

Przemógł tu wzgląd czysto politycznej natury, obawa o dążności separatystycznej inteligencyi ruskiej, i wpływ jej na nominacyę nauczycieli. Czy słusznie, ja wątpię; odsunęło się tym przepi-

sem o jeden wprowadzić, nie znaczny krok duchowieństwo łacińskie i ruskie od szkoły. Śmiem zaś twierdzić, że duchowny, co chce złego zrobić, to potrafi w kościele, nie potrzebuje na to szkoły; podpalać albo burzyć zawsze łatwo, budować trudno.

Drugi punkt ważny projektu, tj. czas służby nauczycielskiej aż do pełnej emerytury uchwalono mimo większości Rady szkolnej według finansowej możliwości kraju, określając go na czterdzieści lat, a nie trzydzieści pięć, jak żądała komisya; podziękować za to zdrowe postanowienie pp. A. Jędrzejowiczowi i Męcińskiemu, którzy ten wniosek nie popularny postawili i rozumnie go bronili.

Rezultatem całej reformy ustaw szkolnych jest dalsze szkoły ludowej upaństwowienie. Nie sędzę, by ten rezultat był błogim, a to z dwóch względów; najprzód zawsze niedobrym jest stanem społeczeństwa, gdy bardzo wielu żyje z grosza publicznego, a tym jest fundusz szkolny krajowy i okręgowy. A dalej, im więcej nauczyciel będzie państwowy, tem łatwiej stanie się on narzędziem tego lub owego systematu rządowego, systemat zaś ten dziś nam sprzyjający, może kiedyś być nam nieprzyjazytnym. Wreszcie nauczyciel, im więcej nie zależny od miejscowych wpływów, tem mniej będzie czuł na miejscowe potrzeby, tem mniej uległ miejscowym powagom. Śmieją się nieraz i słowem i dukiem z tych powag miejscowych; gdy się je zniszczy albo i same ze swojej winy przepadną, przyjdzie czas, że się ich daremnie żałować będzie.

Nim przejdę od dyskusyi szkolnej w Sejmie naszym do wniosku ks. Liechtensteina wypada choć ogólnie rzucić okiem na sprawę szkoły ludowej w kraju naszym.

W każdym działaniu ludzkim na jakim bądź polu czas jest potrzebny tak dalece, iż nie tylko skutek działania w pewnym kierunku nie będzie ten sam, jeśli działanie było prędkie, jak gdy działanie było powolne, ale nadto skutek będzie zawsze działaniu nie odpowiedni, jeśli działanie to nie będzie rozłożone na odpowiedni przeciąg czasu. Każdy rolnik mało cywilizowanego kraju stracił miasto zarobić, gdy chciał w przeciągu jednego ludzkiego życia postawić gospodarstwo swe na tej stopie, na jakiej gospodarstwa stoją u. p. w Anglii i Belgii, wskutek wiekowej pracy. Usiłowania ku szybkiemu podniesieniu przemysłu, handlu lub podobnych społecznych ulepszeń podobny los spotyka, jeśli w nich

cierpliwości brak. Najwięcej zaś karze się ten pośpiech we wszystkich urządzeniach społecznych wyższego gatunku tj. cele moralności i ziemskiego szczęścia na oku mających. Widzimy n. p. w co się obracają wszystkie nagle oktrojowane konstytucye, widzimy, jak instytucya sądów przysięgłych w jednych społeczeństwach normalnie działająca, w innych do absurdów doprowadza.

Coś podobnego stało się u nas ze szkołą. Gdyśmy otrzymali pewien stopień swobody, obróciliśmy wszelkie siły ku krzewieniu tak długo u nas zaniedbanej oświaty narodu i ludu. Mniej więcej 25 lat upływa, odkąd tę pracę rozpoczęliśmy, warto się trzeźwo przypatrzeć skutkom. A najprzód pamiętajmy, że tu działały zawsze dwie wole, jedna państwa, druga kraju. Państwo to, w gruncie i moralnie wzięwszy, w znacznej swojej większości niemieckie, dumne ze swej wyższości cywilizacyjnej, ducha naszej, prawda że niższej, ale rodzimej, i dla tego dla nas jedynie dobrej cywilizacji rozumieć nie mogło, a oprócz tego rząd jego właśnie w czasie tworzenia ustaw szkolnych zarażony był niektórymi teoryjami, dla których urzeczywistnienia niejedno już europejskie społeczeństwo na łożu Prokrusta wyciągano, wola jego musiała się objawić w sensie tym okolicznościom odpowiednim. Wola zaś kraju wpłynęła ustawodawczo bardzo mało, ale tem silniej praktycznie, bo ustawy głównie państwowe wykonywały siły krajowe — po naszymu; z tych dwóch sił wynikać musiała wypadkowa, bardzo dziwaczna. I tak, najpierwej w kraju katolickim stanęła szkoła świecka, w kraju biednym szkoła kosztowna, w kraju polskim szkoła duchowo-niemiecka, w kraju nieoświeconym szkoła taka, jaka tylko wyżej cywilizowanym ludom należy. Z tych wszystkich antynomij musiała wynikać u jednych pewna szkodliwa do szkoły antypatya, u drugich ślepe, nieugruntowane przywiązanie do tejże. Dalej wynikać musiało to, iż indywidua, ze szkoły dla nich niewłaściwej wychodzące, złe jej naukę posiadły, a te które ją posiadły, nie bardzo wiedzą, co z tą nauką zrobić. Dała im ona głównie pragnienie pewnego dobrobytu, do którego nauka prawa nie daje, bo do dobrobytu prawo daje tylko praca. Zamiłowanie nauki, po części zaś próżność i wstręt do fizycznej pracy, prowadziło do dalszej nauki w szkołach średnich, których równie gorączkowo żądano od państwa, jak ludowych od kraju; wszystko bez myśli, czy tylu nauczonych

w kraju chleb znajdzie, i wykluczając nie w teorii, ale w praktyce myśl, by ten, co się czegoś nauczył, mógł do fizycznej pracy wracać. Skutkiem tego musi w niektórych pozostawać myśl wprowadzić jawnie nie przyznana, by tworzyć, ile się da posad publicznych, w którychby nauczeni mogli chleb znaleźć. Nie bacznie to, boć stan społeczeństwa jest niebezpieczny, gdzie wielu z grosza publicznego żyje; łatwo takim społeczeństwem każdy owdłanie, gdy się stanie chlebobdawcą tylu rodzin.

Wszystko to mityguje się po części, a po części jeszcze i psuje starym chrześcijańskim obyczajem, indywidualizmem naszym, dobroduszością, próżnością i lekkomyślnością, wreszcie licznymi bardzo na cele naukowe zapisami. Jeśli to wszystko prawda, to przyszłość nasza byłaby bardzo smutna, stalibyśmy się krajem uczonych i niedouczonej nędzy. Taka przyszłość wprowadzić nie będzie wiekuistą, bo przyjdzie czas, iż się opamiętają, że nie każdy, który się uczy, może być nauczycielem, urzędnikiem, prawnikiem, lekarzem, księdzem i t. d. Zrozumięją, bo zrozumieć będą musieli, że od szkoły trzeba także wracać do hebla, młota lub pługa. Tak, ale cóż to za bolesny i długi proces, i czy tylu innymi nieszczęściami skolatane społeczeństwo go przetrzyma? A dalej, czy nawet odzyskawszy właściwą równowagę między pracującymi fizycznie a umysłowo, społeczeństwo nasze odzyska skarb wiary ojców, jeśli go w części utraci? Widzimy, że Francja ze stanu strasznej biedy za ostatnich Ludwików i rewolucyi wyszła, ale czy odzyskała utraconą w zamęcie rewolucyjnym wiarę i płynącą z niej społeczną siłę; widzimy jej bogactwo, ale gdzie jej siła? Bogactwo i oświata wiele znaczą, ale czyż wszystko?

Nie sztuka narzekać i każde działanie ludzkie krytykować, idzie o to, by znaleźć lekarstwo, a to znajdzie się tylko, zstępując aż do zasad społeczeństwa naszego. Treścią jego jest, iż jest katolickie i polskie i stąd tylko da się wyprowadzić, czego naszej szkole trzeba. Najprzód i przede wszystkim musi powrócić ksiądz do właściwego w szkole stanowiska; potrzebne to i księdzu i szkole. Potrzebne księdzu raz, bo go piecza o szkole wysoce podnosi nietylko w szacunku u ludu, ale we własnej wewnętrznej wartości, bo go społecznie wyrabia. Potrzebne mu nadto, bo ksiądz, choćby i najmłodsze warstwy gorliwiej niż dotąd do stanu duchownego się

garneły, zawsze głównie będzie z ludu, a więc szkoła i na niego za młodu oddziała, i czem gorsza będzie szkoła ludowa, tem z natury rzeczy więcej zdarzy się księży *propter esum*. Potrzebny ksiądz w szkole, bo ją to wyżej w opinii ludu stawia, nadaje jej pewną sankcyę i powagę, a zapobiega antagonizmowi, który inaczej z natury rzeczy musi się koniecznie między plebanią a szkołą wywiązać, i choć po cichu, nieznacznie, ale szkodliwie nurtować będzie społeczeństwo wiejskie.

Potrzeba wreszcie poczesnego stanowiska dla księdza w szkole całemu społeczeństwu, bo po wszystkie wieki reprezentantem i nauczycielem moralności będzie kapłan, a przecież o nią idzie w szkole, nie o same tylko 24 znaczki piśmienne. Przecież nikt nie sądzi, by indywiduum oświecone mogło być użytecznem, jeśli nie jest moralnem, tego nawet żaden pozytywista nie śmie twierdzić; śmiało tylko jedni twierdzić, że ludzie są z natury swojej moralni, a drudzy, że moralnymi bez religii być mogą. Jeden i drugi fałsz potępia codzienne doświadczenie. Nieprawdą wreszcie jest, co twierdzą niektórzy, że religia a zatem i moralność mało na tem cierpią, jeśli ksiądz ma drugie miejsce w szkole, a nie pierwsze. Najprzód ksiądz człowiekiem jest i jako taki zniechęcać się, ogólnie mówiąc, musi do szkoły, gdy w niej nie rządzi, jak przekonany jest, że mu się należy, ale nie ledwie słuchać musi. Powtórę, nauczyciel świecki musi religię czy on ją sam, czy ksiądz ją wyklada, postawić na drugim planie, a inne nauki na pierwszym; który w praktyce inaczej uczyni, wyjątkiem będzie. Działwa zaś, z bystrością obserwacyi dzieciom właściwą, wnet pomiarkuje, czego od niej żąda nauczyciel, czy go ukontentować można katechizmem, czy też n. p. geografją, do której on przypadkiem ma predylekcyę. Praktyczna konkluzya bezwiednie prawie w umyśle dziecinnym staje: nauka najpierwej, religia potem.

To wszystko, mówią, co w teorii piękne, ale się w praktyce na nic nie zda, bo duchowieństwo nasze nie jest na wysokości swego powołania. Taka daje się słyszeć skarga, dajmy na to dość sprawiedliwa. Ale ciekawy jestem, gdybym powiedział, że nauczyciele nie są na wysokości swego powołania, czyby ci sami, którzy na duchowieństwo sarkają, i na to przystać nie musieli? I księża i nauczyciele z pomiędzy nas są i te same mają niedostatki i przywary,

na jakie w ogóle chorujemy. Wychowanie pierwszych z pewnością jest staranniejsze, a hierarchiczny stosunek od wieków ustalony; zatem nie mówiąc nawet o łasce sakramentalnej, czysto po ludzku, z dwóch stanów duchowny więcej wart moralnie być musi. Ale innym łokciem jednych mierzą, innym drugich; zdaje się ludziom, że duchowieństwo już bardzo złe, jeśli nie jest bardzo dobre, zdaje się, że to wielki dowód własnej moralności narzekać na zły stan duchowieństwa; ja sądzę, że to zwyczajnie dowód własnej krewkości.

Księża nieraz katechizmu w szkołach uczyć nie chcą za darmo. Jeśli nie chcą czynić w tej mierze, ile dobro dusz i sumienie kapłańskie wymaga, to grzech ten należy do ich spowiednika albo biskupa, ale nie do publiczności. Gdyby ksiądz nie chciał uczyć katechizmu w Kościele, to krytyka o tem do każdego wiernego należy, bo ksiądz od tego ma beneficjum, by uczył w kościele; ale że nie chce darmo uczyć w szkole, w której zresztą może mieć tylko stanowisko młodszego nauczyciela, to strofować go o to, to tak, jak gdyby ganić nauczyciela, że nie chce za darmo dawać lekcji nad obowiązkowych; boć przecie nauczyciel, jeśli dobry, powinien także być przyjacielem ludu i jego oświaty, i dla tych celów do poświęcenia być gotowy, jak dobry ksiądz do poświęcenia się dla interesów religii i moralności. Jednem słowem, każdy gotów twierdzić, że ksiądz nie dość dobry, ale bardzo mało kto powie, że nauczyciele gorsi.

Oprócz tych względów moralnych przemawia i взгляд polityczny pierwszej wagi za cechą silnie katolicką dla szkół naszych. Przeszłość nasza jest na wskrós katolicką, i o tyle nawet tylko świętą, o ile katolicką; bezkarnie z tą przeszłością rozbratu wziąć nie wolno. A jak to właśnie strona ważna, od naszych nieprzyjaciół się uczmy; we wszystkich na nas napaściach ten nam zawsze wyrzut czynią, żeśmy katolicy, a czynią nam go, bo wiedzą dobrze, że gdy się go zawstydzimy, tośmy zginęli. Słowem jednym sądzę, że społeczeństwo nasze albo coraz więcej katolickiem stawać się musi, albo niechybnie przepadnie. Stąd konieczność, by nasza szkoła ludowa stawała się coraz bardziej katolicką. Zdawałoby się, że żądam rzeczy, którą już mamy, gdy żądam szkoły ludowej polskiej. Tymczasem szkoła ludowa u nas jest polską tylko z sukni języka wykładowego; plany nauki przez radę szkolną wypracowywane są pro-

stą z niemieckiego przeróbką dopasowaną bardzo niedostatecznie do stosunków naszych za produkt rodzimy uznać ich nie mogę. Oparto naszą szkołę ludową głównie na ustawie państwowej z 1868 r. Ustawa ta sama w sobie najgorszych dążności jest do tego na wskrós niemiecką; jej zakres nauki dla nas zbyt obszerny, jej żądanie co do liczby szkół dla nas nie możliwe, uwzględnienie naszych stosunków wyznaniowych prawie żadne. Śmiem twierdzić, że nie tylko pod względem moralnym, ale nawet i naukowym ustawa ta szkodliwy wywarła skutek; dała ona nam szkoły duchowi narodu nie odpowiednie. Jeśli gdzie, to może najwięcej w szkole sprawdza się, że jeden naród nie zdolny jest dobrze rządzić drugim narodem; ledwo panować jeden nad drugim potrafi. Sam już przymus szkolny, nie mówiąc już o jego przeciwieństwie z prawem natury, wiele nam krzywdy uczynił, bo przy naszych szczupłych środkach mogliśmy w każdej generacji choć pewną część dobrze wyuczyć; zmuszeni ustawą, musieliśmy uczyć wszystkich, gdzie tylko stanęła szkoła, a wszystkich licho, boć siły nauczycielskie nie wystarczają, a nie wystarczają, bo nie wystarczają kieszenie nasze; wszak przeciętnie przeszło sto dzieci rzeczywiście uczęszczających na jednego nauczyciela wypada, a gdyby uczęszczali wszyscy obowiązani, wypadłoby jeszcze więcej. Dziś nie brak nam szermierzów nauczycielskich, ale brak kandydatów w nich, naturalnie dlatego, bo nauczyciele nie są dość dobrze płatni, a lepiej płatnymi być nie mogą. Można było łatwo zrobić ich lepiej płatnymi, pozwalając im na uboczu zajęcia n. p. pisarza gminnego i organisty, aleśmy im sami tych zajęć zakazali; tymczasem w stanie oświaty daleko wyższym niż nasz obecny, w Prusiech przed laty 40 nauczyciel miejski bardzo nisko płatny, z tych zajęć ubocznych główny swój ciągnął dochód, a nikt nie powie, by tam oświata była ucierpiała. I w rzeczy samej co się wydaje na pierwszy rzut oka niedobrem w praktyce byłoby lepszem, bo im więcej nauczyciel ma styczności z ludnością, tem się więcej do miejsca przywiązuje, gdzie ma zarobek uboczny, którego może gdzieindziej nie znajdzie; wątpię zaś, by kto mógł utrzymywać, że dobrze jest, gdy nauczyciel często miejsce zmienia. Przyjdzie zapewne do tego, że się nauczycielom na uboczne zarobki pozwoli, ale może dopiero wtedy, gdy okaże się, że seminaria potrzebnej liczby kandydatów na coraz rosnącą liczbę szkół nie wydają.

Już podczas ostatniej kadencji sejmowej głośnym punktem reformy szkolnej były pięcioletnie dodatki dla nauczycieli. Uchwalono je i obecnie te dodatki zaciągają na kraju kwotą koło 65 tysięcy reńskich, ale się za 20 lat więcej niż podwójną. Pocieszają nas wprawdzie coraz większą wydajnością centa dodatkowego. Naprzód pytanie jeszcze nie rozwiązane, ile z tej większej wydajności przypada na rzeczywisty przyrost bogactwa ogólnego, a ile na silniejsze przyciągnięcie śruby podatkowej, ale gdyby nawet to tylko przypisać ogólnemu z bogaceniu się, to ono nigdy kroku nie dotrzyma wzrostowi wydatków budżetem objętych, i śmiem twierdzić, że po-
kład indemnizacyą płacić musimy, a nikt jeszcze nie wie, jak to długo, potąd nie możemy jak inne kraje monarchii szkół traktować, i to znowu dowód, że szkoły nasze są na niemiecką a nie naszą modłę zakładane; właściwość kraju nie była braną w dość ścisłą rachubę.

Mówię ciągle o szkołach polskich, jak gdyby ruskich nie było; nie potrzebuję chyba nadmieniać, że te ostatnie mam nie mniej na myśli, i że co powiedziałem do polskich, nie mniej się i do ruskich szkół ludowych stosuje. Wypada tylko słowo dodać z powodu zarzutu, który słychać ilekroć się mówi o wschodniej części kraju, o Rusi. Ile dążności duchowieństwa unickiego są antykatolickie, ocenić trudno; czy i o ile, że się takowe znachodzą, w to się obecnie wdawać nie potrzebuję; w każdym razie bowiem, jeżeli się księdzu pod tym względem nie ufa, na nic się nie zda bronić mu szkoły, kiedy mu ambony i konfesyonału nikt nie odej-
mie. Bezwarunkowo zaś wolę jego kierownictwo niż nauczyciela, o którego prawomyślności wcale więcej przekonany nie jestem. Inspektor okręgowy może raz do roku szkołę odwiedzający niezbyt wiele pomoże, a świeckość nauki z pewnością zaszkodzi tak ruskim jak i polskim dzieciom.

Wynika z tego co się powiedziało to, iż, albo jeśli to jest możliwem, trzeba nam działać ku otrzymaniu dla wszystkich krajów odpowiedniejszych ustaw państwowych szkolnych, albo i to pewniejsze, starać się o autonomię czyli odrębność tak szeroką dla szkół naszych, by stały się, czem twierdzę, że nie są w należytej mierze, tj. katolickimi i polskimi. Jest jeszcze i inna droga, mianowicie żądanie wolności nauczania, czy dla nas samych, czy dla

wszystkich krajów. Na nic się nie zda twierdzić, że to niepodobne, tam gdzie idzie o sprawy najwyższej wagi, a taką jest szkolna, tak mówić wolno dopiero po długiej, uporczywej, a bezowocnej walce; rozumie się, że polem takiej walki mógłby być tylko Wiedeń nie Lwów, niemniej inicjatywa w podobnym kierunku wyjść może tylko od naszego sejmku i tego ja pragnąłem, zabierając głos w rozprawie szkolnej.

Co do wniosku ks. Liechtensteina daleki on zapewne od ideału; widać w nim mozolny kompromis między rozmaitemi odcieniami katolickich Niemców, z których jedni trochę więcej józefiński i centralizmowi przychylni, drudzy zaś więcej autonomii krajów i wolności nauczania hołdują. Jest więc i zapewnienie państwa najwyższego kierownictwa co do szkoły ludowej, jest i szerokie dość pole ustawodawstwu pojedynczych krajów pozostawione, a esencją, duchem całego wniosku, jest zawarowanie Kościołowi odpowiedniego stanowiska w szkole i możliwość dobierania szkołom nauczycieli nietylko wyznania odpowiedniego wyznaniu uczniów, ale nadto takich, którzyby posiadali właściwym sposobem udowodnioną zdolność do wykładu religii. Jest to potrzebnem, albowiem nieraz staje się to fizycznie niepodobnem, by nauki tej w każdej szkole udzielał duchowny. Oprócz tego wniosek ten daje legalną możność wynadgradzania katechetów, której dotychczas nie ma, z wielką dla nauki religii, a więc i moralności szkodą. Zawiera on nawet to, czego żąda przychylnie przyjęty hr. Stadnickiego wniosek mianowicie: żądanie oddania seminarjów nauczycielskich pod zarząd pojedynczych krajów. Zdawałoby się więc, iż ze wszechmiar wniosek ten zasługiwał na gorące poparcie reprezentantów kraju katolickiego jak nasz.

W łonie koła polskiego w Wiedniu odezwały się na razie, o ile wiemy, pewne głosy przeciw temu wnioskowi; nie przesądza to wprawdzie absolutnie ostatecznego zdania koła; niemniej rozważyć warto, coby mogło naszych reprezentantów w Wiedniu do tego stanowiska nakłaniać. Niewiadome mi są wszelkie możliwe ich argumenta przeciw temu wnioskowi, domysleć się ich bardzo trudno; jeden tylko jest mi znany; występuje mianowicie znowu obawa, by kler unieki nie nadużył tego wniosku w celach separatystycznych religijnie i politycznie. Ile taka obawa warta zrozumieć łatwo, ju-

żeńmy powiedzieli. Duchowieństwo potrzebuje mieć wpływ w szkole, by działać skutecznie w dobrym kierunku, nie potrzebuje tego bynajmniej, by działać zgubnie, jeśli tak chce; bo źle czynić nierównie łatwiej jak dobrze. Więc na to, by stawić zupełnie bezskuteczną zapórę złej woli (*posito, non concessa*, że taka zła wola istotnie ma miejsce), trzeba szkoły całej zachodniej części kraju pozostawić w dotychczasowych, wadliwych warunkach, i wyrzec się wszelkiego autonomicznego na tem polu postępu, jaki wniosek ofiaruje! Gdyby więc jak najczarniej nawet zapatrywać się na wartość duchowieństwa unickiego (czego ja przynajmniej nie czynię), to i tak rozporządzenie warunkujące należne duchowieństwu stanowisko w szkole, nie stworzyłoby na wschodzie kraju nowego złego, a bardzo wiele dobrego na zachodzie. Względy polityczne w urządzaniu szkół nie mogą być w zupełności pominięte, ale niebezpiecznem, a oprócz tego bezskutecznem zwykle jest nadto wielką dawać im wagę.

Oprócz powyższego argumentu przeciw wnioskowi nie wiem prawdziwie jakiby podnieść można inny, chyba wynikający wprost z niechęci do wpływu przeważnego duchowieństwa na szkołę, a taki naturalnie obcym być musi reprezentacyi naszej. Kwestyę najważniejszą dla szkoły, tj. sprawę nauki religii pomyślnie rozwiązując wniosek żądając, by nauczyciel otrzymał *missionem canonicam*, innymi słowy, złożył z religii urzędowy przed władzą duchowną egzamin, wszystko to o ile siły duchowieństwa nie wystarczają, o ile zaś księża udzielają religii, daje on możliwość, której obecnie legalnie nie ma, wynadgradzania katechetów. Dziś, kiedy, ile mi wiadomo, seminaria nauczycielskie trochę puste a duchowne dość zapełnione, z jakich powodów nie pora w to wchodzić, łatwo byłoby z podobnem prawem po miastach jak n. p.: Sambor i inne, gdzie miejscowe duchowieństwo fizycznie nie jest w stanie udzielania religii we wszystkich szkołach ludowych, tworzyć stałe posady katechetów dla kilku szkół od razu i takowe odpowiednio renumerować. A mam tu na myśli głównie może szkoły żeńskie, dla których, kto tylko naturę niewieścią choć trochę zna, zrozumie łatwo, że sprawa religijna jest jeszcze ważniejsza niż dla męzkich, a wykład religii przez nauczycielkę mniej pewny, przez świeckiego nauczyciela mało stosowny.

Nie może także pewno służyć za zarzut przeciw wnioskowi

ks. Liechtensteina, iż i innych wyznań duchownym daje właściwy wpływ w szkole. Ewangelickie mało jest u nas liczne, choć stosunkowo dużo szkół wyznaniowych posiada, za to żydowskie licznie bardzo u nas reprezentowane. We własnym Żydów interesie, i w interesie stosunku ich do nas zdaje mi się gorąco życzyć trzeba, aby i oni jak najgruntowniej w swej religii byli wykształceni; nauka taka pewno ich tylko utwierdzi w dodatnich przymiotach, które Żydów cechują, a o ich przywarach nie pole w tej chwili mówić. Nawet okrzyczany chajder, oprócz sanitarnych względów przez zbyt ni natłok dzieci w tych szkołach, wstrętu we mnie nie wzbudza. Uczenie mechaniczne na pamięć zdań wyciągniętych ze Starego Zakonu, jakie się w chajderach praktykuje, a z którego się niebaczni śmieją, zdaje się, iż mózgow Izraela nie nadwątliło i znaczna część tych, którzy nami po cichu rządzi, stamtąd pochodzi.

Choć wniosek ks. Liechtensteina waruje państwu najwyższy nadzór i kierownictwo w sprawie wychowania ludowego, nie mniej stawiając szkoły ludowe prywatne na równi z publicznymi i ułatwiając ich zakładanie, czyni znaczny krok ku wolności nauczania. Wolność ta, jak to już pisałem i mówiłem dawniej, jest postulatem prawa naturalnego. Konfiskowanie całego wychowania przez rząd na rzecz nauczycieli przezeń mianowanych albo konsensowanych za nie słuszne mieć muszą. Można by jeszcze monopol nauczania zrozumieć, choć móżdż usprawiedliwić w państwie bardzo jednolitem i narodowo i wyznaniowo; ale im więcej jest pod jednym panowaniem rozmaitych narodowości, i im więcej różnych wyznań, tem większą staje on się krzywdą. Koleją rzeczy ludzkich w takim razie do rządu przychodzić muszą ludzie rozmaitych wyznań religijnych, rozmaitym hołdujący teoryom; rzecz prosta, że każdy z nich do władzy przyszedłszy teorye swe urzeczywistniać pragnie; oprócz tego, w państwie o mnogich narodowościach ludzie u steru stojący to do jednego to do drugiego narodu należą, i w jego skłonni są interesie działać. Wyniknąć stąd musi pewna niejednostajność i w zasadach i w środkach dla szkoły, zwłaszcza ludowej, niekorzystna. Nauka ludu do absolutnej prawdy jak najbardziej zbliżyć się powinna, a więc znać jak najmniej zmian i w teorii i w praktyce. Oprócz tego winna ona odpowiadać przekonaniom i życzeniom naturalnych, głównych, pierwszych zwierzchników dzieci tj. rodziców.

Ta jednolitość i ta odpowiedniość życzeniom rodziców da się tylko osiągnąć pod rządem ściśle wyznaniowym a przy ludzie narodowo i religijnie jednym, i w tym razie szkoła państwowa mogłaby mieć pewne wyłączne uprawnienie jako wypływ przekonań i rządu i ogromnej większości poddanych; w państwie bezkonfesyjnym, jakim jest obecnie Austria a do tego z mozaiki narodowości i wyznań złożonem, tylko swoboda nauczania ochronić może przed ciągłemi obrazami religijnego lub narodowego sumienia.

Nikt nie myśli rządowi zaprzeczać prawa, które się windykuje dla prywatnego, nikt nie pragnie by szkoła rządowa nawet ludowa miała grunt prawny bytu z pod nóg stracić, ale niechże oprócz niej i usiłowania prywatnych mają wszelką swobodę. Na współzawodnictwie szkoły prywatnej z rządową pewno obie dobrze wyjdą a więc i ludność. Frekwencya szkoły tej lub owej niechybnym stanie się barometrem, które z nich czyni więcej zadość potrzebom ludności miejscowej. Widzieliśmy jak w Belgii szkoły rządowe stały pustkami, a napełniły się prywatne, gdy pierwsze, dla przekonań ludności tamtejszej, stały się zbyt bezwyznaniowe. Podobnie staną pustkami szkoły prywatne, gdyby w nich zapanowało nieuctwo. Konkurencyja wszędzie, na każdym polu, jeśli tylko odwiecznego prawa miłości nie zapoznano, błogie skutki ma, i w tym także razie owoc dobry wydać musi. Jedni, którzy w Austrii nie *de jure*, ale *de facto* posiadają kawałek wolności nauczania, są Żydzi w chajderach, które niby niepowinny być ale są, i ażeby stamtąd słabe umysłowo wychodziły indywidua, nikt nie powie, bo by się fakta z niego rozśmiały; i wyznać muszę, że Żydom tego okruszka wolności nauczania zazdroszczę. Czy z niego korzystają by dobrze czynić, dobrego uczyć, to już powie im ich sumienie.

Jest jeszcze jeden wzgląd czysto finansowy za wolnością nauczania przemawiający, a przyjrzę mu się na chwilę z punktu naszych tylko stosunków. Żle to czy dobrze, ale u nas jeszcze żadne neomaltuzyjańskie teorye nie kwitną, rodziny są liczne, ludność mimo nie higienicznych warunków wzrasta i z nią wzrósć musi w przyszłości i liczba szkół, a więc ich koszt, który już dziś, gdy ledwie więcej jak połowę szkół potrzebnych mamy, tak jest znaczny. Jakaż to budżetowo ciężka przyszłość! Tymczasem wiadomo, że prywatni i korporacye zawsze taniej rzecz każdą robią niż państwo lub kraj

cały, a więc i szkoły. Wolność nauczania stworzy także ofiarności nauczania, i temi dwoma drogami osiągnie się cel rozmnożenia szkół aż do ostatniej gminy, niesłychanie taniej i prędszej, niż za pomocą samego tylko tworzenia coraz nowych etatowych szkół publicznych. Łatwo pojąć, iż pod obecną presją podatkową, która, jak każdy myślący dobrze widzi, nie może się zmniejszyć, ale się musi koniecznie powiększać, kraj nasz za jakie 25 lat nie będzie mógł na fundusz szkolny krajowy płacić dwu milionów rocznie, bo o tyle za ten czas pewno się nie wzbogaci, a tymczasem dwa miliony rocznie nie nadto, jeśli mają wszystkie potrzebne szkoły powstać, nie tylko tam gdzie ich nie ma, ale i tam gdzie są a potrzebują pomnożenia lub powiększenia; ten ostatni proces już dziś choć powoli ale ciągle się odbywa. Tu jedynie szkoły prywatne właściwie zaradziłyby, a bodźcem do ich zakładania najskuteczniejszym jest wolność nauczania. Inaczej, albo się brak szkół dalej czuć da, albo z ich powodu zadłużyć się jeszcze więcej wypadnie, a już i tak na same procenta od długów przeszło cztery centy od reńskiego rocznie płacimy; i z tego więc także powodu wnioszek ks. Liechtensteina na sympatyą z naszej strony zasługiwać się zdaje.

Rozprawy koła polskiego w Wiedniu nad tym przedmiotem nie są mi niestety znane, i kwestya, czy przy dyskusyi nad tym wnioskiem w pełnym parlamencie głosowanie koła polskiego, jakiegokolwiek ono będzie, zostanie szczegółowo umotywowanem. Niemniej przypuszczać można, że jakieś względy *opportunitatis*, czy one się nazwą przychylnością dla ministerstwa, czy przyjaźnią dla Czechów, czy opozycją przeciw centralistycznej części katolików austro-niemieckich, znaczną w tem odegrają rolę. Może się nawet znów pojawi argument, że w obecnych niepewnych czasach nie trzeba narażać monarchii na niebezpieczną, bo osłabiającą agitacją religijną. Wniosek ks. Liechtensteina żadną jeszcze ewangelią, ani żadnym ideałem nie jest, ale jest w nim tyle dobrego i w sensie moralnym i autonomicznym, że nie zdaje mi się stósownem, by reprezentacya kraju naszego bardzo przeważnie katolickiego i o dążnościach bardzo autonomicznych po prostu mu się sprzeciwiała, a to tem mniej, że stanowisko naszej rady szkolnej (zdaniem naszym bardzo przez ministeryalne reskrypta w swych atrybucyach uszczuplone) jest wyraźnie w nim zawarowanem. Nadto szczegóły sprawy szkolnej pozo-

stawione w nim ustawodawstwu krajowemu, tak daleko sięgają, że na tem polu bardzo jeszcze w jednym lub drugim kierunku cieniać by można. Rozumiem modyfikacyę wniosku, odrzucenia go ze stanowiska interesów kraju naszego, przyznam się, że nie rozumiem.

Odrzucenie wniosku ks. Liechtensteina żywiej będzie odczućtem w niemieckich katolickich prowincjach austriackich niż u nas, nie dlatego, by one były bardziej katolickie, niż nasz kraj, ale dla tego, że ich katolicyzm, jako oświeceńszy, jest bardziej siebie świadomym. Ale właśnie dlatego, że katolicyzm nasz (a gdy powiem to głównie o naszym ludzie, każdy mi słuszość przyzna) jest siebie mniej świadomym, dlatego właśnie ustawy szkolne dotychczasowe daleko są dla nas zgubniejsze, niż dla innych więcej wykształconych chrześcijańskich społeczeństw, bo kto mniej świadomie jest chrześcijaninem, mniej też świadom niebezpieczeństw jego chrześcijaństwu grożących. I ta myśl głównie mną powodowała, gdym kreślił powyższe uwagi nad dyskusyą szkolną w Sejmie naszym i nad wnioskiem ks. Liechtensteina. Radbym, gdyby je spotkała choćby nieprzychylna, ale chłodna i przedmiotowa odpowiedź.

J. Popiel.



NOWE STUDYUM O BAJKACH KRASICKIEGO.

Smutne nastały dla literatury czasy. Podkopała ją polityka; pożera nienawiść stronnictw i walka o byt. Mało teraz pojawia się prac o czysto literackich znamionach i celach, w których cieniu możnaby odetchnąć, jak niegdyś w cieniu słodkiej wymowy owego dworzanina biskupa Maciejowskiego. Młodszy pracownicy w znacznej części nie rozporządzający bogatszymi zdolnościami, bywają nadto niedostatecznie przygotowani do wstąpienia w szranki literackie. Znalazłszy źdźbło sprzedawać je chcą za snop, dopadłszy muszki dotąd nieznaną wołają: co za smok!... Dość często spotykamy nowych odkrywców Ameryki dawno odkrytej...

Autor Studyów nad Bajkami Krasickiego¹ nie należy do tej kategorii; owszem należy do wprost przeciwniej. Nawet to, co sam pierwszy poznał i zbadał, podaje z pewnym lękiem, że to ktoś niezawodnie już zna, że komuś nudnym wydać się może. I z tego zrobimy mu nawet poważny zarzut i obszerniej z zasadniczych powodów o tem pomówić musimy.

Lękliwość p. Górskiego, o której sam natrąca², pochodzi stąd, że chciałby połączyć niemiecką gruntowność z francuską lekkością, i że ogląda się zanadto na pewną gromadę czytelników, przywykłych na wzór koników polnych do lekkiego przeskakowania płodów umysłu ludzkiego, a tak skłonnych do uznania polskich pism,

¹ Studya nad Bajkami Krasickiego przez Konstantego Górskiego jun. (Przegląd Polski Nr. 254—56 z roku 1887).

² Kiedy się widzi ciężki, nudny komentarz drobnego utworu — lękać się, czy tym utworem nie będą Bajki Krasickiego. — Nr. 254 str. 186.

za nużące i nudne. Niedarmo narzekał największy wieszcz niepodległej Polski na postronne ćwiczenie, i twierdził, że nie innego nie przyprawiło jej o taką odmianę. „Każda Rzeczpospolita swoją sprawą stoi — i nie wiem dla której przyczyny do Niemiec albo Włoch posyłacie syny“. To co niegdyś w wolnej ojczyźnie z wolnego wypływało postanowienia, stało się od stu lat w nieszczęsnej epoce naszej historii rzeczą przymusu i twardej konieczności. Tak mimo woli przesiąkamy wpływami obcymi. Młody autor przeszedł szkołę niemiecką, naprzód w prowincyi, gdzie język wykładowy na szczęście jest polski, ale system nauk pozostał niemiecki, potem pruską w Berlinie. Przytem od najwcześniejszych lat gorąco rozmiłowany w nauce, pochłaniacz książek, ciekawy niezmiernie, szybki bardzo w czytaniu i oryentowaniu się, posiada wiedzę znaczną, prawie w jego wieku niezwykłą i do prawdziwej gruntowności wiele warunków i zasobów. Wielka szkoda, że od niemieckiej uczoności do nudnego szperalstwa... tak blisko... Ażeby nie wpaść w to bagno, ratował się młody autor wpływem literatury francuskiej, którą zna wcale dobrze. Lekki, zajmujący sposób opracowania każdego, choćby ciężkiego z natury przedmiotu, odciągał go od ciężkiej pruskiej pedanteryi, której bał się jak ognia, głównie ze względu na wspomnianych wyżej czytelników. Walczyły w nim widocznie dwa sprzeczne i przeciwne wpływy i prądy, a z tych prądów powstał wir. Proszę łaskawie uważać, powiedziałem wir — nie zamęt. Biorąc się do pracy drobnej, nagromadził taki zapas uczoności czy erudycyi, że mógłby nią przywalić i zawstydzić każdego niemieckiego profesora, ale ponieważ obawiał się znudzić i odstraszyć polską publiczność, a zwłaszcza pewną jej sferę, przeto urywa, krępuje się, streszcza, zwięża, i nie jedną rzecz, godną, a nawet wymagającą dokładnego zbadania i przedstawienia, pomija pobieżną wzmianką, jakby przypuszczał, że to lub owo każdy ze światlejszych ludzi wie, a jeśli nie wie, to nie zechce się tem naprawdę zająć, i przeto, pragnąc być lekkim, staje się czasem pobieżnym. Odnosi się to do całego zastępu francuskich bajkopisarzy — a wyszperał, albo grzeczniej, odszukał p. Górski i takich, o których zapewne i nie jeden profesor literatury francuskiej nie słyszał. Chcąc z nimi porównywać naszego poetę, powinien był autor podać o nich jeśli nie dokładną to przynajmniej dostateczną charakterystykę i wiadomość, tak żeby

każdy czytelnik z korzyścią mógł towarzyszyć jego badaniu, a przytem swoją znajomość literatury pomnożyć i wzbogacić. Tymczasem oprócz kilku trafnych i ciepłych słów o La Fontainie znajdujemy tylko krótkie i dorywcze wskazówki i wzmianki. Przytem uważaliśmy, może się mylimy, jeszcze jedną rzecz. Oto zdawałoby się, jakby praca już po napisaniu i wykończeniu przeszła krytyczne nożyce czy to samego autora, czy też jakiego przyjaciela, który wiele ustępów powycinał i wyrzucił, jak ogrodnik na wiosnę obcina gałęzie, ażeby drzewo zbyt nie wybujało. To wszystko sprawiło, że możnaby prawie do niektórych miejsc zastosować znane, a zawsze trafne choć stare zdanie: *Brevis esse volo, obscurus fio*. Chciałem być zwięzłym, niejasnym się stałem.

Nie można jednak powiedzieć, żeby studyum p. Górskiego było wręcz nudne, albo trudne do przeczytania, co niestety o większej części prac nowych każdy powiedzieć musi, kto nie chce kłamać sobie i drugim. Owszem, przy drugim czytaniu rzecz nawet zyskuje i pozwala bliżej poznać czyste zamiary i znaczne pobudki piszącego.

Co przedewszystkiem podnieść należy, to prawdziwą cześć dla znakomitego pisarza, którego dzieło zamierza rozbierać, i szczere doń przywiązanie. Umyślnie użyłem ostatniego wyrazu, bo natura autora zdaje się nam od gorętszych, namiętnych uczuć wolną a więcej do trzeźwego i spokojnego rozważania skłonną. Dlatego to, zdaje nam się, zajęli wyobraźnię jego naprzód wierszopisarze z czasów Jana III.¹, a potem Ignacy Krasiński, który także nie należy i nie zamierzał, ani chciał należeć do pisarzy poruszających serca, a pragnął przedewszystkiem przemawiać do zdrowego rozsądku, aby według możności jak najwięcej wpłynąć na rozszerzenie jego panowania i władzy. Potrzeba też zimnej rozważi i trzeźwego baczenia była niemała w czasach, w których żył, w czasach rozpasania i szału, kiedy najgorsi żyli bez opamiętania, a najlepsi wpadali w melancholię, albo żalu przeżyć nie mogli.

Chcąc Krasickiego zrozumieć i należycie ocenić, koniecznie wypada uwzględnić znamiona wieku jego i ciągle je mieć na oku.

¹ Za pracę o nich otrzymał autor przed kilku laty na konkursie nagrodę krakowskiej Akademii Umiejętności

Nie uczynił tego niestety p. Górski, i stąd niejedno dziwnem mu się wydaje, co zresztą w obec stosunków, na jakie K. patrzył, jest zupełnie jasne i proste. Tak np. podnosi autor niechęć Krasiickiego do wielkich miast, jakby nie wiedział (a przecież wie) co się działo w wyższem towarzystwie warszawskiem, gdzie nie było prawie kobiet bez historyi, małżeństw bez rozwodów (nawet kilkakrotnych), gry bez oszukaństwa, pracy bez osobistego interesu, pobożności bez obłudy i t. d. — bo na cóż przytaczać więcej z tego smutnego „grzechów katalogu“. Cnota kryła się w zakątkach, w zaciszach wiejskich, i stamtąd później wyszły i odświeżyły atmosferę prądy zdrowe i zbawcze. Z tego samego powodu doskonale rozumiemy, dlaczego Krasiicki o miłości nie lubi wspominać. Nie tylko stan duchowny był na przeszkodzie. Biskup warmiński dowiódł nieraz, że suknia duchowna, że mitra biskupia nie krępowała bynajmniej swobody jego pióra¹. Ale jakże on miał pisać o miłości, kiedy w otoczeniu swoim nigdzie jej nie widział. Widział tylko sielanekową czułościowość i udane sentymenty; prawdziwe uczucia kryły się tylko wśród „cnotliwej hołoty“, którą jako satyryk *natus* nie miał powodu się zajmować, choć nie skąpił jej uznania i współczucia. Nie miał też po temu i usposobienia ten pisarz tak wesół, któremu ironia losu żyć kazała w tak smutnych czasach.

Zrobić dla swojego narodu i wieku jak najwięcej, siać zdrowe ziarno, szerzyć światło i rozumny postępek — oto był ideał, oto cel Krasiickiego. Nie miał on pretensyi porywania współczesnych², ale chciał być nauczycielem narodu — widać to ze wszystkich dzieł — a jeśli niezupełnie i nie zawsze do celu dochodził, jeżeli nieraz nie bardzo właściwych i szczęśliwych używał sposobów, to już wina nie jego zamiaru, lecz jego natury. Dziwny to był zaprawdę człowiek. Wśród najweselszych, najzartobliwszych chwil, przychodziły mu myśli poważne, nawet smutne, najpoważniejsze znowu i najsmutniejsze pustym śmiechem przerywał. Chcąc płakać — śmiał się — śmiejąc się łzy miał w sercu. *Ne misceantur sacra profa-*

¹ Jeśli ta (księga) znajdzie aprobaeyą, wdzięcznie przyjmę sąd łaskawego czytelnika; jeśli nie, zasmucę się, ale będę pisał. (Przedmowa do Mikołaja Doświadczyńskiego Przypadków).

² Przegląd Polski. Nr. 256, str. 39.

nis! można było nieraz na niego zawołać — ale wezwanie nie odniosłoby było skutku, bo on inaczej nie mógł i nie umiał. Potrzeba go więc brać takim jakim był — i jako takiego oceniać i sądzić. Przytoczmy parę przykładów. Pan Podstoli w poważnej o wychowaniu rozprawie te złote wygłasza słowa¹: „Są powszechnie obyczajności przepisy; te człowieka, ile częśćkę towarzystwa ludzkiego w powszechności, do zamilowania cnoty i dzieł chwalebnych wiedzą. Ale natura rządu krajowego szczególniejszych wyciąga obowiązzków. Ci, którym szczęśliwe przeznaczenie pozwoliło urodzić się w kraju wolnym, bardziej jeszcze nad innych do miłości ojczyzny, dobra publicznego zagrzewani być mają. Gdzieindziej ślepego posłuszeństwa uczyć się tylko należy; swobodny naród, oprócz cnoty, jarzma inszego nie zna, i jeżeli posłuszny prawu, sam je sobie nadał. Z tych zacnych powodów umysł wspaniały wzrasta; czujny w pielegnowaniu publicznego dobra, zna szacunek swojej sytuacji, a tętnąc miłością ojczyzny, jeżeli się na dawne wieki obejrzy, nie dziwuje się Decyuszom. Miłość ojczyzny hasłem była ojców naszych; gdyby wiedzieli... Łzy mu stanęły w oczach i mówić przestał“.

Jakże charakterystyczne to zdanie ostatnie! Skoro łzy mu stanęły w oczach — przestaje poeta mówić (przez usta Podstolego), jakby czuł, że mu z tą rzewną powagą nie do twarzy, jakby się obawiał, że wkrótce wypadnie z tonu, a wie, że od wzniosłości do śmieszności krok tylko jeden...

Innym razem podsuwają mu się pod pióro wzniosłe myśli w najniewłaściwszem miejscu, jak np. w Myszeidzie sławna strofa: „Święta miłości kochanej ojczyzny, czują cię tylko umysły poczytywne“. Jestto niewątpliwie pewien rodzaj profanacyi — ale jeszcze gorszem, wprost lekkomyślnem wydaje się nam przedstawianie zacnych królów polskich, jako prostych pijaków. Jak zgrzyt szkła brzmiały te niegodne i, co ważniejsza, często nawet z prawdą niezgodne uwagi. Mniejsza jeszcze o apostrofę do Popiela:

„Ty, któryś wojnę wypowiedział wodzie,
Największy swego królestwa pijaku! —“

¹ Pan Podstoli. I. 6.

ale razi już niezwykle opis pijaństwa żony Piasta w „Historyi“¹ — ale mróz nas przejmując, gdy czytamy trywialne niemal słowa o Kazimierzu Wielkim i Esterce, albo o mądrym, dzielnym Stefanie.

Nietylko królewską i ojcowską powagę spospolitował w „Doświadczyńskim“. „Ojciec mój — opowiada pan Mikołaj² — był z tego rodzaju ludzi, których pospolicie nazywają: dobra dusza. Nie on o tem nie wiedział, co robili Grecy i Rzymianie, i jeżeli co zasłyszał o Czechu i Lechu, to chyba w parafii na kazaniu...“ Po tych słowach, które może dowcipnie charakteryzują człowieka, ale w ustach syna wprost razi i napędlają wstrętem, następuje owo sławne a śliczne zdanie: „choć nie umiał cnót definiować, umiał je pełnić“. Ale powaga trwa niedługo — bo zaraz potem dodaje: „Z tej jednak nieumiejętności definiowania pochodziło, iż się był względem ludzkości nieco pomylił: rozumiał bowiem, że dobrze w dom gościa przyjąć, jest toż samo, co się z nim upić. Stąd poszło, że się i inwentarz zmniejszył i zdrowie nadwężyło; znosił jednak podagrę sercem heroicznem i często powtarzał: iż miło cierpieć dla kochanej ojczyzny (!!).

Ktoby z takich wybryków humoru, na który u Niemców dobitna jest nazwa — chciał sądzić poetę, musiałby go stanowczo potępić, kto jednak sprzeczności tej natury na bok odsunie — całość myśli i dążeń na uwagę weźmie, przekona się, że Krasicki istotnie ojczyznę kochał, patriotyzm wielbił, rodzinne węzły szanował, dobra współziomków pragnął. Przypomnijmy sobie tylko, jak gorąco ujmował się za poddanymi, jak surowo karmił złe obchodzenie się z nimi, jak gromił tych, co powagę i godność narodu poniewierali. Potrzeba wprawdzie przyznać, że miał na tem polu bardzo wielu poprzedników; wszyscy polscy poeci, w najważniejszej liczbie do szlachty należący, gorąco zajmowali się dolą wie-

¹ „Faworem księżnej Jejmości wsparty, dostałem dwa wójtostwa niedaleko Kruszwicy... alem na zdrowiu szwankować zaczął. Księżna Jejmość bowiem obawiając się bardzo trucizny, nie tknęła się nigdy kufla, pókim ja wprzód z tejże konewki takiegoż drugiego nie wypił... Jednego razu (w Gnieźnie), gdyśmy byli nadzwyczaj nabożni, zaniesiono księżnę na łóżko i już więcej z niego nie wstała; doktorowie dworscy dali przyczynę śmierci: katar zażębiony. Po jej śmierci wyjechałem z podagrą etc. (Historya XII.)

² Księga I, 1.

śniaków i przeciw uciskowi włościan podnosili świętego oburzenia głosy. Mikołaj Rey pierwszy. „Nam zewsząd cierpieć nieborakom“, pisze w jednym miejscu, a z oburzeniem zaznacza w innym, że pańnicze nasi stroją się i żyją nad stan „choćby czasem miał przystawić kmieci“. „Sprawiedliwość bardzo zawikłaną mamy — czytamy gdzieindziej — można się wywinie — chudy się zaskrobie“. Daleko wymowniej odzywa się nieśmiertelny Jan z Czarnolasu. Pragnie on już nie tylko łaskawości, pragnie równości i braterstwa. Bliższy tradycyi wolnych kmieci chciałby przywileje zawiesić na kołku i zaprasza gospodarza, aby usiadł koło niego. „Takci bywało, panie, pijaliśmy z sobą i nie gardził pan kmiotka biednego osobą“. Kochanowski, jak jeszcze będziemy mieli sposobność wykazać, był w bardzo wielu rzeczach mistrzem i nauczycielem Krasickiego — i w sprawie włościańskiej natchnął go szczęśliwymi zasadami. Tylko wiek ośmnasty oddalił już Krasickiego od idealnych zapatrywań wieszczów czasów Zygmunta Augusta i Batorego. Krasicki pragnął stosunku raczej opiekuńczego i patryarchalnego. W „Panu Podstolim“ odwołuje się do zdania i przytacza wiersze Kochanowskiego, a nawet opisuje scenę, będącą jakby prozaicznym i suchym pierwowzorem owej sławnej uczt w „Panu Tadeuszu“, którą podejmowali włościan w Soplicowie pan sędzia, Tadeusz i Zosia¹.

Równie gorąco ujmuje się przy każdej sposobności za sługami, a w Satyrach nawet bez miłosierdzia i ogródki piętnuje tych, co źle się z nimi obchodzą².

Bez trudności można dowieść i licznemi przytoczeniami potwierdzić, że we wszystkich innych sprawach życia pragnął nasz poeta uczciwego i roztropnego postępowania, gorliwego wypełniania rodzinnych i obywatelskich obowiązków, miłości enoty i ojczyzny. Skądże więc pochodzą przytoczone przez nas ze smutkiem, lekkie i lekceważące wycieczki przeciw rzeczom i osobom poszanowania albo

¹ Pan Podstoli. Księga III. 2.

² Zbytek w nas to wprowadził, z nim duma urosła,
Ta z kraju krwawą pracę poddanych wyniosła;
Ta panów оголаca, ta poddanych gnębi. (Satyra V.)
. On kary rozdawca,
On rozrządził męczeństw, on katowi sprawca... (Satyra X.)

i w wielu innych miejscach.

czci najgłębszej godnym. Oprócz wpływu wieku, przeciw któremu walczył, któremu jednak ulegał, podkopującego wszelką powagę, i oprócz wybitnych republikańskich skłonności, dopatrzeć by się można przyczyny i w wychowaniu naszych obywatelskich synów, poniekąd do dziś dnia trwającym, a wyziębiającem ich serca — na rzecz chwilowej rozrywki i łatwego dowcipkowania. Pod przewodnictwem nauczycieli obcych, za Krasickiego czasów uczących „konwersacyi i sentymentów“ a i dziś jeszcze nie mogących zaszczepić w dzieciach miłości rzeczy ojczystych, mało doznając uczucia ze strony rodziców zajętych czem innem, nie przywiązują się wówczas, kiedy najłatwiej o to, tj. w dzieciństwie i młodości do nikogo i do niczego naprawdę i głęboko — a za przykładem starszych, uczą się podpatrzeć każdą słabą stronę ludzi, wyśmiać ją i wyszydzić. O talent mimiczny, satyryczny, aktorski, nigdy u nas nie było kłopotu, toż nie dziwić się nam narzekaniu innego poety, że w głowach naszych myśl poważna nie trwa i godziny.

Nie na orlich tedy szlakach szukać nam wypada ideału Krasickiego. Ideałem jego była spokojna, zacna, szczęśliwa mierność. I Kochanowski ją zalecał, ale jakże innym jest Kochanowski! Satyr Kochanowskiego przemawia poważnie, ostro, surowo — satyryk Krasicki dba o rzecz, ale przedewszystkiem o dowcip — i dla dowcipu bardzo wiele poświęci.

Jeżeli Krasicki w takim świetle w całości dzieł swoich przedstawić się musi — to tem mniej można się czego innego spodziewać po *Bajkach*, które żadną miarą nie mogą mieć zbyt wysokich zadań i zbyt szerokiego zakresu. Pan Górski, zdaje się, uważał, że *Bajki* nie zawierają wszystkiego, co powinno. Zarzuca mu n. p., że pieniactwa i sprawy włościańskiej bardzo lekko dotyka, że innych (tj. dobrych) kobiet w *Bajkach* niema, że Tairowi nie chodzi o szczęście małżeńskie, ale o zaszczyt i pozycję, że niema w nich „ogólnych charakterystyk“ narodu i epoki ani wad narodowych, że nie znał charakteru¹ polskiego, że go przynajmniej nie studyował głębiej, że nie wprowadzał więcej osób i postaci. „Najczęściej kosmopolityczny lekarz, król, a zwłaszcza minister, nie zaś (!) kanclerz

¹ Co prawda, autor dodaje: „Rzekłbyś“.

lub podskarbi. Ogólnikowość jest pierwszym charakterystycznym rysem; drugim jest ujemny świat, który nam Bajki przedstawiają¹. Krasicki chwycił się sposobu dowodzenia *per absurdum*. Poza „Ptaszkami w klatce“ nie widzi w Bajkach nacisku (!) na stosunki polskie XVIII. w., na potrzeby współczesne: zawsze ogólne, kosmopolityczne nauki i sytuacje i t. d.

Otóż zdaje nam się, że młody autor za wiele wymagał i za wiele szukał, stąd pewne rozczarowanie. Odkrył tylko kilka żyl złota, a miał nadzieję znaleźć całą kopalnię. Bajka z natury rzeczy może mieć tylko drobne, urywkowe obserwacje i spostrzeżenia na widoku i celu. Chwyta rysy przelotnie, szkicuje raczej niż maluje. Najtrafniej można ją nazwać wierszowanym przysłowiem lub przypowieścią. Autor uczynił inaczej, on uparł się, żeby Bajki Krasickiego uważać za jednoaktowe komedye. W tem błąd — bo naturalnie jeżeli sądził, że ma przed sobą stokilkadziesiąt komedyj, to znalazł w nich zbyt mało materiału i treści. W stusiedemdziesięciu ośmiu komedjach bowiem, choćby króciutkich, można było, nawet przy niewielkiej zwięzłości dotknąć daleko więcej spraw, zdarzeń, stosunków. P. Górski opiera się na tem, że bajka „Przyjaciele“ stała się podstawą komedyi Adama Pługa. To jeszcze nie dowód i nie powód. Na temat uwagi, że wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły, mógł nie tylko p. Pług, możemy wszyscy codziennie nowe, chociaż nie wesołe pisać komedye. Ale większa część bajek, choć komiczne wywołują wrażenie, do utworu dramatycznego żadnych nie zawiera pierwiastków ani podstaw, i nie ma w sobie zgoła żadnego dramatycznego żywiołu. Co innego, gdyby autor, chcąc scharakteryzować zwięzłość bajek biskupa Warmińskiego, powiedział był, że mają się one w tej mierze do innych tak, jak jednoaktówki do 3 i 5 aktowych komedyj. Najlepiej nie uciekać się do takich naciagań² i za przykładem często przytaczanego przez autora szanownego pana Mikołaja Boileau nazywać rzeczy po właściwem nazwisku.

*Je ne puis rien nommer, si ce n'est par son nom;
J'appelle un chat un chat, et Rolet un fripon.*

¹ Zaraz potem przyznaje, że bajka jest negacyjną z natury, i że Krasicki musiał ukazywać ujemne strony.

² Doprowadziły one autora do tego, że bajkę „Pasterz i morze“ uważa jakby za operę, która ma uwerturę!

Słusznie podziwia p. Górski zwięzłość Krasickiego. Dochodzi ona w bajkach i satyrach rzeczywiście do niezwyklej doskonałości i jest największą poety zaletą i zasługą, a zarazem najwybitniejszą cechą. Dla mistrza pióra nie ma ponętniejszej rzeczy, jak oddanie myśli w jak najprostszy i najkrótszy sposób, sprawiający tem większe wrażenie, im mniej materiału tj. słów użyto. Wszyscy znakomici pisarze, z wyjątkiem niewielu miłych gawędziarzy, czytanych dla odpoczynku i rozrywki, odznaczali się zwięzłością — i na tem obok bogactwa myśli polega ich wielkość — na tem opiera się w znacznej części i Krasickiego osobne w literaturze stanowisko. Pokazał on, że w jednym wierszu, można cztery zdania umieścić, np. w satyrze „Pijaństwo“:

„Skąd idziesz? — Ledwo chodzę. — Słabyś? — I jak jeszcze“.

Zrozumieli to i uznali nawet cudzoziemcy. Tłumacz Krasickiego, oficer francuski, którego wojna Napoleońska zagnała na Litwę, gdzie przez parę lat był internowany i w otoczeniu polskiem poznał nasz język, obyczaje a po części i literaturę, w przedmowie swego przekładu wydanego w kilkanaście lat później w Paryżu¹, pisze wyraźnie: „*Les Fables et Contes de Krasicki ont mérite remarquable, celui de la concision: point de réflexions, point de détails accessoires; ils se présentent en quelque sorte tous nus; mais par cela même on peut dire, qu'ils frappent plus vivement, et qu'ils ouvrent un champ plus vaste à l'imagination*“². *Son style est clair, coulant, naturel*³...

¹ *Fables Polonaises de Krasicki, prince et Archevêque de Gnesne. Traduites par J. B. M. de Vienne. Paris. Firmin Didot, libraire. Rue Jacob Nr. 24. 1828, str. XXX i 310.*

² Tamże. Préface VII. Niech mi tu wolno będzie, przytoczyć jeszcze jedno zdanie francuskiego tłumacza (Tamże. Notice sur Krasicki XVII): Krasicki essaya ses forces dans presque tous les genres de littérature. Celui où il a le mieux réussi est le genre poétique; et ce qu'on y estime le plus, ce sont ses *Fables* et ses *Contes*. Du sel et de la grace, des pensées heureuses, de la justesse dans les tournures, de la simplicité et de la naïveté dans les expressions, leur ont déjà fait obtenir la sanction du temps; et ce recueil, placé entre les mains de tous les Polonais, lu et relu avec un plaisir infini, est unanimement regardé par eux comme un chef-d'oeuvre“.

³ Tamże. Notice. XXVI.

Skąd i od kogo nauczył się takiego stylu, formy tak wykwintnej i giętkiej Krasicki? — zapytuje sz. autor na początku III. rozdziału swojego studyum — i dodaje: Tym razem potrzeba będzie podobno na zapytaniu poprzestać, albo oświadczyć z góry, że Krasicki miał potemu zdolność, aby własne wynaleść kształty. Jesteśmy w tem miłym położeniu, że możemy na to pytanie odpowiedzieć, a i autor nasz bardzo bliski był odpowiedzi, skoro wyraz „Fraszki“ wymówił. Tak w tem, a raczej we wszystkim, największym, jedynym prawie mistrzem i wzorem Krasickiego był Jan Kochanowski, o którym przy każdej sposobności z niezwykłym uszanowaniem i cziłą wspomina. Wdzieliśmy, że na jego zdania w Panu Podstolim się powoływał; w „Podróży do Warszawy“ i w wielu innych miejscach, znajdziemy gorące o wieszczu czarnoleskim słowa. Miał Kochanowski wielu innych uczniów i wychowalców aż po dni dzisiejsze — ale w jedności stylu, w zwięzłości wyrażania myśli najlepszym był bez wątpienia Krasicki¹. A przytem najsamodzielniejszym. Dowcip jego jest naturalny i rodzimy, a dykcya pełna ruchu i precyzyi jemu samemu właściwej, w porównaniu nawet z Kochanowskim, noszącej znamiona postępu i wydoskonalenia². Różnica głównie tkwi w tem, że Krasicki wprowadza zwierzęta do swoich powiastek i to większej części tych powiastek, przypowieści i fraszek postać bajki nadaje — choć cel jest ten sam, raczej trafnem podpatrzeniem słabych stron ludzkiego charakteru zabawić, rozweselić, niż moralizować lub uczyć.

Już to samo odbiera wielu bajkom znamię dydaktyczne, że treść ich, jak p. Górski uadmienił, jest natury „ujemnej“ — że

¹ Zapewne przez nieuwagę nazwał autor styl poety „bezbarwnym“; (str. 498) chciał zapewne powiedzieć: prosty, bez ozdób.

² Jednak nie zawsze. Czasem Kochanowski jest niedościgniony. P. Górski pisze o Krasickim (str. 500): „Každy wiersz lub półwiersz przynosi zazwyczaj nową zmianę. Zdania następują po sobie nieraz bez połączeń, idą jedno po drugim — jak szeregi żołnierzy do szturm“.

Z Kochanowskiego przypominam oprócz dwu i czterowierszowych fraszek zwroty n. p. w trenie V. „jako oliwka — u nóg martwa padła;“ w trenie VI. „śmierć cię spłoszyła (jak słowiczka);“ w trenie XII.: „upadła od swojej bujności, żniwa nie doczekawszy. Kłósie mój jedyny!“ i w wielu innych miejscach. Proszę porównać także mistrzostwo niezrównane, z jakim opisując w trenie XII. przymioty Urszulki, a chcąc uniknąć jednostajności, przeplata infinitiwy przymiotnikami, imiesłowami i czasem przeszłym.

odslania złe skłonności ludzkie i wskazuje, jak się im bronić i jak się ochronić nie za pomocą zasad, lecz za pomocą przebiegłości i zręcznych wybiegów. Kto tej broni nie posiada, ginie. Siła przed prawem panuje tu w całym majestacie. Znaczna liczba bajek Krasickiego jest dla dzieci bądź niezrozumiała i nieprzystępna, bądź też niepochwytna albo bywa w innym pojmowana duchu, niż autor zamierzył. Ale nawet te, co zupełnie są jasne, uczą raczej walki o byt niż moralności. A czy taka nauka przedwczesna dobra jest dla dzieci, czy nie pcha ich ku szlakom materialistycznym — to inne a osobne pytanie. Nie jestem zresztą zwolennikiem zbytęzecznego przeceniania bajki w ogólności, ze stanowiska wychowawczego; wolę, żeby się dzieci uczyły cnoty i moralności z katechizmu i z przykładu rodziców i nauczycieli — i uważam je za pożyteczne o tyle, o ile łatwa ich forma przyczynić się może do wczesnego ćwiczenia pamięci. Pomijam już szczegół, godny roztrząsania i sumiennej a surowej krytyki, tj. tendencją niektórych bajek następców Krasickiego nieraz przewrotną i tem szkodliwszą, że pokryte sentymentalną powłoką, mogą złudzić i podejść nawet pedagogów mniej bacznych, nawet najlepszych rodziców. Przypomnijmy sobie tego chłopczyka, co szedł w kożuszk — a to była zima — zobaczył drugiego, co kożuszka niema — okrył go zatem bez namysłu swoim kożuszkiem, bo był to chłopczyk z dobrem serduszkiem; przypomnijmy innego chłopczyka, który szedł do apteki ze złotówką darowaną przez litościwego lekarza, ażeby dla chorej matki lekarstwo kupić, ale w drodze spotkał ubogiego i zdjęty litością obdarzył go ową złotówką. Prawda, że tego kożuszka i serduszka nawet dwuletnie dziecko nauczy się na pamięć i wygłaszając te wierszyki pieszczotliwie wielką uciechę starszym sprawiać zwykło — ale proszę rozważyć, ile w takich bajkach herezj! Samowolne rozporządzanie własnością cudzą, miłosierdzie na koszt obcy, krzywdzenie rodziców, którzy może nie będą mogli sprawić drugiego kożuszka, zapomnienie o chorej matce i t. p. — same sentymentalno-socyalistyczne, ale ani moralne ani pedagogiczne zasady! Ostrożnie zatem z bajkami, Panowie! Bawcie się niemi, ile chcecie, śmieJCie się, podziwiaJCie trafność spostrzeżeń lub obrazków, ale nie nabijajcie niemi zbytęcznie i bez wyboru głów dzieci waszych, bo zarówno zaszczipianie pesymizmu, jak

sentymetalnej moralności szkodę przynieść może ich duszy i sercu! Sam Krasicki czuł to, skoro napisał (a słowa te przytacza i pan Górski), że bajka nie zawsze, ale częstokroć sens moralny mieści. Przepiszemy tu z Myszeidy (Pieśń V.) całą tę strofę:

Bajka częstokroć sens moralny mieści,
 Stąd Ezop, bajarz, sprawiedliwie słyńie.
 Żle czyni, który gardzi przypowieści,
 Smaczny to owoc, choć w podłej łupinie.
 Dźwięk słów wybornych uszy tylko pieści —
 Jeśli z nich zdatna nauka nie płynie,
 Natenczas blaskiem czczym tylko jaśnieją,
 I naksztalt próchna świecą a nie grzeją.

Podkreśliliśmy w trzecim wierszu zwrot niegramatyczny, który łatwo naprawić nie naruszając sensu i rymu, bo zamiast „który gardzi“ można powiedzieć „kto nie lubi“ — i to naprowadza nas na potrzebę zastanowienia się (na chwilę) nad językiem Krasickiego, czego autor zapewne z delikatności nie uczynił, bo raz tylko w nawiasie dodał *sic!* bez żadnych zresztą uwag. Jest naprzód wielka różnica między poezją a prozą tego poety. Proza, choć wymowna i płynna, razi nas głównie wielką ilością obcych wyrazów, przeważnie z łacińskiego wziętych i pod tym względem tylko nasze dzienniki mogłyby skutecznie współubiegać się z Krasickim o pierwszeństwo; sprawiedliwość jednak każe przyznać, że i w prozie widzimy w porównaniu z pisarzami XVII. i pierwszej połowy XVIII. wieku, znaczny postęp ku lepszemu. W wierszach natomiast język Krasickiego jest daleko czystszy i piękniejszy, czasami wyborny. Usterki gramatyczne, zwroty niewłaściwe, błędy nieusprawiedliwione, bo nigdy u pisarzy złotego wieku nie znajdujące się — są niestety we wszystkich utworach „wiązaną i nie związaną“ mową. Są to skutki francuskiego wychowania zawsze pojawiające się tam, gdzie język ojczysty nie jest językiem, w którym się od dzieciństwa myśli, gdzie nie jest podstawą całej nauki. Z powyższego stanowiska miałby p. Górski niejaka słuszość narzekając na prozę, chociaż nie wiemy, skąd uzyskał prawo do tej filipiki, rozprawiając o Bajkach Nowych, które przecież pisane są wierszem, nie prozą. Na usprawiedliwienie swoje mógłby przytoczyć chyba zdanie własne, że w Bajkach nowych „potrzeba było wśród form i świetnych rzutów (!) poezji zachować prostotę, potoczny

charakter i swobodę prozy, co po polsku nie mogło być łatwem“. Przypominają się mimowoli znane wiersze: „wspólna to poetom i muzykom wada — jeden gra nadto, drugi nadto gada“ — ale znajdujemy później i takie zdania, których już nie można zbywać żartami, które z protestacją głośną i silną odrzucić i odeprzeć wypada. Wiemy wprawdzie, że proza polska nie może poszczycić się tytuł klasycznymi utworami, co poezya — ale żeby nie łatwo nabierała zwinności, wytworności, finezyi (!), że o zwyczajnych rzeczach nie umie mówić z wdziękiem, że nie nadaje się do pogadanki (!), do salonowej komedyi, do powieści nawet (!), jeżeli nie jest historyczną albo ludową i t. d. — to wszystko zgoła niesłuszne, niesprawiedliwe, nieprawdziwe a bardzo dziwne uwagi! Coby na to powiedział Górnicki albo Skarga, gdyby ożył? Z pewnością wróciłby i na nowo w grób się położył. Jakiż to wygodny płaszczyk zarzucony przez autora na plecy naszych parłujących salonowców, ale jakaż krzywda dla tego pięknego, giętkiego języka, który „zdola wszystko wypowiedzieć, co pomyśli głowa, a czasem jak piorun jasny, prędki, a czasem piękny jak Aniołów mowa“! Nie chcemy się dłużej nad tem rozwodzić, ale jesteśmy pewni, że autor sam ustęp ten cały przekreśli i wyrzuci — tymczasem poprzestaniemy na uwadze, którą bardzo niechętnie czynimy, że język za krzywdę doznaną zemścił się na autorze, odmawiając mu w kilku miejscach posłuszeństwa o tyle, że autor biegle zresztą, płynnie piszący, popełnił usterki, których wykazaniem nie będziemy zaprzętać ani czytelnika, ani autora, bo sam z pewnością je zobaczy, i w drugim wydaniu usunie. Są to naleciałości i skutki pobytu między obcymi, z których łatwo otrząść się człowiekowi zdolnemu i miłującemu język ojczysty.

Autor wyznaje, że i on uległ ciekawości, która nieraz szkodzi rozkoszy płynącej z dzieła, czepia się (doskonały to wyraz) dzisiaj nieublaganie każdego wyższego utworu, a pragnie zbadać, kogo poeta wyzyskał, naśladował, podsłuchał — kto mu służył za wzór albo za wzorzec. O tej ciekawości wypowiedzieliśmy już gdzieś indziej swoje zdanie — nie myślimy się powtarzać. Choć „Kraśnicki ukrył swą pracę (raczej sposób) przed potomnością i do pracowni wejrzeć nie pozwolił“, nie szczędził p. Górski zabiegów prawdziwie niestrudzonych, i benedyktyńskiej niemal cierpliwości

wymagających, ażeby dotrzeć do źródła każdej prawie bajki. Czy opłacało się przygotowanie takiego aparatu erudycyi, czy zysk dotrzyma miary nakładowi, czy nie wygląda autor czasem, jak artylerzysta z działu ciężkiego kalibru celujący do muszki, w to nie chcemy wchodzić — ale to pewna, że na rzeczy drobnej chciał doświadczyć sił młodocianych, chciał sam siebie zbadać i wyegzaminować, czy jest dostatecznie uzbrojony do walki na polu naukowem — i że z tej walki wyszedł zwycięsko. A większe jeszcze zwycięstwo odniósł mistrz Krasicki. Pokazało się bowiem z sumiennych i wszechstronnych badań p. Górskiego, że Krasicki jest przeważnie oryginalnym w pomysłach i w wykonaniu — a jeśli nawet zapożyczał się u poprzedników (mianowicie Gellerta, Imberta, Johna Gaya i Bidpaya czyli Pilpaya), to wycisnął na rzeczy swoje własne, indywidualne piętno — tak, że nawet stary przedmiot wychodził z pod ręki jego świeży i świetny, jak wychodzi moneta z mennicy, przetopiona z starego kruszcu w formie wykonanej z precyzyą. Brał nieraz przedmiot z gadatliwych francuskich pisarzy XVIII. w., nieudolnych naśladowców La Fontaine'a, a robił z niego bajkę wyborną, zwięzłą, dowcipną. Z porównań tych i badań wynika nawet, że Krasicki miał daleko więcej talentu, niż Gellert, niż książę de Nivernais, Fénelon i de la Motte. Z tej samej gliny lepił zupełnie co innego, daleko zgrabniej i zręczniejsze (str. 204) i często utwór podnosił (str. 206) biorąc go nawet od Gay'a, Ezopa lub Fedra. To największy tryumf autora „Bajek i przypowieści“.

Mniej pomyślne robią wrażenie luźne uwagi autora, tu i owdzie porozrzucane, nie zawsze w ścisłym związku z przedmiotem zostające. Jedna bajka¹ nie uprawnia jeszcze do stanowczego twierdzenia, że nie można mierzyć się z La Fontainem. „Francuska“ obawa śmieszności nie byłaby do twarzy polskiemu młynarzowi; argumentum wymyślone przez Krasickiego przemawia w naszych stosunkach więcej *ad hominem* i świadczy, że poeta rzeczy przejętej od kogo innego umiał nadawać piętno oryginalne, choć w tym wypadku może nieco rubaszne.

„Nagromadzenie ozdób“² nie jest bynajmniej dowodem „po-

¹ Młynarz, syn jego i osioł. Przegl. Polsk. Sierpień 1887. str. 190.

² Tamże.

prawienia i podniesienia smaku“, a najpiękniejsze jest właśnie to, co jasne i proste, co przypomina budowlę, której piękność głównie na czystości i harmonii architektonicznych linii polega. Jasność i prostota nie wymaga jednak koniecznie bezwzględnej krótkości. Już Jakób Grimm uważał, że taka krótkość (u Lessinga) bywa dla bajki bardzo niebezpieczną; umiera bajka — rodzi się epigramat. Nie można więc pozbawiać jej pierwiastku epickiego, powieściowego, poetycznego, na rzecz celów dydaktycznych.

Nie wiem, jak autor znający literaturę niemiecką mógł napisać, że w czasie, kiedy żył Krasicki, nie było prawie innego piśmiennictwa jak francuskie, innych literackich prądów, jak te, które sformułował Boileau. Wszakże Krasicki zaczął ogłaszać swoje dzieła dopiero r. 1778 (Bajki 1779) — a wtedy wrzało już w Niemczech życie nowe a tak bogato i świetnie się zapowiadające — a jeśli Krasicki i — inni współczesni u nas nic o niem nie wiedzieli — to już ich własna wina i szkoda. Przypuszczamy, że autor po słowach „nie było prawie“ zapomniał dodać „dla Krasickiego“, bo inaczej zdania powyższego zgola nie moglibyśmy zrozumieć.

Wspominając za p. E. Krantzem¹, a raczej pod jego wpływem, o kartezyanizmie, zaszedł autor zadaleko i wkroczył na pole prawie zupełnie Krasickiemu obce; poeta nasz filozofią znał tylko jedną, tę mianowicie, która polega na zdrowym rozsądku i chłop-skim rozumie, co zresztą p. Górski sam przyznaje na stronnicy następnej. Nawet wpływ kartezyanizmu na francuskich pisarzy przecenił naszym zdaniem p. Górski.

Że Krasicki mało zachwycał się naturą i rzadko o niej wspominał, to pochodziło stąd, że uważał ją za obojętną — a przede-wszystkiem zajmował się człowiekiem i troszczył jego losem. Byłaby to wskazówka, że i wpływowi J. J. Rousseau'a ulegał mniej, niż się zazwyczaj przedstawia. Miał on zamiłowanie do ogrodów i kwiatów, jak to wiemy z listów ogłoszonych w pracy J. I. Kraszewskiego, ale jako poeta pomijał to, co pod piórem innych współczesnych pisarzy przybierało cechę tak sentymentalno-słodką i przesadną. Sielanka była w modzie, i właśnie dlatego Krasicki sielanek nie pisał.

¹ Essai sur l'Esthétique de Descartes. Paris. 1882.

Przesadne także, choć nie bez podstawy jest zdanie, jakobyśmy już ztratili poczucie owej „wytwornej“ umysłowej rozkoszy, jaka sprawia słowo dobitne i „zwrot wyborowy“, jakobyśmy nie mieli już ucha zdolnego „cieszyć się“ wierszem „dobrze utoczonym, odlanym szczęśliwie“. Tak źle, Bogu dzięki, jeszcze z nami nie jest, a p. Górski wie dobrze, jak wielu Polaków zachwyca się wierszem „dobrze utoczonym“ Trembeckiego albo Mickiewicza i dźwięcznym a lśniącym potokiem „pięknych zwrotów“ Słowackiego. *L'art de bien dire*, nie przeszkadza zresztą ani Francuzom (np. Molierowi) ani Krasickiemu używać słów silnych, a nawet niekiedy „brutalnych“. Ostre nareszcie i lekkie sądy niektórych romantyków o „księciu poetów“ nie spotykały go bynajmniej za „wielką sztukę“ (stylu), lecz za co innego.

Nie śmiałbym za autorem powtórzyć, że Krasicki „miał słabość do filutów“ (II. 198) ale nie dziwi mię wcale, że dla lisa miał pewną słabość, a wilkiem bardzo często się zajmował. Lis oddawna króluje w bajce; poświęcano mu całe epeje, a nawet Goethe nie wahał się utworzyć o nim długiego i dowcipnego poematu, a raczej przedmiot opiewany już w dawniejszych licznych utworach nowemu poddać opracowaniu. Na siłę potrzeba siły, powiedział Kochanowski, na moc potrzeba mocy, wołał Mickiewicz, który nie wahał się wypisać na czele Konrada Wallenroda pamiętnej przestrogi Macchiavelli'ego: *bisogna essere volpe e leone*. Ale choćbyśmy nie chcieli (do czego nie mamy prawa) przyznać Krasickiemu żadnych wyższych pobudek i celów, choćby nie było rozbiorów, Prusaków i Moskali, to samo doświadczenie z praktyki trybunalskiej mogło go aż nadto pobudzić do potwierdzenia słów Hobbesa: *homo homini lupus*. Jeżeli Krasicki mówi, że zdanie tego filozofa angielskiego, jakoby moc była fundamentem działania ludzkiego i wszystkich zgromadzeń cywilnych i politycznych na nieszczęście rodzaju ludzkiego zbyt się sprawdza¹ — to trudno pojąć, dlaczego autor nazywa to smutnem i osobistem słowem, kiedy ono świadczy tylko o genialności odgadującej to, co w niespełna sto lat później stało się hasłem największych mędrców

¹ Zbiór potrzebniejszych wiadomości. T. II. str. 259 (wyd. Glücksberga).

i rządców tego świata — na nieszczęście rodzaju ludzkiego! — Lepiej powiedzieć prawdę smutną niż wesołe kłamstwo.

Nie da się także obronić następujące zdanie autora: „Bez wielkiej przesady możnaby powiedzieć, że urząd bajkopisarza w stylu Ludwika XIV. nie został obsadzony, że zajął go dopiero, ogłaszając pierwszy swój zbiór — Krasicki¹. Cała natura, cały kierunek myśli tego poety był otwartym buntem przeciw temu, co stworzył Ludwik XIV., a co stało się modą, o której Krasicki nie raz i nie dwa odzywał się nieprzychylnie, nawet z niechęcią¹. Sam p. Górski zapisuje, że Molièrowi przebaczano na dworze ludowy ton i swobodę, bo umiał króla zabawić, ale La Fontaine nie znalazł łaski w oczach Ludwika, który wyrzucał realistyczne holenderskie obrazki i wieszał płótna Lebrun’a w swoim pałacu“. Jeżeliby zaś wiersze z dziełami pędzla porównywać przyszło — chociaż nie sprzyjamy nadużyciom w tej mierze — to właśnie bajki Krasickiego przypominałyby najbardziej male holenderskie obrazki² i poeta z tego powodu nie wiele miałby był warunków do zajęcia nadwornej posady. Nie wchodzę w to, czy byłby jej pragnął, czy byłby ją przyjął. Wszakże on nawet wobec Stanisława Augusta, który mu tyle dawał dowodów łaski i przyjaźni, umiał zachować niezawisłość, a nawet kilkakrotnie niezadowolnienie wywołał. Dajmy więc pokój tego rodzaju ogólnikowym zdaniom, łatwo niestety czepiającym się pamięci, a trudnym do ścisłego uzasadnienia.

Okoliczność, że dzisiaj nie ma w świecie żadnego bajkopisarza, skłoniła autora do następującej politycznej wycieczki: „Czyżby to dzieje bajki miały być dowodem, że jeśli dla królów potrzeba było osłaniać prawdę alegoryą, to ludy dzisiaj (tj. od nastania demokracji i parlamentu) wcale jej nie znoszą“ (II. 199). Gładki to i łatwy frazes, ale czy słuszny? czy potrzebny?

Nie należało także podnosić z lekkim sercem oskarżenia, że Krasicki nie stworzył ani jednej żywej postaci! Że niektóre osoby dzieł Krasickiego mają charakter zbiorowy i cechy, że tak powiem, gatunkowe, to pewna, ale żeby p. Fickiewicz, p.

¹ Np. w wierszu do ks. Sanguszkowej:

„Chociaż to przeciw modzie (którą głupstwa wiodą).

² Przyznaje to i nasz autor na str. 501.

Damon i t. d. nie byli żywymi postaciami (choć tylko szkicowani) tego przecież nie wypadało twierdzić, tembardziej, jeśli się zaraz na stronie następnej napisało, że „po za ludźmi nie spotykamy prawie uosobionych idei i przymiotów, które jak nikłe cienie chodzą tłumnie po dziedzinie francuskich bajkopisarzy“.

Zdanie, jakoby Krasicki miał zawsze pogardę dla głodnych, powstać mogło chyba z pomyłki, tej mianowicie, że autor ironią brał za pogardę; okazywał bowiem biskup Warmiński tyle współczucia dla „cnotliwej hołoty“, że obrona byłaby zbyteczną. I to, co się autorowi wydało „radością i przekąsem“, jest po prostu tylko gorzką ironią. Krasicki głównie walczył przeciw zarozumiałości, gotującej zgubę, odsłaniał przemoc, głupich chciał nauczyć rozumu — słabych sposobu obrony — oto wszystko.

„Bagnista kałuża“ naprowadza autora na myśl, że Krasicki był arystokratą i gardził dorobkiewiczami. Nie widzę tego bynajmniej, nie świadczy za tem ani obraz społeczeństwa Nipuanów, ani żadne inne miejsce. Przez bryłę lodu spłodzoną z bagnistej kałuży rozumiał poeta dorobkiewiczów — ale takich, co się wzmogli i wzrosli w nieuczciwy i brudny sposób, a chcieli jeszcze znaczyć i błyszczeć.

Pominać nie możemy, że słowo „staruszek“ przy osobie Krasickiego (str. 504) jest zupełnie niewłaściwe, bo on nigdy staruszkiem nie był. Nie porównywał się z Heklą i nie zachwycił się w starszym wieku żadną panną Teklą — jak Trembecki — ale męską świeżość i czerstwość do śmierci zachował. Zgrzybiałość rzadkiem jest u poetów zjawiskiem.

Ustęp cokolwiek sentymentalny o damie, która tak ładnie deklamowała w owym wiejskim dworku, należy zapewne do miłych osobistych wspomnień autora, ale nie koniecznie był potrzebny do przeprowadzenia dowodu, że w dobrem czytaniu występuje dopiero na jaw cała piękność bajek...

Skąd autor wie, że Krasicki układał swoją „Historyą“ z wielkim mozolem i trudem, nie podobna się domyśleć — a natomiast wcale nas nie zastanawia ani zadziwia występowanie do walki z przesadną wiarą w „drukowane“, albo z przecenianiem dzieł naukowych, na które nie zawsze można się spuścić — ani też nie potępiamy zdań, że rozsądek bywa rzetelniejszym od nauki doradcą, i że zabójca mniej niebezpiecznym bywa, niż ten, co fałszywą oświatą

zatrzuwa dusze, i szczęście niszczy. Przeciw filozofii (zwłaszcza modnej) walczył może przesadnie, ale z najczystszy, najszlachetniejszym zamiarem¹.

Mniej zapewne ze stanowiska poszanowania umiejętności dałaby się usprawiedliwić niechęć Krasickiego do lekarzy i prawników. Co do tych ostatnich smutno stały rzeczy, skoro Pan Podstoli z chlubą opowiada, że dziad jego był deputatem na trybunał a wsi sobie nie dokupił — co do lekarzy zaś, byli oni od wieków kozłem ofiarnym, zdrowych zwłaszcza, dowcipnisiów. Zabawną anegdotę opowiada Voltaire z życia Jana Babtysty Poquelina (Molière). Miał on lekarza, który się nazywał Mauvilain. „Pan masz lekarza — zapytał raz król, jakże on Pana leczy? Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Molière — to tak: my sobie rozmawiamy; on mi zapisuje lekarstwa, ja wyrzucam je za okno i jestem zdrów“². Czy potrzeba jeszcze wspominać ów sławny egzamin wydziału lekarskiego³? Trzęsą się od śmiechu wszyscy, nawet lekarze, czytając tę zabawną, naiwną satyrę. Nic więc dziwnego, że i Krasicki nie mógł sobie darować dowcipnych, do wesołości pobudzających a popularnych wycieczek przeciw synom Eskulapa.

Ale czas nam zakończyć; rozpisaliśmy się nad zamiar i zwyczaj; niechże to będzie dowodem, żeśmy pragnęli sumiennemu poddać badaniu sumienną pracę młodego pisarza. Bajką wydaje się prawie, żeby można tak długo i tak spokojnie pisać o bajkach w czasie, gdy cały świat z natężeniem wszystkich sił przygotowuje się do tego, żeby „w krwi i łzach utonąć“. Jestto wskazówka, że studyum p. Górskiego ma cechę czysto-literacką, skoro zdołało nas

¹ Nie tak to trudno — powiada Krasicki — zostać filozofem, jak waszmość Pan rozumiesz: chwal tylko co drudzy gania; myśl jak chcesz, byleby osobliwie; kiedy niekiedy z religii zażartuj, decyduj śmiało a gadaj głośno; przyrzekam, że ujdziesz wkrótce za wielkiego filozofa. (Doświadczyński I. 8).

² „Vous avez un médecin, dit le roi à Molière; que vous fait-il“? — „Sire, repondit Molière, nous causons ensemble; il m'ordonne des remèdes; je ne les fais point et je guéris“.

³ *Le malade imaginaire. Troisième intermède.*

Savantissimi doctores,

Medicinae professores,

Qui hic assemblati estis i t. d.

choćby na chwilę oderwać od „Europy hałasów“ i w pogodnej pogadance zapomnieć o trudach i troskach dnia dzisiejszego. Takich prac pojawia się dzisiaj mało — a krytyka zachowuje się w obec nich obojętnie albo pomija je błahą i pobieżną wzmianką. Czy wróca jeszcze kiedy lepsze czasy? Czy nastaną owe idealne chwile, które tak cudnie skreślił Mickiewicz?

Tak za dni moich, przy wiejskiej zabawie,
Czytano nieraz, pod lipą na trawie
Pieśń o Justynie, powieść o Wiesławie;
A przy stoliku drewnianym pan wódarz,
Albo ekonom, lub nawet gospodarz,
Nie bronił czytać, i sam słuchać raczył.
I młodszym rzeczy trudniejsze tłumaczył,
Chwalił piękności a błędom wybaczyl.

Czy doczekamy szczęśliwszej doli dla narodu i dla literatury? Daj to Boże — ale na razie, choć z wielkim smutkiem, „ja to między bajki włożę“.

Dr. Hugo Zathay.



NAUKA RELIGII W GALICYJSKICH SZKOŁACH ŚREDNICH.

Luźne uwagi byłego katechety.

(Ciąg dalszy).

II.

O zadaniu, które ma spełnić nauka religii w szkołach średnich tak się wyraża rozporządzenie austr. ministra stanu z 24 marca r. 1865: „Nauka katolickiej religii w szkołach średnich ma na celu obznajomienie uczniów z głównymi prawdami chrześcijańskiej wiary i moralności, ze znaczeniem czynności liturgicznych, z historią Bożego Objawienia i Kościoła chrześcijańskiego; zarazem winna ona utrwalić we wrażliwym umyśle młodzieńca podstawę moralną tak, iżby, gdy dojrzeje, nie zginął w burzach życia“¹. Jak należy pojmować ową „podstawę moralną“, ratującą od „zguby w burzach życia“, o tem nas wprowadzie nie poucza przywiedzione rozporządzenie, ale, na szczęście, wiemy to skądinąd.

Podstawę moralności tworzy wiara chrześcijańska, zwłaszcza, że nie tylko teoretycznie wskazuje nam cel nasz ostateczny i drogi

¹ W dalszym ciągu wspomnianego rozporządzenia, żąda minister, aby pod względem formy nauczania, katecheci nie zatrudniali jedynie pamięci uczniów, lecz także przemawiali do rozumu i do uczucia, a stosowali się w wykładzie do pojętności młodzieży. Nie powiedziano tu nic złego, ani też nic nowego; to tylko dziwna, a cechująca dosadnie stosunki nasze, że władza świecka cel i zadanie nauki religii czyni przedmiotem swego ustawodawstwa, a tę gospodarkę świecką na niwie czysto kościelnej, świat katolicki w Austrii przyjmuje potulnie do wiadomości, jako rzecz już nieraz bywała, naturalną i zupełnie właściwą.

doń wiodące, lecz, dla ścisłego związku zachodzącego między władzami duszy, praktycznie nakłania nas i usposabia do bojaźni zbawiennej, żarliwej modlitwy, nadziei, skruchy, miłości, przestrzegania zakonu Pańskiego, wszelakiej świątobliwości żywota. Dla tego św. Sobor Trydencki¹, chcąc obrazowo przedstawić doniosłość wiary, nazwał ją „fundamentem i korzeniem wszelkiego usprawiedliwienia“, przez co tę myśl wyraża, że jak korzeń nie tylko podtrzymuje drzewo, lecz mu także soków użycza, a w ten sposób liściom i owocom byt daje: tak wiara nie jest moralności fundamentem martwym, jak podwalina domu, ale podstawą żywą; nie tylko opiera się na niej gmach życia duchownego, lecz oraz wykonywa ona funkcyę korzenia, bo poddając nam, jakoby sok ożywczy, rozliczne uczucia pobożne, owoce rodzi dobrych uczynków. Komu wiary zabraknie, ten stał się według słów św. Judy Apostoła (w. 12) *drzewem jesiennem, dwakroć pomarłem*. Pierwsza śmierć nastąpiła wtedy, gdy — mimo wiary — grzech śmiertelny, niby niepogoda jesienna, owoce zasług otrząsł i zatracił; drugą śmierć spowodowało uschnięcie korzenia tj. utrata wiary. Ostateczną tedy „zgubą w burzach życia“ jest odstępstwo od wiary. Jeżeli, o czem nie godzi się wątpić, tak swoje słowa rozumiał twórca przytoczonego na wstępie rozporządzenia, JE. Schmerling, to określił dobrze cel nauki religii w szkołach średnich: jest nim, w klasach wyższych zarówno jak w niższych, zachowanie, ugruntowanie i rozwinięcie wiary, która działa przez miłość.

Atoli do miłości wiedzie jedynie wiara silna; tak silna, że człowiek gotów każdej chwili odrzucić każde, choćby bardzo modne lub do gustu osobistego przypadające zapatrywanie, skoro się przekonywa, że zostaje ono w niezgodzie z dogmatem (*fides aestimative firma super omnia*). Ta zaś nieugiętość w zachowaniu przekonań religijnych nie może wypływać z czysto podmiotowych pobudek — w takim razie byłaby uporem a nie cnotą — lecz musi spocząć na podstawie przedmiotowo prawdziwej i niewzruszonej, czyli musi się oprzeć na głębokiem przeświadczeniu, że 1) Bóg nie może ani pomylić się, ani w błąd wprowadzać i że 2) Bóg rze-

¹ Sess. VI., cap. 8.

czywiście prawdy chrześcijańskie objawił. A chociaż duch ciemności stara się, w naszych czasach osobliwie przymglić te prawdy, osnuć tkaniną wątpliwości i zdobyczy wrzekomo naukowych i nie już, jak niegdyś, na jeden lub drugi dogmat godzi, ale na same podwaliny wiary, prawdy warunkujące wiarę (*praeambula fidei*): to przecie są one rozumowi dostępne, bo przemawiają za nimi dowody rozumowe, niezbite, dające przedmiotową pewność a wykluczające wszelką roztropną obawę o błąd. Zrobić te prawdy przedmiotem ścisłego badania, to każdego wykształconego człowieka obowiązek główny, a należy się zeń wywiązać z tem większą dokładnością, im żywszy udział się bierze w pracy umysłowej cywilizowanego świata, im większa zatem obawa zachodzi, że prądy nowoczesne statecznie działając na duszę, wyrugują z niej wiarę, zaszczipioną we wieku dziecięcym. Przypomniat światu tę powinność Ojciec św. Pius IX., gdy w okólniku z 9 listopada 1846 powiedział: *Humana quidem ratio, ne in tanti momenti negotio decipiat et erret, divinae revelationis factum diligenter inquirat, oportet, ut certo sibi constet, Deum esse loquentum, ac eidem quemadmodum sapientissime docet Apostolus, rationabile obsequium exhibeat. Quis enim ignorat vel ignorare potest, omnem Deo loquenti fidem esse habendam, nihilque rationi ipsi magis consentaneum esse, quam iis acquiescere firmiterque adhaerere, quae a Deo qui nec falli nec fallere potest, revelata esse constiterit?* Umożliwić i ułatwić ludziom wykształconym spełnienie tej powinności, to święty obowiązek katechetów, od którego uchylić się nie mogą bez ściągnięcia na się ciężkiej odpowiedzialności w obec Boga i społeczeństwa. Słusznie przeto plan austriacki przeznacza jeden rok nauki w klasach wyższych na omówienie prawd uprzedzających wiarę (*praeambula fidei*), czyli na dogmatykę ogólną (apologetykę). Zbłądzono w tem tylko, że ze zbytniego zamięłowania systematyczności już w roku pierwszym wyższego gimnazjum kazano ten przedmiot wykładać, mając zapewne to na uwadze, że w porządku logicznym naprzód idzie uznanie faktu objawienia, a za niem dopiero kroczy wiara w poszczególne artykuły. Doświadczenie okazało, że treść dogmatyki ogólnej jest na rozumy piętnastoletnie za mądra. Nie od razu przyszli katecheci do tego przekonania. Z początku trapiłi siebie i uczniów, panującym podówczas wszechwła-

dnie w szkołach niemieckich i austriackich Martinem, a ponieważ nauka szła nie sporo i ciężko było dać jej radę, poczęto narzekać na obfitość materyału i żądać skromniejszych rozmiarów dla podręcznika. Ulegając życzeniu z wielu stron wyrażonemu, autor książkę swoją w późniejszych wydaniach znacznie skrócił. To jednak nie pomogło. Młodzież karmiona Martinem nie wynosiła ze szkoły gruntownych przekonań religijnych, zbyt liczne świadczyły o tem fakta, a samiż młodzi ludzie twierdzili, że stracili wiarę z chwilą, gdy zaczęli się uczyć dogmatyki ogólnej. Gdzie wina? pytano i powiedziano sobie: Martin nie jest dość naukowy. Poczęto tedy czarta wypędzać belzebubem i dźwigać w górę poziom naukowości; uczynili to Wappler, Koenig, Mach, Wedewer, Dreher i inni¹. Wszystkie te podręczniki doznały sympatycznego przyjęcia, a sprawiła to nie tyle reklama nakładeów lub przyjaźń łącząca autorów z recenzentami, jak mniema autor rozprawy „Studien zur Religionsunterrichtsfrage“ (str. 6), ile raczej chwilowe przecenianie naukowości u ogółu katechetów². Dopiero po gromkiej filipice Stoeckla³, poczęło ustalać się zdanie, że naukowe studyum podstaw wiary jest w klasie V. przedwczesne i nie odpowiada stopniowi, na jakim znajduje się rozwój umysłowy młodzieży w owej klasie. Gdyby — oprócz tego rezultatu — nic więcej nie osiągnął Stoeckl swoją rozprawą, to jużby imię jego winno być zapisane wdzięcznemi głoskami w historii nowoczesnego wychowania religijnego. Bywa to jednak, że nacierając na błąd, odbiegamy od prawdy w kierunku wprost przeciwnym. Podobnie pomylił się Stoeckl, gdy w zapale wojennym rzucił hasło: katechizm i nic więcej jeno katechizm! Gdyby wszystka młodzież po ukończeniu szkół średnich udawała

¹ Dokładne tytuły książek i krótką a sprawiedliwą ich ocenę znaleźć można w rozprawie bezimiennie wydanej: Studien zur Religionsunterrichtsfrage. Wien. Hölder. 1884.

² Czasu swojego chciałem także naprawić brak naukowości u Martina i podyktowałem uczniom dowody stwierdzające istnienie Boga. Zaraz przy egzaminowaniu przekonałem się, że z wielkim mozołem sfabrykowany nabój naukowości przeleciał ponad głowy uczniów. Schowałem elaborat w biurko i odczytuję niekiedy, jeżeli — chcę się zdobyć na akt głębokiej pokory.

³ Der moderne Religionsunterricht an den deutschen Gymnasien. Mainz, Kirchheim. 1881.

się do Monastynu i tam słuchała filozofii u Stoeckla, to dobrze; ale ona rozbiegnie się po takich uniwersytetach, gdzie bodaj czy w wykładach znajdzie ducha chrześcijańskiego; obwarować ją przeciw odstępstwu puklerzem apologetyki, to rzecz niezbędna.

Więc: usunąć apologetykę z klasy V, a przenieść do klasy VIII., oto zapatrywanie, które staje się coraz to bardziej ogólnem¹; zgadzam się też na nie w zupełności.

Młodzież uczęszczająca do klasy VIII. za kilka miesięcy będzie się poświęcała studjom czysto naukowym, jest więc chyba dość dojrzałą i rozwiniętą, aby rozumieć wykłady apologetyczne zwłaszcza, że niedawno przeszła kurs logiki. Przeniesienie apologetyki do klasy VIII. tę jeszcze przedstawia dogodność, że uczniowie, którzy z uwagą słuchali wykładu, nie wiele potrzebują przygotowania w domu, by na pytania katechety odpowiedzieć zadowolająco. Tu rzeczą główną ścisłe rozumowanie na podstawie faktów, w znacznej części wiadomych. Mniej pracy domowej niż historia kościelna wymaga apologetyka, będzie zatem miłą uczniom w tej porze, kiedy czas szczególnie drogim czyni zbliżający się egzamin dojrzałości.

Sądzę, że apologetyka w klasie VIII., to najpiękniejszy i najbardziej pożyteczny upominek, jaki na pożegnanie może dać szkoła średnia abiturjentowi. Młodemu człowiekowi uśmiecha się wolność akademicka; apologetyka wytworzy w nim przeświadczenie, które wypowiedział Stolberg² w następujących słowach: „Zrozumiemy to i uznajmy z pokornem uwielbieniem, my dzieci szczęśliwe katolickiego Kościoła, że prawidło wiary, które nam Syn Boży przekazał, nie mniej zabezpiecza nam wolność jak spokój. Prawdziwy katolik dźwiga się sercem w górę przez posłuszeństwo wiary; wolnym się czuje pod prawem wolności, nie patrzy na żaden drogowskaz dla wiary, jeno ten, o którym jest przekonany, że go ustawił Duch Boży“. Młody człowiek niebawem dostanie się na uniwersytet; w samą porę zjawia się apologetyka i powiada mu i wymownie dowodzi, że katolik w badaniu nankowem Objawienie Boże ma za gwiazdę przewodnią, której światło szukaniu prawdy nie tylko nie

¹ Ob. Christl-peadag. Blätter 1884, Nr. 7; Studien zur Rlgsuntr. str. 18—20; Zuzak, Nauka religii str. 91; Zoeller str. 25.

² Geschichte der Religion Jesu, 10 Bd., S. 192,

przeszkadza, lecz owszem pomaga, bo od zboczenia na manowce chroni a nowe widnokreśli dla myśli ludzkiej odsłania¹.

Gdzie umieścić historię Kościoła, dotychczas w klasie VIII. wykładaną? Najprostszą i najpraktyczniejszą wydaje mi się propozycja ks. Zoellera, który chce ten przedmiot ulokować w klasie V., więc tam gdzie dotąd uczono dogmatyki ogólnej czyli apologetyki. Przeprowadzenie tego projektu nie natrafiłoby, zdaje się, na opór władz świeckich; jeżeli bowiem zezwolono na przeniesienie w szkołach galicyjskich liturgiki z klasy II. do IV., czemużby prosta materyału naukowego zamiana między klasą V. a VIII była niepodobną do uskutecznienia? — Historia kościelna dlatego w klasie V. jest na swoim miejscu, że przedstawia nam chrześcijaństwo i kościół katolicki jako dzieło Boże, zatem stanowi wstęp naturalny do nauki wiary, przypadającej na klasę VI.

Przechodzę do nauki religii w klasie VI. i VII.

Czego tutaj udzielać? Zasad poszczególnych wiary i moralności w takich rozmiarach, iżby młodzieniec ukończywszy szkołę, wiedział, jak urządzić po chrześcijańsku życie prywatne i publiczne. Vitae discimus; szkoła kształci przyszłych obywateli; niechże im powie, że etyka chrześcijańska obowiązuje nie tylko jednostki, lecz także organizmy zbiorowe, narody i państwa; że katolik prawdziwy jest i okazuje się nim wszędzie: w domu i na ulicy, w kościele i na arenie parlamentarnej. Kto dziś nie jest politykiem? Niech więc szkoła skreśli w ogólnym zarysie etykę socyjalną i politykę chrześcijańską; inaczej zawsze będziemy mieli *soi-disant* katolików, którym katolicyzm nie przeszkadza uwielbiać roku 1789, wprost lub ubocznie popierać wszelkie dążności wywrotowe, czołem bić przed każdym awanturnikiem rewolucyjnym. Mło-

¹ Przez apologetykę rozumiem systematyczny wykład prawd, wiare (w porządku logicznym) uprzedzających czyli naukę o fundamencie, źródłach i prawidła wiary. W takich rozmiarach wykladać apologetykę w klasie VIII, nad tem już dzisiaj zastanawiać się za wcześnie. Gdyby rzecz w zasadzie utrzymała się, i co niepodobne prawie, już w następnym roku szkolnym (1888/9) stało się zadość życzeniu ks. Zoellera, to po raz pierwszy w klasie VIII. uczonoby apologetyki w roku 1892/3.

dzień w wyższych klasach powinna poznać wyroki Kościoła odnoszące się do nieograniczonej wolności prasy, wolności nauczania, wolności stowarzyszeń i tym podobnych *libertates perditionis*¹. Dziś wprawdzie z wielu znaków wnosić można, że liberalizm się przeżył i zapadł na uwiąd starczy; zawsze jednak ma dosyć zwolenników między nami, aby opłaciło się ostrzedz przed nim świat młody. Na większą jeszcze uwagę i bezstronny rozbiór zasługuje podnoszące coraz to śmielej głowę wszechwładztwo państwowe, pomiatające prawami jednostek i rodzin, nie uznające uprawnionych odrębności plemiennych i narodowych, dążące do tego, aby w podwładnych zginął doszczętnie człowiek a na placu został jedynie wymusztrowany, jak się patrzy i ułożony do bezwzględnej subordynacji szeregowiec — obywatel państwa. To wszystko należałoby poruszyć w nauce ustnej, a zaznaczyć w podręczniku szkolnym: przedmiotowo, jak uczynił to np. Ojciec św. Leon XIII. w okólniku *Immortale Dei*, bez wycieczek namiętnych, bez jednostronności, z uwzględnieniem tej prawdy, że porządek idealnie najlepszy nie zawsze jest możliwy do urzeczywistnienia. Wiem, że uzupełnienie naszych podręczników w kierunku wskazanym trafi na przeszkody; wiem, że książki szkolne, zaopatrzone w potwierdzający podpis Biskupów, których *Duch św. postanowił, aby zarządzili kościół Boży*², idą pod ocenę rady szkolnej, jak listy pensyonarek pod cenzurę dbalej o konwenanse madamy. Ale podobne trudności odstraszać nas nie powinny. Pod każdym względem należy młodzież odżywiać dostatecznie. Nie — z tym błędym, niedokrewnym katolicyzmem, jaki wynosi młodzież ze szkół naszych, puszczać jej w świat nie można!

Natomiast, ponieważ nie rozporządzamy zbyt wielkim zasobem czasu, opuśćmy w nauce wiadomości ciekawe może lecz nie potrzebne; nie szpikujmy wykładów terminami generacyanizmu, traducyanizmu, *praeexistentiae animarum*; nie zapędzajmy się w kontrowersyje zbyt szczegółowe z luteranizmem, którego u nas albo niema, albo nie czuć; dajmy spokój impanacyi i konsubstancjacyi,

¹ Encykl. „Quanta cura“.

² Act. ap. 20, 28.

a już przed wszystkim innem zaniechajmy wzmianek o błędach dawno przebrzmiałych Eunomiusa, Helwidiusa, Abelarda, Audyanów, Orygenistów, Doketów, Montanistów i Nowacyanów¹. Niechaj umarli grzebią umarłe swoje; młodzież nie ma zmysłu dla archeologii; zbyt żywo tętni w niej krew młoda, aby ją na prawdę zajęło, co nie jest terazniejsze i aktualne.

Jak uczyć w klasie VI. i VII.? Ponieważ celem nauczania jest zachowanie i rozwinięcie wiary, więc odpowiedź na to pytanie wymaga zastanowienia się nad genezą i, że powiem, fizyologią wiary a z drugiej strony nad usposobieniem młodzieży uczęszczającej do klas wspomnianych. Otóż wiara jest darem Bożym osobliwszym; ten współudział zaś, jakiego żąda Bóg od człowieka, któremu ma udzielić daru swego zasadza się poniekąd na pilnem studyowaniu podstaw wiary, a więcej jeszcze na pokorze i uszanowaniu majestatu Bożego². Dobrze ktoś powiedział, iż podstawa wiary stoi w świetle i w cieniu; tyle mamy światła, ile potrzeba do przekonania się, iż wierzenie jest rzeczą rozumną; tyle cienia, ile niezbędna, iżbyśmy nie stracili zasługi z wiary. Fakt Objawienia jest wprawdzie przedmiotowo pewny, ale nie jest widoczny; nie umożliwia powątpiewania, choć wyklucza wątpliwości rozsądne. Skoro zaś tak jest, to potrzeba, żeby wola — pod wpływem łaski — znagliła rozum do usunięcia wątpliwości możliwych, lecz nierozsądnych i do uznania tak faktu Objawienia jak poszczególnych prawd objawionych. Wolę znowu pobudza do działania w tej mierze uczucie czci i miłości ku Bogu³. Wiara zatem nie obędzie się bez

¹ Por. Martin-Jachimowski, Dogm. szczeg. str. 71, 139, 140, 11, 83, 48, 13, 54, 83, 158.

² „Funestissime erraret, qui putaret, philosophica inquisitione vel sola vel potissimum se posse sibi aut aliis fidem divinam persuadere. Cooperatio nostra sub gratia et cum gratia in toto hoc negotio, ut perveniatur ad fidem et maneatur in fide, consistit maxime et ante omnia et post omnia in magna animi humilitate, in profundissima reverentia erga divinam majestatem, in instanti et constanti oratione: „nisi efficiamini sicut parvuli, non intrabitis in regnum coelorum“. Franzelin, de div. trad., p. 594.

³ „Człowiek czuje swoją zupełną zawisłość od nieskończonej dobroci Boga, z czego się rodzi uczucie czci i miłości dla Niego jak największej. Cóżby powiedział człowiek pozbawiony tych uczuć, gdyby mu Pan Bóg swoją prawdę objawił zechciał? Bez tej czci i miłości Bożej gotów taki człowiek powiedzieć sobie: i cóż mnie to obchodzi, że Bóg objawił swoją prawdę, nie troszczę się

woli wierzenia (*voluntas credendi*) i bez uczucia zależności od Boga zupełnej, którem ożywieni gotowiśmy z wdzięcznością przyjąć z ręki Boga jak inne dary tak i prawdę (*pius credulitatis affectus*). Jeżeliż tedy na akt wiary składa się cała duchowa istota człowieka: rozum, wola i uczucie, to szczepiąc i krzewiąc wiarę, winniśmy adresować się do całej duchowej strony człowieka. Nauka nasza nie może być czystą instrukcją, na rozum jedynie obliczoną, lecz musi być edukacją w pełnem znaczeniu wyrazu¹. Gdyby inny nauczyciel poprzestał na udzielaniu suchej nauki, to spełni zadanie swoje jednostronnie, ale zawsze coś zdziała; katecheta zaś wykładający jasno, przejrzysto, gładko, zajmująco nawet, lecz nie przemawiający do uczucia, nie wpływający korzystnie na wolę słuchacza, wcale zadania swego nie wypełnił. Wynika to z samej analizy aktu wiary.

Co się tyczy usposobienia „przeciętnego“ młodziana z klasy VI. i VII., jestto przez połowę dziecko, a przez połowę mężczyzna, który niedawno jak odkrył dziwną a wielką nowość, że ma rozum — swój, własny, oryginalny rozum. Nie może więc dość się nacieszyć tym świeżym nabytkiem; ufa mu bez granic; wszystko bierze na rozum; wszystko chce prześwidrować rozumem; zwłaszcza, że go jeszcze nie pouczyło doświadczenie, jak mało może na tem lichu polegać; powag narzuconych nie cierpi. Z przecenianiem sił własnych łączy się brak cierpliwości w dociekaniu prawdy, powierzchnowość i płytkość sądu; co w pierwszej chwili niezrozumiałe,

o nią jak i o Niego, obejść się wygodnie bez ich obojga. Obojętności tej — zwiemy ją pospolicie indyferentyzmem religijnym — zapobiedz może jedynie uczucie głębokiej czci dla Nieskończonego Majestatu Bożego, które nie pozwoli nędznemu stworzeniu wzgardzić tak przeznaczonym darem Stwórcy swego i uczucie miłości i wdzięczności należnej Bogu za dobroć i łaskawość w objawieniu swej prawdy okazaną.

„Cała tedy duchowna istota człowieka jest w powstaniu aktu wiary czynną. Rozum uznaje rzecz objawioną za prawdę, czyli wierzy w nią; wola mu w tem dopomaga, strzec go od nasuwających się wątpliwości; a na wolę wpływa w tymże celu uczucie“. Langer, Rozwój wiary (Przegl. powsz. t. I., str. 278). Myśli te rozwija i uzasadnia autor w tomie II., str. 85—90. Por. też Franzelina traktat cyt. str. 573 i nast.

¹ „Wychowanie całego obejmuje człowieka, zajmuje się wszystkimi jego władzami; nauczanie samo do jednej odnosi się władzy — do rozumu“. Zoeller. Główne prawdy wychowania. Brody. 1879, str. 56.

to w jego pojęciu głupie, nieprawdziwe. Dodajmy jeszcze rozbudzoną zmysłowość, a zrozumiemy, na wiele ciężkich pokus we wieku młodzieńczym narażona jest wiara tembardziej, że według nowoczesnego systemu przyjętego powszechnie w edukacji, ten wyrostek dostaje do rąk gazety, bierze udział w rozmowie starszych, a częstokroć wypowiada się w jego obecności zdania przeciwne wierze, czego się w obec dziecka nie czyniło. Licząc się z tem usposobieniem wieku młodego, należy w klasie VI. i VII. poszczególne zasady wiary i moralności podawać w sposobie opowiadania, nie zaś dowodzenia. Dowody matematyczne prawdę czynią widoczną; w naukach przyrodniczych dowodem jest eksperyment, dający bezpośrednią wiedzę. Przywykła do takiego dowodzenia młodzież żąda wszędzie i zawsze dowodów namacalnych, których — wedle tego co wyżej powiedziano — dać jej nie możemy. Potrafimy usunąć powątpiewania rozsądne, ale nie zdołamy zażegnać wątpliwości nierozsądnych, a właśnie wyrostek to specjalista od wątpliwości nierozsądnych. Od przyjaciela nie jedno przyjmie na proste słowo, ale skoro usłyszy wyraz: „dowód“, zajmuje w obec rzeczy dowodzonej stanowisko odporne, uczuwa pokusę niedowiarstwa, wyczekuje ewidencji, a gdy jej nie znajdzie, to tropi się, dekoncertuje, chwieje w wierze ¹.

¹ Niektóre „dowody“ pomieszczone w Martina dogmatyce szczegółowej wprost szkodzą sprawie Bożej, zamiast jej pomagać. Np. §. 58 o wiele obiecującym tytule: „Dowód z rozumu o grzechu pierworodnym“. I cóż tam znajdujemy? Autor wylicza wielorakie plagi trapiące ród ludzki: mordy i napady, zabory i wojny, podkreśla „nieszczęsną walkę między rozumem a zmysłowością“, przywołuje słowa w tym duchu wyrzeczone Owidyusa, Platona, Eurypidesa, Cyserona i dochodzi do konkluzji: „Jestże to podobna, aby to wszystko tak Bóg ustanowił? Na to rozum nigdy przystać nie może“. Pomijam, że nacisk położono na pożądliwość, co może naprowadzić młodzież na mylny wniosek, że istota grzechu pierworodnego leży w pożądliwości, i pytam: Czy to jest dowód? czy w ogóle fakt grzechu pierworodnego może być dowiedzonym z r o z u m u?

Na str. 192 czytamy: „§. 172. Piekło (Gehenna, ᾍδης, Infernum). I. Rozum udowadnia istnienie piekła: jest Bóg, a zatem musi być i piekło. Te dwie prawdy są wynikłością jedna z drugiej. Jeżeli jest Bóg, tedy jest niesprawiedliwszy, tedy żadna zbrodnia ująć nie może bezkarnie. A ponieważ nie wszystkie zbrodnie odnoszą karę w tem życiu, jest więc po śmierci miejsce sprawiedliwości i kary, jest więc piekło. II. Piekło zatem jest miejscem kary

Dajmy młodzieży tam, gdzie stosowna, materiał dowodowy, czerpany czy z rozumu czy z Pisma św. lub tradycji, ale unikajmy skrętnie pozorów dowodzenia.

Kilka przykładów może zrobić rzecz zrozumialszą.

Istnienie Boga da się udowodnić z ewidencją, byleby ten dla którego dowód przeznaczam, dostatecznie był rozwinięty pod względem umysłowym i miał jakieś wykształcenie filozoficzne. Czy te warunki istnieją w klasie VI.? Nie będę więc sceptycyzmu drzemiącego na dnie każdej duszy młodej budził zapowiedzią dowodu na istnienie Boga ale wyjaśnię spokojnie, po prostu a gruntu tezę katechizmową: Pan Bóg dał nam się poznać w sposób naturalny przez to, że świat stworzył i nim rządzi; a jeżeli o porządku i początku świata powiem zupełnie to samo, co zamieścił Deharbe w „wykładzie katechizmu“ (t. 1, str. 204—212)¹, to nie wprowadzając w grę kosmologii i teleologii, zasady sprzeczności i zasady dostatecznego powodu, naprowadzę słuchaczy na prawdę, że każde najdrobniejsze stworzonko głosi chwałę swojego Stwórcy, jest *vestigium divinitatis*, ma na sobie wyryte znamie wszechmocy a najmiłościwszego Boga. Gdy zobaczę z odpowiedzi uczniów, że ich przekonał, mogę dorzucić uwagę: Myli się, kto sądzi, że rozum ludzki tak ciasny, iż zostawiony sam sobie, zgołaby Boga nie poznać. Występuję w ten sposób jako obrońca pokrzywdzonego rozumu; że to rola wdzięczna i z góry zapewniająca powodzenie u młodzieży, o tem wie każdy doświadczony pedagog.

Albo czy godzi się wlec Zbawiciela przed synedrium złożone z piętnastoletnich postrzeleńców, aby się wobec nich sprawiał z Bóstwa swojego? W ich głowach nie powinna myśl powstać, że Bóstwo Chrystusa P. potrzebuje udowodnienia². Nie będę więc dowodził a wyjaśnię tylko, gdy czas na to

wiecznej, w którym zli aniołowie i t. d.“ Zapomniano tutaj udowodnić rzecz główną tj. wieczność kar piekielnych. Być może, że uczeń nie spostrzeże, gdzie jest luka w rozumowaniu, ale że ten dowód nie wystarcza, to czuje doskonale. Czy do podobnych dowodów nie stosują się słowa św. Tomasza (P. 1. q. 32, a. 1): Cum aliquis ad probandum fidem inducit rationes quae non sunt cogentes, cedit in irrisorem infidelium: credunt enim quod huiusmodi rationibus innitatur et propter eas credamus.

¹ Erklärung des kath. Katechismus. Mam pod ręką wydanie 4-te z r. 1872.

² „Fides sermonibus qui de Deo fiunt, praeceat, non demonstratio; fides quae animum ad assensionem trahit magis, quam methodi rationi innixae; fides

przyjdzie, zdanie wzięte dosłownie z katechizmu: „Chrystus P. sam o sobie wydał świadectwo, że jest Synem Bożym i prawdziwym Bogiem, a stwierdził je świętością życia, cudami, przepowiedniami, wreszcie śmiercią swoją“; opowieś śmierć i zmartwychwstanie Pańskie ze szczegółami, które się słuchaczowi przydadzą i odnowią w pamięci, gdyby potrzebował kiedy przed niedowiarkami zdawać sprawę z wiary swojej; wspomnę o świadectwach apostołów; zapytam z zdziwieniem, jak się stać mogło, że nie wszyscy Żydzi uwierzyli w Zbawiciela; wytłumaczę to zjawisko usposobieniem ówczesnych Żydów oczekujących politycznego a nie religijnego Mesjasza, bo przestrzegając zewnętrznych przepisów zakonu, mieli się za sprawiedliwych, nie pojmowali złości zawartej w grzechu, nie czuli potrzeby odkupienia; w końcu rzucę, od niechcenia kwestyę: Czyja prawda, czy niewiernych Żydów, czy Piotra, który *przypatrzywszy się sam wielmożności Jego*¹, dał gardło za wiarę w Pana i Boga swojego? Tak sformułowane pytanie będę bezpiecznie postawić; bo, ile znam ducha naszej młodzieży, jestem pewny, że nawet w tajnem głosowaniu oświadczy się jednomyślnie przeciw Żydom a za Piotrem.

Podobnie, jak uznaje, że potrzeba przed wykładem artykułów składu apostolskiego omówić znacznie Pisma św., tak znowu uważałbym za błąd pedagogiczny zastosowanie w VI. klasie krytycznej metody do rozbioru autentyczności Pisma św. i jego nieskazitelności. Poszedłbym raczej drogą historyczną, a zapowiedziawszy, że będę mówił o poszanowaniu, jakiego od dawien dawna Pismo św., doznawało w Kościele, skreśliłbym stan obyczajowy gminy chrześcijańskiej w okresie prześladowania; zaznaczyłbym, że w owej ciężkiej dobie przy kościele wytrwali ci tylko, którzy mieli najgłębsze przekonanie o prawdziwości religii Chrystusowej; że dla ludzi wybranych, świętych, narażonych i przygotowanych każdej chwili na śmierć męczeńską za wiarę, jak wszelka sprawa religijna tak wszelkie pisma apostolskie miały niesłychaną wagę; że je czytano i przepisywano skrzętnie, a odpisów było tak wiele, iż za Dyoklecjana utworzono osobną nazwę (*traditores*) dla odstępców, którzy na rozkaz cesarski wydali swoje egzemplarze Pisma św. w ręce pogan; że cała nauka religii opierała się na wykładzie ksiąg starego i nowego zakonu, tak, iż z homilii przechowywanych po dziś dzień a napisanych przed nawróceniem Konstantyna możnaby złożyć kompletny tekst Pisma św.; że lud tak dobrze słowa Pisma św. pamiętał a tak je sobie cenil, iż z obawy przed rozruchem przez długie czasy tłumaczenie pełne zalet św. Hieronima nie zostało dopuszczone do użytku kościelnego, a posługiwano się starym przekładem (Itala) i t. d.² Tak, nie wspominając wcale o autentyczności i nieskażoności tekstu św., dałbym uczniom historyczną wiedzę, aby się nią mogli obronić przeciw wątpliwościom, które może później kiedyś w duszach ich się zjawia.

quae non necessariis geometriae illationibus, sed Spiritus Sancti opera gignitur“. (Auctor hom. in ps. 115 inter opp. s. Basilii).

¹ 2. Petr. I. 16.

² Rzeczą tę wcale dobrze rozwinał Vosen, *Das Christenthum und die Einsprüche seiner Gegner*. Freiburg. Herder. §. 102 (wyd. 3 z 1870 str. 678 i następne).

Jak ma być ułożony podręcznik dla klasy VI. i VII. gimnazjalnej? Pod względem treści ma zawierać to wszystko i nie nad to, co potrzebne do urządzenia życia chrześcijańskiego. Niech pozytywną nauką zbroi młodzież przeciw przewidywanym rozumnie atakom niedowiarstwa¹, ale niech jej nie wyprawia na harce z wszelkimi możliwymi kacerzami i kacerzątkami, bo temu zadaniu nie podolają jej siły. Dość jej tej kampanii, którą odbędzie (w klasie VIII.), jako jednoroczny ochotnik, przeciw tegoczesnym błędom.

Pod względem wysłowienia niech to będzie książka napisana bardzo przystępnie a zwięźle. Krótkość niech będzie rzeczystwa a nie pozorna, uzyskana przez wprowadzenie terminów nieznanymi uczniowi. W ogóle terminów teologicznych ściśle i filozoficznych unikać i zastąpić opisaniem rzeczy. Jeżeliby trzeba wybierać, to raczej wolałbym książkę przestronniejszą a łatwo zrozumiałą niż krótką, ale apokaliptyczną. Nie ludźmy się! Uczeń niekiedy dla choroby nie przyjdzie do szkoły; innym razem gotuje się do lekcji następnej na godzinie religii, albo ukradkiem czyta powieść wypożyczoną, którą ma zwrócić w krótkim terminie; albo wreszcie doznał przed chwilą przyjemnego lub nieprzyjemnego wzruszenia i jest na lekcji więcej ciałem niż duchem obecny. We wszystkich tych przypadkach tyle będzie wiedział, ile się z książki nauczy. Niech go podręcznik nie trapi ciemnymi zwrotami, bo w krewkości młodzieńczej ciśnie go w kąt i spuści się na szczęście, lub — na podpowiadanie.

Pod względem układu życzyłbym sobie, aby jedna istniała książka dla klasy VI. i VII. a tak zewnętrznie uwidoczniła się prawda, że nauka wiary a zasady moralności w ścisłym i nierozrwalnym zostają związku, że niema i być nie może etyki autonomicznej². Pretensjonalny tytuł dogmatyki i etyki śmiało może ustąpić

¹ Pewniejszą obroną przeciw pokusom niedowiarstwa jest miłość ku Bogu i przywiązanie do Kościoła św. niż znajomość subtelnych dystynkcji. Gdzie istnieje miłość, sam rozum nie da się zbici z tropu sofistycznymi wywodami błędnowierców.

² Ostatecznie możnaby przystać ze względów praktycznych na wydanie dla każdej klasy osobnego tomiku jako części I. i II. „nauki wiary i obyczajności“.

miejsca skromniejszemu a właściwyszemu: Nauka wiary i obyczajności dla wyższych klas gimnazjalnych (względnie i realnych). Co po wspaniałym szyldzie małemu kramowi?

Prawdy wiary i moralności niech idą po sobie porządkiem przyjętym w katechizmie. Co więcej, cały a niezmieniony w niczem tekst katechizmu winien, zdaniem mojem, znaleźć się w tym podręczniku, bez pytań ze stosownemi nagłówkami. Odmiernym (drobniejszym) drukiem zostałyby podane uzupełnienia, złączone w jeden paragraf z tekstem katechizmowym, jeżeli służą ku jego wyjaśnieniu lub zaopatrzone osobnym tytułem, jeżeli zawierają rzeczy nowe¹. Tekst katechizmowy możnaby cyframi podzielić na mniejsze ustępy; wówczas należałoby również na ustępy rozdzielić uzupełnienia tak, iżby tu i tam numery dokładnie sobie odpowiadały. Wzór podobnego układu nie braknie. W najnowszych czasach użył go z powodzeniem w historii Kościoła (protestant) Kurtz, którego znowu naśladował ks. Kraus. W teologii moralnej podobnie tekst główny od uzupełnień wyróżnił Lehmkühl.

Tekst uzupełnień niechaj będzie urozmaicony cytataми z Pisma św., Ojców i Doktorów Kościoła, którzy nie mniej od Ojców są świadkami nauki katolickiej. Z usposobieniem wieku młodego, który dla powag nie czuje zbyt wielkiego uszanowania, liczyć się wypada o tyle, iż styl przekładu² winien być nie tylko poprawny lecz wytworny, a treść cytacyi winna zawierać oprócz prostego stwierdzenia prawdy jeszcze jakiś obraz, porównanie, analogią, wywód z rozumu, w ogóle jakąś myśl nową:³ wtedy powaga

¹ Możliwość takiego podręcznika przewiduje soboru watykańskiego *schema constitutionis de parvo catechismo*, gdzie następujące znajdują się słowa: *Integrum autem erit Episcopis, ejusdem parvi Catechismi usu pro prima fidelium institutione absque additamentis jugiter retento, ad eos uberius excolendos et contra errores, qui in suis forsan regionibus grassantur, praemuniendos, ampliores catecheticas conficere institutiones, quas tamen, si una cum textu praedicti Catechismi et non seorsim edere voluerint, id ita fieri debere mandamus, ut textus ipse a nobis praescriptus ab hujusmodi institutionibus patenter distinctus appareat.*

² Za mało filozoficznego wykształcenia posiada nasza młodzież gimnazjalna, aby jej podawać można, jak tego pragną niektórzy, cytacye w języku oryginalnym łacińskim lub greckim.

³ Zdaje mi się, że tem żądaniem trafiaam poniekąd w myśl św. Tomasa, który robiąc różnicę między metodą pożądaną przy nawracaniu niewier-

zaimponuje młodzieńcowi i pozyska go sobie. Z wyroków soborowych dalbym pierwszeństwo ustępom pozytywnie orzekającym prawdę przed kanonami, błąd potępiającymi; bo nie jest rzeczą łatwą dla młodego umysłu wytworzyć sobie z kanonu zdanie sprzecznie przeciwne (*contradictorium verum*), nadto zaś zacytowany kanon wprawia katechetę w konieczność powiedzenia, czyje zdanie zostało potępione, więc wdawania się w historię dogmatów, a na to czasu niema.

Więc: stopniowo rozszerzany katechizm, zaczawszy od drugiej klasy szkół ludowych a skończywszy na VII. klasie gimnazjalnej (względnie: VI. realnej), katechizm (w wyższych klasach bez pytań) rozwijający się w koncentrycznych kręgach, z zachowaniem tego samego układu, tych samych definicyj¹, tych samych terminów!

Jak w pniu drzewa rdzeń zostaje ten sam, a w około niego owijają się z czasem coraz to liczniejsze słoje: tak to, co sobie przyswoił uczeń na niższym stopniu nauki, jest środowiskiem niezmiennem, około którego grupuje się dalsza wiedza, zdobyta na stopniu nauki wyższym. W ten sposób udzielają religii w zakładach katolickich Belgii i Francji, jak wnioskować wypada z dostarczonych przez ks. Zoellera dokumentów²; w ten sposób za czasów naszych episkopat w kraju klasycznym „naukowości“, Bawaryi, jednomyślnie urządził naukę szkolną. U nas przeciwnie: co chwila rozrzuca się budowę rozpoczętą i przystępuje do nowej;

nych a nauczaniem wiernych w szkole, tak mówi: Quaedam disputatio ordinatur ad removendam dubitationem *an ita sit*, et in tali disputatione theologia maxime utendum est auctoritatibus, quas recipiunt illi cum quibus disputatur... Si autem nullam auctoritatem recipiunt, oportet ad eos convincendos ad rationes naturales confugere... Quaedam disputatio est magistralis in scholis, non ad removendum errorem, sed ad instruendum auditores ad intellectum veritatis quam intendit. Et tunc oportet rationibus inniti investigantibus veritatis radicem et facientibus scire *quomodo sit verum quod dicitur*. Alioquin si nudis auctoritatibus magister quaestionem determinet, certificabitur quidem auditor quod *ita est*, sed nihil scientiae vel intellectus acquireret, sed vacuus abscedet. (*Quodlib.* 4, q. 9, a. 18).

¹ Jeżeliby okazała się pożądaną w klasach wyższych definicya pełniejsza, to umieściłbym ją w „uzupełnieniach“.

² O planie, str. 28—31.

nie dziwnego, że tracąc czas na zakładanie świeżych fundamentów, nie dochodzimy do ukończenia gmachu.

Katechizm stopniowo rozszerzany udzieliłby młodzieży pozytywnej a głęboko na całe życie wrytej w pamięć¹ wiedzy religijnej, a tem samem przysporzyłby wiernych synów Kościołowi, bo *anima naturaliter christiana*, a natura polska za pocziwa, aby nie miała być bliską wiary: nie mamy wśród siebie ludzi przeciwnych wierze z zasady, lecz ignorantów. (Odliczam rzadkie wyjątki). Obecnie dajemy młodzieży szkolnej tę samą wszędzie prawdę chrześcijańską, ale na każdym stopniu nauki innego trzymamy się porządku i innemi posługujemy wyrazami, a tem postępowaniem utrudniamy młodym ludziom zapamiętanie a nawet zrozumienie prawdy. Wszak trudno nieraz poznać człowieka, jeśli go spotykamy w odmiennym stroju i w innem otoczeniu. A jeżeli my starsi, chcąc bez straty czasu odświeżyć w sobie jaką wiedzę, chętniej chwytamy za książkę już znaną, niż za dzieło nowe: to rozumiemy, że młody rozum trzyma się słów, jak dziecko mebli w pierwszych próbach chodzenia. Samo przestawienie słów, a tem bardziej zdań, i większych ustępów sprawia zamieszanie w młodej głowie.

Zapewne, że wiele na tem zależy, aby uczeń poznał ściśle stosunek zachodzący między poszczególnymi prawdami chrześcijańskimi. To naszą własnością rzetelną a wieczystą, to tylko trzyma się głowy, co organicznie związane z resztą wiedzy. A nawet uchwycenie owego związku potrzebne w interesie zrozumienia prawdy. Prawda luzem idąca, oderwana od prawd innych, bywa po policie przyczyną błędu. Tak akcentowanie np. transcendentności istoty Bożej wiedzy do deizmu, a przesadne podkreślanie węzła łączącego Boga ze światem, do panteizmu prowadzi. Niech zatem młodzież pozna prawdy katolickie w związku; katechizm temu nie przeszkadza; najłatwiej to uzyskać przy końcu nauki,

¹ Od uczniów klasy VI. i VII. domagałbym się dosłownego recytowania tekstu ściśle katechizmowego, a że tu chodzi jedynie o powtórzenie rzeczy umianych dokładnie w klasach niższych, nie trudnoby przyszło uczynić zadość temu zadaniu; zadowolilibym się zaś streszczeniem dokonaniem własnymi słowami materiału zawartego w „uzupełnieniach“, zwolniłbym nawet uczniów od wyuczenia się pomieszczonych tam cytacyj.

w porze powtarzania, a katechizm (rozszerzony) może w domówieniu podać ku temu wskazówki.

Pomieszczenie tekstu katechizmowego w podręczniku dla klas wyższych nie będzie ucznia dziwiło, ani go taka książka nie znudzi. Nie dziwi się temu, że w nauce łaciny towarzyszy mu ta sama gramatyka od pierwszej do ósmej klasy; znudzić go może katecheta, jeżeli źle wyklada; z tego zaś, że w książce znajduje się treść znajoma, cieszy się uczeń, bo widzi nadzieję rychlejszego uporania się z lekcją, a o to głównie mu chodzi.

Prawdy religijne ułożone są w katechizmie według logicznego systemu, temu nikt nie przeczy; to pewna, że systematyczność mniej się w nim uwidocznia, niż w podręcznikach, których obecnie używają w wyższych klasach niemieckich i austriackich; ale pociągu do schematyzowania i systematyczności u młodzieży gimnazjalnej nie odkryłem, choć dosyć czasu przepędziłem w jej gronie; potrzeba na to dojrzałego umysłu. W tem właśnie leży całe nieszczęście, że potrzeby i upodobania starszych, przywykłych i zaprawionych do pracy naukowej, przypisujemy młodzieży.

Przez systematyczność zyskuje książka wygląd naukowy; ale jeżeli względy pedagogiczne i dydaktyczne nakazują się wyrzec tej korzyści, nie wahajmy się tego uczynić. Nieomyślnej prawdy Bożej oblicze wiecznie świeże, piękne i pociągające, obędzie się bez sztucznych piększydeł; twarz umiejętności ludzkich, poorana w brózdki wątpliwości, plamami oszpecona błędów i mnogich niedostatków, niech się krasi różem i blanszem „naukowości“. Nie tyle silmy się na dowód, że nauka nasza może być traktowana metodą umiejętną, ile raczej wpajajmy w młodzież przekonanie, że religia tak potrzebna duszy, jak płucom powietrze.

Książka wprowadzona od r. 1885 w gimnazya bawarskie¹ nadałaby się jako model dla opracowania podręcznika, jaki mam na myśli. Wierny przekład nie odpowiadałby celowi, bo plan bawarski nie zna apologetyki, jako odrębnego przedmiotu w nauczaniu gimnazjalnem; w podręczniku zatem wspomnianym pełno wzmianek

¹ Lehrbuch der katholischen Religion zunächst für die Gymnasien in Bayern. München 1885.

przygodnych treści apologetycznej, których nie trzeba, skoro te rzeczy systematyczne znajdą omówienie gdzieindziej. Zato dział drugi, według mego zdania wyrażonego powyżej, należałoby uzupełnić treściwym wykładem etyki społecznej. Natomiast jeżeli liturgia ma także stanowić przedmiot osobny, przewidziany w planie, to nauka o roku kościelnym (str. 211—220), o miejscach św. (str. 371—381) i rozprószone w dziale trzecim opisy obrzędów zachowywanych przy udzielaniu sakramentów św. okazują się zbędne.

Jaki rozkład materiału naukowego na poszczególne klasy byłby pożądanym dla szkoły wyższej realnej, na to pytanie w żadnym ze znanych mi pism nie znajduję odpowiedzi. Trudność tworzy ta okoliczność, że wyższych klas realnych jest wszystkiego trzy. Przedstawiam od siebie projekt następujący: apologetyka w klasie VII., nauka wiary i obyczajności w klasie V. i VI. Historią Kościoła rozdzieliłbym na trzy lata: na pierwsze trzy miesiące w klasie V. przypadła historia pierwszego okresu (po czas Karola W.); średnie wieki (kl. VI.) i czasy nowsze (kl. VII.) przerobiłoby należało w trzech ostatnich miesiącach roku szkolnego. Naukę w klasie V. realnej rozpoczynam od historii, bo mi potrzebna jako wstęp do nauki wiary; w VI. i VII. klasie kończę naukę historią, bo przedmiot ten więcej niż inne zajmujący łatwiej rozbudzi znużoną pod koniec roku uwagę uczniów, a gdyby nawet dla upałów letnich i nie zbyt wielkiej w owym czasie pilności uczniów wiedza historyczna uczniów ucierpiała nieco, mniej widziałbym w tem szkody, niż gdyby strata tyczyła się wiadomości ściśle religijnych.

(C. d. n.)

Ks. Zygmunt Lenkiewicz.



„SPOWIEDŹ“ LWA TOŁSTOJA¹.

„Literatura osobista“, jak ją nazwał Brunetière², tj. wyznania, pamiętniki prywatne, *journaux intimes* i t. p. — tak się rozmnożyły ostatnimi czasy, że znakomity ten krytyk wołał świeżo w *Revue des deux Mondes*, że już dosyć tego dobrego. Nawet powieści, pod wpływem tego gustu, zaczynają się pisać w udanej formie pamiętników³.

Kierunek ten wynika, jak sędzę, z szczęśliwego zwrotu dziejszej szkoły realistycznej ku obserwacyi duszy. Kiedy francuscy realiści spotkali się niespodzianie z literaturą rosyjską, wykrzyknęli z zdziwieniem: Toć oni mieli klucz realizmu przed nami, i większymi są realistami od nas! A krytycy, jak Voguë, wnet przyczynę tej wyższości Rosyan wykryli: mianowicie, że francuscy powieściopisarze, obok niezaprzeczonej wyższości faktury, zostają na powierzchni, są tylko realistami ciała i zmysłów, gdy Rosyanie są przede wszystkim badaczami i realistami duszy. A bądź co bądź najpiękniejszą i najciekawszą rzeczą na świecie jest dusza człowieka. Powiedzieć nawet można, że wszystko inne w sztuce, o tyle nas prawdziwie interesować może, o ile w tem widzimy jakieś technienie, jakiś ślad lub refleks duszy ludzkiej. A jeśli dusza budzi tak żywe zajęcie w utworze imaginacyjnym, cieniu rzeczywistości, o ile ciekawszą być musi

¹ Odczyt miany w Krakowie, 29 lutego b. r., na korzyść „Bratniej Pomocy“ Uniw., — (skrótowy).

² „La littérature personnelle“ p. Brunetière, *Revue des Deux Mondes*, 15 Janvier 1888.

³ „La Morte“ par O. Feuillet; „Mon capitaine“ par H. Rabusson. „La neuveine de Colette“ etc.

w rzeczywistości samej, w realnym dramacie swego wewnętrznego życia, wyjawiającym się w wyznaniach i pamiętnikach osobistych?

Tymczasem faktycznie, utwory te nie odpowiadają zwykle oczekiwaniu, budzą mniej zajęcia i jeszcze mniej mają wartości niż powieści fikcyjne. Rzeczywistość przewyższa sztukę w tem, że jest rzeczywistością, ale niżej od niej stoi w tem, że jest najczęściej banalną, podczas gdy sztuka prawdziwa, jak naucza Taine¹, wydobywa tylko to, co banalnem nie jest. Otóż dusze wywnętrzające się w konfesyach są najczęściej banalne, pospolite, a braku tego nie okupują nawet szczerą prawdą; — rysując siebie, naturalnie też pozują przed sobą i przed publiką; to też w konfesyach ich bywa jeszcze mniej prawdy niż w przedmiotowych powieściach.

Żeby wyznania były warte czytania, trzeba trzech warunków:

1) żeby się wyjawiała dusza wyższych rozmiarów, prawdziwie niepospolita; 2) żeby miała rzadki talent i zdolność przeniknięcia się głęboko i wypowiedzenia tych wewnętrznych zjawisk tak trudnych do ujęcia w słowa; 3) żeby miała bezwzględną szczerotę i prostotę — co suponuje wyższego rzędu cele w pisaniu, bo kto pisze wyznania jako literat, ten musi chcieć zainteresować sobą publiczność. Bez tych trzech warunków, mówię, konfesye nie warte są czytania — ale gdy mają te trzy warunki, to muszą być dziełami najwyższej wartości. Dwie tylko znam w literaturze całego świata konfesye, w których (choć nie stawiam ich na równi) znajduję te trzy warunki: Wyznania św. Augustyna, w których myśląca ludzkość od 15 wieków ucztuje — i *Is powied'* Lwa Tolstoja, napisaną r. 1882, ale ze względów cenzuralnych, w rękopisach tylko obiegującą Rosyę, r. 1885 przełożoną i wydaną we Francyi, a dopiero ostatnimi czasy wydrukowaną w oryginalnym języku.

Postać autora „Wojny i Pokoju“, jako powieściopisarza, jest zanadto znana w świecie literackim, zanadto dobrze opisywana, ażebym myślał ją na nowo skreślać. Nie tylko Rosya, ale Anglia, Niemcy i Francya oddają mu cześć jako jednemu z najwyższych przedstawicieli literatury nowoczesnej. Voguë streszczając sąd Francyi w swem znakomitem dziele *le Roman Russe*, mówi: „nie waham się powiedzieć, że ten pisarz, kiedy chce być tylko „powieściopisarzem, jest mistrzem między największymi, jednym

¹ *Philosophie de l'art*. t. I.

„z tych co świadectwo dadzą o tym wieku“. . . Tenże Voguë, analizując subtelnie duchowy realizm Tolstoja, odkrywa nawet w jego powieściach ów tajemniczy pierwiastek, z którego w danej chwili trysnąć miała „Spowiedź“. „Pod tą zimną pozornie „ironią, mówi, z jaką Tolstoj traktuje kreatury swej fantazyi, pod-„słuchać się daje lkanie serca, głodnego przedmiotów wiecznych — *„le sanglot du coeur affamé d'objets éternels“*. — Przytaczam to tylko, by przypomnieć, że mamy do czynienia z jedną z głębszych i znakomitszych dusz naszego czasu, z talentem podpatrywania i wypowiedzania stanów duszy niezrównanym. A co do szczerości, gdyby każda karta Spowiedzi nie świadczyła o tem przekonywająco, rozstrzygałby już sam fakt, że Tolstoj pisał „Spowiedź“ nie już jako literat, ale jako zelator idei religijno-społecznej, która w nim zaświtała. Wyrobiwszy w sobie przekonanie, że literatura beletrystyczna jest złą dla ludzkości, że podział klas społecznych jest złem, Tolstoj złamał swoje złote pióro powieściopisarskie, i przyodziawszy siermięgę muzyka, pracuje obecnie w polu i dratwę przewleka. Tacy ludzie mogą być illuminatami — ale są absolutnie szczerymi.

W obec tych faktów, dziwnie uderza pewne lekceważenie „Spowiedzi“ Tolstojowej przez tych samych literatów, którzy powieści jego pod niebiosa wynoszą. W encyklopedyach, (jak w Brokhauzie) czyta się po prostu: że powieści Tolstoja są pierwszorzędne, a „Spowiedź“ i następne dzieła „zbiorem sofizmów i obskurantyzmu“; Voguë, który tak po mistrzowsku i *con amore* powieści jego omawia i ocenia, Spowiedź zbywa słowem politowania. — A jednak w tej książce, jak powiedziałem, staje przed nami dusza wielkich rozmiarów, dusza w której nie tylko Rosya się wciela, jak mówi de Voguë, ale w której się jawi dusza ludzkości, cierpiąca i dobijająca się prawdy w XIX. wieku. Tem więcej należy się temu dziełu powetować to chwilowe zapoznanie.

„Ochrzczony zostałem i wychowany w zasadach kościoła chrześcijańskiego prawosławnego. Uczono mię ich od dzieciństwa i przez całą młodość. Ale gdy miałem lat 18, już w nic nie wierzyłem“. Temi słowy Tolstoj zaczyna swe wyznania. Zjawisko smutne, jak widok zgorzeliska; ale niestety nie rzadkie w naszych

czasach. Co tu uderza i zastanowienia wymaga, to sposób, jakim to przejście do nihilizmu moralnego, odbywa się w duszy Rosjanina.

Jouffroy, w swej sławnej przedmowie do *Mélanges Philosophiques*, opisując proces wewnętrzny, jakim doszedł do swej teorii filozoficznej, opowiada jak długo wprzód tarany racjonalistycznej filozofii kołatały gmach jego wiary; a gdy nam uprzytomnia tę noc, w której wśród samotnych rozmyślań i strasznej walki wewnętrznej, pierwszy kamień z tego gmachu wiary się usunął — a za nim, jakimś fatalnym związkiem, wszystkie inne usuwać się i walić poczęły — aż został w zupełnej próżni i ciemności — gdy mówi, jak potem odwiedzając ojcowską zagrodę, nie śmiał uściskać matki, ani spojrzeć na kościółek, gdzie był chrzczony, bo się czuł obcym, innym od tego, który wierzył — to aż dreszcz zgrozy i politowania przechodzi. Nawet Renan, w swych *Souvenirs d'enfance et de jeunesse*, acz pozuje na szczęśliwego w ateizmie, nie tak jednak ciężkich i długich przejść i rozdarcia duszy, jakiego doznał porzucając tę wiarę, której go uczono w bretońskim kościółku, a potem w seminarium paryskim. W ogólności mówiąc, katolik w religii wykształcony, nie traci wiary bez uprzednich szturmów, bez walki i bólu, bo coś żywotnego z jego duszy się wyrывa. — Tolstoj o tej walce, o tem bólu nic nie wie; wiara w nim ginie, sam nie wie kiedy; blaha okazują zwraca mu uwagę, że pod praktykami religijnymi, które jeszcze zachowywał, „miejsce religii było od dawna opróżnione“.

„Moje odstąpienie od wiary, pisze, odbyło się tak samo, jak się to zwykle działo i dzieje u osób naszej sfery. Rzecz, sądę, tak się dzieje najczęściej. Ludzie żyją, jak żyje świat, a świat życie swoje opiera na zasadach, które nic wspólnego z religią nie mają; często nawet są jej wręcz przeciwne. Nauka religii nie oddziaływała na życie... nie normuje ani naszych stosunków do innych ludzi, ani własnej naszej egzystencji; nigdy się nań nie oglądamy. Nauczanie to stosuje się tam gdzieś, daleko i niezależnie od życia. Zetknięcie się z tą nauką jest zjawiskiem poniekąd zewnętrznym, z życiem wcale nie związanym“. I dla tego też religia rozwiewa się w duszy Tolstoja jak mara: „światło wiedzy i życia, jak sam mówi, roztopia tę sztuczną budowlę“...

Zdarzy się i w naszym społeczeństwie spotkać tę zewnętrzną religii, to odcięcie jej od życia, bo i u nas niestety są ludzie, dla których religia jest formą, a nie stała się nigdy przekonaniem. Ale żaden szczery myśliciel, piszący czy u nas, czy w jakimkolwiek kraju katolickim, nie nadałby temu zjawisku znaczenia powszechnego; żadenby nie powiedział, co dodaje Tolstoj: „Po życiu i czynach człowieka, niepodobna rozeznaczyć, czy wierzy lub nie wierzy. Jeśli jest jaka różnica między tym co wyznaje ortodoksę, a tym co się jej wypiera, to ona nie jest na korzyść pierwszego. Wyznawanie i praktyka religii spotykają się najpospoliej u osób ograniczonych, okrutnych, niemoralnych, a wysoko o sobie trzymających; podczas gdy inteligencya, prawda, szczerść, życzliwość, moralność, znajdują się zwykle u ludzi bez wiary“.

To nam wiele tłumaczy: gdzieindziej widzimy, jak dusze głębsze, nie mogące poprzestać na powierzchowności, ale szukające prawdy absolutnej, stawiające sobie pytanie o celu życia, trafiają normalnie do prawdziwej wiary. Taki Stolberg, Newman, Wiseman, Ratisbonne, Schlegel (Frydr.), Möhler, Lacordaire ze swą plejadą, Claude Bernard... i setki innych, znajdują Chrystusa w Kościele katolickim. — Tu, jakaś przepona fatalna, którą nam łatwo odgadnąć, a którą Tolstoj, jak zobaczymy, plastycznie opisał, oddziela takie dusze od Chrystyanizmu. Prawda i szlachetność połączone z wyższą inteligencyą i głębszem poglądem na życie, doznają tu pędu, nie ku wierze, ale — od wiary.

Naturalnie, że pęd taki, istocie rzeczy przeciwny, bezwarunkowym być nie może. I tu duchy wyjątkowe, które oprócz głodu i pragnienia prawdy posiadają dosyć pokory, aby jej szukać uporczywie w źródłach Bożego objawienia, pod kierunkiem tradycyi, przedzierają w końcu tę przeponę i dostają się do prawdy.

Tolstoj nie miał szczęścia należeć do tych wyjątkowych, lecz porwany został przy wejściu w życie powszechnym prądem negacyi. Ale negacya jest żywiołem tak przeciwnym szlachetnym duchom, że nie mogą w niej oddychać. Pozbawieni religii, szukają surogatów.

„Już nie wierzyłem, pisze Tolstoj, w to wszystko czego mnie nauczono dzieckiem, ale wierzyłem w coś. W co? tego nie mogłem wówczas jasno określić... dziś zdaję sobie sprawę, że moją religią

była wiara w postęp“. — Postęp moralny: młodzieniec pragnął być lepszym; postęp umysłowy: rwał się z zapalem do wszelkich nauk; postęp fizyczny: ćwiczył niezmordowanie siły swe i zręczność. Ale powoli postęp moralny schodził na drugi plan, ustępując fizycznemu; chęć żeby być lepszym, zmieniała się nieznacznie w chęć wydawania się lepszym i górowania siłą nad innymi. Wpływ otoczenia dobijał tę nieokreśloną aspirację moralnego ulepszenia. Widział dokoła młodzian, że złe w świecie popłaca. „Ambicya, chciwość, rozpusta, pycha, gniew, zemsta, to wszystko, mówi, było cennie. Oddając się tym występkom czułem, że staję się mężem i wzbudzam dla siebie poszanowanie“.

Na tem staczaniu się w dół upływa pierwsza młodość Tolstoja. Krótki pobyt we wojsku na Kaukazie i w kampanii Krymskiej budzi w nim zmysł podglądania natury i ludzi, i pecha go odrazu do pisanja. „Pisałem jakem żył, powiada. Dla pozyskania chwały i pieniędzy, dla których pisałem, trzeba było ukrywać dobre, a okazywać złe. Tak też czynilem. Ileż to razy — (zauważmy te słowa) — sadziłem się na to w moich pismach, żeby pod pozorami obojętności i lekkiej ironii, utaić nawet te aspiracje ku dobremu, które były przecież celem mego życia“.

W rzeczy samej chwała i pieniądze nie dały na siebie czekać. Wracając z wojny, 26-letni pisarz wpadł odrazu w literacki świat Petersburski — i wnet jako druh przyjęty i otoczony został. Ciekawą za to daje charakterystykę sposobu myślenia tej plejady literatów. „Ich teoria życia, mówi, zależała na tem, że życie powszechne idzie naprzód postępowo, a że w tym postępie główny udział przypada nam, ludziom myśli, artystom i poetom (tj. powieściopisarzom). Naszą rzeczą jest nauczać ludzi“.

„Nie wiedziałem wprawdzie czego mam nauczać; ale właśnie żeby zapobiedz temu pytaniu teoria dodawała, że artysta naucza bezwiednie. Ja sam uchodziłem za wielkiego artystę i poetę; pisałem, uczyłem, sam nie wiedziałem co; ale mię za to płacono; opływałem w zbytki i uciechy; — jakżeż nie miałem wierzyć w tę teorię? Ta wiara w postęp powszechnego życia i wpływ dodatni literatury, była rodzajem religii. I ja byłem sobie jednym z kapłanów tej religii: co było bardzo milem i bardzo korzystnem“.

Taka była druga faza duchowego pochodu Tolstoja. Młodzieńcza wiara w postęp osobisty, która jeszcze jakim takim była bodźcem do moralnego wysiłku, do stawania się lepszym, — jakimś „cieniem religii“, według słowa Renana — zastąpiona została teraz wiarą w postęp powszechny, który nic od człowieka nie wymaga i bezwiednie się odbywa: „co wymawiało, wyznaje Tolstoj, całą rozwiązłość mego życia i zatarło we mnie do reszty dawne me chęci i wysiłki ku lepszemu“.

Wszelako po dwóch, trzech latach takiego życia, i ta ostatnia wiara — *l'ombre d'une ombre* — chwiać się poczęła. Najprzód zastanowiły młodego pisarza sprzeczności między tymi nauczycielami ludzkości: jeden twierdził, że czarne, co drugi podawał za białe; klócili się wszyscy, a wszyscy razem nauczali, pisali gorączkowo, by tylko jak najwięcej drukować. To zwróciło jego uwagę, że żaden z nich nie wie do czego w końcu zmierza, żaden nie umiałby odpowiedzieć na pytanie: co złe, a co dobre. „Pragnieniem naszym najistotniejszym, mówi, było w gruncie to jedno, żeby zyskać najwięcej pieniędzy i najwięcej pochwał. Dla tegośmy na wyścigi pisali; ale żeby móżdż się oddawać tak bezcelowej robocie, musieliśmy w siebie wmawiać że ta robota jest wielkiej doniosłości“.

I ta więc religia literacka okazała się niemożliwą, pełną sprzeczności, nieświadomą celu; a wreszcie pogarda dla charakteru jej kapłanów, dobiła ją w duszy Tolstoja. „Jak zacząłem im się bliżej przypatrywać, przekonałem się, że byli przeważnie ludźmi złymi, bez moralności, bez treści, z charakterem daleko podlejším niż ci, których spotykałem w mem życiu wojskowem i w życiu rozpustnem. A byli to ludzie tak kontenci ze siebie, jak tylko mogą być święci, albo ci, co nic zgło o świętości nie wiedzą. Obrzydziłem sobie tych ludzi i siebie samego — i zrozumiałem, że ta wiara była oszukaństwem“.

Z tą straszną próżnią w duszy, po utracie tej trzeciej niby wiary, Tolstoj porzuca Petersburg i tamtejszy świat literacki, i puszcza się, około r. 1862, w podróż na Zachód, nie wiedząc wyraźnie za czem goni, ale goniąc instynktowo za rozwiązaniem wielkich zagadnień, które pod rumowiskiem sprzeczności, tlały w jego duszy. W podróżach, jakie się dziś odbywa, rzadko kto ma szczęście spotkać w obcych krajach — z rzeczy i ludzi — to co widzenia i po-

znania najgodniejsze. Nie tylko po drodze, ale i w stolicach, do których się trafia, jeździ się poniewolnie po szynach utorowanych dla bawiącego się świata, i z tego co się przy tych szynach widzi, sądzi się o krajach i społeczeństwach. Tolstoj w swych podróżach nie znalazł prawdy, której szukał, ani człowieka, któryby mu drogę do niej wskazał. Wrócił zgryziony do Rosyi, zajął się dziedzicznym swym majątkiem Jasnaja Poljana w gubernii Tulskiej, zbliżył się do ludu, organizował wiejskie szkoły, równocześnie zakładał i nie-mał sam redagował polityczną gazetę, — to wszystko, jak sam powiada, dla przytłumienia budzących się w duszy, a niepokojących zagadnień. Ale i wśród nawału tych prac, ścigały te same myśli. Przy pisaniu gazety narzucało mu się pytanie: czy ty wiesz sam czego chcesz czytelników uczyć? W szkółce wiejskiej niepokoiła go myśl: skąd wiesz, czy oświata, którą dajesz ludowi, szczęśliwszym go uczyni, niż naiwna prostota, którą mu odbierasz?...

Ożenienie się szczęśliwe dało przez parę lat inny kierunek jego myślom. Wówczas szczęście rodzinne, którego zakosztował, przedstawiło mu się jako cel życia, i dzieła, które w tym okresie wyszły z pod jego pióra — jak sam w Spowiedzi mówi — nacechowane są tym ideałem. Przypuszczam, że to mówi głównie o swej 3-tomowej powieści „Anna Karenina“, którą wydał w kilka lat po swoim ożenieniu, r. 1877, a w której skreślił śliczny obraz domowego szczęścia, w przeciwstawieniu do tragedyi wiarołomstwa. Ale obok tych stosunków rodzinnych, zarysowuje się w tej powieści wybitna postać Lewina, żyjąca na wewnątrz, której bolesne pasowanie się z zagadką życia, głębokie dochodzenie absolutu i rozpaczliwe wątpliwości, przedstawione są z uderzającą plastyką i grozą. Już z tych kart można było odgadnąć, że człowiek, który to pisał, musiał sam tę walkę przechodzić.

Ale dotychczasowe wewnętrzne przejścia Tolstoja były niczem w porównaniu z tą prawdziwie śmiertelną walką, z tym tytanicznym dramatem, który miał się odegrać w jego duszy, dopiero od r. 1877, a którego „Spowiedź“ kreśli Szekspirowski a raczej Dantejski obraz.

Kwestye: — na co? co potem? — które przedtem sporadycznie się pojawiały, i które zbywał Tolstoj jako dziecinne, teraz

stały przed nim w swej ogromnej postaci, jak sfinksy nieodgadnięte, żądające odpowiedzi bezzwłocznie. „Przed trudnieniem się majątkiem moim, przed wychowaniem syna, przed pisaniem książki, trzeba mi było wiedzieć na co, dla czego to mam czynić? Gdym obliczał sposoby podniesienia dobrobytu ludu, zabiegało mi pytanie: a co mnie do tego? Gdym myślał o powodzeniu mych książek, mówiłem sobie: dobrze, zostaniesz największym pisarzem na świecie, — a potem?... Te pytania nie czekają; trzeba im odpowiedzieć natychmiast; jak się im nie odpowie, żyć nie można. A odpowiedzi nie było... I życie moje stało się...

„Tak długo żyłem, pracowałem, szedłem naprzód; a doszedłszy do szczytu życia, znalazłem się w obec przepaści — nie mogąc ani się cofnąć, ani zatrzymać kroku, ani zamknąć oczu“...

Przepaść ta, to było przeświadczenie, do którego Tolstoj przyszedł, że życie jest nonsensem, ironią, że każda chęć bez celu, każdy czyn bez racji — że więc żyć niepodobna.

I ten człowiek znajdujący się w samej pełni życia, przed 50-tym rokiem, i w pełni tego co świat nazywa szczęściem, czerstwy fizycznie, tak że kosił z chłopami, czerstwy umysłowo, tak że przez ośm godzin w ciągu bez znużenia umysłowo pracował, otoczony rodziną kochaną i kochającą, bogaty, czczony u swoich jak wielki człowiek, i sławny po całym świecie... ten człowiek myślał o samobójstwie, rwał się do samobójstwa, jako do jedynego racjonalnego sposobu wyjścia z tej ironii życia! I tylko dlatego zwlekał, że chciał się jeszcze lepiej w sobie rozpatrzeć; — w głębi zostawała mu iskierka nadziei, że może przecież znajdzie jakiś sens życia, jakiś powód do życia.

Rozpaczliwą sytuację swoją żywo maluje Tolstoj przypomnieniem starej baśni wschodniej, o podróżnym, który uciekając przed dzikim zwierzem, wskakuje do suchej cysterny, ale na dnie cysterny widzi ogromnego węża, co już paszczę na niego otwiera; uczepia się więc w pół drogi krzaków. W górę nie śmie się wydrapać, bo pewna śmierć od zwierza, w dół nie może się spuścić, bo śmierć od węża... A tym czasem widzi dwie myszy, co poczynają obgryzać gałązkę, na której wisi. W tym okropnym położeniu nieszczęśliwy rozgląda się do koła, i spostrzegłszy parę kropeł leśnego miodu na bliskich listkach — liże ten miód z rozkoszą. „W tym właśnie położeniu się widziałem, mówi Tolstoj; wiedziałem,

że podemną przepaść śmierci, w którą lada chwilę wpaść muszę, że nademną ratunku nie ma. Jakżeż mogłem być tak bezmyślnym, iżby lizać miód zwodniczych uciech życia?”

Nawet te dwie najdroższe krople miodu: familia i sztuka, poczęły mu obmierzać. Żona i dzieci, mówił sobie, są także ludźmi: albo żyć muszą fałszem, iluzją — albo okropna roztworzy im się prawda; cóż po ich szczęściu? A kiedy samo życie nie ma już wartości, to i sztuka, „to zwierciadelko życia“, bawić przestaje. „Groza tych ciemności była za ciężką, powiada Tolstoj, prędzej, „prędzej chciałem się z niej uwolnić, — stryczkiem czy kulą“.

A jednak, mówił sobie, nie podobna, by taka rozpacz była właściwym stanem człowieka. Musi być jakieś rozwiązanie zagadki, o którym ja nie wiem. W tej myśli rzucił się z energią głodnego do poważnych nauk. Bystrość umysłu i osobiste stosunki z najuczciwszymi ludźmi torowały mu drogę; przebiegał się przez nauki przyrodnicze, społeczne, filozoficzne; nie cofnął się przed najoderwańszą metafizyką; wszędzie pytał o rozwiązanie zagadki życia. Ale darmo. — Nauki podzieliły mu się w tym badaniu na dwie klasy. Umiejętności ścisłe i przyrodnicze wydały mu się jasne i pewne, ale tylko gdy mówią o rzeczach dalekich od zagadnienia życia, które go obchodziło; w miarę jak się zbliżają do tej sfery, przechodzą w hipotezy mgliste i między sobą niezgodne. Jasność ich i pewność, mówi, jest w stosunku odwrotnym do ich żywotności. Nauki znów metafizyczne i moralne, podejmują wprawdzie wprost jego kwestyę, ale są chwiejne, jego zdaniem, w podstawach, ubogie w rezultatach, przedstawiciele ich jedni drugim zaprzeczają. A w końcu, najgłębsi i najszczerzy filozofowie dochodzą do tego samego negatywnego i rozpaczliwego rezultatu, z którym on zaczął: że życie jest próżnością, fałszem i złem. Zdanie to podejmuje Tolstoj z ust Ekklezyasty, Budy, Sokratesa umierającego, Schoppenhauera, i kończy swe badania z tą samą próżnią a jeszcze większą rozpaczą w sercu. Nauki go zawiodły; jedne nie odpowiedziały na krzyk głodowy jego duszy, drugie zbyły go ogólnikami; a w końcu najwięksi mędrcy ludzkości potwierdzili jego rozpacz¹. Więc znów widmo samobójstwa!

¹ Filozofia byłaby mogła szczęśliwiej myśl Tolstoją oświecić. Jeśli nie Sakya Muni i Schoppenhauer, to przynajmniej Ekklezyastes i Sokrates byłiby

Czytając te stronnice krwią duszy pisane, zastanawiałem się nad tem: czy ten nieszczęśliwy Prometeusz nie zreflektuje się jeszcze nad własnymi refleksyami? Ta prawda, której on szuka na krańcach świata, ona tkwi w własnej jego duszy, ona się przejawia w tych samych rozpaczliwych wysiłkach, które czyni. Zwróć się, myślicielu, ku własnej duszy! Chcesz mieć odpowiedź na zagadkę życia, pytaj się: czemu cię ta zagadka tak dręczy? Skąd, jakim prawem, ty znikomy zlepek, domagasz się czegoś więcej, niż znikomego życia? Dlaczego to życie, kończące się nicością, choćby było miodem oblane, wydaje ci się gorzkim, nieznośnem dla myślącej istoty? Jeżeliś ty jest „barfką na powierzchni kosmicznego potoku materii na chwilę powstałą“, to masz co ci się należy. Żyj, a nie pytaj na co, i co dalej; bo te kwestye wcale nie egzystują. Liż ten miód na pobliskich listkach, tem łapczywiej, że wkrótce gałązka, na której wisisz, przerwie się fatalnie i pogrążysz się w nicości. *Comedamus et bibamus, cras enim moriemur!*¹ — A jeżeli to rozwiązanie kwestyi życia epikurejskie cię oburza, jeżeli, ile razy ci na myśl i pod pióro przychodzi, nazywasz je bezmyślnem, podłem — jeżeli ty i wszystkie głębsze duchy, które wpatrzyły się w zagadkę życia, nie możecie się zgodzić z ideą końca, — i albo buntujecie się jak tytany — albo, czując daremność buntu, patrzycie przed siebie ze smutkiem jak ocean majestatycznym, niezmiernym i bezdennym — nie jestże to oczywiście, że odzywa się w was coś, co ma prawo do życia bez końca? coś, dla czego perspektywa nicości jest gwałtem, krzywdą, zaprzeczeniem jego natury? A jeśli jest w was duch nieśmiertelny, to w istocie życie ziemskie jest samo w sobie nonsensem, sprzecznością, ironią, jak chcesz — ale jako początek i oryentacya nieśmiertelności, nabiera sensu i powagi. Odlam fidyaszowej rzeźby wyda ci się bezcelowym i nieracjonalnym — póki

mu dali do zrozumienia, że gdy mówią o „próżności wszystkiego pod słońcem“, o „mędrцу szukającym śmierci przez całe życie“, to nie do nirwany chcą prowadzić, ale do szukania czegoś po za tem życiem; cała plejada geniuszów ze szkoły Sokratesowskiej, która tę ideę nieśmiertelności przejęła i tak wysoko postawiła, byłaby mu przyświecała w tej drodze. Ale umysł Tolstoja, jak później zobaczymy, zanadto był uprzedzony przeciwko wszelkiemu metafizycznemu dogmatowi.

¹ Iz. XXII., 13.

się nie domyślisz, że jest odłamem; wtedy dopiero z części odgadniesz arcydzieło i — poszukasz reszty.

Jedno z dwojga: albo kwestya życia, jaką Tolstoj stawia, wcale nie egzystuje, i nie ma co o nią pytać; albo istnieje, i tem samem że istnieje, rozstrzyga się w sensie przyszłego życia. Jedno z dwojga, mówię: albo epikureizm, albo chrześcijaństwo. Powierzchnowne duchy mogą pierwsze obrać; Tolstoj zanadto głęboko wgłądnął w życie, zanadto blisko zajrzał w oczy tej kwestyi, żeby mógł zaprzeczyć jej istnieniu. Czemuż więc nie trafił do rozwiązania chrześcijańskiego? Aż boli pomyśleć, że ten potężny i szlachetny duch do dziś dnia nie wie o swej nieśmiertelności.

To rwanie się ku prawdzie nie zostało jednakże zupełnie płonnem; nie znalazłszy jej w sferze nauki i spekulacji, myśliciel zwrócił się z swoim wiecznem pytaniem ku życiu, ku ludzkości — i tu wreszcie natrafił na ślad prawdy. Piewsza odsłona tego dramatu życiowego rozgrywała się, gdy młodzieniec gubił religię, a po niej wszystkie jej surrogaty, wszystkie ideały, jedno po drugim. Druga odsłona, którejśmy się dopiero przypatrzyli, zawierała odczucie tej strasznej próżni i dobijanie się prawdy o życiu, przez tytaniczne walki i piekielne rozpacz. Teraz zaczyna się trzeci i ostatni akt: radość ze znalezienia Boga, ale wnet potem smutek i gorycz, że się nie udało go osiągnąć — i zagadkowe rozwiązanie tragedyi.

Tolstoj zwracając się, jak powiedziałem, do życia ludzkości, spostrzegł to, co przecież leżało na dłoni, ale co mu się w tej chwili jak nowe odkrycie zjawiało: że on dotychczas rozumował o życiu swoim, a wnioskował o życiu w ogóle. „Co było najprawdziwszem, mówi, o życiu mojem: że było bez celu i sensu, tom ja przenosił do życia w ogóle; wnosilem, że życie jest bez celu i sensu. Brałem życie swoje, życie Salomonów i Schoppenhauerów, za właściwe życie, a za rzecz podrzędną miałem to życie milionów istot, które właściwie stanowią ludzkość, a które cicho żyją i pracują pożytecznie“.

Zaczął tedy Tolstoj z chciwą ciekawością podglądać te masy ludowe. Toć one mają widocznie klucz zagadki życia, zauważył, skoro żyją, a nie myślą sobie życia odbierać, i nie rozwiązują kwestyi po epikurejsku, bo cierpią i obywają się. Muszą więc wiedzieć,

dla czego żyją. Dalej, szukając podstaw tego życia u ludu, zauważył, że ono się opiera na wierze religijnej. Wiara tłumaczy im stosunek życia do wieczności, ona daje im rację dobrych uczynków i znoszenia cierpień doczesnych. Wiara ta niestety przedstawiła mu się jako zbiór niedorzeczności, przed którymi wzdrygał się jego rozum i nauka: Bóg jeden a troisty, stworzenie w 6 dniach, adoracya ikonów i relikwii — (oczywiście dogmaty źle pojęte, i pomieszane razem z zabobonami ludu). Z drugiej strony jednak widocznem mu było, że w tej właśnie wierze tkwić musi ten klucz zagadki życia, za którym on się od tak dawna ubiegał. Wiara wstawia w umysłowość ludzką ten stosunek skończoności do nieskończoności, którego na drodze rozumowej napróżno szukał; wiarą ostatecznie lud, tj. ludzkość, żyje.

W tej myśli zbliżył się Tolstoj do ludu i począł zbliżać podglądać jego życie. „Widziałem wówczas, mówi, że ci, co zrozumieli sens życia i umieli żyć i umierać, nie byli wyjątkami, ale tysiącami, milionami... Pracowali oni spokojnie, znosili niedostatki i cierpienia, żyli i umierali, widząc w tem wszystkim dobro, a nie widząc próżności. I ukochałem tych ludzi“.

„Życie ludzi mojej sfery, pisze znów dalej, uczonych, bogatych, nie tylko mi obmierzło, ale straciło w moich oczach wszelką wartość; życie zaś całego ludu, który pracuje, życie całej ludzkości, która przyczynia się do powszechnej egzystencji, stało się przedemną w całej prawdzie. Zrozumiałem, że tam jest prawdziwe życie, że tłumaczenie, które tam dają życiu (wedle nauki wiary) jest prawdą. I tę prawdę przyjąłem“.

Taki był pierwszy stanowczy krok, pierwszy powód, który zbliżył Tolstoja do prawdy. Drugi powód wynikł z szeregu wewnętrznych doświadczeń: mianowicie, jak tylko zaczynał wierzyć w Boga, chęć i możność życia odradzała się w jego duszy, a jak tylko poczynił nad tą wiarą sofistykować, zaraz mu ta wiara nikła, a zarazem siła do życia opadała, i życie stawało się znów niemożliwem. „Podczas gdy się te walki toczyły w moim umyśle, mówi, w sercu doznawałem bolesnego uczucia, którego nie mogę inaczej nazwać jak szukaniem Boga. Było to jakby uczucie bojaźni, jakiego doznaje sierota, osamotniony pośród rzeczy obcych; ale łagodziła je nadzieja znalezienia czyjejs pomocy“. Chcąc uchwycić rozumem tego Kogoś,

przechodził w myśli wywody Kanta i Schoppenhauera przeciwko argumentom istnienia Boga, próbował je zwalczyć, ale Bóg mu zniknął i „z rozpaczą w sercu, że Boga nie ma, wołał: Panie przebacź mi i zbaw mię!“ I znów instynktem ludzkiej duszy czuł, że Bóg widzi jego walkę i rozpacz: „On jest, mówiłem sobie, a zaledwie to na chwilę uznawał, natychmiast życie wznagało się we mnie, czułem możność życia i radość istnienia. Ale znów z uznania bytu Boga przechodziłem do zagadki jego stosunku do mnie... i ten Bóg poza światem rozpyływał się jak lód, nikło wszystko, i znowu zapadałem w rozpacz, i czułem, że już nie nie mogę, jak tylko sobie życie odebrać“.

I te alternatywy, radości i rozpacz, ponawiały się ciągle; aż w końcu postawił sobie pytanie: „Cóż to są za przeciwne uczucia? Oczywiście, ja nie żyję, gdy tracę wiarę w istnienie Boga; byłbym się więc zabił oddawna, gdybym nie miał choć mglistej nadziei, że go znajdę. Wtedy więc tylko na prawdę żyję, gdy szukam Boga, gdy go czuję. A więc, żyj! powiedziałem sobie, i szukaj Boga!... Od tej chwili jestem uratowany od samobójstwa“.

W ten sposób wróciła Tolstojowi, wraz z wiarą, i siła do życia. Zauważył nawet subtelnie, że to była ta sama wiara, którą żył dzieckiem, i ta sama siła młodzieńcza, która go parła niegdyś do stawiania się lepszym. Ale ta wiara teraz wracała w pełnej świadomości i wymagała rozumienia, jakiegoś pogodzenia z rozumem. Udał się po nie Tolstoj najpierw do zwierzchników Cerkwi. Ale tu najzupełniej został zawiedziony; znalazł ludzi, którzy nie brali religii na seryo, a bronili jej jedynie w interesie kasty lub narodu. Wrócił więc do ludu wierzącego, po sens wiary. A że nie szedł po amatorsku, ale na seryo, po najważniejsze zagadnienie życia, więc począł z ludem praktykować religię: wstawał o świcie, żeby chodzić na mszę, surowe posty cerkiewne zachowywał, pokłony bił przed ikonami, spowiadał się pokornie przed popem; widząc, że lud nie odłącza tych praktyk od istoty religii, miał nadzieję, że jednocząc się we wszystkim z tym ludem, dojdzie do jego rozumienia istoty religii.

Ale tu szkopał, o który się i heroiczne wysiłki rozbić muszą. Łączenie się duchowe z ludem, z przeszłością, z tradycją, napelnia go pociechą, modlitwy cerkiewne go zachwycają; ale w tych mo-

dlitwach jest mowa o tajemnicach, w które on wierzyć nie potrafi; pobożność ludu odnosi się do dogmatów, które w jego oczach są nonsensem. Próbuje on przez jakiś czas abstrahować od tego w co nie wierzy, wysila się, aby o tem nie myśleć, zazdrości prostakom, których dusza tak harmonijnie przyjmuje całość nauki cerkiewnej. Ale daremne próby, wysiłki i podrywy; prawowierność nie daje się w żaden sposób odłączyć od tajemnic wiary, wszystko w Kościele na dogmacie stoi. Tolstoj, po trzyletniem pasowaniu się, przekonywa się o tem z rozpaczą — i z bolem serca zrywa ostatecznie z tą Cerkwią, którą kochał, do której koniecznie chciał należyć, i ludził się, że należy.

Jak sobie ten tragiczny zawód wytłumaczyć? czemu przypisać bezskuteczność tak potężnych a dantejskimi mękami okupionych wysiłków tego ducha niezwyklej miary? Czemu ta dusza, szukająca Boga tak szczerze, rozbiła się wpół drogi — i nawet obecnie rzuciła się w bok na fałszywą drogę? Jest to zagadnienie, należące do tej tajemniczej sfery stosunków duszy z Bogiem, dokąd oko ludzkie nie sięga. Dwie rzeczy jednak znajduję w „Spowiedzi” i w następnych dziełach Tolstoj, które nieco światła na to smutne rzucają zjawisko.

Najprzód, jak już wspomniałem, Tolstoj ma to nieszczęście, że widzi chrystyanizm przez pryzm swego otoczenia. Za granicą podróżował krótko i z pośpiechem, więc powierzchownie. O Kościele katolickim wspomina tu i owdzie, ale z życzliwą obojętnością: stawiając go w jednym rzędzie z protestantyzmem i prawosławiem — najlepszy dowód, że go bliżej nie poznał, bo by go kochał albo nienawidził. Ile razy zaś naprawdę chciał wniknąć w istotę chrystyanizmu, w chwili np. gdy się zbliżał do Boga i rozumiał, że klucz zagadki życia leży w religii, Tolstoj zwracał się zawsze w jedną stronę. O tłumaczenie dogmatu chrześcijańskiego udawał się, jak sam powiada, „do duchownych greckich Nowego świata“, życiu chrześcijańskiemu przypatrywał się wyłącznie u ludu miejscowego. Lud zaś ten, choć budował go wiarą, zrażał go jednak zabobonnością i materyalizmem religii; ...a duchowieństwo to odstręczało go zawsze nieszczerością przekonań. „Żyło, mówi, jak gdyby wiary nie było — równie źle, albo jeszcze gorzej jak ludzie bez wiary“. I ani się spostrzega Tolstoj jak rozszerza ten sąd na wszel-

kie duchowieństwa chrześcijańskie, i wszelki lud wierzący. Nie-szczęśliwy, szukał owocu życia na uschlej gałęzi.

Drugą, jeszcze głębszą jego nieszczęścia przyczynę, upatruję w tem, że choć szczerze i gorąco szukał Boga, jednak nie był gotów takiego przyjąć Boga, jaki się objawić raczył, ale takiego, jakiego chciał. A to usposobienie nie daje przystępu górnemu światłu. Umysł jego, ukształtowany na filozofii niemieckiej, zatarasowany naukowemi teoryami materyalistów, które z pośpiechem pochłoniął i zapewne nie przetrawił, z góry był uprzedzony i poniekąd zamknięty przeciwko wszelkiemu dogmatowi. Tolstoj chciał znać Boga jako miłość, nie chciał go znać jako prawdę najwyższą. Dla tego też, jak sam wyznaje, w najwyższym stopniu go oburzało i ostatecznie od ortodoksji oderwało to, że kościoły chrześcijańskie się nawzajem, jako heretyckie, wyklinają. Gdyby Bóg chciał tylko miłości od nas, byłoby to istotnie nie do wytłumaczenia, ale kiedy chce najpierw hołdu rozumowi, wiary w całą prawdę, którą objawił, to łatwo zrozumieć, że obowiązkiem być musi piastuna i stróża tej Bożej prawdy, prawego Kościoła, mówić każdemu co inaczej trzyma: nie jesteś w prawdzie. Ten nastrój umysłu Tolstoj: do przyjęcia miłości a odrzucenia dogmatu, który już od początku jego duchowego procesu kielkuje, w ostatniej fazie tj. w nowej od niego utworzonej religii występuje najwyraźniej.

Tolstoj wyszedł z tyloletnich zapasów i mąk duchowych z tem podwójnem przekonaniem: że jest Bóg i prawda o życiu, że ta prawda znajduje się w religii ludu, ale że w tej religii, oprócz prawdy, znajduje się fałsz: — właśnie to podwójne przekonanie, które stanowi każdego herezyarchę, każdego założyciela sekty.

To też Tolstoj, zamknawszy na tem rozdrożu swą książkę wyznań, jał się natychmiast tej nieszczęsnej, tyle razy już ponawianej roboty odróżniania w Chrystyanizmie prawdy od fałszu, i wydał już kilka książek o rezultatach swych badań: „Moja religia“, „Komentarz do Ewangelii“, „Co teraz robić?“ — Nie są to czeze polemiki, jak u pospolitych sekciarzy, ale konstrukcyja o szlachetnych rozmiarach, nosząca znamię podniosłej duszy autora. Ewangelia służy za jedyną podstawę; dogmat, którego autor w ogóle nie znajduje w Ewangelii, nie ma tam żadnego miejsca; ale za to wszystko stoi na prawie miłości, tak radykalnie pojętem, że zarówno

w publicznych jak w prywatnych stosunkach, złe tylko dobrem zwalczać należy, nigdy złem czyli gwałtem. Zatem zakazane są wszelkie środki przymusu, wojska, kary i sądy, nawet hierarchia państwowa i kościelna. W konkluzji społecznej, niby nihilizm, religia socyalizmu; w zasadzie jednak jest ta radykalna od nihilizmu różnica, że zamiast nawoływać do gwałtu i burzenia, religia ta każe wszelki gwałt i krzywdę bez oporu znosić i tylko pouczeniem tej Ewangelii oświecać ludzkość. Skoro to przekonanie będzie powszechnem, organizacya złego sama się rozpadnie, i tem samem ludzkość będzie zbawiona, szczęśliwa, rozumi się na tem świecie. Idealny gmach, ale w powietrzu zbudowany; z kawałków Ewangelii myśl Tolstoja złożona; sekta do wielu innych dodana, i nie więcej.

Szkoda na to twego geniuszu, Mistrzu! szkoda krwawych łez duszy, któreś wypłakał w bolesnem szukaniu Boga! Nie widzisz, że to robota Danaid, którą podejmujesz, chcąc naprawić chrystyanizm — już tysiąc razy podejmowana i tysiąc razy zmarniała, wśród podobnych bólów i jęków? — Prawda Boża tymczasem idzie po przez wieki, tam gdzie nie widzisz, zawsze jednaka i wiecznie młoda, — a groby sekt, co ją targały, sterczą po szlakach historii, jako pomniki jej nieśmiertelności.

Tolstoj nie skończył swego zawodu; odwrót ku prawdzie jest mu jeszcze otwartym, i gwiazda nadziei nie gaśnie przed życiem. Powiedzieć jednak trzeba, że oprócz dwóch wprzód wspomnianych przeszkód, zagraadza mu obecnie tę drogę najtrudniejsza do przebycia zaporą, jaka być może: tj. rola założyciela sekty.

Ks. M. Morawski.

OO. REDEMPTORYŚCI W POLSCE.

(Ciąg dalszy.)

Zniesienie Towarzystwa Jezusowego na schyłku przeszłego wieku, spadło jak grom na Polskę, w której ster wychowania młodzieży dzierżyli przeważnie Jezuici, i stworzyło lukę, której na razie trudno, a nawet niepodobno było zapłacić. Wprawdzie komisya edukacyjna wzięła się energicznie do dzieła i „postawiła w Polsce „system szkolny jeden z pierwszych w ówczesnej Europie, podług „zdania samych Prusaków, którzy po zaborze dziwili się jego do- „skonałości“¹. „W rezultacie jednak, jak powiada F. M. Sobieszczań- „ski, urządzenia komisyi edukacyjnej od r. 1775—1793 były bar- „dziej zapowiadające niż skutkujące, gdy nadto i wypadki polity- „czne, które pociągnęły za sobą upadek kraju, przerwały dalsze „czynności tej magistratury, komisya więc zdołała urządzić w War- „szawie jeden tylko wydział, składający się ze szkoły wydziałowej „na Starem Mieście, będącej rodzajem gimnazjum akademickiego, „mieszczonego się w gmachach pojezuickich“².

W Warszawie, stolicy rozległego państwa, liczącej przeszło sto tysięcy ludności z przedmieściami, istniało zaledwie sześć szkół. Jakkolwiek nieraz głosy podnosiły się przeciw temu, choć nie brakłoby zapisów i funduszków na ich uposażenie, ale stany rządzące nie chciały długo zezwolić, aby w stolicy, jako miejscu elekcyjnem,

¹ J. Szujski. Dzieje Polski. Tom IV. str. 542.

² Encyklopedia powszechna. Tom XXVI. str. 496.

i przeznaczonem na zjazdy publiczne, dokąd przybywała szlachta z całego kraju z licznemi dworami, przebywała także ucząca się młodzież. Z doświadczenia wiedziano, jakie burdy wywiązywały się nieraz pomiędzy studentami a dworzanami możnych, a może też nie chciano gorszyć młodzieży widokiem licznych nadużyć, jakich nie brakowało przy każdym podobnym zjeździe. Ale mimo tego celu praktycznego, wielu z młodzieży nie było w stanie z różnych powodów udać się dokądindziej, i liczba ta mała szkół była zawsze za szczupłą i niedostateczną. Dwie, z których pijarska uważana za najlepszą i wydziałowa były rodzajem gimnazyów, dwie drugie u XX. Misyonarzy przy kościele Świętokrzyskim, druga przy szpitalu Dzieciątka Jezus, odpowiadały naszym elementarnym szkołom. Dwie zaś ostatnie, jedna ewangelicka na 18 dzieci, druga dla dzieci reformowanego wyznania, dla ogółu były bez znaczenia. Ale za to pensyonatów prywatnych męskich i żeńskich było bez liku, a liczba ich ciągle wzrastała, tak, że w r. 1800 liczono ich przeszło sto. Wszystkie te niemal zakłady prywatne zostawały w rękach Francuzów, w których „nie zajmowano się istotnie potrzebami naukami, lecz kształcono do zabaw i towarzyskiego życia. Utrzymywano tedy powszechnie, iż na pensjach panny powinny się wcześniej do obejścia światowego przygotować, ochmi-strzynie tedy po wszystkich pensjach wyprawiały baliki pensyonarskie, bądź to podczas karnawału, lub też z powodu uroczystego jakiego obchodu, np. imienin madamy i t. p. Rozumie się, iż pensye męskie idąc za tym przykładem, podobnie wyprawiały baliki i uczyły chłopców tańczyć i bawić się. Ci albowiem, co utrzymywali pensye lub szkoły wyższe, po większej części nie szukali w tem innej nad swoją własną korzyść, mało troszcząc się o przyszłość swoich wychowanców, ich moralność, usposobienie; przestawano na uczeniu ich ladajako kilku języków a zresztą zamykano oczy na ich prowadzenie się, lub pobłażano wadom i szkodziwym skłonnościom. Ogólnie prawie otwierano wtedy pensye i szkoły prywatne tak, jak sklepy handlowe, do których udało się przedsiębiorcy szczęśliwie zwabić znaczniejszą liczbę wychowanców, to najmował im dom obszerniejszy, w przeciwnym razie zamykał go i do innego rodzaju przemysłu udawał się. Trafiło się

„wtedy, iż jeden Francuz, gdy spekulacya na pensyi mu się nie „udała, założył sobie sklep winny“¹...

Smutno przedstawiała się przyszłość tak wychowywanego pokolenia. To też O. Hoffbauer, który przywiązał się całym sercem do Polski i każdą nędzę kraju żywo odczuwał, postanowił i w tej mierze pospieszyć mu z pomocą. Ponieważ instytut Zgromadzenia wykluczał zupełnie z programu swego wychowywanie i kształcenie młodzieży, udał się po dyspensę do Stolicy św., przedstawiając ruinę religijną i moralną, jaka zawisła nad krajem. Otrzymawszy zezwolenie Piusa VI., otworzył O. Hoffbauer trzecie pięcioklasowe gimnazjum w Warszawie, do którego, jak pisze M. J. Hube, już w 1796 uczęszczało bezpłatnie do 200 młodzieży. Uczono w niem „języka „niemieckiego, polskiego, łacińskiego, religii, historii powszechnej, „geografii i historii naturalnej“². Ster tej szkoły objął O. Podgórski jako prefekt, a profesorami w niej byli członkowie Zgromadzenia.

Prócz tego założył O. Hoffbauer szkołkę elementarną dla dzieci wyrobników, rzemieślników, w ogóle klasy biedniejszej, w której uczyli kandydaci zakonni pod kierownictwem kapłanów, którzy przy tej sposobności mogli wybadać ich charakter i zdolności. Nie nosili oni jeszcze szat zakonnych, ale mieszkając u św. Benona, gdy się godnymi okazali przyjęcia, wstępowali do nowicyatu.

O podobnej pomocy pomyślał on także i dla dziewcząt. Zebrał kilkanaście pań pobożnych, niemających żadnych obowiązków rodzinnych, a pragnących poświęcić się na wyłączną służbę Boga. Z nich to zawiązał rodzaj pobożnej kongregacyi. Panie te żyjąc w ścisłym odosobnieniu od świata, nie wychodziły z domu, tylko do kościoła na nabożeństwa, a zresztą oddawały się kształceniu ubogich i opuszczonych dziewczątek. Była to zarazem ochronka i szkoła publiczna. Sierotki albo zaniedbane przez rodziców dziatki miały tu pomieszkание, wikt i stałą opiekę. Inne znów dochodziły tylko do szkoły, w której udzielano niezbędnych przedmiotów a zaprawiano przedewszystkiem do robót

¹ M. Sobieszczański. Rys historyczno-statystyczny miasta Warszawy. Biblioteka Warszawska. Rok 1848. Zeszyt LXXXIX. str. 337.

² Warszawa w r. 1796. Przewodnik naukowo-literacki. Rok czwarty. Lwów 1876.

kobiecych. Nadto zakładu tego obowiązkiem było utrzymywać bieliznę kościelną w czystości.

A mimo to wszystko nie poprzestał o Hoffbauer, jakieśmy to na początku widzieli, zbierać hołoty ulicznej. Owszem z czasem, dzięki ofiarności wiernych i licznym zabiegom, mógł pomyśleć o rozszerzeniu budynków klasztornych i wygodniejszym pomieszczeniu swoich sierot. W r. 1796, jak pisze M. J. Hube, było tam 40 chłopców na wikie, z których 22 sypiało w klasztorze, w roku 1800 przybyło ich o 20 więcej, jak to widać z listu O. Hoffbauera, a w ostatnich latach liczba ta wzrastała aż do stu, pisze ks. Prusinowski. Po pamiętnej zwłaszcza rzezi na Pradze, zebrał O. Hoffbauer wszystkie pozostałe sierotki, i przytulił je w swoim klasztorze. Wychowaniem tych dzieci zajmował się przeważnie sam O. Hoffbauer przy pomocy braci zakonnych. Jakkolwiek wielu pracami rozerwany, zawsze znalazł dla nich czas, i czuł się wtedy najszczęśliwszym, kiedy mógł bawić w ich gronie. Sam uczył ich prawd wiary, zaprawiał do pracy, zachęcał do pobożności i wszczepiał w młode ich serca czułe nabożeństwo do Najśw. Panny. To też często wiódł ich do kościoła przed ołtarz Boga Rodzicy i tam śpiewał z nimi pieśni ku Jej czci ułożone, albo w braku czasu kazał im przynajmniej po kilkakroć powtarzać za sobą to krótkie, ale serdeczne wezwanie: „Matko moja! módl się za mną Matko moja, „bo gdy Ty się za mną wstawisz nie zginę na wieki“. Troskliwy o ich zbawienie wieczne, dbał zarówno o zabezpieczenie im doczesnej przyszłości. Wybadawszy pilnie każdego usposobienie i zdolności, kiedy podrośli, jednych oddawał do pocziwych i religijnych majstrów, których im sam wyszukiwał, zdolniejszych zaś kształcił w swojej szkole. Zamyślał on nawet założyć przy klasztorze szkołę przemysłową¹, ale chwalebny ten zamiar nie przyszedł do skutku, prawdopodobnie z braku funduszków.

Nadto wszystko istniała jeszcze w klasztorze św. Benona szkoła kleryków zakonnych, w której nauczycielami byli po największej części cudzoziemcy, kapłani ze Zgromadzenia Francuzi i Włosi nieznający dostatecznie ani polskiego, ani niemieckiego języka. Prócz kursów teologicznych, wykładano tu retorykę i filo-

¹ M. J. Hube.

zofie. Jak zaś tam kwitła nauka teologiczna, daje o tem pojęcie list Monsignora Litty, pisany do Jenerała Zakonu: „Biskup tej dyecezyi zapewnił mnie, że uczniowie Ligourianów, których tu Benoni-tami zowią, pokazują przy egzaminie przed święceniami, grunto-wniejsze wykształcenie od wszystkich innych“¹. W kilkadziesiąt lat jeszcze, bo w roku 1876 organ dyecezyalny z Ermeland głosił pochwały studyum u św. Benona, dokąd jak powiada, udawali się najbardziej utalentowani kandydaci teologii. Tam odbył swoje nauki były biskup Ermelandzki Józef Gieritz i zarówno on, jak wielu innych kapłanów, wspominali zawsze z wdzięcznością o pobycie swoim w Warszawie, i o budującym przykładzie, jaki dawali synowie św. Alfonsa².

Najpiękniejszym atoli rysem klasztoru OO. Benonów, było miłosierdzie w duchu czysto ewangelicznym, rozciągające się na wszystkich ubogich i nędzarzy, którzy się tłumnie garnęli do ich furty. Nie wiem, gdzie Kraszewski dopytał, czy doczytał się o skarbach, które za granicę wywozili, i nie tylko podobno, ale najpewniej wiadomość tę zawdzięcza jedynie swej fantazyi i uprzedzeniu do OO. Redemptorystów, bo sumienniejszy a żyjący podówczas M. J. Hube przedstawia ich jako obdłużonych i to znaczną na one czasy sumą 23.000 złp., to też litując się nad nimi bractwo św. Benona odstąpiło im domy przytykające do kościoła, z których codziennie 4 złp. pobierali³. Kłamliwe i oszczercze są zarówno wszelkie oskarżenia ich o wyzyskiwanie jałmużn i natrętne żebractwo. „Wszystko u nas, pisze Hoffbauer do kanclerza Baala, powoli i nieznacznie powstało. Są to skutki dobrotliwej Opatrzności Bożej, która chcącym i wiernie z Nim współdziałającym zawsze z pomocą pospiesza. Tylko w ostatniej potrzebie, pozwala nam instytut odkryć naszą biedę jednemu lub drugiemu z przyjaciół naszych, stano- nowczo zaś zabrania, aby zbieranie składek weszło u nas w zwyczaj, święty bowiem nasz zakonodawca był przekonany o niebez-

¹ Haringer str. 58.

² Bedrängnisse des ehr. C. M. Hoffbauer während der preussischen Regierung in Warschau. Ein Nachtrag zum Leben des ehr. P. Hoffbauer von Michael Haringer. Regensburg 1883.

³ Przewodnik naukowo literacki. Rok 1876.

„pieczeństwie, w jakim się znajdują chodzący po kweście i o nieładzie, jaki z tego powodu do klasztoru się wkrada“¹.

Tem świetniej występuje miłosierdzie OO. Benonów, że sami będąc biedni, obdłużeni, dzielili się chlebem i ostatkiem mienia z uboższymi od nich. Od ich furty nie odszedł nigdy żaden nędzarz nie obdarowany i niepocieszony. Sam O. Hoffbauer wyznał później, że gdyby zebrać to wszystko, co on sam rozdał między ubogich w Warszawie, toby urósł taki wór złota, żeby go i najsilniejszy człowiek nie dźwignął. Nieraz minister domu, któremu była zlecona troska o byt materialny Zgromadzenia, użalał się przed O. Hoffbauerem na niepomiarne szafunek jałmużny przy furcie, i przedstawiał biedę w jakiej zostawali, ale nic to nie pomagało. „Dajcie, a będzie wam dano“, odpowiadał mu z uśmiechem O. Hoffbauer, „wszak Ojciec sam wiesz dobrze, że to rodzone „siostry“. Inną razą znów powtarzał słowa Zbawiciela: *Nie troszczcie się tedy o jutro, albowiem jutrzejszy dzień, sam o się troskać się będzie*²... Niekiedy znów mawiał: „że gdy tylko kapłan spełnia „swą powinność, to może być spokojny o swoje życie, bo gdyby „się tylko jeden bochenek chleba na świecie znajdował, Pan Bóg „przysłałby mu połowę z niego“³. I jałmużny płynęły dalej...

Owszem dobroczynność ich w tej mierze rozciągała się na chorych biedaków, nie mogących przyjść do klasztoru po jałmużnę. „Chodzili z garnkami żywności, jak pisze X. Prusinowski, do chorych i ubogich, nie pytając co świat na to powie, a mianowicie „świat ówczesny warszawski, zepsuty w obyczajach, swywołnie obojętny na wszystkie świętości“⁴. Chorzy i ubodzy — to był świat, w którym się obracał głównie O. Hoffbauer. Tak było w Warszawie przez lat dwadzieścia dwa, tak było później w Wiedniu. „Zajmował się on ubogimi, zeznaje Dr. Veith, jak matka swojemi „dziećmi“, a towarzysz jego kilkoletni O. Mandlener powiada o nim, że daleko więcej wołał O. Hoffbauer przestawać z nędzarami, niż z bogatymi. „Ubogich sam on szukał, i do nich przy-

¹ Haringer str. 103.

² Łuk. XII. 22.

³ Haringer str. 40.

⁴ Prusinowski str. 13.

„chodził, ale możni musieli jego szukać i za nim chodzić“. Ile razy wychodził z klasztoru Mechitarystów, mówi o nim proces kanonizacyjny, obławowany był, jakby jaki tragarz sakwami chleba i różnej żywności, którą między ubogich rozdzielał i roznosił¹.

Zanim przejdziemy do opowiedzenia dalszych kolei zgromadzenia warto rozglądnąć się po klasztorze OO. Benonów, któryśmy widzieli przy oddaniu tak zdezolowanym i opuszczonym. W istocie wiele się w nim zmieniło. Ład i czystość przemieniła tę rudę, po której ścianach wilgoć ściekała, w chędogi choć ubogi przybytek sług Bożych. Znikła wprawdzie pierwotna nędza, ale duch ubóstwa tchnie tu na każdym kroku, a stróżem jego czujnym i surowym, to głowa Zgromadzenia — O. Hoffbauer. W tej on rzeczy ustępstwa nie dopuszczał, nie znosił, nie rozumiał. To też kiedy na kapitule generalnej kongregacji w 1802 r. złagodzoneo pierwotną ostrość, O. Hoffbauer żywą boleścią przejęty, napisał list przez O. Hübla do O. Jenerała, w którym mu swój smutek i żal z tego powodu odkrywa: „Ze zgrozą, pisze on, dowiedzieliśmy się, że odtąd ma być wolno, żeby rektor miał kasę do której składać mogą członkowie małe swe depozyty. Ten statut, który dotąd przynajmniej w państwie kościelnem i poza Włochami był zgola nieznany, narusza w najwyższy sposób ślub ubóstwa i ogromnym nas smutkiem napelnia. To cios śmiertelny, który w swoim czasie spowoduje zupełną ruinę instytutu, gdyż przez tę konstytucję, otwiera się wrota niezliczonym nadużyciom i nieporządkom“². I nie uspokoił się on prędzej, aż go doszła wieść, że wszystko wróciło do dawnych karbów. Surowy co do ubóstwa dla siebie, nie cierpiał najmniejszego uchybienia w tej mierze u swoich podwładnych. I kiedy raz w Warszawie spostrzegł u jednego płaszcz jedwabną tasiemką obszyty, natychmiast upomniał go o to, rozkazując ją zastąpić wełnianą.

Ale jeśli chcemy lepiej się przekonać, jaki duch panował w klasztorze św. Benona, to wejdźmy na chwilę do mieszkania O. Hoffbauera, wszak *ad exemplum regis totus componitur orbis*, a i nasze przysłowie nie darmo mówi „jaki pan, taki kram“.

¹ Haringer str. 257.

² Tenże str. 116.

W rogu korytarza ostatnią celkę zamieszkuje wikary generalny Zgromadzenia — ale nie sam. Brak pomieszczenia, a więcej może chęć umartwienia się sprawiła, że dzieli swe mieszkanie z O. Hüblem przełożonym miejscowym. Wszedłszy do niej, oko nie spotka tylko to, co łacińscy asceci tak pięknie wyrażają *splendor paupertatis*, ubóstwo w całym tego słowa znaczeniu. Gdy przyszli do Warszawy, stół był dla nich wszystkiem, teraz mają już łóżka, krzesła, i osobne stoliki, czegoż im więcej potrzeba? Jeden tylko zbytkowny mebel uderza oko ciekawe, a to drugie okno w małej celce. Drugie to okno wykute w ścianie kościelnej, przez które widać ołtarz wielki i Zbawiciela utajonego w Najśw. Sakramencie. Tu klęcząc gotuje się sługa Boży przed każdym kazaniem, tu czerpie zapal i siłę do coraz nowych przedsięwzięć, ofiar i poświęceń, tu znajduje światło, pomoc, pociechę, a nawet wsparcie materyalne, kiedy już bieda w klasztorze dojdzie do ostateczności.

Z samego wejścia na O. Hoffbauera poznać wnętrze pięknej jego duszy. Wyniosłej postaci o twarzy wyschłej, ascetycznej pełnej wyrazu dobrotliwego i pogody. W oczach jego zwłaszcza skupiało się całe jego usposobienie wyższe. Ten wyraz tych oczu tak głęboki a nieuchwytny robił wiele trudności sławnemu artyście Filipowi Veitowi, który go chciał za życia jeszcze odmalować. Mawiał on: *P. Hoffbauer schaut nach innen*, chcąc przez to dać znać, że wzrok jego zajęty patrzeniem na rzeczy wyższe, zdaje się nie oglądać świata zmysłowego. „Cała jego postać jaśniała nadziemską czystością, powiada o nim proces kanonizacyjny, a samo „spojrzenie obudzało czyste uczucia“.

Człowiek wielkiego zaparcia siebie i umartwienia. „Misyjonarz „było jego zdanie musi być umartwiony, aby był w stanie wszelkiej pracy podolać“. Nie znał rannego posiłku, aż dopiero w starości pozwalał sobie o godzinie 10 trochę rosółu. Wina w czasie pobytu swego w Warszawie nie używał zupełnie, przy schyłku dopiero życia swego, kiedy powracał znużony z wycieczek swoich od chorych, skosztowawszy odrobinę wina, dziękował Bogu „za ten „dar cenny, którym krzepi słabe siły podeszłego wieku“¹.

Miłośnik gorący instytutu przodował podwładnym swoim w za-

¹ Haringer str. 120.

chowaniu reguł i spełnianiu powinności. Pierwszym był on zawsze w kościele na rannej medytacji, jak to opowiadał jeden z ojców warszawskich i najmniejszego wyjątku nie pozwalał sobie co do reguł i porządku domowego. Prędko z natury, nawet gwałtowny, panował dziwnie nad sobą, tak że zaledwo z wzroku lub poruszeń żywszych, można było niekiedy odgadnąć, że ten spokój, który go znamionował, był owocem długich walk i ciągłego panowania nad sobą. „Dziękuję Bogu, rzekł raz do jednego ze swoich, że mi tę „żywość i drażliwość zostawił, gdyż ona ochrania mnie od pychy „a pomaga do pokory“. Największe obelgi jak zeznali świadkowie w jego procesie kanonizacyjnym, nie mogły naruszyć jego spokoju wewnętrznego, i wywołać oznaki niecierpliwości.

Słodyczą i miłością pozyskiwał sobie nieprzejednanych wrogów. I tak raz w Warszawie odwiedzając chorych żołnierzy w szpitalu, przystąpił z kolei do jednego, który nienawidził kapłanów i jakkolwiek bliski śmierci nie dał sobie mówić o pojednaniu się z Bogiem. Ten skoro ujrzał O. Hoffbauera, porwał się z wściekłością. „Zbliź się tylko popie do mnie, zawołał doń, a natychmiast wydrę ci oczy“. Nieustraszony groźbą, i nie zrażony zniewagą, przystąpił do niego O. Hoffbauer, i z taką słodyczą przemówił, że chory oniemiał na razie. Po krótkiej a serdecznej rozmowie, zmiana nastąpiła w duszy grzesznika, ze łzami przepraszając O. Hoffbauera, poprosił go o spowiedź z całego życia, którą z wielką skruchą i zbudowaniem dla innych odprawił¹.

Odbierając podzięk i hołdy swej cnocie przynależne z niechęcią słuchał takowych i mowę na co innego zwracał. Przed tą próżnością strzegł też swoich poddanych, to też ile razy słyszał, że mówili o dobrem przyjęciu, jakiego doznali, o objawach wdzięczności ze strony ludzi. „Jeśli kapłan, mawiał naonczas, tylko połowę „swoich obowiązków spełni, to lud prawie ubóstwiać go będzie, ale „nie wiem czy on będzie zbawionym“²⁴

Bodźcem i myślą przewodnią we wszystkich jego czynach, przedsięwzięciach i pracach była mu wiara. Tę wyszczególnia w nim Kościół, jako cechę charakterystyczną, nazywając ją *mirum fidei*

¹ Z procesu kanonizacyjnego. Haringer str. 253.

² Brunner 54.

robur, a obok tego odznaczała go żelazna siła woli, *invicta constantia*. Cnoty te zaczerpnął on w wielkiem nabożeństwie do tego, który jest *fortitudo fortium*, a wykształcił je i wypiełgnował czułą, dziecięcą miłością ku Najśw. Pannie. „Boga Rodzicę Dzie-
„wice, mówi o nim dekret beatyfikacyjny, kochał najtkliwszą mi-
„łością i otaczał czcią szczególną, przez dzień po wielekroć Ją po-
„zdrawiając, a dzień sobotni poszcząc, jeszcze jako małe chłopie
„na Jej cześć“.

Takiego męża mając na czele, nie dziw, że klasztor OO. Benonów w Warszawie kwitnął życiem duchowem, i stał się *bonus odor Christi*. Oddani Bogu słudzy musieli sobie zdobyć serca wier-
nych i pociągnąć ich do Boga. Słusznie w pośmiertnym nekrologu O. Hoffbauera, pisał *Oesterreichischer Beobachter*¹: „Co potrafi dzia-
„łać jeden wierny sługa Boży w najmniejprzyjaźniejszych okoliczno-
„ściach i w najopłakańszem położeniu, o temby mogły poświadczyć
„mury kościoła i klasztoru św. Benona w Warszawie, gdyby nie
„było tysiąca żyjących świadków, których on karmił, odziewał, do
„Boga i życia chrześcijańskiego zaprowadził“. (C. d. n.)

Ks. Zdzisław Bartkiewicz.

¹ 17 marca 1820.



STANOWISKO WŁOŚCIAN W POLSCE.

Kwestya włościańska w historyi Polskiej zaczyna coraz więcej zajmować uczonych. Jestto szczęśliwy zwrot, bo ten arcyważny moment w historyi, ten klucz wielu zagadnień dziejowych, których rozwiązania napróżnobyśmy gdzieindziej szukali, zbyt długo pozostawiony był w półcieniu. Dotąd nie brak u nas ludzi myślących, którzy wcale nie zdają sobie sprawy z wpływu, jaki ta kwestya wywarła na historyczny rozwój Rzeczypospolitej i na polityczne losy Polski; a z drugiej strony wyrabia się za granicą, mianowicie w Rosyi i we Francyi, skrajnie przeciwna teoria, która twierdzi, że kwestya włościańska stała w Polsce gorzej niż gdziekolwiek indziej na świecie, i od najdawniejszych czasów była tłem wszystkich wojen i przyczyną wszystkich nieszczęść narodu naszego¹. Dodać należy, że oprócz tej ważności teoretycznej, zagadnienie to ma jeszcze dla nas ważność praktyczną. Upadek Polski przeszkodził ostatecznemu rozwiązaniu tej kwestyi na właściwym gruncie narodowym. Stąd powstały starcia, które wywołały niezapomnianą jeszcze w Galicyi katastrofę — i stąd zawikłania stosunków, które dzisiaj jeszcze domagają się pod niejednym względem gruntownego i praktycznego unormowania.

Tem wszystkiem powodowany, zabieram się do naszkicowania dziejów naszej ludności wiejskiej na tle badań, do jakich doszły

¹ Teorya ta odbiła się świeżo we Francyi w organie szkoły Le Play'a *La Réforme sociale* (r. 1887, nr. 5.) p. t. „La question agraire et la Pologne“ p. G. Ardant; tudzież w książce tegoż p. Ardant: „La question agraire“ rozdz. VI.

prace historyków. Nie myślę traktować tej kwestyi wyczerpująco. Inni się temu zadaniu więcej nauki i wprawy wymagającemu poświęca, ja chcę tylko opowiedzieć cały przebieg rzeczy do końca, według prac źródłowych i powag w tym względzie kompetentnych.

Rzecz cała obraca się około stosunku włościan do klasy uprzywilejowanej, szlacheckiej — około pańszczyzny.

Pańszczyznę nazywamy pewien stosunek chłopu do pana, ugruntowany na wzajemnych obowiązkach, w którym chłop płacił pracą za to, co od pana otrzymywał w naturze. Chcąc zbadać, jaki stosunek łączył te dwie warstwy ze sobą, trzeba się cofnąć do początków Słowiańszczyzny, z której on się powoli wyłania, a dopiero w następnych wiekach wyraźne przybiera kształty.

I. Czasy przedhistoryczne.

Stosunki społeczne Słowiańszczyzny przedhistorycznej kryją się przed nami w niedostępnej pomroce wieków. Wszystko, co się o nich da powiedzieć, opiera się na skąpych, niejasnych źródłach i mniej lub więcej prawdopodobnych przypuszczeniach. Według nich ustrój pierwotny plemion lechickich wytwarza się w taki mniej więcej sposób.

Dawni Sławianie, skoro porzucili życie koczownicze a poczęli się zajmować uprawą roli, budowali chaty na ziemi pod zasiew najspodobniejszej, a zawsze nad rzekami lub jeziorami. Wszędzie bowiem indziej dziewicze lasy i gąszcze stawiały rolnikowi nieprzebytą zaporę. Czasem jeden, a zwykle kilku rolników stanowiło taką pierwotną osadę. Dzieci, dopóki miejsca starczyło, stawiały sobie chaty obok rodzicielskich, a kiedy się rodziny tak już rozmnożyły, że ich dotychczasowa przestrzeń ani pomieścić, ani wyżywić nie mogła, opuszczała część z nich miejsce rodzinne, zajmując w pobliżu nowy obszar ziemi. Działo się to pod przewodem doświadczonego rolnika (ojczycy), od którego nowa osada przybierała zazwyczaj swą nazwę patronymiczną w liczbie mnogiej używaną, jak np. Radwanowice, Kwiatkowice¹. Ziemia zostawała

¹ J. Szujski. „Dzieje historyi polskiej treściwie opowiedzianej“. Ks. 12. Warszawa 1880.

początkowo we wspólnem całej rodziny posiadaniu; do zarządu zaś gospodarstwem i występowania na zewnątrz wybierano z pośród siebie najzdolniejszego, a bywał nim zwykle najstarszy, bo siwy włos był zawsze w należnem poszanowaniu u Słowian. Wybraniec taki nosił nazwę władyki, kmeta, a niekiedy kneża, i posiadał władzę patryarchalną. Ziemię układano w „lechy“¹, a nazwa ta przeszła powoli na właścicieli tejże; uprawiano ją i użytkowano wspólnie. Gospodarstwo takie, jako najniższy stopień społecznego bytu, nie mogło się długo utrzymać. Nie każdemu bowiem była w smak taka wspólna gospodarka. To też niejeden pracowity, przemyślny a żądny własności, opuszczał wspólną gromadę, osiadał z dziećmi na niezajętej ziemi. Tu, jako na swojej osobistej własności, sam zbierał owoce swojej pracy, to też starał się o lepszą uprawę roli, a nadto, był sobie nieograniczonym panem na swej posiadłości, wolnym kmieciem. Z czasem każdy zapragnął mieć własny kawałek ziemi, a korzystna ta dążność, powiada Szujski, spowodowała w swych następstwach podział własności wspólnej na indywidualną. W ten sposób zaludniał się prawdopodobnie kraj, a ludność pewnej okolicy, związana ze sobą pochodzeniem stanowiła jedno z licznych pódwóczas a wcale jeszcze nie zespolonych w jakąś całość plemion.

W wojnach z sąsiednimi nieprzyjawnymi Cymbrami (wiek II. po Chr.) a później z Germanami, lub w częstych zatargach plemion pomiędzy sobą, stawali najdzielniejsi z pomiędzy Słowian (Lechowie) do broni. Nadstawiając piersi na pociski nieprzyjaciół za tych, co doma pozostali, zarabiali sobie u nich na wdzięczność, a jeśli żadnej — jaka się tylko nadarzała — wyprawy nie opuszczali, rośli coraz bardziej w opinii u swoich, zajmując coraz to wybitniejsze stanowisko w gromadzie. Nieraz z pomyślnie odbytej wyprawy wiedli oni sporo niewolnika, który z czasem stał się najcenniejszym łupem. „Sami nieprzyjaciele, mówi Maciejowski, nauczyli Słowian niewoli, sprzedając złapanych jak bydło. Szajnocha w okropnych kolo-rach przedstawia nam niewolę Słowian sprzedawanych po wszystkich

¹ Gdzieindziej nazywają to „lichy“ i „liszki“ są to krótkie zagony, kopane a nie orane, głęboką bródzą otoczone.

targach Europy. Taki przykład musiał rozjuszyć Słowian, i skłaniał w odwecie do złego traktowania brańców wojennych. Jakoż palono ich bogom na ofiarę¹⁴.

Lechowie, przywyklszy w czasie wojny do skupiania władzy w jednym ręku, wybierali wojewodę z grona najdzielniejszych, zrazu na czas wojny, później i na czas pokoju. Stąd początek swój wywodzą dożywotni kneziowie. Ci dzielnie hetmaniąc na wojnie a sprawiedliwie rządząc w czasie pokoju torują swoim synom drogę do następstwa na otrzymanej przez milczącą, czy to głośną elekcyę godności².

Rząd nad osadami spoczywał w ręku opola. Opolem zwano pewną ilość osad węzłami pokrewieństwa ze sobą zbliżonych. Do starszych opola należał sąd i łagodzenie sporów. Miejscem ich zebrania była zazwyczaj wieś macierzysta, zmieniająca się powoli w gród (horod, castellum) zrazu słabo i niedostatecznie obwarowany.

W nim to odbywały się religijne obrzędy, zgromadzenia wiecowe i sądy, tu też wraz z dobytkiem chroniła się ludność w czasie napadu. Nie długo jednak ostał się samorząd opola; w czasach chrześcijańskich zredukowano je do instytucyi policyjnej, o czem będzie mowa przy władzy książęcej.

Wojewoda osiagnawszy raz władzę nad plemionami, stawał się on tem samem panem grodu, który dla pewniejszej obrony coraz silniej obwarowywał. Pod skrzydła opiekuńcze takich wojewodów garnęła się chętnie ludność, znajdując większe, niż indziej za fosą bezpieczeństwo. W taki to sposób powstawały powoli ludniejsze osady, które z czasem, mianowicie w epoce książąt, dały początek warownym miastom.

Prawdopodobnie każde z drobnych nawet plemion podlegało wówczas, tj. w samych początkach wieków średnich, dziedzicznemu wojewodzie i stąd liczba dynastycznych kneziów czy książąt była dosyć znaczna. Wreszcie jeden z nich silniejszy i przemysłniejszy, pobudzony obcymi wzorami staje przeciw drugim, toczy z nimi długie walki, a gdy mu przytem i z zewnętrznym nieprzyjacielem

¹ J. Szujski. „Dzieje Polski podług ostatnich badań spisane“. Lwów 1862.

² St. Zarański. „Pierwiaszki dziejów ojczystych w ich organicznym rozwoju“. Kraków 1886.

szczyć się sprzyja, ustala swą władzę i staje się naczelnym księciem całego kraju¹. Zmiana ta jednak nie dokonała się od razu; pod koniec przedchrześcijańskich wieków toczyły się długie walki między wojewodami a książętami, o ster, aż wreszcie ci ostatni przemogli.

W taki to — zdaje się — sposób wyłaniał się ustrój społeczny w ziemiach lechickich przed nastaniem książąt. Zmiany te przychodziły powoli, niejednostajnie, a brak źródeł do dziejów tej zamierzchłej przeszłości zmusza w wielu razach uciekać się do przypuszczeń i domysłów. W tym okresie spotykamy więc następujące odcienia:

a) Posiadacze wspólnot rodzinnych; ci razem uprawiają i używają spuściznę ojcowską pod przewodem starszyny. Najniższy ten stopień uspołecznienia ustępuje prędko z widowni tak, że pod koniec wieku X. już go prawie nie napotykamy.

b) Własność indywidualna, kmiecia, powstająca wskutek prze-ludnienia i zajmowania odłogiem leżącej lub lasami pokrytej ziemi. Dziedzice jej byli wolni na swych posiadłościach, ich synowie dzielili się porównu spadkiem ojcowskim. Z nastaniem władzy książęcej spadły na nich liczne i przykre ciężary, o których będzie mowa przy władzy książęcej. Do tej klasy należą także rataje czyli oracze. Byli to chłopci wolni, nie wiele lub żadnej ziemi nie posiadający, i ci przechodzili po prostu jako czeladź do bogatszego.

c) Własność dworska bierze początek z czasu wojen, w których niewolnik był najcenniejszym plonem. Właściciele tych włości stoją już wyżej od pospolitych kmieci, lecz żadnych wyłącznych praw nie posiadają.

d) Potrzeba obrony jak stworzyła ludzi rycerskiemu rzemiosłu oddanych, tak też dała początek wojewodom, kneziom i wreszcie nad całym krajem panującemu księciu. Trudno dośledzić początków władzy książęcej, o której nieco dalej obszerniej pomówimy, teraz zaznaczamy tylko, że książę był panem wszystkiej niezajętej ziemi, którą mógł swobodnie rozporządzać. Łączyła się z tem i władza nad osiadłą ludnością, prawo pobierania danin, cel, opłat targowych i t. d.

¹ Szujski. „Hist. polsk.“

II. Czasy Piastów.

Mówiąc o stosunkach społecznych za Piastów, mamy na myśli czasy chrześcijańskie. Dawno już wprawdzie, bo od dwóch wieków a może i więcej, jawią się u ludów sławiańskich książęta, lecz ci, jako nie wielkich obszarów władzy, marnując nadto siły w bezużytecznych ze sobą walkach — nie tylko pojedynczych plemion pod swoim berłem skupić nie umieli, ale i coraz słabiej najeźdźczym Germanom stawiali czoło. Stąd o pełności władzy książęcej u nich nie może być mowy, niepodobna nawet jej rozciągłości dokładniej oznaczyć. Dopiero od roli powołani na tron Piastowie (r. 884) i to po przyjęciu chrześcijaństwa (r. 965) zdołali skupić pod swoim panowaniem pojedyncze opola i na ich czele oprzeć się germańskiej nawale. Do koła zresztą otaczały młodą Polskę nieprzyjazne i na zgubę jej czyhające ludy. Najgroźniejszymi z nich byli Niemcy, przez nikogo dotąd w swym parciu na Wschód niepowstrzymani. Z Północy też i Wschodu nie lepszych miała Polska sąsiadów, jako to: Prusaków, Litwinów, Jaćwingów, Rusinów a nawet i Węgrów; a sąsiadów tych pojedynczo, lub razem sprzymierzonych lada wiatr na jej ziemie przyganiał. Polska z krzyżem w rękę wyrabiała się z tych śmiertelnych zapasów zwycięsko, a zawdzięcza to chrześcijaństwu i bohaterstwu Piastów, szczególnie Bolesławów i złączonym na obronę siłom narodowym. Ciągłe boje sprowadziły w młodem społeczeństwie wybitne zmiany, które tu streścić zamierzamy.

W wieku X. był już gotowy materyał do wytworzenia pewnej klasy wyższej w narodzie tj. wolni dziedzice rycerskiemu rzemiosłu oddani, i potomkowie dawnych dynastycznych drobnych książąt nie posiadających już udzielnosci, ale znaczenie i fortunę. Wprawdzie pradiadowie ich przez Piastów z władzy wyzuci zdala trzymali się od nowego pana; lecz czas zatarł pamięć krzywdy i zbliżył ich synów do dworu monarchy. Przy jego boku walcząc z najeźdźcami, a w pokoju służąc mądrą radą, zarabiali sobie na szczególne względy, do czego znaczne posiadłości i wrodzona rycerskość nie mało się przyczyniały. Działo się to szczególnie za Chrobrego i Krzywostego, którzy, niestananne wojny prowadząc, lubili ich zawsze mieć

przy boku i hojnie wynagradzać. Zastęp ten z niewielu, bo kilkudziesięciu, a najwyżej stu rodzin się składający, był początkiem właściwym i prawie jedynym późniejszej szlachty rodowej. Inni, jak władcy zajęli nieco odmienne stanowisko, o którym później, teraz jedynie o tych wysoko wyniesionych rodach pomówimy.

Król chcąc im wynagrodzić ofiarność krwi i mienia i nadal ją sobie zapewnić, pamięta o nich szczególnie; jako pan wszelkiej niezajętej ziemi obdarza ich w miarę zasług szerokimi obszarami pustek, nieraz włościami, lub jakimś znacznym urzędem. Grody (castra) dawał król w dożywocie, wsie zaś i folwarki w dziedzictwo. Służba przy boku księcia i wysokie urodzenie były podstawą ich wybitniejszego w społeczeństwie stanowiska, a zarazem źródłem powiększenia fortuny, która przez pierwotne walki książąt i późniejsze wyprawy znacznie się już nadwyreżyła. Przeważny jednak wpływ na znaczenie rodów możnowładczych — szlacheckich wywarło dopiero chrześcijaństwo.

W pogaństwie nie było dziedziczności, gdyż przy istnjącem włożeństwie trudno było oznaczyć, kto był bliższym, a kto dalszym krewnym. Dopiero z chrześcijaństwem wprowadzone powoli jednożeństwo rozpętało tę gmatwaninę i utrwaliło znaczenie rodu. Stąd gdy w pogaństwie majątek spadał tylko na synów, a w braku ich wracał do księcia, to w utrwalonych przez chrześcijaństwo rodach rycerskich przechodził i na dalszych krewnych zmarłego. Zmiana ta jednak, jakkolwiek wynikająca z natury rzeczy, w praktyce długo jeszcze zależała od łaski księcia¹, który zrzekając się w takich razach prawa do ziemi, przelewał je osobnym przywilejem na ród, wynagradzając w ten sposób wojenne zasługi. Tak uprzywilejowane rody nazwano w wieku XIII. z niemiecka „szlachtą“, a dziedziczności ich „herbem“ (das Erbe). Dziedzicznej posiadłości nie wolno było sprzedawać chyba za zgodą całego rodu, dla tego, jeśli spadkobierców w prostej linii nie było, wnet zgłaszali się dalsi krewni nieraz zamożni, by swój dział odebrać. Członkowie jednego rodu dla łatwiejszego odróżnienia od innych, posługiwali

¹ Jeszcze w wieku XIII. spadek w majątkach należących do kmieci szedł tylko na potomków w linii prostej, w braku ich wracał do księcia. R. Hube: „Prawo polskie z XIII. wieku“. Warszawa 1874.

się ściśle przestrzeganiem hasłami „zawołaniami“, które z czasem wyrażone znakiem dały początek herbom. Te trwale węzy rodowe były przyczyną łączności i braterstwa, a gdy się później rody rozkrzewiły, to każdy tym samym herbem się pieczętujący, uważany był za członka tegoż samego rodu, czyli za „brata szlachcica“. Wpływało to nader korzystnie na wykształcenie charakteru narodowego, strzegło czystości obyczajów, a w uprzywilejowanym rodzie odrazu kładło tamę wielożenstwu i innym niegodziwościom, tak rozpowszechnionym w pogańskiej Słowiańszczyźnie. Każdy bowiem pilnował, żeby mu się do rodziny nie wkradł intruz, mający równe z jego własnymi synami prawo do wspólnej własności rodowej.

Powoli zwalniał ich książę od danin i powinności monarszych, niekiedy obdarzał mytami i łami w jakimś grodzie. A różne te prerogatywy nie były rozdzielane równem prawem wszystkim rodom, tak jak to widzimy w w. XIV. lub XV. Za Piastów nie było tak, lecz właśnie obszerniejszy lub ciśniejszy zakres tych prerogatyw w połączeniu z posiadłościami i urzędami, tłumaczy nam rozmaitość odcieni tej uprzywilejowanej klasy, jako to: *principes* (książęta), lub *magnates* (magnaci), *nobiles* (szlachta), *proceres* (przedniejsi), *duces* (duki) i *comites* (komesy) dla odróżnienia od rycerstwa szeregowego¹.

W ten sposób „zbliżeni zasługą do dworu, zbliżali się drugim jeszcze względem, wiarą, lepszem pojęciem religii, a tymże względem oddalali się od ludu, który długo trwał w błędach pogańskich mimo powierzchownego nawrócenia“².

Z pomiędzy wszystkich magnatów wyszczególniał panujący odznaczających się na wojnie niezwykłym męstwem, a w pokoju mądrą radą; tacy składają jego radę przyboczną i hojniej nad innych bywają obdarzani, a ten nadmiar łaski monarszej daje początek możnowładcom polskim, których nie bez słuszności *principes*, *duces* nazywano. Najważniejszymi z nich byli:

Prandota, za czasów Krzywoustego, najznakomitszy pan małopolski. Jego włości dziedziczne zajmowały obszar blisko dwunastu

¹ Dr. Antoni Malecki: „Wewnętrzny ustrój w pierwotnej Polsce. Przewodnik naukowy i literacki“, r. 1875.

² Szujski. „Dzieje Polski“.

mil kwadratowych, prócz których jeśli nie on, to już jego synowie wiele włości po kraju rozrzuconych posiadali.

Na dworze Władysława Hermana przebywał *Wojśław* krewny wszechwładnego Sieciecha, pan wielkiego znaczenia i fortuny, ochmistrz syna królewskiego, a posiadający około 30 wsi na Mazowszu i w Kujawach.

Żaden atoli nie doszedł do posiadania tylu bogactw, co *Piotrko Włostowic*, rówieśnik Krzywoustego, po upadku Skarbimira stanął na czele wszystkich wojsk Bolesławowych. Źródłem jego potęgi były raczej tajemnicze skarby, niż wielka obfitość włości. Umiał bo przebiegły Piotrko koło własnej kieszeni chodzić. Ożeniony z księżniczką kijowską, Maryą Świętopelkówną, wnuczką bizantyjskich cesarzy, został szwagrem młodego Krzywoustego, a w posagu dostał takie bogactwa, że o nim urosła baśń: „jakoby pochodził z Danii i duńskich królów skarbiec uwiózł z sobą do Polski”¹. Kiedy Krzywousty ucierał się z Pomorzanami, a od wschodu zagrażał sprzymierzony z wschodnimi i północnymi nieprzyjaciółmi Polski Wołodar Rościśławicz Przemyski, pojechał Piotr na Ruś; tu jako krewny Wołodara przez żonę wkradł się w jego zaufanie i podstępnie go do Krakowa uprowadził. Za tę i inne przysługi hojnie od Bolesława był wynagradzany. To też „współcześni już opowiadali sobie w Niemczech, że sam papież, czy też tylko polscy biskupi kazali mu za złamanie wiary Wołodarowi co najmniej 70 kościołów własnym wybudować kosztem, taką naznaczając pokutę za ten czyn zdradziecki i inne niegodziwości”².

W ten mniej więcej sposób wznosiła się ponad społeczeństwem można klasa hrabiów i magnatów, protoplastów późniejszej szlachty herbowej. Nie był to jednak stan odrębny, kastowym odgrodzony murem, nie miał żadnych przywilejów wyłącznych, któreby dla innych były nieprzystępne; jedyną potęgą ich stanowiska były obszerne posiadłości i znaczenie na dworze. Zdarzały się bowiem wypadki, że i mniej zamożny władca wzbijał się na tę wyżynę, lecz były one rzadsze, bo szczupła posiadłość nie dawała do wyszczególnie-

¹ Stanisław Smolka: „Mieszko Stary i jego wiek”. Warszawa 1881.

² Tenże.

nia się łatwej sposobności, natomiast dla uboższego rycerstwa otwarło się inne pole.

Z takiego rozwijania się stosunków widać, że szlachta polska nie była kastą ściśle od innych odgranieczoną. Inaczej dzieje się u nas jak na Zachodzie, gdzie tylko towarzysze księcia i pomocnicy przy zajęciu obcego kraju stanowią klasę uprzywilejowaną, ściśle od innych odgranieczoną, ludność zaś podbita zamienia się w niewolników. Co do rycerstwa, to zobaczymy później, że nie urodzenie lecz majątność i dobra ochota wynosiły w Polsce rolnika do stanu rycerskiego, bo własność ziemiska wolna „jest u narodów rolniczych głównem kryterjum i jedyną kotwicą osobistej wolności“¹.

Przeważną część ludności stanowili wolni kmiecie, księżu tylko podlegli i jemu samemu daniny składający; nazywano ich *Władykami*. Władyka, to wyraz starożytny we wszystkich językach słowiańskich używany; tkwi w nim ten sam pierwiastek wład, co w wyrazach władza, władać, władca, własny (wład-tny jak zdatny) własność i t. p. Władyka więc znaczy po prostu to samo, co człowiek mający własność ziemską; z wladyków składała się społeczność szczepów lechickich i jeszcze za Krzywoustego stanowili oni przeważny pierwiastek w budowie społeczeństwa polskiego². Nie wielką odgrywali rolę za pierwszych Piastów, którzy nie prowadząc znaczniejszych wojen, nie umieli użyć sił, jakie klasa wladyków przedstawiała. Dopiero Chrobry, mając do walczenia naraz z tylu wrogami, powołał wszystkich ziemian do broni, i wolni osobiście wladcy poszli za głosem swego pana. W ciągłych prawie wojnach nauczyli się dobrze bronić władać, a raz w niej zasmakowawszy już do roli nie powracali, lecz zostawali rycerzami, którzy stanowili klasę niższą wprawdzie od magnatów, lecz zawsze nad inne pospólstwo znacznie wyżej położoną. Władyka-rycerz nie posiadał herbu i zawołania własnego; uważany za półszlacheica, miał prawo do połowy

¹ Tenże.

² W wyprowadzeniu szlachty i rycerstwa opieramy się na trzech rozprawach w sprawozdaniach Akademii Umiejętności drukowanych (r. 1881, XIV.) tj. na rozprawie Dr. Michała Bobrzyńskiego: „Geneza społeczeństwa polskiego“; Dr. Franciszka Piekosińskiego: „O powstaniu społeczeństwa polskiego“; a przeważnie na ostatniej tj. Dr. St. Smolki: „Uwagi o pierwotnym ustroju społecznym Polski Piastowskiej...“, z której powyższy ustęp przytoczyłem.

szlacheckiej głowszczyzny. Miał się atoli za wyższego od rolnika, i jeśli służył rycersko, był nim rzeczywiście; jeśli zaś domową tylko pełnił służbę u jakiego możnego pana, „chlebojedcą“ się nazywał i był niższym od kmiecia rycerza, był sługą, ale i wtedy pan nie mógł mu ubliżyć w osobistej godności¹. Za przysługi wojenne dostawały się im od króla mniejsze urzędy, datki pieniężne lub kawały roli. Wiedział bowiem król, że im głównie zawdzięcza Polska swoje ocalenie. W ciągłych jednak wojnach, jakie ówczesna Polska prowadziła, własność drobna dziedziczna nie mogła się długo ostać. Wielka część kmieci wstępuje jeszcze ciągle dla swej waleczności w szeregi rycerstwa, nie ma jednak żadnego prawa ni przywileju, aby nienaruszenie na tym stanowisku pozostać. Gdy bowiem synowie podrosli i przychodziło między nich dzielić posiadłość już i tak małą, groziła im bieda i nieuchronne stoczenie się z wyżyny władyków, a może i gorszy jeszcze los w następnych pokoleniach. Od tego jednak był władzka rycerzem, żeby temu zapobiedz i w synach jego nie darmo krew rycerska płynęła; więc choć nie wielką odzierżyli ojcowiznę, mogli przez waleczność i zasługi między rycerstwem się utrzymać². Większa zaś nierównie ilość, zrosłszy się ze starymi obyczajami, obojętniała dla sprawy publicznej, która dla niej była jednym wielkiem nowatorstwem; nie chciała zamienić radła na oreż, a ubożając coraz więcej spadała na stanowisko chłopów czynszowych, jeśli nie niewolników. Te względy wyjaśniają, dlaczego coraz więcej znika rolnik swobodny tak, że już statut Kazimierza W. nie czyni o nim wzmianki.

Słowem, kto tylko miał pieniądze, a czuł ambycją i odwagę na wyprawę pospieszyć, kto tylko zobowiązywał się stawać zbrojnie na każde wezwanie, zostawał rycerzem i miał prawo do pańskiej łaski. Zaszczyt ten mógł chłopą spotkać, jeśli w wojennej potrzebie oddał księciu jaką wielką przysługę; to mu bowiem nietylko wolność osobistą zabezpieczało, ale i podarek jaki wyjednywało.

W czasach podziałów i wynikających stąd zamieszek groziła rycerzom ruina materyalna, to też widzimy ich wtenczas garnących się na dwory biskupów i możnych panów. Ci przyjmowali ich tem

¹ Maciejowski. „Historja włościan w Polsce“. Poznań 1874.

² St. Smolka. „Mieszko Stary“.

chętniej, że w w. XII. i XIII. już nie sami, ale z oznaczoną liczbą zbrojnych stawić się do boju byli obowiązani, woleli zaś posługiwać się drobnem rycerstwem, niż rolników od roli odrywać. Zresztą i w pokoju lubili panowie na wzór króla zbrojnymi się otaczać. A to właśnie było dla władyków deską ratunku. W czasach osadownictwa niemieckiego jedni szli na sołtysów, inni zaś biedniejsi na czynszowników, bo tak przynajmniej wyżyć mogli wygodniej. Kiedy w wieku XIII. wyrobiło się u nas pojęcie szlachectwa, garnie się do niego obok magnatów i uboższa klasa władyków, jako szlachta chodackowa zaściankowa, bo czuje to dobrze, że niema między nimi a możniejszymi istotnej różnicy stanu, że wszyscy ziemianie posiadający własność są sobie równi (szlachcic na zagrodzie...) a różnym od nich jest tylko chłop *glebae adscriptus* i czynszownik. Uprawiali teraz w pokoju po dawnemu swoje zagrody, czasu wojny szli w pole pod dowództwem kasztelanów, lub zapelniali chorągwie królewskie. Kiedy w XV. w. wskutek rozrodzenia się szlachty i rozdrobnienia fortun zaczęły się zbrojne najazdy szlacheckie i burdy sejmikowe, znowu rycerstwo włodycze do nich się garnęło; gdy w takim zajeździe padł jaki rycerz, dostawała żona jego i dzieci za głowę zabitego 30 grzywien według statutu wiślickiego, podczas gdy o głowę szlachcica karano 60-ciu grzywnami. Dopiero kolonizacya Rusi skłoniła władyków do tłumnego opuszczania stron rodzinnych, wskutek czego od połowy wieku XV. nie wiele już o nich słychać. Pozostały jednak na Mazowszu i Kujawach znaczne zastępy rozrodzonej rzeszy władzyckiej, a po zaprowadzeniu powszechnej elekcji zaczęły coś znaczyć i głosy szlachty zaściankowej, gdy je oddawała na pana „Agresta“, lub pana „Gawieńskiego“. (Ernesta Austr. lub Henryka III. andegaweńskiego)¹.

Domorodne to, a narodowi naszemu właściwe wytworzenie się szlachty rodowej i chodackowej w Polsce, nie wyklucza stanowczo wtargnięcia jakiejś obcej drużyny, np. nadłabiańskich Lechów, jak chce Maciejowski, lub naddunajskich Sławian, jak sądzi Naruszewicz. Na zawojowanie przez nich okolic nadwiślańskich nie znajdujemy w dawnym ustroju żadnego dowodu. Co najwięcej możemy

¹ St. Smółka. „Uwagi o pierw. ustr. społ. Polski“.

przypuścić, że jeżeli wtargnęli, to chyba w czasach zamierchłej przeszłości i to w nieznaczej liczbie, a gościnnie od Słowian przyjęci wnet złąli się z nimi zupełnie. Mogli nawet jako waleczniejsi zająć w czasach wojennych jakieś wyższe stanowisko, lecz nie było to ich wyłącznym udziałem, jak u Germanów i Franków, tylko nagrodą, jaka prawie każdego za obronę ziemi spotykała.

Nierzadko też napotyamy na dworach Bolesławów rycerzy pochodzenia obcego, przybyszów z zachodu, których do nas wabiła chęć z bogacenia się, lub też złe stosunki w kraju macierzystym zmuszały do wychodźstwa. Za przysługi oddane panującemu dostawali również przestrzenie pustek, a niekiedy i włości w dziedziczne posiadanie. Żeniąc się sami i synów swoich z Polkami, przyjmowali obyczaje władyków i asymilowali się z rycerstwem, w którego szeregach stawali. Nadto, gdy napływ ich w czasie podziału Polski się zmniejszył, zapominali rychło o swej ojczyźnie i już w ich synach i wnukach tylko nazwiska, i to często bardzo już spolszczone wskazywały obce pochodzenie. Równocześnie wypełniały się szeregi władyków ludnością swojską, a tak wpływ zachodu nie nabral nigdy wielkiego znaczenia, na gruncie narodowym utrzymał się typ polskiego rycerza i „obcym mu pozostał cały świat czarodziejski uczuć i pojęć zachodniemu rycerstwu właściwych“¹.

Dla porównania i łatwiejszego zrozumienia tego, co się powiedziało, przytoczę tu z Szujskiego ustęp, (Dzieje Polski. Lwów 1862) opisujący pierwotny ustrój Polski: „Nazwę Lechów znajdujemy po za granicami pierwotnej Polski. Naprowadza to na przypuszczenie, że Lachy, Lechy wśród słowiańskich Polan byli osobnym rządzącym stanem innej czy tej samej kategorii. Jednolitość narodu polskiego w pierwszej chwili jego historycznego wystąpienia każe z drugiej strony wątpić o różnorodności jej składowych pierwiastków... Słowianin stale na jednym miejscu osiadły, ślepo do ziemi i do chaty swojej przywiązany, posiadał od wieków wykształcone rodzinne życie, a ród jest podstawą jego społecznego ustroju. Ten ród, prócz rodziców i dzieci, mieści w sobie wszystkich, którzy bądź węzłem krwi, bądź w skutek dobrowolnego przystąpienia i przyjęcia, do niego należą. Kilka rodów wiąży wspólny interes, bezpieczeństwo a niezawodnie religijne jakieś i tradycyjne święto-

¹ St. Smolka. „Mieszko Stary“.

ści — w gminę. Na czele rodu stoi ojciec, a po jego śmierci najstarszy syn. Dziedzictwo rodziny było nietykalnem, wspólnem, różniło się zatem zupełnie od majątku zarobionego przez członków rodziny. Gmina rządzi się uchwałami obrad starszych (kmięciów, władyków, żupanów). W razie niebezpieczeństwa wojny na czele każdego rodu idzie jego naczelnik (wojewoda, książ). Takim sposobem urządzenia pierwotne Słowian noszą nazwisko gminowładztwa rodowego, którego najwyższym wyrazem jest wiec. Wchodzą do niego naczelnicy rodów, starszyzna, tam się odbywają sądy, obrady koło publicznego dobra. Wszędzie gdzie jedynowładztwo się wciska, o wiecu nie słychać więcej.

W słowiańskich królestw powstaniu, wszędzie widno wypływanie ich z ludu, w ten sposób jak naczelnik rodu z rodu wypływał. Nie ma tu władcy narzuconego tak jak u Słowian naddunajskich i wschodnich. Panującego stworzyła potrzeba, zasługa, starszeństwo uznane w głośnie lub milczącej elekcji. Królestwo z łatwością staje się dziedzicznem, z ojca na synów spada, bo konserwatyzm i cześć dla raz uznanej powagi jest cechą Słowianina...

Wielką kwestyą w historyi społeczeństwa jest kwestya powstania różnicy stanów. Przy rodowym gminowładztwie różnica ta zdaje się niepodobną. Jakoż równość szerzej lub cieśniej pojęta była ulubioną Słowian ideą. Różnicę tę sprowadził: 1) wyjątkowy stan życia, wojna i ciągle z nieprzyjaciółmi utarczki; 2) wpływ ościennych żywiołów; 3) hipotetycznie przybycie szczepu obcego. Nazwę kmięcia poczytują badacze za nazwę wolnego obywatela w zupełnem używaniu wszystkich praw zostającego. Obok kmięcia występuje lech (rycerz, wojownik) w Czechach i w Polsce, który poświęcając się szczególnie wojennemu rzemiosłu, rosnąc przez to w chwałę i znaczenie, staje się szlachcicem (zlechcicem) i wynosi się nad stan kmięcy. Własność gruntowa, którą posiada lub nabywa, napęlnia się jego jeńcami wojennymi, niewolnikami, którzy stają się poddanymi. Kmieć wolny, zrazu w potrzebie także do boju stający, wchodzi z czasem w pewną zależność, która go nareszcie z poddanymi zrównała. W piastowskich atoli czasach oddalenie to jest mniejsze, kmieć a nawet poddany zostaje szlachcicem. Później dopiero zamyka się szczelniej koło szlacheckie, uzurpuje dla siebie nazwisko narodu... Lelewel, Moraczewski, Szmitt, z krajowych

powstanie szlachty wywodzą żywiółów. Jakoż mówi za tem czysto słowiański, gminowładczy jej charakter“.

Mówiliśmy dotąd o dwu klasach społeczeństwa polskiego, o jednej rycerskiemu rzemiosłu oddanej, i drugiej wolnej wprawdzie, lecz coraz znikającej. Z kolei trzeba się przypatrzeć i klasie trzeciej, niemniej od obu poprzednich licznej, a zupełnie odrębne stanowisko zajmującej, tj. ludności chłopskiej.

Jak się wyżej rzekło, możnowładztwo polskie dostawało przeważnie od panującego mniejsze lub większe przestrzenie ziemi, a czasem jedną lub kilka włości. Szczodroblliwość monarsza nie znała miary, a nierzadki magnat polski przychodził do posiadania takich bogactw i obszarów, że mógł śmiało iść w porównanie z niejednym dzisiejszem większem księstwem niemieckiem. Ziemie te jednak z rzadka zamieszkałe, a prawie całe lasami pokryte, potrzebowały ręki ludzkiej, ażeby większą jakąś korzyść niż drzewo i zwierzynę właścicielowi przynosiły. To też wcześniej, bo już przed zaprowadzeniem chrześcijaństwa, osadzano na nich jeńców wojennych, chociaż w niewielkiej ilości. Dopiero za Chrobrego i Krzywoustego nastały i w tym względzie najpomyślniejsze dla rycerstwa czasy. W rozlicznych a zwycięskich, pod dowództwem takich bohaterów na wszystkie strony wyprawach zawsze jeniec wojenny był najpożądanejszą zdobyczą, człowiek najmilszym plonem¹. Taki bowiem był wówczas zwyczaj prowadzenia wojen, że kto się napadającemu nieprzyjacielowi nie oparł, lub wczas dobrze schronić się nie zdołał, siedł z wszystkim, co się dało zabrać za zwycięzcą w dybach, bez nadziei powrócenia kiedyś do swoich. Rzadkie bowiem bardzo bywały wypadki wypuszczania na wolność, a wykupu przy ówczesnym braku gotówki i komunikacyi mógł się chyba tylko jaki znaczniejszy jeniec spodziewać. Liczny nieraz zastęp w niewolę pojmanych zamykał szeregi powracających zwycięzców; z jednej n. p. wyprawy pomorskiej przywiódł Krzywousty 8.000 niewolnika². Tego najgorszego skutku ówczesnych wojen wnet i Polska miała na sobie doświadczyć, gdyż stał się on głównym celem nieustannych napadów tatarskich, w których często po kil-

¹ J. Szujski. „Dz. Pols.“

² St. Smolka. „Mieszko Stary“.

kadziesiąt tysięcy ludzi szło w bisurmańską niewolę. Oddawali też wet za wet i nasi rycerze i jeszcze w wyprawach na Moskwę „rotmistrze i inni wojskowi, co mieli własne majątności, chwyтали młodzieńców w rzemiośle sposobnych”¹.

Jeńców osadzano na pustkowiach i oni to przyczynili się w przeważnej części do szybszego zaludnienia kraju; nazwiska osad jak: Prusy, Pomorzany, Rusie, Czechy, Węgrzce, Wilki i tyle innych, najwymowniej to poświadczają. Czasem przechodziło imię pana na wieś, którą zbudował, jak np. Żegocin czy Odolanów Klimuntów, Ostoczków, Prędocin lub Wojsławie².

Byli tacy niewolnicy całkowitą własnością pana tak jak jego koń, pies i sokół, zależeli od złej i dobrej woli tegoż, byli osobiście i rzeczowo niewolnymi. „Nie wolno im było ruszyć się z pańskich włości i stąd zwano ich „ludźmi przywiązanymi do gleby“ (*glebae adscripti, adscripticii*) „ludźmi“ w ogóle lub chłopami, albo po prostu „niewolnikami“ (*servi, mancipia*) od niewoli, w której panom służyć mieli”³. Niewolnika mógł pan dowolnie przenieść, darować go innemu, sprzedać wraz ze wsią, a nawet i samego. Zdarzało się to w czasie mnogiego napływu jeńców do kraju, których na razie nie można było wszystkich osadzić na roli, a czasem i brak gotówki skłaniał pana do pozbycia się niewolnika. Kupowali ich przeważnie Żydzi i wywozili na Wschód, gdzie tęgi jeniec słowiański zawsze był poszukiwany. Tylko chłop raz już do gleby przywiązany, bez którego ona prawie nie nie znaczyła, nie szedł na targ. Z zaprowadzeniem chrześcijaństwa i handel ten obrzydły powoli maleje, bo Kościół i monarcha jak za to, tak i za inne nadużycia względem osoby brańców surowo karcili, zawsze jednak sięga jeszcze w wiek XII.⁴

Przywiązany do ziemi nie mógł z niej uciec, zbiegłego ściągano wszędzie, i skoro pan prawo swoje do niego udowodnił, zabierał go jak swoją własność. W tym duchu wydał jeszcze Jagiełło w Krakowie r. 1323 prawo następujące: „... Sługi niewolne pan

¹ Jędrzej Moraczewski. „Polska w złotym wieku“. Poznań 1851.

² St. Smolka.

³ Tenże.

⁴ Tenże.

może, gdzie chce, osadzić, dostawszy dziedziny nowej przez nie zakładanej (*acquirendo haereditatem novam per ipsos erigendam*). Dlatego jeśli u których takowi słudzy ucieklszy kryć się będą i na potem będą chowani, ciż mają one zatrzymać i we dworze bliższym królewskim oświadczyć się: iż mają one zatrzymane i chowają je. A jeśli tego zaniedbają uczynić, a pan sług onych przez świadki tego dowiedzie, iż u niego byli, tedy będzie winien onego niewolnego sługę, czyj będzie, zapłacić z winą piętnadziestą¹; to znaczy będzie powinien ukrywanego zbiega panu wrócić, zapłaciwszy mu nadto 15 grzywien kary.

Osadzeni po pustkowiach i lasach, częścią je trzebili i zakładali w nich barcie, a na rzekach trudnili się zyskownem na ów czas rybołówstwem. Owoce ich pracy: zboże, ryby, zwierzyna, miód i t. p. były całkowitą własnością pana i te albo wprost odnosili do pańskich spięchrów, lub rok rocznie zjeżdżał wóldarz, zostawiając im tyle, żeby do przyszłego roku mieli się czem wyżywić, a resztę na rzecz właściciela zabierał. Jeśli się bydło, które im pan przy osadzeniu dał do uprawy roli, rozmnożyło, zbywające sztuki szły na pański stół.

Niektórzy z nich pełnili na dworach swych panów posługi osobiste jako czeladź dworska. Często była ich przeznaczeniem szczególniejsza jakaś praca, a nazwy wsi, które zamieszkiwali, wskazują rodzaj zajęcia — i tak: Kuchary, Rybaki, Bartniki, Kowale, Komorniki, Sokolniki, Bobrowniki, Świątniki (do służby kościelnej przeznaczeni) i t. p. Wyroby swoje odnosili zarówno jak pierwsi do dworu, dostając za nie zboże na wyżywienie, jeśli sami obok rzemiosła roli nie uprawiali. W ogóle pan starał się o swego niewolnika-chłopa o tyle, by się miał czem wyżywić i mógł nań pracować, wszystkie owoce jego pracy sobie zabierając. Rzadko tylko układał się czy to z rolnikami, czy z rzemieślnikami, o stałe doroczne daniny resztę zbiorów im zostawiając, a wtedy wieś, którą to szczęście spotkało, miała się nierównie lepiej od innych. Takie stosunki przyczyniały się wielce do zastoju w dziedzinie gospodarstwa,

¹ Jan Januszowski: „Statuta, prawa i konstytucye koronne łacińskie i polskie z statutów Łaskiego i Herburta zebrane...” Kraków 1600, str. 580.

rzemiosł, a tem samem i handlu, i dopiero osadnictwo chłopów czynszowych zmiany na lepsze sprowadziło.

„Z chłopem do gleby przywiązanym nie o wiele lepiej się obchodziło jak z bydłem. Był on panu nie mniej potrzebny, jak bydło w jarzmie, a kiedy każdy dbał o to, by mu wół nie zdechł z głodu, to i chłopu musiał dać tyle do pożywienia, żeby był zdolny do pracy“¹. Jeden jednak wzgląd hamował porywczosć pańską względem niewolnika i srodze z nim obchodzić się nie dopuszczał. Obok łupów wojennych i podarków monarszych była rola, a na niej niewolnik głównem źródłem materyalnej potęgi właściciela. Pan żywił się pracą jego rąk, za jego wyroby dostawał od kupców towary zachodnie, a niekiedy i gotówkę; strata więc chłopu przy ówczesnym braku rąk była zawsze dotkliwą, bo i cóż była warta ziemia bez niego? Jeśli więc nie miłość chrześcijańska, to własny przynajmniej interes nakazywał ochraniać chłopu. Przestrzegano zatem troskliwie, aby go czasem nie napadła ochota z gruntu uciekać, i dlatego unieemożliwiano mu przyjmowanie u obcego pana jakiegobądź obowiązku, a nadto nie zostawiano środków, aby się mógł przyczynić do powszechnego dobra, gdyż to mogłoby go ze stanu niewoli wydźwignąć, a tak musiał zawsze chłopem pozostawać. Wprawdzie wychodzili według potrzeby z panem na wojnę, lecz podrzędniejsze w niej miejsce zajmując mniej tu mieli sposobności odznaczenia się i uzyskania wolności. Mieli natomiast inne środki do wydobycia się ze stanu, w jakim ich los postawił. Skoro bowiem niewolnik był skrzętnym i panu swemu wiernym, to wtedy albo pozostawał na gruncie, jako chłop czynszowy (*homo liber*) lub osiadał gościem (*hospes*) na ziemi innego pana². Wyjątek stanowili rzemieślnicy zapisani na własność kościołowi, bo ci mieli wiecznie w poddaństwie pozostać pod warunkiem, że ich do żadnej innej nie wolno używać pracy. Jednym wreszcie ze sposobów uzyskania wolności był karczunek. „Podejmując się go uzyskiwali wolność po wytrzebieniu pewnej rozległości lasu, a nawet stawali się posiadaczami karczunku w razie, gdy objawili chęć pozostania na miejscu. Liczne tego przykłady znajdujemy w przestworze wieków X—XII., w czasie ciągłych nie-

¹ St. Smolka.

² Tenże.

mal wojen Polaków z Niemcami. Wtedy u obu narodów powstawały wsie wśród ogromnych lasów, zamieszkałe przez chłopów. Niemcy zwali ich zwykle osadnikami (Bauer, colonus). Słowianie, że dań czyli czynsz płacili, mianowali ich poddanymi¹.

W niewolę oprócz jeńca wojennego popadał i dłużnik ze stanu wolnego. Napady i łupieztwa obcych, wydatki na wyprawę wojenną łożone, a niekiedy klęski elementarne zmuszały wolnego drobnego dziedzica do zapożyczania się; gdy zaś przy niepomyślnych okolicznościach nie było sposobu z długu się uiszczyć, przechodził w niewolę do wierzyciela i wnet z jeńcami zrównany zostawał. W tych krytycznych chwilach ratował zubożałych rolników Kościół, miłością bliźniego i potrzebą powodowany. Gdy podupadły kmiotek nie mógł się na swym kawalku gruntu utrzymać, udawał się pod opiekę biskupa lub opata, i tu niekiedy zostawał „biskupim wojakiem“, lub osiadał na gruncie kościelnym jako „chłop czynszowy“. Przyjmował ich biskup lub klasztor tem chętniej, że nie miał takiej jak rycerze sposobności chwytania jeńców wojennych; za duchownymi szli i świeccy panowie, a szczególnie książęta, zwłaszcza gdy szczęście wojenne się odmieniało. I chociaż taki gość (hospes) przy wysokości czynszu w nielepszych nieraz od niewolnika bywał warunkach, mógł przynajmniej osobą swoją rozporządzać i dowolnie grunt opuścić. Ale też i pan, skoro mu się spodobało, mógł go z roli wyrugować, a czynił to szczególnie wtedy, gdy chłop nie chciał umówionej daniny lub czynszu zapłacić². (C. d. n.)

Ks. Józef Waligóra.

¹ Maciejowski.

² St. Smolka.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Dr. Liske Xawery. **Akta grodzkie i ziemskie** z czasów Rzeczypospolitej polskiej z archiwum t. zw. Bernadyńskiego we Lwowie w skutek fundacyi ś. p. Aleksandra hr. Stadnickiego, wydane staraniem galic. Wydziału krajowego. T. XII.: Najdawniejsze zapiski sądów halickich 1435—1475. Lwów 1887 str. XIV. 551 i 1 niel.

Spełniając przyrzeczenie umieszczone w przedmowie poprzedniego tomu aktów grodzkich i ziemskich, ogłosił wydawca prof. Dr. Xawery Liske pod powyższym tytułem najdawniejsze zapiski sądów halickich, które stanowić mają dalsze ogniwo rozpoczęte w XI. tomie publikacyj najdawniejszych zabytków praktyki sądowej Czerwonej Rusi. Zbytecznem byłoby się rozwodzić nad wartością niniejszego wydawnictwa, nad ważnością jego dla nauki, boć o tem dawno już wypowiedział swe zdanie świat naukowy, zaliczając publikacye prof. Liskego do najznakomitszych dzieł tego rodzaju. Podnieść tu chyba tylko wypada niezrównany postęp tej tak żmudnej i mozolnej pracy, jaką jest publikacya zabytków średniowiecznej praktyki sądowej, gdyż w 1½ roku po ogłoszeniu poprzedniego tomu aktów grodzkich i ziemskich, zyskuje nasza literatura, tak zresztą szczupła w tym kierunku, nowe dzieło, zawierające bogate materiały nie tylko do poznania rozwoju prawa, lecz nadto pozwalające wnikać w wewnętrzne stosunki dziejowe Rusi, w jej życie społeczne i ekonomiczne, które w niejednym kierunku przedstawia dla prawnika i historyka niezgłębioną dotąd tajemnicę.

Niniejszy tom naszej publikacyi mieści w sobie zapiski sądowe ziemi halickiej, jako najdawniejsze z rzędu po wydanych poprzednio zapiskach sanockich. Pod względem metody wydawnictwa nie różni się tom XII. niczem od poprzedniego. Chodziło i tutaj wydawcy o to, aby najdawniejsze zabytki praktyki sądowej oddać — o ile możności, jak najwierniej, bez uszczerbku dla ich treści i formy pierwotnej, dlatego też wydawca postępuje oględnie w skracaniu i streszczaniu poszczególnych zapisek, które do r. 1440 wydane są w dosłownem brzmieniu, odtąd zaś przeważnie w skróceniu. Tylko pod względem układu różni się tom niniejszy od poprzedniego, tem mianowicie, że tutaj odrębnie są wydane zapiski poszczególnych sądów w porządku chronologicznym, podczas gdy w tomie poprzednim umieścił je wydawca w porządku chronologicznym razem bez względu na to, z jakiego sądu pochodziły. Ogłoszone są w obecnym tomie akta sądów ziemskich halickich od r. 1435—1475 (zap. 3865), sądów komornickich od r. 1460—1475 (zap. 294), sądów komisarskich od r. 1460—1466 (zap. 44), wreszcie fragmenta zapisek grodzkich z lat 1435, 1438—1440, 1456—1459, 1462—1464 (zap. 241). Wszystkich zapisek jest 4444. Ogłoszenie aktów halickich nastęrczało dla wydawcy niemało trudności, wiele bowiem pracy trzeba byłołożyć na to, aby usunąć nieład i zamieszanie, w jakim się te akta znajdowały, dzięki nieudolnej gospodarce tych, których z końca ubiegłego stulecia powołano do uporządkowania lwowskiego archiwum. Jak mozolną była z tego powodu praca wydawcy, jak głębokiej wymagała rutyny i znajomości rzeczy, o tem można się przekonać z zestawionej w przedmowie tabeli, dającej nam obraz aktów wydanych przed ich uporządkowaniem, a obecnie po dokonaniu takowego. Najlepiej ze wszystkich zachowały się zapiski sądów ziemskich, natomiast zapiski grodzkie tak dalece uległy zniszczeniu, że doszły do rąk wydawcy w drobnych tylko okrucach.

Miedzy zapiskami publikowanemi w niniejszym tomie spotykamy dwie kategorye takich, jakich niema w aktach sanockich, mianowicie zapiski komisarskie, które w Haliczu od r. 1460 wpisywano do osobnych zeszytów (*Registrum Regale*) i zapiski sądów komornickich, spisywane również od r. 1460 do osobnych ksiąg (*libri terrestres Camerariorum*). Z drugiej strony brak w niniejszym

tomie tego, co pomieszczono w aktach sanockich, mianowicie zapissek sądów wyższych prawa niemieckiego, którego rozszerzenie się w ziemi halickiej tak nieznacznie odgrywało rolę, że podobne sądy wyższe wcale się tutaj nie wytworzyły.

Co do treści zawierają akta objęte niniejszym tomem aktów grodzkich materiały niezmiernie bogate, odsłaniające przed nami wiele nowych i ciekawych szczegółów, rzucających nieznane światło na ówczesne stosunki prawno-społeczne tej dzielnicy Rusi Czerwonej, o której dotąd posiadamy najmniej wiadomości ze wszystkich ziem ruskich. Dzieje ziemi halickiej, podobnie jak dzieje innych dzielnic ówczesnego królestwa polskiego, rozwijając się na odrębnych podstawach, przybierają pod względem prawno-społecznego rozwoju w niejednym względzie odrębny, charakterystyczny kierunek. Ziemia ta, pozostając w swym życiu dziejowym pod wpływem danych stosunków, potrzeb, ducha czasu, wytworzyła na polu prawa i organizacji swej wewnętrznej pewne odrębności, różniące ją od innych ziem ruskich. To zaś, co jako wyraz tej odrębności ujawniło się w wytwarzającym się prawie zwyczajowym, w tem, co współczesny język sądowy zwie mianem „ius terrestre, mos terrae, modus terrester“, mogło przejść do wiadomości wieków potomnych jedynie przechowane w zapiskach sądowych, będących właśnie odzwierciedleniem tych odrębnych stosunków, stworzonych w drodze zwyczaju.

Pod względem sądowej i administracyjnej organizacji uwydatniają się w ziemi halickiej, podobnie jak w ziemi sanockiej, dwie epoki, mianowicie jedna przed zaprowadzeniem na Rusi prawa polskiego, druga zaś po tym fakcie. Ważna ta, stanowiąca przełom w rozwoju sądownictwa i administracji, chwila zaprowadzenia na Rusi prawa polskiego w myśl uchwały sejmu jedlnieńskiego, który na prośbę szlachty ruskiej przyznał Rusi Czerwonej równouprawnienie z Polską pod względem rządzenia się jednym prawem, uwieczniona jest na samym wstępie aktów halickich, gdzie mieści się uroczysta wzmianka o tem, że fakt zaprowadzenia prawa polskiego na Rusi stał się 12 września 1435 r. Zastanawiając się nad tem, jaką była sądowa i administracyjna organizacja w ziemi halickiej przed zaprowadzeniem prawa polskiego, rozstrzyga wydawca w przedmowie (str. XI.) ciekawe to pytanie bardzo trafnie, że organizacja ta była taką samą, jak w sąsiedniej ziemi sanockiej. W epoce przed zapro-

wadzeniem prawa polskiego sprawuje w ziemi halickiej, tak jak w sanockiej, połączona juryzdykcyą grodu i ziemstwa jeden organ sądowy złożony ze starosty, sędziego zwanego ziemskim, wojewody, będącego podwładnym funkcyonaryuszem starosty, i pisarza. Trafny ten domysł oparł wydawca na jednej z zapisek z r. 1436 (z. 72), gdzie jest wzmianka o byłym sędzi nazwiskiem Spiecznik, który mógł tę godność piastować tylko przed r. 1435, gdyż w tymże roku piastuje już tę godność Jan Kola, występujący odtąd jako sędzia ziemski w znaczeniu organizacyi sądowej polskiej. Że przed r. 1435 istniał też starosta, wchodzący w skład wspólnego sądu wedle organizacyi ruskiej, to zdaje się też nie ulegać wątpliwości, gdyż na godności tej spotykamy jeszcze w r. 1427 (z. 135) Michała Buczackiego. Z czasów tej organizacyi sądów wedle prawa ruskiego zdaje się pochodzić, jak słusznie wydawca zauważył, jedyna ruska zapiska (4204) z r. 1435, umieszczona w naszej publikacyi, gdzie kasztelan i starosta halicki, Michał Buczacki, występuje w sądzie obok sędziego Jana Koli i obaj fungują jako organa władzy sądowej, zorganizowanej wedle prawa ruskiego. Po wprowadzeniu w tymże samym r. 1435 na polu sądownictwa organizacyi polskiej i połączonego z nią rozdziału juryzdykcyi na ziemską i grodzką, pozostaje Michał Buczacki na swem dotychczasowem stanowisku, jako reprezentant juryzdykcyi grodu — Jan Kola zaś otrzymuje charakter sędziego ziemskiego w znaczeniu organizacyi sądowej polskiej, i wykonuje razem z dodanym sobie podsędkiem w osobie Scibora z Wasiczyna juryzdykcyę ziemstwa.

Zorganizowane wedle prawa polskiego sądownictwo w ziemi halickiej przedstawia, podobnie jak w ziemi sanockiej, charakter centralizacyjny, a to mianowicie na polu sądownictwa ziemskiego. Na całą ziemię, dzielącą się pod względem administracyjnym na pięć powiatów mianowicie: halicki, kołomyjski, śniatyński, trębowelski i koropiecki istnieje tu jeden sąd ziemski w Haliczu, podczas gdy sądy grodzkie posiada prócz Halicza też Kołomyja (z. 3908) i Trębowla (z. 2699). Centralizacya ta władzy sądowej obudziła potrzebę wytworzenia się instytucyi pewnych stałych organów zastępujących funkcyonaryusza sądu ziemskiego, w obec tego, iż sędzia, obowiązany do objeżdżania całej ziemi i wykonywania juryzdykcyi ziemstwa w innych miejscowościach jak w Haliczu przy li-

cznie mnożących się sprawach sądowych, nie mógł sam podolać swemu zadaniu. To też z czasem zjeżdżają sędzia i podsędek ziemi halickiej do takich miejscowości jak Kołomyja (z. 2986) lub Trębowla tylko w sprawach ważniejszych, zresztą zaś zastępują ich w urzędowaniu zarówno w Haliczu jak i w wspomnianych miejscowościach stali zastępcy w osobach komorników. Instytucja komorników, nieznana prawie zupełnie w ziemi sanockiej, gdzie sędziego w razie przeszkody w urzędowaniu zastępują czasowi zastępcy (sędziowie tymczasowi, *iudices pro tunc*) — zajmuje w ziemi halickiej, już od początku zaprowadzenia w sądownictwie organizacji polskiej, wybitne stanowisko. I tak już w r. 1435 posiada sędzia i podsędek swoich komorników (*Camerarius Judicis et Subiudicis*) (z. I.) którzy stale ich na roczkach zastępują. Podobnie i starosta halicki posiada zrazu takiego komornika zwanego *Judex Camerarius Capitanei* (z. 19), ale to trwa tylko krótki czas, już bowiem w r. 1436 nie spotykamy tego funkcyonaryusza. Natomiast komornicy sędziego i podsędka pozostają nadal i istnieją nie tylko w Haliczu, ale też w Kołomyi (z. 3647, 3820) i Trębowli (z. 2844, 2897), gdzie również stale zastępują sędziego i podsędka w wykonywaniu jurysdykcji ziemskiej. Komornicy ci zasiadają na roczkach ziemskich bądź obok, bądź w zastępstwie sędziego i podsędka; rozstrzygają w ogóle we wszystkich sprawach, w których kompetencja ziemstwa była uzasadnioną. Tylko niektóre ważniejsze sprawy musiały być rozstrzygane przez samego sędziego i podsędka, stąd też w razie wytoczenia ich przed forum komorników, mogła strona tymże zarzucić niekompetencję (z. 3941). W ten sposób dzieliła się jurysdykcja ziemstwa na *ius terrestre*, sprawowane przez samego sędziego i podsędka, na *ius Camerariorum*, sprawowane przez komorników. Z czasem doszło do tego, że dla komorników wydzielono stale pewien zakres działania ze sfery kompetencji ziemstwa i przydzielono im wyłącznie pewne sprawy, do których w pierwszym rzędzie zaliczały się sprawy chłopskie, odtąd też spełniają oni stale własną jurysdykcję komornicką. Od r. 1460 posiada ten sąd komornicki własne księgi i protokoły, ogłoszone osobno przez wydawcę pod mianem *Inscriptiones Camerariorum*. Sąd ten komornicki pozostał jednak zawsze w zawisłości od sądu ziemskiego i tak od wyroku komorników szły zawsze apelacye do se-

dziego ziemskiego (3941), często się też zdarzało, że komornicy, nie mogąc rozstrzygnąć jakiej zawilej sprawy, odnosili się z urzędu do tegoż sędziego, lub też odsyłali strony do decyzji rządu ziemskiego.

Pod względem toku instancyj spotykamy w ziemi halickiej te same właściwości, które cechują ówczesną organizację polską. I tu występuje jako wyższa instancya sąd wiecowy, zbierający się w pewnych okresach czasu w Haliczu, podobnie jak dla innych dzielnic Rusi we Lwowie, Przemyślu i Sanoku. Zapiski halickie przynoszą nam jeszcze jeden ciekawy szczegół. Oto, dowiadujemy się, że po nad wszystkimi sądami wiecowymi istniała na Rusi jeszcze wyższa instytucja zwana: *conventio generalis in Mościska* (z. 595, XXXI.), na którą zjeżdża się szlachta całej Rusi Czerwonej i rozstrzyga ostatecznie najważniejsze sprawy, przed jej forum wniesione. Organ ten sądownictwa wyższego, przedstawiający się, jak słusznie wydawca zauważył, jako poprzednik późniejszego sejmiku wiszyńskiego, wysłał do Halicza swoich deputatów (*deputati per conventionem in Mościska*), którzy tu występują z jego ramienia.

W ogólności zdradza szlachta ziemi halickiej pod względem poszukiwania sprawiedliwości w sądach niezwykłą ruchliwość i obrotowość. Jak trafnie zauważył wydawca, przedstawia się liczebny stosunek spraw i zapisek sądowych w ziemi halickiej o wiele korzystniej, niż w ziemi sanockiej, mianowicie ze statystycznego zestawienia, pomieszczonego przez wydawcę w przedmowie wynika, że o wiele więcej zapisek przypada na rok w sądach halickich niż w sanockich. Objaw ten ma zapewne w tem swe uzasadnienie, że wiele zapisek odnosi się do spraw chłopskich, z którymi się w sądach sanockich prawie nie spotykamy. Zapiski te, odnoszące się do spraw chłopskich, rzucają nader ciekawe światło na stosunki i organizację tej warstwy społecznej, której przeszłość jest nam dotąd bardzo mało znana, tj. włościan. Ludność ta dzieliła się w ziemi halickiej podobnie jak w Polsce na swobodną, mającą wolność przesiedlania się, i nieswobodną, która tej wolności nie posiadała. Do pierwszej kategorii należeli, obok tych kmieci wolnych, którzy byli osiedleni w dobrach osób prywatnych, kmiecie królewscy (*kmethones Regales*), wśród których pewna warstwa nosiła miano sokolnicy (z. 1888). Obok włościan swobodnych napotykałyśmy też chłopów nieswobodnych (*kmethones illiberi, servi*), niektórzy z nich noszą miano ludzi ka-

lannych lub kalanników (z. 891, 1096). Wśród nich są tacy, którzy osiedli na całej zagrodzie (*homines areales*), dalej tacy, którzy posiadali tylko połowę zagrody (*homines de media area*) (z. 4152). W przeciwstawieniu do tych napotykamy też włościan nieosiadłych (*qui serviunt ad curiam et non laborant terram nec habent areas* z. 1640). Obok tych występują między ludnością nieswobodną też noszący nazwę ordyńców (*homines ordninczi*) (z. 1096. 1144). Być może, że była to ta warstwa ludności, która dostała się w niewolę wojenną i z rąk zwycięzców przechodziła na własność osób prywatnych, lub, co się zdarzało, kościoła, tak np. spotykamy wzmiankę o takich ordyńcach, *qui per Dom. Regem dati sunt ad ecclesiam* (z. 2171). Obok nich stanowili osobną kategorię chłopci niewolni, osiedleni w dobrach królewskich (*servi Regales*), którzy nie byli tem samem co ordyńcy, jak tego dowodzi jedna zapiska (1786), gdzie jest wzmianka o chłopie, który był „*servus Regalis*“, a nie był ordyńcem. Prócz tego znajdujemy włościan noszących nazwę dziesiętników i nie wiadomo jakie znaczenie mającą nazwę *kmetho zapochodzaczy* (z. 1691). Również wiele ciekawych szczegółów podają nam zapiski halickie o ciężarach i powinnościach ciążyących na ludności włościańskiej.

Wspomnieliśmy wyżej, że wiadomości tych dostarczają nam zapiski odnoszące się do licznych procesów, toczących się w ziemi halickiej w sprawach chłopskich. Procesy te liczne świadczą wymownie o tem, że w ziemi halickiej był popyt za ludnością roboczą o wiele silniejszy, aniżeli w ziemi sanockiej. Olbrzymie latyfundye, znajdujące się w rękach szlachty, były po większej części nieuprawne i niezaludnione, brak sił roboczych i spotęgowany za nimi popyt stawał się powodem licznych sporów i zatargów między szlachtą z powodu bezprawnego przywłaszczania sobie obcych osadników, był też powodem zdarzających się nie rzadko wypadków bezprawnej emigracji ludności osiadłej we włościach, która często przenosiła się z jednej osady do drugiej, gdzie się jej uśmiechały korzystniejsze warunki bytu. Procesy te toczą się w ziemi halickiej przed sądem ziemskim, w którym to względzie zachodzi różnica między tą ziemią a przemyską, gdzie sprawy te są przekazane jurydycey grodu. I tak, w Haliczu przed sądem ziemskim odbywają się zrazu osobne roczki, na których rozsądane były sprawy chłopskie, zwane

termini pro hominibus (z. XXV.), lub *iudicium recessionarium*, i dopiero później przekazano te sprawy stale jurydyceji rządów komornickich. Nader zajmującą jest treść tych procesów, która podaje nam mnóstwo ciekawych szczegółów, rozjaśniających stosunki włościańskie na Rusi. I tak dowiadujemy się z nich o t. zw. re-
klinacyi tj. przejściu włościan z jednej osady do drugiej (wychód), i o warunkach, pod jakimi to mogło nastąpić. Istniejący w tej mierze zwyczaj otrzymał sankcyę prawną w statucie uchwalonym na wzór statutów polskich przez szlachtę ziemi halickiej w r. 1435 (z. 4203), wyliczającym szczegółowo obowiązki i powinności, które winien był w obec swego pana spełnić kmieć, opuszczający jego osadę. Napotykamy też częstokroć wzmiankę o opłacie zwanej *pecunia reclinalis*, którą winien był składać na rzecz pana kmieć opuszczający osadę, dalej o opłacie zwanej *osielczyzną*, którą składał panu kmieć osiedlający się w jego obszarach (z. 2174). Z procesów toczących się często między kmieciami a właścicielami osad o to, czyli po stronie tego ostatniego zachodził obowiązek wypuszczenia ze swej osady kmiecia mającego swobodę przesiedlania się, dowiadujemy się też, że pod względem ilości osadników, których pan co roku wypuścić był obowiązany, zachodziły w ziemi halickiej odmienne stosunki niż w Polsce. Podczas gdy tam — wedle statutu wiślickiego — nie mogło się co roku z jednej wsi do drugiej przenieść więcej osadników jak dwu, to w ziemi halickiej wytworzył się zwyczaj, iż ilość mogących co roku emigrować osadników zawisła była od ilości zagród we wsi istniejących, tak np. ze wsi liczącej więcej niż 20 zagród, mogli się wydalić co roku 2 włościanie, z liczącej więcej jak 10 zagród — tylko jeden. Aby to skonstatować, wysyłał sąd do wsi woźnego, który obliczał istniejące w niej zagrody, co się nazywało *numeratio vel computatio arearum* (z. 371, 2377). Ciekawe jest też postępowanie sądowe w sprawach o zbiegłych kmieci. Dopominający się o zwrot nieprawnie zbiegłego kmiecia prowadził dowód z przysięgi na okoliczność, że zbieg jest jego poddanym, to samo mógł też udowodnić zeznaniami świadków powołanych z pośród sąsiadów lub krewnych zbiega. Częstokroć zachodziła też potrzeba dowodzenia, że kmieć należał do warstwy ludności swobodnej, której przysługiwała wolność przesiedlania się, a to na wypadek, gdy pan temu zaprze-

czał, utrzymując, że zbiegły jest niewolnym, przywiązany do gleby, który osady opuszczać nie może. Dowód ten prowadzono w podobny sposób, jak i przy oczyszczaniu szlachectwa w razie zaprzeczenia takowego, przez zeznania osób równego stanu, mianowicie przez przysięgę kmieci swobodnych, najbliższych sąsiadów zbiega, którym szczegóły jego pochodzenia mogły być wiadome (z. 70, 1096). Także na odwrót zeznawali świadkowie najbliżsi sąsiedzi, że zbieg należał do warstwy niewolnych, którym wolność przesiedlenia się nie przysługiwała, że zatem opuścił nieprawnie osadę i swego dotychczasowego pana. W takim razie zapadał wyrok sądowy, że zbieg obowiązany jest do powrotu, co woźny sądowy przymusowo na nim egzekwował, wyrzucając go z miejsca dotychczasowego schronienia (z. 379, 3453). Ale z drugiej strony zmuszał też niejednokrotnie wyrok sądowy pana do wypuszczenia z osady tych, którym, w myśl istniejących zwyczajów po uczynieniu zadość wymagany obowiązkowi, prawo do emigracji przysługiwało.

Ciekawych szczegółów dowiedzieć się można z naszej publikacji też o wykonywaniu jurydyki patrymonialnej przez panów nad poddanyimi, i organizacyi tego sądownictwa patrymonialnego. Spotykamy się z całym szeregiem funkcyonaryuszów zwanych *watamanami*, *ciwunami*, także *officiales*, *procuratores*, którzy wspierają właścicieli osad w spełnianiu czynności sądowych, administracyjnych i ekonomicznych w osadzie. Nimi też wyręczają się panowie w sprawach chłopskich, toczących się przed sądami, powierzając im za zwyczaj prowadzenie tych procesów.

Szlachta osiedlona w ziemi halickiej, objawiająca tyle życia na polu sądownictwa, bierze żywy udział w sprawach ustawodawstwa partykularnego. Zasady prawa polskiego, nadane ziemiom ruskim, znajdują w ziemi halickiej dalszy swój rozwój w uchwalanych na sejmikach laudach. Objaw ten świadczy, że mieszkańcom ziemi halickiej nie tylko nie była obcą znajomość prawa powszechnego, które znajduje owe rozszerzenie i uzupełnienie w tych pomnikach ustawodawstwa partykularnego, lecz także i o żywotności szlachty halickiej, która, odczuwając lokalne potrzeby, stosując się do danych stosunków, uzupełniała luki ustawodawstwa powszechnego. O laudach takich znajdujemy w aktach halickich niejednokrotne wzmianki (z. 2841, 4046 i inne). Kilka z nich zamieszcza wydawca w całości

w swej publikacyi. I tak zap. 4204 w języku ruskim podaje nam także laudum szlachty halickiej jeszcze z czasu przed nadaniem Rusi prawa polskiego. Normuje ono przepisy odnoszące się do ściągania złodziei. Drugie laudum z r. 1435 (z. 4203) zawiera postanowienie, odnoszące się do wykonywania handlu wyłącznie w obrębie murów miast i do opłat i powinności, które mają panom uiszczać kmiecie, opuszczający ich osadę. Te ostatnie postanowienia były zupełnie zgodne z postanowieniami w tej mierze wydanymi w Polsce, których zastosowanie rozszerzyła szlachta halicka także na swoją ziemię, zapewniając im w tem laudum sankcyą prawa. Statut ten ogłoszony był już poprzednio w *Bibliotece Warszawskiej* z roku 1858 przez ks. T. Lubomirskiego, ale niedokładnie, gdyż mylnie podał datę, oznaczając jako czas powstania tego statutu rok 1493. Wreszcie mieści w sobie nasza publikacya laudum z r. 1444 (z. 1395) odnoszące się do kradzieży i rozbojów, reklinacyi włościan i powołania osadników wsi na prawie wołoskiem osadzonych do współudziału w wojnie, następnie drugie z r. 1445 (z. 1525) traktujące o terminach sądowych i reklinacyi, i trzecie z r. 1464 (nr. 3140) odnoszące się do czasu odbywania roczków sądowych. W ogólności zaznaczyć wypada, że szlachta halicka, tak jak ona się przedstawia z aktów halickich, zajmowała pod względem ekonomicznym wcale wybitne stanowisko. Nie wiele między nią wprawdzie rodzin magnackich, do których zaliczyćby można tylko cztery wybitniejsze rodziny: Buczackich, Fredrów, Chodeckich i Kolów, które posiadają znaczniejsze kompleksy ziemi i piastują najwyższe godności krajowe. Natomiast nie brak tu potomków dawnych kniazów ruskich, osiadłych w dziedzicznych swych gniazdach, nie brak załoźnej, rozległej włości posiadającej, drobnej szlachty ruskiej i polskiej. Ta ostatnia to potomkowie tych, którzy po okupacyi Rusi przez Kazimierza W. przybyli w te strony, aby na olbrzymich, bezludnych latyfundiach ruskich szukać nowej ojczyzny, dającej im silną podstawę potęgi ekonomicznej. Oddana prawie wyłącznie gospodarstwu rolnemu w tym też przeważnie kierunku rozwija swe usiłowania, mające jej zapewnić dobrobyt.

Natomiast ludność włościańska zdaje się zajmować w ziemi halickiej mniej korzystne stanowisko niż np. w ziemi sanockiej.

Wsie w ziemi halickiej istniejące osiedlone są przeważnie na prawie ruskim i polskim, które na ludność włościańską nakładało wiele ciężarów i uciążliwości. Korzystniej pod tym względem położone były nie rzadko tu się znajdujące wsie na prawie wołoskim, natomiast osady niemieckie, tak licznie rozsiane po ziemi sanockiej, zapewniające ludności wiejskiej prócz autonomii rozliczne ulgi i ułatwienia ekonomiczne, należą tutaj do rzadkich wyjątków, a i te, które istnieją, nie posiadają tych swobód i uprawnień ekonomicznych, jak podobne osady w ziemi sanockiej — mianowicie ludność w nich osiadła obowiązana jest do pełnienia robocizny (z. 3646), czego zresztą nigdzie w osadach niemieckich nie spotykamy.

I miasta w ziemi halickiej, mimo że rządziły się po większej części prawem niemieckim, nie objawiają wcale tego życia i ruchliwości, co np. miasta ziemi sanockiej, stojące podówczas u szczytu swego ekonomicznego i autonomicznego rozwoju. Rzadkie wzmianki o nich w wydanych aktach halickich wskazują na to, że życie ich, narażone na częste klęski z powodu krwawych napadów tatarskich, nie przybrało jeszcze tych rozmiarów, co inne miasta ówczesne, że przeciwnie, życie to było jeszcze w powiciu. Że atoli w ocenianiu ważności posłannictwa miast starano się podnieść ich ekonomiczne stanowisko, tego dowodem laudum szlachty halickiej z r. 1435 (z. 4203), zapewniające miastom monopol handlowy, w myśl którego nie wolno było nikomu kupeżyć poza obrębem miast. Postanowienie to wpłynęło zapewne na rozwój stosunków handlowych w miastach, gdzie odbywają się peryodyczne targi i jarmarki, mające do miast zwabiać ludność z dalekich okolic. Nawet dowiadujemy się o wytworzeniu się osobnej waluty kupieckiej (z. 3290), która istnieje w ziemi halickiej obok obiegającej w kraju monety *numeri et ponderis Ruthenicalis* i *ponderis Leopoliensis*, nie mniej też obiegającej w handlu ze Wschodem monety, zwanej *floreni Thurcarum* (z. 2883).

Wpływ Niemców i kolonizacyi niemieckiej nie objawia się w miastach ziemi halickiej tak silnie jak w Polsce i innych dzielnicach Rusi, gdzie takowe podówczas prawie wyłącznie były rządzone i zamieszkałe przez Niemców. Dowodem tego przychodzące w aktach halickich nazwiska mieszczan i rajców, które w znacznej części wskazują na krajowe tychże pochodzenie. Z innych miesz-

kańców miast wymienićby można Żydów, z którymi dość często się spotykamy w aktach, podczas gdy np. w ziemi sanockiej prawie zupełnie ich podówczas nie widać. Co się dotyczy stosunków etnograficznych w osadach wiejskich, to podnieść należy, że spotykamy się w nich głównie z ludnością pochodzenia ruskiego i polskiego, a w znacznej części też wołoskiego. Że w nich nie brak było ludności napływowej, przybyłej z odległych stron, tego dowodzą napotykanne między ludnością wiejską nazwy jak: *Bohemus*, *Thartharyn*, *Mazowszanin*, *Szlązak* i t. p.

Wydawnictwo nasze jest także skarbnicą wielu ciekawych wiadomości i różnych materyałów służących do poznania prawa prywatnego polskiego, niemniej też karnego i procesowego. Materyały te rozjaśniają niejeden szczegół z dziedziny praktyki sądowej partykularnej, tak często odmiennej od ogólnych zasad prawa powszechnego. Korzystanie z tych materyałów dla prawnika ułatwia umieszczony przy końcu dokładny i sumiennie ułożony indeks rzeczy prawnych, ułożony przez prof. Dra O. Balzera, obok tego zaś pomieścił wydawca jak w tomie poprzednim ułożone przez siebie dwa indeksy, jeden nazwisk osób i miejscowości, drugi wyrazów polskich.

Wł. M—z.

W zimowy wieczór. II. Panna Antonina przez *Elizę Orzeszkową*. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1888.

W literaturze beletrystycznej ostatnich czasów zapanowała nowella. I nie dziw, w czasach gorączki w jakiej żyjemy, jaką miotani jesteśmy, temu a nie innemu prądowi ulegz ostatecznie musieliśmy. Stara, utarta forma kilkutomowej powieści, rozwijającej na szeroką skalę dramat ludzkiego żywota, musiała pozostać w tyle, wyparta przez nową błyskawiczną formę nowelli, obejmującej lotnością chwili, dzieje tego biednego żywota ludzkiego. Czy literatura, artyzm literacki, poczucie smaku w ogólności zyskały na tej przemianie, sąd o tem nie do nas należy. Zaznaczamy sam fakt tylko, spełniony, dokonany od dawna. Na wyłomie tego przeobrażenia literackiego pozostał sam jeden chyba Sienkiewicz, choć i ten przed rozpoczęciem wielkiej swej trylogii powieściowej, dobiegającej obecnie do końca, zwrócił się był na chwilę do drgającej życiem nowelli, i traktował ją, jak wszystko zresztą czego się dotknął, po mistrzowsku, ze zwyczajnym mu artyzmem. W ślad za nim poszła i nasza powieściopisarka, Eliza Orzeszkowa. Do ich rydwanu wprzódz się pospieszyli wkrótce i inni, jak Szymański i nareszcie Hajota, która niby młode orlątko, wspinać się na te wyżyny usiłuje także. W tej nowej jednakże niby ludów wędrownice, wybitną rolę zajmuje p. Orzeszkowa.

Talent jej niepośledni, zdobyte zresztą od dawna stanowisko w areopagu literackim wyrobiły jej odrzuć i na tem nowem polu miejsce poczytne. Lecz cóż jest i jaką jest właściwie ta nowella, o której pojawieniu i adeptach tyle już powiedzieliśmy? To dziecię wieku i atmosfery, w jakiej żyjemy, powietrza, którem oddychamy wszyscy obecnie, realizmu, który nas owionął i stał się niejako potrzebą naszego ducha, niezbędnym jestestwem naszego warunkiem. Rozgorączkowani, coraz to nowe tworzyć sobie poczęliśmy ideały, coraz to nowe punkta wytyczne, w odalonej, mglisto zarysowanej się przyszłości. Nowe drogi, prądy coraz to odmienne stawiały w naszej wyobraźni niby fantasmagorye mające zreformować, zbliżyć do urojonego ideału, zestarzałe w naszym mniemaniu kierunki społeczne. W szeregu tych urojeń wyrastały coraz to nowe tak zwane kwestye społeczne, mające w niedalekiej przyszłości zbliżyć ludzkość do wymarzonego ideału, wprowadzić ją na nowe drogi. Zmieniło się to wszystko, jakby pod szkłem kalejdoskopu. A więc naprzód wysunęła się brzemieniona swą doniosłością kwestya emancypacyi kobiet, która już już groziła zburzeniem całego dotychczasowego ustroju społecznego. Za nią wystąpiła tak zwana kwestya żydowska, na której lep dała się wziąć najwykształceńsza społeczność naszego cząstka. Za nią poszło przeobrażenie całkowite stosunków socyalnych w ogóle i t. d. i t. d. Któżby już dziś wszystkie te urojenia i widziadła zliczyć zresztą potrafił.

Pani Orzeszkowa, umysł wyższy, górujący po nad ówczesne swe otoczenie, śledziła bacznie wszystkie te przeobrażenia ówczesne, punkt ich kulminacyjny chwytając w lot, ścieląc mu drogę na przyszłość. Najdłużej może zatrzymała ją tak zwana kwestya żydowska, czego wynikiem był cały szereg najwydatniejszych jej, powieściowych utworów. Z tych, o ile pamiętamy, najpiękniejsze w swoim czasie, były dwie jej powieści: Eli Makower i Mejer Ezełowicz. Po napisaniu tych dwóch, z pewnością najlepszych swych powieściowych utworów, choć w najwyższym stopniu zaprawnych tendencyą, autorka jakby skupiać się zaczęła — widocznie w wyobrażeniach jej ówczesnych jakiś przewrót gotować się musiał, uspakajały się burze, które tym niezwykłego pokroju talentem dotąd miały. Tymczasem w świecie literackim zapanowała nowella, i autorka nasza dała się rychło pociągnąć, uległa jej prądowi. Nikt nie wątpi, że obdarzona w tym stopniu autorka zapanowała w tym nowym kierunku pisarskim odrzuć, prześcigając nawet towarzyszków i towarzyszek swoje w zawodzie. Ale i pod względem wyobrażeń dotychczasowych p. Orzeszkowej nastąpił zwrot, który w niej dostrzeżono wnet. Nie była to już kobieta o wyobrażeniach skrajnych, płomiennych, chwytająca w lot pierwszą lepszą mrzonkę społeczną, wijącą się jak bluszcz na kanwie jej pisarskiej — skala jej talentu dojrzała, rozwijać się poczęła spokojnie, poważnie w psychicznych swych poglądach na ustrój otaczającego ją społeczeństwa. Zrzadka tylko w nowszych jej utworach błakają się — niby mgliste cienie — przejawy dawnych jej wyobrażeń. Nie straciła na tem samodzielnosc jej literacka, wionął tylko jakby oddech nowej wiosny w kreacyach jej literackich. I dobrze jej z tem, i jakby błogość jakaś spokojna otaczać poczęła jej literacką atmosferę.

Dwa nowe tomiki nowel p. Orzeszkowej w sukience strojnej, którą przyoblekł je wydawca, ukazały się pod tytułem: *W zimowy wieczór i Panna Antonina*. Śliczna to wiazanka wonnego, jakby majem tchnącego kwiecica i zaśluszyła na barwną sukienkę, w jaką przyodziął je p. Gebethner wydawca. Z bu-

kieciku tego, z tej polskiej bluetki usunęlibyśmy tylko jedną nowelkę, zatytułowaną: *Dobra Pani*. Nie wiosenne kwiecie, ale apteczne piżmo zalatuje od niej aż nadto niestety wyraźnie. Kobiet w rodzaju bohaterki tej nowelli, społeczeństwo polskie nie miało nigdy podobno. Zapożyczyła ją chyba autorka z licznej galerii p. Sand i wprowadziła na polską ziemię. Inna nowella, oryginalnie a. b. c. zatytułowana, której za tło służyły stosunki nasze do niedawna w księstwie Poznańskim, odwzorowuje takowe z pesymizmem zanadto może tendencyjnym — ale ten jedynie dalby się może usprawiedliwić. Wsunął się do tej galerii i Żyd jeszcze w nowelli *Gedał*, żyd upoetyzowany, ale czyż nie biliśmy czołem przed Mickiewiczowskim Janklem Cymbalistą, którego prawdopodobnie p. Orzeszkowej za wzór służyć musiał. Rozbiór pojedynczych tych nowellek pisać nie podobna, zaznaczyć tu wszakże godzi się poprawność językową autorki, bardzo wydatną od pierwszych jej utworów.

Tadeusz Jerzy Stecki.

Pieśni i legendy dziejowe przez Podolanę. Książeczka I. Święty Wojciech. Kraków 1888.

W literaturze przeznaczony dla młodocianego wieku mamy do zaznaczenia „Pieśni i legendy dziejowe“ przez Podolanę (Marię Sandoz). Książeczka I. zawiera zbiór legend o św. Wojciechu, rozprószone pomiędzy ludem. Z każdej legendy wysnuta nauka zdrowa dla młodego wieku i przystępnie podana. Są to po większej części nieznanne i nie drukowane dotąd podania, dla których zebrania, autorka pełne trudu i kosztowne podróże odbywała w ciągu kilku lat ostatnich w granicach niemal całej dawnej Polski. Wplatając współczesne dzieje Polski, urozmaica i objaśnia niemi miejscowe podania o św. Patronach Polski, przez co nabierają one aktualności i stają się bardziej zajmujące. Styl legendowy, treść religijno-dziejowa, dążność uczciwa

S. Z.

Oskar i Wanda. Obraz dramatyczny w 15 odsłonach. Z teki Anhelego. Kraków 1888. Str. 181.

Kto weźmie tę książeczkę do ręki dla zabicia czasu, szukając silnych wrażeń, nerwy drażniących, ten się zawiedzie; ale kto szuka uspokojenia dla ducha i radby go po codziennym ciężkim znoju wyższymi ideałami nakarmić, harmonijnym widokiem prawdy, dobra i piękna pokrzepić — ten niech weźmie do ręki „Oskara i Wandę“, a trudu nie pożałuje. Akcja dramatyczna, osnuta na galicyjskich wypadkach z r. 1846, bardzo prosta; to widocznie tylko tło, na którym prawdziwa poezja „życia kolorami“ coraz inne i wyższe uczucia serca ludzkiego maluje: miłość ludzi, ojczyzny, wreszcie najwyższe ze wszystkich uczuć, przepełniających serce człowiecze: miłość Bożą. Autor malował swój obraz z pragnieniami i uczuciami, które ożywiały duszę Tekli, wyrażającej na płótnie wizerunek Boga rodzicy; słowa jego wypłynęły z serca i do serca trafiają, i nie dziw, bo i on widocznie „oddając piórem, co rozum zdumiewa“, opisując sprzeczne żywioły walczące w dziejach, sprzeczne uczucia w sercu ludzkim grające, szedł za przykładem Fra-Giovaniego, i

„Kłęcząc malował wszystkie swe obrazy,
Z nieba w modlitwie błagając natchnienia“.

Na szczegóły zwracać uwagi nie można; zbyt wiele ustępów pięknych, zdań prawdziwych a głębokich ciśnie się na myśl i pod pióro. Bardzo pięknem jest określenie przyjaźni przez Oskara; ważnem, pobudzającym do głębszego zastanowienia się, pytanie: „Czy dusza święta z ułomną, skalaną duszą może się przyjaźnią związać? Rozmowa Witolda z Hektorem przypomina rozmowę Pankracego z Hrabią, tylko że Witold choć nie efektowniej, to prawdziwiej domaga się, aby wszystkie stany bez różnicy w miłości ojczyzny się złączyły. Wybornym jest Hektor głoszący z patosem: „Nie o zamiary, lecz o rozkaz pytaj“, gdy jednocześnie domaga się i mienia, i życia w ofierze i szlachtę ryczałtem potępia. Lecz powtarzamy, szczegółów powtarzać i wyliczać nie podobna; zresztą każdy, kto smakuje w wytworniejszym pokarmie duchowym i cieszy się, gdy w pięknej formie zdrowa myśl się kryje, sam najlepiej oceni ten nowy, a co dzisiaj tak rzadko powiedzieć można, nie dla samych tylko rymów i rytmu — poetyczny utwór.

B.



Z piśmiennictwa zagranicznego.

Z literatury francuskiej¹.

Jeszcze publikacje historyczne. — Literatura poświęcona „Dziewicy Orleańskiej“. — Francuzi o historii zagranicznej. — Studya społeczne i antysemickie. — Biografia Rafaela. — „Towarzystwo Rzymskie“. Opis podróży po Irlandyi. — Melchior de Vogüé. — Literatura rosyjska we Francyi. — Powieść i nowelle. — Rozrost dziennikarstwa.

Dział historyczny, jak mieliśmy się o tem sposobność przekonać, zajmuje w społecznem piśmiennictwie francuskim miejsce naczelne, przechodzi obfitością ramy luźnego przeglądu. Prócz wymienionych już dzieł, przypomnijmy tutaj postępującą coraz dalej historię Monarchii Lipcowej, wybornie opracowaną przez p. Thureau Danguin; niedokończone niestety, z powodu przedwczesnej śmierci, znakomite dzieło p. t.: *Histoire des émigrés*, dziejopisarza Filipa II., p. H. Fourneron. Wspomnieliśmy już nowy tom rewolucyjnej psychologii p. Taina. Spokojniejszy, obiektywniejszy, a stąd i głębszy historyk owego dziejowego przełomu, A. Sorel, raczej polityczną i dyplomatyczną darzy nas historią rewolucyi w księdze

¹ Por. Zeszyt lutowy. str. 240—251.

zatytułowanej: *L'Europe et la révolution française*. Dzieło to, odznaczone najwyższą nagrodą akademieczną, *prix Gobert*, uzuanem przez to samo zostało za najznakomitszą pracę historyczną z lat ostatnich.

Epoki klęsk potrzebują pociechy i oparcia, a takowego szukać zwykły w historii. Jak u nas obłężenie Częstochowy powraca w pieśni i powieści, jakby rękojmnią obrony i ochrony wśród naj-sroższych fal „potopu“, tak dzisiejsza Francya z osobnem upodobaniem wznawia wciąż pamięć Dziewicy Orleańskiej. Rośnie literatura wyłącznie jej dziejom, jej czci poświęcona. Nie dość własnych hołdów, przyswajają sobie i obce; tłumaczą dzieło Goerresa. Podczas gdy episkopat popiera myśl ks. Dupanloup i zanosí przed rzymską stolicę sprawę beatyfikacyi oswobodzicielki Francyi, świat uczony i literacki wzbogaca swą ojczyznę wspaniałą księgą, która — obok życiorysu Joanny, zawierać będzie przepyszne ilustracye naj-pierwszych mistrzów, utwory muzyczne natchnione pamięcią bohaterki, nieznané dokumenty i t. d. Wydawca Lemercier, chcąc ubrać w cechę oryginalności tę monumentalną publikacyę, postarał się nadto o autografy czterdziestu członków akademii francuskiej. Każdy z nieśmiertelnych pospieszył to z aforyzmem, to z wierszem, na co kogo stało. Jeden się tylko od tego danku uchylił, znany publicysta, dziś senator Rzpłtej, J. Lemoinne. Zrozumiał może, iż pióro, którego rzemiosłem było sprzeniewierzenie się wszelkiej wierze i wierności, niegodnem jest uczcić wierną i wierzącą Dziewicę. Urosło z tego pokłosie nader zajmujące. Orleanista Cuvillier Fleury, wspomina wyrzeźbiony dłutem córki Ludwika Filipa posąg Joanny; Bonapartyści naciągają jej legendowe dzieje z świeższą Napoleońską legendą; książę d'Aumale, wywołany edyktem proskrypcyjnym z Francyi, odzywa się słowami ujętej w niewolę bohaterki: „Módlcie się za mnie przyjaciele, otom zdradzona, i już więcej nie będę mogła służyć szlachetnemu królestwu Francyi“. Marmier i kilku innych chłoszczą Voltaira, który najczystsza postać przeszłości zhańbić próbował. Rousse porównywa drobny, skromny posąg Joanny z olbrzymim opodał pomnikiem Gambetty i dodaje: „Spółcześni mają jedną miarę — potomność zaś inną“. Dowcipny autor *Świata nudów* — Pailleron, odzywa się z zdaniem, które do niejednego trafi przekonania: „Spalono niegdyś Joannę, dziś jej dzieje wytłu-

„maczyć i wyjaśnić próbują. Anglicy z niej zrobili męczennicę, „uczeni zaś historyczkę. „Co do mnie — wolę Anglików“.

Protestant Cherbuliez krzywi się na życzenie kanonizacyi: „Po co się o to kusić daremnie? acz obcowiała z świętymi, nie „była świętą, jeno dobrą Francuską“.

Kamil Rousset w Sot podejmuje ukryte w tem zdaniu żądło: „Niech mi to kolega przebaczy, ale mam ją za świętą i wielką „świętą, dla tego właśnie, iż była dobrą Francuską“.

Poganin Leconte de Lisle jedyną fałszywą nutę domieszał do tej zgodnej harmonii, zjadliwą wycieczkę przeciw monarchii, która rzekomo zdradzić miała Joannę i przeciw Kościołowi „kupionemu przez wrogów“, który ją spalił żywcem, jako czarownicę i heretyczkę. Poeta buddyzmu złożył przez to nie tegi egzamin z swych historycznych wiadomości!

Ale nie same tylko narodowe niwy uprawiają dziś historycy francuscy. Prace ich sięgają za granicę własnego kraju i przeszłości, żeby tylko wspomnieć dalszy ciąg badań księcia de Broglie o stosunkach i sporach Frydryka II. i Maryi Teresy. Imię znakomitego autora daje miarę tych studyów dyplomatycznych, opartych po części na niewyzyskanych dotąd źródłach. Podczas gdy ks. de Broglie wnika w przyczyny siedmioletniej wojny, hr. de Villermont cofa się aż do okresu trzydziestoletniej, celem przywrócenia czci zapoznanemu jej bohaterowi Tilly'emu, którego protestancy historycy malują jeno jako żadnego krwi żołdaka, kiedy przeciwnie piękna to i bohaterska postać chrześcijańskiego rycerza, nie znającego innej w życiu rozkoszy, jeno wojenną zabawę, ani innej pociechy, jak codzienne pobożne słuchanie Mszy św.

Arystokracja francuska, zepehnięta z areny czynnych zapasów, przymusowe *otia* szlachetnie spędza, i dodatnie zajmuje miejsce w poczcie pisarzy społecznych. Badania instytucyj miłosiernych i przyczyn ubóstwa przez hr. Haussonville'a odznaczają się sumiennością i trafnością. Jednocześnie krucyata obwołana przez odważnego Drumonta, wprowadza w szranki antysemityzmu coraz to nowych zapasników, może nie tak jaskrawych i dowcipnych, ale spokojniejszych, a zatem i poważniejszych. Drumont podjudza przeciw Żydom, woła: „Hajże na Izraela!“ O. de Pascal się odzywa: „Precz z Żydem!“ i dodaje, że gwałt bywa zarazem i niesprawiedliwością

i słabości dowodem, ale słuszną obronę wymaga sypania szaniec w trojakim porządku: moralnym, politycznym i ekonomicznym, na-przeciw najazdowi semitów. Ale tylko duch prawdziwie chrześcijański potrafi zwalczyć żydowszczyznę. Autor trzy mianowicie wskazuje ku temu środki: najprzód zastąpić ofiarnością dzisiejsze zamiłowanie użycia i rozkoszy, rzucające społeczeństwo w objęcia Izraela. Tyle w dziedzinie moralnej. W politycznej zaś, należałoby się uzbroić prawem prasowym przeciw samowładzy prasy żydowskiej; w zakresie ekonomicznym, zastrzedz się przed izraelskim podbojem ustawą, któraby im nie dozwalała ziemskich majątków nabywać. Prócz Pascala i Drumonta, warto jeszcze wspomnieć Bleriota, około których gromadzi się wielu innych szeregowców w armii antysemityzmu.

Z zakresu politycznych studyów bieżących, odrębne wrażenie wywarła książka bezimiennego autora, zatytułowana: *L' Allemagne nouvelle*. Tak roztropne ocenienie przeciwnika świadczy o wytrawności pióra, które użyło wszelkich sposobów, aby gęstą zasłoną zazdrośnie przestrzegane *incognito* upewnić. W każdym razie dzieło to biegłego znawcy stosunków pruskich i Prusaków.

Nie bardziej nie świadczy o żywotności Francji, jak ten właśnie fakt, iż w jakkolwiek stronę baczność naszą zwrócimy, zawsze z znakomitą jakimś owocem pracy się spotykamy. Gdzież dziś szukać ściślejszych estetycznych badań, studyów, historii? Otóż znów z Francji nam przychodzi wyczerpująca, znakomita biografia Rafaela, ostatni wyraz wszystkiego, co dziś wiemy o życiu i dziełach arcy mistrza. Autorem tego znakomitego dzieła jest znawca wielki rzeczy i historii sztuki, p. Müntz. Najpiękniejszy hołd złożył on swemu bohaterowi, dowodząc niezbicie, iż wbrew mylnemu twierdzeniu, jakoby rozpusta miała skrócić pasmo dni wielkiego Urbinaty, nadmiar pracy i wysilenia umysłu go zabiły. Dość przypomnieć, iż w krótkim czasie, po Stanzach, podjął się ozdoby Loggii i Farnezyny, malował Sybille w Santa Maria della Pace; po śmierci Bramante'go, skutkiem powierzonego sobie kierownictwa budowy św. Piotra, pogrążył się w studyach architektonicznych, jednocześnie widział się powołanym przez papieża do odszukiwania inskrypcyj chrześcijańskich i, słowem ogarniał wszystkie gałęzie sztuki z właściwym sobie zapalem i sumiennością. Nie dziw, jeśli

się przed czasem wyczerpał i strawił, miłem zaś usunięcie i rozwianie przykrego cieniu z tej śmierci na wyłomie, wśród prac i arcydzieł aż do ostatniej chwili, ostatnimi też siłami dokonywanych.

Od kilku lat ciekawość publiczna drażniona i podsycana bywa szeregiem obrazów społecznych, nieznanego a przeważnie dobrze informowanego pędzla i pióra. Otrzymaliśmy tak z kolei *Towarzystwo Berlińskie, Londyńskie, Petersburgskie, Madryckie*. Najświeższym tomem owej seryi jest księga zatytułowana: *La société de Rome*. Nie zawsze godzić się można na wnioski i na samże lekki ton autora, który polityce papieskiej nadto doczesny i świecki przysądza charakter, kładąc główny nacisk na włoski patryotyzm Leona XIII., oryentujący rzekomo wszystkie jego kroki, przymierza i rozporządzenia. Wizerunek Papieża jednak nie bez talentu nakreślony. W panowaniu Leona XIII. upatruje rządy przejściowej epoki, w której wiele kwestyj bywa poruszonych i podniesionych, a względnie mało rozstrzygniętych zostanie. Na mniej palącym znajdujemy się gruncie w rozdziałach poświęconych właściwemu „towarzystwu“ rzymskiemu, najmłodszemu w Europie, mimo starożytności swego patrycyatu. Młodość ta widnieje przede wszystkim w włoskim dworze, nad wyraz źle wychowanym, i pozbawionym wszelkiej tradycyi wykwinności. Założyciele jedności włoskiej nie dbali o dworskie życie, Cavour zwykł mawiać: *La pire des chambres vaut mieux qu'une antichambre*, piętnując nazwą przedpokoju to, co zowie się dworem w otoczeniu królewskim. Obecność hrabiny Mirafiore i gminne jej zachowanie nie pozwalało myśleć o ukonstytuowaniu się jakiegobądź dworskiego życia, o co i Wiktor Emanuel nie dbał wcale. Zresztą w domu Sabaudzkim jest dziedzictwo rycerskiego męstwa, ale żaden przymiot pokojowy nie widnieje, darmo szukać wykwinności artystycznej, zamilowania sztuk pięknych i jakiegobądź idealniejszej skłonności. Upodobanie w klejnotach, cechujące rodzinę królewską, jest także oznaką pewnego barbarzyństwa. W Humbercie tkwi żołnierski pierwiastek, sympatyje jego pruskie odnieść wypada do kultu orężnego powodzenia i uwielbienia dla wojska niemieckiego.

Rozdziały właściwemu „towarzystwu rzymskiemu“ poświęcone zapoznają nas z tem dziwnem społeczeństwem, wyłącznie dbającym o blichtr i pozory, a kryjącem czczość i jałowość wewnętrzną pod osłoną form uroczystych i wielkopańskich. Chorobą owego towa-

rzystwa jest *modernizm*. Podczas gdy niegdyś miasto wieczne aż do śmieszności posuwało swoją dumę zasklepionej starożytności, nie nowego nie przyjmując i za najdodatniejszy przymiotnik używając i uważając tytuł: *Antico, antica*, dziś w mieście i świecie, w salonach i na ulicy, przemaga chęć zatarcia, zniszczenia przeszłości, aby ją zastąpić banalnością nowożytną. Najazdy Gotów bodaj mniej zniszczyły Rzym od dzisiejszych modernistów. Brak zupełny kultury tem niebezpieczniejszy nadaje kierunek ich wandalizmowi, i nie darmo podnoszą się zewsząd błagalne zaklęcia, aby powstrzymać to systematyczne odejmowanie rzymskiej stolicy wszystkich jej cech charakterystycznych i niedorównanych.

Mimo nie jednego ciekawego spostrzeżenia lub trafnej oceny, znać w *Société de Rome* fabryczną robotę, dokonaną skutkiem doznanego powodzenia z innemi tego rodzaju studjami. Dla katolika nie brak tu wstrętnych ustępów, ogólnie też biorąc, książka ta w paru miejscach ciekawa, ogólnie szkodliwa, często nieprawdziwa.

Kwestya irlandzka acz mniej szerokiego znaczenia od kwestyi rzymskiej, należy do najaktualniejszych zawikłań obecnej chwili, stąd książki odnoszące się do jej zbadania szczególny budzą interes. Ktoby chciał łatwo i doraźnie poznać stosunki irlandzkie, ustrój Ligi rolnej, urządzenia *boycottażu*, niech się wybierze w ślad za baronem de Mandat Grancey na objażdżkę hrabstw najbardziej społeczoną zamieszką dotkniętych. Dowcipny autor wędrówek po Ameryce północnej, uwiecznionych nagrodami Akademii p. t. w książce *Chez Paddy*, żwawo i wesoło, może za nadto wesoło na tak tragiczne położenie, opisuje zobopólne stosunki uciemnionych i ciemieńców, a doprawdy są one tak naprężone, iż nie wiadomo, czyje życie dziś nieznośniejszem: Anglików rozrządzających wojskiem i polięą, czy Irlandczyków władających siłą tajemną i skrytą? Francuski autor z lekkim sercem przebiega Irlandyę, nie daje się powodować żadną sympatją ani stronnością, w końcu zaś dochodzi do przekonania, iż dzisiejszy przełom jest nie tyle narodowym ile agraryjnym, że kryzys rolna nigdzie ostrzej nie występuje, i że stąd w Irlandyi rozpoczyna się po prostu przekształcenie stosunków własności, które niebawem w całej Europie nastąpić musi.

Gdybyśmy któremukolwiek z społecznych pisarzy francuskich mieli przyznać pierwszeństwo talentu i pióra, kto wie, azaliby się

ten zaszczyt nie dostał pisarzowi, który dopiero od lat kilku lepiej dał się poznać, przeważnie luźnemi, przeglądowemi artykułami, p. Melchiorowi de Vogüé. Mało kto dziś piękniejszym włada językiem, szkoda, iż tak znakomite pióro poszło w żołdacką służbę, poświęcając się niemal wyłącznie zapoznawaniu Europy z piśmiennictwem rosyjskiem. Wznowiono z tego powodu przypowieść o tym czarno-księżniku, który wypuścił z szczelnie zakorkowanej butelki zakłętego w niej ducha. Duch rosyjski, z tajemniczego zamknięcia przez p. de Vogüé wydobyty, już dziś na powrót cofnąć się nie daje, lecz zalewa pola umysłowości wszechświata, zanim przepowiedziany przez takich ludzi jak np. Donoso, Cortes, realniejszy zalew nie nastąpi... Sam Vogüé zdaje się być dziś po trochu przerażonym skutkami zbudowanego przez siebie pomostu między Zachodem a wschodnią literaturą. Wybrał kilka arcydzieł, dziś modą nawet plewy stamtąd przyjmować, a ostrzeżenie, iż rosnąca potęga Rosyi z jednej, Stanów Zjednoczonych z drugiej strony, zgniecie i unicestwi zgnilą i wyczerpaną Europę, zawarte w ostatniej pracy p. de Vogüé, bodaj nie postawi już tamy przeciw podbojom rozkiełzanych geniuszów.

Inię p. de Vogüé, który wywołał w literaturze francuskiej zwrot do hurtownych tłómaczeń powieści rosyjskich, przenosi nas w dziedzinę piśmiennictwa, którą specyficznie za literaturę XIX-go wieku uważać należy. Nigdy bo powieść nie osiągnęła podobnego rozkwitu i znaczenia, liczbą, a niestety! i wpływem, chociaż niesłychanie trudno jest ocenić, azali zepsuta literatura jest owocem i wynikiem, czy też powodem i przyczyną moralnego zepsucia epoki. Cynceron, chłoszcząc zboczenia sceniczne w Rzymie, całe złe odnosił do społeczeństwa lubującego się w podobnych widowiskach: *Nunquam comoediae nisi consuetudo vitae pateretur probare sua theatri flagitia potuissent*. Zdanie to jak wraz stwierdza popyt i pokup najbrudniejszych rómansów. Koryfeuszem pornografii ochrzczonej zaszczytniejszem mianem naturalizmu, od lat kilku uznawo Zolę, przeceniając jego talent i realistyczne podobieństwo obrazów kreślonych niby z życia. Czy jednak statystyka powodzenia poszczególnych jego utworów świadczy o ich literackiej wartości i krytycznem ocenieniu? Bynajmniej: przywoitsze powieści jak *Une page d' Amour*, jak *Au bonheur des dames*, mimo re-

klamy nazwiska autora, mimo tragiczności pierwszego opowiadania a ekonomicznej doniosłości drugiego, nie dosięgły więcej nad 50,000 rozsprzedanych egzemplarzy. *Nana* zaś rozeszła się już w 149,000, *Assommoir* w 111, *Pot bouilli* w 65,000 egzemplarzy. Stopniowanie powodzenia następuje w miarę nagromadzonego błota i brudu, nie w stosunku do większego lub mniejszego talentu w tych kartach zawartego. Publiczność ma tedy częśćkę niezgorszą w odpowiedzialności literackich kierunków i prądów, udowadnia bowiem, iż im książka na nikczemniejsze schodzi szlaki, tem więcej ma warunków rozsprzedaży i rozgłosu. W *La terra*, Zola przebrał miarę, zdaniem własnej swej szkoły, naśladowców i sprzymierzeńców. Krytyka ogłosiła *bankructwo naturalizmu* z powodu rozbicia się szermierzy tego kierunku, przyznających, iż mistrz posunął się za daleko i zatracił silny rodzimy talent w szale obłąkanej fantazyi. Czy ten wyrok zmniejszy ilość czytelników *Ziemi*, zniży poczet rozkupionych egzemplarzy? Iudzić się można. Owszem, rozgłos sporu i skandalizmu, brudy nowej powieści, niezawodnie jeszcze jej szersze zapewnią powodzenie, raz więcej dowodząc, iż pokarm to snadź dla społecznego społeczeństwa odpowiedni i stósowny, kiedy się nim nie brzydzi.

A jednak pewna reakcyja już się znaczyć poczyną, już ku sobie wabi podnioślejsze umysły. Halévy okupuje pierwsze zbyt lekkie twory, pełne wdzięku i delikatności opowiadaniem. Po *l'abbé Constantin*, nastąpiły śliczne *Deux mariages*, później jeszcze dowcipnie napisana *Princesse*, młody Duruy w *l'Unisson* sławi szczęście rodzinne i najbliższe domowe obowiązki. Loti (Jules Viand) raczej poetą jak powieściopisarzem, w jego rękę pióro pędzlem się staje, z jego książek wieje owa tajemnicza woń do wschodnich przywiązana produktów, upaja i ukaja, lecz jakże smutno! Świeże *Propos d'exil* w najwyższym stopniu krystalizują właściwości tego egzotycznego talentu, rozkołysanego jak południowa fala. *Pêcheur d'Islande* nadmorską idyllą, miłości krótkotrwalej, a długiej wdowiej żaloby.

„Rok się kochali — a wiek się nie widzieli“, jak w dumce kozackiej, i smutniej jeszcze, bo po kilku zaledwie dniach szczęścia, młody rybak wypływa ku Islandyi za połowem ubezpieczającym chleb całoroczny, i nie wraca już więcej, bo nie litościwa fala

pochłania jedną ofiarę, jedno serce, jedno szczęście więcej! Poemat to prawdziwy, pełen łez i blasku, na przemian północnego i południowego słońca i morza.

Z nowszych talentów wspomnijmy analistę Bourget'a, którego *André Cornély* męczącym śledztwem rodzinnej Nemezys, dojrzewającej w domowym kole zgryzotą i zemstą. Talentem może najwyżej stoi Guy de Maupassant, ale i jego przedewszystkiem nęci kał i błoto, i on w niem z lubością nurza swoje pióro. Gyp (hr. Martel) dosadnem odbiciem bezmyślności pewnych sfer, zadawalniających się rozmową i życiem odzwierciedlającym się tu w doróżnych fotografiach. Inna kobieta, podpisująca się H. Rabusson, gubi się w drobiazgowych i nużących studyach społecznych. Feuillet zamilknał od wielkiego swego tryumfu z *La Morte*. Milczy i Daudet, nie dając młodszej siostry swej niemoralnej, a mającej pretensye do umoralnienia młodzieży *Sapho*. Ohnet nie wychodzi po za koło jednakich wciąż sytuacji, jednając sobie zarazem tyle salonowych powodzeń, co szyderstw wytrawniejszej krytyki. Claretie w ostatnim romansie odsłania tajne sprężyny przy wyborach poselskich działające. Ogólnie zaś biorąc, żniwo powieściowe olbrzymie, ale wśród mnóstwa kąkolu i plewów, o lepsze ziarno, któreby jutra dożyło coraz trudniej, i domyslać się godzi, iż rodzaj tak przeważnie w naszym stuleciu uprawiany, powoli, skutkiem samejże hyperprodukcji, usychać zacznie, aby znów na podrzędne zejść stanowisko, lub nawet całkiem ustąpić z placu.

A w ogóle, z rozrostem prasy peryodycznej i dziennikarstwa, bliskim może dzień, w którym na przeczytanie lub napisanie książki nikt już czasu ani ochoty mieć nie będzie... Już i dziś nie jeden rzetelny talent marnieje w posłudze molocha codziennych dziennikarskich kontrybucyj, już dziś większa liczba ludzi czytających ogranicza się na rannej gazecie i za nie książki nie weźmie do ręki. Znajdujemy się w przededniu, nie tylko politycznych przełomów i socyalnych ewolucji, lecz i umysłowych przemian i przekształceń, których ani formy ani doniosłości dziś odgadnąć nie możemy. Stąd dorywcze chwytywanie bieżących odgłosów z najbogatszego obecnie piśmiennictwa, podwójnego nabiera znaczenia, a niniejszy pogląd i przegląd — mimo swych niedostatków — pozwoli może choć częściowo zmierzyć niesłychaną ruchliwość i czynność umysłową Francji.

M.

Z pism czasowych.

Kurjer Krakowski idzie w górę. Co do formatu już się prawie równa z *Czasem* i *Reformą*; różni się od pierwszego tem, że nie potrzebuje się oglądać na to co powie Wiedeń i Europa. Od drugiej różni się tem, że nie miota się przeciwko zasadom religijnym i społecznym naszego kraju. Od obojga zaś różni się tem, że kosztuje tylko 12 złr. Nie ma oczywiście tylu telegramów ani korespondencyj zagranicznych co inne większe gazety, jednak główne i powszechnie interesujące telegramy podaje czytelnikom swoim o pół dnia wcześniej. Jak pójdzie dalej tą drogą, spodziewać się należy, że szerokie znajdzie w kraju poparcie, bo od dawna odczuwamy w Krakowie potrzebę takiego pisma.

W szczególności podnieść musimy „Kroniki tygodniowe“ pióra p. K. Bartoszewicza, pisane z werwą, humorem i przycinkiem w granicach dobrego tomu. Ot np. z dzisiejszej kroniki (17 marca):

Od czasu wyprawy wiedeńskiej anno 1683 nigdy tyle szlachty polskiej nie gościło jednocześnie w murach Wiednia. Obrona chrześcijaństwa wówczas, obrona wódki obecnie... podobieństwo tych dwóch wypraw leży jedynie w rezultacie. Jak ongi cesarz Leopold I. namyślał się, czy uchylić kapelusza przed królem Janem, tak obecnie JEks. p. minister Dunajewski nie wiedział, czy mu przystoi rozmawiać z potomkami pancernych obrońców Wiednia. „Zbyt czuć od nich gorzałkę“ rzekł do JEks. Taaffego, i krótko też rozprawił się z delegatami, wyjaśniając im, iż szkoda czasu i atlasu na jeżdżenie do Wiednia... Zresztą, o ile dochodzą mnie prywatne wieści, cała sprawa podatku wódczanego pochodzi nie z chęci zubożenia Galicyi, ale z powodu zapisania się całego ministerium cislitawskiego do bractwa wstrzemięźliwości...

Kiedy mowa o interesie, nie rozumiem, jaki interes mieć mogli ci panowie akademicy, co nieproszeni wzięli udział w akcji ratunkowej i z narażeniem zdrowia, a poniekąd życia, spieszyli na pomoc ludowi ginącemu z zimna i głodu. Taka lekkomyślność całkiem mi się nie podoba. Co innego ci panowie akademicy, co pojechali do Wiednia zachwiać stanowisko ministra Gautscha. Wiódł ich tam cel polityczny, telegraf roznosił wiadomości z kim gadali i co gadali, z kim jedli i co jedli, wszyscy znają ich nazwiska (przyszły historyk XIX. w. przekaze je potomności), słowem zmuszali Europę (nie wyłączając i Grzegórzek) do szacunku dla siebie i misji swojej. Ale ci panowie włóczący się wciąż od wsi do wsi z bochenkami chleba, pobłoceni, pomoczeni, głodni i nie wyspani, zasługują tylko na politowanie. Nikt nawet nie wie jak się nazywają, nikt też im nawet nie podziękował, przyjęcia żadnego im nie zrobiono, urząd telegraficzny ani centa na nich nie zarobił. A przecież są tacy, co mówią: „oto jest młodzież zacna, szlachetna, pocziwa, z niej nie wyrosną może wielcy politycy, ale dobrzy obywatele kraju. Taki jeden czyn młodzieży jest w stanie okupić wszelkie winy czy wady, jakie jej zarzucają. To jest

działalność obywatelska stojąca dla młodzieży otworem, to szkoła życia publicznego, to praca narodowa, to program działania w przyszłości, — a nie czcze mówki, deputacye, frazesy i prezesy. Naturalnie z takimi zacofanemi pojęciami walka jest zbyteczna i niemożliwa. Kto stawia wyżej zaprezentowanie się Maćkowi Grzale, lub Kacprowej Wojtasikowej, chowającym się przed powodzią w otoczeniu „gadzin” na strychu, nad wizytę u posłów Rady państwa, prezesów Koła i Ekscelencyj — ten dowodzi tylko złego smaku, nieznamomości polityki i obojętności dla programu narodowego, którym zawsze są i będą: deputacye, delegacye, komisye, podkomisye, posiedzenia, walne zgromadzenia, jubileusze, awanse, bilanse, ankiety, budżety, wybory — i niedobory.

Tym ostatnim przypisać należy małą ofiarność publiczną na dotkniętych powodzią. Większe nierównie składki niż na powodzią zbieramy dotąd na tak zwanych amerykańskich karlików występujących w teatrze krakowskim. Głęboko wkorzone zasady chrześcijańskie p. Glicksona kazały mu ulitować się nad ofiarami natury i postarać się o dziewięciokrotne wypróżnienie kieszeni naszych, na korzyść małych i dużych Niemców, udających Amerykanów... Miłosierdzie nasze jest rzeczywiście rozczulające. Jeżeli z trzech tysięcy guldenów złożonych na powodzią odejmiemy to, co dały władze rządowe i autonomiczne oraz to, co złożyli członkowie komitetu, otrzymamy pozostającą sumę jakich 500 złr., na którą złożyła się publiczność krakowska, tj. tyle, ile złożono w kasie teatralnej na każdym z 9-ciu przedstawień liliputów. Fakt ten złołtemi głoskami w dziejach „miłości chrześcijańskiej“ Krakowa zapisać należy. Ja sam czuję się tak wzruszony, iż kończę kronikę i... idę na liliputów.

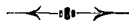
Nowa Reforma już idzie za daleko. Że w sprawie wniosku ks. Liechtensteina *N. Reforma* pójdzie za *Neue Freie Presse* i całą żydowską wiedeńską i peszteńską gazeciarską kliką, że uzna za szkodliwe dla kraju to samo, co centralistyczno-semickie organa, — najwięksi wrogowie naszego kraju, naszej autonomii i naszej wiary — za szkodliwe uznały; że napiętnuje to temi samemi co oni namiętnemi wyrazami „klerykalizmu“, „obskurantyzmu“ i t. p. to wszystko było do przewidzenia. To przecież nie pierwszy raz! Jednak powiedzieć trzeba, że te zapędy idą za daleko. A kiedy *N. Reforma* namiętnie napada na posła ks. Chotkowskiego za tę świetną mowę — która więcej nam zjednała szacunku i sympatyj w poważnych kołach parlamentu, niż sto mów „taktycznych“ — kiedy piętnuje żądanie szkoły wyznaniowej, jako fanatyzm, a mowę nazywa: *plus pape que le pape même* (sic)¹, ignorując najzupełniej, że Leon XIII. w każdej niemal encyklice swojej to samo żądanie ponawia — to już zaczyna być niegodnem.

¹ Właściwie nie taka jest francuska lokucya, lecz mówi się: *plus catholique que le pape*.

Niechże *N. Reforma* powie nam: czemuże się różnią w zasadzie prawa majowe austriackie, za które ona obstała, od praw majowych pruskich, które ona, wraz z kulturkampfen, potępiła?

Jeszcze inną mam dla *N. Reformy* zagadkę: w obec faktu historycznego, że chrystyanizm przyszedł jako postęp po starym zakonie, pytam: czy organ, który nawołuje do zwrotu od idei chrześcijańskiej, do starozakonnego programu *N. Fr. Presse* i spółki — jest „postępowym“, czy też wstecznym!

Les Etudes religieuses historiques etc., — przegląd miesięczny, o którego wskrzeszeniu donosiliśmy w styczniu — zamieszcza w zeszycie marcowym ciekawy artykuł starego misjonarza w chinach, O. Colombel T. J., który zbija punkt po punkcie głośną książkę pułkownika Czeng-ki-tong: *Les Chinois peints par eux-mêmes*, (publikowaną w części w *Revue des Deux Mondes*); wykazuje mianowicie, że przechwiałki o moralności i religijności Chińczyków są więcej niż przesadzane, a w szczególności dowodzi ze źródeł urzędowych chińskich, że dzieciobójstwo (czemu autor chiński zaprzeczał) na wielkie rozmiary w Chinach grasuje, a zatem, że Bractwo „Najświętszego Dzieciątka“ nie stoi na fikcy, lecz najistotniejszej zapobiega potrzebie.



Rozmaitości.

Wśród wychodzących w naszych czasach encyklopedycznych słowników jak np. *Dictionnaire de Larousse* i t. p. jedno z pierwszych miejsc zapewne zajmować będzie *Pierer's Konversation's Lexicon*, wydany nakładem i według systemu Józefa Kürschnera (Berlin und Stuttgart W. Spemann). Dzieło to wzbogacone znaczną ilością rycin zawierać ma, prócz wielkiego zasobu wiadomości naukowych, całkowity słownik — w dwunastu językach — mianowicie: w łacińskim, greckim, francuskim, angielskim, włoskim, hiszpańskim, rosyjskim, szwedzkim, duńskim, czeskim, hollenderskim i w tworzącym tło dla innych — języku niemieckim. Przykre sprawia wrażenie pominięcie języka polskiego w tem wybranem gronie; smutno jest widzieć, że nas już tak zupełnie do umarłych liczą. Mimo to słuszność nakazuje uznać wartość tej publikacji dla tego zwłaszcza, iż — o ile z pierwszego zeszytu sądzić można — duch w niej jest uczciwy i dobry. Jeżeli współpracownicy *Lexikonu* nie są katolikami, to przynajmniej zasady wiary w prawdziwym świetle pojmują. Jestto główny rys, którym, jak dotąd, pismo Pierera szczęśliwie się odróżnia od innych dzieł tego rodzaju. Drugim odrębnym rysem jest niesłychana taniość publikacji; pierwszy bowiem zeszyt złożony z 50 stron nabitego druku, a dochodzący od litery A,

do wyrazu *Ablassbrief*, prócz tego zawierający w wąskich marginesowych szpal-
tach osobny alfabetyczny słownik owych dwunastu, w główny tekst wchodzą-
cych języków — kosztuje 35 fenigów czyli 22 centy w. a. Cztery tablice ko-
lorowane przedstawiają 1) reprodukcję sądu umarłych — według papirusu
egipskiego znalezionej w Tebach; 2) i 3) mapy Alp Berneńskich; 4) różne
rodzaje kolibrów, dalej typy afrykańskie, widoki dawnych pomników egipskich,
a wszystko to starannie i artystycznie wykonane. Całość dzieła składać się bę-
dzie z 230 zeszytów tj. z dwunastu tomów, które będą mogły tworzyć nie
tylko użyteczną ale i ozdobną część każdej biblioteki. Nam tylko żałować
przychodzi, że podobne ogólno-światowe dzieła nie pojawiają się w naszym języku.

W.

W połowie przeszłego roku pojawił się w Rzymie pierwszy zeszyt no-
wego czasopisma: *Römische Quartalschrift für christliche Alterthumskunde und
für Kirchengeschichte unter Mitwirkung von Fachgenossen hrg. von Dr. A.
de Waal*. poświęconego, jak tytuł wskazywał, archeologii chrześcijańskiej i hi-
storyi kościelnej; z końcem zaś jego wyszedł czwarty, zamykający rocznik
pierwszy o 306 stron. Z tem to wydawnictwem pragniemy obecnie zaznajomić
polskiego czytelnika, ograniczając się na teraz na krótkiej wzmiance, gdyż
później podać zamierzamy szersze tegoż w *Sprawozdaniu* omówienie.

Römische Quartalschrift uprawia przedewszystkiem archeologią, i jako
taki już w tym krótkim okresie swego istnienia z całą słuszością załączonym
być winien do pism najpoważniejszych wśród licznych włoskich *Bulletini*,
francuskich *Revue*s a niemieckich *Mittheilungen*. Jestto organ przeważnie
członków niemieckiego hospycjum *Campo Santo al Vaticano*, którym znany
od lat wielu badacz starożytności chrześcijańskich, rektor rzeczzonego kolegium
i wydawca *Kwartalnika*, *Msrgr de Waal*, niezwyčajną przyświeca pracowitością.
Aczkolwiek artykuły w *Röm. Quartalschrift* zamieszczane są zawsze sumien-
nemi a zazwyczaj ciekawemi studjami — niekiedy w szacie przyciężkiej —
wyróżniają się przecież dobitnie wśród nich gruntownem i nadobnem rzeczy
przedstawieniem prace ks. Józefa Hilperta, archeologa między młodszymi naj-
czynniejszego, który już nie jedno uczynił odkrycie, zwłaszcza w katakumbach
św. Domitylii i św. Pryscylli.

Obok opracowań monograficznych, które główną część pisma stanowią,
zamieszcza nadto *Kwartalnik* pomniejsze a najnowsze wiadomości z pola od-
kryć archeologicznych, głównie z pod pióra *Msrgra de Waal*; dalej sprawozda-
nia z posiedzeń akademii archeol., redagowanych w *Voce della Verità* przez
Marucchi'ego w tłumaczeniu ks. Wilperta, wreszcie *Przegląd piśmiennictwa*
J. P. Kirscha. Przepyszną ozdobą każdego numeru jest 10 objaśniających ta-
blic heliotypicznych i jeden olejniodruk, — ujemną zaś stroną liczne errata,
z czego jednak ciężkiego zarzutu *Kwartalnikowi*, jako w Rzymie się drukują-
cemu, czynić nie można, tem więcej, że w ostatnim numerze przyrzeka redak-
cja na rok przyszły poprawę w tym względzie.

Słowem, dla miłośnika zarówno jak i dla badacza sztuki chrześcij. i prze-
szłości Kościoła, chociaż dla tej daleko w mniejszej mierze, pismo to poucza-
jącem jest wielce i pożytecznem, o żywych zaś mieszkańcach *Campo Santo*
nader chlubnie świadczającem.

X. I. F.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Agitacja za szkołą wyznaniową w Austrii. — Wniosek szkolny Windthorsta. — Mowa Bonghiego o szkołach włoskich. — Manifestacye na cześć Giordano Bruno. — Narodowy męczennik. — Pielgrzymki do Rzymu. — Adres do Papieża katolików amerykańskich. — Laicyzacja więzień, szpitalów i szkół we Francyi. — Rozprawy nad ambasadą rzymską.

„Dzisiejsza szkoła, zasadzona na gruncie liberalnym, bezwyznaniowym, kwaśne rodzi owoce; młodzież w niej poganienie i dziczeje“: oto groźny okrzyk, który w ostatnich kilku tygodniach coraz głośniej daje się słyszeć, coraz w innych państwach i krajach europejskich się powtarza. W Austrii, gdzie znany wniosek ks. Liechtensteina ujął tylko w konkretną formę długoletnie życzenia i skargi niemal całej ludności katolickiej, ruch równie za jak i przeciw temu wnioskowi z dniem każdym się wzmaga, wyświecając coraz bardziej konieczność gruntownej reformy w całej dziedzinie szkolnej. Nawet najzagorzalsi przeciwnicy ks. Liechtensteina przyznają, zmuszeni oczywistością, konieczność tej reformy; chcieliby tylko w inny sposób ją przeprowadzić, nie wzywając — o ile być może — na pomoc religii i Kościoła. W każdym razie, jak miał się bardzo prawdziwie wyrazić sam wnioskodawca, gdyby nawet cały ten ruch nie przyprowadził do żadnych pozytywnych, sankcją prawa uświęconych rezultatów, to już samo obudzenie i głośne wyjawienie powszechnego przeświadczenia: „Źle się dzieje z naszymi szkołami,

a powinno dźiać się inaczej i lepiej“, nadzwyczajnej jest wagi, a w końcu do pożądanego celu doprowadzić musi.

Przekonanie to i głębokie zainteresowanie się poruszoną a tak żywotną kwestyą obejmuje istotnie coraz szersze koło ludności. Do pierwszych dni marca podpisało petycyę za wnioskiem Liechtensteina około 800 gmin, nie licząc w to blisko 300 petycyj nadesłanych nie na ręce utworzonych w tym celu komitetów, ale wprost do parlamentu. W samej niższej Austrii 191 burmistrzów oświadczyło się za szkołą wyznaniową; w Czechach podpisało odnośne petycyę, i to tylko do pierwszych dni marca, przeszło 30,000 dorosłych mężczyzn; w Morawii 20,000 i t. d. Nad wnioskiem popartym dwustu do trzystu tysiącami podpisów złożonych przez samych poważnych, dorosłych mężów, trudno przejść do porządku dziennego, tembardziej, że każdy z tych podpisów podwójną ma niejako wartość w obec nadzwyczaj rozwiniętej, a nie przebiegającej w środkach agitacyi przeciw wnioskowi. Na czele tej agitacyi stały żydowskie dzienniki, urządzając wiece, zbierając petycyę, a przede wszystkim łącz i szkalując niepoprawnych obskurantów, którzy chcą Austryę sprowadzić „na tory średniowiecznej głupoty i oddać na łup księżom i mnichom“. Na wiec „antiliechtensteinowski“, zapowiedziany z wielkim hałasem we Wiedniu, zeszli się wyłącznie prawie sami Żydzi; prawda, że zeszli się w znacznej liczbie, i dzięki temu, wszystkich inaczej myślących bez litości za drzwi wyrzucali. Dr. Schmeykal, prezes *Niemieckiego Związku szkolnego*, wezwał w poufnym liście wszystkich przełożonych gmin w Czechach do wspólnego działania „w ściśniętych szeregach, chwytając się każdego możliwego środka, byle powstrzymać niebezpieczeństwo grożące szkołom ludu naszego“. Gdyby który np. z biskupów, piszą ze słusznem oburzeniem katolickie dzienniki, rozesłał do wójtów i starostów swej diecezyi list pisany w podobnym tonie, zachęcając ich do agitacyi za jakim katolickim wnioskiem, to rząd niechybnie z całą energią przeciw takiemu postępowaniu by wystąpił; czemuż mają być dwie miary i dwie wagi, czemu rząd dozwała teroryzować swych urzędników, czemu dozwała wzrastać obok siebie jakiemuś drugiemu, tajemnemu rządowi?

W Austrii wre już na dobre walka o chrześcijańską szkołę: obok wychodzącego i opierającego się na autonomicznych zasadach

wniosku Liechtensteina, przedłożonym został parlamentowi równie domagający się szkoły wyznaniowej, lecz ułożony w duchu centralistycznym wniosek Lienbachera; jednocześnie sędziwy Windthorst, wywiązując się z danego przez siebie przyrzeczenia na ostatniem walnem zgromadzeniu katolików niemieckich, wniósł w sejmie pruskim wniosek, dążący do zapewnienia Kościołowi należytego a koniecznego dozoru i wpływu, zwłaszcza odnośnie do nauki religii. Wniosek ten, bardzo ważny dla całych Niemiec, ale najbardziej dla polskich prowincyj, w których szczupłej tylko garstce księży wstęp do szkół jest dozwolony, brzmi dosłownie:

Izba poselska zechce uchwalić:

„Wzywa się królewski rząd, aby w jak najkrótszym przeciągu czasu, przedłożył sejmowi projekt do prawa, które zapewniłoby Kościołom i ich organom odnośnie do nauki religii w szkołach ludowych całą i pełną władzę, przyznaną im w konstytucyi przez następne zdanie artykułu XXIV.: „Nauką religii w szkołach ludowych kierują odnośnie wyznania religijne“ i aby, idąc w myśl właściwego a pierwotnego znaczenia tych słów, zwrócił zwłaszcza uwagę na stwierdzenie następujących praw:

1) Urząd nauczyciela ludowego mogą objąć tylko te osoby, przeciw którym władza kościelna ze względów kościelno-religijnych protestu nie założy. Gdyby protest później został założonym, natenczas nauczyciel nie ma prawa udzielać nadal nauki religii.

2) Wylącznie do przełożonych kościelnych należy naznaczać kierowników nauki religii w każdej z osobna szkole ludowej.

3) Powołany przez Kościół kierownik nauki religii ma prawo, wedle własnego swego zdania, bądź sam, stosownie do planu szkolnego, naukę religii wyklądać, bądź uczestniczyć przy wykładzie nauczyciela, w wykładzie brać udział i udzielać nauczycielowi odpowiednich uwag i wskazówek, do których tenże ma się stosować.

4) Władze kościelne wyznaczają książki służyć mające do udzielania nauki religii i religijnych ćwiczeń w szkole; określają zakres i treść szkolnej nauki religii, tudzież podział tejże na pojedyncze klasy“.

Czy wniosek tej treści i w tej formie postawiony przejść może w izbie pruskiej? Sam wnioskodawca nie żywi podobno w tym względzie zbyt różowych nadziei; wskazał czego katolicy niemieccy domagają się i do czego dążą, a do czego, da Bóg, dojdą, choć może nie za jednym krokiem.

Współ z Liechtensteinem i Windthorstem, choć nie z tych samych pobudek i nie do tych samych dążąc celów, wystąpił do walki z nowoczesną szkołą znany liberala Bonghi. Śmiało wystąpienie przeciw manifestacyjnemu stawianiu pomnika ateuszowi Gior-

dano Bruno, ściągnęło na uwielbianego dotąd profesora różne a bardzo dotkliwe nieprzyjemności; w świetle tychże przejrzał Bonghi dopiero, że szkoła włoska chluby narodowi nie przynosi. Z niemiłym tem odkryciem podzielił się Bonghi z włoską izbą poselską, wyrażając głęboki żal nad smutnem wychowaniem dzisiejszej młodzieży i domagając się od ministra oświaty, Bosellego, zaprowadzenia większej karności. „Jeśli nie karzesz Pan studentów, zakończył rozgniewany Bonghi swą interpelacyę, którzy okna wybijają i krzesła łamią, znieważają rektora i profesorów, a towarzyszków swoich wstrzymują od uczęszczania na uniwersytet, natenczas nie masz również prawa karać ciągnących w długiej procesyi po ulicach strejkujących robotników, którzy nie posiadają przecież wykształcenia studentów uniwersytetu. Zdaje mi się, że młodzież uniwersytecka pozwala niestety! zaprzęgać się w jarzmo wpływów sekciarskich i tego to właśnie się obawiam!“. Jakże blade wyglądają słowa włoskiego liberała w obec raczej czynów niż słów niemieckich katolików: Windthorsta i Liechtensteina; pierwszy, zatrzymując się na zewnętrznych objawach, nie zna na nie innego lekarstwa prócz sądów i więzień, drudzy wchodzą w głąb rzeczy i pracują nad radykalnem usunięciem samej choroby, a nie tylko jej objawów.

Potrzeba takich lekarzów w Austryi i w Niemczech, ale niemniej potrzeba ich i we Włoszech, a potrzeba ta wyszła właśnie bardzo jaskrawo na jaw, przy równie śmiesznych i złośliwych manifestacyach, urządzonych na cześć Giordana Bruno, przeciw którym Bonghi skądinąd najsluszniej zżymał się i protestował. Znany materyalista a włoski senator, Moleschott, wygłosił w *Collegium Romanum* piorunującą mowę, w której porównywał spalonego „męczennika“ z Papieżem i Watykanem: „Wiktor Emanuel, wołał mo-
„wea, niszcząc władzę doczesną, zwrócił światu zagubione sumie-
„nie, uwolnił zmysł moralny i patryotyzm od kajdan i ołowiu pa-
„pieskich zbirów, wyniósł wolność myśli i idący w nieskończoność
„postęp po nad nieomylność ową, w którą i ten nawet nie wierzy,
„co sam się nią chełpi“. Podobnie przemawiał niejaki Morselli, dyrektor zakładu waryatów w Turynie, któremu obecni ministrowie Crispi i Zanardelli nie poszczędzili oklasków. Studenci zebrani na *Campo de Fiori* nie zadowolnili się z natury rzeczy samemi tylko

mowami; nie mogąc czy nie śmiejąc rzucić się jeszcze na Watykan, powetowali sobie ten zawód na jakimś przechodzącym księdzu. Za przykładem i rozkazem danym z Rzymu, urządziła sekta identyczne manifestacye i po innych miastach i uniwersytetach włoskich. Do Pawii przysłały trzy łoże wolnomularskie urzędowych swych przedstawicieli; w uniwersytecie odbyła się prelekcyja o wielkich zasługach „męczennika“ z Noli i walce wiedzy z religią, prelekcyja zakończona życzeniem, aby raz wreszcie prawda odniosła stanowczy tryumf nad religijnem kłamstwem. W Pizie rektor uniwersytetu, Bonamici, został wyświstany w czasie prelekcyi i przyjęty głośnymi okrzykami: „Niech żyje Bruno“, dlatego, że nie dozwolił, aby manifestacye na cześć filozofa-ateusza odbywały się w murach uniwersytetu. Nie dość na tem! studenci zaprzestali uczęszczać na uniwersytet i ogłosili ogólny *strejk*, dopóki rektor nie poda się do dymisji.

Lecz na czyjaż to cześć te mowy, zebrania, cała agitacya? czy Giordano Bruno wart tego, słusznie zapytaćby należało wspólnie z Bonghim, aby robić zeń bohatera wolności myśli i przedstawiać go jako ideał dla włoskiej młodzieży? Na pytanie to odpowiada *Fanfulla*, organ niepodejrzany z pewnością o stronniczość dla Kościoła i Papieża:

„Giordano Bruno będąc w Genewie przekształcił się najprzód z zakonnika Dominikańskiego w *Kalwina*. Opuściwszy Genewę schronił się pod cień opiekuńczego dłoń tronu *anglikańskiej* królowej Elżbiety. Następnie zwrócił się do Niemiec i głosił panegiryki Lutra na *ewangelicznej* wszechnicy wittenberskiej. Wreszcie, kiedy doświadczenie wskazało mu, że wszystkie kościoły protestanckie znają się o wiele mniej na tolerancyi od Kościoła katolickiego, starał się kilkakrotnie pojednać z Papieżem Rzymskim... Jeżeli mówcy komitetów i studenci uniwersytetów nie wiedzą o tych faktach, to ich cześć dla Giordana Bruno na żadnej się nie opiera podstawie. Jeżeli wiedzą, natenczas słusznie zastosować można do nich słowa, które G. Bruno wyrzekł w swej *Bestia* o współczesnych sobie radykałach: „W całej reszcie świata i w całej historii nie spotkasz tyle bzdurstw i nie posłyszysz tyle fałszywych dźwięków, co pomiędzy nimi“.

Uniwersytety nasze, pisała również bynajmniej nie palająca

miłością dla Kościoła *L'Italie*, obchodziły święto *narodowego męczennika*. Piękna zabawka; szkoda tylko, że nie ma faktu, przeciw którego istnieniu historia bardziejby protestowała, jak śmierć na stosie słynnego filozofa. Wielu historyków sądzi, że spalono tylko jego podobiznę... Śmierć męża, filozofa mającego takie znaczenie i powagę jak Giordano Bruno, musiałaby wyrzucić wrażenie, i niepodobna, aby współczesni kronikarze mieli o niej zupełnie zamilczeć. Tymczasem żadne pismo współczesne o tem zdarzeniu nie wie, a co więcej jeszcze znaczy, tak zawsze dokładne i wybornie redagowane depesze ambasadorów weneckich, nie wspominają ani słowem o spaleniu filozofa, którego przecież właśnie Wenecya wydała w ręce inkwizycji... Dopiero w dziesięć lat później, pisarz nie cieszący się zresztą zbytnią powagą między uczonymi, niejaki Schoppins, pierwszy zamieścił w swych pismach opis śmierci Giordana Bruno“.

Jak widzimy, sekta nie bardzo szczęśliwie dobrała sobie bohatera dla antijubileuszowych manifestacyj, kiedy nawet spokrewnione z nią duchem, ale jakkolwiek szanujące się organa, uważały za stosowne głośno tego bohatera się wyprzeć. Tymczasem, wbrew skandalom urządzanym w Rzymie, wbrew pienieniu się i groźbom wolnomularskiej prasy, uroczystości spowodowane jubileuszem Ojca św. wciąż świetniej się rozwijają, wciąż inne i z innych stron świata przybyłe pielgrzymki ciągną do Watykanu, niosąc hołdy i dary, prosząc o modlitwy i błogosławieństwo wspólnego Ojca chrześcijaństwa. W drugiej połowie lutego stanęli koło tronu papieskiego pielgrzymi szkoccy, w liczbie około 150, przez biskupów swych do Rzymu poprowadzeni. W niewiele dni później zjawili się w salach watykańskich posłowie sultana Marokańskiego, a pomiędzy szkocką pielgrzymką a marokańską deputacją, zajęła miejsce pielgrzymka niemiecka, złożona z przeszło 600 osób, między którymi znajdowało się bardzo wielu członków najwyższej arystokracji. Ojciec św. w odpowiedzi na adres odczytany przez biskupa mogunckiego, Haffnera, położył szczególny nacisk na wierne zachowanie nauk podanych przez siebie w encyklikach do biskupów pruskich i bawarskich, i nie szczędził pochwał stałości i energii katolików niemieckich: „Trudne dziś przyszły czasy, ale katolicy niemieccy dostatecznie okazali, że i w trudnych czasach radzić so-

bie umieją“. Jakby w odpowiedź na te słowa i na dane rady odśpiewali pielgrzymi jednogłośnie hymn „Ciebie Boże chwalimy“; najpiękniejsza to była istotnie i najwłaściwsza odpowiedź.

Amerykańscy katolicy Stanów Zjednoczonych przybyć również mają niezadługo i to bardzo licznie do Rzymu; tymczasem wysłali już do Ojca św. adres, mogący być najlepszą odpowiedzią dla tych wszystkich, którzy religię i Kościół starają się przedstawić jako wroga prawdziwej wolności, jako zawsze i z samej natury rzeczy niechętnego republikańskim instytucjom:

„Naród nasz jest najmłodszym, a pod wielu względami największym ze wszystkich narodów tej ziemi. Królowie tej ziemi niosą W. Świątobliwości oznaki swej czci; przyjm również, za pośrednictwem najczcigodniejszego naszego prezydenta, daninę i hołd od wolnego i niezależnego ludu, od świeżego, zajętego poważnemi myślami, naprzód postępującego ludu, znajdującego się na zaraniu, we wiośnie swego narodowego życia; od ludu z samego przyrodzenia chrześcijańskiego... W przedziwnej encyklice *Immortale Dei*, wyjaśniłeś, Ojczy święty, że Kościół zarówno ceni sobie wszelkie formy rządu. Najbardziej od Ciebie ukochany Doktor Kościoła św., Tomasz z Akwinu, zostawił prawdziwą a prześliczną naukę o obywatelskiej wolności... W naszej amerykańskiej Rzeczypospolitej może Kościół katolicki z zupełną wolnością spełniać święte swe a w błogiej skutki obfite zadanie, mające na celu dobro ludzkości. Kościół posiada tutaj wolność i w teorii i w praktyce..., wolność bez żadnego ograniczenia ze strony państwa, a do zwycięstwa mu to wystarcza, jak jasno tego uczy historia tutejszych krajów krok za krokiem, im bardziej katolicy i akatolicy wzajemnie ze sobą przestają i wzajemnie rozumieć się zaczynają, ustępuje nieświadomość prawdziwej nauki katolickiej i odziedziczone przesady, owe największe przeszkody, tamujące rozwój Kościoła katolickiego. Prosimy Cię zatem, Ojczy święty, pobłogosław tej młodej i szlachetnej Rzeczypospolitej, która w przeciągu jednego stulecia tak wielką i piękną drogę odbyła. Pobłogosław krajowi, odkrytemu przez świętobliwego Twego ziomka, Krzysztofa Kolumba! Pobłogosław mądrymu, energicznemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych; prosimy na klęczkach Świątobliwość Twoją, udziel nam i naszemu ludowi apostołskiego błogosławieństwa!“

Bezwątpienia prawdziwa wolność darem jest nieba i błogie przynosi owoce, ale wolność — nie swawola, wolność, która prawdziwie pozwala się rozszerzać, a nie ta, która wyłącznie tylko kłamstwu i wzburzonym namiętnościami swobodną drogę zostawia. Smutną antytezą do stosunków i rozwoju Kościoła w wolnej Ameryce, jest nieustające prześladowanie religii we Francyi, również, jakby na szyderstwo, *wolną* rzecząpospolitą się zowiącej. W tej chwili prześladowanie to może nieco cichsze niż jeszcze niedawno temu, a raczej umysły bardziej się do niego przyzwyczaiły; lecz choć z mniejszym hałasem prowadzone, nie mniej jest oburzające i szkodliwe. Komisyja budżetowa obniżyła pensyę kapelanów pracujących po więzieniach centralnych na 500 fr., a pensyę kapelanów po więzieniach departamentalnych zamyślała nawet zupełnie wykreślić. Biskup Freppel dowiódł jasno, jak niestosownymi i nielogicznymi są te *oszczędności*: „Wszak już Karol Lucas powiedział: „Kto znosi kapelanie więzienne, ten tyranizuje religijne przekonania“. Prawo może powiedzieć: Nie wolno ci z więzienia wychodzić, ale nie może i nie wolno mu dodać: Nie powinienes się niczem zajmować; nie wolno ci myśleć, nie wolno ci się modlić; tutaj żyć musisz w lenistwie i zostać ateuszem“. Bijące to były w oczy wywody i sami członkowie komisji na chwilę się zawahali, ale ostatecznie wywody te pozostać musiały bez skutku, kiedy sprawozdawca Millerand, odrzucając dotychczasową maskę, wyznał wprost i cynicznie, że nie chodzi tu o nowe oszczędności, ale o nową broń do walki przeciw religii, o *laicyzację* więzień. „Sądzimy, mówił Millerand, że można więźniów umoralniać konferencyami o pewnych zagadnieniach, które uszlachetnią ich i sumienia ich oświecą w inny zupełnie sposób, niż czynić to są w stanie dogmata i święte księgi. Uważamy za stosowniejsze udzielać więźniom nauk moralnych i obywatelskich, niż religijnych. Stosując się do tego zapatrywania, zabieramy się w więzieniach spokojnie, ale energicznie do tego samego dzieła, któregośmy już dokonali w szkołach i szpitalach. Dziełem tem jest *laicyzacja* i mimo wszelkich protestów, bynajmniej nas nie przerażających, pragniemy dzieło to doprowadzić aż do ostatnich swych konsekwencji“.

Obok laicyzacji więzień, dokonuje się z brutalnością, której w dziejach nie wiele można znaleźć przykładów, laicyzacja szpita-

lów i szkół w Paryżu. Ohydne dzieło laicyzacji szpitalów, przeprowadzone wbrew protestom doktorów i prośbom chorych, już niemal skończone: roku zeszłego poświęcono sekciarskiej zaciekłości szpital: *Trousseau*, *La Ribouisière* i *Beaujon*; w roku bieżącym wypędzono siostry z *la Charité*, a lada dzień ma przyjść kolej na *Saint-Louis* i *l'Hôtel-Dieu*. Katolicy w obec tych gwałtów nie zadowolnili się samymi tylko głośnymi protestami, lecz z godną podziwu energią wydali hasło: W każdej parafii naprzeciw rządowej, ateuszowskiej szkoły stanąć powinna szkoła katolicka; każda parafia mieć powinna swój katolicki szpital, obsługiwany przez zakonników i zakonnice, zostający pod bezpośrednim zwierzchnictwem odnośnego proboszcza. Nie są to tylko czcze przechwałki, do dziś dnia stanęły już w Paryżu dwa nowe szpitale katolickie, budowa trzeciego jest rozpoczętą, a nadto w wielu parafiach oddano proboszczom w zarząd mniejsze domy, mogące również pomieścić pewną liczbę chorych. Podobnie powstają coraz to nowe prywatne szkoły katolickie równie w Paryżu, jak i na prowincyi, pomimo że rząd stawia im wszelkie dozwolone i niedozwolone przeszkody. Gmina *Huzo* zbudowała szkołę chrześcijańską w przeciągu dwóch miesięcy, literalnie własnymi rękami; każdy niemal mieszkaniec z kolei przy budowie pracował i pewną część potrzebnego materiału dostarczył. Niejaki p. de Juge z *Caussens* skazany został na karę pieniężną, ponieważ córka jego, zanim jeszcze katolicka szkoła została zbudowaną, gromadziła dzieci w swym zamku i potajemnie je uczyła. W *La Roche-sur-Yon* nauczyciele zmusili swych uczniów uczestniczyć w cywilnym pogrzebie zmarłego bez ostatnich sakramentów kolegi, pomimo że rodzice wszystkich uczniów, wyjąwszy sześciu, protestowali przeciw tego rodzaju postępowaniu. Oto parę świeżych obrazków z dziejów francuskiej wolności.

Jak rokrocznie odgrywa się w parlamencie francuskim smutna komedia: komisya budżetowa skreśla pozycję ambasady francuskiej przy Watykanie, następnie rząd w pełnej izbie broni tej pozycji zwłaszcza w imię zagrożonych interesów francuskich na Wschodzie, a izba nie zbyt wielką większością głosów staje po stronie rządu. I tego roku odegrała się identycznie ta sama komedia, czy tragedia, którą przed dwunastu latami po raz pierwszy wprowadził na

scenę dzisiejszy prezes ministrów, Tirard; dziś role się zmieniły. Tirard usiadłszy na fotelu ministeryalnym bronić musiał ambasady, a dążący dopiero do tego fotelu Kamil Pelletan żądał jej zniesienia i bardzo niedelikatnie przypominał Tirardowi jego dawniejsze w przed-ministeryalnej erze wygłoszone zdania i poglądy. Obrony ambasady watykańskiej podjął się głównie minister Flourens, w bardzo zresztą bojaźliwym i nie wyczerpującem przemówieniu, kładąc wyłącznie nacisk na smutne następstwa, jakieby Francya z powodu tego kroku odczuć musiała na Wschodzie.

„Kiedy my tutaj rozprawiamy, czy należy zatrzymać ambasadora w Watykanie, we Włoszech powstaje tymczasem potężne stowarzyszenie, na którego czele stanęli członkowie parlamentu, prasa, duchowieństwo świeckie i zakonne; stowarzyszenie mające na celu wspieranie i rozszerzenie misyj włoskich na Wschodzie. Stowarzyszenie to ma w ręku odpowiednie środki, szeroko się rozgałęziło, a na posiedzeniu odbytem w ostatnich czasach w Medyolanie, wypowiedziano jasno, że Włochy powinny odebrać Francyi wpływ, wywierany przez nią dotychczas na Wschodzie, a jako najodpowiedniejszy środek do dopięcia tego celu wskazano — misye i misyonarzów. Takie jest położenie! Naszym obowiązkiem jest bronić zajętej przez nas, dziś zagrożonej pozycji. Na czemże zaś wpływ nasz na Wschodzie się opiera? Na protektoracie nad tamtejszymi chrześcianami, a najlepszym właśnie środkiem do sparaliżowania nieprzyjaznych nam zamiarów jest utrzymanie ambasady watykańskiej. Usuwając ambasadę, usuwamy fundamenta protektoratowi francuskiemu. Francya, pragnąc zachowania *status quo* nad morzem śródziemnem, nie chce rozszerzenia swego terytorium, chce, aby Egipt do Egipcyan należał, chce, aby kraje wschodnie należycie mogły się rozwijać, ale nie myśli zrzec się dawnych swych zdobyczy. Kasując ambasadę francuską w Rzymie tem samem ciężki-
byśmy zadali cios tym zdobyczom“ ...

Parlament posłuchał rady Flourensa, rady dzienników najrozmaitszych odcieni, a bardziej jeszcze rady zdrowego rozsądku, i zatrzymał 294 przeciw 290 głosom ambasadę watykańską. Ale kiedy niebawem potem wolnomysłny republikanin Paweł Deschanel, opierając się na przesłankach przez rząd podanych i bronionych, zażądał 100,000 fr. dla misyj francuskich na Wschodzie dla utrwalenia

i rozszerzenia tamże francuskiego wpływu, wniosek ten przepadł większością 72 głosów. „Kto popiera poprawkę Deschanela, zawołał z gniewem Hanotoux, kandydat na ministra spraw zewnętrznych w ewentualnem ministeryum Floqueta, ten podnieca ducha prozelityzmu, a właściwiej mówiąc fanatyzmu. Daleko lepsze usługi mógłby nam oddać związek dla rozszerzenia języka francuskiego“. Flourens mileżał jak zaklęty, mimo iż logicznie do poprzednich swych słów powinienby był poprzeć poprawkę Deschanela; natomiast gazety bardzo zalecały kandydatowi na ministra większą powściągliwość w słowach, aby nie wszedł przypadkiem w niechwalebne ślady Tirarda, i jako minister nie znalazł się w smutnej konieczności przysięgania, że właśnie to jest „białem“, co jako deputowany zapalczywie nazywał „czarnem“. Ambasadę rzymską zatrzymano, ale dla pocieszenia zasmuconej skrajnej lewicy postanowiono skasować biskupstwa nie wymienione w konkordacie i odmówiono udzielanego dotychczas kredytu dla protestanckich seminaryów. Napróżno protestancy deputowani głosowali dawniej przeciw katolickim seminaryom; napróżno udowadniali obecnie, że kler protestancki nie chce i nie chciał nigdy usunąć się z pod rządowego wpływu, że w przeciwieństwie do duchowieństwa katolickiego, jest on zawsze najwierniejszym sługą państwa, żywotną częścią jego organizmu. Wszystkie te nie bardzo szlachetne pochlebstwa na nic się nie przydały; większość parlamentu wroga każdej objawionej religii walczy głównie z Kościołem katolickim, jako z właściwym i najsilniejszym nieprzyjacielem, ale chętnie przy nadarzonej sposobności uderza na wszystkich i wszystko, co w jaki bądź sposób nosi na sobie piętno chrześcijańskie.

Bardzo ważne rozprawy w sejmie pruskim, odnoszące się do administracji i dochodów kościelnych, powrotu zakonów, szerzenia protestantyzmu w Poznańskim i innych kwestyj religijnych nie dobiegły jeszcze ostatecznego kresu, i zwłaszcza jeżeli nowy cesarz zechce i będzie mógł wypełnić ściśle daną uroczyscie przez siebie obietnicę zapewnienia rzeczywistej wolności wszelkim wyznaniom. Nie podobna też dzisiaj jeszcze powiedzieć coś pewnego o rokowaniach toczących się między Watykanem a rządem rosyjskim; to jedno jest pewnem, i na to wszyscy dobrze myślący się zgadzają, że w tym czasie i w tych zwłaszcza okolicznościach nagła śmierć

kardynała Czackiego stała się dla dobrej sprawy podwójnym, bardzo ciężkim ciosem.

Ks. Jan Badeni.

Listy z nad Bałtyku.

XIV.

Grobowce arcybiskupów ryskich. — Błogosławiony Mejnard. — Otwarcie jego grobu w r. 1883. — Zmiana taktyki u luterskich predykantów. — Sarkofag ostatniego arcybiskupa ryskiego. — Grobowiec burmistrza Eckego. — Pamiętki bitwy pod Kirchholmem.

Tum ryski, którego długoletnie odnowienie tyle osób zajmuje obecnie w krajach nadbałtyckich, jest przedewszystkiem miejscem wiekuiestego spoczynku pierwszych biskupów inflanckich (*Episcopi Livoniae*) i niemal wszystkich arcybiskupów ryskich (*Archiepiscopi Rigenses*), poczynawszy od biskupa Mejnarda, aż do arcybiskupa Wilhelma (od r. 1184 do r. 1563), z wyłączeniem tych kilku, co zmarli w Rzymie szukając tam ratunku przeciw przemocy hermistrzów inflancko-krzyżackiego zakonu, z którymi, jak powszechnie wiadomo, w ciągłych życ musieli utarczkach.

Odszukiwać dzisiaj ślady tyłu pasterskich grobowców w prastarej katedrze i dzielić się z wami tak suchymi wiadomościami, byłoby — zda mi się — trudem równie nużącym jak bezużytecznym, gdyż z całej tej *series episcoporum* dwaj zaledwie i to, dziwnym zaistefem, pierwszy i ostatni — błogosławiony Mejnard i smutnej pamięci Wilhelm — pozostawili widome dotąd i nie zaprzeczone oznaki, iż istotnie w tym tumie są pogrzebani. O pomniku grobowym błogosławionego Mejnarda wspomnieliśmy pobieżnie już w jednym z poprzednich listów: że nie uszedł i on rąk barbarzyńskich niszczycieli w drugiej połowie zeszłego stulecia. „Unsere Domkirche „wird ganz leer, alle Monumente sind abgenommen. *Ipsa Meinhardus evadere vix potuit*“, pisze słynny Brotze do historyka Gadebusza w dniu 3 sierpnia roku 1786, a w tymże liście dodaje: „Die „Zierrathen, welche in Art einer Kapelle Meinhard's Grab umga-

„ben, sind ebenfalls weggehauen und nur der Stein, auf welchem „seine Inschrift, und der darauf liegende mit seinem Bildnisse sind „übrig gelassen“.

Owe w roku 1786 poobcinane gotyckie płaskorzeźby następnie w pierwszej połowie bieżącego stulecia nad temże zagłębieniem ściany według wiernego rysunku Brotzego odmalowane zostały, a napis na samym grobowcu przedstawia i dotąd jeszcze dosyć wyraźnie w minuskulach gotyckich pierwotne epitafium łacińskie:

*Haec sunt in fossa
Meynhardi presulis ossa
Nobis primo fidem
Dedit annos quatuor idem
Actis millenis
Centenis nonaque genis
Annis cum senis
Hic ab his it ad ethera poenis
IV. idus mensis Octobris.*

Widok tego grobowca cofa myśl widza o siedm wieków wstecz i zatrzymuje ją u samych początków historyi inflanckiej, nie bajecznej ale już popartej licznemi wskazówkami źródlowemi. Błogosławiony Mejnard słusznie za Apostoła wybrzeża Bałtyckiego uważany, jest istotnie pierwszą nie legendową, ale prawdziwą postacią przeszłości krajowej, postacią dającą się ująć w ramy historyczne.

Historya, nie bajka już, mówi, że był to mąż nadzwyczajnej świętobliwości i gorliwości, że przybył nad Bałtyk z oddalonego klasztoru holsztyńskiego „jedynie z miłości ku Chrystusowi, dla którego pragnął nawrócić tubylców, nad którymi w owym czasie unosila się głęboka ciemnota“, że zamieszkiwał on pomiędzy barbarzyńskimi Liwami, osłonięty opieką coraz częściej przybywających tutaj chrześcijan-katolików, już to kupców, już rzemieślników i osadników, którzy wkrótce nad brzegiem Dźwiny stale się osiedlili. Przy ich pomocy założył Mejnard pierwsze kościoły w Ikskul i Kirchholmie, nieopodal od dzisiejszej Rygi, i przez swoje gorliwe apostołstwo potrafił zwrócić tubylców na drogę prawdy ewangelicznej.

Nawracanie to odbywało się sposobem powszechnie wówczas przyjętym. Zwykle poprzestawano na samem udzielaniu chrztu świętego, nie troszcząc się zbytecznie o bliższe wytłumaczenie prawd

wiary, co zresztą przy małej znajomości miejscowego języka inaczej odbywać się i nie mogło.

To też nie można było wiele rachować na stałość i niezachwianie w wierze nowo-ochrzczonych pogan, którzy udzielony chrzest częstokroć w dosłownem tego słowa znaczeniu zmywali w Dźwinie mniemając, że tym sposobem chrzest zgładzą i z biegiem wody chrześcijanom odeślą!

Te i inne niepowodzenia raziły biskupa Mejnarda, który tylu trudami znękany umarł 4 października 1196 r., jak to wyraża przytoczony powyżej napis grobowy. Życie błogosławionego pasterza obfitowało bardziej w boje niż w powodzenie i dopiero następcy jego zdolali utrwalić chrześcijaństwo nad Bałtykiem.

Zwłoki błog. Mejnarda pierwotnie w Ikskul pogrzebane zostały. W ile lat później przewieziono je do katedry ryskiej? tego wielokrotne badania miejscowe dotąd dokładnie nie wykazały. Przed kilkoma laty nie miano nawet i o tem zupełnej pewności, czy też pomnik grobowy w tumie ryskim na cześć Mejnarda wzniesiony zawiera istotnie popioły tego apostoła krajów nadbałtyckich, gdy w lecie roku 1883, wkrótce po zamknięciu pierwszej w tych krajach wystawy historycznej, uznano za potrzebne zbadać nakonec grób jego dokładnie.

Skoro usunięto kamień grobowy leżący ukośnie pod taflą, na której się mieści przytoczone powyżej dosłownie epitafium Mejnarda, ukazała się pod owym kamieniem skrzynia drewniana, na w pół zbutwiała, zawierająca czaszkę i kości błogosławionego biskupa, które przyzwany niebawem fotograf Szule tamże na miejscu odfotografował wcale udatnie. Odbicia tych fotografii zdjętych ze stron kilku w najrozmaitszych rozmiarach rozechodzą się i dotąd jeszcze w znacznej ilości z pracowni wspomnianego ryskiego fotografa.

Dnia 19 lipca roku 1883 gdy zmrok wieczorny nieco już przyćmiewał wewnątrz prastarego tumu w owym roku odwiecznem zaniedbaniem jeszcze przerażające, przełożono kości apostoła krain nadbałtyckich do nowej cynkiem wyłożonej trumienki dębowej, dostarczonej przez Towarzystwo historyczne *Gesellschaft für Geschichte und Alterthumskunde der Ostseeprovinzen*, po czem trumienkę tę nader skromną w dawnym umieszczono schronieniu, składając obok niej puszkę blaszaną opieczetowaną pieczęcią wspo-

mnianego towarzystwa historycznego, a zawierającą wydrukowany na pergaminie sążnisty akt pamiątkowy, opatrzony podpisami obecnych.

Szczupła liczba lubowników starożytności, składająca się wyłącznie z miejscowych protestantów, otaczała tajemniczo grób w czasie czynności odbywanej bezkarnie ze szczątkami błogosławionego biskupa rzymsko-katolickiego i — jak przynajmniej otwarcie wyznawał prezes Towarzystwa historycznego, Dr. Jerzy Berkholtz — dopiero w ostatniej już chwili zdawała się czynić sobie wzajemnie wyrzuty, że nie wezwwała do udziału w tym akcie ani jednego z katolickich kapłanów, na których — dzięki Bogu — obecnie już nie zbywa w złutrzzonej od przeszło trzech stuleci Rydze.

Zresztą rzecz oczywista, iż w tym razie chęci protestanckich archeologów były najlepsze, a jeśli zabierając się do czynności, którą przecież uczcić chcieli pamięć bł. Mejnarda, nie przyszło im w porę do głowy przyzwanie do niej chociażby jednego kapłana katolickiego, to bodaj dla tego, że żaden z tych panów nie miał sposobności widzieć z jak wielkiem namaszczeniem i z jak budującą powagą dopełniano w roku 1880 takiegoż aktu ze szczątkami Długosza w Krakowie. Chwila pobożnie powtarzanej za kapłanem modlitwy na Skałce w katakumbie romańskiej, ciemnej, oświetlonej tylko błaskiem żółtych świec i kagańców w około trumienki Długosza porostawianych, należała niewątpliwie do najwspanialszych w czasie pamiętnego jubileuszu najdawniejszego polskiego historyografa i — jak wówczas nader trafnie zauważył dostojny profesor Roeppel — zdolną była pozostawić nawet na lutrach wielkie i trwałe wrażenie.

Odkąd badacze starożytności nadbałtyckich mają już pewność, że tum ryski posiada istotnie szczątki błogosławionego Mejnarda, zajmują się coraz bardziej jego epoką, a postać tego rzymsko-katolickiego biskupa, po siedmiu stuleciach, z pomroki wieków wyłania się pełna promiennego blasku i staje przed nimi w najczystszej świetle, jako chwała chrześcijańskiego Kościoła i chluba Infant, aby po 700 latach otrzymać jednogłośnie uznanie i hołd nawet od akatolickich historyków i uczonych.

Skutkiem tego i predykan ci luterscy zmienili ostatnimi czasy swą taktykę. Jeśli dawniej z kazalnicy wyszydzali ustawicznie wiarę rzymsko-katolicką i jej święte obrzędy, jak to dosadnie maluje

książeczka wydana w roku 1885 przez X. Jana J... na pamiątkę obchodu 100-letniej rocznicy poświęcenia teraźniejszego jedynego kościoła katolickiego w Rydze¹, — to obecnie usiłują wmawiać słuchaczom, iż słowo Boże, jakie oni wygłaszają ze swoich luterskich kazalnicy, w niczem się rzekomo nie różni od wygłaszanego tu przed 700 laty przez błogosławionego biskupa Mejnarda².

Zstępując po stopniach prowadzących w pobliżu grobowca błog. Mejnarda z planem katedry do bocznej nawy lewej, trafiamy do części gmachu, noszącej nazwę: *der Bullenchor*³, gdzie najbardziej zwraca na siebie uwagę widza sarkofag ostatniego arcybiskupa ryskiego, lubo napis na tym artystycznie wykonanym grobowcu już uległ zupełnemu zniszczeniu.

¹ O treści tej jeszcze nie dość ogólnie znanej książeczki patrz *Przegląd powszechny*. Tom VIII. str. 114.

² Dowodzi tego najjaśniej artykuł wstępny numeru 223 dziennika *Rigasche Zeitung* z dnia 12 października (30 września st. st.) 1886 roku pod tytułem: *Die Feier des 700 jährigen Bestehens der Uexküllschen Kirche*, gdzie są przytoczone dosłownie następujące słowa kazającego na tej uroczystości luterskiego predykanta: „Sind auch die Mauern, die das Kirchlein umgeben, andere, das „Evangelium, das in ihm jetzt verkündigt wird, ist dasselbe, das der Gläubensfrohe Apostel Mejnhard vor 700 Jahren gepredigt, dieselbe frohe Botschaft von der Liebe Gottes des Vaters, der seinen eingeborenen Sohn gesandt, auf dass er erlösete die Welt von der Sünde, dasselbe, das uns lehrt „auf Gott all' unser Vertrauen und Hoffen, unsere Gegenwart und unsere „Zukunft zu setzen. Ein feste Burg ist unser Gott!“

³ O etymologii nazwy *Bullenchor* podał ciekawe szczegóły Herman br. Bruiningk w odczycie mianym w d. 25 maja (13 maja st. st.) 1887 r. na posiedzeniu Towarzystwa historycznego prowincyj nadbałtyckich, wykazując dosadnie błędne zapatrywania się miejscowych starożytników, wyprowadzających nazwę *Bullenchor* od bulli papieskiej (sic!). Uczony prelegent dowiódł wymownie, iż w wiekach średnich używano powszechnie słowa *Bollen* zamiast dzisiejszego *Bräutigam* w znaczeniu *Oblubieniec*. Do tego chóru prowadziły drzwi zwane *Bollenthür*. „Otte in seinem bekannten Handbuch der kirchlichen Kunstarcheologie (5 Auflage, Bd. I. pag. 85)“ — są słowa szanownego prelegenta — „erwähnt, dass die in den mittelalterlichen Kirchen an der Nordseite angebrachten Portale häufig mit Darstellungen der weisen und thörichten Jungfrauen bezw. des himmlischen *Bräutigams* geschmückt waren und als *Ehethür*, *Brautthür* bezeichnet wurden. Für den Chor über der *Bollenthür* des „Rigaschen Doms findet sich in den nicht immer orthographisch geschriebenen Protokollen unserer Domkirche (vom 8 Mai 1716, 7 März 1735 und „9 Februar 1747) bald die Bezeichnung *Bollenchor*, bald *Bullenchor*, was „eine Verwechselung vollends erklärlich erscheinen lässt“. Obacz *Rigasche Zeitung* Nr. 109 z roku 1887.

Wspaniała rzeźba kamienna przekonywa wyraźnie znawców, iż pomnik ten pochodzi z XVI. wieku. W tym zaś stuleciu pochowano w tumie ryskim trzech tylko arcybiskupów a z tej liczby jeden — arcybiskup Michał Hildebrand — spoczywa w krużganku katedry, drugi — Kasper Linde — w jej wnętrzu pod taflą mosiężną; o trzecim nakoniec — o na w pół złutrzonym arcybiskupie Wilhelmie margrabi brandeburskim — opiewają współcześni mu kronikarze, iż miał on być pogrzebanym w głównym chórze tumy, skąd, jak to wykazują protokoły kościelne, pomnik grobowy, o którym mowa, został przeniesiony do tak zwanego „Bullenchor“ nie dawniej jak w roku 1819. Nie ulega przeto najmniejszej wątpliwości, że stoimy tu istotnie przed sarkofagiem Wilhelma Brandeburga.

Ostatni ten arcybiskup ryski był synem margrabiego Fryderyka Brandeburga, a wnukiem słynnego elektora brandeburskiego, Albrychta, dzielnego wodza i dyplomaty, któremu społeczeństwo zwykli przydawać pochlebne miano „niemieckiego Achillesa“; bratem zaś rodzonym Wilhelma był ów. Albrycht, co z ostatniego wielkiego mistrza krzyżacko-niemieckiego zakonu został pierwszym udzielnym księciem pruskim. Nigdy więc nie zajmował kapłan wyżej urodzony ryskiego tronu arcybiskupiego. Był bowiem Wilhelm de Brandenburg cioteczno-rodzonym bratem wszechpotężnego króla Zygmunta Augusta, za rządów którego Polska oparta na Krakowie, Gdańsku i Rydze, zamknięta Wisłą i Dźwiną, Dnieprem i Dniestrem, rozkazująca Małej i Białej Rusi, silnie spleciona z wielkimi interesami zachodniego Chrześcijaństwa, potężniejszą była w Europie, niżeli dziś Rosya, rozciągnięta między morzami, których wybrzeża okalają dwie części świata.

Że zaś urzędy duchowne, w czasie w którym niezmierne przynosiły dochody, uważane były powszechnie za synekury przeznaczone dla młodszych synów książęcych domów, i że margrabiemu Wilhelmowi nie brakło zgoda na potężnych protektorach, — udało mu się przeto bez zbytecznych trudów przybyć do Inflant w charakterze koadjutora arcybiskupa Tomasza Schoeninga, po którego śmierci został też on niebawem uznany jako prawy jego następca.

Atoli słusznie zauważył kronikarz jemu współczesny: „Jedyny „książę niemiecki, który zasiadł na tem krześle arcypasterskiem,

„został krajów nadbałtyckich przekleństwem”¹. Przybył bowiem Wilhelm jako pralaty katolicki do całkiem już zlutrzonej Rygi, broniony przez potężne ramię swego ciotecznego brata, króla Zygmunta Augusta, i utwierdzony przez Stolicę Apostolską, a mimo to znanym był powszechnie ze swych wielkich sympatyj do luteranizmu, których to uczuć nie zadawał sobie trudu ukrywać.

Jakaż niepomiarna leży w tem wszystkiem sprzeczność? Ale nie dbał o nią zgola margrabią Wilhelm. Pragnął on bądź co bądź utrwalić swe panowanie nad Bałtykiem — więc środkami nie przebierał.

Życie tego arcybiskupa przypadło na epokę, w której samodzielność związkowego państwa inflanckiego zbliżała się już ku ostatecznemu upadkowi, upadek zaś ten nie tylko przewiduje sam Wilhelm, ale go nawet dosadnie określa w znanym ogólnie liście do brata Albrychta pisanym: „Es bilh (will) krachen auf allen Enden. Die unhainkaid und furpiderung ist so gros, mer als formudung“ — są słowa z jego własnoręcznego pisma.

Zbliżała się istotnie katastrofa; przewidywał ją od dawna na wpół zlutrzony arcybiskup i łatwo dał się do niej wciągnąć. Nazwę władcy krajów tutejszych a także pewne posiadłości i dochody arcybiskupie zdołał on naturalnie zachować sobie aż do zgonu, gdyż o nie jedynie mu chodziło, a nie o dusz pasterstwo.

W dniu 4 lutego 1563 roku zakończył swój niechwalebny żywot zaprzaniec na tronie arcypasterskim a zaledwie 21 lutego tegoż roku wszystkie dzwony krajów nadbałtyckich obwieszczają skon tego ostatniego arcybiskupa ryskiego. Co do ostatniej posługi oddano ją jego zwłokom w tumie ryskim nie wcześniej jak 15 sierpnia 1563 r. w przytomności posłów polskich, pruskich i kurlandzkich jako też w obec licznie zgromadzonego rycerstwa, oraz członków rady miejskiej ryskiej, którzy trumnę Wilhelma osobiście znieśli do grobu.

Pomnik jego grobowy tworzy olbrzymia tafla kamienna na podwyższeniu. Na tej tafli spoczywa postać Wilhelma naturalnej

¹ „Der einzige deutsche Fürst, der in Livland geherrscht, ist dem Lande zum Fluch geworden“! są jego słowa z zastosowaniem atoli terażniejszej pisowni niemieckiej. Obacz: *Frydryk Bienemann* „Aus baltischer Vorzeit“. (Leipzig 1870) pag. 96.

wielkości, przybrana w przepyszne szaty pontyfikalne. Głowę wspartą na poduszce pokrywa wspaniała mitra. Ręce do modlitwy złożone ubierają rękawice biskupie; po prawej i lewej stronie tej pasterskiej postaci leżą: krzyż arcybiskupi oraz pastorał.

Lubo pomnik źle jest utrzymany, zdradza wyraźnie mistrzowską robotę nieznanego już dzisiaj artysty-rzeźbiarza. Mile uderzają oko bogate ornamentacye u poduszki, na której spoczywa ta głowa mitrą ukoronowana a także zdobiny szat pontyfikalnych, na których starannie są oddane pięknie ornamentowane zgłoski J. H. S., atoli sama twarz arcybiskupa na tym sarkofagu uległa już dawno ostatecznemu zniszczeniu. Pomnik ten grobowy zamierzają obecnie odnowić; za model do oddania całkowicie poobtrącanej twarzy służyć ma dukat ryski, odbijany w roku 1559, na którym mieści się udatna podobizna Wilhelma.

Groby całego szeregu biskupów i arcybiskupów, którzy pomiędzy błogosławionym Mejnardem a na wpół złutrzonym Wilhelmem margrabią brandenburskim na infantynie arcybiskupiej zasiadali stolicy i w tymże odwiecznym spoczywają tumie, nie łatwo by przyszło obecnie odszukiwać. Żaden kamień, żaden napis nie oznacza już dzisiaj miejsca, w jakim ich zwłoki złożone zostały do grobu.

W pobliżu sarkofagu arcybiskupa Wilhelma znajduje się dobrze zachowany, a ostatnimi czasy znakomicie odnowiony pomnik grobowy burmistrza Mikołaja Ekego, który i miastu i krajowi niejednokrotnie oddawał usługi w ciągu panowania aż dwóch królów naszych: Stefana Batorego i Zygmunta III. Położył on zwłaszcza niepożyte zasługi w czasie tak zwanych „sporów kalendarzowych“, o których jużśmy w liście X. wspominali. Odnowieniem ciekawego z wielu względów pomnika zajmował się wspomniany już przez nas powyżej rzeźbiarz Voltz.

Pomnik ten wykonany w Holandyi w roku 1624 przedstawia zmarłego w roku 1623 Mikołaja Ekego w postawie leżącej na skromnym sarkofagu niezbyt wyniosłym. Głowa, ręce i nogi pierwotnie wykonane były z alabastru, sarkofag zaś i cała postać spoczywającej na nim okazałej postawy — z piaskowca. Wiadomość tę przekazał potomności cenny rękopism L. Depkina pod tytułem: *Memorabilia Rigensia* zachowany dotąd w całości w bibliotece ry-

cerstwa inflanckiego¹. Pomnik ten grobowy obecnie jednolicie odnowiony z samego już tylko piaskowca równocześnie otoczonym został przepyszną balustradą z żelaza artystycznie kutego a w części suto odzłoczonego. Balustradę zdobi bogata ornamentyka w stylu odrodzenia, a odkąd całość grobowca tak uroczco się oczom widzów przedstawia, zalicza się on niewątpliwie, do głównych ozdób tumu ryskiego.

Wszystkie inne epitafia i pomniki tej dawnej katedry, jako pochodzące z czasów późniejszych, nie wiele, jak mniemam, dla czytelników waszych przedstawiają interesu. Natomiast tablice miedziane umieszczone u wejścia do tumu pod potężnym chórem, na którym spoczywa wspomniany już wyżej organ olbrzymi o 6800 dudach i sto kilkudziesięciu głosach rejestrowych, — mają dla wszystkich Polaków niepośledni interes przypominając głośnie na całym świecie zwycięstwo wojsk polskich nad szwedzkimi, pod Kirchholmem w dniu 27 września 1605 roku, a w którym dzielny hetman Chodkiewicz połączył talent i męstwo z ludzkością. Tu bowiem leży poległy w tej wiekopomnej bitwie wódz szwedzki Linderson, któremu szlachetny Chodkiewicz umiejący i w przeciwniku męstwo cenić, wyprawił w Rydze wspaniały pogrzeb w dniu 4 października tegoż 1605 r. Szwedzi zaś, opanowawszy to miasto za czasów króla Gustawa Adolfa w r. 1622 i zdarłszy niebawem epitafium przez Chod-

¹ Tekst dosłowny odnośnego w nim ustępu następujący: „Das Haupt „und die Hände sind von Alabaster und in Holland gemacht worden. Man „glaubt auch, dass das Gesicht *ad vivum* gemacht worden. Was der gemeine Mann von dem Haupte und der einen Hand, die, weil sie nur leicht „angemachet, leicht haben abfallen können, vor wunderliche Fabeln erzählt, „ist fast lächerlich“.

Powyższa uwaga kronikarza Depkina nader jest ciekawą, gdyż żył on w drugiej połowie wieku XVII., w którym to czasie tradycja o burmistrzu Mikołaju Ecke jeszcze była żywą. Znał on nawet mężów, co trumnę zacnego burmistrza osobiście w grobie złożyli, a należał do grona najpilniejszych badaczy w zakresie ryskiej historii kościelnej, w której z powodu ściśle z nią związanych tak zwanych sporów kalendarzowych *die Kalender-Unruhen*, imiona Eckego, Wellinga i Tastiusza co chwila dają się napotkać a i dotąd jeszcze miejscowi historycy i grafowie powtarzają aż nazbyt często: że lud ryski, uniesiony fanatyzmem, głowę i prawą rękę na nagrobku Eckemu oderwał. Jeśli wszakże już Depkin oznacza ową miejscową tradycję mianem *fast lächerlich*, rzecz oczywista, iż do niej najmniejszej wagi przywiązywać dziś nie należy.

kiewicza ich wodzowi w tumie ryskim wystawione, zaledwie w r. 1631 uczcili nagrobek Lindersona nowymi szumnymi napisami łacińskimi na dwóch potężnych tablicach miedzianych, których widok i dotąd jeszcze ściaga nie jednokrotnie ciekawych widzów pod chór organowy.

Atoli szumne te napisy z roku 1631 w dziwnej zawsze pozostaną sprzeczności z mnóstwem źródeł współczesnych o bitwie pod Kirchholmem (1605) już to rymowanych, już nie rymowanych, na których nie zbywa nietylko w języku łacińskim ale i w niemieckim. Z tych ostatnich przytaczamy tu parę w kołach polskich dotąd bodaj zgola nieznanych:

*Ach gütiger Gott im Himmelreich
Des Carl's steinige Hertz erweich
Bekehr sein blütiges Gemüthe
Dass er an Fried ein mal gedenk
Und sich vor Blutvergiessen hüte.*

*Wil er aber nicht ruhig sein
Zu plagen in Liefeland gross und klein
Mit seinem Tyrannischen Wesen,
So wolt du ihn, o Gott, mit starker Hand
Stürzten: und nicht lassen genesen.*

Taką to prośbę zasyła nadbałtycki poeta do Boga, słysząc o zbliżaniu się wojsk szwedzkich do polskiej podówczas Rygi. A po bitwie pod Kirchholmem drukowano w Rydze rymy ulotne, w których do Szweda nie więcej przebijają sympatyi:

*Da wurden zehen Tausend in kurtzer Zeit
Getödt, verwundt und übel belegt,
Da war ein Jammer zu sehen,
Der eine lag hier, der andere da,
Beweget das Hertze zu weinen.*

*Der Fürst von Lünenburgk auch hie lag
Bekam einen scharfen und harten Schlag
Seinen Geist hat er aufgeben,
An diesen Rein musst' auch Lindersohn,
Mansfeldt (wie man sagt) soll noch leben.*

Zbiór 17-tu takichże pięciowerszowych rymów ulotnych, dotyczących bitwy pod Kirchholmem a już w roku 1606 ogłoszonych

drukiem na sześciu kartkach w formacie ósemki, znajdujemy wklejony starannie w tomie I. rękopismu Krzysztofa Brotzego pod tytułem: *Sammlung livländischer Monumente* i t. d. Stąd go w roku 1855 przedrukowało dawne dorpackie czasopismo *Das Inland*¹, pragnąc ciekawe wierszyska i szerszemu kołu uczynić dostępnymi.

Bardziej atoli znanym jest łaciński opis tejże bitwy, zajmujący 10 arkuszy druku in 4^o a noszący tytuł:

Carolomachia: qua felix victoria, ope divina, auspiciis serenissimi et potentissimi Sigmundi III., Poloniae et Sueciae regis, magni Lithuaniae ducis etc. etc. per. illustr. D. Joan.. Car. Chodkiewiczium comitem in Szklów et Bychow etc. etc., de Carolo, duce Sudermanniae S. R. M. perduelli V. kalend. Oct. A. D. 1605 in Livonia sub Kirkholm reportata narratur. Serenissimo principi Vladislao a Christophoro Zawisza in alma Vilnensis academia S. J. studioso, d. d. Vilnae, typis academicis, A. D. MDCVI.

Bałtyccy uczeni przypisują jednozgodnie ten utwór księdzu Jezuitcie Wawrzyńcowi Boyerowi, nauczycielowi Krzysztofa Zawiszy (siostrzana Jana Karola Chodkiewicza), gdyż istotnie trudno przypuścić, ażeby młodziuchny student tak mógł władać piórem.

Egzemplarz nieuszkodzony *Carolomachii* posiada biblioteka miejska ryska mieszcząca się od wieków w murach katedry, z której krążganku prowadzą wschody do sal zajmowanych przez ten cenny księgozbiór, któremu w następnym liście choć kart kilka poświęcić zamierzamy.

Gustaw Manteuffel.

Szkoła ludowa w Austrii i wniosek Liechtensteina.

Wiedeń 15 marca.

W ostatnich latach sprawy przeważnie gospodarskie zajmowały równie koła polityków, jak i szersze masy wyborców; obecnie znów kwestya szkolna prawie wyłącznie zaprzęta sobą uwagę powszechną. Nie tylko pojedyncze klasy ludności, lecz ogół mieszkańców tej połowy naszej monarchii — o ile przynajmniej nie podlega

¹ Obacz *Das Inland*. Tom XX., a mianowicie stronnice 811, 812.

specyalnym ustawom szkolnym — bierze mniej lub więcej czynny udział w walce o tę ważną sprawę. Jestto bardzo łatwe do zrozumienia. Nie tylko bowiem szkolnictwo obchodzi większą część ludności bezpośrednio i osobiście — gdyż idzie tu przecie o doczesną, duchowną i wieczną przyszłość jej dzieci; — lecz co nie mniej jest ważnem, etyczne zasady, stanowiące podstawę szkolnictwa, są zarazem ważnym czynnikiem, wpływającym na cały polityczny i gospodarski rozwój państwa. Pojęcia i zapatrywania, które szkoła wpaja w młode pokolenia, wywalczyć sobie muszą w przeciągu kilku lat przeważne znaczenie we wszystkich zawodach życia publicznego.

Szkolnictwo austriackie wytworzone przez partję liberalną w latach 1868 i 69 a przez nowellę szkolną z roku 1883 pozostawioną prawie bez zmiany, opiera się na zasadach liberalnych, na tak zwanych wolnomysłnych wyobrażeniach, dla których nie istnieje żadne prawo Boskie, żadne prawdy od Boga objawione. Jako nieuniknione ustępstwo dla religijnych uczuć monarchy i ogółu ludności przystali liberalni prawodawcy na skąpe udzielanie nauki religii, postanowili jednak by „nauka wszystkich innych przedmiotów naukowych była niezależną od Kościoła, lub jakichbądź stowarzyszeń religijnych“. Wiadomo, co miano na celu przez to wyłączenie wszelkiego wpływu religijnego na szkoły. Nie tylko chciano przeszkodzić, by — jak to dawniej miało miejsce, idea religijna nie tworzyła podstawy wychowania w szkole ludowej, lecz chciano także ułatwić nauczycielowi wpojenie w umysł dziecka pojęć liberalnych.

Stosownie do tego zadania wychowywano nauczycieli w seminariach, urządzonych według zasad liberalnych. Robiono wszystko, co tylko mogło być możebne, aby młodych ludzi, którzy do tychże zakładów uczęszczali, natchnąć obojętnością względem religii, a nawet wstrętem ku wszystkiemu co chrześcijańskie. Nadto, dozwolono i Żydom zajmować posady nauczycielskie w szkołach chrześcijańskich; jakoż wkrótce rzucili się oni tłumnie do zawodu nauczycielskiego. W krótkim czasie w szkolnictwie i nauczycielstwie zapanowały żywioły obojętne religii; wywierały one i wywierają dziś jeszcze wpływ na młodzież uczącą się w duchu zasad liberalnych. Mają też pod tym względem wolność nieograni-

czoną i jak najlepsze szanse przeprowadzenia swoich zamiarów. Pominąwszy już władzę ich popartą przez zwierzchność ma nauczycielstwo w ciągu nauczania tysiączne sposobności wpajania w umysły młodzieży szkolnej własnych swych pojęć i zapatrywań tyczących się religii i moralności, o ile pojęcia te są ujemnej natury. Rzecz prosta, że to, co się dziecku często i przy każdej sposobności mówi i nadmienia, wnika głębiej i łatwiej w duszę młodocianego wieku, niż to, co słyszy rzadko i przy pewnych tylko sposobnościach. O ile ułatwiono nauczycielowi wpływanie na młodzież w znaczeniu ujemnem, nieprzyjaznem religii, o tyle trudniej przychodzi mu to w znaczeniu dodatniem na korzyść religijnych, a zwłaszcza chrześcijańskich wyobrażeń, jeżeli w szkole jego znajdują się uczniowie różnego wyznania. Chociażby przeto był sam dobrym chrześcijaninem, to jednak zmuszonym jest odstąpić od chrześcijańskich swych zasad, pomimo wszelkich sposobności rozbudzania uczuć religijnych u dzieci, powiększania zapasu wiadomości z zakresu religii i historii Kościoła, co mu się z natury samych tych przedmiotów tak obficie nasuwa przy nauce historii, geografii, historii naturalnej i t. d. Mógłby bowiem łatwo przez swoje pozytywne chrześcijańskie zdania i myśli zranić lub osłabić wyobrażenia religijne dzieci wyznających inną wiarę.

Jest przeto zadaniem katechety wpoić w młodzież szkolną zasady wiary i moralności chrześcijańskiej, przekonać ją o jej prawdziwości i zaprawiać do sumiennego wykonywania obowiązków, wypływających z poznania tychże zasad. Jest dalej jego obowiązkiem, wynikającym częścią z planu naukowego, częścią z prakrycznej potrzeby nauki, starać się, by dzieci nauczyły się katechizmu i pewnej liczby modlitw na pamięć, co mniej zdolnym dzieciom z wielką trudnością przychodzi. By spełnić to zadanie, ma katecheta na tydzień pięć, a nawet często trzy tylko godziny do rozporządzenia, które musi sobie formalnie odkradać z czasu przeznaczonego na wykonywanie licznych i wyczerpujących siły obowiązków zawodu swego. U dzieci zdolnych i bystrego pojęcia, u takich, które już w domu rodzicielskim mają kierunek religijny i dobry przykład przed oczyma, może katecheta i w tym krótkim przeciągu czasu doprowadzić do pożądaných rezultatów — ale nie u ogółu dzieci. Ogół młodzieży szkolnej potrzebowałby pomocy ze strony nauczyciela podczas in-

nych godzin szkolnych, nauczyciel powinienby przy tych nadarzających się sposobnościach zwracać uwagę dzieci na prawdy religijne, przypominać im ich obowiązki, przyświecać im własnym przykładem. Słowem: katechetata może tylko uczyć i obznajamiać dzieci z religią i przekonywać je o jej prawdziwości; może on rozbudzać w nich uczucia religijne i dobre postanowienia — lecz wdrożenie w dzieci zasad religijnych i moralnych, by według nich w życiu postępowały, jest obok rodziców rzeczą nauczycieli, pod okiem i kierunkiem których pozostaje młode pokolenie przez większą część dnia. Kto tylko trudnił się kiedy wychowaniem młodzieży, lub w ogóle kto zna naturę ludzką, ten przyzna, że przyzwyczajanie do dobrego jest tak samo ważne i potrzebne jak i pouczanie o niem. Pouczać o tem co jest dobre, a co złe, może katecheta; przyzwyczajanie zaś do dobrego leży tylko w mocy nauczyciela, jeżeli ten znajduje się na tym samym poziomie religijnym i moralnym co i katecheta, i jeżeli w obec swych uczniów może przekonania swe religijne jawnie okazywać i życiem stwierdzać.

Wprawdzie, według brzmienia dzisiejszego regulaminu szkolnego „moralne i religijne wychowanie młodzieży“ ma być głównem zadaniem szkoły ludowej; ale jest to frazes tylko, bo wychowanie oparte na podstawie religijnej jest w obecnych warunkach szkoły ludowej wprost niemożliwe. Na czem więc ma się opierać wychowanie? Potężne uczucia miłości ku Bogu, jako najwyższemu Dobru i uczucia bojaźni słusznej kary Jego, z których to uczuć wypływa silne poczucie obowiązku — nie istnieją dla szkoły bezwyznaniowej. Ustawy szkolne wykluczają bojaźń uosobioną w postaci kija lub różgi, jako podstawę wychowania, i mają w tym razie słuszość, chociaż — mówiąc nawiasem — cały nasz tegoczesny liberalny ustrój państwowy opiera się na bojaźni, w jakiej warstwy panujące usiłują i umieją utrzymać warstwy niższe. Na czemże więc ma nieszczęśliwy nauczyciel ludowy opierać w myśl ustaw szkolnych moralno-religijne wychowanie? Rozporządzenie ministryalne wskazuje poczucie godności osobistej, ambicję, jako ową podstawę. Cóż to jest? Jest to uczucie składające się z poszanowania, jakie człowiek ma dla siebie samego, i z przywiązywania wagi do szacunku swych bliźnich. Na czemże jednak polega owe poszanowanie siebie samego? U dobrego chrześcijanina na bardzo pozytywnej

podstawie: wie on dobrze, że jest istotą stworzoną na obraz i podobieństwo Boga, obdarzoną duszą nieśmiertelną, powołaną do świętobliwości i szczęśliwości wiecznej, którą Boski Stwórca cenił tak wysoko, że dla niej poddał się Wcieleniu i strasznym cierpieniom. Poszanowanie samego siebie, poczucie godności osobistej chrześcijanina jest zatem bardzo racjonalne. Jakaż jednak jest podstawa poszanowania samego siebie, poczucia godności osobistej, na której ma się zasadzać wychowanie bezwyznaniowe? Czy nauczyciel ma w takim razie wychowywać na podstawie zasad deistycznych, panteistycznych lub może materyalistycznych? W najlepszym razie będzie nią wtedy zamilowanie moralnej piękności i czystości — enota nielogiczna, opierająca się jedynie na próżności i bojaźni ludzkiej i z którą silne, samodzielne natury przy pierwszym zaraz starciu dwóch sprzeciwiających się sobie interesów, prędko się załatwią.

Prawdą jest, że słyszymy często od ludzi niemających żadnej wiary, należących do wykształconych, zamożnych, wyższych sfer, zapewnienie: że poczucie godności własnej było im przewodnikiem na drodze życia; i istotnie, niektórzy z nich dochodzą przynajmniej na pozór w bardzo godziwy sposób do kresu życia, choć wtedy tylko, jeżeli nie są wystawieni na zbyt silne pokusy, nie muszą walczyć z potężnymi namiętnościami. Już sam tryb wychowania człowieka zaliczającego się do wyższych sfer towarzyskich, przyzwyczajanie się by myśleć i czuć, jak inni ludzie, następnie liczne przyjemności, tak zwyczajne w owym stanie, wszystko to czyni człowieka wykształconego zarówno do dobrego, jakoteż i do złego mniej zdolnym, niż człowieka należącego do niższego stanu; pierwszy może zatem w niektórych razach dojść do końca z owym konwencyonalnem, wszelkiej stałej podstawy pozbawionem poczuciem godności osobistej. Doświadczenia te natchnęły zapewne taką ufnością p. ministra, że „poczucie godności własnej“ (Ehrgefühl) ustanowił za podstawę wychowania w szkole ludowej. Nie znał on jednak potrzeb większej części ludności. Zakres widzenia klas niższych jest bardziej ograniczonym, niż klas wykształconych, lecz w swoim zakresie widzenia myślą i rozumują one bystrzej i logiczniej, niż tamte. Dobre, jakoteż i złe ich skłonności są silniejsze; aby zaś zwyciężyć pokusy, które często i z postępową gospodarską i socyalną organizacją do nich przystępują, używają po-

teżniejszego bodźca, niż wyuczanej i przy bliższem badaniu okazującej się niedorzeczną ambicji. Takie tylko poczucie obowiązku i godności własnej, które wyrasta z pozytywnej, religijnej podstawy, jest w stanie większość ludności w ciągu twardego, pracowitego, pełnego cierpień i pokus żywota utrzymać w granicach moralności; a zatem w szkole ludowej należy ludowi dać wychowanie pozytywne-religijne.

Od lat dwudziestu blisko obywają się ludzie bez tego rodzaju wychowania, a skutki tegoż braku dały się już bardzo we znaki. Rozprzężenie obyczajów i dzika nieokrzęsaność szerzą się coraz bardziej między młodzieżą; zewsząd dochodzą skargi na zdziczenie młodzieży, użalali się na nią nawet liberalni posłowie na kilku sejmach krajowych. Nauczyciele nie będąc w stanie poskromić młodzież pozbawioną wszelkiego etycznego wędzidła, dopominają się o prawo chłosty cielesnej; zewsząd podnoszą się głosy żądające rządowych domów poprawy dla dziatwy szkolnej. Nauczyciel stoi często bezradny i bezbronny w obec uczniów swoich, a zdarza się też niekiedy, że niesforność ucznia tak dalece zgniewa nauczyciela, iż zmuszony jest uciec się do chłosty, wzbronionej mu ustawą szkolną, stąd powstają nieraz niemiłe kolizye, których epilog rozgrywa się częstokroć przed sądem karnym. Kto czytuje wiadomości policyjne i sprawozdania sądowe w naszych dziennikach, ten znajdzie tam często dowody wyuzdanej swawoli, a nawet i zepsucia młodzieży szkolnej, które w krajach, gdzie istnieją szkoły wyznaniowe, wyjątkowo się tylko zdarzają. Jako przykład, wspomnę tu tylko o jednym wypadku, jaki się niedawno temu na jednym z przedmieść Wiednia wydarzył: Przez jedną z głównych ulic gromada chłopców wychodzących ze szkoły zabawiała się rzucaniem kul ze śniegu na oddział wojska, maszerującego w zwartych kolumnach. Oficerowie wystawieni zarówno z żołnierzami na tę przykrą napaść, nie mogli temu przeszkodzić, gdyż napastnikami były małe dzieci. Proboszcz widząc tę scenę, wysłał starszego nauczyciela, który kazał chłopcom zostawić wojsko w spokoju i rozejść się do domów. Ale dziatwa rozhukana nie zważała wcale na słowa nauczyciela tak, iż ten, pragnąc położyć koniec temu oburzającemu skandalowi, musiał kilku tych nieponiów wytargać porządnie za uszy. Środek ten okazał się skutecznym, rzucanie śniegiem ustało,

ale ów nauczyciel obawia się, by go za przekroczenie regulaminu szkolnego nie spotkały niemalże nieprzyjemności.

Nie można się wcale dziwić, iż i ze strony rodziców objawia się niezadowolnienie z moralnych rezultatów szkoły: brak uszanowania względem rodziców, nieposłuszeństwo, nieokrzesaność są przedmiotem ciągłych skarg, a jest to szczególnie godnem uwagi, że w ostatnich miesiącach na licznych nie klerykałnych zgromadzeniach domagano się z naciskiem zaprowadzenia szkół wyznaniowych. Że gorliwi katolicy tego się domagają jest to rzeczą wiadomą i zupełnie naturalną, ale także i w szerszych kołach ludowych, w których dotąd panowało obojętne, a nawet i wrogie usposobienie względem Kościoła, przyszło wielu w skutek różnych smutnych doświadczeń do przekonania, że o moralnem wychowaniu dzieci w szkole bezwyznaniowej nie może być mowy.

Domaganie się to szkół wyznaniowych z powodu moralnego jej oddziaływania, występuje silnie szczególnie wśród chrześcijańskiej ludności Wiednia i w dalszych okolicach stolicy i wzrasta jeszcze ciągle. Ludność miejska uskarża się nadto na mały postęp w naukach w szkole ludowej. Podczas gdy zdolniejsi uczniowie wychodzą ze szkoły ludowej niedorosłymi doktorami wszech możliwych nauk, nie nabywa reszta, stanowiąca zwykle daleko większą część, pożądaney biegłości w czytaniu, pisaniu i rachunkach, nie mogąc w tej mierze ani w przybliżeniu sprostać uczniom kończącym dawne, tak zwane „konkordatowe“ szkoły.

Niezadowolnienie ludności monarchii naszej z obecnego stanu szkolnictwa ludowego ma jeszcze inne przyczyny. Wieśniakowi, żyjącemu zazwyczaj w przykrych stosunkach gospodarskich, wydaje się to bardzo uciążliwem, że dziecko jego aż do 14 roku musi chodzić do szkoły, kiedy by mu się bardzo przydało do pomocy w gospodarstwie; sądzi on, że wystarczałoby najzupełniej, gdyby chodziło do 12-go roku do szkoły a potem przez kilka lat korzystało z nauki uzupełniającej. Wieśniak nie przywiązuje także wielkiej wagi do wielu rzeczy wykładanych w szkole, nawet i gimnastyka wydaje mu się zbytęzną, gdyż dzieci jego rozwijają siły fizyczne przy pracy i zabawie, w polu i w lesie, w najzdrowszej, choć nie sztucznej ćwicząc się gimnastyce. Inaczej ma się rzecz z ludnością miejską; ta nie żąda skrócenia czasu na naukę szkolną

przeznaczonego; nie wymaga też uproszczenia planu naukowego, a naukę gimnastyki uznaje za bardzo pożyteczną dla dzieci, którym właśnie zbywa na sposobności ruchu i wyrabiania sobie sił i zręczności fizycznej.

W obec ogólnego niezadowolenia z obecnego stanu szkolnictwa ludowego, uważała sobie pewna liczba posłów konserwatywnych za obowiązek wystąpić w Radzie państwa z projektami reformy szkolnej. Projekt ustawy szkolnej *Liechtensteina i Raapa* był przedłożony Izbowi przy końcu stycznia. Zaledwie wniosek ujrzał światło dzienne, gdy jakby na komendę uderzono na alarm — podniosły się głosy oburzenia w całej liberalnej prasie nie tylko w naszej połowie monarchii, lecz także i na Węgrzech przeciw przewodzczy niemieckiej konserwatywnej partyi i towarzyszom jego. Obrzucono ich hojnie podejrzeniami, obelgami, potwarzami, a nawet i urzędowe dzienniki przyłączyły się do tego chóru potępienia. Znakomicie zorganizowana partya liberalna postarała się, by ze wszystkich miast i miejscowości całej monarchii, w których posiada stanowczy wpływ na reprezentacye gminne, wyszły natychmiast oświadczenia przeciw wnioskowi *Liechtensteina* w formie uchwał, rezolucyj i t. p., a dzienniki liberalne zapełniały swe szpalty temiż oświadczeniami ułożonemi przeważnie w wyrażeniach bombastycznych, napuszystych... Liberalna większość wiedeńskiej Rady miejskiej nie mogła oczywiście pozostać w tyle, wyraziła więc swoje przerażenie w obec usiłowań niemieckich konserwatywnych wnioskodawców. Ale nie zadowolniło to bynajmniej przewodzców partyi liberalnej; zażądali oni, by nadzwyczajne zgromadzenie obywateli miasta dało wyraz wrzekomemu wstrętowi Wiedeńczyków do żądań konserwatystów niemieckich, a głównie do szkoły wyznaniowej. Wkrótce jednak przewodzczy partyi liberalnej spostrzegli, że większość ludności Wiednia życzy sobie szkół wyznaniowych. „Wolne zgromadzenie obywateli miasta“, które odłożono na pewien czas z obawy opozycyi, odbyło się wreszcie pośród tysiąca środków ostrożności przedsięwziętych w celu zabezpieczenia się od obecności przyjaciół szkół wyznaniowych i pod osłoną mnóstwa policyantów, oddziałów straży ogniowej i piechoty, rozstawionych gęsto w sali, w której się odbywało zgromadzenie, w całym gmachu i w pobliżu tegoż. Gmach ten należący do Towarzystwa muzycznego robił podczas obrad

„wolnego zgromadzenia obywateli“ najzupełniejsze wrażenie dobrze obwarowanej twierdzy; wszędzie polyskiwała broń, a policyanci patrolujący dwójkami około domu, którzy zatrzymujących się przechodniów bez żadnego względu aresztowali, czynili złudzenie to zupełnem. Pomimo wszelkich tych środków ostrożności, weszło kilku zwolenników szkoły wyznaniowej do sali i protestowało przeciw wycieczkom i zjadliwym napaściom wymierzonym przeciw religii — lecz doznawszy czynnej zniewagi od liberalnych, zostali przemocą wyrzuceni z sali i oddani policyi broniącej „wolnego zgromadzenia obywateli!“. Gdy się te rzeczy rozgłosiły po mieście, szydzono i naśmiewano się oczywiście z partyi liberalnej, która musi się aż uciekać pod opiekuńcze skrzydła policyi, by stamtąd napadać na zasady chrześcijańskie, i dotąd jeszcze nie ochłonęła partya liberalna z tego strasznego moralnego ciosu, który sobie sama owem „wolnem zgromadzeniem obywatelskiem“ zadała.

Pomimo całej ważności interesującego tego epizodu, świadczącego o skłanianiu się na stronę szkoły wyznaniowej — donioślejszym jest fakt, iż ze wszystkich krajów Przedlitawii nadchodzą liczne petycje do Rady państwa, żądające przeważnie zaprowadzenia szkół wyznaniowych, wychowania i nauczania młodzieży na podstawie chrześcijańskiej, nie czyniąc przytem żadnej wzmianki o projekcie ustawy szkolnej Liechtensteina i Raappa projektu, którego jeszcze nie znano na początku owego ruchu petycyjnego. Że i w kołach, które nie mają żadnej łączności z księciem Liechtensteinem i towarzyszami jego, uznają potrzebę reformy szkolnej, widać to z tego, że od czasu, w którym Liechtenstein postanowił poruszyć tę kwestyę w Radzie państwa — szerokie koła ludności od dawna się już nią i gorąco zajmowały — pojawiły się dwa jeszcze wnioski, dotyczące się także reformy szkół: autonomiczny, lecz pod względem religijnym liberalny wniosek Młodo-czechów i centralistyczny radzcy dworu Lienbachera. Z wytężeniem oczekuje teraz chrześcijańska ludność, jak sobie w tym względzie postąpią najważniejsze prawodawcze korporacye nasze. W każdym razie spodziewa się, iż zbadają dokładnie potrzebę reformy, słuszne żądania prawie całej ludności, i usuną obecne, nader niebezpieczne, ujemne strony szkolnictwa ludowego.

Karol br. v. Vogelsang.

PIELGRZYMKA I UKŁADY.

Pielgrzymka do Rzymu jest objawem i funkcją katolickiego życia w świecie. Rzym, serce Kościoła, przyciąga ustawicznie wiernych z krańców świata, i odsyła ich znów z świeżym zapasem żywotności, — i ten rytm życiowy nie ustaje od ośmnastu wieków. Pielgrzymowano już do stolicy Piotrowej wśród pogańskich prześladowań — jak uczeń Janowy, Polikarp, jak wysłańcy Lugduńskich wyznawców za Eleuteryusza¹; pielgrzymowano wśród zamieszek Aryanizmu — jak wielki Atanazy; pielgrzymowano i wśród żelaznej epoki średnich wieków, i wśród zbytków i namiętności odrodzenia. Nieraz ludzkie nędzoty, chciwość i ambicja, grały rolę w tych wędrówkach... Ale Duch, który rządzi Kościołem, sprzęgał te wszystkie czynniki do usługi w życiowym rozwoju mistycznego ciała Chrystusowego na ziemi. — I dziś ten postęp materialny, który zdawał się w innym kierunku wiek nasz porywać, przychodzi także służyć tej najwyższej funkcji, dla której wszystko na świecie jest środkiem — bo ona jest celem wszystkiego. Para skróciła drogi, prasa i elektryczność pomnożyły poczucie solidarności świata z Rzymem. Dziś pielgrzymki *ad limina Apostolorum* są częstsze, liczniejsze, nawet entuzjastyczniejsze, niż były kiedykolwiek. Po tym pulsie znać, że i wiara żyje i że katolicyzm jest w pełni zdrowia.

Teraz właśnie przy tym bezprzykładowym obchodzie jubileuszu papieskiego, wszystkie narody katolickie ruszyły do Rzymu. Fran-

¹ Eusebius lib. V. cap. 3.

cya niesie swą wspaniałą ofiarność złota i krwi, Niemcy swą mądrą a silną jak warownia socyjalną organizację; Anglia piękną zorzę swego odrodzenia w wierze ojców, Belgia swe tryumfy nad lożą i liberalizmem, Włochy swą heroiczną karność pod ręką Najwyższego Pasterza, Hiszpania bogaty rozkwit katolickiego piśmiennictwa, Irlandya męczeńską wytrwałość, Ameryka młodzieńczą swego Kościoła bujność... Coby to było, gdybyśmy się byli wyłączyli z tej procesyi ludów — gdybyśmy się byli pozbawili tego wspólnego błogosławieństwa i pokrzepienia ducha u Grobu Apostołów — gdybyśmy się sami wymazali w oczach świata katolickiego z liczby narodów?

.

A jednak byliśmy niedaleko tego nieszczęścia.

Wyszła na widownię sprawa układów Watykanu z rządem rosyjskim. Sprawa dosyć zwyczajna i od czasu do czasu się powtarzająca — ostatnią razą nie dalej jak roku 1882 — a zawsze niemal obojętnie przyjmowana, tym razem wywołała w naszym społeczeństwie jakieś dziwne, nadzwyczajne zaniepokojenie, ponieważ nawet wzburzenie umysłów.

Skąd to wzburzenie? Każdy co śledził przebieg wypadków i głosy prasy, spostrzedz mógł agitację rozsiewającą tendencyjnie najdziwniejsze wieści o charakterze i rezultacie tych układów, a zmierzającą widocznie do odwrócenia naszego społeczeństwa od Stolicy św. i przeszkodzenia, jeśli być może, pielgrzymce. Wiadomości te dochodziły niby z wszystkich stron: z Wiednia, z Francyi, z Włoch; znajdowały się we wszystkich gazetach; istotnie jednak z dwóch źródeł ze wspomnianą tendencją pochodziły. Np. ów sławny telegram, podający z uderzającemi szczegółami wszystkie klauzule wrzekomo już zawartego układu, pojawił się w *Journal de St. Petersbourg*, jako wzięty z gazet francuskich — te zaczerpnęły go były z *Gaulois* — a *Gaulois*, którego mam w tej chwili przed oczyma, podał był tę wiadomość jako pochodzącą od swego korespondenta z Petersburga (sic!).

To jest jedno źródło. Drugie, to są nasze gazety „liberalne“, jak *Nowa Reforma* i *Kurier lwowski*. Raz po raz pojawiały się z tego źródła alarmy, identyczne z rosyjskimi. Donoszono, że układy już podpisane — kiedy jeszcze nie były naprawdę zaczęte;

donoszono, że wprowadzenie języka rosyjskiego do kultu już sankcjonowane — kiedy mowy o tem nie było; donoszono, że pielgrzymka polska nie będzie osobno przyjęta — kiedy żadnej do tej pogłoski nie było podstawy... A gdy ogłaszane były zaprzeczenia, którym nawet te gazety „liberalne“ stanowczości i urzędowego charakteru odmówić nie mogły, to (na dowód dobrej wiary) albo o nich milczały, albo wymijały główną ich doniosłość¹. Gdy wreszcie pojawił się ów nedorzeczny adres do księcia Sapiehy, wzywający go, by w imieniu narodowości polskiej bronił przed Ojcem św. sprawy języka w nabożeństwie, to już na seryo można było myśleć, że sprawa przegrana z naszej winy; bo kiedy właściwi tej sprawy rzecznicy przedstawiali ją w Rzymie jako kwestyę istotnie religijną, jaką jest rzeczywistość, a przeciwnicy podawali ją jako czysty interes szowinizmu polskiego — cóż bardziej, jak taki adres, mogło połać szyki pierwszym, a posłużyć za broń i dokument drugim?

Nakoniec w sam dzień wyjazdu pielgrzymki 6 kwietnia *N. Reforma* umieszcza długi telegram prywatny, niby z Warszawy nadesłany², z sensacyjnymi wiadomościami: „Układ zawarty, kalendarz starego stylu przyjęty w Królestwie, język rosyjski wprowadzony do kościołów katolickich, gdzie gminy tego zażądatają — powszechne oburzenie przeciwko kuryi rzymskiej, która w interesie problematycznym Kościoła nie waha się poświęcić najżywoźniejszych interesów narodowości polskiej i t. d.“ Na domiar, znalazły się pisma, których nie nazwę, co drwiły słowem i karykaturą z tego, co naród religijnie czci, naśmiewały się z pielgrzymów jadących przedstawić nasz naród w stolicy świata, i szydziły z drugiej i najdroższej korony naszej.

Powstało zatem w samym dniu wyjazdu straszne zamieszanie.

¹ *N. Reforma* przytoczywszy raz korespondencyę *Czasu* z Rzymu, której oficjalny charakter przyznaje, mówi tylko, że z niej to jedno wynika, iż nam każą: „ufać i czekać“; przemilcza zaś całkiem dowód sympatii dla naszego narodu i rozumienia jego potrzeb, który się w tej korespondencji znajduje, i nie odwołuje swych wielokrotnych doniesień o skończeniu układów, o wprowadzeniu języka rosyjskiego i t. p., którym ta korespondencya jawny kłam zadaje.

² *Reforma* dodaje w klamrze, że ta depesza przysłana była pocztą do granicy (!). Ostrożność niepotrzebna, bo ręczę, że cenzura rosyjska nie byłaby takiego telegramu przytrzymała.

Alarmujące wieści, które tak uporczywie powtarzano, zaczynały na dobre niepokoić. Rozpuszczano jeszcze pogłoski, że jakieś depesze z Rzymu kazały odroczyć pielgrzymkę. Na ulicy pielgrzymów zaczepiano wyrzucając im, że się dają na ślepo prowadzić, zapewniając, że nie otrzymają posłuchania. Odzywały się nawet głosy z nie-dorzecznymi groźbami, które przykro i wstyd powtórzyć...

Nie długo Bogu dzięki miało trwać to zamieszanie. Za ledwo zajechali do Rzymu nasi pielgrzymi, już donieśli o serdecznem przyjęciu, jakiego doznali. Ojciec św. wywiadywał się z ojcowską troskliwością o ich umieszczeniu w Rzymie i zaopatrzeniu ich potrzeb. Gdy przy audyencyi prywatnej biskupów polskich, jeden z nich dla pewnych względów nie został dopuszczony, zganiał Ojciec św. tę zbytnią ostrożność i dał mu osobną audyencyę; gdy z dwóch stron, nam nieprzychylnych, wywierano na niego pewien nacisk, aby nie dał Polakom innej audyencyi prócz wspólnej z wszystkimi pielgrzymami Austrii: „Jakto? odpowiedział, jabym nie miał uznać „zasług tego narodu, który się tyle zasłużył Kościołowi i dla którego szczególną żywię miłość? To być nie może. Będą mieli osobną audyencyę; zobaczę ich i pobłogosławię im; i to wkrótce, „bo 18. tego miesiąca¹⁴. A gdy znużenie i niezdrowie Ojca św. nie pozwoliły tego terminu dotrzymać, sam (choć zwykle w te porządki się nie wdaje) naznaczyć raczył drugi termin, na sobotę 21-go.

W chwili kiedy to piszemy (21 kwietnia), nie wiemy jeszcze, czy i jak się odbyła ta audyencya; ale to już cały kraj wie, że złe wieści były mylne, że Stolica święta jest nam najżyczliwsza i dobrze o naszych stosunkach poinformowana².

Dziś więc, kiedy ta cała gorączka już minęła, przyznajmy wszyscy, że to była gorączka, i żeśmy się niepotrzebnie niepokoiili. Rozsiewano wprawdzie alarmujące wieści; ale łatwo było spostrzedz, że te wieści były tendencyjnie podrabiane. Mówiono, że Leon XIII.

¹ Ojciec św. powiedział literalnie te słowa 14 kwietnia, jak wiemy z najlepszego źródła; a następnie te same słowa przytoczone zostały w *Osservatore Romano*.

² Niektóre gazety nasze miały czoło chlubić się tem, że ich krzyki i nie-pokoje przez nich szerzone przyczyniły się do dobrego obrotu sprawy w Rzymie. Możeby ich zapewnić, z dowodami w rękę, że rzecz się miała całkiem odwrotnie, i że ci tylko przysłużyli się sprawie, którzy właściwą drogą dokładnych udzielali informacji.

systematycznie schlebia rządowi, a poświęca interesa ludów; ale twierdzenie to wręcz jest błędem: Leon XIII. nie zganił narodowego ruchu Irlandczyków, choć był o to od rządu angielskiego proszony i naglony, i byłby przez to niezawodnie ambasadę angielską przy Watykanie uzyskał; nie wywarł on nacisku na duchowieństwo Alzackie w kierunku germanizacyi, chociaż poważne chodziły wieści, że rząd niemiecki tego usilnie żądał; nie potępił on socyalnej ligi „Rycerzy pracy“, chociaż z wielu stron tego się domagano... więc kiedy jakie koncesye czyni rządowi, to nie czyni tego z systematycznego ulegania tymże, ale z przekonania, że w danym razie te koncesye wyjdą na korzyść religijnego interesu ludów. Mówiono też, że wszelkie układy z rządem rosyjskim tylko na niekorzyść katolicyzmu wyjść mogą; ale i to się mija z prawdą: gdyby rząd rosyjski jedynie w celach polityki wewnętrznej do układów przystępował, to istotnie nie łatwoby katolicyzm mógł skorzystać, ale jeżeli trafia się chwila, w której rząd ten dla jakichkolwiek celów polityki zewnętrznej układów pragnie, (co jest przecież możliwem — i widoczna interwencya Francyi w tej sprawie czyni to prawdopodobnem) dla czegożby w takim razie nie miało się udać Stolicy św. uzyskać jakieś, choć przejściowe ulgi? Mówiono jeszcze, że „sposób jakim Leon XIII. postąpił względem Księstwa Poznańskiego nie może budzić naszego zaufania“, — ale choć to po sto razy powtarzano, nie wykazano jeszcze, że gdyby Papież był inaczej postąpił, Księstwo znajdowałoby się dzisiaj w lepszych niż jest warunkach. Ostatecznie, Papież rządzi Kościołem, a nie żaden z nas, i choć nie należy wciągać tych kwestyj w sferę nieomylności najwyższego doktoratu, pamiętać jednak trzeba, że jeżeli komu interesa religii leżą na sercu, to Papieżowi; i jeśli komu Pan Bóg daje więcej światła do kierowania tych spraw, to chyba jemu; a jeśli jaki naród zasługuje na szczególniejszą opiekę Opatrzności Bożej, to ten co więcej Opatrzności ufa, co stoi wierniej przy Bożym namiestniku na ziemi.

Cześć więc pielgrzymom naszym, którzy nie dali się temi strachami, niepokojami, uraganiami nawet, odwiesić od zbożnego i szlachetnego zamiaru. A hańba tym, co umyślnie szerzyli te niepokoje i wstrzymać pielgrzymkę usiłowali: bo posługiwali się nieprawdą i oszczerstwem; — bo choć celu nie dopięli, dążyli jednak

do złego celu: do wielkiej dla narodu szkody — do rozerwania związku serca między narodem naszym a Stolicą Piotrową — do tego samego właśnie, czego chcą dokazać ci, co język rosyjski do kościołów naszych wprowadzić usiłują. Nie przypuszczam, żeby ci i tamci w sojuszu działali, ale twierdzę i pokazuję, że jedni i drudzy tę samą robotę robią — ci na ślepo, a tamci świadomie, doskonale rozumiejąc, w czym siła naszego społeczeństwa leży.

Cześć naszym pielgrzymom, którzy kosztem swych trudów, czasu i pieniędzy, oddali narodowi i Kościołowi polskiemu tę walną przysługę, że złożyli jego hołdy u stóp tronu papieskiego, i wśród tego zboru narodów przedstawili naszą wiarę, żywotność i prawdziwą wielkość.

Cześć naszym biskupom, którzy mimo trosk swego pasterstwa, mimo wieku i sił zwątlonych, nie wahali się iść sami na czele tej szlachetnej falangi, pokazując światu, że u nas żyje hierarchiczny porządek, że kler i świeccy, bogaci i ubodzy gotowi iść wszędzie za biskupami swymi.

Cześć i hołd najwyższemu Pasterzowi chrześcijaństwa, który tę małą garstkę owieczek swoich z szczególną przyjął dobrocią, i wiedząc o ich niedoli, serdeczniej niż innych do serca przygarnął. Niech wie, że błogosławieństwo, które zlał na pielgrzymów naszych, przenikło do duszy całego narodu, i że słowa, któreśmy mu przesłali na zlocie wykute¹, będą zawsze przy Boskiej pomocy, tak w dobrej jak w złej dobie, w ucisku jak w swobodzie, naszym hasłem i prawdą:

POLONIA SEMPER FIDELIS.

Ks. M. Morawski.

¹ Słowa wypisane na złotym medalu, ofiarowanym od pielgrzymów Leoniowi XIII.

P. S. Już po oddaniu tego artykułu do druku, otrzymaliśmy wiadomość o udzielonem naszym pielgrzymom posłuchaniu 21-go kwietnia, i o przemówieniu Ojca św., które w dosłownem przekładzie podajemy.

Przemówienie Ojca św. do pielgrzymów galicyjskich.

Wśród takiej mnogości ludzi, zewsząd na uroczystość 50-tej rocznicy kapłaństwa naszego, do Nas spieszących, miło Nam jest i Was ujrzyć — których z Galicyi, z księstwa Krakowskiego i Bukowiny przedziwna pobożności moc do Rzymu przywiodła na to, abyście wasze i rodaków waszych uczuć hołdy w Naszej obecności Nam złożyli. Ta woli Waszej zgodność, sama przez się budująca, tem żywszą przejmując Nas radością, gdy zważamy, iż zachodzą między wami niemałe pochodzenia, języka i obrządku różnice. Zaiste jest to szlachetna i godna Chrystusowego Kościoła właściwość, że wszystkie ludy jednaką miłością złączone obejmuje i sprawić umie, że w krwi i obyczajów rozlicznych różnicach wszystkie zgodnie to samo wierzą i czują. To też Stolica Apostolska rozmaitych w służbie Bożej obrządków nie tylko dopuszcza, ale chętnie przyzwala, by poszczególne narody uprawnionych tradycyj i przekazanego im od przodków obyczaju pilnie strzegły i dochowywały. Ta różnaitość w jedności podobna jest do szaty królewskiej, różnemi barwami i kształtami ozdobnej, która Niepokalaną Chrystusa Oblubienicę jeszcze więcej przystraja. Ta właśnie moc jednoczenia ludów, którą Kościół posiada, szeroko się rozpościera i wielką ma doniosłość, jak wam z doświadczenia wiadomo, ku kojeniu niezgód i usuwaniu trudności, wynikających bądź z biegu wypadków, bądź z ludzkich zabiegów.

Święcie tedy i niezłomnie zachowujcie tę umysłów zgodę, która nieodłączną jest wiary towarzyszką, a miłości chrześcijańskiej owocem. Wytrwajcie dalej w niewzruszonej wierności i posłuszeństwie ku Stolicy św., jakiego już wiele złożyliście dowodów; zdążajcie dalej do wszelkiej chrześcijańskiej zacności; nie ustawaj-

cie stosować życia i obyczajów waszych do wielkich przykładów waszych przodków.

W końcu pragniemy gorąco, abyście w ojcowskiej Naszej pieczołowitości i o was trosce z bezpieczną spoczęli ufnością. Opieki Naszej nigdy wam nie zabraknie i, o ile czujność i zachody Nasze zdołają, o tyle dla dobra waszego starać się będziemy, o obronę i pomnażanie wszystkich warunków, do ocalenia i pomyślności religii należących.

Tymczasem błagamy Boga, aby wam obficie darów niebieskich użyczył i jako zadatek takowych, oraz dowód życzliwości Naszej, Apostolskie błogosławieństwo wam wszystkim tu obecnym, tudzież rodakom waszym z miłością w Panu dajemy.



ZARYSY INSTYTUCYJ ZAPOROŻA¹.

Instytucje Zaporozkiej kozaczyzny, które nadawały państewku wojska Niżowego znamię dziwnie oryginalne, wraz z upadkiem Siczki istnieć przestały. W ciągu wieków instytucje siczowe zmieniały się, przekształcały, psuły, i w połowie wieku XVIII-go były już tylko cieniem przeszłości, były formą bez treści, były niejako zbroją zardzewiałą bez cnoty rycerskiej mężów, co ją nosiły — a gdy wybiła godzina zgonu wojska Zaporozkiego, ów cień przeszłości zniknął z widowni życia dziejowego. W chwili upadku Siczki jej instytucje w proch się rozsypujące, niewiele przypominały dawną, pierwotną dobę życia siczowego, niemniej wszakże z tych urządzeń znacznie przekształconych, wynaturzonych, przeświecają dawne, podniosłejsze myśli, które je wytworzyły, daje się widzieć owa kolebka, co wypiastowała całą ideę siczowych urządzeń... Tłum ciemny, często dziki, lub posuwający się szybko ku zdzičeniu, który zaludniał południowe kończyny województw ukraińskich Rzeczpltej, nie mógł być i nie był siczową kolebką, nie zdolny był wytworzyć owego bractwa rycerskiego, które posiadało wszelkie cechy rycerskich zakonów. Tego rodzaju idea powstać i rozwinąć się mogła jedynie wśród społeczeństwa ukształconego... Zresztą dość rzucić okiem na myśl zasadniczą owych urządzeń w Zaporozkiem państewku, dość przysłuchać się brzmieniu nazwisk różnych urzę-

¹ Z odczytów mianych w Muzeum techniczno-przemysłowem, krakowskiem, w Grudniu 1887 roku. Niniejszy artykuł jest niejako uzupełnieniem pracy drukow. w *Przegl. powsz.* (patrz zes. z Października i Listopada 1887 r.) p. tyt: *Zawiazki dziejów Siczki Zaporozkiej.*

dów i instytucyj, jakie przechowały się w Siczy do ostatniej chwili jej istnienia, aby się dowiedzieć, który to kraj, które społeczeństwo wytworzyły Sicz pierwotną.

Główną podstawą badań nad instytucjami Zaporozża są świadectwa o instytucjach takich, jakimi je widziano przy końcu pierwszej połowy XVIII w., a zatem w przededniu rozwiązania kozaeczyzny siczowej. Z tego szeregu urządzeń skoszlawionych, które dogorywały wśród zdziczałego bractwa niegdyś rycerskiego, jeśli nie bije blask dni nieco podnioślejszych, w każdym razie pod rdzą grubą, spowodowaną zmianą stosunków, powiewem ciągłego obcowania z ludami niższej cywilizacji, wynurza się niejedna głoska, dająca nam komentarz dość wymowny do dziejów Zaporozża. Z pojedynczych tych głosek składają się całe wyrazy, tłumaczące skąd na dzikich rozłogach stepowych, wśród rozdroży szlaków tatarskich czambułów, na ścieżkach jasyru, pod upalnym niebem pustej krainy, nieużyznionej chrześcijańską cywilizacją, o mie-dzę od Perekopskiego hanatu, powstało bractwo rycerskie, będące niby cieniem niektórych instytucyj rycerskich Zachodu. Patrząc, w połowie XVIII. wieku, okiem myślącego spostrzegacza na resztki instytucyj bractwa siczowego zarosłych burzanem ciemnoty, doznawało się zapewne tego wrażenia, jakie wynosi turysta z ruin królewskiego gmachu, w których się gnieździ tłum nieumiejący uszanować zabytków sztuki, co go otacza, nierozumiejący szeptu tradycyi, która, raz przyległszy do murów, z nimi się niełaczno rozstaje. Takimi zabytkami wyższej myśli były bez zaprzeczenia instytucje w Siczy Zaporozkiej gasnącej i schłopiałej. Siczowe bractwo nie rozstawiało się z nimi, szanowało je nawet, ale ich znaczenia i ich dziejów nie rozumiało. Ówczesny Zaporoziec — członek bractwa siczowego — poziomem swych pojęć nie wystrzelał ponad gmin, lub jeżeli nad jego poziom urastał, to niewiele. Był on podobny do wnuka niepiśmiennego, który posiada wprawdzie rękopisma dziadowskie, może bardzo mądre i bardzo cenne, ale sylabizować ich nawet nie umie. O ciąg tradycyi, o relacje z przeszłości, o kronikę pisaną, o roczniki, które spotykamy w murach krzyżackich zamków i klasztorów nie pytajmy nawet; próżnemi byłyby pytania, próżnemi poszukiwania w kierunku tym czynione. Zaporozkie państewko zawsze zbyt luźnemi węzły łączyło się z Polską.

a później — od dni Władysława IV. — i tych luźnych węzłów zabrakło; Zachód więc nań nigdy nie oddziaływał bezpośrednio, nie miało tedy wybitnych znamion Zachodu i jego kultury. Krzyżacy posiadali wśród swych nadwiślańskich siedzib mury liczne, wspaniałe, trwałe — Zaporozże wcale ich nie miało. Krzyżacy mieli rocznikarzy, przepisywaczy, archiwa; na Zaporozżu napróżnoby o to pytać. Kronikarzy ani dziejopisarzy nie było na Siczy, co zaś do archiwów, to te, wprawdzie istniały (przywilej Batorego stanowił ich skarb najcenniejszy), lecz burzą wypadków wielokroć rozpraszały się po stepie, ginęły bezpowrotnie w pożogach, w grabieżach, ginęły w dłoni nieprzyjaciela, mało ich wartości świadomego, a często we własnej dłoni posiadaczy swych, którzy do wątego papieru i znaków na nim, zdających się im hieroglifami, niewiele — rzecz ścisłej — żadnej wartości nie przywiązywali... Któż dziś rozsypany popiół siedzib siczowych zebrać mocen, i z popiołów wskrzesić myśl w nim pogrzebaną?... Uleciała ona w bezbrzeżne przestrzenie czasu, skąd już żadne, by najmocniejsze zaklęcie niezdolne jej wywołać...

Dzisiejszy badacz poprzestać zniewolony na krótkich relacjach z czasów znacznie późniejszych, z pierwszych lat XVIII-go w., które nie są wcale zbyt cenną spuścizną rękopiśmienną. Ocalała ona jednak. Po rozwiązaniu bractwa siczowego, po zniesieniu Siczy, Tekeli uwiózł owe resztki archiwów. Rzeczy to mniej ciekawe, administracyjnych spraw Siczy i jej *pałanek* (okręgów) dotyczące się. W danym jednak razie, gdy nauka dziejowa nie posiada innych zabytków piśmiennych, gdy jej z zupełnym brakiem źródeł waleczyć wypada, i z okruchów wskazówek o całości wnosić, z jednej, z kilku kości cały szkielec odtwarzać — i to co jest może się mienić rzeczą, stosunkowo przynajmniej, cenną.

Resztki papierów po Zaporozcach, resztki archiwum Siczowego z lat mniej więcej trzydziestu, z lat ostatnich istnienia Siczy (tj. od r. 1740—1775), wywiezione przez Tekelego uległy wielu przygodom. Niszczyło je niedbalstwo, czas, ciemnota, ludzie i żywioły — tak się z niemi działo lat około siedemdziesięciu. Później dopiero los dał im opiekuna: był i jest nim starzec dziewięćdziesięcioletni, tajny radca Apollo Skalkowski, pisarz polsko-rosyjski. Ocalił on to, co było jeszcze z tych papierów do ocalenia. Dwie-

ście z górą niezbyt wielkich fascykułów — oto wszystko co jeszcze pozostało, i to, powtarzam, papiery drugorzędno znaczenia. Dyplomów, przywilejów wcale tam niema. Kto jednak chce coś powiedzieć o Zaporozżu, kto pragnie poważniej studyować jego przebrzmiałą i w mogile niepamięci pogrzebaną przeszłość, powinien wśród tych resztek archiwalnych szukać prawdy dziejowej. Resztki te papierów Siczowych są dotąd w ręku wspomnianego p. Skalkowskiego, w Odessie.

Wszystko co tu zamierzamy mówić o instytucjach Zaporozża opiera się w znacznej części na tych źródłach, ubogich wprawdzie, wcale niedostatecznych, lecz prawdziwych, lecz jedyńych. Poza niemi źródeł Siczowych niema; są tylko przypuszczenia, są mętne dość wskazówki, że w mieście Moskwie, w archiwum oddawna nieistniejącego kolegium spraw zagranicznych, jest cząsteczka jakaś papierów z Siczy, wszakże nie z ostatniej doby jej istnienia, ale z lat prastarych; ma tam nawet być przechowywanym przywilej Stefana Batorego, węgielny kamień swobód Kozaków na Niżu. Lecz i ta wskazówka nie jest wyczerpująco sprawdzona.

Papiery siczowe, znajdujące się w Moskwie, mają pochodzić ze zdobyczy Piotra W., który jako zwycięzca Karola XII, a zarazem jako pogromca ostatnich aspiracji politycznych rusińskiego Zadnieprza, posłał swe wojska na Niż dniewrowy (1709 r.); Sicz była wówczas zdobyta, zburzona, bardzo więc być może, iż owa *Magna charta* Siczowa — t. j. przywilej Stefana Batorego został wysłany na północ...

Przystępując do wskazania bardziej szczegółowego instytucyj bractwa siczowego, przedewszystkiem wskazać powinniśmy, co to jest *Sicz*. Miano to dawano każdemu miejscu, gdzie był stały tabor kozacki, tabor naczelny, a zatem pewien rodzaj stolicy Zaporozkiego państewka. Nie nazywamy Siczy ani miastem, ani też wioską, bo w gruncie rzeczy wcale to nie było ani miasto, ani też wieś, ale coś w rodzaju obwarowanego obozowiska. Nazwa pochodziła od wyrazu *siec*, oznaczała zaś miejsce obwarowane zasiecznemi, ściętymi drzewami lub pniami, rodzaj „zasioku“. Podobnie jak od słowa *grodzić* pochodzi *gród*, miejsce ogrodzone. Sicz była to główna siedziba Kozaczyny Zaporozkiej; tam, jakby wśród obejścia klasztornego, otoczeni niby klauzurą, przepisami istniejącymi

w tradycyi, w obyczaju, przechodzącym w ciągu stuleci od pokolenia do pokolenia, mieszkali wspólnie wszyscy siczownicy i tworzyli pewien rodzaj gminy orężnej, rycerskiej, ale też zarazem nieco mniszej.

Główne zasady, na których opierała się cała ustawa, czyli, wedle nazwy wówczas będącej w użyciu na Siczy „reguła“ tej rycersko-zakonnej drużyny, były następujące: wspólność życia, wspólność celów, posłuszeństwo bezwarunkowe zwierzchności, celibat, i wreszcie jedność wyznania. Ten ostatni warunek, t. j. jedność wyznania, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, stanął dopiero w ostatnim okresie istnienia Zaporozkiego państewka, kiedy wpływy wschodnie ustaliły się i górowały na Niżu dniewnym. Kto nie poddawał się przepisom „reguły“ rycersko-zakonnej, kto nie przebył lat próby, tj. pewnego rodzaju rycerskiego nowicyatu, kto nie został zaliczony uroczystie do rycerskiego bractwa, czyli jak nazywano do *Towarzystwa*, ten nie miał prawa mieszkać w Siczy. Były to warunki konieczne, niezbędne, na ich wypełnieniu opierała się cała odrębność Kozaczyzny Niżowej.

Przypatrzymy się każdemu z rzeczonych głównych przepisów „reguły“ siczowej.

Wspólność życia orężników w Siczy najwyraźniej przypomina nam życie klasztorne. Pojedyncza jednostka nie tam nie znaczyła, wszystkiem była korporacja, bez względu czy to był zwykły orężnik siczowy, czy też kto ze starszyny — ataman, kozzowy, bądź też innego miana zwierzchnik. Każdy jeżeli działał, to w imieniu całej korporacji, w imieniu „Towarzystwa“, jak oni siebie nazywali. Najwyższa władza siczowa we własnym imieniu nie poczynać prawa nie posiadała, wszystko czyniono za pozwoleniem „Towarzystwa“ i w jego imieniu. W każdej większej i malej sprawie odwoływano się do całej orężnej, siczowej gromady: ona tylko każdą kwestyę mogła rozwiązać i rzeczywiście ostatnią, najwyższą była instancją. Korporacja zaś siczowa nie tylko składała się ze starszyny i zwykłych siczowników, ale i z tak zwanego „pospółstwa“; wszakże to pospółstwo nie było gminem rolniczym. Zwykli to żołdacy owo „pospółstwo“ siczowe. W dokumentach, w listach nie zapomniano o „pospółstwie“, o tym gminie orężnym. Nawet obce mocarstwa, które pisały do Siczy, nigdy nie zabaczały, aby nie

wspomnieć w tytułach o Towarzystwie siczowem, lub o „pospółstwie“, czyniąc w ten sposób zadość przyjętej zasadzie, iż korporacya tylko cała tworzy Sicz, i jako całość reprezentuje interesa Wojska Niżowego; starszyzna zaś częstką jest tylko tej reprezentacji i sama nie może nic stanowić bez woli i wyraźnego głosu całej siczowej korporacji, czyli tak zwanego „pospółstwa“. Gdy np. Orlik, następca aspiracji politycznych Mazepy, pisał do Siczy, używał następnej intytulacji: „Moi wielce łaskawi przyjaciele i bracia, panie Atamanie koszowy, i całe starsze i mniejsze wojska Zaporozkiego Niżowego Towarzystwo“... Ten tytuł nie tylko stwierdza to, co wciąż przyświeca w dziejach Zaporozża, iż wspólność życia siczowego wytworzyła ideę korporacji, występującą na Siczy zawsze jako całość, ale zarazem świadczy, jak głęboko zakorzeniony był polski obyczaj, jak rozumiałem było polskie słowo na Niżu, nawet w czwartym dziesiątku lat XVIII. w., gdy Orlik nie innej formuły używa nad ową, tylko co przytoczoną, polską. Idea korporacji i wspólności życia sięgała bardzo daleko, w głąb stosunków bractwa rycerskiego. Nikt z należących do bractwa rycerskiego nie posiadał własności prywatnej, wszystko było własnością całego bractwa siczowego, lub przynajmniej jednego *kurenia*.

Cała gromada siczowa, czyli tak zwane „Towarzystwo“, dzieliła się na *kurenie* tj. „ogniska“, pojedyncze grupy. Każde ognisko miało swego atamana, nazywano go pospolicie „ataman kurennny“, pod jego przewodnictwem członkowie „kurenia“, — „ogniska“ — pędzili życie wspólne, niby członkowie jednej rodziny, jednego ogniska rodzinnego; wszelki indywidualizm ginął tam, a natomiast występowała jako zbiorowa jednostka *kureń* tj. „ognisko“; takich zaś ognisk w Siczy było zwykle trzydzieści osiem. Orężnicy, członkowie kurenia, posiadali wspólne mieszkanie, wspólną kasę i wspólny stół. Pod przewodnictwem „ojca atamana kurennego“ nie tylko razem szli do boju, ale w czasie pokoju spożywali codziennie wspólne obiady, wraz ze swym kurennym: przypominało to poniekąd refektarz klasztorny.

Jedną tylko rzecz posiadał własną w kureniu każdy siczownik. Było to legowisko, miejsce, na którym mógł spoczywać po trudach; takie miejsce wyznaczał ataman koszowy, w chwili gdy młody nowicyusz stawał po raz pierwszy w szeregach Siczy. „Masz

tu siedem stóp wzdłuż, a cztery wszerz, to twoja *domowinka* (tru-
mna) — mawiał koszowy, instalując młodego orężnika w kurenium —
gdy zaś umrzesz, jeszcze ci mniejszą przestrzeń wydzielimy“...
Poza tem ubogiem legowiskiem pojedynczego siczownika żadnej
osobistej własności nikt nie miał. Wszystko było wspólnem, jak
już rzekliśmy, całego „Towarzystwa“ lub kurenia własnością.

Cały ten ustrój wspólnego, niby klasztornego życia był wy-
nikiem wspólności celów, które legły podwaliną siczowej instytucyi.
O celach tych szerzej mówić zbytecznie — znane one powszechnie.
Walka z niewiernymi, na którą zapatrywano się jako na rzecz miłą
nie tylko ludziom, ale i Bogu, była głównym celem. Ludzie, którzy
związywali na Niżu rozpiezchnione, niesforne żywioły w bractwo
rycerskie, przesiąknięci byli egzaltacją religijną, która bój z nie-
wiernym stawiała wtedy w szeregu najwybitniejszych cnót chrze-
ścijańskich i mawiała przez usta polskich publicystów XVI wieku,
iż „chwała Boża bojem pomnaża się“... O tem orzeczeniu pamię-
tali wybornie rycerze polscy, którzy na Niż niedość iż swe życie,
lecz wyższe pojęcia nieśli, a cnotę rycerską krzewić starali się.
Owi pierwsi założyciele bractwa siczowego na Niżu, kierując
szablę zdziczałych tłumów ku walkom z pogaństwem, wytworzyli
cel dla swej instytucyi, natchnęli jej uczestników duchem chrześci-
jańskim. Późniejsze lata, nie dając Siczy ludzi reprezentujących cy-
wilizację Zachodu, zatarły w umysłach wojska niżowego zasady
wyższe; później przeto, i o Boga mało troszczono się, i walkę
z niewiernymi nie stawiano na piedestalu zasługi; niemniej jednak
cel ten wciąż istniał, acz nieopromieniony aureolą podnioslejszych
aspiracyj.

Posłuszeństwo bezwarunkowe istniało i surowo takowego prze-
strzegano. Na czele Siczy stał ataman koszowy, dla tego tak na-
zywany, iż Sicz „koszem“ mieniono. Pojedyncze zaś kurenie, czyli
ogniska organizacyi orężnej, poddane były kurennym atamanom. Ko-
szowy posiadał władzę nieograniczoną: prawo miecza i łaski spo-
czywało w jego dłoni. Władza ta jednak trwała zwykle rok tylko,
koszowego bowiem co roku obierano, i zresztą, wszelką możliwą
jego samowolę ograniczała „wojskowa rada“, złożona ze starszyny
i z „Towarzystwa“; był to więc pewien rodzaj sejmu, który nie-
kiedy kontrolował władzę obszerną koszowego. Najbliższą zwierzchno-

ścią dla każdego siczownika, której on poddawał się bez szemrania, był kurennym ataman — ojciec ogniska — przewodnik w polu bojowym i w domu. Szedł on pospolicie na czele swego kurenia w pierwszym szeregu, i tak, wystawiony na pociski nieprzyjacielskie, padał najczęściej w walce jednym z pierwszych. Wybierano kurennych wśród najwybitniejszych i najroztropniejszych siczowników. Gdy nie stało w późniejszych latach istnienia Siczy ludzi polskiego pochodzenia, obierano na kurennych lud siemieżny, lecz umiejący patrzeć w oczy śmierci i uczący przykładem, jak słuchać głosu obowiązku i umierać.

Celibat, który od pierwszych chwil istnienia Siczy w niej się spotyka, zachowywano ściśle, szanowano ów przepis gorliwie i rozumiano jego znaczenie w zakresie nader szerokim. Reguła Niżowców, wprowadzając bezżeństwo do swego rycerskiego bractwa, zalecała zarazem pilnego unikania kobiet. Przestrzegano tego ślubu z całą skrupulatnością. Ten tylko należał do „Towarzystwa“, ten jedynie siczownikiem mienić się mógł, kto ów ślub bezżeństwa złożył. W Siczy przeto nie widziano nigdy ani jednej kobiety; pod żadnym pozorem, ani starej, ani też młodej niewiasty stopa nie mogła przestąpić bram siczowych. Stały one dla kobiet na wieki, bezwarunkowo zamknięte. Gdyby który z orężników przekroczył ów najcenniejszy przepis reguły Niżowców, śmiercią byłby karany. Wszelkie wprowadzanie do Siczy przez orężnika związanego ślubem bezżeństwa, własnej matki, siostry, córki, ciotki również karą gardłową zagrażało; uważano to bowiem za kryminal, który bezlitośnie powinien być przez prawo ścigany. Wzniosła idea celibatu, niezbędna dla ludzi, którzy samych siebie niosą w ofierze na ołtarz dobra powszechnego, również nieskądinąd przyszła na Niż jak z Polski, z dziedziny pojęć cywilizacji zachodniej, katolickiej. Jest ona jeszcze jednym z dowodów, kto rzucał podwaliny społecznego ustroju Zaporozża.

Z biegiem lat wiele instytucyj pierwotnej Siczy poszło w niepamięć, niektóre zmianom rdzennym uległy — bezżeństwo, unikanie niewiast, które mogły być przyczyną zabaceń w pracy bojowej, przetrwało wieki i wszelkie losu zmiany. Upadająca Sicz widzi je jeszcze w całej sile, i w archiwach pozostałych po zaporozkiem państewku, w całym mnóstwie spraw natury administracyjnej, lub

kryminalnej, nie widzimy wcale imienia kobiety. Szczegół ten powinien być dla nas miarą, jak dalece ich unikano, jak one daleko stały od wszelkich objawów życia siczowników.

Nie sądźmy wszakże, by niewieścia połowa rodzaju ludzkiego wcale nie istniała na wielkiej przestrzeni od ujścia rzeki Orela aż do limanu Dnieprowego i do wybrzeży Meotyjskich (Azowskiego morza), tj. na przestrzeni ziem tworzących państewko Niżowców. — Nie. Poza Siczą, poza siedzibą orężników siczowych, zdala od szeregów wojska Niżowego, w futorach, w tak zwanych „zimownikach“, w samotnych siedzibach nad ruczajami, lub w pojedynczo rozsianych lepiankach, w cieniu wiszniowych sadów, spotykano kobiety. Były to żony lub córki tych Zaporozców, co sławy wojennej syć, bojowemi trudy znuzeni lub okaleczeni, do walki już niezdolni, w kole rodzinnem odpocząć pragnęli. W takim razie występowali z szeregów siczowych, opuszczali Kosz, dążyli na futory, żenili się tam i zakładali gniazda rodzinne. Ożenienie się stawiało już ich stanowczo, nieodwołalnie poza Koszem, paliło mosty odwrotu do Siczy. Owi futorzanie, rolnicy, jakimi się stawali po ożenieniu siczownicy, tworzyli oddzielny stan, stosunkowo jednak nie tak liczny, jak możnaby mniemać.

Zdarzało się przytem wielekroć — i to było jednym z bardziej charakterystycznych znamion siczowego życia — iż siczownik szukał ciszy domowej, pociech, radości życia rodzinnego bez niewiast. Występował on niekiedy z szeregów wojska Niżowego, osiadał w ustronnej lepiance, z bojownika rolnikiem się stawał, otaczał się przybraną dziatwą, wyłącznie chłopcami, opiekował się nimi, darzył ich miłością rodzicielską, wychowywał na przyszłych siczowników, ale stopa niewiasty nie przekraczała nigdy progu jego obejścia; kobiet tam nie spotykano podobnie jak wśród ostrokołów Siczy. Przez całe życie nieprzyzwyczajony do widoku kobiety, Niżowiec i w tych ostatnich latach życia nie chciał na nie patrzeć; przybrani synowie, dziarskie chłopięta, wychowane w twardej szkole trudu rolniczego, których rzadko było więcej niż dwóch, pod strzechą Zaporozca-rolnika, wystarczali mu za całą rodzinę, stawali się źródłem pociech i radości rodzinnego życia. Urosłszy na męża bojowego wśród tysiącznych prywacyj, prac i prawdziwie krwawego znoju, Niżowy orężnik, który podczas długich lat życia siczowego

niczego w swym „Kureniu“ nie posiadał, co mieniłby mógł swoją własnością, niewiele pragnął, niewiele wymagał od życia. Sielanka, którą Niżowcy w ten sposób na resztę swych dni urządzali, uderzała prostotą zaiste pierwotną, tkwi jednak w niej rys jeden charakterystyczny — miłość przyrody i życia rodzinnego, miłość niewyziębiona, ani istnieniem nawpół dzikiem, ani ciąglem obcowaniem z tatarskimi czambuły, ani też brakiem wrażeń podnioslejszych i żywiołów dodatnich, umoralniających.

Zarzewiały w boju z niewiernymi te postacie surowe, przedzierzgały się na futorach, w zimownikach, w kole rodzinnem, na dobrodusznym starców-rolników, niekiedy na pokutników i pustelników, gdzie jedynie młodociane twarze przybrauych synów, przyszyłych siczowników, rzucały jaśniejszy blask na resztki ich dni na ziemi. Przybrani ci synowie pochodzili pospolicie z Polski; była to dziatwa porwana gdzieś z pod strzechy szlacheckiej i na Niż zbrojną ręką uprowadzona. Nie porywano nigdy dziewcząt — te byłyby tylko niepotrzebnym balastem, w obec znanych nam praw o bezżeństwie — ale małych kilkoletnich chłopaków uwożono i wychowywano w Siczy lub w „zimownikach“. Z owych pacholąt wyrastali później orężnicy, którzy nieraz byli filarami Niżowego bractwa, wyrastali szermierze siczowi o bujniejszej nieraz głowie niż inni na Zaporozu, wyrastali ludzie bardziej niż inni skłócenii z porządkiem społecznym, bo tego porządku, oprócz siczowego, nigdy w życiu nie widzieli.

Pacholęta te, urosłszy w Siczy lub na futorach, bywały przez osiadłych Zaporozców adoptowane i zwykle nie opuszczały strzechy swych przybranych ojców aż do końca ich dni.

Jedność wiary, którą pospolicie uważają jako jedną z głównych zasad „reguły“ siczowego bractwa, znacznie później występuje na widowni stosunków wojska Niżowego. W pierwszym okresie dziejów siczowych polscy rycerze, którzy narzucali się niejako nawpół dzikim tłumom na przewodzców i cywilizatorów, niewiele zwracali uwagi na wyznanie. Przynosili oni wprawdzie na Niż zasady katolickie, lecz wojskowe rzemiosło, któremu się oddawali, ciągle obcowanie z hordami pogańskimi, a wreszcie zbyt bliskie sąsiedztwo z dziedziną pojęć rozkielznanych, przyczyniały się do zatarcia w ich piersi wszelkich zasad religijnych. W późniejszych

latach, gdy wznioślejsze aspiracye obcemi się stawały dla Niżowego wojska, kwestya religijna coraz bardziej była dla niego obojętną. Kościół wschodni, grecki, dyzunicki, rozszerzał się tam i zwolenników posiadał, ale, jak wnet zobaczymy, ulegał co do swych stosunków hierarchicznych pewnym ograniczeniom pływającym z ducha urządzeń siczowych, i wreszcie, podlegał po części wpływom innych wyznań, oddziaływających w ciągu wieków na pojęcia ludności na Niżu. Były wprawdzie dwa prądy, które, płynąc z dwóch stron wręcz przeciwnych, przyczyniały się do ustalenia tam wschodniej ortodoksji — jeden prąd z głębi wschodu, z poza Siewierza dążył, drugi z Grecyi, z wybrzeży Egejskiego morza, a były z temi ostatniemi stosunki dość ożywione, poczynawszy od handlowych — lecz poza temi prądy liczne jednostki różnych wiar, bądź żadnych wiar, jednostki zdziczałe, wlewały ferment skażenia obyczajów do dziedziny moralności orężników siczowych.

Krwawe sceny hajdamackich orgij, do których w pierwszej połowie XVIII w. dłoń Zaporozców niejedno zarzewie dorzuciła, są wymowną ilustracją tego rozluźnienia wszelkich spójni moralnych. Zresztą rozpasanie na mord, pożogę, na wszelki krwawy gwałt, nie było tam ogólnem. Znaczna część hajdamackich scen krwawych nie wśród siczowników, ale wśród ludności osiadłej Ukrainy Wyższej (polskiej) i wśród tamecznych włóczęgów rekrutowała swych zbrodniczych działaczy.

Przy końcu XVII w. i później ortodoksja wschodnia rozszerzoną i górującą była na Niżu. Młodzieniaszków porwanych w Polsce, zarówno i Tatarząt, i Żydzietą do Siczy przyprowadzone, chrzczono pospolicie, zanim ich nie rozebrali między siebie tak zwani futorzanie, tj. siczownicy szukający wytechnienia na roli, w „zimownikach“, lub zanim z nich nie zrobiono prezentu wpływowym ludziom, czy też panującym sąsiedniej potencji. Chrzt powtórny, widoczny symbol ortodoksji, jako konieczny warunek dla wstępujących do siczowego bractwa, o czem piszą obcy historycy, nie może się mienić rzeczą dowiedzioną. W dziejach Zaporóża spotyka się wprawdzie to twierdzenie, lecz dowodów wprowadzających je do dziedziny faktów historycznych, przeto niewątpliwych, nie posiadamy.

Kościół wschodni Siczy Zaporozkiej był w pewien sposób od-

rębnym kościołem. Nie podlegał metropoliecie kijowskiemu, acz jego powagę uznawał. Szczątki archiwum zaporozkiego zawierają niewątpliwe świadectwa wybitnej dążności, aby Sicz i jej „wolności“ — tj. ziemie — posiadały kościół niepodlegający jurysdykcji metropolity kijowskiego. Ataman koszowy był zarazem i zwierzchnikiem kościoła Niżowego. Że jednak koszowy nie posiadał władzy święcenia kapłanów, ani też nie przywłaszczał sobie takowej, potrzeba zatem było mieć jakieś źródło, skądby dostarczano kapłanów: takim źródłem dla Zaporozkiego, Siczowego bractwa rycerskiego stał się przed wiekami klasztor prawosławny w Międzogórze (*Meżyhorye*), pod Kijowem. Zakonnicy pomienionego klasztoru dostarczali kontyngensu kapłanów ortodoksalnych do Siczy, a niekiedy i do jej „Pałanek“.

Klasztor wschodniego kościoła w Międzogórze, zwykle Sicz nazywał swoją „parafią“ i posyłał do niej co roku, pod jesień, swych zakonników, którzy odbywali wszelkie posługi duchowne w Siczy i jej ziemiach. W ciągu wieków zmieniały się stosunki w państewku Zaporozkiem, lecz węzły zażyłości Siczy z Międzogórzem i otrzymywanie stamtąd mnichów do posług duchownych wciąż trwały. Określamy stosunek ten wyrazem „zażyłość“, gdyż nie zachodziły tam żadne, by najmniejsze względy hierarchiczne, któreby poddawały cerkwie siczowe pod władzę rzeczzonego klasztoru. Była to jedynie „zażyłość“ dawna, oparta na odwiecznych stosunkach wzajemnej życzliwości i wzajemnych dogodności i usług. Sicz wytrwale trzymała się stosunku tego, bo on uwalniał ją od szukania opieki co do spraw duchownych u metropolitów kijowskich, dla których zachowywano cześć, ale nie uległość. Klasztor Międzogórski ze swej strony rad był stosunkowi temu: Sicz zamożna dostarczała mu obfitych darów. W górę Dnieprem płynęły wielokrotnie zaporozkie bajdaki naładowane darami siczowników dla klasztoru: widziano tam suszone ryby, sól, skóry lisie, wschodnie przysmaki z poza morza sprowadzane, sok cytrynowy w baryłkach (dar najcenniejszy, otrzymywany w Siczy z Lewantu). Klasztor odpłacał życzliwością, modłami, posyłał na Zaporozie swych mnichów, nazywanych pospolicie w korespondencji siczowej „zakonnikami“, a pisząc do „Kosza“ nigdy nie omieszkował adresować w następujący

sposób, który tu w dosłownem brzmieniu podajemy: „Rycerskomu wojsku Zaporozskomu, swoim drewnim dobrodijam“.

Niemają istnieć śladów wśród resztek archiwum zaporozkiego świadczących o chęci Siczy utrzymania niezależności swej niżowej cerkwi od wpływu metropolitów kijowskich. Uwydatnia się to szczególnie w latach stanowczego wpływu Rosyi na Zaporozu, w latach kończących wiek XVII. Dążność do zachowania niezależności swej cerkwi od jurydykcyi kijowskich metropolitów wzrastała w miarę nacisku owych metropolitów; przebija się nawet w tej dążności chęć zaakcentowania politycznej niezależności Siczy. Oto są wyrazy jednego z listów koszowego do ihumena w Międzozgórzu, wyrazy świadczące jak pilnie przestrzegano, aby idea samodzielności Niżowych ziem zawsze uwydatniała się: „Bożyja i nasza cerkow — pisze ów koszowy — meż koczowiskami Agaryańskimi zostajuczaja, ne podleżit własti Jaśnie Oświeconoho kniażati, Mytropolyty kijewskoho, bo ne w Malorosyjskom najdujetsia horyzontie, ale zahranycuju, w polach tatarskich na pomnożenie czesti hospodnej i na duchownuju, wojskowuju potrebu“... W tymże liście koszowy upewnia, iż „cerkow Bożyja i nasza“, jak nazywano Kościół na Zaporozu, nie będzie odłączoną od monasteru Międzygórskiego „poka w Dnipri wody i naszoho wojska Zaporozskaho bude“... Tym razem optymistyczny pogląd koszowego atamana stał się rzeczywistością; aż do końca istnienia Siczy Międzygórski monaster nie przestawał być pewnego rodzaju grzędą, z której brano mnichów na Sicz do służby Bożej, gdzie oni byli kapłanami, lecz samo istnienie „Towarzystwa Zaporoskiego“ jakże już krótkiem być miało. Za ledwie jeszcze dziewiędziesiąt lat „kosz“ i jego instytucye istniały. Woda w Dnieprze nie wyschła, i nie tak prędko zapewne zaginie, gdy tymczasem z Siczy i jej instytucyj nic nie pozostało. Tradycya nawet marnie zatracza się, a źródeł do sumiennych badań i historycznych opracowań tego co istniało coraz to mniej... Jeszcze jedno ćwierć wieku lub dwa, a przetrudnem się już stanie opracowanie dokładne dziejów Zaporozża.

Ustęp wyżej przytoczonego listu, pisanego do metropolity kijowskiego, księcia Gedeona Czertwertynskiego, który pierwszy wśród metropolitów kijowskich zerwał z Carogrodem, a w r. 1686 poddał się patriarchatowi moskiewskiemu, jest ułamkiem obrazu walki ci-

chej, lecz nie mniej uporcewiew o niezależność cerkwi, jaka nad Dnieprem środkowym i dolnym toczyła się w ostatnich kilkunastu latach XVII wieku. Archimandryta Pieczarskiego klasztoru i wладыka Czernichowski, którym wtedy był Łazarz Baranowicz sędziwy starzec, sięgający latami swemi końca XVI w., nie chcieli uznawać Gedeona, jako zwierzchnika swego, gdyż zerwał on z Greckim patriarchatem, a poddał się patriarsze rezydującemu na Kremlinie.

Jeśli tak opornie stawali w obec patriarchatu moskiewskiego dostojnicy wschodniej cerkwi, sąsiadujący z Kijowem, tem większy opór rozwijał się w „Dzikich stepach“ na Sicy, która w wielu rzeczach chętniej zwracała się ku Zachodowi i stamtąd czerpała swe wzory. Jakiś cień unii Florenckiej błakał się tam wciąż w dziedzinie pojęć religijnych, cień ściśle nie dający się określić, niepokojący jednak patriarchat rządzący z cerkwi Wniebowzięcia na Kremlinie. Biegły przeto z tego odległego patriarchatu nad Dniepr, nad Desnę, zapytania pełne niepokoju (w r. 1688), ażali Gedeon i Łazarz Baranowicz, tudzież Archimandryta Pieczarskiego monasteru nie trzymają się unii Florenckiego soboru. Przeczącą, lakoniczną odpowiedzią uspokojono pytającego o to patriarchę Joachima, ale znać nie zupełnie, gdyż podejrzenia o jakieś różnice obrzędowe, a odwracanie się od Wschodu wciąż trwały.

Podejrzenia co do ortodoksji Sicy silniejszymi nawet były niż te, co dotyczyły się Kijowa i Czernichowa. Wpatrując się w dzieje Zaporozża, badając rozwój siczowych instytucyj, wyraźnie ujawnia się dążność Sicy, jak wskazaliśmy, do emancypowania cerkwi swej od wszelkiej zwierzchności duchownej. Grały tu rolę różne powody — odbłask dawnych tradycyj, ciążących ku Zachodowi był jednym z przeważnych czynników... Dziś jeszcze, o jakże widoczną jest różnica między stroną obrzędową cerkwi nad Dnieprem, na niższym Zadnieprzu a nad Oką i dalej.

Mięzogórski klasztor bywał niekiedy miejscem gdzie Zaporozzec szukał „wytechnienia na resztki życia“, czyli jak lud mówił na Ukrainie, „żegnał się ze światem“, „dążył do zbawienia duszy swej“. Klasztor wówczas stawał się dla niego miejscem pokuty po latach, ba, po życiu całem pełnem swawoli. Zamykał się w klasztorze i pędził tam żywot pokutnika; nie stawał się wszakże mnichem, lecz pustelnikiem, opłacającym modlitwą przewinienia życia ca-

łego. Tego rodzaju zwroty gwałtowne, metamorfozy psychiczne, spotykały się u nas, w Polsce, bardzo często w XVII, jeszcze zaś częściej w XVIII wieku. Zebrzydowski, głowa rokoszu, fundujący Kalwaryę u stoków Tatr, gdzie spędza resztki życia na pokucie i modlitwie; Mikołaj Potocki, który przed stu laty, w Poczańskim klasztorze kończył swe burzliwe, awanturnicze życie, są jakby prototypami owych pokutujących Zaporozców. W dobrem przeto i w złem, w wielu rysach charakteru przejawia się pewne pokrewieństwo pojęć siczowników z pojęciami animuszków bardziej niepokojnych szlachty polskiej Rzplitej. Nie są dotąd należycie wysławione dzieje Zaporozża, nie dotykała się prawie jeszcze ręka naszych badaczy do owych cennych pokładów prawdy dziejowej; gdy zaś chwila po temu nadejdzie, gdy drogi kruszec prawdy wyłoni się z mułu uprzedzeń i fałszu, ukażą się liczne ścieżki, którymi dążył wpływ Polski na Niż, a dążył tam podobnie jak do innych ziem, co się zlewały z Rzplitą w jedną całość — dążył bez udziału tych, od których pochodził; dążył, że tak rzekę, bezwiednie; płynął promieniem świecącym wśród zmroku kultury pierwotnej, niby owe błyski świętojańskiego robaczka, które nas radują, gdy je spotkamy, chociaż robaczek nie wie, iż wywołuje uśmiech pogodny na usta nasze...

W całym ustroju zarządu bractwa siczowego spotykamy również niejedną wskazówkę, skąd instytucje zaporozkie ród swój wiodły... Zanim rzucimy na nie okiem, wejść musimy bodaj na chwilę do owej stolicy Zaporozża, do Siczy, pospolicie noszącej epitet „sławnej“, w której lubo nie mamy czasu rozpatrzeć się, wszakże objąć się tam będą o naszej ucho wciąż prawie polskie wyrazy. „Kosz“ lub też „Sicz“ to obojowisko otoczone owoczesnemi polowemi fortyfikacyami: wały, fosy, palisady, ostrokoły, bramy najeżone paszczami dział — to zewnętrzna postać Niżowej stolicy. Sieć gęsta trzezin, zarośli z wierzb karłowatych, sieć wód, płynących niby lachy dniewowego łożyska, czy też stojących wśród błot, trzęsawisk, wśród ajerów, tworzą otoczenie najbliższe siedziby głównej siczowników. Takie otoczenie było przedmurzem wybornem obwarowań, zastępowało dzisiejsze tak w użyciu będące forty, wybiegające daleko poza twierdzą. Sicz zmieniała w ciągu wieków kilkakrotnie swą siedzibę. Sadowiła się jednak zawsze w pobliżu

dnieprowych wód, sadowiła się w miejscowościach niełatwo dostępnych, zawsze „za progami“ i jedynie pierwotne „Sicze“ z XV w., z okresu na wpół mitycznego historii Zaporozża, plotły swe „kosze“ wyżej nieco „progów“, lubo już na Niżu, wśród tego działu wód, gdzie zaczynają się „zapory“, kamienie podwodne żeglugę tamujące. Przed kilku laty badacz rosyjski, p. Ewarnickij, z koszturzem w dłoni przebiegał Niż, wyszukując ślady dawnych Siczy z różnych epok; naliczył on dziewięć popielisk owych głównych siedzib Niżowców.

„Sicz“ ostatnia, nad rzeką Podpolną, dzieliła się na trzy części. Zewnątrz wałów i palisad był tak zwany „Kramny Bazar“, rodzaj przedmieścia nieufortyfikowanego, gdzie skupiał się ruch handlowy, gdzie spotkać się można było z ludźmi różnych narodowości, z majtkami z Lewantu, którzy aż tam docierali, z Ormianami, Tatarami, Grekami — był to bowiem nie tylko rynek siczowników, ale też zarazem ich port. Zawsze ta część Siczy roila się tłumami przybyśzów, tam spotykano kramy (sklepy) oddzielnych „kureni“, tam odbywała się wyprzedaż wódki; wśród tych tłumów wszakże nie zabłąkała się nigdy żadna kobieta. Drugą częścią Siczy był „Kosz“ właściwy, obwarowana miejscowość, na środku której widziano plac otoczony „kureniami“. Stały one naokoło placu, tworząc podłużne koło, zwrócone zaś były ku sobie przyczółkami. Budynków takich dużych, podłużnych, z których każdy był zarazem refektarzem i sypialnią, na 400 i więcej orężników, liczone trzydzieści osiem. Do dziś, na rumowiskach Siczy, z łatwością wskazać możemy ślady „kureni“. Z tej części „kosza“ wchodziło się do najbardziej obwarowanej miejscowości — tam wznosiła się drewniana cerkiew i „pałanka“ mieszkanie starszyny Siczowej. Cerkiew była pod wezwaniem „Opieki Matki Boskiej“ (*Pokrow*), której część widzimy upowszechnioną nadszyczaj wśród Niżowego wojska.

Godną uwagi jest rzeczą, iż cerkwie na Zaporozżu najczęściej stawiane były pod wezwaniem „Opieki Matki N.“, a obrazy poświęcone czci Bogarodzicy w różnych, tamiecznych cerkwiach nie posiadają wcale cechy bizantyńskiej, jak to daje się widzieć na dalszym Wschodzie, ale zdradzają pochodzenie zachodnie, lub jego naśladownictwo. Nawet kościółek katolicki w Kudaku (OO. Dominikanów) — jedyna niegdyś świątynia katolicka na Zaporozżu — po-

święcony był „Matce Boskiej Różańcowej“, której święto, jak wiadomo, przypada na ów dzień „Pokrowa“ (Opieki M. Boskiej).

Starszyzna w Sicz dwojaką była. Pod nazwą „Starszyny“ rozumiano przede wszystkim celniejszych dygnitarzy, byli uimi: koszowy-ataman, sędzia wojskowy, assaula wojskowy, pisarz wojskowy, i „kurenni“. Oprócz tego mieniono tym tytułem — zasłużonych siczowników, którzy dawniej piastowali urzędy i używali pewnej wziętości w Koszu, wśród całego bractwa czyli „Towarzystwa“ siczowego. Tworzyli oni nieraz radę tajemną i ich głos był nader stanowczym. Po dygnitarzach „Towarzystwa“, starszyzna z byłych siczowych urzędników złożona, uważała się jako przedniejsza warstwa wojska, zarówno w pokoju, jak i w dniach boju. Oni po urzędujących w danej chwili zawsze pierwsze miejsce posiadali i głos pierwszy zabierali. Oprócz wymienionych tu dygnitarzy głównych, były jeszcze urzędy podrzędniejszego znaczenia różne. My obecnie wymienimy jedynie cenniejsze: chorąży, buńczużny, szafarze. Posiadało „Towarzystwo siczowe“ swe klejnoty, pewien rodzaj „regalij“, które nader ceniono. Składały się te klejnoty rycerskie z chorągwi, buławy, lasek, buńczuka, pieczęci. Najstarsze klejnoty były darem króla Stefana Batorego. Od czasów najdawniejszych do drugiej połowy XVII w., tj. do chwili odpadnięcia Sicz z pod protektoratu Polski, sztandarem wojska Niżowego była czerwona chorągiew z orłem białym. Taką też chorągwią obdarzył Batory Sicz, a również i srebrną buławą, którą nosił „Koszowy“. Sędzia i assaula (którego obowiązek był służbą porządku publicznego w Koszu) posiadali laski, które im służyły jako insygnia władzy. Buńczuk nosił w chwilach uroczystych „buńczużny“, a pieczęć assaula. Na pieczęci widzimy „Zaporożca z rusznicą w dłoni, w sutym polskim stroju“, który był zwykłym ubiorem siczownika. Do dziś jeszcze, pod słomianemi strzechy wieśniaków Zaporozża, na popieliskach dawnych siedzib siczowników, spotykają się zabytki polskiego stroju; są to pozostałości po zgasłej samodzielności Niżu dniewowego.

Sądownictwo zaporozkie odznaczało się wielką prostotą. W sprawach cywilnych rzecz się rozstrzygała ustną procedurą w Pałankach, niekiedy u Koszowego, którego wyroki były bez apelacji, lecz najczęściej Koszowy, jak to wyżej się rzekło, uważał się za zależnego od rady ogólnej, od pewnego rodzaju wiecu Towarzystwa siczowego.

Sprawy kryminalne podpadały bardzo srogim wyrokom. „Pal“, na który wbijano, „szubienica“, w sprawach zaś mniej ważnych, aczkolwiek kryminalnych, „kije“ to jedyne rodzaje kary spotykane w kodeksie karnym Siczy, opartym na obyczaju przechodzącym w tradycyi od pokolenia do pokolenia. Spraw granicznych nie znano. Przy małym bardzo zaludnieniu, na obszarach ogromnych, można było posiadać ziemi znaczną ilość. Na brak ziemi nikt uskarżać się nie mógł, raczej na brak rąk mieli prawo uskarżać się, gdyby uprawa była większą; uprawa wszakże była małą; i zresztą, co jest rzeczą charakterystyczną w stosunkach ich rolniczego bytu, własności prywatnej ziem uprawnych nie było. Całe „Towarzystwo“ było wspólnym posiadaczem pól uprawnych, które co roku ulegały losowaniu. Taka wspólna własność przetrwała do końca istnienia Siczy. Futory, zimowniki, pasieki w lasach, na wybrzeżach Samary, gdzie żonaci lub starcy Zaporozcy w spokoju spędzali dni gasnącego już życia, nie zaliczali się do owych wspólnych ziem; tam każdy z owych futorzan mienić się mógł i mienił panem niegraniczonym niezem i przez nikogo swej własności, tam tworzył ową sielankę, o której mówiłem, otaczając się improwizowaną rodziną z chłopców, tam wreszcie dni swe kończył i w obrębie własnego obejścia, zwykle w cieniu własnego sadu, składał swe kości. Powszechny to obyczaj Zaporozców grzebać się tuż koło domu, w ogrodzie, pod temi drzewami, co były świadkami pracy ich rolniczej. Resztki ementarzy siczowych, które dotąd przechowywały się około szczątków „Kosza“, świadczą, że i w Siczy ten obyczaj bliskiego grzebania się istniał. Tuż poza wałami „Kosza“ spoczywały kości jego orężników. Dziś te szczątki grobów, szczątki kamiennych, greckich krzyży, obalone, pokruszone, jedynemi są świadectwami zagasłego życia siczowego.

Zaporoże zaginęło aż do zagłady imienia. Pozostały wprawdzie różne kozaczyzny, rozsiane wśród wielu ziem w obrębie państwa rosyjskiego, ale nie mają one nic wspólnego z rycerską drużyną siczową. W Polsce nawet kozaczyzna i Towarzystwo wojska Niżowego, czyli Sicz, były dwiema różnemi rzeczami, acz sąsiadowały z sobą. W Rosyi kozaczyzny spotykają się w czasach zamykających okres mongolskiego jarzma. Wówczas miasta możniejsze, a pograniczne, uzbrajały jeźdźców, którzy lekko zbrojni, bitni, ucierać się musieli z wrogiem, co się ukazywał na pograniczach. Te lekkie

oddziały zaciężne miast pojedynczych w. ks. moskiewskiego stały się zawiązkiem różnych pogranicznych straży, jakie Rosya później-
sza wytwarzać zaczęła.

Na Donie skupiała się bardzo wcześnie, bo jeszcze w XVI w. ludność ze zbiegów, włóczęgów, z w. ks. moskiewskiego, a było wśród nich nieco żywiołów rusińskich, acz nader mało. Nie tworząc żadnych stowarzyszeń i instytucyj zbrojnych, trudniła się napływowa na Donie ludność rolą, ale też i wojną zarazem, polegającą na upędzaniu się za stepowemi ludkami koczującemi, którzy ich niepokoiili. Ludność ta broniła się od ciężkich warunków w domu: Dolny Don bowiem leżał poza w. ks. Moskiewskiem. Tam, w pustyni, pierś lżej oddychała, niż we wsiach rodzinnych. Don więc Dolny roić się wcześniej zaczął osadami ludnemi, wśród gleby urodzajnej. Rząd rosyjski skorzystał z tych osad zaprawnych poniekąd do boju, zamienił ich siedziby na osady wojskowe. Dziś kozacy wszyscy w Rosyi, a zatem i Dońscy i inni, różnego miana, na licznych pograniczach mieszkający, są stanem oddzielnym, obowiązany do stawiania w pewnych terminach do służby wojskowej, konno i zbrojno, bezwzględnie na to gdzie, i jak na długo użyć się mogą do boju. Kozacy rosyjscy zarówno na pograniczach, jak też w szeregach armii regularnej służyć muszą. Służba nawet pograniczna znaczenie wszelkie od dawna straciła; na pograniczach wschodnich niczego się nie broni, bo nikt nie zagraża, niczego się nie strzeże, bo na pustyniach krańcowych, czy od ściany kaukazkiej, czy od kirgizkiej w Azji, czy u podnóża wspaniałych wyżyn Sajanu, czy też na innych, chińskich, bądź mandżurskich pograniczach nie niema do strzeżenia: zasoby kultury zbyt małe tam jeszcze, aby było co strzedz. Nazwa kozak i tytuły, jakimi mienia ich starszyznę — „atamana“, „assawuła“, „wojskowy starszyna“ — to jedyne wspólne cechy, łączące się z pamięcią instytucyi naszej Niżowej. Zresztą i porównania nie można tu czynić żadnego; podobieństwo nazwiska jest zewnętrznem podobieństwem, same zaś jednakowe brzmienia niczego nie dowodzą. Każda kozaczyzna rosyjska, bezwzględnie gdzie ją wytworzono, czy nad Donem, Uralem, Terekiem, posiada swoją ziemię, swój zarząd, ale są to wieśniacy rosyjscy od innych swych współbraci nie różniący się niczem, chyba większą roztropnością — szczególnie Dońscy — oby-ci

są bowiem więcej z ludźmi, ze światem, gdyż całe ich pokolenia walczyły w szeregach rosyjskiej armii, i na swych rączych, zwinnych koniach zdeptały znaczną część ładu europejskiego. Imię kozaka — rozumie się Dońskiego — znanem się stało w Europie od czasu wielkiej wyprawy Napoleona do Moskwy. Podjazdowy ten żołnierz, wyborny do szarpania nieprzyjaciela z boku, do zagrożenia jego plecom, do odcinania możności odwrotu, a przytem umiejący popłoch szerzyć w szeregach, czynił wrażenie na umysłach armii Napoleońskiej, zwyciężonej przez mróz, zdziesiątkowanej, demoralizowanej, którą najłatwiej dosięgnąć mogła spisa Dońskiego, czy też innego rosyjskiego kozaka, stąd przeto miano go za najstraszniejszego żołnierza, za grozę wojskową największą. Uniwersytet oxfordzki, po upadku Napoleona, pełen radości, iż wielki wróg Anglii padł, padł bezpowrotnie, posuwa się do owacyi najjaskrawszych, gdy dowódzca dońskich kozaków, Płatow, odwiedza Londyn — ofiarowuje mu bowiem doktorat oxfordzkiej, starej wszechnicy. Napoleon, nawet na skale św. Heleny, nie zapomina o wrażeniu, jakie imię kozaka czyniło na jego wielkiej, niegdyś niezwyciężonej armii i rzuca ludzkości przepowiednię, iż Europa po upływie pół wieku może się stać kozacką...

Kilka myśli tu wypowiedzianych świadcza, iż ponad inne kozaczyzny urasta imię kozaka dońskiego, tak, iż mniemać można, iż innych kozaków Rosya nie posiada; rzecz się ma wszakże inaczej. Tych grup kozackich w różnych krajach Rosyi bardzo jest wiele. Są kozacy, oprócz Dońskich, Terscy (nad Terekiem), Mozdoccy, Grebieńscy, Kubańscy, (czyli Czarnomorscy) byli do niedawna Azowscy, z wybrzeża Azowskiego morza, są Uralscy (dawniej ich nazywano Jaickimi), nad rzeką Jaikiem, i wreszcie cały szereg osad nazywanych kozackimi w głębi azyatyckich posiadłości Rosyi. Wraz z rozszerzeniem się granic Rosyi na wschód nazwa i urządzenia osad kozackich szły, płynęły ku wschodowi. Potworzyło się więc tam mnóstwo różnej nazwy kozaków.

Dość tylko jednego edyktu, aby ze spokojnych rolników wytworzyć taką osadę wojskową, raczej, mówiąc ściślej, osadę obowiązaną do masalnej, wojskowej służby. Różne więc edykta tworzyły osady kozackie wzdłuż całej północnej Azyi, na południowych krańcach ziem syberyjskich. Stały tam grupy różnych kozaczyzn, bardzo

już mało militarnych, nie mających pospolicie żadnego wyćwiczenia wojskowego, a używanych jedynie do służby wojskowej wewnętrznej, do posług, że tak rzekę, garnizonowych. W obec wielkiego braku żołnierza regularnego, taki kozak syberyjski, lubo żołnierzem jest nieregularnym i w polu z wyćwiczonym w sztuce wojskowej niewiele poradzić by sobie mógł, pomocą niemalą się staje jako straż wewnętrzna bezpieczeństwa. Najdalsze na Wschodzie azyatycko-rosyjskim grupy kozaków są na pochyłościach wodozbioru Spokojnego Oceanu, a mianowicie kozacy Zabajkalsey, na wschód od gór Jabłonowych, Amursey i Ussuryjsey. Miejscowe żywioły ludności mongolskiej wchodzą niekiedy do składu owej kozaczyzny; np. wśród kozaków Zabajbalskich są tacy (Buryaci z pochodzenia), którzy po rosyjsku wcale prawie nie rozumieją. Amursey i Ussuryjsey kozacy zostali utworzeni (przed trzydziestu kilku i dwudziestu kilku laty) za pomocą przesiedlenia całych wiosek kozaków Zabajkalskich z siedzib na chińskiej granicy na wybrzeża Amuru i Ussuri, tj. na północne i na wschodnie granice Mandżuryi. W miarę jak podbój biegł ku wschodowi, biegły i organizacye wojskowo-rolnicze, kozackie, w głąb wschodniego lądu. Doszły jednak już, i podbój, i organizacye kozackie do swego kresu. Wody Oceanu Spokojnego położyły tamę rozszerzaniu się dalszemu granic na wschód, a wraz z tem i kozaczyzny. Najdalej wysunięty na wschód, kozak ussuryjski oprócz tygrysa innego nieprzyjaciela nie ma, i jeżeli z kim staje do boju, to chyba z tygrysem, który niekiedy dobiega do wyżyn Korei północnej, skąd rzeka Ussuri wypływa i do wybrzeży jeziora Chanka.

Pobieźny ten nadzwyczaj rzut oka na organizacyę kozaczyzn innych, dzisiejszych, będących tylko reprodukcją w wydaniu nowem, nie powiem by poprawnem, reprodukcją starożytnych *osad wojskowych rzymskich*, wskazać nam powinien, iż nazwą, bądź podobieństwem brzmienia godności, tytułów kozactwa teraźniejszego ludzi się nie powinniśmy, i nie powinniśmy pod żadnym względem assymilować pojęcia o nich z pojęciami o Zaporozu, o wojsku Niżowem, które z wielu względów bliskiem dla nas być powinno; gdyż instytucya Siczy z naszej myśli kiedyś powstała, cywilizacyą naszą podsycala siły swego rozwoju, a dopiero wtedy Niż na drogi zdziczenia stanowczego wszedł, gdy wszelkie nici stosunku naszego

z „Koszem“ Zaporozkim zerwane zostały. Poezya nasza wiele, zbyt wiele zrobiła dla pamięci Zaporóża, — idealizując jego przeszłość zbyt — teraz kolej na dzieje. Historya idealizować nie ma prawa; nadejdzie zapewne kiedyś chwila, gdy bezstronny rylec polskiego badacza skreśli sumiennie, obiektywnie, a umiejętnie dzieje Zaporóża... Wierzimy, że przyszłość ujrzy to kiedyś, iż pochodnia prawdy wejdzie z czasem do nieznanego świata labiryntu historii ziem siczowych...

Maryan Dubiecki.

•

ZARYS TEORII NAUKI JĘZYKÓW ŻYJĄCYCH W SZKOLE.

Przeobrażeniom, jakim z biegiem czasu polityczne, naukowe i międzynarodowe stosunki uległy, także szkoła zupełnie się oprzeć i obcą im pozostać nie zdołała. I jej organizm, zwykle tak spokojny i z natury rzeczy wszelkim zmianom niechętny, musiał do pewnych ustępstw się skłonić a chwila może już nie daleka, kiedy zupełnemu ulegnie przeistoczeniu. Inaczej też być nie może. Rozkwit i rozwój nauk pomnożył materiał instrukcyjny i zmusił do myślenia o innym podziale pracy; prąd narodowościowy w polityce i postęp w psychologicznych badaniach zmienił w zupełności podstawy wychowawcze; wreszcie wymagania życia praktycznego i stosunki międzynarodowe wprowadziły w organizm szkolny dotąd mu nieznaną czynnik — *naukę języków żyjących*.

Do chwili stanowczego zwrotu w kulturze i stosunkach europejskich, jaki się w ostatnich lat dziesiątkach dokonał, w planie szkoły publicznej nauka języków żyjących prawie wcale nie była uwzględniona, chociaż doniosłości władania językami obcymi i korzyści stąd płynących nigdy nie zapoznawano. Władających językami obcymi już dla tego samego, chociaż często mylnie, uważano za ludzi wyższego wykształcenia, a wychowanie kobiet prawie wyłącznie na nauce języków obcych się zasadzało. W najnowszych zaś czasach tak dalece wyobrażenie o potrzebie posiadania obcych języków się wzmogło, że podnoszą się nawet bardzo poważne głosy za usunięciem przynajmniej jednego z języków klasycznych ze szkoły na rzecz języków żyjących. Żądanie to odniosło praktyczny skutek przez powołanie do życia szkół realnych, gdzie nauce języków żyją-

cych — z zupełnem lub częściowem pominięciem języków klasycznych — poczesne wyznaczono miejsce. Inni posunęli się jeszcze dalej i nie zawahali się targnąć na samą istotę nowoczesnej i postępowej szkoły, na jej podstawę narodową, żądając, ażeby przynajmniej jeden przedmiot, mianowicie historję, ćwiczeniu w biegłym używaniu języka obcego poświęcono. Ze zdaniem tem, tak ze względów pedagogicznych jako też ze względów politycznych, ani się nie zgadzam, ani nie solidaryzuję, a przytaczam je tylko dla tego, ażeby z jednej strony udowodnić, jak dalece nowsza generacya potrzebę znajomości języków żyjących uznaje, z drugiej zaś ażeby z góry zaznaczyć, że powszechność z rezultatów, jakie szkoła publiczna w zakresie nauki języków żyjących osiąga, bynajmniej nie jest zadowolona.

Najniekorzystniej a najdonośniej odezwały się głosy z warstwy w społeczeństwie najwyższej położonej, zatem z warstwy, która ze względu na swoje stosunki towarzyskie i ze względu na karierę dyplomatyczną, której niemal wyłącznie się poświęcała, od najdawniejszych czasów znajomość języków obcych za nieodzowny czynnik wychowania i wykształcenia uważała. Nie zadziwia mnie bynajmniej głośnie nawet niezadowolenie i dopominanie się lepszych skutków w tej gałęzi nauki szkolnej, gdy pomnę, że dziatwa w hierarchii społecznej wysoko położonych rodów, prawie bez wyjątku, częstokroć nawet na niekorzyść języka ojczystego, obce języki sobie przyswaja i niemi w potocznem życiu biegle włada. Zauważyć tylko muszę, że sąd mniej byłby doraźny, gdyby się wzięło na uwagę, że szkoły takimi środkami, jakie w wzmiankowanej warstwie społecznej znane rezultaty spowodowują, nigdy rozporządzać nie będą. Konwersacya bez ograniczenia czasu od lat najmłodszych, przebywanie w towarzystwie cudzoziemców i podróże do krajów obcych, to są niezawodnie środki tak skuteczne, że nawet jednostki bez osobliwszych zdolności do języków i bez osobliwszej metody w nauczaniu do pożądanego celu doprowadzić muszą.

Chociaż tedy zarzuty przeciw szkole podnoszone nie zupełnie są słuszne i uzasadnione, to jednak nie przeszkadza, ażebym miał uznać, że jak jest, jest dobrze i że lepiej być nie może. Owszem — wręcz przeciwnego jestem zdania, tylko że zarzuty pod innym należy wysyłać adresem, aniżeli dotąd po największej części wysyłane bywały.

Chcąc być sprawiedliwym i nie chcąc rzucać bez dostatecznej podstawy ani na instytucye ani na ludzi pojedynczych kamieniem, należy się przedewszystkiem przypatrzeć sprawie nauki języków żyjących w szkole ze stanowiska historycznego jej rozwoju, a sądzę, że znajdzie się i winowajca i środki odpowiednie do zażegnania złych skutków w przyszłości.

Mając wyłącznie nasze własne stosunki na uwadze i nie myśląc w niniejszym artykule pisać historyę nauki języków żyjących w ogóle, ograniczę się tylko do austriackich stosunków w ogólności, a do galicyjskich w szczególności.

Nie upłynęło jeszcze lat dwadzieścia, jak się w jesieni r. 1870 zebrała w Wiedniu ankieta gimnazjalna pod przewodnictwem ministra Stremeyera. Wtenczas to na posiedzeniu¹ dnia 30 września po raz pierwszy, odkąd szkoły w Austrii istnieją, postawiono następujące pytanie: *W jaki sposób mogłaby nauka języków żyjących być pomieszczoną w planie nauk gimnazjalnych bez narażenia uczniów na obarczenie*².

Po dłuższych naradach, w których najbardziej do tego powołani mężowie, a znani z rutyny dydaktycznej i pedagogicznej głos zabierali, zapadła następująca uchwała: *Nauka języków żyjących ma być przez nauczycielów ukwalifikowanych, ze skarbu państwa płatnych, w sposób odpowiedni (filologiczny pg. 97) jako przedmiot nadobowiązkowy bezpłatnie w szkole udzielana.*

Jasnem tedy jest, że członkowie ankiety, pomimo jednomyślności pod względem doniosłego znaczenia nauki języków żyjących, nie uznali potrzeby obowiązkowego ich wprowadzenia do systemu szkolnego za konieczną. Stoją oni raczej zupełnie na gruncie zarysu organizacyjnego z r. 1849, szczególnie kiedy formułują ostateczny cel nauki języków żyjących jak następuje: *Nie należy się w gimnazjach dążyć do jakiej takiej biegłości w władaniu językiem, lecz rozchodzi się jedynie o takie zawładnięcie przedmiotem, iżby uczniowie plody piśmiennicze w odnośnym języku przekazane czytać i gruntownie rozumieć mogli.*

¹ Por. Verhandlungen d. Gymnasial-Enquête-Commission im Herbst 1870. Veröffentlicht vom k. k. Ministerium f. Cultus und Unterricht. Wien 1871. pg. 55–97.

² L. c. pg. 55.

Przytoczone uchwały, o których wartości na razie nie przesądzam, motywuje ministeryalne sprawozdanie tem, że obszerniejsza znajomość języków żyjących, jakaby uczniowie ze szkoły wynieść mieli, musiałaby pociągnąć za sobą pomnożenie liczby godzin tygodniowych, zatem spowodowałaby obarczenie; że tylko zdolniejsi (powiedzmy raczej większą pomoc w domu znajdujący, a bliższymi prawdy będziemy) mogliby osiągnąć wyższej miary, wreszcie że rezultaty, jakie w Niemczech i we Francyi bywają osiągane, bynajmniej nie odpowiadają nakładowi czasu i pracy.

W jednym miejscu¹ swego referatu powiada Hochegger: „Zdania są tanie jak orzechy, lecz trudnem jest orzech zgryść i dobrać się do jego smacznego i słodkiego wnętrza“. Mógłbym się więc zgodzić na wyżej przytoczone zdania, gdybym się mógł dopatrzeć chociażby próby lub chęci zgryzienia orzecha we wniosku naczelnym rosnącego. Nie znać tego w żadnym miejscu. Niemal wszystkie przemówienia rozbierają doniosłość nauki języków żyjących lub obracają się około pytania, czy nauka ta ma być *obowiązkową*, czy *nadobowiązkową*, czy wreszcie tylko *względnie obowiązkową*. Zaś najważniejszej strony tezy naczelnej, mianowicie *w jaki sposób mogłaby nauka języków żyjących być pomieszczoną w planie nauk gimnazyalnych* wcale nie dotknięto. Nie dziw przeto, że tylko do wyżej wymienionej doszło się konkluzji, co, mojem zdaniem, zupełnie poronieniu sprawy się równa. Niestósowność, a może więcej jednostronność, powziętych uchwał tembardziej się uwydatni, skoro się zważy, że już dwa lata przed zwołaniem pomienionej ankiety, bo w r. 1868, włożono na szkoły galicyjskie obowiązek, ażeby *uczniowie szkół galicyjskich, stosownie do patentu z d. 20 lipca 1859 r., władali poprawnie językiem niemieckim*, który przecież wyraźnie między *moderne Cultursprachen* na ankiecie został wymieniony, *tak ustnie jako też piśmiennie, i ażeby dowiedli biegłości w tym względzie przy popisie dojrzałości lub w rozwiązywaniu zagadnień z tego języka jako szczegółowego przedmiotu nauki, jakoteż z innych przedmiotów*². Obowiązku tego pomimo wręcz przeciwnych uchwał ankiety ze szkół galicyjskich nie zdjęto, owszem,

¹ L. c. 72.

² Okólnik W. Rady szk. kr. d. 22 sierpnia 1868, l. 5371.

nauka języka żyjącego, a to jednego z najtrudniejszych, pozostała nadal i obowiązkową i mającą wydać w ostatecznym rezultacie taką znajomość tego języka, że uczeń może nim władać biegle w słowie i piśmie. Dziwna rzecz! co dla jednych uznano za niemożliwe, drugim uroczyście spełnić się każe!...

Stan sprawy obowiązkowej nauki języka żyjącego w szkołach galicyjskich powinien był przecież członków ankiety zobowiązać, przynajmniej do jakiegoś formalnego wniosku, że dla nauki języków żyjących, jako niepraktykowanej jeszcze w szkołach austriackich, dopiero szukać należy metody, któraby należyście zastosowana do określonego celu doprowadzić była zdolną. Przynajmniej w zasadzie trzeba było to wypowiedzieć, a to tembardziej, że główny referent, prof. Schenkl, o rezultatach nauki języków żyjących w gimnazyach, o ile na podstawie zarysu organizacyjnego jako przedmiot nadobowiązkowy były udzielane, tak się wyraża: *Nie zapoznawano bynajmniej, że dotychczas pod tym względem w naszych gimnazyach bardzo smutne panują stosunki, a mogą też powiedzieć, że i na uniwersytetach po części nie inaczej rzeczy stoją.* Nie uznano jednak tego potrzeby, sądzono bowiem, jak to ze słów wniosku ostatecznego: *nauka ma być uczniom dokładnie na podstawie filologicznej udzielana*¹ wynika, że wspomniana metoda wystarczy, a w Galicyi nawet do biegłego władania doprowadzi.

Skutki też żądań, niepopartych środkami z celem ostatecznym zgodnymi, nie dały długo na siebie czekać. Spostrzeżono się wnet, że żądaniom nie dzieje się zadość, że bardzo się jest dalekim od dopięcia tak szeroko określonego celu. Posypały się skargi jak z rogu obfitości, że uczniowie bardzo niedołężnie się wyrażają, że wstępująca do urzędów młodzież nie jest w stanie najzwyczajszego referatu w języku niemieckim napisać, za co, mówiąc nawiasem, nawet szkoła średnia do odpowiedzialności poczuwać się nie może, i t. d.

Z każdym dniem skargi stawały się natarczywsze, a szkoła musiała przyznać, że pomimo największego wysiłku ze strony nauczycieli i pomimo pokażnej liczby 35 godzin tygodniowych, do pożądanego i rozporządzeniem rządowem nakreślonego celu uczniów swoich nie doprowadza, chociaż najsłabszy nawet abiturient rozumie

¹ L. c. 97.

każdy tekst niemiecki i dosyć dobrze umie go streścić ustnie i piśmiennie, zatem dochodzi do tej miary znajomości języka, jaką ankietą dla nauki języków żyjących w gimnazjum zakresliła. O takim określeniu celu i odpowiedniej temu metodzie przez najwybitniejszych mężów szkoły i nauki ani społeczeństwo, ani władza bezpośrednia wiedzieć nie chcą; wszyscy mierzą pracę podług skutków, które zawodzą i powszechnie za niedostateczne zostały uznane.

Jednak mimo skarg, które tak łatwo podnosić, mimo nagan, które jeszcze łatwiej udzielać, z wyjątkiem komisji zebranej w roku 1880 w Akademii Umiejętności, przez długi czas żadne z poważniejszych kół nie miało odwagi zajrzeć tej sprawie dydaktycznej śmiało w oczy, ani też głębszej poddać rozwadze głosy tych, którzy na własną rękę sprawę nauki języków żyjących w karby odpowiedzialniejszej celowi metody ująć się pokusili. Nie miano w kołach szkolnych nawet na tyle odwagi, ażeby przynajmniej w zasadzie stanowczo zerwać z pewną tradycją, o której dalej będzie mowa, tyle tamującą postęp w nauce języków żyjących. Wprawdzie konserwatyzm w sprawach szkolnych jest bardzo pożądaný i chwalebny, lecz nie powinien on się z narażeniem organizmu w ciężką obstrukcyę przemieniać.

W tym to nieuzasadnionym i chorobliwym konserwatyzmie, w tem upieraniu się przy metodzie nie odpowiadającej celowi, tkwi główny powód, że pomimo uznania potrzeby wprowadzenia nauki języków żyjących i rzeczywistego wprowadzenia jej do szkół galicyjskich, nie tylko nie znaleziono sposobu odpowiedniego, jakby tę naukę ożywić i skutecznie przeprowadzić można, ale nawet o to długi czas się nie kuszono. Że się to wreszcie stało, jest zasługą komisji naukowej w Radzie szkolnej krajowej, która sprawą nauki języków żyjących szczerze się zajęła, i można śmiało sądzić, że doprowadzi do skutku, czego rząd centralny wymaga, ale nie umożliwia.

Zawodowcy dzisiejsi, którzy równie jak i społeczność na niedostateczne rezultaty nauki w dziale języków żyjących tak u nas jak i gdzieindziej narzekają, mimo to po większej części twardo dotąd stoją przy metodzie filologicznej, chociaż przyznać się do tego nie chcą, i o upraktycznieniu nauki prawią. Stoją oni zupełnie na gruncie ankiety z r. 1870 i ani powiedzieć sobie nie dadzą, że nie tędy droga do celu. Dosyć jest zajrzeć do książek, wy-

danych przez tego rodzaju narzekających, ażeby się przekonać, że tak jest rzeczywiście, i że im przez myśl nie przeszło, że dopiero zupełne zerwanie z tradycją filologiczną do celu przynajmniej zbliżyć, jeżeli nie doprowadzić, zdoła młodzież w szkolnej masie.

Nie można też przyklasnąć bez zastrzeżenia bezwzględny wielbicielom metod t. z. praktycznych, jakie stworzyli np. Hamilton i Jacotot i opierający się na nich Toussaint-Langenscheidt, Robertson i t. d. Nie powiemy, żeby pewne zasady przez nich głoszone nie były słuszne, jakby nie byli bliższymi celu aniżeli filologowie, lecz nie są oni twórcami systemów dla mas, jeno dla jednostek, nie dla szkoły, lecz dla samouków lub dla konwiktów, zostających w instytucjach prywatnych o pewnym z góry obmyślanym zakresie, gdzie cały porządek domowy pracę około nabycia języka popiera. Bezwarunkowemu zastosowaniu tych metod sprzeciwia się już ta okoliczność, że czas, jakiego każdy z twórców metody praktycznej dla dopięcia zamierzonego celu żąda, tak jest różnym. Tak wymaga Toussaint-Langenscheidt 18 miesięcy do całkowitego pokonania języka, na tę samą materję wyznacza Ollendorf 6, a Rosenthal tylko 3 miesiące w swoim „Meisterschaftssystem“. Szkoła jednak rozporządza w gimnazyum 8, zaś w szkole realnej 7 laty nauki, w której nie tylko się wymaga zawładnięcia językiem potocznym, lecz nadto spełnienia innych, z całości szkolnego wychowania płynących warunków. Zatem, ze względu na czas trwania i na cel nauki w szkole, żadnej z t. z. praktycznych metod żywcem do szkolnej instrykcyi przyjąć nie można, a to tem mniej, że szkoła poza zawładnięciem materiałem językowym jeszcze coś więcej uczynić i osiągnąć powinna.

Wytworzyła się atoli w najnowszych czasach pewna grupa ludzi, którzy rozpróśzeni po całej monarchii, bez najmniejszej łączności ze sobą, dla nauki języków żyjących w szkole, odpowiedniejszej drogi szukają, słowem i piórem sprawę swoją popierają i dla swoich pomysłów o byt walczą. Szereg tych pionierów innej metody dla nauki języków żyjących w szkole od r. 1884 widocznie się zgęszcza i coraz śmielej i z coraz większą ufnością w powodzenie występuje. W grupie tej mieszczą się albo ludzie zupełnie niezależni, albo głównie nauczyciele szkół realnych, którzy w sprawie nauki języka francuskiego i angielskiego,

jakie w szkole realnej obowiązują, kopię kruszą. Zarys organizacyjny dla szkół realnych z r. 1879 w istocie nie odstępł, co dotyczy metody dla języków żyjących podanej, od metody filologicznej. Nauczyciele odnośnych języków, niezadowoleni z otrzymywanych tą drogą rezultatów, innych szukają i domagają się dróg w interesie szkolnej młodzieży i w interesie skutecznego spełnienia swego obowiązku.

Jasną przeto jest rzeczą, że dydaktyka wstępuje dopiero na drogę unormowania nauki języków żyjących w szkole, więc z oskarżaniem instytucyj i osobistości wypada być ostrożnym.

Wykazawszy obecny stan rzeczy, podamy chociaż w ogólnym zarysie zasady, podług których dalby się stworzyć dla nauki języków żyjących inny system, którego dopełnienie w szczegółach tylko praktyczne przeprowadzanie w podręcznikach i w instrukcyi szczegółowej pomieścić i odnaleźć będzie można. Zanim atoli budowlą w szczegółach może być wykonana, musi pierwej zrab silny stanąć, do którego wszystkie szczegóły się stósować i z niego rację swego istnienia brać muszą.

Nauka języków żyjących w szkole dąży, zgodnie z całym systemem szkolnego wychowania, do trojakiego celu, który się przedstawia jak następuje: 1) do umiejętnego zapanowania nad językiem, zwłaszcza nad jego budową; 2) do pedagogicznego, który się osiąga przez wniknięcie głębsze w najcenniejsze plody piśmiennicze narodu, którego języka się uczy, przez co um się bogaci, rozum się kształci, smak się delikaci, a wola czyli charakter ustala; 3) do praktycznego, który język tylko za środek do celu uważa. Praktyk uczy się języka, ażeby za jego pomocą mógł się ustnie i piśmiennie z innymi porozumiewać.

Zestawiwszy tę troistość celów w szkole z żądaniem i opinią publiczności i oczekiwaniem władz najwyższych, przyznać musimy, że one tylko wedle ostatniego pracę szkolną oceniają i po niej głównie dopięcia tego ostatniego za jakąkolwiek bądź cenę spodziewają się i żądają. A szkoła także jest w zasadzie przeświadczoną, że dopiero osiągnięcie ostatniego celu obydwą pierwsze aktualnymi czyni. Skargi przeto, o jakich wyżej wspomnieliśmy, odnoszą się głównie do nieosiągnięcia ostatniego z poszczególnych celów.

Porządek przeto, w jakim dążenie szkoły postępować powinno, ażeby w nauce języków żyjących dojść można do upragnionej

równowagi, *odwrócić* przedewszystkiem należy, co to samo znaczy jak *zerwać zupełnie z dotychczasową metodą*.

Pierwszą i najdonioślejszą wadą metody filologicznej, podług której nauka w szkole się odbywa, jest podporządkowanie na pierwszym stopniu nauki językowej materji pod gramatykę; metoda filologiczna czyni *koniec początkiem*, w czym nie trudno odkryć źródła wszelkich w późniejszej nauce tak jaskrawo występujących braków. Nie chcemy przez to bynajmniej powiedzieć, że instrukcyi gramatycznej w nauce języków żyjących wcale nie uznajemy i z nią się liczyć nie chcemy, owszem, w szczegółowym rozłożeniu znajdzie się dla niej odpowiednie jej zadaniu miejsce, jeno że na pierwszym stopniu radzi podporządkowujemy ją zupełnie materji językowej, a nie odwrotnie. My jesteśmy bowiem zdania, że pierwszej trzeba mieć konia, a potem dopiero można go kielzać. Należy więc na pierwszym stopniu nauki przedewszystkiem do tego dążyć, ażeby uczący się pierwszej zapanował nad pewną ilością językowego materiału za pomocą wsłuchania się weni i naśladowania go, a potem dopiero stopniowo i wedle potrzeby zapoznawał się z prawami, na mocy których materiał językowy tak a nie inaczej się łączy. Tu się stwierdza zasada główna metody Hamilton-Jacotot, która we właściwem zastosowaniu do nauki szkolnej zupełnie da się przenieść.

Wynika tedy z tego jako pierwszy postulat metodycznej nauki języków żyjących w szkole, że *naukę nie od luźnych wyrazów lub od zdań w żadnym ani materialnym ani logicznym związku ze sobą zostających, lecz od ustępów ciągłych zaczynać należy*.

Dalszą wadą dotychczasowej metody jest okoliczność, że ona umysł uczącego się w jednym i tym samym czasie najróżnorodniejszą, bo tylko gramatycznie powiazaną, zarzuca materją, której uczący się ani pochłonać, ani przetrwać, często nawet zrozumieć nie jest w stanie. Dążności realne i formalne snują się jak mary jedne przed drugimi. Zdania w początkowej nauce ilustrują w pierwszym rzędzie pewne prawidło gramatyczne, przy czem wprowadza się, o ile na to wymagania gramatyczne pozwalają, okrucy z rozmaitych dyscyplin naukowych i z etyki praktycznej, ażeby pewnej teorii pedagogicznej, o której dużo możnaby mówić, uczynić zadość. Tak wirują obok siebie w *wyszukanym nieładzie* najrozmaitsze odłamki życia i nauki bez najmniejszego względu na cel, jaki dla

nauki języka żyjącego urzędownie został nakreślony. Przykład nam to dobitniej wytłumaczy. Otwórzmy pierwszą lepszą z książek, używanych za podstawę przy nauce języka żyjącego, w pierwszym lepszym miejscu. Tu stoi banalne „Nudeln sind eine Art Mehlspeise“ — obok niego równie pouczający odłam z nauki geografii „die Monde sind eine Art Planeten“ — zaraz potem budująca etyczna zasada „der Mensch wird für ein Pfund Gold seinem Glauben entsagen“ — nieco dalej wielkie psychologiczne odkrycie „Träume sind Schäume“ i t. d. Na tak niepowiązanej, bezładnej i bezcelowej materii trudno dojść do zawładnięcia językiem i nabyć tegoż poczucia, pierwszej podstawy biegłego mówienia. Jakaż siła jest w stanie z tych ogryzków, zostających li tylko na służbie gramatyki, w danym wypadku szybko wybrać to, co właśnie do wyrażenia pewnej doraźnej i do okoliczności zastosowanej myśli może być potrzebnem? Zresztą jak się uczeń na takiej drodze do mówienia przyzwyczai, a przecież biegle mówienie jest tylko nawyczką. Uczeń kształcony za pomocą takiej metody nigdy nie będzie mówić biegle i poprawnie! Wysnuwa się przeto jako druga ważna zasada, że *uczeń powinien uczyć się języka na ustępach ciągłych a treścią zgodnych z każdorazowym stopniem jego doświadczenia i dojrzałości umysłowej.*

Idąc dalej za śladem metody dotychczasowej, dochodzi się do niezbitego przekonania, że ta metoda wyklucza wszelką ewidencję materiału językowego, albowiem wysuwając na pierwszy plan dyscyplinę gramatyczną z samą *materyą językową* wcale się nie liczy (a co więcej, nawet możliwości ani środka po temu niema) i przypadkowi zupełnie ją pozostawia. Zdarza się przeto — a inaczej być nie może — że uczeń z większą częścią do osiągnięcia ostatecznego celu potrzebnej mu materii językowej podczas całej nauki szkolnej, wcale się nie zetknie. On wie o Hannibalu i Napoleonie, o głębokich sentencyach, przechodzących często jego pojęcie, jak np. „Aleksander verstand verschiedene Völker zu besiegen, doch seine Leidenschaften konnte er nicht bezähmen“ i t. p., ale on nie wie prawie nic o rzeczach, z którymi się codziennie styka. Chcąc tedy ze świadomością celu w nauce języków żyjących postępować, *trzeba przedewszystkiem materyę językową — stosownie do przedtem podanych zasad — na poszczególne grupy rozłożyć i na poszczególne lata nauki rozdzielić.*

Z przytoczonych właśnie niedostatków metody filologicznej, jaka na razie w braku innej do nauki języków żyjących została zastosowana, wylania się inna okoliczność, której pominięcie i zupełne przeoczenie naukę języków żyjących czyni nieproduktywną i od pożądanego celu oddala, zamiast do niego ją zbliżać.

Metoda filologiczna, oparta o gramatykę i słownik, zrywa w swem zastosowaniu do nauki języków żyjących zupełnie z psychologią, która jedynie trwała i rozwoju ciągłego pewną może być podstawą tak w wychowaniu jakoteż i w dydaktyce. Niezgoda z prawami psychologicznymi mści się na każdym kroku, utrudnia postęp i nudzi tak nauczającego, jak też ucznia, a co najgorszem jest, odbiera ufność w możność tak *nauczenia*, jakoteż *nauczenia się*, więc działa w wychowaniu destrukcyjnie.

Każdy, kto głębiej się zastanawiał nad stosunkiem mowy do duszy ludzkiej, musiał, zdaniem mojem, nabrać przekonania, że mowa — a bynajmniej żyjąca — nie jest w duszy ludzkiej zawarta, jako jakaś całość ze wszechmiar określona i skończona, lecz że jest to proces w duszy ciągle się powtarzający i odbywający, który z rozrostem samej duszy coraz bardziej rośnie i potężnieje tak, że z każdorazowym najwyższym stanem rozwoju duszy także najwyższy stopień wyrażania się bywa osiągany czyli, że rozwój mowy zostaje w równym stosunku do rozwoju duszy samej. Gramatyka jednak i słownik, te dwa główne filary metody filologicznej, są tego prawa powolnego, z każdorazowym stanem duszy zgodnego a ciągłego powstawania mowy w duszy ludzkiej prostą antytezą, zatem nie mogą być uważane za *pierwsze ani też za najważniejsze podstawy wymaganego skutku*.

Do mowy prze człowieka nie to, co w mowie samej jest mniej, a co więcej prawidłowem, lecz chęć udzielenia innym tego, co się w duszy mówiącego dzieje, tego — co w niej *już* jest. Im bardziej materyał pojęciowy wzrasta, tembardziej musi też obfitość materyału językowego przybierać, a tem łatwiej wchłania go dusza w siebie i tem pewniej go zatrzymuje, im większą potrzebę, a nawet konieczność jego posiadania czuje i uznaje. Wyobraźmy sobie dziecko, rozwijające się normalnie, i zechciejmy mu towarzyszyć aż do chwili zupełnego rozwoju przez życie i studia, porównajmy potem materyał z pierwszego stopnia z materyałem na ostatnim

stopniu rozwoju, a zdumieć nas musi różnica ilościowa oraz zdolność i finezya łączenia zdobytego materiału w zwroty wedle potrzeby, a nawet wedle fantazyi. Nie słownik i nie gramatyka tu działały, lecz pewne prawo psychiczne, nie znające żadnego wyjątku, prawo odwieczne asocjacyi, które zawsze się powtarza, ilekroć mówić poczynamy, czy to w dzieciństwie w zakresie mowy ojczystej, czy też później, kiedy się obcych języków uczyć zaczynamy. Jest to proces przyrodzony, który obejść się nie da bezkarnie. Prawo to zasadnicze duszy ludzkiej głośny zakłada protest przeciw mniemaniu, jakoby rozwój duszy, a rozwój mowy były czemś różnem od siebie, i jakoby, co dla nauki języków żyjących w znajomym celu szczególnie ma znaczenie, sztuczny zlepek gramatyczny lub leksykalny pracę duszy samej i jej proces zastąpić zdołał.

Chodzi więc o to, ażeby ten proces przy nauczaniu języków w szkole wywołać, poprzeć i podtrzymywać statecznie, czyli *ażeby metodę do przyrodzonych praw duszy ludzkiej a nie odwrotnie zastosować*.

Rozwój psychiczny człowieka poczyną się od spostrzegania, przechodzi do naśladowania, wznosi się do pojęć i dochodzi w najwyższej fazie swego stanu do samowiedniego i celowi zamierzonemu analogicznego zastosowywania lub wyboru.

W jakimkolwiek bądź kierunku psycha pracuje i za pomocą jakichkolwiek środków w emanacyi swojej występuje, zawsze ten sam porządek procesu rozwojowego zachowuje i objawia.

Weźmy np. objawienie się psychy w malarstwie. Przesuńmy przed naszym okiem szereg poczynający się od nieudolnych kreśleń Buszmańskich, postacie ludzkie, zwierzęce i roślinne na zabytkach egipskich, wreszcie pełne kształtu, siły, życia i ciepła arcydzieła sztuki klasycznej, a stwierdzimy jednym rzutem oka prawo, o którym powyżej była mowa. W tym wypadku odbyła dusza za pomocą oka i dla oka ten cały proces od najprymitywniejszych konturów aż do kształtów pełnych życia i myśli.

Tak samo odbywa psycha swój pochod ze względu na mowę. Najpierw wnikają w nią nierozróżniane jeszcze co do swego znaczenia brzmienia w mniejszych lub większych okresach, z porządku

następuje chęć naśladowania, potem zrozumienia a w końcu dopiero zgodnego z celem wyboru i ugrupowania. Narzędziem zewnętrznym pobudzającym ten proces jest w tym wypadku ucho, a narzędziem wykonywającym — organ mowny.

Z tych zasadniczych praw duszy ludzkiej da się z łatwością wyprowadzić a w praktyce przeprowadzić co do najmniejszego szczegółu sposób czyli metoda nauczania języków, jakimiby one nie były.

W przykładzie wziętym z dziedziny malarstwa spostrzegamy pewne szczegóły bardzo ważne mianowicie, że malujący na pierwszym stopniu rozwoju tylko kontury przedmiotu, który przedstawia i to w całości a nie w szczegółach chwytą, następnie że naśladuje go tylko bez względu na siebie lub otoczenie, wreszcie że nigdy nie przedstawia rzeczy po za obrębem swego zmysłowego spostrzeżenia leżących. Jak oko przedmiot widziało, tak ręka z mniejszą lub większą wprawą oddać go usiłuje, bez oglądania się na jakiegokolwiek prawa i zasady. To samo czyni dziecko, nazywając jakiś przedmiot lub wypowiadając jakieś żądanie. Ono — o ile zdoła — najwierniej naśladuje to, co od otoczenia swego uchem pochwyciło; ono też nigdy nie wypowie, czego nie słyszało, więc nie spostrzeżło, ono tem łatwiej to wypowie, z czem częściej się spotyka, czyli to, co w obrębie otaczającej je rzeczywistości się znajduje. Tak postępuje dziecko ucząc się mówić.

Nie inaczej powinien się w szkole odbywać proces przy nabywaniu języka obcego w celu zawładnięcia nim zupełnie. Najsamprzód uczący się, będąc rzeczywiście jeszcze dzieckiem, rzecz samą naśladować a dopiero po pewnym upływie czasu zastanawiać się nad większą lub mniejszą prawidłowością rzeczy drogą naśladowania nabytych powinien. Z tego wynika, że *nie należy się na początkowym stopniu, jak to właśnie filologiczna metoda zaleca, na tłumaczeniu i na porównywaniu z językiem już znanym, np. z ojczystym, nauki języka obcego opierać, lecz bezpośrednio na ucho działać i w duszy chęć naśladowania wywołać*. Pozorne ułatwienie, jakie wielu a nawet zanadto wielu w oparciu nauki języka obcego o język ojczysty upatruje, jest przed jakim takim owładnięciem języka tylko utrudnieniem, albowiem porównanie tylko wtedy może być łatwem i skutecznem, jeżeli obydwa przedmioty

porównywane równie są znane; nadto podejmuje się równocześnie pracę w dwóch kierunkach, mogąc zaledwie jednemu zaradzić. Ucząc należycie tj. zgodnie z celem na niższym stopniu języka, znajdzie się na wyższym pewnie sposobność do nauki za pomocą porównania, które oczekiwać nie zawiedzie. Samo jednak rozbudzenie chęci naśladowania jeszcze nie wystarcza; bacząc na cel ostateczny, jaki nauka języków żyjących ma osiągnąć, trzeba to naśladowanie poprzeć, uczynić trwałem i koniecznem. Ażeby to osiągnąć, trzeba uczącego się odpowiednim sposobem do mówienia zmusić i pozwolić mu obracać się w zakresie zupełnie mu znanym, czyli w zakresie jego doświadczenia i bezpośredniego otoczenia. Sama sytuacja będzie mu ciągle przypominała, co usłyszał; na wszystkich przedmiotach otaczających go wyrzaje się niemal forma językowa; same przedmioty niejako zniewalać go będą do ciągłego powtarzania. Im szerszym stawać się będzie widnokrąg uczącego się, tem bardziej będzie się też wzbogacać jego język.

Innym zupełnie jest stan duszy i świat ucznia na pierwszym stopniu nauki, a całkiem inny na ostatnim. Z tem dydaktyk koniecznie liczyć się musi.

Z tego wynika, co już przedtem na innej drodze zostało poznane a tu tylko psychologicznie jest stwierdzone, że *w nauce szkolnej języków żyjących koniecznym jest podział materji językowej a nie tylko gramatycznej na grupy ściśle z góry obmyślane i na poszczególne lata nauki szkolnej rozłożone*, czego przy obecnie panującej metodzie, opartej na zupełnie innych i z celem ostatecznym niezgodnych principiach, w szkole żadną miarą uczynić nie można. Podanym tylko sposobem można wprowadzić w naukę ład i ciągłość, więc system otrzyma zupełną ewidencję postępu, uprzyjemni i ułatwi się pracę nauczającemu i doda się otuchy uczniowi, któremu pozwoli się nie tylko języka się uczyć, lecz także go wcześniej używać.

Jeżeli więc uczeń w każdym roku swego pobytu w szkole zgodny ze swoim rozwojem umysłowym i odpowiadający zupełnie jego doświadczeniu otrzyma materiał językowy i zmuszony będzie do używania go, wówczas, zdaje nam się, z większą otuchą można spoglądać na cel, jaki rząd dla naszych szkół wyłącznie zakreślił,

i nie potrzeba za ostatnie słowo uważać tego, co ankietą w Wiedniu w r. 1870 za jedynie możliwe uznała, czem wprowadzie na razie rzecz *złatwiła*, ale jej bynajmniej *nie rozwiązała*.

Oto główne i istotne linie metody, jaką uznajemy za stosowną do nauczania języków żyjących w szkole tak, ażeby uczeń nie tylko na podstawie nauki tychże się kształcił, lecz rzeczywiście językiem, którego się uczył, władać zdołał.

Dr. Karol Petelenz.



ZAPISKI Z PODRÓŻY PO INDYACH.

III.

Wizyta w zastępstwie Delegata. — Przygoda na kolei. — Stacya misyjna w Morapaj. — Przyjęcie uroczyste. — Uczta bengalska. — Widowiska na cześć misyonarzy. — Szkoła i jej doniosłość. — Wieczór wśród dzieci. — Powrót do Kalkuty.

Właśnie powróciliśmy z wycieczki odbytej w głąb Bengalu, gdzie zwiedzaliśmy stacyę misyjną w Morapaj, miejscowości położonej niedaleko ujścia Gangesu, między Kalkuttą a morzem. Misya ta zachodnio-bengalska, której Kalkutta jest punktem centralnym, niedawno założona, zostaje pod zarządem OO. Jezuitów belgijskich. Nie może się ona jeszcze poszczycić tak wspaniałemi kościołami, jak Ceylon i misye południowe, już od trzech wieków istniejące, ale pod energicznym kierunkiem Ojców rozwija się pomyślnie i rokuje najlepsze nadzieje. Jest to jedna z najpiękniejszych misyj, jakie mi się zdarzyło widzieć w życiu...

Ks. biskup Agliardi postanowił odbyć wizytę pasterską w Morapaj, by obecnością swą dodać ducha tej młodziutkiej osadzie chrześcijańskiej. Poczęto robić już przygotowania na przyjęcie JE. Delegata Apostolskiego, gdy nagle w sobotę wieczór ks. biskup zapadł na gorączkę. Zamiaru więc odbycia wizyty trzeba było zaniechać, o czem też zawiadomiono bezzwłocznie ks. Juliana Bankaert'a, przełożonego owej misyi. Wiadomość ta zmartwiła bardzo pocziwych chrześcijan tamtejszych. „Duch nasz połamał się na

drobne kawalki“ — mówili oni od wielkiego żalu. Otóż by ich nieco pocieszyć, polecił nam Delegat Ap., byśmy się w zastępstwie jego tam udali: ks. biskup Ajutti, oraz ks. Grosjean, przełożony Jezuitów Bengalskich, mieliśmy obecnością swoją przynajmniej w części osłodzić im zawód.

Wyruszyliśmy we wtorek o 7-ej rano. Kto nigdy jeszcze nie podróżował koleją żelazną po Indjach, ten nie ma pojęcia o nieladzie, jaki tu panuje. Pociąg już miał ruszać, gdyśmy wpadli na peron. Biegniemy ku wagonom. Ojciec Grosjean, objawszy za szyję maszynistę, rodowitego Indyanina, pyta go:

— „Czy to jest pociąg Diamant-Harbour?“

— „Tak, Ojcie“.

— „A gdzie jest nasz wagon?“

— „Tutaj“ — odpowiada tenże, wskazując go nam palcem. Wsiadamy doń co teh, w tem konduktor ciągnie nas za sutannę.

— „Panowie, tu nie wolno siadać, to jest wagon dla dam!“

— „Co nas to obchodzi, nie możemy przecie zostać tutaj!“ pociąg już ruszył, kiedym wskoczył do wagonu.

— „Przecie się nam udało zdobyć miejsce — odezwał się ks. Ajutti — szkoda tylko, że nie będzie można palić, gdyż to jest damskie coupé“.

— „Owszem — przerwał O. Grosjean — przecież to jest wagon rezerwowany dla nas“.

— „Dziwna to rzecz — wtrąciłem — jaki tu nielad panuje: zegar kolejowy oznajmia godzinę odjazdu, a pociąg ruszył o dzieś minut zawcześniej, i dla tego też o mało co nie zostaliśmy na lodzie“.

— „To nie może być, zapewne twój zegarek źle idzie“ — odpowiada na to Mgr. Ajutti.

— „Owszem, idzie doskonale, naregulowałem go wczoraj wieczór, gdy dawano sygnał armatni“.

— „Co to za most? — woła nagle O. Grosjean — ależ to nie jest droga do Diamant-Harbour! gdzie oni nas wiozą?!“

Można sobie wyobrazić przerażenie nasze na te słowa.... Wsiadliśmy do pociągu jadącego w zupełnie przeciwnym kierunku! Ojciec Grosjean był w rozpacz, ja zaś śmiałem się do rozpuchu. W takim stanie rzeczy nie pozostawało nam nic innego, jak wysiąść na

najbliższej stacyi; ku większemu jednak utrapieniu naszemu był to pociąg kuryerski, który pędem przejechał przez ową stację i dopiero w Belghurriah wyzwoliliśmy się z tego ruchomego więzienia.

Rozumie się, że natychmiast pobiegliśmy na dworzec, żeby się dowiedzieć, czy długo jeszcze potrwa wygnanie nasze; *meno male*, za godzinę miał przejeżdżać pociąg do Kalkutty, a po całogodzinym przestanku „bumler“ miał nas zawieść do Magra-Halt, celu naszej podróży.

Jedno mię tylko martwiło, a to, że ludność chrześcijańska tamtejsza oczekuje nas już od trzech godzin, i gdyby pociąg przyjechał przed odebraniem depeszy naszej, „duch ich rozbiłby się na jeszcze drobniejsze kawalki“. Zresztą rad byłem wcale z tego opóźnienia. Miałem bowiem sposobność rozpatrzenia się po maleńkiej Bengalskiej stacyi, której naczelnik był bosi, w mundurze włożonym na gołe ciało, a telegrafista nawet i bez tej ozdoby.

Mając czas, poszliśmy na wieś, żeby oglądnąć wiejską bengalską osadę, złożoną z kilkudziesięciu chat wcale zgrabnie budowanych z gliny, a pokrytych tradycyjną strzechą ryżową.

Tymczasem nadjechał pożądaný pociąg do Kalkutty i ze wstydem powróciliśmy tam, skądśmy wyjechali. Naczelnik stacyi przybiegł natychmiast, by się dowiedzieć, co nam się wydarzyło. Kazał on przygotować dla nas najpiękniejszy wagon salonowy, który pojechał próżny do Magra-Halt... Opowiedzieliśmy mu smutną naszą przygodę i tym razem weszliśmy do bardzo skromnego wagonu, w którym mieliśmy przybyć na miejsce naszego przeznaczenia, zatrzymując się bardzo długo na wszystkich stacyach.

Okolice są tu bardzo piękne. Stolica do okola jest otoczona ogrodami, które ją zaopatrują w najwyborniejsze owoce. Nieco dalej ciągną się gaje kokosów i palm „*Phoenix sylvestris*“, których pień jest pełen nacięć, robionych w celu otrzymania stamtąd wina palmowego. Drzewa te ocieniały chaty ciągnące się (jak oko zasięgnię) w nieskończoność, gdyż kraj ten jest więcej zaludniony niż Belgia.

Do okola bielą się nieprzejrzone okiem obszary pól ryżowych, na prawo zaś rozległe słone jeziora, nad brzegami których brodzą poważne pelikany i ibisy z okiem utkwionem w wodę.

Nareszcie przybywamy do Magra-Halt, spóźniwszy się o dobrą godzinę. Była bowiem już pierwsza, z południa.

Ojciec Maene oczekiwał nas z gromadką swych wiernych od wpół do dziesiątej zrana. Łatwo nam przyszło wyjść z wagonu, ale trudniej wejść do lektyki.

Pierwszy to raz w życiu oglądałem ten dziwny, napowietrzny ekwipaż! Proszę sobie wyobrazić olbrzymie pudło, z dwoma małemi drzwiczkami po bokach — daruje, że się tak wyrażę, ale wyglądało to zupełnie jak psia budka.

Śmieszyło mnie to niewymownie, a tu trzeba było wystąpić z całą godnością w obec tej gromadki chrześcijan, co nas tak radośnie i serdecznie witali, krzycząc z całego gardła hurra! Z całą przeto powagą związałem się we troje w tej pułapce i starałem się usadowić w niej. Ale ani sposób usiąść w tym pudle: próbowałem po turecku — daremnie, po indyjsku — niepodobna mi było zachować równowagi, nareszcie postanowiłem usiąść po prostu na spodzie i wyciągnąć nogi przed siebie. Była to dla mnie chwila niewymownej trwogi; gdy podnoszono tę straszną machinę, uderzyłem twarzą o przednią krawędź i zgmiotłem sobie nos, głową zaś uderzyłem o tylną.

Lektyka spoczywa na dwóch grubych dragach, jeden z przodu, drugi z tyłu. Czterech silnych „kulisów“ (*coolies*) niosło nas na ramionach i śpiewało w takcie krótkim i urywanym. Orszak nasz wyglądał bardzo malowniczo, składał się bowiem nie tylko z chrześcijan, ale także i z ludności pogańskiej z Magra-Halt; od czasu do czasu zaglądali oni ciekawie przez boczne drzwiczki do środka lektyki, by się napatrzeć do syta tym niezwykłym gościom, którzy z daleka przyszlizli odwiedzić indyjskich i bengalskich swych braci.

W ten sposób przeszliśmy rozległą wieś i doszliśmy aż do kanału, i tu trzeba nam było przesiąść się na łódź. Urządzono nam wspaniałą statek: na dwóch galarach (*pirogues*) ułożono pomost z desek, na nim ustawiono baldachim z aksamitu pasowego i srebrnego papieru, który nas miał chronić od promieni słonecznych.

Kanał ten ma zaledwie kilka metrów szerokości. Po prawym brzegu stała orkiestra tamtejsza i przygrywała nam podczas całej tej przeprawy. Składała się ona z dwóch flecistów, którzy dęli

z zapalem, niepodobna mi jednak było pochwycić melodyi i ocenić całą jej oryginalną piękność, gdyż zagłuszały ją całkowicie towarzyszące jej sześć olbrzymich bębnów, ośm tam-tam-ów, i z tuzin jakichś wrzaskliwych narzędzi;.. z drugiego zaś brzegu dochodził nas odgłos kanonady, petard, bomb i krzyki tłumów ludności biegnącej za nami.

Zwolna poganie zostawiali w tyle i wkrótce znaleźliśmy się w gronie pocziwych naszych chrześcijan: przed nami postępowało trzydziestu zuchów, niosąc różnobarwne chorągwie, orkiestra grała zapamiętałe, wydając Nielitościwe dźwięki, i skoro tylko przegrała ową rozpaczliwie jednostajną melodyę, zaczynała ją da capo, jeszcze przeraźliwiej i głośniej.

Długie pirogi towarzyszyły nam ze wszystkich stron. Na uroczem zielonem tle drzew palmowych i cudownej roślinności czarująco przedstawiał się widok naszego pochodu na wodzie. Przed nami płynęła piroga napełniona dziećmi, które nie miały na tyle sił, by biedz za nami. Zabrano je z litości, widząc, że nie mogą już dychać ze zmęczenia i była to uroczą załoga — same zachwycające twarzyczki, z włosami zgolonemi do skóry lub starannie fryzowanemi. Na przodzie i z tyłu pirogi stało po dwóch dużych i silnych chłopców w wieku od piętnastu do szesnastu lat, obnażonych do pasa; każdy z nich miał w ręku długą bambusową żerdź, zastępującą im wiosło, którą narabiali z tak niewymownym wdziękiem, że malarz nie oparłby się pokusie przeniesienia żywcem na płótno uroczej tej sceny i grupy.

Po dwóch godzinach przeprawy przybyliśmy wreszcie do owej misyi, znużeni i zgłodniiali.

W pięknym warzywnym ogrodzie wznosiła się tuż obok kościoła chatka, zupełnie podobna do tamtejszych, ale trochę większa i staranniej utrzymana: była to rezydencya obu tamtejszych, zacnych misyonarzy. Trzy przegrody z desek dzieliły ją na trzy maleńkie izdebki. W środkowej był zastawiony obiad obfity i smaczny, składający się z kur, ryżu, jaj i kwaśnego mleka, — na wety podano owoce i jarzyny z owego ogrodu; najgłośniejszą jednak przyprawą skromnej tej uczty była serdeczna gościnność, objawiająca się w najdrobniejszych szczegółach, oraz szczera i niewymu-

szona wesołość, któraby była w stanie rozpogodzić najsmutniejszą fizyognomię.

Kilka tylko kroków dalej, na obszernym placu Ojcowie urządzili bankiet, według zwyczaju bengalskiego dla sześciuset chrześcijan, przybyłych z daleka, by nas oglądać. Odmówiliśmy z nimi modlitwy, a Mons. Ajutti pobłogosławił tę ucztę, która dla mnie była czemś tak niezwykłym, że nigdy nie wyjdzie mi z pamięci.

Wyobraźcie sobie sześciuset Bengalczyków, siedzących długimi rzędami, na kuczkach — kobiety osobno — gdyż, według tutejszego zwyczaju, nie jedzą nigdy razem z mężczyznami, chociażby to był mąż lub syn. Każdy z nich miał przed sobą zamiast talerza szeroki liść bananowy, położony na piasku. Obnoszono ryż w ogromnych koszach. Nie wiem w jaki sposób był przyrządzony, to tylko widziałem, że z kuchni niesiono go wprost do rzeki, zanurzano kossze aż po brzegi, następnie zanoszono go, ciekącego wodą na miejsce festynu. Jeden z ludzi trzymał olbrzymi kosz, drugi zaś czerpał z niego obiema rękami i nakładał istne góry ryżu na liść leżący przed każdym z biesiadników, ten wskazującym palcem robił w nim otwór, który szybko napelniano mlekiem. Następnie podano „Curry“, niezbędną przyprawę do ryżu, bardzo lubianą w Bengalu. Służący, który ją niósł w wielkiej wazie w lewej ręce, utworzył z prawej rodzaj łyżki i, zanurzając oryginalną tę chochlę w wazie, nabierał nią obficie owego sosu i polewał nim każdą porcyę ryżu. Miało to być wyborne!... I biesiadnicy nasi urządzili sobie łyżkę z czterech palców prawej ręki i zjadali, aż radość brała patrzeć!

Był to czysto Adamowy festyn! Na pocziwych obliczach tych biesiadników malowało się szczęście i zadowolenie bez granic, my też patrząc na nich cieszyliśmy się i byliśmy prawdziwie głęboko wzruszeni tą ucztą tak serdeczną, tak pełną pierwotnej prostoty, w tym kraju pogrążonym jeszcze w błędach i ciemnościach pogańskich!...

Oddaliliśmy się, by nie kępować obecnością naszą tych pocziwców, ale wkrótce zaprosili oni nas znów do siebie.

Podczas naszej nieobecności przekształcono plac, na którym odbyła się uczta, w coś na kształt cyrku. Z tysiąc Bengalczyków otaczało go kołem, siedząc na ziemi, lub stojąc w cieniu palm kokosowych. Dla nas urządzono siedzenia: owi słynni kuglarze in-

dyjscy mieli się popisywać przed nami. Znowu mieliśmy zobaczyć coś niezwykłego, o czem nasza Europa nie ma najmniejszego pojęcia.

Patrząc na ten tłum różnobarwny żądny widowiska, przeniosłem się myślą w owe czasy igrzysk Ateńskich, rozumie się, że na długo przed Peryklosem, gdy wymagania cywilizacyi były jeszcze nieznane owej stolicy Grecyi.

Wkrótce po naszym przybyciu ukazali się kuglarze. Popisy ich gimnastyczne były godne podziwienia. Niegdyś, kiedyś jeszcze nie był duchownym, zwiedzałem pierwszorzędne cyrki Europy. To jednak, na co tutaj patrzałem, przewyższało wszystko, co kiedykolwiek widziałem. Nie byłbym nigdy przypuścił, żeby człowiek mógł rozwój sił swych doprowadzić do takiej doskonałości.

Tak np. sześćdziesięcioletni starzec ujął młodego człowieka obiema rękami za szyję. Młodzieniec oparł się całą siłą o tę wątłą podstawę i stanął prostopadle nogami do góry. Natenczas starzec podnosząc go z wolna ponad swoją głowę, postawił go wreszcie na wierzchu tejże, w tejże samej prostopadłej pozycyi, z nogami do góry i w tem strasznem położeniu pozostawali obaj więcej niż pięć minut; starzec to chodził, to siadał, to powstawał znowu.

Jeden piękny młodzian wśród tego grona nie brał udziału w tych popisach gimnastycznych, gdyż później miał wystąpić z sztukami, które ogólnie przypisują kataleptycznemu zeszytywnieniu muszkułów. Przyznam się, że nie wierzę w to, gdyż zauważyłem niejedną okoliczność, która zdawała się zaprzeczać temu. Może mi się kiedy nadarzy sposobność do gruntownego zbadania tych objawów kataleptycznych, a wtedy nie omieszkam udzielić mych spostrzeżeń innym.

Wracam do owego młodzieńca. Skoro położył się on na plecach, ustawiono mu na piersiach trzy ogromne cegły, jedną na drugiej, a jeden z jego towarzyszy uderzył w nie tak silnie maczugą, że dwie pierwsze w proch się rozsypały. Następnie powtórzono ten sam eksperyment, kładąc mu trzy inne cegły na plecy. Uderzenie i tym razem było tak silne, że pierwsza cegła rozprysła się, za drugim uderzeniem druga... Poczem powstał ów zuch, przypatrzyłem się dokładnie skórze jego, na której nie było najmniejszego śladu sińca, ani innego uszkodzenia. Nie sposób, by

użyto przytem podstępu jakiego, gdyż owych cegieł nie przynieśli ze sobą kuglarze; wzięto je na chybił trafił ze stosu, znajdującego się w ogrodzie warzywnym. Według ich zapewnienia, bylibyśmy widzieli jeszcze dziwniejsze rzeczy, ale nadchodził czas, w którym miało się odbyć uroczyste błogosławieństwo w kościele.

Z misyi wyruszyliśmy procesjonalnie w szatach pontyfikalnych. Ks. biskup Ajutti celebrował. Przed nami niesiono chorągwie kościelne, za którymi szli w dwóch szeregach chłopcy w czerwonych sukienkach, niosąc w ręku zapalone gromnice. Za nami postępował tłum ludzi. Byłto dziwnie wzruszający i uroczysty obrzęd, w tej chrześcijańskiej osadzie, znajdującej się na ziemi pogańskiej. Naraz opuścił nas wysoki nastrój: oto stanął przed nami małe dziecko- lub siedmioletni, nagi jak żaba, i złożywszy ręczęta, kroczył z całą powagą na przedzie. Widok ten był tak komiczny, że brał nas śmiech pusty. Na szczęście usunięto w czas tego niepowołanego herolda z drogi i pochód nasz odbywał się spokojnie, aż do końca.

Wieczór był dosyć chłodny; musieliśmy wrócić do domku misjonarzy, lud rozszedł się, niektórzy z nich mieli sześć mil drogi do domu.

Wieczór spędziliśmy wśród dziatwy szkolnej. Szkoła jest jednym z najgłówniejszych czynników, jakimi może rozporządzać misya. Trzeba pracować nad dziećmi i zrobić z nich dobrych w całym tego słowa znaczeniu chrześcijan. Zresztą najłatwiej można wpływać na młodociane serca i te właśnie dają się snadno powodować. Wpływ tej szkoły rozciąga się także do chatki rodzicielskiej; w Indjach bowiem kochają bardzo dzieci, które w rodzinie zajmują pierwszorządne stanowisko, i rządzą jak kapryśni i wszechwładni despoci.

Ludzie w starszym już wieku, którzy się nawracają na wiarę chrześcijańską, są zbyt przesiąknięci ohydnyim poganizmem, aby można z korzyścią wpływać na przemianę duszy ich i serca — częstokroć trzeba zgodzić się na udane tylko lub spowodowane nadzieją zysku nawrócenie, aby móżdż wychowywać ich dzieci. Co się zaś tyczy tych obłudnych chrześcijan, stara się tylko zmodyfikować złe ich skłonności i narowy, a i to już jest rzeczą wielką. To samo można powiedzieć i o tych neofitach indyjskich, którzy w pierw-

byli protestantami. Surowa, zimna doktryna sekt kościoła reformowanego nie przypada wcale do serca biednych tych krajowców. Odarto ich z naiwnej ich prostoty, nie dawszy im w zamian wiary, ani nawet najniezbędniejszego wykształcenia religijnego, i ci renegaci są także niepoprawni, i mała z nich pociecha dla Kościoła św.

Szkoły więc są niezbędnie potrzebne i każda misya powinna posiadać swoją własną: Wychowujecie, kształcicie młode pokolenie, starając się zarazem wpływać na poprawę starszego, oto wasze najgłówniejsze zadanie, bracia misjonarze! To też OO. Jezuici utrzymują wszędzie szkoły tak, że trudno nam wyobrazić sobie Jezuity bez kolegium.

Zwiedziłem wiele znakomitych kolegów OO. Jezuitorów — nigdy jednak nie zdarzyło mi się widzieć coś podobnego, jak obecnie w Morapaj: „Wyobraźcie sobie lepiankę z ziemi, pokrytą strzechą ze słomy ryżowej. We dnie służy za szkołę, a w nocy za przytułek dzieciom, które śpią na ziemi, na matach. Weranda zastępuje miejsce refektarza; w całym budynku nie ma ani stołu, ani ławek, ani pulpitorów. Podczas nauki dzieci siedzą w kuczkach na owych matach. Było to zupełnie po indyjsku. Kolegium to liczy 40 uczniów miejscowych i wielu przychodnich. Codzień rano starsi miejscowi uczniowie wyjeżdżają na pirogach, w celu zabrania wszystkich dochodzących kolegów, z okolicznych wsi i odwożą ich wieczorem do domu. Jestto szczególny w swoim rodzaju zakład naukowy, który zrobił na mnie bardzo sympatyczne wrażenie. Bengalowie są bardzo pojętni do nauk.

Wieczór cały spędziliśmy z nimi, a naiwna ich poufalość bardzo nas ubawiła. Zegarek mój wprawiał ich w zachwyt. Wyglądali na rozpieszczone i szczęśliwe dzieci, z nami były za pan brat i nazywali misjonarzy słowem, które w ich języku oznacza: „Ojcie i Matko“. Obdarzyłem ich szkaplerzami i medalikami i byli tak grzeczni, że nie żądali już drugiego, wchodząc drugimi drzwiami.

Lubią bardzo śpiew. Ojciec Bankaert kazał jednemu z nich zaśpiewać narodową ich pieśń, ale miły ten dzieciak drapując się z powagą w małowniczy swój szal muślinowy, zaimprozował długą kantatę na cześć Ojca św. i jego Delegata, z której jednak, jak zwykle, nie zrozumieliśmy ani słówka. Następnie śpiewali wszyscy chórem, melodia pieśni tej była pełna tęsknoty, jak w ogóle wszy-

stkie pieśni wschodnich narodów, ale harmonijna i wdzięczna i, obok całej oryginalności, niektóre jej ustępy były wcale udatne i artystyczne.

Śpiew jednak nie może się w żaden sposób obejść bez akompaniamentu. Posłano przeto po Paganini'ego wiejskiego, słynnego grajka na tam-tam.

Słynny ten artysta nie dał się długo prosić. Przyniósł ze sobą swój instrument, długi na metr, a ponieważ owa izdebka była bardzo ciasna, przeto swobodnie umieścił go pod mem krzesłem, a umieściwszy się za mną, uderzał weń z całych sił.

Brakowało tylko *des gongs* — przeto zakrystyan pobiegł do kościoła, wziął dzwonki używane przy Mszy św. i dzwonił nimi w takt — uczniowie zaś śpiewem zrywali sobie gardło.

Był to ciekawy okaz dzikiej, barbarzyńskiej muzyki, tak ulubionej u Indyan. Na najpiękniejszą muzykę naszą mówią lekceważąco: śpiew ten nie przemawia do nas. Nareszcie po dziewiątej godzinie, po kilko-godzinnej przysłuchiwaniu się dzwonom, tam-tam-om, petardom, ogłuszającym okrzykom, udaliśmy się na spoczynek i istotnie byliśmy znużeni i żądni snu po tak niezwykłym, pełnym wrzawy i przeróżnych wrażeń dniu.

Nazajutrz wstaliśmy o świcie, i pominąwszy urzędowy ten galar, z owym ponsowym baldachimem, wsiedliśmy w lekkie, wygodne czółna, pirogi, wydrążone z pnia wielkiego drzewa i lotem strzały pomknęliśmy po powierzchni wody. Krajowcy budzili się dopiero ze snu. Można było widzieć ich dygoczących od zimna w muślinowych płachtach i zatykających sobie usta zupełnie tak, jak to czynią u nas w czasie wielkich mrozów.

Poranek był orzeźwiający i bardzo przyjemny dla nas, oni zaś marzli widocznie. Dziwna rzecz, jak Bengalczycy są czuli na najłżejsze oziębienie powietrza. Natomiast są bardzo wytrzymali na upał i są w stanie przebywać przez cały dzień z gołą głową, zazwyczaj ogoloną, na największym skwarze słonecznym, tak tu strasznym, że Europejczyk wystawiony na jego działanie umarłby w kilku minutach na udar słoneczny. Mówią, że czaszka ich jest grubszą od naszej.

Jeden ich zwyczaj bardzo mię ubawił. Małeńkie dzieci smarują oliwą kokosową poczem wystawiają je na działanie tego stra-

sznego żaru słonecznego. Twierdzą oni, że to jest bardzo zdrowo. Biedne dzieciątka! takie to miłe i grzeczne!

Z powrotem mogliśmy się przypatrzeć dokładnie wioskom, leżącym nad kanałem, który był starożytną odnogą Gangesu, zasypaną do połowy piaskiem. Wioski te były bardzo podobne do tych, na jakie natrafił Stanley na wybrzeżu rzeki Kongo. Zapewne i tu były one wszystkie podobne do siebie, sto lat temu przed podbięciem kraju przez Anglików, gdyż do tej urodzajnej, pięknej Deltę Bengalskiej nie doszła była cywilizacya Indyjska: chaty w kształcie prostokątu lub owalne; ludzie nadzy, siedząc w kuczkach na trawniku, gotowali posiłek ranny.

Nasze „pirogi“ niosły nas tak szybko, że w godzinie odhylimy tę samą drogę na którą onegdaj potrzebowaliśmy dwie godziny. Doszedłszy po stacyi, wsiedliśmy na pociąg, a o jedynastej zrana byliśmy w Kalkucie, unosząc ze sobą najprzyjemniejsze wspomnienie z tej pięknej misyi.

O mało co nie pominąłem pewnego ciekawego szczegółu:

Początkowo mieliśmy zamiar wrócić wieczorem do Kalkuty ze stacyi Belghurriah, ponieważ zaś zmieniliśmy ten projekt, wysłaliśmy przeto z Marapaj depeszę do J. E. Delegata Apostolskiego, by go zawiadomić, że zamierzamy przepędzić noc tamże. Posłaniec, który miał zanieść depeszę do Magra-Halt, wrócił wieczorem zmieszany, odnosząc nieszczęsny nasz telegram, na którym naczelnik stacyi dopisał był ołówkiem, że oddano mu go o godz. szóstej, minut dwadzieścia — o szóstej zaś zamykają urząd telegraficzny, przeto odsyła nam go.

(C. d. n.)

Ks. Władysław Zaleski.



STANOWISKO WŁOŚCIAN W POLSCE.

(Ciąg dalszy).

Nad temi trzema klasami chłopów, kmieci i rycerzy stał panujący książę¹, początkowo jako najwyższy wódz na wojnie, a niedługo potem jako panujący. W jego ręku skupiała się najwyższa władza wojskowa, sądowa i administracyjna, której wszyscy ulegać musieli. A jako taki był on panem wszelkiej niezajętej dotąd ziemi w obrębie swego państwa. W obec zaś nielicznych prywatnych własności, książę był dziedzicem całego niemal kraju: „Znaczna część tych obszarów przeszła później w skutek nadań książęcych na własność Kościoła i możnych panów, wiele włości monarszych roztrwonili jeszcze w XV wieku Jagiellonowie, a mimo to, dwieście z górą starostw z późniejszych czasów na obszarze Piastowskiej Polski, i z wyjątkiem Śląska i ziemi Lubuskiej, daje nam niejaki wyobrażenie o tych dawnych, olbrzymich rozmiarów posiadłościach książęcych, w obec których rozległe włości najbogatszego magnata kropały w morzu się wydawały“².

W tych to rozległych dobrach osadzał monarcha niewolnika, gdyż lwia część tego łupu po każdej wyprawie jemu przypadała. Przy rzadkiem jednak zaludnieniu kraju główne źródło dochodów księcia stanowiły bezwzględnie daniny i pańszczyzny, jakich miał prawo domagać się od każdego mieszkańca. Nie mógł książę sam

¹ Pojęcie władzy książęcej a względnie królewskiej, jest przeważnie streszczeniem III. rozdziału z przytaczanej tyle razy pracy St. Smolki „Mieszko Stary“.

² Tenże.

wszystkiego doglądać, powoływał więc do pomocy zasłużonych rycerzy, przede wszystkim ze szlachty rodowej, którzy pod nazwą żupników, później kasztelanów, siedzieli po licznych grodach monarszych, sprawując w imieniu pana rządu nad okoliczną ludnością i dochodów jego przestrzegali. Kasztelan pobierał opłaty sądowe i targowe, z cel i myt, wybierał od chłopów daniny w pieniądzach i w naturze, zbierał pieniądze za zbyte kupcom produkty; część tego odsyłał monarsze, resztę zostawiał na potrzeby grodu i służby, lub do dalszej dyspozycji księcia.

Gospodarstwo grodu książęcego ułatwiał prastary podział większego obszaru kasztelanij na pomniejsze dzielnice opolami zwane. „Związek opola składał się teraz z osad chłopskich rozmaitego rodzaju: książęcych, kościelnych i prywatnych, między którymi rozrzucone były grunta wolnych kmieci“¹. Na opolu ciążyła odpowiedzialność za występki jego mieszkańców, za wszystkie zbrodnie w jego obrębie spełnione. Winowajcę musieli mieszkańcy ścigać, pochwyć i do grodu odstawić, w przeciwnym bowiem razie sami płacili karę za ową zbrodnię wyznaczoną. Stąd było opole „w pierwiastkowych czasach dzielnym środkiem policyjnym, jedyną dźwignią porządku i spokoju publicznej“². Każdy starał się nie tylko o dobrą opinię w sąsiedztwie, ale i na to z własnego interesu dawał pilne baczenie, by winowajcę sędziemu odstawić. Stąd żaden zbrodniarz nie mógł się ukryć, żadne przestępstwo nie mogło ująć zasłużonej kary. Dalej ponosiło opole łącznie różne ciężary i płaciło daniny, rozkładając je, wedle słuszności, między swoich członków. Trudno jednak dopatrzeć się tu jakichś naczelników z ludu wybranych lub dziedzicznych. Włodarz książęcy lub przysłany na to urzędnik z grodu zwoływał ludność opola lub pojedynczej włości, ogłaszał im rozkazy, pośredniczył między opolem a grodem i strzegł pańskich interesów w opolu.

Wśród obowiązków, jakie spełniać miało opole względem księcia, była najpierw służba wojskowa. Jakkolwiek czasu potrzeby każdy, kto tylko zdołał władać bronią, stawał do walki, to jednak zdaje się, że już za Piastów była w użyciu piechota łanowa czyli

¹ St. Smolka.

² Tenże.

wybraniecka. Świadczy o tem rozkaz Bolesława Krzywoustego do Pomorzan, aby dziewięciu gospodarzy jednego na wojnę swoim kosztem wysyłało¹. Odnosiło się to zapewne do wypraw dalej przedsiębranych, lecz za to w wojnie odpornej, każdy chłop zagrożonej okolicy z kawalkiem żelaza, z dzidą, siekierą lub choćby z drągami wyruszać musiał do boju. Nie poślednią zresztą pomocą była taka ruchawka za Bolesławów szczególnie w wojnie z Niemcami. Z rzadka przychodziło tu do otwartej bitwy; zasięki w lasach, zasadzki na każdym kroku najważniejszą odgrywały tu rolę, i lada piechur walną mógł oddać przysługę, dokąd rycerz zbrojny na koniu przedrzeć się nie zdołał. We większych zaś wojnach z ościennymi narodami formowano z chłopów rodzaj konnicy, jak to widać w wyprawie Krzywoustego na Węgry. Czasu pokoju znów obowiązane było opole utrzymywać kolejno załogę na grodzie, obowiązek ten prawdopodobnie już za Krzywoustego, został na stałą doroczną daninę „stróża“ zwaną zamieniony; nadto ich rzeczą było poprawiać gród, naprawiać wały, fosy, o drogach i mostach pamiętać. Stąd każdy prawie chłop umiał robić siekierą, a odbywając straż w grodzie i z bronią się oswajał. Wszystkie te obowiązki, publiczne nie były nadto uciążliwe, gdyż nie zawsze potrzeba było pracować koło grodu, ruszać na wojnę lub gonić złoczyńcę, o wiele cięższe były te, w których chłop nie pracą, lecz dobytkiem i komorą własną odpowiadał.

Największym tego rodzaju ciężarem były podwody i przewozy. Pierwszych obowiązani byli dostarczyć dla książęcych sług lub urzędników grodowych, spieszących z rozkazami, drugie do przewiezienia monarsze zboża, zwierzyny, niewolników, pieniędzy z grodów i t. p. Pod rzeczy wymagające szybkiego przewozu, jakoto wiktuały, podlegające szybkiemu zepsuciu, także wino i pieniądze, dostarczali podwód władcy, inne zaś chłopom zostawiano. Działy się przytem częste nadużycia, a najbardziej cierpiały wsie przy większych drogach, blisko monarszej siedziby lub nad granicą położone, których podwody nieraz daleko za granicę iść musiały.

¹ „O służbie wojennej włościan za dawnej Polski“. Przegl. poznański tom III. r. 1846.

Dotkliwiej jeszcze czuć się dawały opolu ciągle podróże księcia po kraju i łowy, w czasie których mieszkańcy okolic przez księcia nawiedzonych utrzymywać musieli liczny orszak książęcy, zgraję sług, koni i psów do polowania potrzebnych. Jeśli monarcha przesiadywał w stolicy, toć pół biedy, ale gdy lubiał jeździć po kraju, polować, prawdziwe klęski spadały na okolice, które swemi odwiedzinami zaszczylił. Gdy do tego niechętnie dawał posłuch skargom na swych urzędników, nadużyciom nie było końca, a rozpanoszeni urzędnicy książęcy i czeladź, szczególnie łowiecka, ustawicznie po kraju się włócząca, strasznie dawali się chłopom we znaki. Z praw książęcych często i gród korzystał, a kasztelanom musiało nieraz opole podobne jak księciu oddawać usługi. Ucisk ludności doszedł swego szczytu za Mieczysława Starego (1173—1177), który dążąc do absolutyzmu, włościan i władyków zarówno uciskał. Zewsząd posypały się skargi i zażalenia, a gdy zamiast sprawiedliwości, nowych krzywd w sądach książęcych doznawali, oburzony naród powołał na stolicę krakowską Kazimierza Sprawiedliwego. Przykład srogiego monarchy naśladował i pierwszy lepszy pan, i w podróży — podobnie jak książę i jego ludzie — po włościach gospodarował. Aby nadużyciom tym położyć tamę uchwalono na zjeździe Łęczyckim r. 1180: „Ktobykolwiek biednym chłopom zboże czy gwałtem czy innym sposobem zabierał, albo zabierać kazał, niech będzie wyklęty. Ktokolwiek do dania podwód na posyłki kogobądź przymusi lub przymusić każe, niech będzie wyklęty, wyjawwszy tylko jeden przypadek, tj. gdy której prowincyi najazd nieprzyjacielski zagraża, nie jest to bowiem niesprawiedliwością, jeżeli jakimkolwiek sposobem stara się kto o ocalenie ojczyzny¹.

Prócz podwód i przewodów miał książę prawo różnych danin, a te były trojakiego rodzaju:

a) Jedne *in natura* na wyżywienie księcia i jego dworu, — nie musiały być znaczne przy skromnych potrzebach pierwotnego książęcego dworu. Składano daninę z wieprzów, a może i owiec; ludność opola dostarczała co roku po jednym wole i po jednej krowie do grodu, i pewną ilość miodu i zboża, sepem zwaną;

¹ St. Smolka. — „Kronika M. Wincentego“ 398—400.

w lubińskim np. opolu przynosił księciu „sep“ 22 korcy zboża co roku¹.

b) Drugą grupę danin stanowiły podatki w braku gotówki także w płodach naturalnych wybierane: „poradlnie“ od roli i „podworowe“ z domu. „Niewielki to jednak musiał być ciężar, skoro w w. XIII płacono w kasztelanii Wojnickiej od chałupy po dwie skórki wiewiórcze co roku“².

c) Trzeciego rodzaju daniny powstały z zamiany pewnych uciążliwości na stałą opłatę. Tu należy danina: „stróża“, o której wyżej, i „stan“ tj. wykup ciężkiego obowiązku utrzymywania księcia w podróży, na co książę rzadko pozwolenie wydawał. Za wszystkie te ciężary i daniny odpowiadała wspólnie wieś a względnie opole, i nie raz bogatszy musiał tu za biedniejszego zapłacić. Bieda więc było wsiom zamożnym w ubogiem opolu położonym, a przeto starano się o przeniesienie z ubogiego opola do bogatszego lub o całkowite wyłączenie z opola. W miejsce więc opolów nastawały w w. XIII powiaty, które, z pod wspólnej odpowiedzialności wyswobodzone, przyznanem rządziły się prawem. Przemiana taka nie od razu się rozpowszechniła; przywileje książęce w XIII w. tylko od czasu do czasu wydawane zwalniały ludność pewnych dóbr i to częściowo z pod wspólnej odpowiedzialności. Już z początkiem wspomnianego wieku uwalniali książęta od ściągania przestępców, dalej od kary pieniężnej za trupa na terytorium pewnego opola znalezionej, aż wreszcie wprowadzenie i rozpowszechnienie osad na prawie niemieckiem, starej organizacji koniec położyło³.

Do skarbu książęcego szły wreszcie opłaty sądowe i handlowe. Kupcy musieli swój towar opłacać pod grodami, przy mostach, na przewozach i targach, przed rozłożeniem kramów; znaczny stąd musiał płynąć dochód, skoro monarcha rzadko tylko wydawał przywilej municypalności jakiego miasta na pobieranie targowego. Tak samo ma się rzecz z młynami, jatkami, szynkami, z prawa księciu przynależnemi.

Wszystkie te dochody tak obficie skarb książęcy napelniały,

¹ St. Smolka.

² Tenże.

³ R. Hube.

że dopóki do jednego należał pana, nawet rozrzutność Bolesława Śmiałego także Szczodrym zwanego, bogactw monarszych nie zdołała wyczerpać.

Z pojęciem władzy książęcej łączyło się najwyższe dowództwo sił zbrojnych. Od jego woli zależał pokój lub wojna, a siła wojenna w jego ręku skupiona, roztropnie przez Bolesławów użyta wyratowała Polskę z germańskiej i pogańskiej powodzi. Chociaż prawie każdą a zawsze większą wyprawą monarcha swoją osobą dowodził, to jednak od najdawniejszych już czasów wybierał sobie najzdolniejszego z pośród rycerzy, który jako „wojewoda“ pierwszym był po królu wodzem, niżej od niego stoją kasztelanowie, prowadzący do boju rycerstwo swego grodu i okręgu.

Sądownictwu książęcemu podlegali wszyscy bez wyjątku poddani; odbywał je na swym dworze i w podróżach po kraju, a wyrokom jego nikt nie mógł, ani śmiać się opierać. Nie wszystkie jednak sprawy mógł sam monarcha rozstrzygać, zachowując sobie wyrok w występkach przeciw swojej osobie zwróconych, w zbrodniach cięższych, zwłaszcza przez osoby stanu wyższego popełnionych, jakoteż w większych sporach granicznych, resztę spraw wojewodzie i kasztelanom oddawał. Powstawały więc z czasem sądy dworskie pod okiem króla, wojewodzińskie i kasztelańskie. Ostatnie, odbywane po grodach, dały początek sądom grodzkim.

W sądownictwie używano u nas, choć z mniejszą niż na Zachodzie surowością, ordaliów czyli sądów Bożych; spełniały się one albo przez rozpalone żelazo, albo przez pojedynek lub wodę. Kary pieniężne, na przestępców z prawa księciu przynależne, bywały rozmaite: Najwyższa 70 grzywien za wykroczenie przeciw rozporządzeniom monarszym, inne spadały stopniowo aż do trzech grzywien i niżej¹.

W obec takiej rozciągłości władzy monarszej, że tak wojewoda, kasztelan jak i inni urzędnicy zależeli zupełnie od woli pańskiej i w każdej chwili, skoro tylko księciu oporem stawali, tracili swoje stanowiska. Monarcha bowiem nie dawał grodu w dziedzictwo. To też, kiedy mu się podobało kraj ucisnąć, obsadzał kasztelanie wiernymi sobie ludźmi, którzy łaską monarszą z chudopacholków

¹ R. Hube.

często wyniesieni i rozpanoszeni, potężnym byli środkiem do przeprowadzenia jego planów.

Wszystkie te prerogatywy stanowiły zakres prawa książęcego (*ius ducale, iura ducalia*). U szczytu monarszej potęgi stali obaj Bolesławowie, którzy potęgę materyalną z umysłową złączywszy, z rozbitych plemion silne na swój czas państwo utworzyli. Minęły lata od śmierci tych wielkich królów, zanim podział Polski, zamieszki wewnętrzne, napady obcych i zbyt mała — ze względu na okoliczności — umysłowa potęga panujących władzę tę do upadku przywieść potrafiły.

Przełam we władzy książęcej zaczyna się od śmierci Krzywoustego, r. 1139. Rozdrobnienie, na zewnątrz osłabiające musiało, jak uważa Szujski, prowadzić książąt do wyteżeń wewnętrznych w celu pomnożenia dochodów, aby się utrzymać i ambicyi dogodzić mogli; a gdy niewola z książęcego prawa wypływająca sprzyjać temu nie mogła, trzeba było pójść drogą uwolnień od tego prawa, czyli przywilejów, które najprzód duchowieństwo sobie wyjednywało.

„Założona metropolia gnieźnieńska wraz z podległemi sufraganiem wymagały uposażenia, równocześnie począł się rozwijać ruch około fundowania klasztorów, w którym zrazu tylko książęta panujący udział biorą, a w ciągu XII i XIII wieku do rycerskich fundacyj hojnie się przyczyniają. Jedyńm źródłem uposażenia tych fundacyj były daniny i prestacyje wieśniaków. Znaczna więc część tej ludności dotąd tylko monarsze podległa, dostaje się z monarszego nadania w posagu kościołom i klasztorom (*adscripti ecclesiae*), i tym sposobem zmienia swoich dotychczasowych panów. Zmiana ta nie pociągnęła za sobą w pierwszej chwili żadnych donioślejszych skutków: ludność wieśniacza nadana kościołom i klasztorom pozostała i nadal pod jurysdykcyą książęcą, wykonywaną przez grody, była i nadal obowiązana do pewnych prestacyj i posług publicznych, jak do służby wojskowej, budowy grodów i t. p., tylko niektóre daniny przeznaczone na dwór monarszy lub do grodów, odtąd nowym swym panom składać miała“¹.

¹ Fr. Piekosiński.

Mimo to los ich znacznie się przez takie przydzielanie polepszał, kościół bowiem upominał się wnet o zupełne uwolnienie przeznaczonych dla siebie na posag wieśniaków, od wszelkich w ogóle danin i służb publicznych, nie wyłączając nawet wypraw wojennych... dowodząc, iż uciskani posługami publicznymi włościanie nie mogą Kościołowi żadnego przynieść pożytku; żądał też uwolnienia ich od jurydykcyi książęcej i grodowej, a całkowitego poddania ich pod jurydykcyę kościołów i klasztorów.

Od drugiej połowy XII wieku do połowy XIII toczą się usiłowania Kościoła w tym kierunku, kończą się zupełnem prawie uwolnieniem włościan kościelnych i klasztornych, tak od danin prestatcyj i posług, jakoteż od jurydykcyi książęcej¹.

Już synod łęczycki w r. 1181 zastrzegł duchownym dobrom wolność od stacyj, tj. od uciążliwego obowiązku utrzymywania księcia i jego urzędników w podróży po kraju, pod klątwą zakazał księciu i wszystkim bez różnicy stanu ludziom grabić mienie zmarłego biskupa, nawet prawo polowania w dobrach Chropy uprasza tylko sobie Kazimierz Sprawiedliwy u kapituły krakowskiej, gdy przed niedawnym czasem miał monarcha prawo we wszystkich lasach polować. W wieku XIII klasztory i biskupi starali się usunąć swoich poddanych z pod jurydykcyi książęcej, a najhojniejszymi w tych ustępstwach byli: Leszek Biały, Konrad Mazowiecki, Władysław Odonicz i Bolesław Wstydlivy. Nie odrazu jednak uzyskał Kościół całkowitą w swych dobrach jurydykcyę i co za tem idzie — pobieranie kar sądowych, przed tem z prawa księciu przypadających; początkowo otrzymywali sądownictwo nad ludnością niewolną, potem i nad wolną, zrazu przypuszczał ich książę do współudziału w pobieraniu kar pieniężnych, potem im całe ustępował. Na razie cięższe występkę sobie książę do rozsądzenia zastrzegł, lecz wkrótce już wszystkie sprawy sądom duchownym oddawał². Taka rozmaitość ma miejsce w przywilejach ówczesnych; skąd wiadać, że książęta, dobrze pojmując ich znaczenie, nie zdołali już wstrzymać biegu wypadków. Wiece kruszwicki z r. 1254 pozwala zapisy czynić Kościołowi, bez względu na krewnych; dołączywszy

¹ Fr. Piekosiński.

² R. Hube.

do tego przywileje na prawo niemieckie (o którym później), wydawane jeśli nie wszystkim, to przynajmniej kilku włościom kapituły czy klasztoru, pojmujemy łatwo, jak hojnie i z jakim uszczerbkiem własnym uposażali książęta duchowieństwo.

W ślad za duchownymi idą przywileje dla możnych i rycerstwa nie mniej liczne i nie mniej obszerne, przyczem jeden ważny wzgląd trzeba mieć na uwadze. Jeśli monarcha hojnie koncesye robił na rzecz duchowieństwa, to robił je przeważnie: aby dostąpić miłosierdzia Bożego po licznych i ciężkich nieraz grzechach, lub w pomoc duszom rodziców, z miłości Boga i świętych, lub z natchnienia Bożego, jak to widać z przywilejów¹; lecz dla świeckich inne względy musiały mieć miejsce. Zasluga osobista również nie mogła tu działać stanowczo, bo zresztą czuli to dobrze panujący, że przywilejami sami sobie grunt z pod nóg usuwają; musiały tu więc odgrywać rolę inne ważniejsze jakieś czynniki, które jednych do żądań prawie bez granic, drugich do ustępstw popychały, a znajdziemy je łatwo, skoro tylko po krótko przebiegniemy wewnętrzne dzieje Polski w wieku XII i XIII.

Wielkie najprzód znaczenie mają tu klątwy kościelne, które wówczas nieobliczone, a dla wielu niepojęte, dzisiaj następstwa za sobą pociągały; kto pod nimi zostawał, wyłączony był ze społeczeństwa chrześcijańskiego i nie prędzej mógł do niego powrócić, dopokąd nie uzyskał absolucyi. Kto zaś przez rok jeden pod ekskomuniką zostawał i nie pogodził się z Kościołem, temu, na wezwanie wyklinającego biskupa, książę cały majątek konfiskował². Jasną jest rzeczą, że Kościół za lada przestępstwo klątwy nie rzucał, a z historyi naszego czy obcego kraju łatwo się przekonać, że to było jedyne lekarstwo przeciw gwałtom i niesłychanym bezprawiom owych czasów.

Smutny ten dla kraju i książąt okres zaczyna się już od Bolesława Śmiałego (1058—1080). Monarcha ten, nieustannie za granicami Polski wojując, nie miał czasu w domu ładu pilnować, wywołał oburzenie w narodzie, które chcąc jednym zamachem, gwałtownymi środkami uśmierzyć, popadł w klątwy biskupie. Morder-

¹ R. Hube.

² Tenze.

stwo św. Stanisława było hasłem do powstania przeciwnego mu stronnictwa, na którego czele nie kto inny stanął zapewne jak Sieciech, a ustąpienie króla oddało, jak powiada Szujski, w ręce możnowładców wszelką władzę, bo dyspozycyę koronną. Jeżeli w przeszłych latach książę jest początkiem i końcem wszystkiego, to już za Władysława Hermana (1080—1102) występują po raz pierwszy osobistości, które wielką władzą znakomity wpływ wywierają na losy kraju. Wprawdzie Bolesław Krzywousty (1102—1139) wtłoczył napowrót bohaterstwem swem i energią burzące się żywioły w karby posłuszeństwa, los Skarbimira rzucił postrach na około, lecz powaga monarsza umysłową potęgą panującego podtrzymywana przy lada już okazyi mogła się zachwiać. Podział Polski i wynikające stąd rozdrobnienie bogactw i dochodów królewskich były wodą na młyn możnowładztwa. Następca Krzywoustego na stolicy krakowskiej, a na mocy testamentu zwierzechny pan dzielnic swych braci, Władysław II (1139—1148), przejęty ojcowskimi planami, usiłował na nowo pod swem berłem Polskę połączyć, w trudniejszych jednak znalazł się warunkach. Uprzykrzyła się możnowładztwu żelazna dłoń Krzywoustego, radzi widzieli nad sobą zamiast jednego potężnego, czterech słabszych panów, którzy znów ze swej strony nie mieli ochoty dzielić swych na korzyść jednego się pozbywać. Gdy nadto Władysław wspomnianemu wyżej Piotrowi Włoszowicowi, o zdradę teraz podejrzanemu, kazał oczy wyłupić, język poderżnąć i z kraju wygnąć, przyszło do otwartego rokoshu, na którego czele stanęli młodszy Władysława bracia: Bolesław i Mieczysław. Wprawdzie przy pomocy Jaćwieży i Prusaków odniósł nad rokoshzanami zwycięstwo, lecz za użycie pogan przeciw chrześcijanom obłożony klątwą, a następnie na głowę pobity, przypłacił swe zamysły wygnaniem.

Jego następcą, Bolesław IV. Kędzierzawy (1148—1173), nie miał nawet odwagi wstąpić w ślady swojego brata. Wskutek holdu, jaki musiał złożyć Fryderykowi Barbarossie, idea narodowa wielce ucierpiała; ustąpienie Szląska potomkom wygnanego Władysława, którzy pod wpływem Niemiec wielkie później na Polskę zawichrzenia sprowadzili, niepomyślne z Prusakami utarczki, pobicie Lutyków i Obotrytów przez Albrechta Niedźwiedzia powagę księcia znacznie nadwężyły. Jeszcze jednak i teraz nie wywalczyli sobie

magnaci żadnego przywileju, któryby władzę książęcą uszczuplał, obowiązki pozostały wprawdzie te same, lecz cały gmach budowy państwa i społeczeństwa już się był zachwiał w posadach. Pojmował to dobrze trzeci z kolei syn Krzywoustego i następca Bolesława na stolicy krakowskiej, Mieczysław Stary (1173—1177), i dlatego wstąpiwszy na tron, postawił sobie za zadanie władzę monarszą do dawnej świetności przywrócić. Należało najpierw pusty skarb nappełnić, ówczesnym więc zwyczajem ściągał z kraju starą lepszą monetę, przeważnie zapomocą kar sądowych, przebił ją na nową coraz podlejszą i z tą samą nominalną wartością puszczał w obieg; środek ten nie tylko skarb zappełnił, ale równocześnie przygotowywał ruinę majątkową możnowładztwa. Za te i inne nadużycia został z Krakowa wygnany, a na jego miejsce powołali panowie Kazimierz Sprawiedliwy z Sandomierza.

Monarcha ten (1177—1194) roztropnemi i sprawiedliwemi rządami mógł być władzę książęcą jeśli nie do tradycyj Bolesławowskich przywrócić, to przynajmniej ratować z niej to, co się jeszcze uratować dało. Tem lepszą miał ku temu sposobność, że pokonał rokoszan, wspierających wygnanego Mieszka, lecz śmierć zaskoczyła go w chwili do działania najodpowiedniejszej¹. Odtąd coraz słabsi książęta zasiadają na stolicy krakowskiej, możnowładcy to powołują, to zrzucają panujących, a kłątwy kościelne coraz częściej się powtarzają. Jakby na domiar złego nadechodzą straszne napady Tatarów i innych nieprzyjaznych sąsiadów, a wszystko to taki zamęt w rozbitą Polskę wprowadziło, że o ratunku władzy książęcej już i mowy być nie mogło. Kreślić obraz zamieszek i rozstroju w XIII wieku przechodzi zakres niniejszej pracy, dla duchowieństwa, szlachty i rycerstwa jest on wiekiem przywilejów.

O duchowieństwie mówiliśmy wyżej, szlachta wyrabiała sobie za jego przykładem podobne przywileje, już to zasługami w obec książąt, już też książęta sami je nadawali, aby mieć silne stronnictwa w kraju. Polegały zaś te przywileje na częściowem lub całkowitem uwolnieniu od ciężarów, prawa książęcego. Przywilej Bolesława Wstydlwego dla Klemensa z Ruszny (1252) idzie nawet tak

¹ St. Smolka. „Mieszko Stary“.

daleko, że dozwala mu zaciągać się w służbę obcym panującym, nadaje mu prawo sądzenia wszystkich spraw karnych, z używaniem ordaliów: wody, pojedynku i żelaza, oraz skazywania ludzi swoich na powieszenie i mutylację członków¹.

W przywilejach tych podobnie jak i w duchownych jest pewne stopniowanie; jedne ustępstwa otrzymywali magnaci już na mocy zwyczaju jak: pewne sądownictwo nad poddanymi, niewolnikami, piastowanie wyższych urzędów, zwolnienie częściowe od danin i posług; inne były czystymi przywilejami jak: jurysdykcya nad ludźmi swobodnymi i w sprawach kryminalnych, pobieranie opłat sądowych i t. p.

Wszystkie te ustępstwa nabierają w XIII w. pewnej stałości i, tak jak je w XIV spotykamy, stanowią już zakres prawa szlacheckiego. Otóż rycerstwu znakowemu czyli późniejszej szlachcie herbowej służyły następujące prawa:

1) prawo dowództwa nad rycerstwem szeregowem podczas wojny, czyli prawo prowadzenia własnej chorągwi z własnem godłem czyli herbem i zawołaniem;

2) prawo piastowania wszelkich urzędów i dostojęństw, duchownych i świeckich, nadwornych, ziemskich i grodzkich;

3) prawo nieograniczonej wolności osobistej;

4) prawo nabywania własności, a zwłaszcza posiadłości ziemskich i rozporządzania niemi dowolnie, z jedynem ograniczeniem co do dóbr patrymonialnych na rzecz rodu.

5) wolność od wszelkich danin, prestacyj i posług książęcych, z wyjątkiem służby wojskowej, przewodu wojskowego (*conductus militaris*) tudzież posyłek z listem lub pierścieniem monarszym;

6) prawo uiszczania dziesięciny zwyczajem rycerskim, (*more militari*) tj. mógł w razie zwłoki uprawnionego do poboru dziesięcinnika sam wytknąć dziesięcinę, nie był obowiązany sam jej odwozić i mógł ją dowolnie wybranemu kościołowi przeznaczyć; słowem prawo dziesięciny swobodnej (*decima libera*);

7) prawo oddawania ważnego świadectwa w sporze przeciw równemu sobie rycerzowi znakowemu czyli szlachcicowi, tudzież przeciw osobom należącym do niższych warstw społecznych;

¹ R. Hube

8) prawo żądania pokory za zabójstwo od szlachcica lub włoŧyki;

9) prawo poboru najwyŧszej kary za głowę i ranę oraz poboru wszelkich kar sądowych w pełnej ich wysokości;

10) prawo najwyŧszego sądownictwa nad własnymi włościanami, tudzież poboru główszczyzny od nich;

11) prawo odpowiadania na pozwy i ŧałoby tylko przed księdzem lub jego palatynem¹.

Wyszczegółnione tu prawa nie słuŧyły jednak rycerstwu szeregowemu czyli włoŧyczemu ani wszystkie, ani w tej rozciągłości i pełni, jak słuŧyły rycerstwu znakowemu czyli szlachcie.

Włoŧyka nie posiadał ani herbu ani zawołania własnego, (*ca-rent clenodio et proclamatione* — wyrażają się o nich zapiski sądowe), ograniczony na kawalku ziemi a rzadko włość całą posiadający, w trudniejszych był niż szlachta warunkach. Słuŧył po rycersku w chorągwiach królewskich i ziemskich, mógł tylko niŧsze urzędy piastować, do wyŧszych był mu wstęp utrudniony, nie miał prawa wolnej dziesięciny, prawo składania świadectwa przed sądem z mocą dowodową słuŧyło mu tylko w sporze przeciw równym sobie i niŧszym, poddany był jurysdykcyi grodu, i jeśli miał na czem chłopów osadzać, nie pozwoloną mu była prawdopodobnie nad nimi, przynajmniej w wieku XIII, ŧadna jurysdykcyja. Natomiast słuŧyło mu prawo osobistej wolności, prawo nabywania własności ziemskiej i również dowolnego nią rozporządzania, wolność od danin i pre-stacyj książęcych z wyjątkiem słuŧby wojskowej; za głowę lub ranę wyznaczona była połowa tej kary, jak za głowę lub ranę szlachcica².

Takie zmiany dokonały się w społeczeństwie naszym na tle wieku XIII; charakter ogólny tych przekształceń jest jeden i ten sam. Wszystkie one wypadają na korzyść klasy ludzi uprzywilejowanych, są ustępstwami z prawa i władzy książęcej, z której już nie wiele pozostało. Skutkiem tego klasa uprzywilejowana zyskuje coraz większą władzę nad ludnością w jej majątkach osiadłą i zmierzającą krokiem do owdładnięcia stanowiska pana względem swych poddanych. Ludność wieśniacza uwolniona od obowiązków względem

¹ Fr. Piekosiński.

² Tenże.

księcia żadnej zmiany na lepsze nie czuje, musi ona teraz też same daniny i posługi świadczyć prywatnemu właścicielowi; owszem, pogorszył się ich los, skoro, tracąc opiekuna w księciu, zależną od woli panów się stawała.

Człowiek rycerski staje się coraz więcej wszechwładnym w domu swoim i majątku, stanowisko swoje coraz bardziej określa z uszczerbkiem dawnego, silnego porządku, który się rozprzega i słabiej, pojęcia: *nobiles* i *ignobiles* nieznane dawniej zaczynają się wyrabiać. Jest to pierwsze stadyum w dążeniach szlachty do uzurpowania sobie wszystkich praw, do panowania nad resztą ludności nierycerskiej, i użytkowania wszystkich jej sił na swoją wyłączną korzyść. W drodze tej została wstrzymana na chwilę wprowadzeniem prawa niemieckiego w stosunki włościańskie, które, jak później zobaczymy, dokonało zupełnego usunięcia włościan z pod władzy książęcej. Nadto, zaprowadzając gminy wolne z miejscowym samorządem, prawo to wyratowało na chwilę włościan z ciężkiego położenia.

Wiek XIII. jest punktem kulminacyjnym dla możnowładztwa, lecz zarazem i okresem jego przekwitu. Okrojona władza i potęga materyalna książąt nie miała już czem pomnażać fortun możnowładczych w danym rozmiarze, wyczerpały się lub przynajmniej przestały tak obficie tryskać źródła, którym dotąd możnowładztwo swój wzrost i byt zawdzięczało, a rozrastanie się rodów magnackich pociągało za sobą coraz to nowe działy i coraz większe rozbiecie dawnej potęgi, która dopiero w ziemiach ruskich miała zajaśnić na nowo.

Nim dalej pójdziemy warto zastanowić się na chwilę i zebrać główne zarysy społeczeństwa polskiego w wieku XIII.

1) Obok monarchy stoi nielicznie wprawdzie lecz coraz powiększająca się klasa możnowładców, dominująca posiadłościami i łaską panującego ponad innemi stanami. Jest to zawiazek przyszłej licznej szlachty, są to rodziny herbowe. Ich dążeniem jest jak największą korzyść wyciągnąć z krytycznego położenia, w jakim się Piastowie od śmierci Krzywoustego znaleźli; zajmuje też ta klasa przy pomocy przywilejów wybitne stanowisko, coraz więcej czyni zależnymi od siebie rolników nawet wolnych i, jeżeli nie napotka na drodze jakiej przeszkody, zepchnie kmieci wolnych, księciu tylko podległych na stanowisko niewolników.

2) Niżej nieco stoi drobne rycerstwo, zawiązek przyszłej szlachty chodackowej; pełni ono służbę rycerską w chorągwiach królewskich lub na dworach możnych panów; w swym posiadaniu ma małe kawalki gruntu, rzadko całą wieś, i przywileje jego — tak zwane prawo rycerskie — mniejszej są już doniosłości niż prawo szlacheckie.

3) Niżej jeszcze stoją rolnicy rycerskiemu stanowi z zawodu się nie oddający. Ci mają albo dziedziczne kawalki gruntu lub siedzą na czynszu; widzimy ich w wolności, jaką posiadali, coraz bardziej przez szlachtę ograniczanych, opieka księcia i zależność od niego coraz więcej jest na ich niekorzyść rozrywana, i — jak już powiedziałem — niedaleka przyszłość okaże, czy utrzymają się przy wolności, czy zejdą do stanu niewolników. Jestto pierwsza faza w dążnościach szlachty do zagarnięcia ich pod swoją władzę. Tu także należą wolni osobiście zarobnicy, rataje, w tym samym niebezpieczeństwie co i kmiecie się znajdujący.

4) Niewolnicy, zupełnie panu swemu oddani są po prostu biernem narzędziem nieledwie bydłem roboczem w ręku właścicieli.

5) Ponad tymi stanami góruje władza książęca, obecnie coraz więcej do upadku się chyląca. Książę był uważany za pana całej ziemi (*dominus terrae*) i na mocy władztwa nad ziemią mógł nią swobodnie rozporządzać. Początkowo pan samowolny, najwyższy władca kraju, nieczyją wolą nie krępowany, rządzi krajem przez swych urzędników, ma prawo do pobierania danin i różnych opłat, z czasem jednak zakres jego władzy coraz się ogranicza i wnet może całkiem upaść.

Taka jest Polska w wieku XIII; zmiany, jakie spotykamy, wywołane są podziałem Polski, napadami wrogich sąsiadów, zaburzeniami wewnętrznymi i poniekąd już wpływem Zachodu. Z końcem tego okresu zostawiamy włościan w położeniu niebezpiecznem, z którego ich niebawem lokacye na prawie niemieckim wybawią. Jest to pierwszy okres w historyi pańszczyzny, w którym rolnik wolny nieznacznie swą niepodległość na korzyść szlachty utracą.

(C. d. n.)

Ks. Józef Waligóra.



OBROŃCA JEZYKA I NARODOWOŚCI ŁUŻYCZAN.

Podróżujący za czasów Karola W. z Krakowa lub Poznania na Zachód, nieznając innego języka prócz polskiego, mógł swobodnie przez Śląsk i Łużyce dostać się aż do Lipska, a przez Szczecin i Wielgród (Meklenburg) do Kamienia (Hamburg) i dalej ku Wezerze aż do Bremy. Taka podróż tylko z polską mową możliwa była jeszcze w XII. i XIII. wieku, ale w XIV. i XV. o wiele trudniejszym a może i niepodobnym byłby taki wояaż zwłaszcza w stronach północnych, ponad morzem Bałtyckiem.

Piękne nam Bóg nazначył dziediny i pięknie pozwolił się rozrósć! Już gdzieś w bardzo odległych czasach, bo historya nawet nie umie powiedzieć kiedy, stała się ziemia między Wezerą a Bugiem ojczyzną naszą. Dwa morza, Bałtyckie i Północne (Nordsee), wzywały do szerokich z całym światem stosunków i obiecywały bogactwo, rozległą ziemia — wyżywienie i potęgę. Rzeka Odra przedzieliła tę ojczyznę na dwie połowy, i z jednego niegdyś języka powstały dwa narzecza, mało różniące się między sobą: polskie i połabskie; pierwsze rozbrzmiewało między Bugiem i Odrą, drugie od Odry do Wezery. Za Odrą mieszkał wszakże nie tylko nasz naród. Na południe od Połabian, a na północ od Czech, między Śląskiem (pruskim) a Łabą usiedli przed wiekami Łużyczanie, rodzeni bracia nasi, rodzeni, bo nie ma drugiego języka słowiańskiego, któryby tak rdzennie, tak na wskrós krewnił się z językiem naszym, jak łużycki. Odcięci od Czech górami, otoczeni z trzech stron naszym narodem (od zachodu, północy i wschodu), a do tego językiem pokrewni powinni byli Łużyczanie utworzyć z nami jednę

polityczną całość. Tak się to wszystko układało przed wiekami, ale nadeszły czasy, które wszystko miały zmienić i zniweczyć.

Dopóki za Łabą był poganizm, Słowiańska organizacya nie tylko wyrównywała niemieckiej, ale ją nawet przewyższała, lecz z przyjęciem chrześcijaństwa przez Niemców a z niem i organizacyi doskonalszej, wkrótce wszystko zmienić się musiało. Oręż niemiecki nie tylko wnet przekroczył Łabę, ale dotarł aż do Odry i byłby niewątpliwie posunął się jeszcze dalej ku wschodowi, gdyby chrzest Mieczysława nie zagroził mu drogi. Połabszczyzna i Łużyce stały się tymczasem pastwą najezdników. To zbliżenie się Niemców do samych wrót Polski, szukających, podług ich własnych kronikarzy, nie tyle chwały Bożej, ile zaboru, groziło Polsce pomimo przyjęcia nauki Chrystusa wielkiem niebezpieczeństwem, i musiało napępiać trwogą Mieczysława, a potem syna jego i następcę. Połabszczyzna stała wtedy, mimo pozornej zależności od Niemców, jeszcze dość silnie na własnych nogach, ale Łużyce trzymali Niemcy już w swych rękach. Wydrzeć im ten kraj znaczyło wyrzucić ich znowu za Łabę, wzmocnić nie tylko Polskę, ale i Połabszczyznę. Tego dzieła dokonał Bolesław Chrobry. Jeszcze dwu po nim takich królów, a można było w Łużycach usadowić się raz na zawsze, Połabszczyznę podbić i ochrzcić, władać już w XII. wieku od Kijowa do Hamburga. Na nieszczęście nie doczekała się już Polska drugiego takiego Bolesława. Był jeszcze Bolesław Krzywousty, ten mógł jeszcze ocalić Połabszczyznę, zajął ją też aż gdzieś do Meklenburga i ochrzcił, ale przez nieszczęsny podział ojczystych włości między swych synów, pchnął Polskę w morze nieszczęść i zniszczył owoce całej swej i swych przodków mozolnej pracy. Z Bolesławem Krzywoustym poszła do grobu myśl o krajach zaodrzańskich, połowę swej ziemi i połowę swego narodu oddaliśmy na łup odwiecznych wrogów: w r. 1168 zajęli Niemcy ostatnią warownię Połabską, wyspę Rugię, i rozpoczęła się teraz germanizacya już bez wszelkiej skądkolwiek przeszkody. Czem rak w ciele ludzkim, tem była Marchia brandenburska dla naszych braci zaodrzańskich, a podobno i dla nas samych. Marchia usadowiwszy się ponad Hawelą, w samym sercu krajów zaodrzańskich, rozerwała je na dwie połowy, a potem zbliżywszy się do Odry odcięła żelaznym łańcuchem kolonij północną część zaodrzańskich ziem od Polski

i od Łużyc. Reformacya zastała już Polabszczyznę w grobie. Ojczysty język jeszcze żył w najniższych warstwach, ale niemiecki był już tak znany, że reformatorowie nie potrzebowali uciekać się do krajowego. Szczęśliwiej cokolwiek złożyły się okoliczności dla Łużyczan. Stykając się z jednej strony ze Szląskiem, który nie odrazu zniemczał, a z drugiej z Czechami, mogli Łużyczanie dłużej zachować u siebie tak język jak i ducha narodowego. Reformacya zastała już zaledwie trzecią część przy życiu, ale ta żyła jeszcze tak mocno, że musiała się tu obudzić walka religijna w narodowym języku, walka, która z jednej strony miała Łużyczanom przynieść znaczne korzyści, z drugiej stać się powodem strat nader dotkliwych.

Naród łużycki a potem język, już sama natura rozerwała na dwie części. Ów podział na Łużyce górne i dolne jest nie tylko politycznej natury, ale i językowej, Łużyczanie bowiem mówią dwoma narzeczeniami, między którymi zachodzą w niektórych względach dość znaczne różnice. Dla narodu liczącego dziś zaledwo 300 tysięcy, otoczonego zewsząd obcym żywiołem już to samo można poczytać za nieszczęście, a tu nagle Reformacya wprowadza nowy rozkład na dwa wyznania i, co nie mniejszem było nieszczęściem, powołuje obydwie narzecza do godności języka piśmiennego. W dalszym ciągu wprowadza luteranizm szybką germanizacyę swych wyznawców, a temu, co ocalało, utrudnia drogę duchowej łączności z braćmi katolikami nawet w tak drobnej rzeczy, jak pismo. Jak dla tak rozerwanego narodu pracować, jak go spoić i złączyć, jak bronić od zagłady wśród najtrudniejszych okoliczności i to tam, gdzie rząd i szkoła wszelkich dokładają starań, żeby temu narodowi ostatni wydrzeć skarb po przodkach odziedziczony — język! A przecież naród łużycki żyje życiem coraz pełniejszym i coraz bardziej świadomem siebie: żyje poświęceniem i usilną pracą takich ludzi, jak ks. *Michał Hórnik*, do którego w zupełności stósują się słowa naszego poety:

On się palił wciąż ofiarą
Na ołtarzu swej ojczyzny.

Z życiem ks. Hórnika wiąże się historia odrodzenia Łużyc w ostatnich kilkudziesięciu latach, i musielibyśmy spory tom napisać, gdybyśmy wszystko wyczerpnąć chcieli. Ograniczymy się więc

tylko do kilku szczegółów z życia i pracy tego przodownika Łużyczan, które czerpiemy z pięknej pracy A. Czerneho¹.

Budziszyn, gdzie niegdyś Bolesław Chrobry tak zaszczytny dla Polski podyktował pokój cesarzowi Henrykowi II, jest dziś ogniskiem życia Łużyczan katolickich, i w okolicy tego to miasta leży wieś Workleca (Räkelwitz), gdzie urodził się Michał Hórnik z łużyckich rodziców 1833 r. Właśnie pięć lat dobiegało chłopięciu, kiedy w rodzinnej jego wiosce założono szkółkę, w której on później pobierał początkowe nauki. Szkoła w Łużycach jest tem już od dawna, czem u nas w Wielkopolsce, i dawno by język łużycki należał do historii, gdyby nie dbałość rodzicielska, która zle w zarodku samem niweczy.

W trzynastym roku życia widzimy młodego Hórnika w gimnazjum Budziszyskim. Tam wtedy istniało towarzystwo studenckie *Societas slavica Budissina*, założone r. 1839 dla ćwiczenia się w ojczystej mowie i pielęgnowania ducha narodowego. Małoletni Hórnik nie należał do tego Towarzystwa, bo zaledwo rok jeden przepędził w Budziszynie. Opatrzność chciała, żeby gdzieindziej wyrósł na dobroczyńcę i obrońcę swego narodu. Przez dziwny zbieg okoliczności dostaje się on do gimnazjum w Pradze. Trzeba sobie uprzytomnić ową chwilę z dziejów czeskich, żeby zrozumieć, jak zbawienny wpływ mogła podówczas wywrzeć na młodego Hórnika.

W tym to czasie właśnie budziły się Czechy do życia narodowego po długim, bardzo długim letargu, a przodowali im mężowie, których nie tylko Słowiańszczyzna cała, ale i nauka nigdy nie zapomni. W tym samym roku (1847), kiedy Hórnik przybył do Pragi, poszedł do grobu wielki patryarcha nowszej literatury czeskiej, Józef Jungmann, ale żyli jeszcze i działali: Szafarzyk, nieśmiertelny badacz starożytności słowiańskich, Palacki autor pomnikowego dzieła: „Dějiny národu českého“, Hanka, człowiek nie bez zarzutu, ale około literatury czeskiej niezmiernie zasłużony, poeta Kollar, Czelakowski i inni. To mogło młodego studenta pobudzić do pracy, mogło mu przypomnieć miłą ojczyznę, którą również potrzebaby przywołać do życia, ale pobudki te możeby nie wpłynęły

¹ Slovanský Sborník, rocznik VI.

tak stanowczo na dalszy żywot Hórnik, gdyby mu brakło zupełnie podniety od współbraci-rodaków.

Katolicycy Serbowie z dawien dawna jeździli do Pragi na studia teologiczne, nie było tu jednak przez długie czasy ani żadnego Towarzystwa łużyckiego, ani przytułku, gdzieby duch narodowy się krzepił, a młode dusze obznajmiały się z obowiązkami, jakie ich czekają w ojczyźnie. Dopiero na początku przeszłego wieku stało się zadość tej potrzebie. Oto dwaj duchowni łużyccy, Marcin Szymon i brat jego Jerzy, postanowili założyć w Pradze rodzaj konwiktu dla uczącej się młodzieży łużyckiej katolickiego wyznania. Myśl ta spotkała się z życzeniem wielu innych Łużyczan i znalazła tak skuteczne poparcie, że ks. Jerzy, który był kapłanem Karmelitanek w Pradze, kupił r. 1704 spory kawał gruntu i wystawił na nim „Seminarium łużyckie“. Seminarium to od początku zwracało baczną uwagę na to, żeby alumni jego zaznajamiali się z ojczystym językiem, o który szkoła nie tylko się nie troszczyła, ale owszem zrażała do jego zagłady. Ćwiczenia te w ojczystym języku nabrały znaczenia zwłaszcza pod bezpośrednim wpływem znakomitych Czechów, Dobrowskiego i Hanki. Tym sposobem stało się seminarium łużyckie nie tylko siewcą słowa Bożego, ale i ducha narodowego. Zbawienny wpływ jego dla narodu jeszcze się zwiększył, kiedy w r. 1846 powstało w tem seminarium towarzystwo wszystkiej młodzieży łużyckiej, uczącej się w Pradze. Celem towarzystwa było gromadzić się co tydzień, ćwiczyć się w języku ojczystym i obudzać w sobie ducha narodowego. Na czele towarzystwa był „starszy“, wybierany z pomiędzy studentów seminarium, a protektorem ktoś ze znakomitych Czechów. W „dzienniku“ zapisywały się czynności Towarzystwa, w „Kwiatkach“ znakomitsze prace studenckie. Na końcu roku oprawiało się obiedwie księgi w jedną, zwaną „Serbówka“, skąd poszła i nazwa Towarzystwa.

Zastał więc Hórnik w Pradze nietylko pobratymczy naród, budzący się całą siłą do życia, ale i swych własnych braci, skupionych do wspólnej pracy we własnym domu. Jak w tym domu usilnie pracowano, można na dowód przytoczyć to, że młody Hórnik, już od czwartej klasy począwszy, zaczął do „Kwiatek“ wpisywać swe pieśni liryczne, niektóre wysokiej wartości, a jako uczeń siódmej klasy zna już wszystkie języki słowiańskie i wpisuje do

„Kwiatków“ tłómaczenia rozmaitych utworów poetyckich z języka czeskiego, polskiego, ruskiego, i z narzeczy południowo-słowiańskich. Od tego czasu aż do 1864, kiedy trzeba było jać się prac żywotniejszych, Hórnik często wracał do poezyi, z czego uzbierała się dość spora wiązanka poetycznych jego natchnień. Są to rzeczy rozmaitej wartości, ale niektóre zwłaszcza naśladowania pieśni ludowych można policzyć do pereł poezyi. Pozwolimy tu sobie przywieść w tłómaczeniu jedną tylko piosnkę Hórnika, żeby czytelnik mógł osądzić talent jego poetycki.

Kukuleczka.

Przyleciała kukuleczka
I lata po lesie,
Zakukała smutnym głosem,
Smutną powieść niesie.

Niedaleko pilne dziewczę
Ścina bujne trawy,
O swym lubym śpiewa sobie,
Czemuż jej śpiew łzawy?

Kukuleczka smutnie kuka,
Dziwne czucie budzi;
Z rąk dziewczęciu sierp wypada,
Cóż jej serce trudzi...

„Przyleciałaś — pyta — zdala,
Gdzie niedojrza oczy,
Gdzie mój luby krwawe boje
Za swobodę toczy?

Czy już wojna ukończona
I złożone bronie,
A czy zdobi wieniec sławy
Miluchnego skronie?“

W odpowiedzi ptasze kuka
I smutną pieśń szerzy,
Ponad lasy ptasze leci,
W stronę boju mierzy...

Dziewczę spieszy do macierzy
I rzewne łzy roni,
A stroskana matuleńka,
Tak przemówi do niej:

„Nie smuć się mi, dziecię moje,
I nie płacz lubego,
Wierny będzie, znów go ujrzysz
Bojem wslawionego“.

„Twa pociecha, droga matko,
Łez mych nie powstrzyma,
Już mój luby nie przyjedzie,
Kiej go dotąd nie ma“.

Na koniku białym jedzie
Rycerz od zachodu,
Smutną powieść dziewczę niesie
I dla swego rodu.

„Radosława brata zrazil
Krwawy miecz z rąk wroga,
Umierając, nie zapomniał,
Jak mu byłaś droga“.

Cieszy matka, cieszy rycerz
Dziewczę nieszczęśliwe,
Już jej życia nie przywróca
Słowa litościwe.

A gdy modre oczka gasną,
Kukuleczka kuka,
W niskim grobie ją chowają,
Kukuleczka kuka.

Nie można lepiej uchwycić tonu pieśni ludowej — i formie trudno co zarzucić, oczywiście nie w tem tłómaczeniu. Muza Hórnikowa jest przeważnie liryczną, a czy wypowiada bole serca na widok skołatanej ojczyzny, czy pobudza do czynu podniosłem słowem, czy wypowiada gorzką prawdę, technie zawsze szlachetnością, gorącą miłością ojczyzny i pragnieniem jej szczęścia. Przez tłómaczenia z różnych języków słowiańskich chciał Hórnik nie tylko wzbogacić swą literaturę drobną, ale także podnieść na duchu zdeptytany przez obcych naród łużycki. Mówią wam, żeście powinni wyrzec się swego języka, swej wiary, boście małutkim, bezsilnym narodem. Otóż okłamują was wrogowie, bo macie braci, którzy liczbą i cywilizacją dorównują nieprzyjaciółom. Myśl ta wyraźnie przebiega choćby z następującego epigramu:

„K' Serbam służeć njecheeś, dokelż mały su narod?
Dżeł su Słowjanstwa, naroda milionow“.

Jak poetycką działalność rozpoczął Hórnik już za lat studenckich, tak i pracę mozolną nad ustaleniem pisowni dla swego języka, a praca ta miała mu towarzyszyć przez kilka dziesiątek lat życia. Kwestya pisowni u nas, to po większej części pytania, czy pisać *Marya*, czy *Maryja*, czy *Marja*, czy pisać *módz*, czy *móc*, czy pisać *dobrym* dzieckiem, czy *dobrem* dzieckiem i t. d. Są to rzeczy, które dobrzeby było raz już ustalić, bo przez to zyskałoby się jednolitość w pisowni, ale są to zawsze jeszcze drobnostki. W Łużyczach pod Hórnikiem było inaczej; tu każdy pisał jak umiał, prawie tak, jak u nas w XV. w., albo z początkiem XVI., a nawet jeszcze gorzej, bo weszły w używanie dwa alfabety: łaciński i niemiecki. Otóż kwestya ortografii dla Łużyc była rzeczą pierwszorzędną wagi, jeżeli w ogóle miało się tu rozwinąć jakiegokolwiek piśmiennictwo. Nad ustaleniem pisowni łużyckiej pracował nie sam ks. Hórnik, ale tego nikt nie zaprzeczy, że i on w znacznej mierze przyczynił się do jej udoskonalenia. Mówię o udoskonaleniu, bo dziś ortografia łużycka doskonalszą jest aniżeli niemiecka lub polska. Nie udało się jeszcze usunąć całkowicie alfabetu niemieckiego, który z natury rzeczy nie może odpowiadać dźwiękom słowiańskiej mowy, i nie małą stanowi zaporę do duchowego zjednoczenia Łużyc, ale spodziewać się należy, że naród zrozumie wreszcie tę niedorzeczność używania dwóch alfabetów i przyjmie jeden, łaciński, już udoskonalony i używany przez wszystkich ukształconych Łużyczan i wszystkie poważne pisma.

W klasie ósmej wybrano już Hórnika „starszym“ „Serbówki“ który też z całym zapalem zajął się jej kierownictwem. Nigdy może Towarzystwo to nie było czynniejsze, nigdy bardziej zaprężnięte do pracy. Z *Tygodniowych Nowin*, wydawanych podówczas przez Smolera, zasłużonego wielce męża około narodowości łużyckiej, taką czerpiemy wiadomość o czynnościach „Serbówki“ z chwili, kiedy Hórnik stanął na jej czele: *Kwiatki* wraz z *Dziennikiem* obejmują już teraz siedm tomów, a zawierają wiele samodzielnych utworów poetyckich i nie mało przekładów ze wszystkich języków słowiańskich, baśnie i powieści ludowe, rozprawy i t. d. Na tygodniowych zgromadzeniach, trwających półtorej godziny, wykłada się gramatykę i ortografię z uwzględnieniem innych języków słowiańskich, odczytuje się przygotowane artykuły i ocenia, przyczem zwraca się

uwagę na poprawność i czystość języka; tłumaczy się dalej na zgromadzeniach z języka czeskiego i polskiego, a ile możliwości, wyklada się także historję i literaturę ludów słowiańskich“. Ukończywszy świetnie gimnazjum, zapisał się Hórnik w uniwersytecie praskim na wydział teologiczny. Do stanu duchownego czuł on w sobie powołanie od lat najmłodszych, gorący duch katolicki, jakim się odznaczała „Serbówka“, mógł młodzieńca wielkiego serca i umysłu w tym zamiarze tylko ugruntować. Stało się to zresztą już tradycją u Łużyczan, że kto całem sercem umiłował Kościół katolicki i gotów był za swój naród położyć głowę, ten szedł na księdza. Ksiądz i obrońca uciśnionego narodu — to synonimy w tym kraju. Oddając się z zapalem naukom teologicznym, nie przestawał młody kleryk przewodniczyć „Serbówce“ aż do roku 1856, w którym miał otrzymać święcenia i opuścić Pragę, żeby rozpocząć nowy żywot pełen zasług około winnicy Pańskiej i swej ukochanej ojczyzny. Rzewna to była chwila, kiedy członkowie „Serbówki“ żegnali swego ulubionego przewodnika — żegnali go tak jak nikogo przed tem, a z wdzięcznością i czią wspominali potem. Oto co między innemi napisał nowowybrany „starszy“ w „Dzienniku“ po odejściu Hórnika: „Znowu utraciło towarzystwo nasze jednego z najgodniejszych swych członków... Wpajał w nas znajomość i miłość języka ojczystego, uczył nas, jak dbać i starać się o jego rozwój, a pobudzał nas do tego słowem i przykładem. Każdy z nas świeżo ma w pamięci, jak wielkie zasługi położył Hórnik około naszego Towarzystwa, jako jego członek i „starszy“. Każdy rocznik „Serbówki“ świadczy o tem. Jego prace są ozdobą naszych „Kwiatków“: tu znajdziesz jego poezye, pełne narodowego ducha, piękne przykłady... naukowe rozprawy, które nie mało przyczyniły się do ustalenia i udoskonalenia naszej pisowni... Hórnik był nam miłym przyjacielem, znakomitym członkiem naszego Towarzystwa. Przez swą gorliwość i pracę zasłużył sobie na wszelką cześć, chwałę i wdzięczność towarzyszy, a w „Serbówce“ wystawił sobie trwały pomnik, który i w późniejszych czasach przed każdym prawdziwym Serbem będzie świadczył o jego zasługach. Czemuż ten drogi przyjaciel nie mógł dłużej między nami zostać! Jakżebyśmy się pod jego przewodnictwem doskonalili!“... Słowem „Bożemje“ (z Bogiem) pożegnał Hórnik „Serbówkę“ i udał się do Budziszyna, gdzie

we wrześniu tegoż roku otrzymał święcenia kapłańskie, a w krótko potem miejsce katechety i kapelana przy tamtejszym niemieckim kościele św. Piotra. Posadę tę zajmował Hórnik aż do r. 1861. W tym roku został kapelanem przy kościele serbskim P. Maryi, a dziesięć lat później proboszczem i stanowisko to do dziś dnia zajmuje.

Można to nazwać szczęściem, że ten, który pragnął całym sercem służyć swemu narodowi, otrzymał posadę właśnie w samym jądrze narodowego życia łużyckiego, w Budziszynie. Takim szczęściem nie każdy patriota łużycki może się poszczycić, zwłaszcza ten, kto po wojnie francuskiej potrzebował ustalenia. W Budziszynie już w chwili, kiedy Hórnik jako uczeń wybierał się do Pragi, życie narodowe zaczęło bić przyspieszonym tętnem. Właśnie w tym czasie (1847 r.) założono tu „Macierz serbską“, rodzaj akademii umiejętności dla ziemi łużyckiej. Powstała ona oczywiście nie kosztem rządu, ale ofiarnością obywatelską i zapobiegliwością kilku ludzi. Członkiem „Macierzy“ został Hórnik już w Pradze (1848 r.), ale teraz dopiero mógł oddać się na jej usługi. I oddał się jej z całym zapalem, całą duszą i sercem. Nie podobna nam tu wyliczać artykułów i poważniejszych prac ks. Hórnika, bo liczą się one na setki. Tam, gdzie pracowników mało, jeden musi pracować za wielu i rozwijać działalność w najrozmaitszych kierunkach. Od poezji przechodzi ks. Hórnik do prac gramatycznych i uczy swych ziomków ortografii, dopełnia zbiory pieśni ludowych i pracuje nad słownikiem, redaguje „Czasopis“ Macierzy serbskiej, pisze nieskończoną ilość artykułów najrozmaitszej treści, a obok tego bada dzieje ojczyste, wyęteża wszystkie siły, żeby rozerwany swój naród skupić i do wspólnej pracy pobudzić. Chodziło tu głównie o zbliżenie się Łużyczan dolnych do górnych. Niektórzy sądzili, że Łużyczanie dolni mniej liczni powinni zrzec się swego języka i pisać po górnołużycku, zwłaszcza, że obydwie narzecza tak mało różnią się między sobą. Dla polityków przewrotu i gwałtu takie zrzekanie się języka ojczystego wydaje się rzeczą drobną a z politycznego stanowiska konieczną. Na własne uszy słyszałem sławianofila mówiącego: „Niemcy mówią rozmaitemi dyalektami, a przecież mają jeden język literacki, dlaćegóżby Słowianie nie mieli w piśmie używać jednego języka. Małutki naród łużycki może posłużyć za

przykład, jak trudno nawet braciom najbliższym, żyjącym w zgodzie, i zdążającym do jednego celu, wyrzec się jednym na korzyść drugich tego, co im najdroższe, a cóż dopiero mówić o milionowych narodach, które mają za sobą całe wieki duchowej pracy, olbrzymie literatury, a choćby tylko ich początki. Owo powoływanie się na Niemcy wyszło z Rosyi, a wypłynęło z nierozumu największych jej wrogów, i jest wyrazem najwyższej ignorancyi dziejów słowiańskich i najkategoryczniejszą negacyą panslawizmu. W jądrze Niemiec wyrobił się jeden język literacki i jest nim po dziś dzień, ale niech spróbują Niemcy nakłonić Holendrów, Duńczyków, Szwedów, Anglików do przyjęcia swego literackiego języka, a wtedy zobaczymy jak im to gładko pójdzie. Ludy słowiańskie zajęły niezmiernie przestrzenie i to było pierwszym powodem, że rozpadły się na wielką ilość odrębnych całości, z których każda odmiennie przechodziła koleje losu, odmiennych nabierała wyobrażeń, odrębny wytworzyła język, odrębną literaturę, odrębną swą kulturę. Żądać dziś od tych jednostek, żeby zapomniały zupełnie o sobie i wyrzekły się samych siebie, znaczy to samo, co żądać od Anglika, Duńczyka, Szweda, Holendra, żeby się nazywał Niemcem, mówił, pisał i myślał po niemiecku. Jest to niedorzeczność, której dowodzić nie trzeba.

Ks. Hórnik — jak wielu Łużyczan — z duszy tego pragnął, żeby małeńki jego naród zrósł się w jedno ciało, i nie mało pracy poświęcił temu celowi. Jął się nawet najodpowiedniejszych środków: „Nie trzeba kłaść wagi, mówi, na nasz podział, ale na zbliżenie, zjednoczenie i wzajemną pomoc“. „Łatwo powiedzieć: słabszy niech podlega silniejszemu, ale między bracią niech miłość panuje“. „Nie śmiemy przeto i nie możemy żądać, żeby dolni Łużycanie po górnołużycku pisali, żeby Budziszyn tak rozkazywał chociebuskim Łużyczanom, jak Paryż Francuzom (*si licet parva componere magnis*), lecz górny Łużyczanin musi tak samo starać się o zbliżenie, jako i dolny“. Jeżeli to połączenie braci pod względem języka literackiego mogło nastąpić, to chyba na tej drodze, którą wskazał ks. Hórnik tj. na drodze miłości, ale po długoletniej pracy on sam musiał oświadczyć: „Zjednoczenie obu narzeczy jest potenczas nie możliwe, bo nie ma żadnego ogniska wspólnego ani towarzyskiego, ani politycznego“. Dodałbym, że nawet takie ognisko, gdyby było,

nie zdołałoby bez wielkich trudności usunąć jednego narzecza na korzyść drugiego (wytworzenie bowiem pośredniego narzecza jest głupstwem), skoro już obydwa dostały godności języka literackiego i wytworzyły dwie osobne literatury.

Samem redagowaniem *Czasopisu* zasłużył się ks. Hórnik wielce koło *Macierzy Serbskiej*, ale jego czynność w tej instytucji nie ograniczyła się ani na tem, ani na pisaniu uczonych rozpraw: już w r. 1858 został jej drugim, a w r. 1861 pierwszym sekretarzem i spełniał obowiązki na się włożone z całą sumiennością i miłością dla swego narodu. Tak zeszło 20 lat pracy. *Macierz* nabyła tymczasem własny dom, ale mimo ofiarności ludu łużyckiego, mimo wsparcia innych braci Słowian trzeba było zaciągnąć znaczny dług, który znowu nie tak łatwo można było spłacić. Doszło do tego, że lada chwila nabyty dom mógł być sprzedany i *Macierz Serbska* zginęłaby na zawsze. W tej chwili, niewątpliwie najkrytyczniejszej dla łużyckiego ludu, ks. Hórnik został prezesem *Macierzy*. Przez dwa długie lata *Macierz* ciągle była pod grozą upadku, a jej czcigodny prezes bronił jej wszelkimi siłami do ostatka — aż wreszcie ją oswobodził z długu i ocalił. Czy można było oddać narodowi łużyckiemu większą usługę nad tę? Słusznie powiedziano, że w pa-tryotyzmie łużyckim jest coś niedoścignionego, coś świętego. Jeżeli tak, to ks. Hórnik jest najpiękniejszym przedstawicielem tego pa-tryotyzmu. Czyż mam jeszcze mówić, ile ks. Hórnik wydawał pism (jak *Nowiny Serbskie*, *Katolickiego Posła*), ile napisał książek dla ludu, jak między tym ludem pismem i słowem krzewił zasady ka-tolicyzmu i krzepił na duchu upadających, sławiąc wielkość Boga, który z niczego świat stworzył i mocen jest dumnych poniżyć, a ma-luczki podnieść! Lecz kończąc już tych kilka słów o tym ze wszech miar godnym człowieku i kapłanie, niech mi wolno będzie wspomnieć jeszcze o „Historii narodu serbskiego“, którą ks. Mi-chał na podstawie „Rysu dziejów serbsko-łużyckich“ Bogusławskiego opracował i własnym nakładem wydał. Na tem dziele długo jeszcze będą się kształcić całe pokolenia łużyckiego narodu, i życzenie czcigodnego kapłana wypowiedziane w przedmowie: „Tak njech zjednocéna próca a woporniwość Polaka a Serba dobre płody nje-setej“ — niewątpliwie się spełni, bo już się spełnia. Dla ciekawo-ści dodam chyba jeszcze to, że ks. Michał mówi po polsku jak

rodowity Polak, tak samo jego przyjaciel ks. Buk, w Dreźnie, tak samo wielu a wielu Łużyczan. Naszą literaturę i nasze dzieje znają oni wyśmienicie i szczerze się niemi zajmują, wiedzą od nas lepiej, że żaden język słowiański nie jest tak bliskim ich języka jak nasz. Każdy Łużyczanin mówi po niemiecku, jak prawdziwy Sas, ale mówi tylko wtedy, kiedy musi. Między sobą mówią Łużyczanie tylko po swojemu i wielce są do swego języka przywiązani. Język ten żyje pod opieką rodzin i literatury, która się ciągle rozwija. Od Niemców przyjęli Łużyczanie wiele pięknych przymiotów, z tego nic. Wendyjska czystość, wierność, pracowitość, oszczędność weszła u Sasów w przysłowie, łagodność charakteru, nadzwyczajna gościnność, serdeczna otwartość — to przymioty, które z dawnych słowiańskich czasów zachowali. Naród ten zasługuje, żebyśmy się nim więcej zajmowali, a zwłaszcza my Polacy.

S. Matusiak.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Hieronim Łaski, przez *Aleksandra Hirschberga*. We Lwowie 1888. 8-ka, str. 323 i 5 nieł.

Postać i działalność znanego dyplomaty-awanturника XVI w., którego imię przez lat dziesiątek głośnie było w całej Europie, który kilkakrotnie od Tamizy i Sekwany, do Dunaju i Bosforu przebiegał w misjach dyplomatycznych wszystkie dwory potężnych wówczas mocarstw, były ponętym przedmiotem historycznej opowieści. Życie jego wplecione jest w piętnastoletnie dzieje narodu węgierskiego, w owe krwawe dzieje walki o koronę św. Szczepana, toczonej ze współudziałem księżycy, między narodowym królem Zapolją, a mającą uzasadnione prawa do tej korony dynastją Habsburgów, walki, którą rozpoczęła klęska pod Mohaczem i śmierć młodego Ludwika Jagiellończyka. Życie Łaskiego takie czynne i ruchliwe, takie bogate w zajmującą treść, świetne sukcesy dyplomatyczne i awanturnicze przygody, ambitne plany i wielkie porywy, oraz niskie pobudki i uczucia miotające duszą tego człowieka, że wdzięczni musimy być autorowi, iż tę właśnie postać wybrał na przedmiot swej obszernej monografii, tembardziej że to, cośmy dotychczas o Hieronimie mieli, było częścią błędne, częścią niewystarczające.

Pochodzący z rodziny możnej, doszedł w XVI w. do wielkiego wpływu, urodził się Hieronim Łaski 27 września 1496 r., jako najstarszy z synów Jarosława, wojewody sieradzkiego. W mło-

dym wieku dostał się na dwór stryja Jana, arcybiskupa gniezn., z nim wyjechał do Rzymu, gdzie się kształcił w kolegium greckiem, a następnie przeniósł się dla studyów do Bononii. Po ukończeniu nauk udał się na koszt prymasa do ziemi świętej, a powróciwszy, pojął w małżeństwo Annę z Rytwian Kurozwęką (1519), za którą otrzymał olbrzymie dobra w krakowskiem i sandomierskiem. Poświęcił się teraz służbie dworskiej i za wpływem stryja, a łaską króla posuwał się w godnościach szybko ze stopnia na stopień, tak że w r. 1523, mając lat 27, zajmował już jedno z wyższych miejsc w senacie, wojewody sieradzkiego. Bardzo wcześnie, bo już w r. 1520 rozpoczął on swój zawód dyplomatyczny. Polityka polska była wówczas w dwu kierunkach uboczną i czynną; z jednej strony pragnął Zygmunt I. koronę Czech i Węgier, po ewentualnem wymarciu tamtejszych Jagiellonów, pozyskać dla siebie i potomków swoich, co by domowi polskiemu przysporzyło ogromnego blasku i potęgi, — z drugiej chciał raz zakończyć wlokącą się od lat tylu sprawę pruską, która ciągle jeszcze niekorzystny dla Polski brała obrót. Jednemu i drugiemu stał na przeszkodzie dom rakuski, który Węgry, na podstawie kilkakrotnych traktatów z Maciejem Korwinem i Władysławem Jagiellończykiem zawartych, uważał jako swoje, a co do zakonu krzyżackiego, od swego wpływu i panowania nad nim odstępować ani myślał. Ażeby przełamać te niekorzystne dla Polski wpływy, postanowił Zygmunt na Zachodzie ogłosić się za sprzymierzeńcem i znalazł go we Francyi, będącej współzawodniczką Habsburgów w przodownictwie Europy i zaciętą ich nieprzyjaciółką. Dla zawarcia przymierza z Francją, posłuje do Franciszka I. nasz Hieronim w r. 1520 i 1524, pierwszy raz mniej pomyślnie, za drugim razem zawiera przymierze matrymonialne między dziećmi obu królów, Francyi i Polski, które przymierze miało obu stronom zapewnić w danym razie obopólną pomoc. Zresztą ważniejszych misyj w tym okresie nie dokonał. Ale wkrótce otworzyło się dlań nowe pole działań. W Polsce, której nieśmiała, niezdecydowana polityka, mimo wszystkich zabiegów o korzyści swe na Węgrzech i sojusz z Francją, utrzymywała pozorną neutralność w obec domu cesarskiego i wzdrygała się przed czynem, było dla ruchliwej, elastycznej jego energii i nienasyconej ambicji za ciasno. Za mało mu było i województwa sieradzkiego i starostwa malborskiego, o które takie

krzyki powstały przeciw niemu i prymasowi, żądza sławy i zaszczytów popychała go do szukania gdzieindziej zaspokojenia swych pragnień. Zresztą stan majątkowy jego był tego rodzaju, że trzeba mu było oglądać się za zyskownem zajęciem, ażeby finanse swoje podreperować; wystawne życie zapędziło go w ogromne długi, które fatalnie zaciężyły na olbrzymich jego dobrach. To wszystko było powodem, że Hieronim zwrócił się do Węgier, gdzie po klęsce mohackiej wybrany został królem wojew. siedmiogr., Jan Zapolya, którego wybór został przychylnie w Polsce przez naród przyjęty, i któremu mnóstwo spieszyło stąd na ochotnika z pomocą w jego walce z królem Ferdynandem. Przyjęty najprzychylniej przez Zapolyę, wysłany został Hieronim natychmiast do wrogich Habsburgom książąt niemieckich, do Francyi, Anglii, Danii i zabiegom jego udało się, z wyjątkiem Anglii, uzyskać wszędzie korzystne dla Węgier przyrzeczenia. Z powrotem znalazł jednak na Węgrzech ogromne zmiany. Wojska austriackie wkroczyły do kraju, pobiły Zapolyę i zajęły całe królestwo, a król musiał schronić się do swego Siedmiogrodu. W obec tego zwrotu fortuny, w położeniu arcykrytycznem, powziął Zapolya myśl, która już przedtem była popularną na Węgrzech: użyć pomocy Turcyi przeciwko napierającym nań Habsburgom. Nie Łaski jest autorem tego planu, jak powszechnie mniemają, gdyż przed jego przybyciem, jak p. H. wykazuje, myśl ta coraz silniej się przyjmowała i rozpowszechniała. Poselstwo do Stambułu dostało się znowu jemu. Mimo, że przybył z małym tylko i wcale nie świetnym pocztem, a nadto bez podarunków, że został z początku nader chłodno i szorstko przyjęty przez dygnitarzy tureckich, a nawet pod straż oddany, umiał on swojem niezwykłym zręcznym, przytem pełnem godności i stanowczości postępowaniem tak zjednać sobie życzliwość Porty, że misya jego wypadła jak najpomyślniej. Ani jednym krokiem nie zaszkodził swojej sprawie, nie zgodził się ani na jeden warunek, mogący być ubliżającym dla królestwa węgierskiego, nie przyjął ani jednego zobowiązania, któreby Węgrzy oddawali pod zwierzchnictwo Turcyi, a jednak taktem swym, energią i bystrością, umiejącą ze wszystkiego zręcznie korzystać, dokazał tego, że sułtan przyrzekł osobiście przybyć Zapolyi na pomoc, a jako zadatek tej pomocy dał 10.000 żołnierzy, na których czele Łaski powrócił z swej misyi dyplomatycznej.

Z miasta Targovisthie, stolicy wojewody multańskiego, wystosował on dnia 10 kwietnia 1528 r. list do Ferdynanda, wypowiadający mu wojnę, a również i do Siedmiogrodzian wysłał pismo w dumnych słowach, zawiadamiające o rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich. Oba te pisma wywołały na dworze Ferdynanda wielkie oburzenie, na dworze polskim zaś niemałe niezadowolenie, gdyż Zygmunt, który ciągle jeszcze nie wychodził z neutralności względem Austrii, niechętnie widział, że senator królestwa polskiego taką czynną i wybitną odgrywa rolę w obec przeciwników rakuskiej partyi. Chciał wezwać Łaskiego do odpowiedzialności za jego postępowanie i zapytywał w tej mierze senatorów; zgodzono się zapoznać go przed sejm, ponieważ jednak ten nie prędko się zebrał, nie wynikły dla Hieronima żadne ważniejsze skutki z tej burzy, prócz tego, że król odebrał mu przyręczone starostwo malborskie, dając mu tem uczuć utratę swojej łaski.

W sprawie Zapolyi, który schronił się był do Polski i siedział w Tarnowie, odbył Hieronim teraz powtórne poselstwo do Konstantynopola, z którego wrócił z zapowiedzią bliskiej pomocy Solimana, za co otrzymał od Zapolyi nadane hrabstwo spiskie w nagrodę. Tymczasem sami stronnicy Zapolyi poczęli się ruszać i wypierać Rakuszan z zajmowanej pozycyi; klęska wojsk austriackich pod Sarospatak skłoniła wreszcie króla Jana do powrotu do Węgier, a za nim pospieszył i Łaski. Udał on się stąd na Szląsk dla zwerbowania wojsk najemnych dla swego pana, ale zabiegi jego poszły na marne: żołnierzy nie przepuszczono przez Polskę do Węgier, co u Łaskiego i Zapolyi, a nawet u Solimana, który z wielkiem wojskiem właśnie nadciągnął i zajął Węgry, wielkie wywołało niezadowolenie, mogące nawet nieprzyjemne mieć dla Polski następstwa. Mimo to Zapolya, dla którego wojska tureckie zdobyły Węgry i wyparły Ferdynanda, wszedł w posiadanie swego królestwa. Zaledwie jednak Soliman ustąpił, wkroczyła armia austriacka do Węgier i część ich zajęła; wojska węgierskie broniły wprawdzie dzielnie dalszego jej pochodu, ale Zapolya widział, że ta walka przeciągając się w nieskończoność niszczy siły żywotne kraju, postanowił starać się o pokój z Ferdynandem. Za zezwoleniem Solimana, do którego umyślnie się w tej sprawie wyprawił Hieronim Łaski, już teraz wojewoda siedmiogrodzki, czem go Zapolya w na-

grode za dotychczasowe usługi mianował, zgodzono się po długich obustronnych pertrakcyach, na zjazd w Poznaniu, dokąd mieli przybyć pełnomocnicy Zapolyi i Ferdynanda i za pośrednictwem polskich i saskich komisarzy sprawę swoją ostatecznie załatwić; układy te, w których Łaski gorliwy i wybitny brał udział, nie doprowadziły do niczego dla braku jakichkolwiek ustępstw ze strony Ferdynanda; zgodzono się tylko na jednoroczny rozejm. Ponieważ jednak układ ten nie został w swoim czasie zatwierdzonym, prowadzono dalsze rokowania w tym względzie w styczniu 1531 r. w Wyszegradzie, gdzie zawarto wreszcie trzymiesięczne zawieszenie broni. Dopiero po uzyskaniu zezwolenia Solimana, do którego Łaski odbył teraz czwarte z rzędu poselstwo, zawarł on w imieniu Zapolyi jednoroczny rozejm z Ferdynandem w Wyszegradzie 17 kwietnia.

Ale już w r. 1530 zamyślał Hieronim Łaski o odstępie od Zapolyi, będąc z niego niezadowolony, i o zbliżeniu się do Ferdynanda, któremu pragnął poświęcić teraz swe usługi. Wybrawszy się więc na dwór króla rzymskiego, niby w zamiarze przeprowadzenia stałego pokoju między nim a Zapolyą, rozpoczął rokowania co do warunków, pod jakimi przeszedłby na stronę dotychczasowego wroga. Rokowania te nie doprowadziły jednak do niczego, gdyż nie dowierzano Łaskiemu; ani w drugiej podróży dyplomatycznej, którą jeszcze tego roku odbył z polecenia Zapolyi na dwór Ferdynanda, i podczas której starał się przysłużyć domowi raku-skemu na zjeździe w Krems i Innsbrucku, nie rozwiął niechęci i podejrzliwości, jakie go spotykały ze strony Ferdynanda i Karola V.; uważano go za niebezpiecznego człowieka, który tylko pozornie ofiaruje przyjaźń, aby się dowiedzieć tem łatwiej o zamysłach dworu cesarskiego, który chce się wśliznąć w łaskę i zaufanie ich, aby działać tem bezpieczniej na ich szkodę. Ani teraz więc nie doprowadzono do pokoju między obu rywalami, ani na zjeździe w Preszburgu w lutym 1533 r. Ale Łaski w raz powziętych zamysłach nie ustawał, nie porzucał zabiegów w celu oddania się służbie Ferdynanda. Między nim a Zapolyą przychodziło teraz do coraz większych nieporozumień. Łaski znajdował się w coraz bardziej oplakanych stosunkach finansowych, a przyczynę tego widział w tem, iż Zapolya nie wynagradza go należycie. Ten zaś, czy to w skutek zabiegów nieprzychylnych Hieronimowi magnatów węg-

gierskich, czy podejrzewając go o tajne stosunki z Ferdynandem, nie ufał mu i coraz bardziej okazywał mu swoją niechęć. Przyszło wreszcie do katastrofy między nimi. Zapolya, któremu Łaski mimo jego zasług, zaczynał być ciężarem ze swoimi wymaganiami, czekał tylko na sposobność, aby go się pozbyć. Nadarzyła się do tego sposobność, kiedy Łaski na polecenie Zapolyi schwytał podstępem magnata węgierskiego, Pawła Arthaudy, nieprzychylnego Zapolyi, a ten razem z bratem swoim Błażem został ścięty w sposób zupełnie samowolny przez wpływowego Grittiego, gubernatora królestwa i naczelnego wodza wojsk węgierskich. Wywołało to powszechne oburzenie; wzrosło ono do szczytu, gdy za machinacją Grittiego zamordowany został przez Turków Emeryk Czibak, biskup waradyński, współzawodnik Grittiego i Łaskiego do godności wojewody siedmiogrodzkiego. Łaski miał bowiem tylko tytuł siedm. wojew., nominację otrzymał Czibak, a pragnął jej i Gritti. Zbiegała się ogromna burza przeciwko obu, opinia publiczna wskazywała na Grittiego i Łaskiego, jako jedynych sprawców śmierci biskupa. Zapolyi było to na rękę: dnia 31 sierpnia 1534 r. kazał uwięzić Łaskiego. I kto wie, jaki koniec byłaby wzięła ta sprawa dla niego; Zapolya wydał nawet rozkaz stracenia go, miano go utopić w Dunaju; tylko jakimś przypadkiem zdołał uniknąć okropnej śmierci. Wyteżonym usiłowaniom jego krewnych i przyjaciół, którzy poruszyli wszystkie sprężyny, ażeby go uwolnić, głównie jednak wpływowi hetmana Tarnowskiego udało się go uwolnić. Tarnowski, który swego czasu gościnnie podejmował Zapolyę w Tarnowie, przybył osobiście dla wyswobodzenia Łaskiego i osiągnął to tylko po uroczystem zobowiązaniu się w imieniu tego ostatniego, że Hieronim nie uda się do Konstantynopola i nie przedsięwzięmie na dworze sultańskim żadnych kroków, niekorzystnych dla Zapolyi. Dla zaspokojenia pretensyj wojewody, miał mu król Jan wypłacić 15.000 dukatów, a tymczasowo aż do uiszczenia tej sumy zostawić mu miasto Debreczyn.

Teraz wszelkimi siłami starał się Hieronim Łaski o jak najszybsze pojednanie się z Ferdynandem; krewni jego koniecznie tego pragnęli, brat Jan jeździł w tej sprawie na dwór rakuski. Król rzymski żądał w pierwszym rzędzie, aby Hieronim publicznie i uroczyście przeprosił go za wypowiedzenie mu wojny w roku 1528.

Warunek ten przyjęto; dalsze rokowania rozbiły się o zbyt wygórowane żądania Łaskiego. Widząc, że zabiegi jego nie odnoszą tutaj skutku, próbował szczęścia z królem polskim, pragnąc pozyskać straconą łaskę, ale i to go zawiodło. Po długich piskaniach doczekał się wreszcie Łaski spełnienia swych życzeń, Ferdynand przyjął go w swoją służbę i mianował członkiem „Rady królestwa węgierskiego“. Początkowo otrzymywał on tutaj tylko drobne misye dyplomatyczne i nieznaczne zlecenia strategiczne, widocznie nie dowierzano mu jeszcze. To bodło jego dumę i ambicję, upokarzało ale i rozgoryczało go do Ferdynanda tak, że stanowczo żądał odpowiedniejszych dla siebie zajęć. Wreszcie w r. 1539 doczekał się ważniejszego zlecenia, Ferdynand zamyslał posłać Łaskiego do Konstantynopola dla zjednania sobie przychylności Porty. Łaski był jednak — jak wiemy — związany przyrzeczeniem Tarnowskiego danem r. 1534 Zapolyi, musiał się więc przedewszystkiem postarać u hetmana o zwolnienie go z danego słowa. Czy hetman rzeczywiście go zwolnił, jak przypuszcza autor (str. 282)? Z tego, co nam autor w przytoczonych źródłach podaje, możnaby tylko przeciwny wysnuć wniosek. Dlaczego bowiem Tarnowski *omnibus et singulis* zapewniał najuroczyściej, że Łaski *bez* jego wiedzy i pozwolenia wyjechał do Stambułu, dlaczegożby samego Hieronima w liście ostreimi słowy strofował za to, jak to widać z uniewinniającego się listu tegoż, gdzie prosi go o przebaczenie (str. 291). Dowód, że *Łaski sam* w liście do Ferdynanda mówi o tem danem mu pozwoleniu hetmana, najmniejszej nie budzi ufności w obec tak częstego rozmiłowania się z prawdą u tego człowieka. Że ogromne oburzenie z tego powodu zapanowało na dworze polskim i węgierskim przeciw niemu, nie dziwnego. Nadto, nie przyniosło poselstwo pożądanego skutku; prócz półrocznego rozejmu nie zdołał Łaski niczego więcej uzyskać u sultana. Jeszcze raz, już po śmierci Zapolyi (r. 1540), odbył Hieronim, jako poseł Ferdynanda, podróż do Carogrodu, siódmą z rzędu, w celu pozyskania względów sultana, ale tu spotkał się wszędzie z niechęcią i wrogiem usposobieniem dostojników tureckich i sultana, spotykał się z pogardą, obelgami i groźbą, więziono go i zagrożano nawet jego życiu. Na usilne wstawienie się Ferdynanda uwolniony powrócił z tem tylko uwiadomieniem, że sultan w przyszłym roku z ogromnem wojskiem wyruszy na Węgry. I ta nieu-

dała misya była ostatnim czynem dyplomatycznym Hieronima; 22 grudnia 1541 r. zakończył życie w Krakowie. Człowiek, który niewątpliwie mógł był wielkich rzeczy dokonać, gdyby niezwykłym, wrodzonym zdolnościom nie stały na przeszkodzie wielkie przywary. Wysoce wykształcony, bystry polityk i zręczny dyplomata jak dzielny wojownik i odważny w boju, znający przytem wyborne stosunki tureckie, mógł wielkie oddać usługi; ale zalety te przewyższały nienasyconą żądza sławy i błyszczenia, niczem nieugaszzone pragnienie nagród i zysków, za którymi gonił wobec swej ruiny majątkowej i skłonności do wystawnego życia. Przytem brak wszelkiej stałości w zapatrywaniach politycznych, brak jakiejś przewodniej idei w jego czynach były powodem, że służył temu, kto lepiej płacił, że bez skrupułów przerzucał się do obozu dotychczasowych nieprzyjaciół, zdradzając przyjaciół, jeżeli to tylko z zyskiem i korzyścią połączone było; jest on typem kondotiera-dyplomaty. Z ciekawością się śledzi jego żywot — ale sympatyi ani poważania nie budzi.

Książką swoją, która — jak powiedziałem — jest pierwszą, w całym tego słowa znaczeniu wyczerpującą monografią Hieronima Łaskiego, a jakotaka bardzo cennym materiałem do dziejów Zygmunta I, przysłużył się p. H. naszej historyografii nie mało. Ale i dla dziejów Austrii i dla Węgier praca ta ma wielką wartość. Autor, oprócz najzupełniejszego wyczerpania wszelkiego drukowanego materiału, posiadał obszerne materiały rękopiśmienne, przedewszystkiem nie wydane Akta Tomicyana, rękopisy bibl. Ossol. i Jagiell., archiwum XX. Cesarzowskich, Metryki koronnej; nadto korzystał z archiwum cesarskiego w Wiedniu, królewskiego w Peszcie, archiwum krajowego w Krakowie, archiwum miejskiego w Kesmarku. Tylko bardzo drobne, nieznane szczegółiki można do tego dorzucić z aktów grodzkich Sandeckich i ziemskich Zatorskich z archiwum krajowego we Lwowie.

a) List czeski króla Jana, oblatowany w grodzie krak. przez Hier. Ł. 23 kwietnia 1529: My Jan z buoze milosti Vherski, Dalmaczski, Charwaczki etc. kral... oznajmia, że Burian Swietlowski z Wilczniowa pozostał mu z sumy 5000 zł. węg. winien jeszcze 3200, do których podjęcia i pokwitowania daje zupełną moc H. z Laska... Dan w Lippie 2 kwietnia 1529. (Terr. Zathor. 13. p. 240).

b) W grodzie Sandec. 31/7 1536. — Hier. z żoną pożyczą od Erazma Zayfretha 2000 zlp.⁸ do Bożego Narodzenia; gdyby w terminie nie oddali, zobowiązują się oddać mu w zastaw klucz Ogłędowski tj. miasto Ogłędów, Staszów, stary Staszów, Gorzaczew i Niemezyce (Castr. Sand. 2. p. 595).

c) Ta sama data. Ciż sami pożyczają od Seweryna Bonara kaszt. żarnow. 600 zlp., którą zapisują *ad priores summas in bonis Woyera... inscriptas.* (*Ibid.* p. 597).

d) W grodzie Sand. 25/12 1536. — Erazm Zayfreth Bethmann, mieszczanin krak., protestuje przeciwko H. i żonie jego o niezapłacenie mu w terminie sumy 2000 zlp. (*Ibid.* p. 612).

e) W grodzie Sand. 31/12 1537. — H. Ł. z żoną zastawia Marcinowi Zborowskiemu, stolnikowi k., wsie Bedrzychowice, Górki, Wolę i Żukow za sumę 4000 zlp., które od niego pożyczyci. (*Ibid.* p. 690).

Widzimy z tego, że są to w obec tak gruntownej całości nie znaczące drobiazgi. I życzyć by należało, byśmy się więcej jeszcze doczekać mogli takich monografij, przedstawiających osobistości, które za panowania Zygmunta I. odgrywały większą rolę polityczną.

D. Bostel.

St. hr. Tarnowski. Z Wakacyj. Tom I. i II. Kraków 1888. Nakładem księgarni Żupańskiego i Heumanna.

Ubogiej naszej w dziedzinie krajoznawstwa literaturze przybyła książka niepośledniej wagi i wartości. Z luźnych skrzętnie w podróży notowanych wrażeń, z pobieżnie na papier rzucanych zapisków powstało dzieło poważne rozmiarami, doniosłe treścią i myślą, którego ogłoszeniem zasłużony autor nie małą ogółowi polskiemu oddaje przysługę.

Nie jest to rzecz zupełnie nowa. Czytelnicy *Przeglądu polskiego* pamiętają zapewne barwne listy w ciągu lat kilku ogłaszane, w których z właściwym sobie wdziękiem pióra i niezwykle trafnym i bystrym talentem obserwacyjnym prof. Tarnowski reasumował swoje podróżne wrażenia.

Listy owe, które zawdzięczamy letnim wycieczkom szan. Profesora w rozmaite strony i okolice ziem dawnej Polski i cesarstwa rosyjskiego złożyły się obecnie na tę dwutomową książkę, którą nasza literatura w odnośnej dziedzinie zaliczyć musi do najcenniejszych publikacyj.

Całość książki rozpada się na dwie części. Tom pierwszy zawiera opis podróży podjętych do wschodnich kresów ziem polskich mianowicie Kijowa, Moskwy i Wilna, drugi poświęcony jest wrażeniom z podróży do kresów północnych mianowicie Prus królewskich.

Podróże opisywane odbywał prof. Tarnowski w latach 1874—1881. Wra-

żenia z nich notowane pospiesznie, dorywczo a przecież z nie zrównaną lekkością i barwnością stylu, nie mają wprawdzie jako osobiste wrażenia turysty pretensyi do naukowego znaczenia i wartości, zawierać mogą nareszcie błędne poglądy, jako lektura jednakże przedstawiają przedmiot niesłychanie wdzięczny i zajmujący i rzucają światło na wiele mylnych wyobrażeń jakie się w obec małej znajomości rzeczonych krajów i okolic u nas przyjęły i upowszechniły.

Jak we wszystkich dotychczasowych pracach, tak i w tej prof. Tarnowski jest przede wszystkim gorącym patriotą i katolikiem. Notując wrażenia wzrok swój kieruje głównie w tę stronę i na te punkta, gdzie spostrzega ślady naszej dziejowej przeszłości. Te odsłania z całą miłością i entuzjazmem dla wszystkiego co polskie, dla każdego choćby najdrobniejszego objawu istnienia myśli polskiej, śladów jej cywilizacyi i jej panowania. Ta szczerza i serdeczna nuta, to ciepło i ta miłość do wszystkiego co polskie i katolickie, jakie wieja z każdej z tych kart, stanowią najgłówniejszą zaletę książki i zapewnić jej winny jak najszerze rozpowszechnienie między polską publicznością.

W liście pierwszym opisuje autor Kijów, jak wyglądał w r. p. 1874. Ciekawe to wielce i oryginalne miasto. Z przeszłością Polski związane dziewiciu wiekami, mimo to, ze smutkiem wyznać trzeba, nader mało zachowało śladów polskiej cywilizacyi i polskiego charakteru. Dziś Polak przykre odnosi tu wrażenia. „Na każdym kroku spotykasz, widzisz, dotykasz rzeczywistości swojej przegranej. Całe otoczenie, cały charakter lokalny dowodzi, że się jest w kraju rosyjskim, prawdziwie, odwiecznie czysto rosyjskim.

Wszystkie szczegóły składające się na charakterystykę danej miejscowości są tego wymownym dowodem. Język ludności, sposób noszenia się, obyczaje i zwyczaje, wszystko to w Kijowie ma charakter cywilizacyi rosyjskiej, która się tu w pełni rozpanoszyła i niestety zatarła w znacznej części ślady polskiego tu bytu i panowania. Czuć tu przede wszystkim bliskość Wschodu i pochodzenie tego miasta od cywilizacyi wschodniej. Oczywiście jednym z najważniejszych zagadnień, które autor usiłuje rozwiązać na miejscu, jest zbadanie stosunku ludności polskiej do rosyjskiej w Kijowie, a w szczególności jaka jest siła liczebna, umysłowa i ekonomiczna rodaków naszych, i ile jeszcze zostać tam mogło na dnie polskiego żywiołu i cywilizacyi.

Ślady rzeczywiście są i liczne — choćby tylko w rozlicznych gmachach i budynkach, kościołach i kaplicach dziś poprzerabianych na cerkwie i duchowne akademie. Ale smutno nastraja widok tej ludności polskiej, która tu wygląda jak garstka kolonistów; ten brak polskiego słowa, ten urzędowy zakaz polskich napisów. Jedyne miejsce publiczne w Kijowie, na którem wolno głośno wyznawać się Polakiem — to kościół katolicki. Co za symbol i co za nauka! — woła p. Tarnowski — najobojętniejszy, najniewierniejszy, najniechętniejszy, byle w nim było trochę polskiego uczucia, niech przyjedzie na Ukrainę, niech zobaczy, że tylko w Kościele Polakiem mu być wolno, a uczuje i uczi święty opatrzny związek ojczyzny i wiary, uczuje, że to jedyny w tym kraju pomnik przeszłości, przytułek i twierdza w teraźniejszości, i że jeżeli gdzie, to tam tylko stanąć może kolebka przyszłości.

„Autor opisuje zabytki przeszłości Kijowa; większy ustęp poprzedzony historyczną notatką poświęca sławnej Ławrze peczerskiej, wreszcie opis kończy charakterystyką tamtejszego ludu rusińskiego i jego aspiracyi politycznych.

Podróż do Moskwy niemniej ciekawego dostarczyła autorowi materiału.

Zdaje się, że nie wielu z Polaków, którzy byli w dawnej stolicy carstwa, z podróży tej przekazało zapiski swe literaturze. Stąd też uwagi i spostrzeżenia prof. Tarnowskiego są nader cennymi i ciekawymi. Nieznajomość języka i bardzo ograniczone stosunki na miejscu nie pozwoliły autorowi skreślić wszechstronnego opisu charakterystyki Moskwy, ale zniewolili ograniczyć się do powierzchniowego opisu najwydatniejszych i najbardziej w oczy rzucających się osobliwości miasta. A pomimo to, jakżeż ten opis żywy i barwny, z jakąż drobiazgowością skreślony. A choć czuć w nim duszę targanego żalem i bolesnymi wspomnieniami Polaka, mimo to widnieje w opisie tym wszędzie przedmiotowy sąd o rzeczach i stosunkach, sąd sprawiedliwy i bezstronny, właściwy umysłom wyższemu i podniosłszemu. Iście wspaniały i wyczerpujący dał nam autor opis Kremlinu i jego pamiątek i zabytków, a w tym opisie mnóstwo ciekawych wspomnień historycznych i anegdot wiążących się z przedmiotami tam znajdującymi się. Ciekawy i wielce charakterystyczny szczegół przytacza prof. Tarnowski przy opisie sal orderowych Kremlinu. Oto w sali orderu Georga, udzielanego za waleczność samym tylko rosyjskim wojskowym, widnieje złotem w marmurze ryta długa litania Prusaków, ozdobionych tym orderem za wojnę francuską. Od księcia pruskiego i Fryderyka Karola od Moltkego i Roona są tu wszystkie bardziej znane nazwiska generałów pruskich. Jakżeż to na czasie dziś będący szczegół ilustrujący dosadnie sympatyje Rosyi dla Francyi. Kilka sal oddziału zw. „Orużennaja pałata“ zapewniają same pamiątki polskie zabrane z zamku królewskiego w Warszawie. Widok tych pamiątek przykutych do zwycięskiego rydwanu carów, piekielnie gorzkie budzi uczucie w sercu zwiedzającego te rzeczy Polaka. Trudno się jednak niezgodzić z autorem, że i taki widok czasem potrzebny, bo hartując duszę utwierdza ją w jej najgłębszych i najświętszych uczuciach.

Wycieczce do Wilna zawdzięczamy piękny opis nie tylko samej stolicy Gedymina, ale także jej wspaniałych okolic, oraz Kowna wraz z całą jego cudną Mickiewiczowską doliną. Z nastroju, w jakim wrażenia są spisywane, widać, że tu nierównie przyjemniejsze wrażenia poily duszę autora niż przy opisie Kijowa lub Moskwy. Autor wyniósł przynajmniej to błogie przekonanie, że to kraj, mimo bezdenne go ucisku, na wskrós polski; chłop, obywatel ziemski czy mieszczanin, każdy czuje się tu Polakiem — wie o tem i za chlubę to sobie poczytuje. Podobnie jak i w poprzednich zapiskach, opisuje tu autor szczegółowo kościelne i historyczne zabytki Wilna, uzupełniając opis objaśnieniami z historyi. Sporo miejsca zajmują wspomnienia o Mickiewiczu i pozostałych po nim pamiątkach, otaczanych po dziś dzień czcią i poszanowaniem przez mniej nawet oświecony ogół. Ciekawą jest np. ilustracją fakt że doróżkarz kowieński wiozący autora sam zaproponował jazdę do doliny Mickiewicza, a następnie po przybyciu na miejsce wyjaśnił, gdzie „on“ chodził. W szeregu przysięgających wrażeń — takie jest niewątpliwie jednym z najprzyjemniejszych.

Drugi tom książki zawiera opis podróży do Prus królewskich. Mało rozpowszechniona u nas znajomość tego kraju, tak obficie zasianego pamiątkami historycznymi i tak silnie związanych z najświętszymi chwilami naszej dziejowej przeszłości domagała się koniecznie bliższego opisu. Prof. Tarnowski przejechał cały ten płat kraju wzdłuż i wszerz, zbadał go pod względem geograficznym, etnograficznym i historycznym, największy nacisk kładąc jednak

na związek dziejowy kraju z przeszłością Polski i na ślady cywilizacji i państwa polskiego dziś jeszcze występujące. Śladów i pamiątek w tym kraju nie brak, boć i ręka najzawistniejszego Wandalą nie jest zdolną zniszczyć tego, co nagromadziła praca wieków — jednakże dzisiejsza fizyognomia kraju upokarzające budzi w zwiedzającym Polaku wrażenie. Ze smutkiem przyznać trzeba, że żywioł niemiecki wziął tu niezmiernie górę nad polskim, tak że dziś jest wszechwładnie panującym. Im dalej na południowy Wschód ku Toruniowi tem więcej oczywiście śladów żywiołu polskiego, ale w miastach jak Gdańsk, Malborg, Elbląg, Oliwa, słabe już tylko ślady jego w pamiątkach przeszłości zostały.

Opis Gdańska przepyszny, imponuje drobiazgowością i pełnemi charakterystyki szczegółami. Już sam charakter miasta i sposób budowania, zupełnie odmienny od naszych miast lądowych, dostarczył po dostatkiem wątku do najbarwniejszego opisu. Zaznacza się tu wybitnie wpływ cywilizacji hollenderskiej, z którą złączył się wpływ niemiecki wieków średnich, a polskiego tylko jeszcze tu i ówdzie ślady pozostały. Z miast północnej Europy jest to niewątpliwie najpiękniejsze swoją oryginalnością. Szkoda tylko, że ten na wskrós odrębny charakter z wolna poczyną się zacierać; nowsza cywilizacja ruguje te wspaniałe i imponujące ślady wieków średnich i stylu odrodzenia, które nadają miastu temu cechy wybitnej odrębności i pozory starożytności.

Moralną stolicą Prus królewskich, punktem środkowym ich historii jest jednak nie Gdańsk, ale Malborg, dawny Marienburg, siedziba mistrzów krzyżackich wslawiony w dziejach naszych i poezyi. Autor opisuje nam szczegółowo miasto i zamek krzyżacki, dziś z gruzów podniesiony i odnowiony, dalej wspaniały pomnik Fryderyka W., postawiony przez cesarza Wilhelma, oraz opowiada koleje, jakie w bieżącym stuleciu przechodził zamek mistrzów. W dzisiejszym stanie odnowiona część skrzydeł zamieszkałych przez mistrzów t. z. „remtery“, nosi ślady średniowiecznej wspaniałości, ale czy wiernie przedstawia pierwotny stan, to kwestya prawdopodobnie nie łatwa do rozstrzygnięcia.

Elbląg również przedstawił się autorowi jako miasto na wskrós niemieckie. Najbardziej nowoczesne a najmniej zajmujące i sympatyczne, oto krótka charakterystyka tej miejscowości. Posiada to miasto w ratuszu oryginalną a nader rzadką i cenną kolekcję portretów królów polskich, jak tradycja niesie, przez samych królów drogą przywileju darowywanych magistratowi. Zbiór podobno bardzo ciekawy; portrety malowane porządnie i dobrze, a wiernie podobieństwo rysów kilku ostatnich każe się domyślać, że i dawniejsze muszą być wiernie z natury zdejmovane. Piękny a rzadko u osób prywatnych napotkać się dający zbiór starożytności znalazł tu prof. Tarnowski w domu radcy rządowego p. Kanińskiego, Niemca. Galerya to przepełniona pamiątkami polskimi i zasługująca istotnie na to, aby który z naszych archeologów postarał się go dokładnie obejrzeć i opisać.

Frauenburg, stolica Warmii, siedziba biskupa Hozjusza, Kromera, Dantyszka i Krasickiego, to miejscowość również nie mało ciekawa dla Polaka. W katedralnym kościele nagrobki Kopernika, Działyńskiego, Pistoryusa, Łukasza i Pawła Górnickich, rzewnie nastrojają zwiedzającego Polaka. Warmińska stolica szczyci się pięciu kapeluszami kardynalskimi: po Andrzeju Batorym, Hozjuszu, Janie Albercie, Radziejowskim i Eneaszu Sylwiuszu, późniejszym

papieżu Piusie II., który był jednak tylko kandydatem na biskupstwo warmińskie.

Pelplin i Oliwa to ostatnie miejscowości w których autor się zatrzymał. Pierwszy posiada przepyszny kościół, jeden z najpiękniejszych w Prusiech, dziś będący katedralnym kościołem przeniesionej tu rozkazem rządu w r. 1828 dyecezyi chełmińskiej; druga bogate i wspaniałe opactwo, wslawione zawartym w jego murach pamiętnym w dziejach Polski traktatem. Z wycieczki w okolicę tych dwóch miast notuje jeszcze autor wrażenia z miejscowości Kiszpork, posiadającej niesłychanie cenną archeologiczną statuetę, nie zbadaną jeszcze co do pochodzenia swego przez archeologów. Kiszpork to już kresy Prus wschodnich i ludność tu na wpół niemiecka i protestancka. Rozpoczęte współcześnie z okresem wojen napoleońskich i do r. 1830 trwające wysiłki regencyi pruskiej za Schöna, dążące do zgermanizowania tej ziemi — wiele szkody zrzuciły żywiołowi polskiemu. Dziś jednak zniszczenie to nie postępuje więcej naprzód. Owszem, rzecby można, żywioł polski utrwała się statecznie w owych podstawach, które mu pozostały. Pociesającym zaś jest objawem, że wzmacnia on się pod względem ekonomicznym, czego dowodem bank polski w Toruniu, prosperujący świetnie i skupiający interesa finansowe całych Prus królewskich; dalej Towarzystwo naukowej pomocy, Tow. moralnych interesów i toruńskie Tow. naukowe.

Czas i okoliczności nie dozwoliły autorowi zwiedzić a tem samem podać opisu miasta Torunia, ale i bez tego opis Prus królewskich podany przez prof. Tarnowskiego jest tak pod każdym innym względem wyczerpującym i zajmującym, że lukę tę snadnie pominąć można. Na zakończenie swej po Prusiech królewskich wędrówki podaje prof. Tarnowski kilka uwag ogólniejszych o stanie kraju i przyszłości żywiołu polskiego, te kraje zamieszkującego. Ekonomicznie zasobny i moralnie potężny, liczebnie natomiast żywioł ten nie dorównywa niemieckiemu. Brak tu czynnika nader ważnego, brak większego właściciela Polaka, szlachcica, któryby na okolicę stać się mógł punktem oparcia i środkiem ciężkości dla rozprószonych polskich żywiołów. Uwagi te miejscami może nieco zbyt optymistyczne, pisał autor na lat kilka przed wydaniem ostatnich dekretów banicyjnych, nic dziwnego więc, że sytuacja dziś nierównie gorsza jak wówczas w opowiadaniu p. Tarnowskiego przedstawia się w daleko różowszych barwach.

Książka hr. Tarnowskiego, jak z samego sposobu traktowania przedmiotu widać, nie ma celu naukowego. Jestto zregestrowanie wrażeń podróży ujętych w barwną i miękką formę, i okraszonych głęboką erudycją autora. Przedmiot sam nader wdzięczny domagał się oddawna uwzględnienia w literaturze opisowej, tak mało u nas uprawianej, a tak doniosłe w naszych stosunkach mającej znaczenie. Praca prof. Tarnowskiego rozjaśnia wiele ciekawych, mało znanych szczegółów i rzuca nowe światło na wiele spraw z naszej ostatniej doby dziejowej na kresach.

Listów owych, luźnie, bezpośrednio po odbytych podróżach ogłaszanych, nie miał autor nigdy zamiaru ogłaszać w osobnej książce. Czyniąc to wbrew pierwotnemu postanowieniu, pragnął spełnić życzenie nieodżałowanego przyjaciela swego, ks. Waleryana Kalinki, który niejednokrotnie nakłaniał go do tego. Z uczuciem wdzięczności dla autora łączy się tym sposobem rzewne wspomnienie o zgasyłym znakomitym historyku naszym, który ślady swego wpływu i działalności znaczą jeszcze i po za deską grobową.

P.

Pisma prozą Kajetana Koźmiana. Kraków. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego i K. J. Heumanna Rok 1888. Str. 420.

Świeżo wydana książka nie jest bynajmniej, jakby to z tytułu wnosić można, pierwszym tomem pomnikowego dzieła, mającego objąć wszystkie wydane dotąd i nie wydane „pisma prozą“ Kajetana Koźmiana; lecz stanowiąc odrębną całość, zawiera wyłącznie niewydane dotąd pisma jednego z najwybitniejszych i najszlachetniejszych ludzi porzobiorowej epoki, szanowanego jak dawniej tak i dziś pisarza, niegdyś bardzo i zbyt może głośnego, dziś — jak słuszenie wydawca zauważa — z pewnością zbyt lekceważonego poety. Pisma te podzielone na pięć działów: życiorysy, mowy, rzeczy treści politycznej, rzeczy treści literackiej, rozmaitości; w każdym dziale znajdują się rzeczy ważne i ciekawe, zwłaszcza dział trzeci jest zbiorem dokumentów niezbędnych dla wszystkich pragnących się bliżej obeznać z historią ostatnich paru lat W. Księstwa Warszawskiego.

Za oddanie tych pism na własność publiczną należy się wydawcy a wnikowemu autorowi wdzięczność szczerą i to od wszystkich Polaków bez wyjątku, równie od tych, co trzymają się bardziej zachowawczych, jak od tych, co idą za bardziej postępowymi przekonaniami, czy pojęciami. Wszyscy też umiejący cenić postać i pióro Kajetana Koźmiana, do wyrazów wdzięczności dołączają bez wątpienia prośbę, aby obok „Pism Prozą“ stanął wkrótce tomik „Pism wierszem“ z niewydanym, a jesteśmy pewni, że nie tylko cennym, ale bardzo cennym przekładem *Bukolik* Wirgiliusza. Spodziewając się, że to wydawnictwo niezadługo przyjdzie do skutku, z góry upraszamy drukarnię, która go się podejmie, aby całą książkę na jednakowym dała nam papierze; rzecz to sama w sobie małej zapewne wagi, ale zawsze w pierwszej przynajmniej chwili, nie mile rażąca, jak tego najlepszego dowód na „Pismach prozą“.

Pamiętniki hr. Stanisława Wodzieckiego. Nowa Biblioteka Uniwersalna. Kraków. Nakładem Żupańskiego i Heumanna 1888.

Do szeregu dzieł pożytecznych, które rozpowszechnia między publicznością *Nowa Biblioteka Uniwersalna*, zaliczyć trzeba i powyższą książkę. Jest to drugi tom pamiętników tegoż samego autora, które wyszły już przed kilkunastu laty. Wielkie zmiany zaszły przez ten czas i w kraju i z samym autorem. Polska trzykrotnie rozrywana przez sąsiednie mocarstwa, wskrzeszona w małej części przez Napoleona, po upadku jego zredukowaną zostaje na kongresie Wiedeńskim do Rzeczypospolitej Krakowskiej. Autor dawniej widz bierny i spektator wypadków, teraz występuje na scenę jako działający, jako pierwszy prezes małej tej Rzeczypospolitej, której dzieje opowiada z czasu swego ośm-nastoletniego urzędowania.

Zacny i prawego charakteru zażył on nie mało trudności stojąc u steru z władzą ograniczoną przez dodaną mu przez mocarstwa pomoc trzech rezydentów, w ogóle źle usposobionych dla Polaków. Pierwsze lata mijają mu spokojnie z wyjątkiem burdy akademickiej, ale za to spowodowanie zwłok księcia Józefa i Kościuszki do Krakowa i wzniesienie mu mogiły zaliczyć potrzeba do świetniejszych chwil jego rządów.

Większych nierównie kłopotów przysparza mu usiłowanie zreformowania Akademii, której młodzież rozhukana, ma w Rektorze swoim obrońcę swoich

swobód, a osobistego nieprzyjaciela — prezesa. Nieszczęśliwy wybór kuratora i jego nietakt w postępowaniu sprowadza burzę, młodzież awanturuje po mieście z bronią, obozuje w Krzeszowicach przez dni kilka, a w końcu ściągą swem postępowaniem zakaz u postronnych dworów, wzbraniający poddanym swoim frekwencyi na Akademię krakowską. Wszystko złe wali się na głowę prezesa, jakoby on był wszystkiemu winien. Reforma sądownictwa najwładliwszego pod słońcem i zajęcie generała G. z szwajcarkiem, a więcej jeszcze krzyki opozycji zmuszają go, że składa swój urząd po wybuchu listopadowym i wyjeżdża do dóbr swoich.

Miał autor i pole i materyał do napisania zajmującego opowiadania. Niestety, jak sam wyznaje, wziął się do skreślenia pamiętników swoich w wieku sędziwym, kiedy go pamięć zawodziła, a stracony wzrok nie dozwalał należycie uporządkować i spożytkować materyałów. Przy tem dotknięty niewdzięcznością, intrygami tłumaczy się co chwila z goryczą i nadaje pamiętnikom ton obrony *pro domo sua*.

Z.

Drugie sto zdań dwuwierszowych ks. A. S. Krasińskiego, b. biskupa Wileńskiego. (Kraków, w drukarni Czasu 1888).

Św. Grzegorz z Nazianzy, ustąpiwszy dobrowolnie z biskupstwa konstantynopolskiego, dla zażegnania prześladowania, i żyjąc do lat sędziwych na ustroniu, pustelnię swoją umajał książkami, i do ostatniej starości pisał prozą i wierszem. Takiego pustelnika mamy w Krakowie

Przed rokiem wyszło z pod jego pióra, w wspaniałem wydaniu: *Sto zdań dwuwierszowych*; teraz drugie sto zdań prasę opuszcza. Drogocenny upominek, który czcigodny wyznawca młodszym pokoleniom zostawia, aby go miały przed oczyma, jako ozdobę stołu familijnego, i zaglądając doń raz po raz, znajdowały pod wdzięczną formą epigramatu poważne myśli, które długie i pełne życie natchnęło

Klasycyzm przeszłego wieku, którego sędziwy autor jest żyjącym przedstawicielem, przebija się w formie i odlaniu każdego z tych pięknych dwustu zdań. Czasem nawet uderza wyrażenie nowe, a bardzo szczęśliwe:

Choćbyś jak cedr Libański głową sięgał nieba.
Szacunku nie wygrozisz — zasłużyć nań trzeba.

Myśli są trafne, nieraz głębsze, zawsze pogodne jak filozofia chrześcijańska. Oto np.:

Księga stworzenia leży przed każdym odkryta,
Lecz w niej tylko geniusz Boską myśl wyczyta.

Wiara, ciepło i światło jako słońce leje,
Rozum jest jako księżyc: świeci a nie grzeje.

Albo znów:

Na grobie twoim wieńce złożą i zapłaczą,
Wyższości twej za życia nigdy nie przebaczą.

To było w Wilnie godło Filaretów złote:
Wiedzę kochać jak siostrę, a jak matkę — cnotę.

Niekiedy to, co przeżył poeta przebrzmiewa w wierszu, i nadaje zdaniu moralnemu szczególną siłę:

Kiedy ci złości ludzkiej chce szkodzić potęga,
Wznies ducha tak wysoko, gdzie złość już nie sięga.

Albo ten piękny wiersz:

Pisz dary na marmurze a krzywdy na piasku.

Innymi razy widać projekcyę dzisiejszych prądów myśli na pogodną duszę autora:

Ludzkość w sześćdziesiąt wieków to przecież zdobyła,
Ze ludźmi rządzi prawo, zwierzętami siła.

I znowu:

Inny tam cel być musi, nie oświata młodzi,
Gdzie tak uczą, że potem odczuć przychodzi.

Albo to wzniosłe zdanie przeciw dzisiejszemu pesymizmowi:

Bóg tam działa gdzie ludzie nie widzą sposobu,
On wyrzekł: Wstań! i Łazarz wyszedł żywy z grobu.

Dziękując czcigodnemu Autorowi za ten złoty podarek, tuszymy, że nie jeden czytelnik spełni jego życzenie w ostatnim zdaniu wyrażone:

Jeśli z tych zdań choć jedno w pamięć tobie wrosło,
Niech w życiu twem zakwitnie by owoc przyniosło.

X. M. M.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Misère et remèdes, par le Comte d'*Haussonville*, ancien député.
Paris. Calmann Lévy. P. 552.

Nie w jednej tylko Galicyi kwestya „nędzy społecznej“ stoi na porządku dziennym; w najbogatszych nawet krajach to widno, choć zapewne nie tak jak u nas przerażające, straszy jednak i pod twardem swem berłem trzyma tysiące i miliony ludzi, — a jeżeli tyran ten, stosunkowo przynajmniej mniej tam potężny, niż u nas, to dlatego może właśnie, że tam oddawna już ludzie dobrej woli odważnie mu w twarz spoglądają, obmyślają coraz inne środki przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi i energicznie wprowadzają je w życie. Jednym z takich ludzi dobrej woli we Francyi jest hr. d'*Haussonville*, który przedstawiwszy nam w poprzednich swych

działach los i historię dzieci w Paryżu; historię, skutki i potrzebne reformy w zakładach karnych we Francyi; naszkicował w pouczającej książce, wymienionej w nagłówku, ogólny obraz nędzy nie w Europie, lub w całej Francyi, ale w samym tylko Paryżu; zapytał się, jaką bronią tę nędzę, tak bujnie krzewiącą się w ognisku cywilizacji europejskiej, jeśli nie zwalczyć, to przynajmniej osłabić. Jak widzimy przedmiot ciekawy, tem ciekawszy, że autor opisuje w ogóle tylko to, co sam własnymi oczami oglądał; książka pouczająca tem bardziej, że napisana spokojnie i przedmiotowo, oparta nie na wyobraźni, lecz cyfrach i faktach; wyszła nie tylko z pod pióra, ale i z serca uczonego i badacza, w którym nauka nie wyziębiła ludzkich uczuć, nie zatruliła chrześcijańskich zasad.

Czy rzeczywiście, pyta autor, w Paryżu np., w stolicy jednego z najbardziej ucywilizowanych narodów, panuje straszna, naga nędza; czy zaradzić jej nie można? Na to pytanie, choć zdawałoby się tak proste, dają nam ekonomiści dwie wręcz sprzeczne odpowiedzi: jedni i na teraźniejszość i na przyszłość patrzą w rozpaczająco czarnym, drudzy w wyłącznie różowym kolorze. Prawda leży w pośrodku. Nędza dziś jest wielką, choć nie największą jaką kiedykolwiek istniała; radykalnych środków przeciw niej nie było i няма, ale są lekarstwa zmniejszające i uśmierzające złe, i na tem cała sztuka, aby najpraktyczniejsze z tych lekarstw poznać i odpowiednio ich używać.

Urzędowe sprawozdanie z 1886 r. podaje przerażającą cyfrę 465,260 ubogich paryskich, potrzebujących wsparcia z grosza publicznego; w rzeczywistości otrzymuje jałmużnę rządową około 200.000 osób, liczba bądźco bądź znaczna na ludność dwu milionową. Ubogie te, żebracze rodziny wypędzane są stopniowo, samą siłą rzeczy, na same krańce Paryża; kto zapuści się w te strony niebezpieczne dla bogatszych śmiertelników, a miłe chyba dla oka naturalistycznych romansopisarzów, ten odkryje brudne, wstrętne obozowiska, o których jedynie najskrytsze zaułki naszego *Kazimierza* dać mogą jakieś wyobrażenie. W jednym nie pokoiku, ale dziurze, niby wyżłobionej pod dachem, spotkał autor sześć istot ludzkich: rodziców i czworo dzieci; w małej piwniczce o trzech metrach szerokości a sześciu długości, spało ośm osób; wielu mieszka całe życie w na-prędce skleconych chlewkach; nieprzebyte

wały śmieci, błota i nieczystości otaczają wysokie, przez spekulantów jak najtaniej i najgorzej zbudowane domy, w których nędza, brud i występki walczą o lepsze. Na 47,627 mieszkań zajętych przez notorycznie ubogich, przeszło połowa, bo 27,385 składała się z jednej ciółki; 3,735 były przez całą zimę nieogrzewane; 3192 zaopatrzone były tylko w rodzaj okien wychodzących na korytarze lub na schody. A przecież szczęśliwi jeszcze ci, co choć taki kącik, byle własny mieć mogą. Cztery razy do roku ciągną po ubogich dzielnicach Paryża długie procesye rodzin, wypędzonych z mieszkań dla niemożności złożenia umówionego czynszu, szukających jakiegoś, choć chwilowego przytułku. Ci, co mają jeszcze parę franków w kieszeni, znajdują tymczasowy przytułek we wspólnych dormitarzach, w najgorszej zazwyczaj używających sławy „hotelach“; inni, mniej bogaci lub mniej przemysłni, zadawalniają się ławkami, rozstawionemi po ogrodach publicznych, wciskają się do opuszczonych baraków, do statków z węglem rozstawionych wzdłuż brzegów Sekwany...

Takie mieszkania ubogich paryskich; jakież ich życie? Ledwo dzieci przychodzą do używania rozumu, już znają wszystko; w licznych gromadkach stają z okiem pełnem ciekawości przed drzwiami kawiarni i domów, o których istnieniu wiedzieć by nie powinny. Od siódmego do dwónastego roku dziecko uczęszcza do szkoły; jedyny to względnie najszcześniejszy czas, który przed laicyzacją szkół, przed walką toczącą się obecnie na całej linii przeciw religii i Kościołowi, zostawiał w młodocianych sercach przynajmniej nasienie dobrych zasad i cnót; dziś, w ogóle mówiąc, i tego nasienia niestety! nie zostawia. Po wyjściu ze szkoły otwiera się dla wychudzonych na ciele, nie mających żadnej moralnej podpory w otrzymanej nauce dzieciaków, najniebezpieczniejszy peryod życia w warsztatach i fabrykach, które, z bardzo nielicznymi wyjątkami, stają się dla nich praktycznemi akademiami zepsucia. Czego nie robi warsztat, tego dokonają bezecne widowiska, śpiewy, pantominy po karczmach i ludowych teatrzykach. Budynki te napełnione zawsze tysiącami, nawet stosunkowo ucześciwych robotników; podczas gdy Kościoły i kaplice, owe naturalne twierdze moralności, coraz mniej licznych pobożnych ściągają. W r. 1880 na mniej więcej 50.000 zmarłych, 5020 odmówiło przed śmiercią wszelkiej posługi religijnej; w r.

1883 cyfra ta wzrosła do 12.192 na 57.660 zmarłych. W najuboższych dzielnicach Paryża liczba pogrzebów cywilnych wynosi 40 procent. Łudzić się nie można i nie należy; niewiara w Paryżu rośnie, a wspólnie z niewiarą wzrasta niemoralność, podsycana bez przerwy najobrzydliwymi obrazami i pismami. Zmordowany robotnik i robotnica szuka wytchnienia, zapomnienia o swej biedzie w tych obrazach, pismach, widowiskach; a one, zamiast użyć rzeczywistego a tak koniecznego wytchnienia, ściągają ich na niższy jeszcze szczebel nie tylko moralnej, ale zbyt często i fizycznej nędzy.

Dalszemi przyczynami nędzy jest nieproporcjonalnie szybkie, stosunkowo do szczupłych środków życia, mnożenie się rodzin ubogich i zarobek, nieraz mimo natężonej pracy, zbyt szczupły, lub do pewnych tylko pór roku, do pewnych okoliczności ograniczony. Na mieszkanie wydać musi nawet ubogo i samotnie mieszkający robotnik do 150 fr. rocznie; na jedzenie około 500 fr.; na ubranie około 100 fr.; kto dziennie nie zarabia w Paryżu, i to dla siebie jednego wyłącznie, przynajmniej 2.75 fr., tego bez ogródki nazwać należy nędzarzem. Iluż robotników może się poszczycić, że taką sumę zarabia? Są wprawdzie rzemiosła, które przynoszą zgrabniejszemu i rozumniejszemu do 15, 20 a nawet do trzydziestu fr. dziennie, ale są to bardzo nieliczne, w ogólną rachubę nie wchodzące wyjątki. O wiele liczniejsza kategoria robotników rachować może na 4—10 fr. dziennego zysku; praca wymagająca jedynie sił rąk przynosi 3.25, 3, a nawet tylko 2.75 fr. — a wielu wymaganej siły rąk nie posiada, lub mimo dobrej woli użyć jej nie może! Członek wielkiej armii „gałganiarzy“, koczującej niby w odrębnem mieście na krańcach Paryża, zarabia od 1.50—2 fr. mozolną, raczej całonocną, niż całodzienną pracą. Żebraków, włóczęgów, ludzi żyjących z dnia na dzień, bez żadnego stałego zajęcia, liczy stolica Francji około 15.000; zarobku — jeśli o zarobku może tu być mowa — tych nieszczęśliwych, lub wykończonych ludzi obliczyć nawet w przybliżeniu nie podobna; w każdym razie bardzo wielu z nich stoi niżej od „gałganiarzy“ równie w społecznej, jak i pieniężnej hierarchii. — Z czegoż ci biedacy żyć mają, nieraz bardzo liczną, do pracy często już, lub jeszcze niezdolną rodzinę, kiedy choćby chcieli, to od własnych ust nie mają czego odjąć?

Mężczyzna zawsze i wszędzie łatwiej sobie poradzi; cięższy

los kobiety, zarobek jej bezpośrednio mniejszy; długie przerwy w pracy, bądź dla choroby, bądź dla niepomysłnych warunków handlowych, o wiele częstsze; nędza w skutkach i straszniejsza i niebezpieczniejsza. Bardzo niewiele tylko kobiet oddać się może zajęciom, w których rozum ich i dowcip, znajdując dla siebie odpowiednie pole, znacznieszeby też zyski zapewniał; o wiele większa część kobiet choć nie zbyt wyężdżająca, to ciągłą, żmudną, bez wytchnienia pracą potrafi dojść tylko do ochronienia się przed ostateczną nędzą. Dobra np. kwieciarka może wprawdzie zapracować do sześciu franków dziennie, ale robienie kwiatów popłaca tylko przez 4 miesiące w roku; w innych miesiącach musi choć najrzęczniejsza w tym fachu dziewczyna żyć ze zrobionych oszczędności, lub chwycić się innego rzemiosła. Modystka zarabia od 3—4 fr.; zwyczajna krawcowa od 2·50—3 fr.; szwaczka, niewypuszczająca z ręki igły dzień cały, czuje się za szczęśliwą, jeśli zapracuje sobie 1·25—1·50 fr.; wiele z nich może rachować zaledwie na 0·80 dziennego zysku. Tymczasem wzrok zmęczony nocnem szyciem szybko się tępi, palce grubieją; szwaczka przedwczesną starością ku ziemi pochylona chwytając się musi coraz niewdzięczniejszych robót: za uszycie tuzina worków bierze 0·15 fr., a po 16 godzinach niewolniczej pracy dojść może do *maximum* dziennego zarobku: 0·90 fr. Szczupła tylko garstka najrzęczniejszych i najpracowitszych do tego *maximum* dochodzi!...

Kobieta sama, na własną swą pracę ograniczona, wyżywić się nie może: oto aksyomat powszechnie przyjęty w Paryżu między ubogą częścią ludności, aksyomat, jak z powyższych dat wypływa, z niewielu wyjątkami, z prawdą zgodny. Z drugiej strony nie każda dziewczyna znajduje i znaleźć może naturalnego opiekuna w przywiązany i zapobiegliwym mężu; nie chcąc, czy nie mogąc znaleźć męża, szuka kochanka, który żywi ją przez lat parę, a potem nienitościwie zostawia na pastwę losu z dwoma lub trzema drobnymi dziatkami. Przed nieszczęśliwą stoją dwie drogi: śmierć z wolnego głodu, lub rzucenie się na oślep w przepaść występku: najczarniejszy to może punkt tego i tak już bardzo czarnego obrazu.

Jak walczyć ze straszną tą nędzą; jakich użyć środków, nie do zupełnego jej zwalczenia, bo to niepodobnem, ale do jej ulżenia? Dwie szkoły ekonomistów i filantropów francuskich wręcz przeciwnie sobie na to pytanie odpowiadają. Pierwsza szkoła *histo-*

ryczna, którą założyli i do której należą ludzie wyznający i opierający się na zasadach chrześcijańskich, wychodzi z założenia, że od czasów rewolucyi nędza olbrzymio wzrosła; owszem, że pauperyzm — jako taki — z rewolucyi się zrodził, i konsekwentnie wróciłyby chciała, przynajmniej w pewnej mierze, do cechów, stowarzyszeń, urzędów kwitających w dawnej Francyi. Bezwątpienia, ani wieśniacy, ani robotnicy francuscy nie znajdowali się przed rewolucyą w jakiejś egipskiej niewoli, nie znajdowali się bynajmniej w nędzy, o której bajali mowcy konwentu, a na ich słowo rewolucyjni historycy; ale oddawszy tę słuszność prawdzie czy można, pyta się Haussouville, stawiać dawną Francję za wzór i ideał dobrobytu? W każdym razie po wsiach panowało wówczas większe jeszcze niż dzisiaj ubóstwo; „nagich, czarnych“ ludzi, o których np. pisze La Bruyère, dziś przecież we Francyi nie spotkasz; nie można dziś powiedzieć z Vaubanem: „Lud, w ogóle mówiąc, rzadko kiedy pije wino, trzy razy do roku je mięso, mało używa soli; trzy czwarte ludności zimą i latem chodzi w na pół przegniłem płótnie, kryjąc gołe nogi w chodakach“. Fabryki, zupełnie jak dzisiaj, rozpuszczały od czasu do czasu robotników dla braku roboty, a nieszczęśliwi ci umierali z „głodu i biedy“; robotnicy organizowali bezrobocia i znowu z własnej swej winy „z głodu i biedy“ umierali; tylko dziś o każdym bezrobociu, wybuchłem w najlichszej francuskiej mieścinie uwiadomiona jest telegraficznie cała Europa, naonczas i w całej prowincyi o niej nie wiedziano. Przypatrzywszy się bliżej, różowy, idylliczny obraz dawnych urzędów, stosunków i dawnego dobrobytu, ani różowo, ani idyllicznie nie wygląda; rewolucya dość głupstw i zbrodni dźwiga na swych barkach, i niema żadnej potrzeby obarczać ją jeszcze w rzeczywistości niepopelnionemi.

Druga szkoła: *liberalna* przedstawia rewolucyę, jako źródło, z którego coraz szerszą rzeką płynie dobrobyt i szczęście. Zasady i zapatrywania się tej szkoły tem mniej jeszcze spokojną krytykę wytrzymują: wiele stowarzyszeń robotniczych upadło właśnie dla tego, że zasady republikańskie chciało u siebie w praktyce przeprowadzić i po czasie dopiero z własną szkodą przekonało się, na jak kręte i szkodliwe ścieżki sekcjarski doktryneryzm zwykł wprowadzać. Mniej teoryi, więcej praktyki! — oto hasło, które przyjąłoby należało w walce przeciw nędzy; jakichże, stosując się do

tego hasła, użyto i użyć należy środków w walce przeciw nędzy i jej smutnym skutkom; jakie środki te dotychczas wydały rezultaty?

Na te praktyczne pytania odpowiada autor w ostatniej części swego dzieła. Pierwszym, zasadniczym niejako środkiem służącym do zapobieżenia nędzy była, jest i zawsze pozostanie z pracą połączona rozumna oszczędność, raz tylko w tej, drugi raz w innej formie się objawiająca, przesuwając się przed oczami naszymi cała niemal historia oszczędności we Francyi. Ale oszczędność sama, przynajmniej w jednej z pierwotnych form pomyślana, wystarczyć nie może. Przychodzą jej w pomoc liczne, a na bardzo różnych zasadach oparte stowarzyszenia, spółki spółdzielcze, banki ludowe i t. d. Czy spółki te, czy wszystkie te środki same wystarczyć mogą, czy mogą się obejść, a może nawet w bliższym lub późniejszym czasie powinnyby zupełnie usunąć działalność miłosierdzia, przez chrześcijaństwo w całej pełni w świat wprowadzonego. Do niedawna jeszcze miłosierdzie uchodziło za cnotę, którą nawet najwięksi wrogowie innych cnot chętnie się chlubil; dziś znaleźli się ekonomiści ogłaszający miłosierdzie nie tylko za sprzęt niepotrzebny, ale wprost za wroga rodzaju ludzkiego; znaleźli się filozofowie, którzy, przyjmując odważnie wszystkie logiczne następstwa darwinistowskiej teorii, wołają wspólnie ze Spencerem: „Precz z miłosierdziem, bo ono opóźnia śmierć słabych, zwycięstwo mocnych, a tem samem opóźnia postęp ludzkości!“ Na nieludzkie to hasło odpowiada d’Haussonville wyczerpująco, sławiąc znaczenie, wartość i konieczność rozumnego miłosierdzia chrześcijańskiego. Wielu miesza pojęcie miłosierdzia z pojęciem jałmużny, gdy tymczasem jałmużna jest tylko jednym ze sposobów wykonywania miłosierdzia, najmniej kosztującym i zazwyczaj w błogie skutki najmniej obfitym. Miłosierdzie w szerszym słownym znaczeniu żąda ofiar, poświęcenia; daje nie tylko pieniądze, ale czas, pracę, serce, daje ciągle, dużo, niczem się nie zrażając. W ten sposób zrozumiane miłosierdzie przez religię Chrystusową na świat wprowadzone, usuwało i usunąć może przynajmniej najtwardsze następstwa nierówności warunków, w jakich ludzie zawsze żyli i żyć będą. „Bez wątpienia, gdyby nawet miłosierdzie daleko większą niż dzisiaj rolę odgrywać mogło, to zawsze bardzo daleko byłoby rodzaju ludzkiemu do ideału, sprawiedliwości i szczęścia, którego umysł potrzebuje, którego serce pra-

gnie; ale czyż nie równie wielka jest odległość między szczytem najwyższego pomnika ludzkiego, a najbliższą z gwiazd rozsianych na firmamencie niebieskim?"

Temi pięknymi, głębokimi słowami kończy d'Haussonville swe dzieło, równie pouczające, jak ciekawe. Jakże ciekawem i pouczającym byłoby dla nas podobne dzieło, oparte na dokładnym z cyfr i szczegółów składającym się opisie, nędzy panującej w któremkolwiek z większych miast naszych; czy obraz np. mieszkań, życia, czynności wielu mieszkańców jednego tylko Kazimierza nie dorównałby w grozie obrazowi nędzy paryskiej? Najprzód choć z przykrością trzeba samejże *nędzy* oko w oko spojrzeć; następnie dopiero — jak to uczynił d'Haussonville odnośnie do Francyi, a raczej do Paryża — zapytać można, jakich *lekarstw* dla zapobieżenia nędzy używać?

B.

Essai sur le libre arbitre, sa theorie et son histoire, par George L. Fonsegrive. Paris, ancienne librairie Sermer Bailliére et Comp.

Pod tym tytułem wyszło pod koniec 1887 r. drugie wydanie niniejszego dzieła, poświęconego roztrząsaniu kwestyi o wolnej woli w człowieku. Pracę tę dzieli autor na dwie części, z których każda może być uważaną za dzieło odrębne. W pierwszej przedstawia nam historycznie różne systemy, dotyczące wolności woli. Począwszy od pierwszych jej zarysów, występujących w pogańskich wieszczach, przechodzi filozofów przedchrześcijańskich: Epikura, Sokratesa, Platona, Arystotelesa; wstępuje w świat chrześcijański uosobiony w teorii św. Augustyna i Tomasza — stąd przechodzi filozofią wyzwalającą się z pod urojonego jarzma scholastyizmu w Kartezjuszu, i rozwija przed czytelnikiem wszystkie zdania i poglądy na wolną wolę, aż do najnowszych dochodząc czasów.

W tym rozwoju historycznym starał się autor przedstawić nam różne zdania czysto przedmiotowo, nie zaś, jak niektórzy czynią, patrząc na wszystko przez pryzmat własnych zapatrywań. To też każdy z przeciwników autora wyznać musi, że p. Fonsegrive z całą bezwzględną sumiennością przedstawił nam wszelkie teorie, wcale nie licując z jego indywidualnem przekonaniem. Na końcu wypowiada swe osobiste przekonanie, że występuje jako obrońca wolnej woli, stając po stronie Augustyna i doktora anielskiego.

Mimo najlepszych chęci i zamiarów autora, wkradły się w jego pracę niektóre usterki i błędy. I tak przedstawia autor Kartezjusza, który wynalazcą jest prawa stateczności siły, jako przeciwnika wolnej woli, stawiając go obok Wikleffa, Lutra i tym podobnych. Jak sam autor zeznaje Kartezjusz broni wolnej woli, a że ze źle zrozumianego zdania o stateczności siły wyprowadzają niektórzy dowody przeciw wolności woli, tego jeszcze na karb Kartezjusza po-

liczyć nie można, nie za wszystkie bowiem wyniki niekoniecznie ściśle rozwinięte odpowiada autor zasady.

Z drugiej strony wyrażenia Fonsegriva, jakoby Dubois-Reymond nie wiedział na jaką stronę się przechylić, czy stanąć w obronie wolnej woli, czy też przeciw niej wystąpić, okazuje niezrozumienie rzeczy. Dubois-Reymond to materyalista najczystszej wody, a jego *ignorabimus* to tylko krzyk zrozpaczonego serca, że nie zna na tyle praw materyalnych, by wszystko w materyalny wytłumaczyć sposób, i że ich nigdy dostatecznie nie pozna. Nie pojmujemy zaś wcale, jak (str. 312) mógł autor w takim towarzystwie pomieścić Bossueta — przecież ten chyba z Dubois-Reymondem nie wspólnego nie ma.

Wybaczamy autorowi, że teoryę św. Augustyna i Tomasza nie rozwinął z wszelką jasnością i precyzją, w tych bowiem autorach kwestya wolności woli ściśle jest złączona z kwestyą łaski, co jest jedną z najtrudniejszych kwestyj teologii. Żądać zaś od autora, by równie biegłym był teologiem, jak filozofem, byłoby za wiele.

Druga część pracy p. Fonsegriva więcej bez porównania budzi interesu, jako wyłącznie filozoficznemu roztrząsaniu kwestyi o wolności woli poświęcona. Na wstępie stawia autor pojęcie wolności woli, przedstawiając wolność, jako antytezę konieczności. Jak bowiem w ostatniej poprzednik zawiera w sobie ten a nie inny następnik, który niechybnie zeń wynika, tak przeciwnie, w pierwszej jeden i ten sam poprzednik różne może następniki — orzeka innemi słowy to, co szkoła, że wolność polega na wykluczeniu wszelkiej nawet wewnętrznej konieczności *immunitas ab omni vinculo etiam interno*. Stąd naturalnem następstwem wynika, że wolność jest w samym wyborze przedmiotu, czyli w przejściu *ex actu 1^o ad 2^{um}* — z władzy do czynu.

Po rozwinięciu pojęcia wolności, przedstawia p. Fonsegrive zarzuty przeciw niej podniesione, fizyczne jako to: statystykę, historję i stateczność siły; psychologiczne: walkę z pragnieniami, motywa skłaniające wolę do czynu, i zarzuty tych co sądzą, że tylko nieznajomość przyczyn powodem jest przypuszczania wolnej woli; wreszcie przechodzi do zarzutów metafizycznych, tj. że wszystko w świecie z konieczności działa, a więc i człowiek, że co Bóg przewiduje, niemylnie stać się musi, że teorya wolnej woli obala zasadę sprzeczności, kończąc zbijanie zarzutów Leibniza *ratione sufficienti*.

Nie mogąc wejść bliżej w ocenienie rozwiązywania trudności, to nadmieniamy, że autor za nadto się łamie z zarzutem zaczerpniętym ze stateczności siły, i nie wie, czy przeciw niej czy za nią wystąpić, wreszcie zawilym i niezrozumiałym dowodem odpowiada, że stateczność siły nie zuosi wolności woli. Naszem zdaniem, wolna wola wprowadza zmianę ruchu we wszechświecie, ale ta zmiana tak jest małą, że zupełnie niknie w obec ogromu świata. Dla wierzących można dodać, że Bóg świat stwarzając, wciągnął w rachubę zmiany, jakie człowiek wprowadza przez swe wolne czyny, i tak urządził wszystko, że wolność rozwojowi świata nie stoi na przeszkodzie.

Bardzo zaś trafnie autor rozwiązuje trudności z odwiecznego przewidywania, wypowiadając nasamprzód i motywując swe zdanie, że o właściwem przewidywaniu w Bogu mowy być nie może, i że wyrażenie *praescientia* z naszego nieudolnego sposobu poznawania wzięte, raczej winno się nazywać *scientia*, u Boga bowiem nie ma nic przyszłego, lecz wszystko jest teraźniejszym i zawsze obecnem myśli Bożej. Po sprostowaniu pojęcia wykazuje, że nie wie-

dza Boża jest przyczyną ludzkiego wyboru, ale wolny czyn jest poniekąd pierwszym. Nie jest to jednak ujmą doskonałości Bożej, bo Bóg poznaje wszystko ze swej istoty, jako przedmiotu determinującego wiedzę Bożą, czyn zaś każdy już przez to samo, że jest prawdziwym, wchodzi w zakres wiedzy, którą Bóg z własnej swej istoty odczytuje.

Następują dwa działy; w pierwszym ocenia autor dowody przemawiające za koniecznością woli, w drugim za jej wolnością. Z pierwszych wywodzi się znakomicie, w drugich może to uderzyć czytelnika, że zwykły dowód, który szkoła scholastyczna podaje, *ex sensu interno*, z wewnętrznego przeświadczenia, autor nie dość uwzględnia, jakby nie ufając jego doniosłości; nie zwraca prócz tego dostatecznej uwagi na to, że wielostronne poznanie tego samego przedmiotu jest powodem, dlaczego wola ani na tę, ani na ową nie przechyla się stronę, pozostając w czynnej obojętności (*indifferentia activa*).

Dwie rozprawy przez kilka ciągnące się rozdziałów *le materiel de la volonté* i *le formel de la volonté ou le libre arbitre* przeprowadzone tak, że czynią zadość wszelkim wymaganiom.

Wreszcie przedstawia autor wyniki teorii o wolnej woli. Jako pierwszy wielkiej doniosłości stawia to, że istota wolnością woli obdarzona, jest panią wszystkich spraw swoich, *domina suorum actuum*. Stąd przechodzi do tego naturalnego wniosku, że prawo natury, jako konieczne, podporządkowaniem jest prawu dobra, które bezpośrednio do wolnej woli się odnosi.

Wnioski moralne jako to: odpowiedzialność za czyny, zasługi lub ich brak, sankcya prawa, to wszystko wysnuwa p. Fonsegrive z pojęcia wolnej woli i dochodzi do tej konkluzji *le monde déterministe est amoral*, która bezpośrednio z przesłanek materyalistycznych wynika.

Jak ważną rolę odgrywa wolność woli w socyalmem życiu człowieka, rozwija z tą gruntowną znajomością rzeczy, jaka głębszym umysłem jest właściwa. Podnosi wreszcie moment estetyczny i dochodzi do tego, że cały heroizm uwielbianych bohaterów, gdyby wolności woli nie było, byłby po prostu czemś koniecznem, a jednakowoż i determiniści podziwiają wielkich mężów przeszłości, a tem samem uznają, że głównym powodem ich wielkości jest wolność woli; co bowiem konieczność wydała, co tak być musi, a inaczej być nie może, na pochwałę bynajmniej nie zasługuje.

Zalety pracy p. Fonsegriva tem są cenniejsze, że wydał je człowiek, obracający się wśród uczonych, którzy po większej części nie podzielają zdań autora. Śmiały i pewny w twierdzeniach, z uszanowaniem traktujący przeciwnika, jasnością i barwnością stylu zachęcający do zbadania przedmiotu skąd inąd zbyt suchego, prócz tego głębokością poglądów i niezbitą logiką zasłużył sobie autor, by go pomieszczono między pierwszymi psychologami współczesnymi. Uznając te zasługi, nadała p. Fonsegrive akademja paryska złoty medal zasługi. Dałby Bóg, by swym rodakom, skupiającym się pod sztandarem determinizmu, otworzył swą pracą oczy, by przejrżeli i uznali, że kto przeciw wolności woli występuje, występuje przeciw wiedzy i godności człowieka, depce jego moralność i grób kopie swej ojczyźnie, jak bowiem autor mówi, podstawą bytu narodów jest moralność, którą znosi każdy, kto wolności woli zaprzecza.

La Russie Juive par Kalixt de Wolski (Paris, Albert Savine 1887).

Literature, już dosyć bogatą, którą wznieciła w tych latach kwestya semicka, wzbogaciło świeżo głośnie dzieło p. Wolskiego. Z tytułu można wnosić, że to echo sławnej książki Drumond'a *la France Juive*; faktycznie jednak (choć może tytuł później dorobiony) dzieło to jest dawniejsze, bo Autor już r. 1885 życie zakończył w Krakowie. Urodzony w początkach naszego stulecia w Kongresówce, Kalixt Wolski po roku 1848 uszedł z kraju do Paryża, a po kilku latach do południowej Ameryki. Tam doznawszy zawodu i w tragicznym wypadku straciwszy żonę, powrócił do Francji, a w końcu ulegając tej tęsknocie za krajem, właściwej wszystkim emigrantom, wrócił z córką do Warszawy, gdzie doznawszy serca i gościnności dawnych znajomych, mianowicie Józefa Korzeniowskiego, znalazł przez pewien czas zajęcie przy zakładających się wtedy bankach rolniczych. Umarł przed trzema laty w Krakowie.

Książka jego, wydana po jego śmierci, stała się w krótkim czasie rzadkością bibliograficzną, gdyż władze żydowskie wykupiły i wycofały z obiegu prawie cały nakład. Daje to miarę jakiej doniosłości są dla nich, a więc i dla nas, szczegóły w niej wyjawione. Jest to streszczenie dla użytku Europy dzieła przechrzty Brafmana, *O Kahale*, wydanego w Wilnie r. 1870; a zarazem jest dla nas objawieniem, w jaką sieć uorganizowaną jesteśmy wpłątani, oraz nauką, jak powinniśmy sami się uorganizować, ażeby nabrać spójni i siły odpornej.

Nie tu miejsce na ważną i wielostronną kwestyę semicką; chcę tylko z obowiązku recenzenta treść książki obiektywnie wyłożyć.

W pierwszym rzędzie między przytoczonymi dokumentami, uderza jasnością swoją mowa pewnego rabina na walnem zgromadzeniu izraelskich przewódców wypowiedziana, którą już był John Radcliffe w angielskiem dziele „Sprawozdanie z wypadków polityczno-historycznych z 10 lat ostatnich“ przytoczył.

„Naród nasz stopniowo się wznosi, i potęga jego wzrasta codziennie. Nam to przyświeca blask dnia dzisiejszego, bożyszcze powszechne tej epoki, cielec złoty, który Aaron wzniosł dla nas na pustyni. Gdy więc staniemy się władcami złota ziemi całej, wtedy i istotne panowanie przejdzie w ręce nasze, i spełnią się obietnice uczynione Abrahamowi.

Złoto, najwyższa potęga ziemi, złoto, które jest zarazem siłą i nagrodą, źródłem i narzędziem wszelkiego używania, wszystkim, czego człowiek się obawia i co pożąda — oto wielka tajemnica umiejętności życia i duch, który światem włada, — oto przyszłość! Nieprzyjacielem nasi byli panami ośmnastu wieków; ale wiek obecny i wieki przyszłe muszą do nas należeć, do nas ludu Izraelskiego, i z pewnością do nas należeć będą.

... W żadnym z wieków poprzednich przodkowie nasi nie zdołali skupić w naszych rękach tyle złota, a w skutek tego tyle władzy, ile nam jej udzielił wiek XIX. Możemy więc sobie podchlebić bez zuchwalej iluzji, że niedługo osiągniemy celu.

Czasy prześladowania dla nas minęły, dzięki postępowi cywilizacyi u chrześcijan; a postęp ten jest najsilniejszym puklerzem, poza którym możemy stanąć i działać. Wszędzie Żydzi są panami położenia finansowego; królowie sami obciążeni są długami: giełda zalatwia te długi, — a my jesteśmy królami giełdy.

Rolnictwo stanowi bogactwo każdego kraju, — zaczem usiłowaniem niech będzie opanowywanie większych posiadłości ziemskich.

Pod pozorem przychodzenia w pomoc klasom pracującym, trzeba wszystkim podatki nałożyć na właścicieli większych obszarów ziemi, a gdy wszystkie już majątki będą w naszych rękach, praca proletaryatu, źródło zysku dla zamoznych nam przysługiwać będzie. Ażeby zaś zysku tego nigdy nie utracić, należy utrzymywać ludność w stanie proletaryatu.

I przechrzczeni mogą stać się dla nas wielce użyteczni przez zaszczepianie w umysły chrześcijan pojęć liberalizmu i sceptycyzmu, — gdyż Kościół katolicki jest naszym najprzedsniejszym wrogiem...

Żadna gałąź nauki nie może nam być obcą, czy to medycyna, czy prawo, muzyka czy literatura, czy nauki ścisłe: — na każdym polu wpływ sobie zdobyć musimy. Na katedrach profesorskich niechaj Żydzi zasiadają: Sądownictwo w ich rękach spoczywać musi. Urzędy, zwłaszcza stanowiska ministrów przez nich muszą być zajmowane.

Handel wiktuałami: masłem, winem, chlebem, wódką, zbożem, wyłącznie za pomocą faktorów żydowskich odbywać się winien, im korzyść przynosić i wpływ ich w społeczeństwie rozprzestrzeniać.

Zachęcać powinniśmy do małżeństw pomiędzy chrześcijanami i Żydami: gdyż wydając córki za goimów, w zamian za nasze pieniądze zyskamy wśród nich wpływ i pole do działania. Nawet nawracań na wiarę chrześcijańską nie mamy powodu się obawiać: neofici bowiem do nas należą i naszymi narzędzmi stać się mogą.

Dwa czynniki przedewszystkiem zdobyć musimy i do naszych celów naigąć: to jest złoto i prasę.

Ta mowa, z której przytoczyliśmy ustępy, jest istnym programem; książka p. Wolskiego wykazuje dalej przeprowadzenie tego programu; przechodzi po kolei, czerpiąc głównie z dzieła „O Kahale“, wszystkie instytucje, zwyczaje i obrzędy religijne, nakazane przepisami wiary żydowskiej i wglądając we wszystkie szczegóły tak prywatnego jak i publicznego życia Izraelity, poczynawszy od urodzenia dziecka, odwiedzin krewnych, które rodzicom jego wolno przyjmować, od przyprawień potraw, któremi goście poczęstować trzeba, obrzędu ślubnego, kąpieli publicznych, aż do zabudowań synagogi i szkoły do świąt i nabożeństw religijnych.

Zbija on powszechnie utarte mniemanie, jakoby rabin był kapłanem żydowskim. Jest on tylko uczonym w Talmudzie, a prawo przewodniczenia w czasie modlitwy przysługuje każdemu wiernemu, w miarę jego znaczenia i majątku, wszyscy zaś są zarówno poddani prawom hierarchii i uchwałam wszechwładnego *Kahalu*, czyli władzy administracyjnej i *Bet-dinu*, czyli trybunału sądowego.

Zresztą ustawy religijne więcej mają na oku tysiące przepisów i drobnostkowych szczegółów policyjnych, aniżeli zadowolenie wyższych potrzeb duszy. Przeciwnie ideał pozagrobowy, który podtrzymuje ducha chrześcijan i nawet wyznawców Mahometa, jest zaledwie zaznaczonym w dzisiejszej nauce żydowskiej, i słabo się przebija przez zawile objaśnienia ksiąg świętych, a to tak dalece, że zebrania uczonych rabinów w Kassel i Lipsku w r. 1869 miały na celu wymazanie z książek żydowskich do pacierza wszystkich cytat, które wspominają o przyjściu Mesjasza i o powrocie Izraelitów do Jerozolimy; a to dlatego, ażeby nie zaprzętać umysłu Żydów dalekimi aspiracyami, ale iżby mogli nabrać uczucia, iż są stałymi mieszkańcami kraju, w którym się urodzili.

Prawo moralności także ze względów tylko utylitarnych są nakazane i obowiązujące. Krzywoprzysięstwo jest dozwołanem, jeśli ku ogólnemu dobru Izraela posłużyć może. Osobny artykuł nakazuje, aby złe i zepsute mięso sprzedawać goimom, a tylko koszerne i zdrowe zatrzymywać dla klientów żydowskich. W mowie wyżej przytoczonej osobny nacisk jest włożony na to, iż Żydzi mają wstępować do sądownictwa dla wpływania na zreformowanie i złagodzenie praw dotyczących bankructwa; gdyż na niem, tj. na ogłoszeniu licytacji, bankructwa, subhasty polega — jak wiadomo — jedno z źródeł bogactwa Żydów.

Był czas, pisze dalej pan Wolski, gdy lekkomyślność Słowiańska, zamiast czerpać z społeczeństwa żydowskiego bogate nauki, znajdowała w niem powody do lekceważenia Żydów i wyśmiewania się z nich. Lekceważenie to zaiste nie na czasie i krwawo się mści na nas samych.

Żyd Józef Kunung mówi: Kraje zamieszkałe przez chrześcijan, gdy żyje wśród nich ludność żydowska, choćby w mniejszości, będą zawsze przez nią uważane, jako „jezioro wolne, w którym każdy Izraelita może polów czynić“, tj. gdzie na mocy prawa *Haraki* i *Meropii* zakupionego od Kahału i przyznanego mu przez Daion'ów, czyli sędziów Bet-Dinu, może wyzyskiwać i odzierać, bezkarnie i bez konkurencji sprzedanego sobie goima. Przywilejem tym Kahał, rządzący despotycznie w każdym okręgu, sprzedaje prawo wyzyskania nie tylko majątku należącego do chrześcijanina, ale i osoby jego i osób zamieszkałych w jego domu, i równocześnie zabrania każdemu innemu Żydowi wchodzić w jakiekolwiek z nim układy lub interesa, chyba za pozwoleniem nabywcy tego prawa.

Czem Kahał jest dla pojedynczych miejscowości, tem Związek izraelski jest dla świata całego.

W r. 1806 cesarz Napoleon, w zamiarze podciągnięcia i Żydów pod jakiekolwiek prawa, gdyż państwowe zawsze ominąć zdołają, pozwolił im ustanowić prowincjonalne konsystorze na wzór dawnego Synedrionu, czyli zebrania starszych w Jerozolimie. Stąd pierwszy początek *Alliance Israelite*, tej potężnej w siłę i nieprzebranej w skarby instytucji, która rozciągnęła niewidzialne swe sieci na świat cały. W roku 1869 rabinowie zgromadziwszy się w Wrocławiu, postanowili wszyscy zostać członkami związku izraelskiego.

Rządy po czasie się spostrzegły, jaka siła wzrosła obok ich władzy, a usiłowania ich napotkały na opór, któremu uleść musiały.

Aleksander I. ustanowił komisję dla rozpatrzenia się w stosunkach żydowskich i w wzroście ich żywiołu w państwie moskiewskim. Czynnym tej komisji członkiem był pisarz i poeta, minister sprawiedliwości, Dzierżawin.

W ciągu poszukiwań swoich przejął on list znacznego rabina z Białej Rusi do władzy żydowskiej w Strassburgu, z którego się wykazało, że z ogólnych dochodów Kahału przeznaczono na przekupienie członków komisji milion rubli, z których dla samego Dzierżawina przypadało 200.000. Z odkryciem tem pospieszył do cara, w przekonaniu, że wielką wyjawi tajemnicę, i do tym energiczniejszego czynu pobudzi. Atoli... po niejakiem czasie otrzymał rozkaz zaniechania rozpoczętych kroków!...

W obec tego, cóż sądzić o reformach zamierzanych przez rządy europejskie w celu przerobienia, lub choćby okiełzania Żyda?

Jeżeli zaś o reformie Żyda nie ma co myśleć — to oczywiście chrześcija-

nina trzeba zreformować. Taki ostatecznie morał z książki p. Wolskiego i z całej kwestyi semickiej wynika.

H. M.

L' Eposition Vaticane illustrée. Journal officiel par la Commission promotrice.

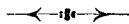
Jednem z pierwszych starań głównego Komitetu rzymskiego organizującego wystawę darów przysyłanych ze wszystkich stron świata na uczczenie jubileuszu Ojca św. — było założenie pisma ilustrowanego, któreby niejako całemu światu tę wystawę unaocznili; obecnie mamy już przed sobą 16 pierwszych numerów tego pisma, i powiedzieć musimy, że zadaniu swemu zadość czyni najzupełniej.

Nie będziemy wyliczać przedstawionych tam kosztowności i dzieł sztuki, bo by to było powtórzeniem tego długiego spisu darów, o których mówiliśmy już kilkakrotnie w *Przeglądzie* (w styczniu i lutym), i które inne pisma tak szczegółowo omawiały. Mimo wszystko co o tej wystawie napisano, ci co najczęściej oglądali wystawę powiadają, że ona o wiele przewyższa oczekiwanie i opisy. Otóż wydawnictwo to ze swemi licznemi i pięknymi ilustracyami zastępuje poniekąd, tym co nie mogą odbyć pielgrzymki rzymskiej, oglądanie wystawy. Prócz wizerunków pojedynczych przedmiotów znajdują się co kilka numerów widoki całych galeryj wystawy, w formacie *in folio*. Wszystkie drzeworyty (i innego rodzaju reprodukcye) są bardzo staranne, po największej części u Angerera według fotografii wykonane. Delikatniejsze dzieła sztuki zdradzają rękę wprawnego rysownika.

Oprócz ilustracji, znajdujących się na każdej niemal stronie, jest tekst ze szczegółowym opisem przedmiotów. Tekst ten jest różnego pióra i różnej wartości, ale znać zwykle fachowych ludzi, nawet takich jak *De Rossi*, przy opisie wspaniałej kopii Biblii *pauperum*, ofiarowanej przez Króla Saskiego.

Miedzy opisami przedmiotów są też opisy uroczystości, przyjęć głównych pielgrzymek narodowych, i wszystkiego co ten tryumfalny obchód chrześcijaństwa ilustruje.

Słowem, wydawnictwo to tak pod względem artystystycznej formy, jak i wewnętrznej wartości zasługuje na uznanie. Wychodzi ono równocześnie w 4-ech językach: po włosku, po francusku, po niemiecku i po hiszpańsku: w zeszytach *in folio* o 8-miu stronach — zeszytów będzie najmniej 40. Pre-numerata na całość kosztuje 20 franków, u Gustawa Bianchi. Rzym, via Palermo 13.



Rozmaitości.

Nie tylko stronnicy rewolucyi gotują się we Francyi do obchodu słynnej rocznicy 1789 r.; w odmienny sposób gotują się do niej i jej przeciwnicy, usiłując wyjaśnić właściwą historję i znaczenie tej smutnej daty. Miedzy nowemi dziełami i książkami w tym kierunku zasługuje na uwagę bogato ilustrowane, popularne wydawnictwo: *La France révolutionnaire par Ch. d'Hericault*, którego pierwszych kilkanaście zeszytów mamy przed sobą. Autor nie trzymając się chronologicznego porządku, jako powszechnie znanego, kreśli wedle współczesnych dokumentów obrazy najważniejszych dni i wypadków,

portrety wybitnych mężów, których imiona bądź złotemi, bądź krwawemi głoskami w ówczesnej historii się zapisały. Serya zeszytów składająca się z 40 stronnic in 4^o zawiera od 12—15 rycin, starannie wykonanych, zazwyczaj wedle współczesnych obrazów, karykatur, portretów. Serya taka kosztuje 50 centymów.

Księgarnia Łukaszewicza ma zamiar niebawem wydać w *Bibliotece Rodzinnej* słynną powieść *Ben-Hur* czyli „Dni Mesjasza“ przez Law-Wallace'a, z angielskiego oryginału przetłumaczoną. Powieść ta żywo zainteresowała nie tylko Anglików, ale — rzecz można — świat cały; nie dawno też okazał się w jednym z poważnych naszych dzienników obszerny jej rozbiór, z którego łatwo można się było przekonać o wartości oryginalnego tego dzieła. Winszując wydawcom szczęśliwej myśli, wyrażamy nadzieję, że pociągająca treść w piękną stylistycznie poprawną przybrana będzie formę. O poprzednich tłumaczeniach zamieszczonych w *Bibliotece* wyraziliśmy już poprzednio nasze zdanie; tu więc powtarzać go nie będziemy, zwracamy na nie tylko uwagę, jeśliby może zachodziła potrzeba, i jeśli jeszcze czas do zapobieżenia możliwym niedostatom. Nie poprawne tłumaczenia dzieł poważnych są niecznośne; niepoprawnego, chropowatego tłumaczenia powieści wprost czytać nie można.

Żywoł Bogarodzicy N. P. Maryi i Jej Oblubieńca św. Józefa. Opracowane podług O. Benedyktyna Rohnera. Mikołajów (Nicolai, Górny Szląsk). Drukiem i nakładem Karola Miarki. — Powinszować musimy wydawcy, który już tyle pożytecznych rzeczy dla ludu ogłosił — tego nowego i pięknego wydawnictwa. Cenne dzieło O. Rohnera cieszy się w Niemczech szerokim powodzeniem, i zostało już pochwalone i polecane przez 33 biskupów. Wydanie polskie, którego mamy przed oczyma I-szy zeszyt, nie ustępuje bynajmniej niemieckiemu. W formacie wielkim in 4-o, na dobrym papierze, wielkim i czystym drukiem, ozdobione jest pięknymi drzeworytami, w najlepszym stylu religijnym, wziętymi przeważnie z Juliusza Schnorr'a. Żałować tylko przychodzi, że te drzeworyty nie są dość starannie (za tłusto) odbite. Ale to małe uchybienie, któremu drukarnia w dalszych zeszytach potrafi zaradzić, kiedy tekst potrafiła wydrukować doskonale. Drzeworytów tych w całym dziele będzie 700, a oprócz tego 8 chromowych reprodukcji, z których już jedną piękną mamy w niniejszym zeszycie. Zeszytów będzie 20 do 24, po 35 centów każdy. Styl nie jest bez przywary, niekiedy trudny dla ludu, w ogólności jednak jest gładki, i czyta się przyjemnie. Ważniejszem jest uchybienie, które także może w dalszych zeszytach da się poprawić, że słowa z Pisma św. nie bywają przytaczane wiernie podług tłumaczenia Wujka.

Lud nasz lubi wielkie książki z dużym drukiem i obrazkami, których styl religijny poczyną coraz więcej rozumieć i cenić. Nie wątpimy, że ta książka będzie dla niego cennym nabytkiem, że osobliwie znajdzie się w czytelnich ludowych i parafialnych, a w końcu ta książka, przez uczonego i pobożnego teologa napisana, nie tylko jest dla ludu, ale dla wszystkich chrześcijańskich rodzin, może być pożytecznym i cennym nabytkiem.

W Galicyi, główny skład Karola Raschki w Tarnowie.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Agitacya przeciw i za wnioskiem ks. Liechtensteina. — Zdziczenie austriackiej młodzieży szkolnej. — Starokatolicka propaganda w północnych Czechach. — Laicyzacya szkół we Francyi. — Walka przeciw Kościołowi w parlamencie francuskim. — Kulturkampf włoski. — Nowy kodeks karny. — Wolnomularska prasa włoska o układach Rosyi z Watykanem. — Wyznania króla szwedzkiego o Kościele katolickim.

Wniosek szkolny ks. Liechtensteina jakby na stwierdzenie, jak ważne a żywo odczute potrzeby poruszył, nie poprzestaje z jednej strony wzbudzać entuzjazmu coraz żywszego, z drugiej gniewów coraz gwałtowniejszych. W parlamencie, choć wniosek nie przyszedł jeszcze na porządek dzienny, rzucił się nań z całą zajądlnością, przy rozprawie o katechetach, członek lewicy Dr. Weitlof, nie szczędząc obelg i złośliwych insynuacyj. Słynny Kronawetter poszedł dalej: wygłosił hymn pochwalny na cześć zlaicyzowanych szkół francuskich i wyraził skromne życzenie, aby i w Austrii zaprowadzić katechizm obywatelski, zamiast niezrozumiałego katechizmu chrześcijańskiego, „bo czyż dziecko może pojąć czym jest Bóg, czy może „pojąć określenie sakramentu, czy może zrozumieć wszystkie tajemnice, któremi katechizm jest naszpikowany?“ Równie nierozumną i chyba tylko śmieszną była mowa wygłoszona na *antiliechtensteinowskim* wiecu w Bodembach, przez burmistrza tego miasta, Perlicka: „Jeżeli wniosek Liechtensteina przemieniłby się miał „w obowiązujące prawo, zawołał energiczny burmistrz, natenczas na-

„deszła godzina przemienić w czyn dawno u nas tutaj w północnych „Czechach żywiony projekt: odłączyć się od obcego nam dziś Kościoła!“.

Im prędzej zgangrenowane członki od ciała odpadną, tem lepiej; groźby odstępstwa od Kościoła nigdy i nikogo na seryo nie straszą, bo ci, którzy do takich środków się uciekają, wykazują jawnie, że właściwie dawno już do Kościoła nie należą. Jak zresztą pewna reforma szkół w religijnym duchu jest w Austrii konieczną, tego dowiódł świeży wniosek, postawiony w wiedeńskiej radzie miejskiej przez profesora Schnarfa, Vaugoin i Wessely. Wnioskodawcy gorzko skarżą się na moralne zaniedbanie i zdziczenie młodzieży szkolnej; wykazują, że najrozmaitsze i najhaniebniejsze występki szerzą się między młodzieżą w coraz bardziej przerażających rozmiarach, i nie widząc innego lekarstwa prócz zakładów poprawczych, założenia takich zakładów natarczywie się domagają. Złe więc jest, to przyznają wszyscy; tylko jedni dla zaradzenia mu wzywają na pomoc religię, zaszczerpić chcą w młodocianych sercach chrześcijańską moralność; drudzy widzą jedyny ratunek w pomnożeniu więzień różnego rodzaju i nazwy; jedni sięgają do samego korzenia złego, drudzy zadawalniają się, wielce zresztą w skutkach swych problematycznym, odcięciem kilku niezdrowych gałązek.

Groźby burmistrza z Bodenbachu same w sobie śmieszne, najmniej nie przerażające, smutne byćby mogły chyba dla tego, że są jednym z objawów starokatolickiej propagandy, rozwijającej się w północnych Czechach. Czem właściwie jest starokatolicyzm? Dawno już odpowiedziano, że jest to nowo-protestantyzm; nauka dozwalająca każdemu protestować przeciw wszystkiemu co mu się nie podoba, przyjmować wszystko, co w jaki bądź sposób jest mu potrzebnem lub przyjemnem. Broszura dopiero co wydana staraniem wiedeńskiej starokatolickiej gminy, a w pewnych okolicach Czech gorliwie rozszerzana, żadnej w tej mierze nie zostawia wątpliwości. „Starokatolicy“, czytamy w tej swego rodzaju encyklice, mają katolicką naukę i katolickie obrządki;... wzięli sobie jednak za cel *oczyścić* katolicką naukę, urządzenia i obrządki ze wszelkich naleciałości“. *Oczyszczenie* to, czyli *reforma* odnosi się na pierwszym miejscu do dogmatu nieomyłności papieskiej; następnie do dogmatu Niepokalanego Poczęcia N. P. Maryi. „Starokatolicka gmina i Ko-

ściół zostaje pod autonomicznym zarządem, wspólnymi głosami wybranej rady kościelnej, tudzież synodu złożonego z duchownych i świeckich. Starokatolicki Kościół wyklucza wszelki przymus, nie zna ścisłego przykazania uczęszczania do spowiedzi, komunii lub poszczenia, pragnąc pozostawić zupełną wolność natchnieniom i pragnieniom serc. Starokatolicy nie wzywają pomocy świętych, lecz Boga; starokatolicy księża nie podlegają przymusowemu celibatowi, lecz i w rodzinnem życiu powinni przykładem świecić“... Nie trudne to i szeroką wolność w życiu i w nauce zostawiające zasady; nie dziw, że pewna liczba bezwyznaniowców, chcąc okazać swą nienawiść dla katolicyzmu, jawnie do tych zasad przyznać się mogła i przyznała się. W *Losdorf* po publicznej konferencji, odbytej pod przewodnictwem jakiegoś pana Nittla, prawdopodobnie starokatolickiego pastora, wyrzec się podobno miało katolickiej wiary 78 osób, a 150 innych — jeśli wierzyć można dość zresztą podejrzanym informacyom *Deutsche Zeitung* — nosi się z podobnym zamiarem. Nittel w dłuższej mowie piorunował głównie przeciw Jezuitom i „opanowywanej przez nich szkole“. „Jezuici, do-
 „wodził mowca, nie byłiby w stanie nałożyć ludzkości ponownie
 „swego jarzma; gdyby nie zagarnęli szkoły pod swą władzę.
 „W szkole rosnące pokolenie uczy się myśleć, sądzić, rozumować;
 „w szkole dziecko dowiaduje się, jak przed latami reformacja po-
 „wstała i jak się krzewiła; dowiaduje się, że np. północne Czechy
 „były niegdyś protestanckimi, i w jaki sposób narzucono im kato-
 „licyzm... Znając wytrwałość Jezuitów wątpić nie można, że dopną
 „celu i zagarną szkołę. Przed latami już przejrzelśmy ten plan
 „i powiedzieliśmy sobie, że do obrony wolności sumienia i rozumu
 „jeden tylko pozostaje radykalny środek, i środka tego chwyciliśmy
 „się: Usunęliśmy się z pod wpływów rzymskich i założyliśmy staro-
 „katolicki Kościół“. Rozumowanie postów Weitlofa i Kronawettera, burmistrza Perlicka i pastora Nittla w niczem w gruncie od siebie się nie różni; wszyscy oni nigdy podobnie chrześcijanami nie byli, prawdziwej chrześcijańskiej nauki znać nie chcą i ścierpieć jej nie mogą: chrześcijańska szkoła równie dawnym, jak i dzisiejszym poganom, apostatom i żydom była i być musi znienawidzonym wrogiem, przeciw któremu walczyć nie przestaną.

W Austrii zajmują wrogowie szkoły chrześcijańskiej odpor ne

stanowisko; we Francji oddawna przeszli na zaczepne i, mimo bohaterskich wysiłków i ofiar katolików francuskich, coraz dalej i z coraz większą bezwzględnością posuwają w tym kierunku swe tatarskie zagony. Wedle urzędowej statystyki, ogłoszonej przez ministerstwo oświaty, zlaicyzowano od października 1886 do października 1887 szkół 628, które liczą obecnie 30.192 uczniów; natomiast założyli katolicy prywatnymi środkami 320 szkół chrześcijańskich z 22.182 uczniami. Dotychczas pozostało jeszcze we Francji 900 szkół publicznych, zostających pod zarządem 2500 nauczycieli zakonników; ale i te szkoły paść mają w najbliższym czasie ofiarą sekciarskiej zaciekłości, a jeśli rzeczpospolita zdoła przeprowadzić dzisiejsze swe plany, to za lat cztery dzieło laicyzacji szkół rządowych będzie dokonane.

Niemniej bolesne, jeśli nie równie szkodliwe, jest rokroczne, coraz znaczniejsze obcinanie budżetu wyznań. Komisya, jak zazwyczaj, chciała nad całym tym budżetem przejść do porządku dziennego; ministerjum i parlament nie zgodzili się na to, i po długich targach zabrano znów Kościołowi około 200.000 fr. „Trudno wymyśleć, pisze słusznie *Journal des Débats*, mniej smacznego żartu, bardziej ośmieszającej komedyi“. A jednak jeszcze niesmaczniejszym żartem było wezwanie przez Labrousse'a wezwanie rządu do skasowania biskupstw założonych po konkordacie 1802 r. Napróżno minister La Faye zwrócił uwagę, że nowe biskupstwa założone zostały, tak jak tego właśnie konkordat się domagał, za wspólnem porozumieniem rządu ze Stolicą św., i że tylko za ponownem wspólnem porozumieniem mogą być zniesione; — kilkunastu posłów naumyślnie czy przypadkiem, czy może właśnie dla splełtania figla rządowi, opuściło salę, i odnośna poprawka Labrousse'a przeszła większością czterech głosów.

„Co sądzić o tym oryginalnym rezultacie? — pyta *Temps*, widocznie zirytowany tą już zbyt długą i zbyt dla Francji kosztowną zabawką. Większość nie była zbyt znaczącą; wszak dość było dwóch głosów do jej obalenia, a pamiętajmy, że pięciu posłów, nieobecnych w czasie głosowania, oświadczyło się następnie publicznie przeciw poprawce Labrousse'a. Zapytać tylko należy, w jaki sposób, po krótkim ale jędnym wyjaśnieniu ministra oświaty, znalazło się tyle republikańskich głosów popierających tę poprawkę. Bądź co bądź, doświadczenie uczy, że lewica bardzo ma niedokładne wyobrażenie o wartości dyplomatycznych umów, i że jej członkowie wyrobili sobie nader oryginalne pojęcia o wzajemnym stosunku mocarstw. Istotnie, chcąc ograniczyć dzisiejszą

liczbę stolic biskupich, choćby dopiero po śmierci odnośnych dostojników, należałoby, jak zauważył p. Faye, rozpocząć z dworem rzymskim rokowania, które, z góry można to powiedzieć, wcale by do łatwych i szybkich nie należały. Niektórzy sądzą wprawdzie, że możnaby poprostu Papieża ignorować: podobna myśl zagnieździć się może wyłącznie w umyśle polityków ślepych lub naiwnych. Dotychczas zadawalniano się kasowaniem praw, odnoszących się do wewnętrznych spraw krajowych i usuwaniem naturalnych następstw z praw tych wynikających; niegodziwy to i nad wyraz szkodliwy sposób postępowania, przeciw któremu nigdy dosyć protestować nie można. Obecnie chwycono się tej samej drogi dla zmienienia praw, dla obalenia stanowisk uregulowanych przez międzynarodowe umowy. Czyż może być znakomitszy i prostszy sposób dla wzbudzenia za granicą ufności, dla podniecenia w zagranicznych kancelaryach ochoty do traktowania z nami na seryo?⁴

Najprawdopodobniej, jak się spodziewa nawet redaktor radykalnej *France*, Ravoul Frary, uchwała izby poselskiej pójdzie do kosza, „bo albo senat wezwać musi swych młodszych kolegów do „cofnięcia zbyt pospiesznie powziętego postanowienia; albo rząd „oświadczy, że ma ręce związane umowami, których własną „ wagą zmieniać mu nie wolno. Nie łatwo dostrzedz korzyści tych „ciąglych szpilkowych ukłóc; a i sama komisya poznać musiała, „że dzieciom chyba jedynie godziłoby się takich używać błahostek „i w tak dziecinny sposób przystępować do rozwiązania tak wiel- „kiego problemu“.

Wolnomularski rząd Crispiego nie chce narazić się na podobne zarzuty. Widząc, że kwestya rzymska, mimo jawnego i tajnego prześladowania, mimo konfiskat dzienników i składania z urzędu katolickich syndyków, z porządku dziennego nie schodzi; rozirytowany jubileuszowymi manifestacyami na cześć Papieża, przyszedł do przekonania, że dotychczasowa walka z Kościołem i Papiestwem nie dość ostrą bronią i nie dość bezwzględnie się toczy. Odpowiednią, ostrzejszą broń, a raczej proste, żadnymi już obłudnymi pozorami nie zakryte kajdany na Kościół i Papiestwo, podać ma Crispiemu nowy karny kodeks włoski, przedłożony parlamentowi jeszcze w listopadzie roku zeszłego, a nad którym rozprawy niebawem mają się rozpocząć.

Kodeks ten, pisze *Moniteur.de Rome*¹, to pomnik nienawiści i prześlado-

¹ Z naszych gazet, *Kurier Poznański* umieścił szereg artykułów o tym barbarzyńskim kodeksie, opierając się na studyum umieszczonem w *Moniteur de Rome*.

wania, kwintesencja tyranii. Bez wątpienia Stolica święta i katolicyzm przeżyły twardsze doświadczenia, chwalebniejsze walki; ale nigdy w całej historii papieżstwa i stosunków Kościoła z państwem duchowieństwo nie jęczało pod jarzmem tak strasznej tyranii. Nie są to krwawe gwałty pierwszych czasów chrześcijaństwa; nie jest to krwawa, gilotynowa rzeź z 1793 r.; nie jest to nawet straszna krzyż *kulturkampfu* z 1874 i 1875 r.; nie! — rząd włoski wymyślił nowy typ tyranii: wojnę, ani na chwilę nie ustającą, wojnę cichą, ścigającą podejrzanych, prowadzoną w ciemności, duszącą bez rozgłosu każdy objaw na korzyść Papieża, używając kilku elastycznych paragrafów, które dosięgnąć mogą najnieвинniejszego człowieka, przeszkodzić mogą w najwykleszych przypadkach wykonaniu świętego prawa, spełnieniu pierwszego obowiązku, obowiązku słuchania religii i sumienia“.

Nie przesadzone to słowa. Artykuł 101 w krótkich, pozornie umiarkowanych wyrazach daje w gruncie rzeczy rządowi straszną broń w ręce przeciw wszelkim katolikom, gazetom, stowarzyszeniom, uznawającym i szanującym świecką władzę papieską: „Kto-
„kolwiek, brzmi ten nad wyraz, choć nie bez celu elastycznie zre-
„dagowany paragraf, dopuści się czynu zmierzającego do oddania
„państwa lub pewnej jego części, obcej jakiej władzy, lub do na-
„ruszenia jedności państwowej, skazanym ma być na dożywotnie
„ciężkie roboty“. Jeśli prawo w ten sposób zredagowane mieć będzie moc obowiązującą, natenczas biskup wydający list pasterski o świeckiej władzy papieża; ksiądz poruszający tę kwestyę z ambony; dziennikarz piszący o niej w swej gazecie; drukarz wydający nieprzyjazną włoskiemu rządowi encyklikę papieską, otrzymać może i na każde skinienie zirytowanego ministra otrzyma wyrok i to wyrok na literze prawa oparty, a skazujący go na dożywotnie ciężkie roboty. Bardziej jeszcze drakońskie, jeśli bardziej drakońskie być mogą, są cztery artykuły, prawdziwe prawa „wyjątkowe“, „wojenne“, wymierzone przeciw duchowieństwu. Artykuły te przewyższające o wiele w zaciekłości, względem Kościoła, prawa ułożone przez francuskich wolnomularzów, a nawet słynne, wyjątkowe prawa pruskie z r. 1874, brzmią:

Art. 173. Duchowny (minister kultu), który wypełniając urząd, poddaje krytyce lub znieważa instytucje i prawa państwowe lub postępowanie władz, podlega karze więzienia aż do przeciągu jednego roku, i grzywnom, aż do 1000 fr.

Art. 174. Duchowny, który nadużywając siły moralnej, płynącej z poruczonego sobie urzędu, podnieca do nieuznawania instytucyj i praw państwowych, lub postanowień władz; albo pobudza w inny sposób do niewypelniania obowiązków względem ojczyzny, lub obowiązków ściśle związanych z pewnymi

publicznymi urzędami; albo wreszcie szkodzi prawowitym interesom dziedziców, lub mąci pokój rodzinny, podlega karze więzienia od sześciu miesięcy do trzech lat i grzywnom od 500 do 3000 fr., tudzież czasowemu lub zupełnemu zawieszeniu w pobieraniu dochodów z beneficjów kościelnych.

Art. 175. Duchowny wypełniający zewnętrzne czynności religijne wbrew odnośnym rozporządzeniom rządowym, podlega karze więzienia aż do trzech miesięcy i grzywnom od 50 do 1500 fr.

Art. 176. Duchowny, który wypełniając lub nadużywając swej władzy, dopuści się jakiegokolwiek występku, podlega karze odpowiadającej temu występkiowi i powiększonej o szóstą aż do trzeciej części, wyjąwszy, jeżeli odnośne prawo karne w szczególności ministrów kultu już miało na względzie.

Niezwykła surowość tych kar uderza tembardziej, jeżeli porównamy je z nadzwyczaj łagodnymi karami ustanowionymi na najgorszych i najszkodliwszych zbrodniarzów. Zdawałoby się, jakby nowe prawo chciało protegować najszkaradniejsze występkę przeciw moralności publicznej, wyznaczając na nie śmiesznie małe kary, które w praktyce z pewnością ledwie w setnym jeszcze, lub w tysiącnym przypadku będą zastosowane. Bezkarność dla zbrodni, jawne prześladowanie religii, papiestwa i kleru: oto cechy tego nowego, jak słusznie go nazwano, proskrypcyjnego kodeksu, którego jawnem zadaniem jest służyć nie sprawiedliwości, ale być narzędziem w rękę sekty. Crispi żadnymi względami się nie hamuje: redaktorowi komunistycznej *Lanterne* skarżył się, że Francya, „dojna krowa papiestwa“, przysłała Ojcu św. tyle podarunków na wystawę jubileuszową; w Wielki Piątek, kiedy wszystkie teatra były zamknięte, kazał ostentacyjnie urządzić dla siebie i dla swych przyjaciół widowisko maryonetek; coś dziwnego, że człowiek depeczęcy w nienawiści swej dla chrześcijaństwa najprostsze uczucia przyzwoitości, nie waha się użyć przeciw Kościołowi najniesprawiedliwszych środków, najbardziej zgubnych dla samychże Włoch, podyktowanych jedynie sekciarską zaciekłością.

Nie miłe też, ale przygnębiające czyniło wrażenie, kiedy dzienniki natechnione przez despotów w rodzaju Crispiego, korzystając z nieroztropnego rozdrażnienia kilku polskich dzienników, wzięły Polaków wrzekomo w obronę przeciw Papieżowi. Bardzo trzeba być naiwnym, aby sądzić, że *Tribuna*, *Riforma*, *Don Chisciotte*, które u siebie radeby katolicyzm w łyżce wody utopić, istotnie interesować się mogą dobrem Kościoła katolickiego w Polsce; nie o Polaków tu chodziło, ale o rzucenie przy nadarzonej sposobności kilku obelg,

kilku oszczerstw na Watykan. Nie możemy też pojąć, jak znaleźć się mógł taki nowicjusz w polskim dziennikarstwie, który te, wrzekomo sympatycznie dla nas skreślone, w gruncie rzeczy najbardziej nam szkodzące artykuły, mógł powtarzać, nimi się cieszyć i za dobrą brać je monetę. *Diritto* ogłosiło nawet sześć artykułów konkordatu, jakoby już zawartego między Rosyą a Stolicą św.; ale nazajutrz już pokazało się, że cały ten elaborat zrodził się w głowie zbyt bujną wyobraźnią obdarzonego dziennikarza. Wiedeński korespondent do paryskich *Débats* wprowadza znów tryumfalnie do Rosyi wszystkie wygnane zakony z wyjątkiem jednych tylko Jezuitów... Widocznie świat dziennikarski gubi się w domysłach — a właściwie nic nie wie; cóż powiedzieć o tych, co na najsprzeczniejszych tych domysłach budują sprzeczniejsze jeszcze oskarżenia przeciw Stolicy św. .

W chwili, gdy piszemy te słowa, pielgrzymka nasza, nadspodziewanie liczna a wybornie zorganizowana znajduje się w mieście wiecznem i otrzymała już błogosławieństwo Ojca św. Jednocześnie z pielgrzymami polskimi, austriackimi, kroackimi, włoskimi z Monaco przybyło do Rzymu przeszło 7000 pielgrzymów francuskich; w tym jeszcze miesiącu staną w Rzymie pielgrzymi belgijscy i hiszpańscy; w pierwszych dniach maja pielgrzymi niemieccy. Szczegółowy opis tego „nowego peryodu jubileuszowych uroczystości“, jak wyrażają się rzymskie gazety, pozostawić musimy do następnego numeru; tem bardziej, że jak się spodziewamy, wyręczyć nas zechce w tym względzie naoczny świadek tych dni tryumfalnych, jedynych w swym rodzaju w dziejach Kościoła i papieżstwa.

W Norwegii, tak długo i tak zawzięcie niedopuszczającej ani promyka katolickiej prawdy, lepsze dni, a przynajmniej nadzieja lepszych dni świtać zaczyna. Król Oskar II. w czasie audyencji, udzielonej wracającemu z Rzymu prefektowi apostolskiemu, Falize, wyraził się z największem uznaniem o katolikach norweskich, jako o najwierniejszych swoich poddanych, najsilniejszej podporze tronu i porządku społecznego w walce przeciw zbyt szybko niestety rosnącemu socyalizmowi. Protestantyzm, wyznał król po prostu, nie jest zdolny stawić czoła tej nadciągającej, gwałtownej burzy; a jednak jedynie duchowieństwo, opierające się na zdrowych, ewange-

licznych zasadach burzy tej stawić czoło może i powinno. Ważne to i dość jasne słowa; w każdym razie od czasów reformacyi po raz pierwszy wyszły podobne słowa z ust skandynawskiego monarchy.

Ks. Jan Badeni.

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków.

Z dziedziny Marsa. — Sahara północy. — Nowy pomysł wodociągów Paryża.

Świat nauki jest wiernym obrazem stosunków społecznych, a że te stosunki tak są naprężone, iż Europa lada dzień spodziewa się usłyszeć świst kul i echo wojenne rozlegające się w najdalszych jej kończynach, więc nie dziw, że w przeddzień tego straszego dramatu wojny, nauka sili się nad ulepszeniem broni, od której dziś zawisł jedynie los wygranej. A nawet świat nowy, zajęty wiecznie swym *business*, przychodzi z pomocą staremu, bo oto niemałego nabiera rozgłosu porucznik Stanów Zjednoczonych, p. Zaliński, pomysłem nowego działu, a raczej maszyny wojennej, która, komprimowaniem powietrzem nabita, całe zapasy masy wybuchowej na dość znaczną odległość przenosi. Pierwszy kolos tego rodzaju stanął we forcie Lafayette. Średnica jego paszczy wynosi 20 cm., długość zaś do 18 metrów dochodzi. Osobna w tym celu zbudowana machina parowa papuje weń powietrze, które wyrzuca pociski dynamitu od 27 do 45 kilogramów wążące na odległość 2700 lub 3600 metrów. O sile i skutkach tego potwora nabierzemy przybliżonego pojęcia, zważywszy, iż najsilniejszy pancernik, ugodzony nabojem choćby w samą tylko krawędź, rozsypie się w atomy! a kilka strzałów rzuconych w morze powoduje piekielny wybuch wszystkich torpedów okolicznych i starczy do zupełnego oczyszczenia portu. Wynalazek przyjęto z oklaskiem, a według *La Revue maritime et coloniale*. P. Berdon, wynalazca słynnych torpedów swego imienia, zaprosił p. Zalińskiego na próbę tych narzędzi zniszczenia. Któremu z nich przyznają pierwszeństwo, przyszłość okaże.

Mimo jednak takiej potęgi dział i coraz to większego postępu artylerji, w wojnach zawsze więcej ludzi ginie od ukąszenia

mniejszego licha, od kul karabinów. To też geniusz wojny Bonaparte słusznie powiedział, że karabin, jako broń mordercza, pierwszą rolę w bitwie odgrywa. Dość popatrzeć w smutne wykazy statystyczne ofiar ostatnich bitew, by się przekonać, że w daleko większym stosunku żołnierz ginie od ognia rotowego, niżeli od kul armatnich. Nie więc dziwnego, że wszystkie mocarstwa bajeczne łożą sumy na udoskonalenie ręcznej broni. Bez wątpienia pierwszą w tej mierze rolę odgrywa zmniejszenie kalibru karabinów. Dzisiejsi bowiem odrodni potomkowie krzyżaków i Podbipiętów nie tylko pancerza nie uniosą, ale muszą mieć samopał jak najlżejszy, bez ujemy jednak dalekości strzału. Ba, ale w tem właśnie trudność nie lada. Dalekość strzału, jak nas pierwsze zasady mechaniki pouczają, zależy od chyżości początkowej, ta zaś w ścisłym pozostaje związku z masą kuli tak, iż cięższa kula po prostu dalej doleci, niżli lżejsza, choćby tą samą siłą wyrzucona. Wszystkie te jednak prawa od dawna znane, wymagałyby chyba zwiększenia kalibru karabinów, a zatem nie pozostawałoby nic lepszego, jak wrócić do rusznic 16 wieku, które rdzą pokryte podziwiamy w muzeach *antiquitatum*. Nowsze doświadczenia wyjaśniły tę pozorną sprzeczność. Wykazały one, iż opór powietrza, który, mówiąc nawiasem, najwięcej chyżości kuli przeszkadza, zależy nie tylko od ciężaru i mocy pocisku, lecz i od przecięcia tegoż, a mianowicie opóźnienie tem będzie mniejsze, im mniejszy jej przekrój w stosunku do ciężaru. Czyniąc zatem przekrój kuli małym, a zwiększając jej ciężar, czyli innemi słowy, wydłużając takową i zwężając można uzyskać dowolnie wielką chyżość początkową przy zmniejszonym kalibrze broni. Ulepszenia takie zapewniają żołnierzowi broń lekką, możność zaopatrzenia się we wielką ilość naboju bez uginania się pod ciężarem ładownicy, co wszystko połączone z ogromną łatwością i prędkością nabijania w systemie repetjerek, mimowoli nasuwa na myśl słowa greckiego poety:

Πολλὰ τὰ δεινὰ κ' ὀδὲν ἀνθρώπου δεινότερον πέλει: (Antygonia Chór II).

Nie wesoly to postęp w kierunku niszczenia. Przenieśmy się już myślą w krainę lodów, o tyle szczęśliwszą, że choć wojny nie zna. Dziewięć już wieków niespełna ubiega od czasów, jak oni straszni „królowie morza“, Normandowie, w jednej ze swych śmia-

łych wypraw, przybili do brzegów Grenlandyi. Dziewięć wieków zatem Grenlandya znana światu, ale tylko z nazwiska. Wnętrze tej dzikiej krainy jest dla nas nieodsłonią tajemnicą, a wiadomości nasze o niej nie sięgają poza obręb, jaki w tej mierze mieli jej pierwsi odkrywcy. Podejmowano wprawdzie jeszcze w ubiegłym stóleciu kilka wypraw w głąb Grenlandyi, nie brakło ich i w naszych czasach, nikomu jednak nie udało się przejść ów kraj z jednego końca na drugi, nikt nie zdołał zbadać wnętrza tej istnej Sahary północy.

I ostatnia wyprawa, którą w czerwcu zeszłego roku odbyli technik amerykański Peary i Duńczyk Maigard trwająca przez 3 tygodnie, w skutkach swych mało od poprzedniej różna, stwierdziła tylko, że wnętrze Grenlandyi jest bezludnem pustkowiem.

A jednak to pustkowie ma swą tajemnicę. Czy są nią może one olbrzymy, którymi czarnoksiężnicy Eskimosów, wedle kapitana Holma, zaludniają te przestrzenie? Czy może płaty kraju zamieszkałego? Nie — tak pyta zabobon; dla nauki samo pustkowie i lody Grenlandyi są tajemnicą. Dlaczego inne części ziemi więcej na północ wysunięte stosunkowo dość bujna roślinność pokrywa, a tu nie prócz lodów? Jaka we wnętrzu tej pustyni panuje temperatura? jakie ciśnienie powietrza? jakie istnieją zjawiska przyrody? jaka natura lodu i śniegu? To są pytania nauki. Nimi to powodowany p. Nausen przedsięwzię w lecie tego roku nową wyprawę, zamierzając przebiec w towarzystwie dwu lub trzech śmiarków całą Grenlandyę ze wschodu na zachód. Ponieważ wiadomości podane przez dotychczasowe wyprawy nie wystarczają do odkrycia przyczyn wyjątkowego stanu tego kraju, p. Nausen zamierza się wybrać z całym zapasem przyrządów meteorologicznych, astronomicznych i fotograficznych; obiecuje sobie zbadać różnicę klimatu, wiatry i ich kierunek, odchylenie igły magnetycznej i inne zjawiska, co, jeśli nie wyświeci zupełnie, rzuci przynajmniej kilka promieni światła na przyczynę istnienia tej Sahary i dozwoli przystąpić do jakich takich wniosków, już nie z hipotez, ale z faktów i liczb wynutych.

To zaś bądź co bądź nie byłoby bez wpływu na ważne zagadnienia nauki.

Znane są zdania uczonych o epoce lodowej w tworzeniu się

ładów, a zdaniem p. Nausena, dowieść można, iż ziemie nasze przebywały nawet dwie takie epoki przedzielone epoką bardzo ciepłą, między lodową zwaną. W tej to międzylodowej epoce gruby olbrzymi zwierz gnieździć się miał np. w Anglii pokrytej bujną, podzwrotnikową roślinnością. Później epoka lodowa zniszczyła te zwierzęta, a z przejściem jej zamienia się Anglia w kraj o strefie umiarkowanej i nader ludny. Jakże prawa rządzą tem peryodycznem a przemijającym pojawieniem się wieków słońca i lodu? Dlaczego lody raz utworzone znikają? Czy te epoki lodowe znów kiedy się powtórza? Oto pytania, powiada p. Nausen, nad którymi łamiąc sobie głowy geologowie wskazują na Grenlandyę. Ów kraj zimna i lodu, choć położony w tej samej szerokości geograficznej, co np. Chrystyania lub Bergen, znajduje się, zdaniem tego uczonego, w takim stanie, jak nasze ziemie w czasach ubiegłych.

P. Nausen z dobrą wiarą w przyszłość swego przedsięwzięcia puszcza się w głąb tajemniczej Grenlandyi i my mu życzymy szczęścia w tej śmiałej a niebezpiecznej wyprawie. Bliżej z żywotnemi interesami ludzkości związana jest kwestya zaopatrywania miast wodą zdrową, nie zawierającą szczątków organicznych, które są zarodkami tyfusów i całej kohorty chorób epidemicznych. Od dawna w szczególności zajmują się tą kwestyą względem kilkomilionowej stolicy Francyi. Odnośnych projektów, których nigdy nie brak w takich okolicznościach, wielka moc; najwięcej jednak zdaje się rokować powodzenia pomysł p. Rittera, choć i innym jak p. p. A. Beau de Rochas i Strauss nie można wielu zalet zaprzeczyć.

Wszyscy zgodnie wskazują na jeziora Szwajcaryi, jako na studnie godne Paryża, różnica cała w ich wyborze. Wedle p. Rittera najdogodniejszym ma być jezioro Neufchâtel, które wodami alpejskiemi zasilane, nawet w czasach największych posuch w dostateczną ilość wody całe miasto zaopatrywać może. Praca, jakiej wymaga kopanie kanałów, wiercenie tuneli, ogromna; sprowadzenie wód jeziora Neufchâtel, ma kosztować najtaniej, bo tylko 300 milionów franków, a robota cała ma trwać 5 do 6 lat. Herkulesowa to praca, ale cóż to znaczy, kiedy woda czysta ma pomniejszyć wedle statystycznych wykazów i obliczeń w piątej części dotychczasową śmiertelność stolicy Francyi! To też Paryżanie oburącz się chwycili jak najrychlejszego urzeczywistnienia jednego z podanych

planów. Nadzieja takiego zysku wałą być może zachętą i do największych ofiar, gdyż w podobnych razach

Audax omnia perpeti — Japeti genus.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wybór przechylili się na stronę projektu p. Rittera, który każdemu Paryżaninowi 600 litrów wody zdrowej i zimnej na dobę dostarczyć przyrzeka, co i na kuchnię i na napój i na kilka wreszcie kąpiei zupełnie wystarczy. A co najwięcej za tym projektem przemawia, to właśnie ta okoliczność, że woda chłodnego jeziora, bo z roztopionych lodowców pochodząca, po odbyciu całej swej drogi ze Szwajcaryi do Paryża, małoby swą ciepłotę zwiększyła, i miłymby była napojem w gorących nawet dniach lata.

Krom tych korzyści szanowny przedsiębiorca obdarzyć zamierza miasto niewyczerpanem, rzecz można, źródłem siły. Urządziwszy bowiem zbiorniki w ten sposób, by woda spadała z pewnej wysokości, wytworzyłoby łatwo siłę 600.000 metrokilogramów czyli 8000 koni, a taki zapas nie byłby bez wyrazu w Paryżu, gdzie użyć go myślą już to we fabrykach przemysłowców, już to jako motoru machin dynamo-elektrycznych, oświetających miasto. Zwłaszcza że w nocy, gdzie mniejszej ilości wody potrzeba, możnaby siłę jeszcze o 900.000 kilogramo-metrów zwiększyć, a tak doszłaby do kolosalnych rozmiarów siły 16.500 koni, jest to więc siła, którą do pracy zaprząglwszy można oświecić 33.000 lamp elektrycznych żarowych. Sprawa zatem elektrycznego oświetlenia, która skutkiem nadzwyczaj wielkiej siły potrzebnej natrafia dotąd na wielkie trudności, teraz, z wynalezieniem tak olbrzymiego zapasu siły, zupełnieby inny wzięła obrót. Koszta samego sprowadzenia wody z odległej Szwajcaryi rychłoby się wróciły, a wody Neufchâtelu nie tylko skrapiałyby ulice Paryża, nie tylko uposażyłyby jego mieszkańców napojem zdrowym, ale nawet stałyby się warunkiem dobrobytu stolicy Francyi.

E. Wereszczyński.

Listy o Rumunii.

V

Jeśli z jednej strony bizantyzm, który przez tyle wieków był jedyną szkołą polityczną dla Rumunów, z drugiej zaś strony nowoczesne doktryny rewolucyjne, godne uwieńczenia tej szkoły, znalazły tak łatwy przystęp do ich umysłów — to niepodrzedną bezwątpienia przyczyną tego była niezmierna powolność Rumunów na wszelkie wpływy, przymiot nieoceniony sam w sobie i słusznie źródłem cnót wielu mienić się mogący, który jednak tam, gdzie brak odpowiedniej siły charakteru — jak w naszym przypadku — stanowi prawdziwe i ciągle niebezpieczeństwo. Naród rumuński obdarzony niepospolitemi zdolnościami, chciwy wiedzy, niezagorzały w przesądach, zarówno łatwo przyjmuje prawdę, jak i daje się pociągnąć przez każdy zły i szkodliwy prąd; naród ten nadzwyczaj łatwo każdemu rządowi się poddaje, zdecydowany na wszystko, zahartowany i nieczuły w cierpieniach, tem samem narażony jest ciągle, aby źle nim rządzono.

Przeszłość Rumunów i ich tradycje nie były w stanie wpoić w nich praktycznego pojęcia zwierzchności, tem mniej wolności w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Przodkowie ich jak nie potrafili stworzyć u siebie prawdziwej arystokracji, tak też nie byli zdolni utworzyć i rządów monarchicznych; a jeśli nowożytni nazywają demokracją to, co było podstawą rządów politycznych dwóch województw, to byłata demokracja w przestarzałym i pogańskim słowa znaczeniu, która w żadnym razie nie poświęcała autonomii ani indywidualnej, ani zbiorowej. Władza jako coś abstrakcyjnego, tj. uważana sama w sobie, bez względu na indywidua, które ją reprezentują i bez względu na mechanizm w ruch ją wprowadzający — nie była niczem innem, jak prawem rozporządzania dowoli i na własną korzyść zarówno osobami i życiem poddanych, jak i dobytkiem narodowym, który prawnie uważany był za własność państwa, a nie osób prywatnych. Supremacya prawa nie miała tu żadnego sensu; w zbiorze dokumentów p. Hurmuzachi'ego widzimy, jak nie-

jednokrotnie przy zmianach ciał dyplomatycznych u zagranicznych dworów dziwiono się niepomrotnie rządóm Rumunii — według widzimisię każdego ster rządów dzierżącego, nie wyjmując nawet przedniejszych gospodarów jak np. Michała Prode (Walecznego), szczególnie zaś zastanawiał wszystkich zupełny brak fundamentalnych praw, ograniczających przywileje książąt. Cały więc rząd redukowal się do pewnego rodzaju despotyzmu, miarkowanego od czasu do czasu jedynie poczuciem chrześcijańskiego sumienia lub wrodzoną dobrocią albo wreszcie względami politycznemi.

Co do bojarów to ci wcale nie mieszały się do rządów wojewody, ale według tego czy potrafili wzbudzić w nim zaufanie lub obawę — byli jego poradcami lub narzędziem; jedynym powodem ich subordynacyi były albo osobiste zasługi rządzącego, albo wyrachowany zysk lub strata wyniknąć stąd mogące; i w rzeczy samej z innych pobudek nie mogli mu się poddawać i uważać go za coś wyższego od siebie, skoro go z pomiędzy równych sobie wybrali i czekali tylko na to, aby jak najrychlej pozbawić go władzy i zająć po nim miejsce. Warunki najwyższej władzy, pomimo jej elastyczności, były zawsze zmienne i prowizoryczne, zwłaszcza w oczach ludu władza nigdy nie miała tego religijnego uroku, jaki wzbudza zostając nieprzerwanie i nienaruszenie w dziedzicznej dynastyi. Ciągłe bunty, detronizacye i zabójstwa z jednej, ucisk ludzki i ciągłe mordy z drugiej strony, a przede wszystkim mieszanie się innych państw w sprawy czysto-narodowe Rumunów, stanowią całą prawie historię rządów gospodarów aż do dni naszych. Nawet jako lenne państwo tureckie nie zaniechało tych ciągłych przewrotów i zaburzeń, protestując ustawicznie przeciw interwencyi Porty w sprawach rumuńskich, rozciągając swoje prawa po za granicę umową wytkniętą; i wtedy miała miejsce w Stambule nieustająca licytacya oddająca rządy w ręce więcej dającego.

Z taką przeszłością i w takich warunkach stanęli Rumuni w szkole nowoczesnego liberalizmu w celu odebrania lekcyi co do sposobu ustanowienia państwa konstytucyjnego i monarchii dziedzicznej; bez żadnych innych tradycyj przyłączyli się do koncertu europejskiego w chwili, w której ogólny panował niepokój z powodu niepewnego i niejasnego stanu rzeczy i coraz więcej potęgującego się osłabiania wszelkiego pierwiastku władzy. Wynik tego

mógł być zgóry przewidziany przez każdego doświadczonego badacza kolei ludzkich, a jeśli nie przyszło do okropności niebywalej dotychczas anarchii, zawdzięczać to się należy nietyłe zapobiegliwości Europy, ile zdrowotnym pierwiastkom tkwiącym w narodowym organizmie Rumunów.

Od trzydziestu blisko lat rządzi się Rumunia — podobnie jak Belgia — konstytucją nadającą wiele wolności i praw; obok tej konstytucyi ugrupowały się wszelkie dodatki wolnomysłnej administracyi, a jednak nikt nie poważyłby się twierdzić, że jak pojedyncze indywidua tak też całe familie, gminy, Kościół nawet i wszelkie ciało moralne, używają większej niż w ubiegłych czasach swobody i wolności. Publiczna opieka, jak już wyżej wspomnieliśmy, jest aż do przesady gorliwą, nie spuszcza ona z oka najmniejszego czynu obywateli... każda osobistość, podlegająca prawu, traktowaną jest jak dziecko, nie wolno, że tak powiemy, odetchnąć, aby nie stało na przeszkodzie jakieś prawo, statut, rozporządzenie fiskalne, lub żeby publiczny agent nie odezwał się ze swoim *nu se poate* (niewolno). Pomimo tego wszystkiego jednak nie małoby mylił się ten, ktoby sądził, że naród protestuje i że *self-gouvernement* nie znajduje swoich koryfeuszów. Przeciwnie, naród ten tak się zżył z tem wszystkim, że zarówno deszczu jak i pogody wygląda od rządu, w najmniejszej rzeczy wzywa jego pomocy i zdaje mu się, że w nim znajduje wszelką ulgę i obronę. Obecne pojęcia, jakie panują w Rumunii o władzy, jej zakresie i przynależności, bardzo mało się różnią od dawnych, jak równie nieznaczną jest różnica w pojmowaniu samej wewnętrznej istoty władzy, gdyż tak piastujący ją jak i jej poddany uważa władzę nie jako korzystną instytucję dla dobra publicznego, lecz jako środek dręczenia innych i narzędzie do urzeczywistnienia własnych kaprysów, wygod i korzyści — *populus propter regem*. Im kto nikczemniejszy, więcej słuźalczy w stosunku do swoich przełożonych, tem usilniejszych dokłada starań, aby się stać ciężarem dla podrzędnych, jeśli sam choć najmniejszą część władzy publicznej piastuje. Nic wstrętniejszego, nic brutalniejszego, nic bezczelniejszego nad widok pewnych mniejszych organów władzy szczególnie w podprefekturach i policy. Niższej rangi urzędnik uważa się nie za sługę narodu, lecz za sługę wyższego urzędnika, wskutek czego taki niższy urzędnik, jeśli

nie chce pożegnać się ze swoją posadą, zmuszony jest do oddawania darmo wszelkich usług wyższemu urzędnikowi. Żołnierz, zdaje się, że do szeregów został wciągnięty nie tyle dla obrony ojczyzny, ile dla usługiwania urzędnikom: dziesiątki i setki żołnierzy widzieć można zatrudnionych sprawami domowymi kapitana, pułkownika i ich szanownych połowie i to pod grozą srogiej chłosty za najmniejsze nieposłuszeństwo. Chłosta aż do śmierci, tortury i genialnie obmyślane narzędzie egzekucyjne, pomimo że są zakazane ustawą, pomimo protestu publiczności i prasy, są na porządku dziennym nie tylko w niektórych działach policyi, ale we wszystkich komisaryatach, prokuratoryach państwa, sądach śledczych, w salach prefektów, podprefektów i burmistrzów, gdzie sam urzędnik jest zarazem i oprawcą. Nie rzadko się zdarza, że ten sam urzędnik, który przed chwilą pastwił się nad nieszczęśliwą ofiarą, przedstawia ci się w dobranem towarzystwie podług wszelkich wymagań etykiety i mody, zaczyna rozprawę o najnowszych utworach literatury francuskiej, zachwycą się najwznioślejszymi teoryjami humanitarnymi, patryotycznymi i t. p. Przeróżające fakta krążą z ust do ust; pomimo tego jednak praktykują się one ciągle i po największej części bezkarnie.

Pomimo tych i niezliczonej liczby innych nadużyć, o których z powodu ich drażliwości i braku miejsca na należyte objaśnienie faktów nie wspominamy, — obecne instytucje Rumunii przedstawiają się daleko korzystniej niż instytucje dawne i to z dwóch powodów: 1^o) że są one kierowane całym systemem prawodawczym i 2^o) że podlegają zarazem kontroli publiczności. W ten sposób postępowanie władz publicznych zostało ograniczonem — przynajmniej spekulatywnie — normą na większą korzyść ogółu zrozumianą; a tak wszelkie przeniewierzenie staje zdemaskowane przed prywatnym i publicznym sądem. Otrzymano w ten sposób nie jeden dobry rezultat, i każdy bezstronnie o rzeczy sądzący przyznać musi, że te rezultaty zwiększają się z dnia na dzień, chociaż nie w tej mierze, aby zło nie przemagało jeszcze, tembardziej, że najczęściej jest ono wynikiem wadliwych środków, używanych na jego wytepienie lub poskromienie.

Nikt z pewnością za dni naszych poskarżyć się nie może na brak ustaw prawodawczych w Rumunii; przeciwnie, taka tam jest

ich obfitość, że zdawałoby się, iż powinnyby całkiem zgnieść cały ten kraj, — *pondus multorum camelorum*. Rumuni bowiem, podobnie jak wszystkie inne szczepy latyńskie, mają manię tworzenia praw *a priori*, jakby te prawa same przez się były zdolne wskrzesić dobre obyczaje i brakujące instytucye w kraju; prywatne nawet osoby nie znajdują nic lepszego i pilniejszego nad ciągle formułowanie statutów organicznych, przepisów i programów; niezliczona liczba jest takich niedoszłych w każdym kierunku stowarzyszeń, które prócz statutów z setkami artykułów, prócz prezesów, wiceprezesów i sekretarzy — nic innego nie wydały. Prawa w prawdziwym tego słowa znaczeniu pojawiają się niespodzianie, w mgnieniu oka, po największej części zaś bywają albo wprost przepisywane, albo stanowią zbiór wyjęty z różnych zagranicznych kodeksów zastosowanych do innych całkiem ludzi i rzeczy w podobnych zaledwie okolicznościach znajdujących się. Dopiero od lat kilku niektóre potrzeby poznane i ocenione potrzeby kraju spowodowały tu i owdzie użycie racjonalniejszych środków, stały się powodem i zachętą do więcej specjalnych i głębiej pomyślanych studyów.

Złe źródła, których się Rumuni chwycili, gorączka w układaniu, dyskutowaniu i sankcyi, brak doświadczenia samychże prawodawców, zupełna niezdolność większości głosujących, duch stronnictwa narreszcie, który nierzadko bywa pobudką do głosowania za taką lub inną ustawą, sprawiają, że te ustawy są więcej złe niż dobre same w sobie, mając pretensye do przewidzenia wszystkiego i kierowania wszystkim, nie uwzględniają najpospolitszych i codziennych wypadków, które mogą zachodzić w praktycznem ich zastosowaniu. Jednem słowem, brak im jasności, przejrzystości i łączności — pod każdym względem zostawiają obszerne pole do najsprzeczniejszych komentarzy. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że całe działy ustaw albo pojedyncze ich części, pomimo należytej sankcyi i promulgacyi, nie wchodzi w życie jedynie dlatego, że albo niepodobno, albo że nikt nie chce stosować ich w praktyce. Zazwyczaj stosują je na niekorzyść stron interesowanych i nie ma nic zwyczajniejszego u wyższych urzędników nad przytaczanie mnogich a różnych paragrafów różnych ustaw, ile razy najprzód i zgóry postanowili tę lub ową sprawę odrzucić albo nieprzychylny wyrok wydać. Przeciwnie, tam gdzie ustawa dotyczy samych urzędników i kaprysy ich

poskramia, daje się zawsze legalnie pominąć; w przypadkach zaś, w których niepodobno nie stosować się do ustawy, otwarcie urzędnik taki rzuca w twarz przeciwnikowi: *sic volo, sic jubeo* (tak chcę, tak mi się podoba); a gdyby kto się poważył grzecznie przypomnąć, że mu się krzywdą dzieje i że ustawa wyraźnie na jego korzyść orzeka, otrzymuje również grzeczną replikę: „Mój panie, nie twoja w tem rzecz, jak ja ustawę stosuję; jeśli ci się krzywdą dzieje, masz apelację“. W ten sposób załatwiają się wszystkie sprawy. W izbach rozstrzyga większość. Dla osób niemających żadnych wpływów albo biednych, usiłujących się wydostać z pod uciążliwej ustawy, jest także pewny środek, tj. przyłączenie się do zastępów stronnictwa rządowego, a pod tym patryotycznym płaszczem potrafi uchronić się od wszystkich ciężarów publicznych, zwalając je na karb przeciwnego obozu, na mniej przebiegłych i małuczkich. Zdarzają się wprawdzie wypadki, i dzięki niebu coraz częstsze, gdzie prawo starają się zastosować do wszystkich, którzy mu podlegają, ale w takich razach przebiegli uciekają się zazwyczaj do praktycznego i niechybnego w tej mierze środka, tj. do podawania prawa w wątpliwość a często i tam, gdzie o wątpliwości wcale nie może być mowy, komentują je jednak z takim naciąganiem na korzyść lub niekorzyść interesowanych, że o czemś podobnem ani się śniło prawodawcy. Publiczni urzędnicy, uważający się za gorliwych i sumiennych w swem powołaniu, którzy często i są takimi, tylko podług własnego swego sposobu zapatrywania się na rzeczy, wszelkich dokładają starań do podobnego tłumaczenia prawa, i stąd czasem rodzą się niepodobne do uwierzenia rzeczy, które, gdyby coś podobnego o innym jakim kraju opowiadano, uważaneby były za prawdziwe bajki. *Ce la noi, la nimeni* (nigdzie jak u nas) mówią poważniejsi Rumuni.

Co do prasy, znaczne przysługi jakie oddaje swemi informacjami o najmniejszych nadużyciach popełnianych w kraju, nie mało tracą na wartości z powodu podnoszenia i rozmyślnego wyszukiwania różnego rodzaju gorszących faktów, do czego nie mało przyczyniają się ludzie złej woli, uważający się za tłumaczów opinii publicznej. Nader rzadkie zachodzą wypadki, w którychby dzienniki miały inne widoki prócz interesów partyi, do której należą, albo prywatnych i osobistych namiętności; nawet i te dzienniki,

które nie pobierają żadnej subwencji z tajnych funduszków i nie trudnią się w całej pełni tym nikczemnem rzemiosłem, nazywanem przez Francuzów *chantage*. Z drugiej strony osoby, na które się prasa słusznie i sprawiedliwie skarża, nie odczuwają w całości skutków tych uzałuń, bądź z powodu wielkiego rozluźnienia publicznej moralności i wielkiej zmienności przekonań, które znacznie zmniejszają okropność złego; bądź dla tego, że sztukę w wynajdywaniu pozornych motywów usprawiedliwienia się doprowadziły do najwyższej doskonałości. Najczęściej zaś odpłacają się pięknem za nadobne; biada temu co nie opatrzy się w potrzebne legalne dowody, albo wybierze niestosowną chwilę na oskarżenie, kiedy dowody użyte na poparcie inkryminacji giną w publicznych kancelaryach, lub kiedy świadkowie zmuszeni są śpiewać podług taktu, jaki sam oskarżony im podaje. Najczęściej jednak bezkarność objawia się, kiedy nadużycia są zbiorowe, albo kiedy obwiniony potrafi wyzyskać solidarność innych na przekształcenie własnych nadużyć w nadużycia zbiorowe; mówimy tu zwłaszcza o wypadkach, w których różne stronnictwa w grę wchodzi.

Że istnieją polityczne stronnictwa w Rumunii, każdy wie o tem dobrze, lecz mało by się znalazło takich, coby potrafili należycie je skreślić, gdyż interes zazwyczaj przeważa tu nad zasadą. Różnica polega jedynie na formie, i wszystko gromadzi się pod jedną chorągiew i jedno hasło: dzierżąc władzę starać się przy niej utrzymać; nieposiadając jej, usiłować ją zdobyć. Coś podobnego dzieje się zresztą we wszystkich państwach konstytucyjnych. Na osobne studjum zasługiwałby fakt, który zachodzi u Rumunów, t. j. że wszelkie ekscentryczności i wygórowania, do jakich dochodzi naród naiwny jeszcze w zastosowywaniu wszystkich nowoczesnych instytucyj, doprowadza do *absurdum* wiele i wiele zachwalanych przez szkołę liberalną teoryj, i wykazuje wyraźnie wszystkie ich niedostatki.

Dość powiedzieć, że konstytucjonalizm w tym kraju niewiele się różni od fikcji. Stronnictwo panujące, jakieby ono nie było, dopóki zostaje u steru rządów, jest prawdziwym despota, uważającym cały naród za jedno wielkie pole, które trzeba wyzyskać na swoją prywatną korzyść, aby w późniejszym czasie używać spokojnie tego, co się przy nadarzonej sposobności zdobyło. Stronnictwo rządowe posiada nietylko sekret przeprowadzania wszelkich wybo-

rów na swoją korzyść, ale ma zarazem na każde zawołanie (z małymi wyjątkami) sumienia sędziów, przysięgłych i wszystkich tych urzędów, które z natury swojej mogły i powinny być niezależnymi: niezależność w Rumunii jest coś tak rzadkiego, tak ciekawego, źle tłumaczonego i niebezpiecznego, że wyobrazić tego sobie niepodobna. Wszystkie publiczne urzędy, wszystkie koncesyowane i pod opieką rządu zostające instytucje, pensye, oznaki i zaszczyty — wszystko to zostaje pod monopolem adeptów żadnych zdolności i zasług niemających, tak dalece, że każda zmiana ministeryum, jest prawdziwą polityczną i socyalną rewolucją, która się daje uczuć każdemu od najwyższego aż do najniższego każdej klasy obywatelowi. Wszystko się trzyma tej partii politycznej, która najdogodniejsza, nie wyjmując nawet organów sprawiedliwości i publicznego bezpieczeństwa. Niedawno temu minister Statesco w obecności kilku deputowanych opozycyi wyraził się, że daremnie szukają sprawiedliwości, gdyż tem samem że należą do przeciwnego obozu, tracą wszelkie prawo do protekcyi rządu. Sam nawet pierwszy minister, Braciano, będąc w złym humorze, wyrzucał publicznie większość, że zmuszonym był tolerować nadużycia, zgorszenia i zamachy, aby zadość uczynić jej zachciankom.

Opozycja równą płaci monetą rządowi; — zamiast przychwytywać go w wielu i wielu wypadkach, gdzie rząd zaniedbuje swych obowiązków, napada na niego niesłusznie i nikczemnie nawet w pożytecznych i rozumnych przedsięwzięciach — w takich, w których gdyby sama stała na czele rządu, inaczejby nie postępowała. Nie hamowane i gwałtowne mowy, kłamstwa i oszczerstwa, w które obfituje polemika stron obydwóch, przechodzą wszelkie pojęcie, a dzieje się to wszystko bezkarnie, wtedy gdy w innych państwach nie ma tak niewinnego pisma, któreby w ciągu roku nie podległo kilkukrotnej konfiskacie.

Głowę państwa stawia konstytucja po nad wszelkie partie. Historia jednak ostatnich trzech dziesiętków lat dowodzi najwyraźniej, że naród nie odzwyczaił się jeszcze od zmieniania panującego, tak jak się zmienia ubranie, i od starania się o interwencję mniej więcej bezpośrednią innych państw. Pierwszym konstytucyjnym królem, którego sobie obrali, był pułkownik Aleksander Cusa, człowiek niepospolity i prawdziwy Rumun, w którym zdawały się

być wcielone wszystkie cnoty i wady narodowe. Po pięciu latach panowania sprzykrzył im się i dzięki tylko udanemu zamachowi i następnym reformom zdołał się utrzymać przy władzy przez lat siedm, aby później paść ofiarą nieczemnego sprzysiężenia i po przymusowej abdykacji umrzeć na wygnaniu. Wkrótce Rumunowie spostrzegli swój błąd i zaczęli opłakiwać poprzedniego monarchę nim jeszcze jego następca wzmocił się na tronie. Następcą był Karol z Hohenzollern-Sigmaringen, ponieważ większa część narodu domagała się zagranicznego księcia.

Karol I. posiada wysokie przymioty, Rumunom jednak nie właściwe. Monarcha to wyrozumiały i wspaniałomyślny, najuczciwszy ze wszystkich obywateli, a jednocześnie szczerze kochający Rumunią. Pod względem moralnym nieskalany, prawdziwy przykład cnót rodzinnych, grzeczny, uprzejmy, odważny i waleczny w bitwie, skrupulatny w wypełnianiu swych obowiązków, zamiłowany w naukach i sztukach, — rozumiał doskonale posłannictwo swoje i interesa narodu uważa za swoje własne. Nie mało przyczyniła się także chwila, w której przybył do Rumunii, chwila wielkich wydarzeń historycznych na Wschodzie, dzięki którym potrafił nadać lepszy kierunek swej sprawie. Na domiar świetności otaczającej tron królewski, szczyci się Rumunia królową, która rywalizuje z najpopularniejszą dziś księżniczką, Elżbietą, i z najznakomitszymi reprezentantami dzisiejszej literatury pod pseudonimem *Carmen Sylva*.

A jednak przyznać należy, że para królewska nie cieszy się takim zaufaniem narodu, na jakieby zasługiwała, owszem znienawidzoną jest w Rumunii. Wiele oskarżeń ciąży na parze królewskiej, choć to raczej pozory, niż prawdziwe zarzuty. Czy król wie o tem, że nie jest lubianym? Myślimy, że wie, gdyż jest jednym z panujących, którego najmniej rzecz w państwie obchodzi. Były nawet chwile, w których król sam mówił i pisał o abdykacji. Nie trzeba jednak mieszać zarzutów i inkryminacyj ze strony opozycyj z prawdziwą opinią publiczną co do osoby monarchy: napaści, których sobie opozycja pozwala, mogą być co najwięcej symptomatami, lecz nie wyrazem opinii samej. Różne frakcyje antyrządowe, będąc od r. 1876 wyłączonemi z rządów i widząc ciągle powodzenie partyi Braciano, nie żywią najmniejszej sympatyj do dynastji, chociaż w każdej chwili gotowe zmienić swe przeko-

niania, skoroby się tylko znalazły u steru rządów; wiedzą także dobrze, że te napaści na monarchę są nie tylko środkiem do dopięcia wszystkiego czego pragną, ale zarazem i do pozyskania sobie ludu. I tu właśnie leży całe niebezpieczeństwo; lud bowiem, jęczący ciągle poduszczaniem swoich przewódców, nie zdolnym jest zmieniać swych zapatrywań w jednej chwili, tak jak to czynią ci, co nim kierują. Zarównie myliłby się ten, kto by sądził, że król lubiany jest przez stronnictwo rządowe; każdemu wiadomo, jak ludzie, należący obecnie do rządu, odzywali się i spiskowali w biały dzień, gdy należeli do obozu przeciwnego. Para królewska była przedmiotem satyr i broszur najohydniejszych tak dalece, że prywatne nawet jej pożycie było w najgorszym świetle przedstawiane.

Nie jeden się dziwi, że monarcha nie tylko wspaniałomyślnie puścił w niepamięć tyle różnych obelg i napaści, ale zgromadził koło siebie i uczynił swymi powiernikami ludzi zatwardziałych w różnych sektach i sprzysiężeniach, powierzając im przez dłuższy czas pewny rodzaj dyktatury, a tem samem zniechęcając do siebie ludzi zasłużonych i wyznających się zawsze za konserwatystów. Są tacy, którzy fakt ten przypisują słabości Karola I., ale lepiej na rzeczy się znający upatrują w tem głęboką jego politykę. Badając ubiegłe lata, zważając jak daleko sięgał wpływ wybitniejszych osobistości politycznych w Rumunii, idąc za nicią wypadków zaszłych w tym państwie od chwili wstąpienia na tron Karola I. aż do dni naszych, będziemy zmuszeni przyznać, że ta nić zostawała ciągle w jego ręku, i że impuls pojedynczy przypisać należy skrytemu wprawdzie, ale nieprzepartemu wpływowi Karola I.; inaczej bowiem nie dałaby się wytłumaczyć ta jedność, która jest faktem dokonanym, a której nie byłoby w stanie stworzyć ministerstwo przy ciągłych zmianach w ciągu dwudziestu przeszło lat. Partya Braciana nie jest wyłącznie rewolucyjną, zarówno jak przeciwna nie jest konserwatywną, najprzód dla tego, że obie są ugruntowane na liberalizmie i mało się różnią w praktyce; powtóre dla tego, że polityczny oportunizm często z jednej na drugą przechodzi stronę; potrzebie dla tego, że między Bracianistami nie mała jest liczba zbiegów z przeciwnego obozu, podobnie jak w opozycji niemniejsza ilość tych, którzy odbiegli Braciana i obwołują go zbiegiem z partii liberalnej. Z tego wszystkiego wynika, że żadna polity-

czna osobistość nie ma tak wielkiego uroku dla ludu jak Braciano, i że żaden dowódzca innych partyj nie wywiera takiego wpływu na ludzi politycznych drugiego rządu. Z drugiej strony Braciano rozporządza *ad nutum* wszystkimi najniespokojniejszymi elementami, a tymi są ci, którzy czynny biorą udział i najlepiej się nadają do intryg politycznych, a byłiby zarazem najniebezpieczniejszymi, gdyby się znaleźli po stronie malkotentów.

W ten sposób król podtrzymuje Braciano w oczach klas wykształconych funduszami, któremi prawnie rozporządzać może, a Braciano z swej strony okrywa niepopularnego króla swoją własną popularnością. Co ważniejsze to to, że kraj przyzwyczaił się do stałych rządów, o których dawniej nie miał najmniejszego pojęcia, tak że wszystkie ważne przedsięwzięcia ze strony rządu, skoro zostają rozpoczęte, z łatwością dochodzą do skutku. A jeśli pomimo tego wszystkiego Rumunia jest źle rządzoną, to niełatwo byłoby udowodnić, że dziś sama ona mogłaby się lepiej rządzić, i żadne z pewnością stronnictwo, przeciwne obecnym rządóm, nie potrafiłoby jeszcze tyle dogodzić krajowi, ile dogadza rząd obecny.

Rumunia cała zdaje się uśmiechać z politowania nad temi pismami, które wychwalają rządy Karola I., porównując go z założycielem dwóch województw w wiekach średnich. Przyjdzie czas, kiedy nie będzie się uśmiechać i zrozumie, że pochwała ta, czy szczerza dziś, czy udana, nie była zbyt daleką od prawdy. Jeśli subwencyonowanej przez rząd prasie nie godzi się przyznawać głosu proroka, przyznać jej w każdym razie można rolę i głos oślicy proroka.

V. B.

Album polskich Tercyarzy św. Franciszka ofiarowane Ojcu św.

Jeden z podarunków polskich zawiezionych Ojcu świętemu przez obecną pielgrzymkę naszą, wyróżniający się nie bogactwem, bo nie wszystkich stać na to, i nie szczególnym objawem gorącego serca, bo takimi były wszystkie podarunki nasze, ale głębszą myślą i niezwykłą artystyczną wartością, jest album, ofiarowane przez

Tercyarzy św. Franciszka. W historii chrześcijaństwa jest jedna epoka piękniejsza od innych, w której wszystko zda się żyć duchem św. Franciszka, w której świat cały przepełniony jest Franciszkanami, a dla wszystkich, zaczawszy od króla i królowej, a skończywszy na najuboższym żebraku, najwyższą chlubą jest być tego zakonu Tercyarzem. Jest to epoka najbardziej młodzieńcza i rycerska, najbardziej zapalna i stwarzająca najwyższe ideały, jakie kiedykolwiek budziły się w ludzkości, epoka największego rozkwitu filozofii i zarazem sztuki religijnej bez pogańskiej i świeckiej przymieszki. Wojny krzyżowe i architektura gotycka, ideał jedności katolickiej idący tak daleko, że obok jednego Papieża jednego stawia świeckiego nad całym światem władcę cesarza. Św. Tomasz z Akwinu i św. Bonawentura wraz z całą plejadą najwyższych filozoficznych umysłów, Giotto i Dante, oto elementa składające się naraz na pobieżny obraz tej epoki, oświeconej blaskiem mnóstwa świętych królów, książąt, jak: św. Ludwik, św. Elżbieta, św. Ferdynand portugalski i św. Jadwiga szlaska, św. Kunegunda i św. Jolenta, którzy wszyscy są Tercyarzami św. Franciszka. W naszych czasach, gdy rezultaty sumiennych badań historycznych coraz śmielej wychylają głowę z pod nagromadzonych przesądów protestanckich, rewolucyjnych i liberalnych, postać św. Franciszka i znaczenie Trzeciego Zakonu rośnie bezustannie do niezwykłych rozmiarów. Jedni widzą w całym ruchu wywołanym przez tego wielkiego, a tak w sobie maluczkiego Świętego, źródło niezwykłego rozkwitu sztuki i kultury włoskiej i chrześcijańskiej, i piszą o tem grube tomy, jak protestant Tode, lub katolik Chavin de Malan, inni wykazują, że działanie tego Świętego i duchownych jego synów wyratowało świat ówczesny od przewrotu społecznego, i stąd widzą dziś jeszcze w duchu tego Świętego, najlepsze lekarstwo przeciw szerzącemu się znowu socjalizmowi, i nad tem żywo pracują, aby III Zakon św. Franciszka jak najbardziej rozszerzyć. Na czele tych ostatnich stanął obecny Papież nasz Leon XIII wydając Konstytucję: *Misericors Dei Filius* dla Trzeciego Zakonu.

I nasz kraj nie jest całemu ruchowi temu obcy, i gdy w pierwszych zaraz czasach swego istnienia zakony franciszkańskie bardzo były liczne w Polsce, dziś tak Tercyarstwo, jak i reforma tegoż, pomimo licznych trudności coraz więcej się rozszerza, i coraz

bardziej kultywowane zajmuje umysły. A wśród tego zastępu ludzi powstała myśl, ofiarować Ojcu św., głównemu promotorowi Trzeciego Zakonu, pamiątkę tego wszystkiego, co wydały rozmaite gałęzie franciszkańskie w Polsce, i co dziś jeszcze, po tylu ruinach i klęskach, dało się pochwycić. Więc w pierwszym rzędzie widoki wszystkich klasztorów franciszkańskich w Galicyi, w Poznańskiem i tych, które jeszcze zostały w Królestwie i w innych dawnych prowincjach Polskich. Więc wizerunki Świętych polskich i zasłużonych mężów, których te klasztory wydały, więc podobizny obrazów cudownych, które sprowadzają do tych klasztorów rok rocznie niezliczone tłumy wiernych... Gdy myśl ta powstała dość późno, czas był krótki, materiał nagromadzony nie był dość dokładny, a czasem nieudolny bardzo, nie można było myśleć o dziele mającem obok artystycznej także większą wartość naukową, ale trzeba było poprzestać na pobieżnych szkicach, któreby zaznaczały raczej niż wyczerpywały bogactwo franciszkańskiego życia w Polsce. I to zaraz na wstępie przyznać musimy, że do takiego dzieła wybrano najbardziej odpowiedniego artystę, jaki się znajdował na ziemi polskiej, i że tenże z poleconego sobie zadania doskonale się wywiązał. Tym artystą jest p. Piotr Stachiewicz. My, co go znamy, dobrze wiemy, że posiada niezmiernie cenny sekret nadawania uroku wszystkiemu, co z pod ręki jego wychodzi. Umie on rzecz najzwyczajszą, czy to rozwiewając ją w jakiejś mgłę tajemniczej, czy ujmując ją w jakieś fantastyczne obramienie, a traktując zawsze z niezrównaną elegancją i finezyą, zrobić pociągającą, i głębiej nią zainteresować. Zdawałoby się, że zebranie widoków około 90-ciu klasztorów, często niczem nie ciekawych, musi wypaść monotennie i nudno, — tymczasem w wyobraźni p. Stachiewicza całość ukształtowała się dziwnie malowniczo, i pomysł jego urozmaïcenia kompozycyi postaciami Świętych i podobiznami obrazów, wielce pomógł do ożywienia całości, a co ważniejsza, wytworzył pewną myśl przewodnią i ujął luźne elementa w pewien organizm, który jest całego wykonania stroną głębszą. Karta zaś tytułowa, przy której artysta zupełną miał swobodę, i która udala się doskonale, jest nową albumu tego ozdobą.

Zaczynając od tej karty tytułowej, w górze po nad napisem dedykacyjnym i po nad herbem papieskim jest pielgrzymka Tercya-

rzy polskich, rozmaitych stanów. Jest tam szlachta i mieszczaństwo, rzemieślnicy i włościanie, a wszyscy idą poważnie i z uszanowaniem wielkiem do Ojca swego i do Ojca całego chrześcijaństwa. W dole zaś są przedstawiciele wszystkich zakonów św. Franciszka, więc: Kapucyni, Reformaci, Bernardyni i Franciszkanie konwentualni, a dwóch z tej grupy na samym czele klęczy trzymając w rękach i podając właśnie to samo album. Niżej jest Orzeł polski, około którego obwijają się insygnia tercyarskie, które, łącząc także z lewego boku grupę górną i dolną, służą do zaokrąglenia tytułowej winiety. Nie wchodząc w szczegóły zawsze piękne i miłe, zręczność kompozycyi na tem głównie polega, że choć cała pielgrzymka podzielona jest na dwie grupy, górną i dolną, między które wsunięty wielki napis, jednak każdy patrzący odnosi natychmiast wrażenie, że grupa dolna jest czołem górnej, że ci duchowni zakonnicy na dole prowadzą tych, co są w górze. Wielką także zaletą tej karty tytułowej jest, że jest kolorowana, gdy wszystkie inne robione jednym szarym kolorem, wartość zaś jej aktualną i to podnosi, że wszyscy zakonnicy grupy dolnej są portretami.

Widoki klasztorów są zebrane na dziewięciu kartach w sposób bardzo powszechnie dziś używany. Wygląda to tak, jak gdyby widoki te, na osobnych malowane kartkach, rozmaitego kształtu i wielkości, były później zupełnie fantastycznie na wielkich kartonach układane, nieraz zachodząc jedne za drugie, i tak przymocowywane. Gdy powaga przedmiotu nie pozwalała p. Stachiewiczowi przeplatać tych kartek winietami liści lub kwiatów, jak to przy dzisiejszych ilustracyach jest powszechne, przeto tam, gdzie niema figur i wizerunków, całe ogólne piękno karty wydobyte jest, obok doskonałego wykonania pojedynczych widoków, zręcznym układem tychże, a przyznać trzeba, że i to się p. Stachiewiczowi znakomicie udało.

Porządek, w jakim po sobie karty następują, mieści głębszą myśl. Na pierwszej karcie, a więc na pierwszym miejscu są tu franciszkańskie klasztory, w których są koronowane cudowne obrazy Matki Boskiej, a więc: Sokal, Rzeszów, Kalwarya Zebrzydowska i Leżajsk, i te cztery klasztory ugrupowane są razem z podobiznami czterech cudownych obrazów. Na drugiej karcie są klasztory Bernardyńskie, które wydały świętych: św. Jana z Dukli,

św. Szymona z Lipnicy i bł. Władysława z Gielniowa, i znowu widoki wraz z wizerunkami tychże świętych jedną stanowią całość. Na trzeciej karcie są wszystkie inne klasztory Bernardyńskie w Galicyi, ugrupowane w około celi zakonnika, który zajęty malowaniem. Jest to O. Leksycki, znakomity malarz, chluba Bernardyńskiego Zakonu. Dalej idą klasztory Bernardynów i Bernardynek w Królestwie, dotąd nie skonfiskowane, dalej klasztory Franciszkanów konwentualnych, a w górze nad nimi wizerunek św. Jakóba ze Strepy, Franciszkanina, a później arcybiskupa lwowskiego. Na karcie szóstej, Reformaci w Galicyi, na następnej Kapucyni w Galicyi, dalej: Kapucyni i Reformaci w Królestwie, w końcu zakony Franciszkańskie żeńskie.

Nie na tem jednak kończy się album, które ma jeszcze bogaty spisany materyał. Oprócz bowiem adresu do Ojca św., drukowanego po łacinie i po polsku, jest tam spis wszystkich dyecezyj ziem polskich z dodaniem szczegółów, o ile to było podobna, o Trzecim Zakonie św. Franciszka w tych dyecezyach. Kart takich drukowanych jest bardzo wiele, a będąc cennym dokumentem, mają one nadto prawdziwą typograficzną wartość, tak są gustownie i starannie wykonane w drukarni „Czasu“. Ta część albumu kończy się ogólnym indeksem.

Całość niezmiernie podniesiona jest znakomitą oprawą wykonaną przez p. Schrotta, ściśle według starej oprawy jednego z kancyonarów Bernardyńskich z XVII wieku. I rodzaj skóry wybrany jest najpodobniejszy do dawniej używanych, i wyciski umyślnie na ten cel wiernie z dawnych kopiowane, i okucie spiżowe, olbrzymie narożniki i środek i boki, według starych sporządzone modeli, są świadectwem wysoko dawniej posuniętego introligatorskiego kunsztu w Polsce, a zarazem świadectwem bardzo dobrego kunsztu dzisiejszego, i dzisiejszego dobrego smaku i poszanowania dla rzeczy dawnych w Krakowie. Całe to album więc, nie bijące niczem w oczy, ale stojące artystycznie na wysokości dzisiejszych wybrednych wymagań, w zewnętrznej sukni najpoważniejszego stylu, i gustowne bardzo, w którego niezmiernie starannem wykonaniu bardzo wiele osób musiało wziąć udział, nosi na sobie piętno miłości, tak dla Ojca św. jak i dla przeszłości naszej, i będąc cennem dziełem

sztuki, jest zarazem aktem w całym tego słowa znaczeniu dodatnim, który każdemu katolickiemu i polskiemu sercu radość sprawić musi.

X. E. Skrochowski.

Muzyka kościelna w dyecezyi Tarnowskiej.

Przegląd nasz przed kilkoma laty poruszył jeden z pierwszych sprawę reformy muzyki kościelnej, dopełniając się stopniowo w całym świecie katolickim. Słuszna tedy jest, aby pilnie pochwytował dalsze odgłosy tego ożywczego ruchu. Z pociechą mianowicie przychodzi nam raz po raz zapisywać to, co się pod tym względem u nas pisze i robi. Prym w tych szlachetnych usiłowaniach trzyma Najprzewielebniejszy ksiądz biskup Tarnowski. Jeśli początek zbawiennej reformy wyszedł z Ratysbony i skupił się w około gorliwego o piękno pobożnego śpiewu biskupa, Walentego Riedla, tak i u nas od czcigodnego Pasterza dyecezyi tarnowskiej wychodzi główny popęd ku poprawie muzyki kościelnej. Nie ustaje on w nawoływaniu kapłanów i wiernych do podjęcia skutecznych w tym celu usiłowań. Mamy przed sobą cały szereg kurend w podniosłych słowach przyspieszających upowszechnienie przepisów Kościoła w dziale muzyki kościelnej, która ma być wedle słów św. Tomasza z Akwinu „współpracowniczką w dziele zbawienia ludzkości“. A zdanie św. Tomasza tem większej jest wagi, że ten wielki doktor Kościoła był zarazem wysoce wykształconym muzykiem, twórcą nie samych tylko tekstów, lecz i melodyj pieśni kościelnych. Stale też z uniesieniem zwykł się był wyrażać o sztuce, której przyznawał pierwsze wśród innych miejsce: „Muzyka śławi w kościele walki i zwycięstwa Boże; pobożność świętych pieśnią wybucha; za pomocą śpiewu grzesznicy błagają przebaczenia, smutni szukają pociechy, mężni w nową się zbroją odwagę“. Suarez nazywa muzykę niebiańską sztuką, ponieważ ona jedna w wieczności się utrwali. Święty Izydor w księdze Etymologii pisze, iż równie hańbiącym jest nie umieć śpiewać, jak nie umieć czytać, skoro chóry aniołów i archaniołów nie przestają na dworze niebieskim wciąż zgodnie

zawodzić: *Sanctus, Sanctus, Sanctus*. Ks. biskup tarnowski kołębłę muzyki kościelnej odnosi do szopki Betleemskiej, nad którą aniołowie zanucili pierwszą pieśń liturgiczną, rozbrzmiewającą dziś przy każdej Mszy świętej: *Gloria in excelsis Deo*. Wczesnem ogłoszeniem dekretu kongregacyi obrzędów z 1884 r. dotyczącem zamierzonej reformy, dał najprzew. ks. biskup Łoboś pierwszy początek nieustającej odtąd troskliwości. Zaleceniem wybornych publikacyj fachowych ks. Dr. Józefa Surzyńskiego przysposobił niwę do rozpoczęcia samodzielnej roboty, którą teraz świeżo zawiązane towarzystwo św. Wojciecha ma ostatecznie dokonać we wszystkich kościołach dyecezyi tarnowskiej. Nie jedne już głosy odezwały się u nas w tej sprawie. Żaden goręcej i praktyczniej nie przemówił, mianowicie w specyalnych kurendach z ostatnich dwóch lat, pełnych zarówno żarliwości o piękno Boże jak znajomości przedmiotu, co się mianowicie liczbą odnośnych przytoczeń z Ojców św. uwydatnia. Pamięć na słowa Benedykta XIV, który w traktacie o muzyce kościelnej powiada: „Nie ma wątpliwości, iż do obowiązków biskupa należy, by muzykę kościelną w swej dyecezyi tak pokierował, iżby ona pobudzała serca wiernych do pobożności, nie zaś lechtała tylko uszy słuchaczów, podobnie jak się to po teatrach dzieje“, widocznie stanowi ciągłą podnieť dla najczcigodniejszego rządcy dyecezyi tarnowskiej. Z pośród regulaminu Towarzystwa św. Wojciecha nadzwyczaj praktycznym punktem wydaje nam się być ustawa dotycząca egzaminów wszystkich dawniejszych organizmów, tym sposobem zniewolonych do poznañomienia się z gregoriańskimi śpiewami, podczas gdy nowa szkoła kształcić będzie młodsze siły w kierunku ściśle kościelnym.

Towarzystwo już liczy blisko 400 członków. Ukonstytuowana pierwsza Rada Towarzystwa przewodniczącym mieć będzie ks. prałata Wałczyńskiego, a wiceprezesem p. Maks. Grabowskiego. Cała tedy sprawa znajduje się dziś na najlepszej drodze, i kto wie, azali katedra tarnowska z czasem nie stanie się drugą Ratyzboną, z której promienieć będzie na całą Polskę jedność śpiewu prawdziwie katolicka!

O MASONII W POLSCE

NA ŹRÓDŁACH WYŁĄCZNIE MASONSKICH¹.

I.

Co to jest masonia. — Wrzekomy jej cel i zadanie według opowiadań masonskich a rzeczywisty, zgodny z prawdą dziejową. — Sekret masonski. — Początki i rozwój masonii. — Systemy masonskie różne co do formy, zgodne co do celu.

Masonia jest: 1. Zakonem, i to miano sama sobie chętnie nadaje; ma swoje ustawy i reguły, swój rząd, swoje przysięgi i śluby i swój cel podwójny. Jeden pozorny dla niższych, symbolicznych stopni i dla profanów, a jest nim: miłość bliźniego, humanizm, uszczęśliwienie ludzkości; drugi cel właściwy, a jest nim obalenie ołtarza i tronu t. j. chrystyanizmu i opartego na nim polityczno-społecznego porządku rzeczy, postanowienie natomiast religii naturalnej, kultu natury, i ubóstwienie człowieka. Wolność jest jej pierwszym hasłem.

2. Masonia jest z natury swej instytucją antychrześcijańską, karykaturą i przedrzeźnianiem Kościoła kato-

¹ Szczęśliwym trafem dostał mi się do rąk bardzo cenny zbiór, dyplomów, klejnotów, ubiorów, pieczęci i znaków, protokołów, uchwał dekretów i listów masonskich, odnoszących się wyłącznie niemal do masonii w Polsce. Ponieważ ta karta religijno-umysłowego ruchu u nas dotąd nie tknięta, przeto postanowiłem ze zbiorów tych skorzystać i zanim ogłoszę obszerną rozprawę (12—15 arkuszy druku) o Masonii w Polsce, umieszczam z niej ważniejsze ustępy w *Przeglądzie*. (Przyp. autora).

lickiego, do którego obalenia dąży, a siebie na jego miejsce postawić pragnie. Ma więc swoje świątynie, ołtarze, ceremonie, obrzędy, uczty miłosne, słowem całą liturgię i całą hierarchię masonską o szumnych tytułach, która znów jest przedrzeźnianiem hierarchii kościelnej.

3. Masonia temsamem że jest przedrzeźnianiem Kościoła katolickiego, który jest powszechny dla wszystkich czasów i ludów, i który wykołysał i wypiełgnował cywilizację chrześcijańskich narodów, zapanował nad umysłami i sumieniami i stał się potęgą światowładną — jest instytucją międzynarodową, uniwersalną, i dąży do zniesienia wszelkiej różnicy wynikającej z różnicy wiary, z różnicy władzy, z różnicy rodu i stanowiska w świecie. Równość jest jej drugim hasłem, ale nad tą równością ona góruje, i dąży do opanowania królów, rządów, dyplomacyi, literatury, szkoły, rodziny i społeczeństwa, dlatego też nazywa sama siebie „sztuką królewską“. Masonia, nieuznana dotąd legalnie i nie zatwierdzona przez żaden rząd, przez żadną władzę państwową lub kościelną, rządzi *de facto* dzisiaj we Włoszech, Francyi, Brazylii i Zjednoczonych stanach; — w Anglii zaś, Belgii, Niemczech, w Węgrzech i innych państwach występuje jako potęga anti-chrześcijańska i anti-monarchiczna, *altare contra altare*.

Charakterystyką masonii jest jej tajemniczość; ma ona swoje misterya, swoją symbolikę i swoje sekreta, tak dalece, że sami masoni nie są w stanie podać na pewno genezy i rozwoju swego rzekomego zakonu, i dopiero z r. 1717 rozpoczyna się jego pewność historyczna.

Misterya masonskie co do rytuału i symboliki masonskiej zapożyczone są częścią od Manichejczyków, częścią od egipskich i eleuzyjskich misteryów, i są upakarzające godność człowieka.

Sekret masonski czem on jest i na czem właściwie polega? Odpowiedź zamyka się w dwóch słowach, na pozór bardzo pięknych i bardzo niewinnych: wolność i równość. Wolność, nie ta chrześcijańska wolność od grzechu i występku i tyranii sumienia, ale ta masonska: wyswobodzenie się z pod wszelkiej powagi i objawionej Chrystusowej wiary i utworzenie sobie kultu religijnego według swego widzimisię, jakiejś religii naturalnej, deistycznej, panteistycznej, lub materyalistycznej. Równość nie ta

Chrystusowa, mocą której wszyscy ludzie są braćmi, ale równość lożowa, nie cierpiąca władzy królewskiej ani żadnej władzy na chrystyanizmie opartej, ani żadnej wyższości rodowej lub moralnej, ale niwelująca wszystkie religie, wszystkie stany i wszystkie władze, i sprowadzająca je do wspólnego całej masonii niedowiarstwa i braterstwa pod egidą łoży.

To jest cały sekret masonii, innego ona nie ma. Oslania go przed profanami dobroczynnością, uszczęśliwieniem ludzkości, zwalczaniem fanatyzmu, przesądu i występku, deklamacyami na wszystkie tony i nuty o wolności, równości i braterstwie ludów. Oslania ten sekret przed masonami niższych stopni ceremoniałem bałamutnym i dziwnym; zdolniejszym i energiczniejszym „braciom“ odkrywa go stopniowo, przygotowując ich powoli do zrozumienia całej tajemnicy. W pierwszych dwóch stopniach, uczniowi i czeladnikowi oznajmia się tylko, że celem masonii jest wolność i równość, nie tłumacząc wcale znaczenia masonskiego tych wyrazów, ale zostawiając zrozumienie tychże indywidualnemu usposobieniu każdego. Natomiast zabawia się ich w łoży „pracami“ t. j. formalistyką i symboliką bałamutną, a przygotowuje się ich umysł do dalszych odkryć „sekretnego“, straszną przysięgą dochowania tajemnicy o wszystkim, co się dzieje w łoży. W trzecim stopniu mistrza przedstawia się „bratu“ alegoryczną historję Adonirama, którego śmierć należy pomścić i odszukać zgubione hasło masonskie. W stopniu czwartym kawalera wybranego zaprawia się „brata“ do zemsty, nie mianując jeszcze osoby, na którą paść ma ta zemsta. Przypomina się mu czasy patryarchalne, gdzie to ludzie nie mieli znać innej czci Boga, tylko tę, którą dyktuje religia naturalna, i każdy człowiek był kapłanem tego Boga — ale nie powiada mu się jeszcze, że porzucić należy objawioną wiarę, która po epoce patryarchalnej nastała. Ta tajemnica rozwija się dopiero w 5. i 6. stopniu, kawalera szkockiego i kawalera Wschodu. Tam „brat“ mason ogłoszony wolnym od wszelkiej tyranii i fanatyzmu religijnego; dają mu hasło znaczące, że jeden jest tylko Bóg Jehowa, który nie rozmawia z ludźmi inaczej jak tylko przez rozum i wcale się już nie troszczy o rządy świata. Prawdziwy mason jest kapłanem najwyższym tego Jehowy. W 7. stopniu kawalera Rose-Croix czyli Różanego krzyża poucza „brata“, że ten, który

ukrył hasło masonskie wolność i równość i zagubił prawdziwą cześć Jehowy, jest założyciel chrześcijańskiej religii — Jezus Chrystus; nad nim więc, nad jego ewangelią i nad jego Kościołem ma być wykonana zemsta masonska, zapowiedziana w stopniu 4. Nareszcie w 30. stopniu kawalerya Kadosz (t. z. czysty), którego polska masonia nie miała, powiada się „bratu“, że zabójcą mistrza Hirma był król, którego równie jak papieża przez zemstę za śmierć niewinną w. mistrza Templaryuszów, Malay'a i jego niewinnych towarzyszy, protoplastów masonii, zamordować należy. Tym więc sposobem, obaleniem „ołtarza i tronu“ tłumaczy się masonski „sekrety“, wolność i równość po masonsku pojęta.

Nie potrzebuję wspominać, że ta tajemniczość masonska nadawała uroku i powabu zakonowi, zaostrzała wrodzoną każdemu myślącemu umysłowi ciekawość i zachęcała do gorliwości i cierpliwego wyczekiwania posunięcia na coraz wyższe stopnie, dopokąd się cały sekret masonski nie odsłoni. Co więcej, tajemniczość ta była dla masonii konieczną. Pomnąć bowiem należy, że masonia wylęła się w społeczeństwach chrześcijańskich; że za adeptów swoich przyjmowała do niedawna, a w Polsce zawsze tylko chrześcijan. Dopiero od lat 50 żydom i poganom wstęp do masonii dozwolony. Nie wypadało jej więc odkryć od razu cel swój anti-chrześcijański i rewolucyjny przed profanami, zarówno jak swymi członkami. Społeczeństwa i rządy chrześcijańskie byłyby natychmiast skazały na śmierć pierwszych masonów jako apostatów od Chrystusa i jego ewangelii, i pracowałyby nad wytępieniem sekty; potrzeba więc było dla własnego bezpieczeństwa ukryć cele właściwe, a osłonić je tem, co ludom i rządóm pojętne: filantropią, uszczęśliwieniem ludzkości.

Kandydat masonski, chrześcijaninem będąc, odskoczyłby jak od zarazy od zakonu (*sit venia verbo*), który go do apostazji i zdrady prowadzi; powoli więc, stopniowo, w małych dawkach należało podawać truciznę. aby organizm młodego masona do niej się przyzwyczaił. I stąd rozliczne stopnie symboliczne, szkockie, templaryuszowskie i t. d. Wciągnięty nimi do „zakonu“, wierzący katolik lub chrześcijanin, pozbywa się powoli w onych długich odstępach lat pięciu, które między pierwszemi trzema stopniami istnieją, swej pobożności i wiary; w stopniach wyższych dowiaduje

się, ale także powoli, w przerwach kilku lub kilkunastomiesięcznych, że zniszczyć należy Kościół i chrystyanizm, jako proste kuglarstwo; że królowie „z bożej łaski“ są tyranami, że więc wyrzucić należy ich trony, albo uczynić ich narzędziem wykonawczem rozkazów loży; że wreszcie najwyższą powagą jest człowiek sam sobie, jako król przyrody. Konsekwencye tych „tajemnic“ są okropne, ale przychodząc do ich poznania stopniowo, powoli oswaja się umysł z okropnością ich następstw, iż one nie rażą go więcej, a nawet nie dziwią.

Co tu o naturze i celu masonii powiedziałem, wydać się może przesadą a nawet niegodną potwarzą, tem bardziej że jak w Polsce tak i gdzieindziej wiele poważnych i skądinąd czcigodnych imion zapisywało się do loży. Tak nie jest. Prawdziwości powyższych tez czyli założeń moich dowiedzie rzut oka na początki i rozwój masonii, na jej wewnętrzną organizacyę, i na różne jej systemy i rytę. Pomówimy o tem zaraz niżej, i to na źródłach wyłącznie masonskich oparci; konia z zrzędem dam temu, kto w tem wszystkim choć cień chrześcijańskiego pierwiastku odnajdzie, choć jednej idei chrześcijańskiej się dopatrzy. Ta okoliczność, że wielu zacnych mężów znalazło się w masonii, niech nas nie ludzi i w błąd nie wprowadza. Prawdziwych, w wszystkie sekreta masonskie wtajemniczonych braci masonów, którzy są właściwymi kierownikami robót masonskich, jest w każdym kraju bardzo niewiele. Nawet ci, którzy najwyższe piastują stopnie, nie zawsze są do całej tajemnicy przypuszczeni, gdyż bardzo często wyższe stopnie dawane bywają *honoris gratia* wpływowym osobistościom, książętom i królom. Dziewięć-dziesiątych części rzeszy masonskiej ani pojęcia nie ma, o co właściwie chodzi; filantropia, uszczęśliwienie ludzkości, zwalczanie przesądów, towarzyskość wesola i swobodna, oto czego oni szukają w masonii i nie troszczą się o więcej. Hasła: wolność i równość pojmowane przez nich w szlachetnem znaczeniu, dają im dostateczną gwarancję, że „zakon“, który je głosi i za dewizę stawia, musi być równie zacny i szlachetny. Szli więc w dobrej wierze na lep braci menderów i bezwiednie służyli im za narzędzie odchrześcijanienia ludzkości. Poznałem w marcu 1888 r. starego wiarusa z 1831 r., który na emigracyi będąc wstąpił do loży i dosłużył się 7-go stopnia kawalera Różanego krzyża. Py-

tałem go, jak on pojmował swój masonski zakon? „Jako instytucję najpiękniejszą, najszlachetniejszą, humanitarną, była odpowiedź; jedno co mnie razilo, i dla czego potem łożę porzuciłem, było to, że przekonałem się, iż wielu wstępuje do łoży nie dla tych szlachetnych celów ludzkości, ale dla interesu, spodziewając się protekcyi i wsparcia od braci łożowych“.

Niesłychanym w dziejach przykładem, masoni sami nie umieją powiedzieć skąd się wzięli i wykazać genezy swego „zakonu“. Jakiegokolwiek jednak są ich domniemywania i hipotezy w tym względzie, to noszą one zawsze wybitną cechę niechrześcijańską. Jedni początek masonii odnoszą do czasów świątyni Salomona,¹ drudzy do kapłanów, mędrców egipskich z Memfis i Heliopolu,² inni do misteryów eleuzyjskich, inni do Essenczyków żydowskich, i dlatego Chrystusa Pana uważają za brata masona,³ inni jeszcze do czasów arki Noego, a nawet znaleźli się tacy, którzy za protoplastów masonii wskazują Adama i Ewę w raju. Te rodowody masonii wydają się samymże masonom niedorzeczniemi; podkoniec XVII w. powstała w tej mierze między nimi zawzięta polemika, zarzucano sobie nawzajem nieuctwo i głupotę, o czem wspomina z żalem beziemienny brat mason w swej ciekawej książce: *Le vrai Maçon* część III str. 14—16, wydanej w Filadelfii 5809 r. t. j. w Paryżu 1809 r. Rękopis tej książki p. t. *Recueil précieux de la Maçonnerie Adonhiramite* t. I., miałem także pod ręką.

Wiecej nieco powagi mają za sobą dwie hipotezy przyjęte

¹ Hiram, nie król Tyru, ale inny Tyryjczyk, syn Tura i wdowy Żydówki z trybu Neftali, miał być budowniczym Świątyni Salomona, i on jeden posiadał tajemnicę kunsztu mularskiego i wznosił tę olbrzymią budowę. Do tej tajemnicy przypuszczał tylko niektórych murarzy, i ci byli pierwszymi masonami. (*Le vrai Maçon. Philadelphie* 5809).

² Ci mędrcy nie odrazu przypuszczali swych uczniów do tajemnic wiedzy i natury czyli do magii, ale przyjmowali ich wśród tajemniczych, symbolicznych obrzędów, i stopniowo otwierali im *arcana scientiae*. Do tych mędrców mieli przychodzić po naukę mężowie Grecyi: Likurg, Solon, nawet Orfeusz, Tales, Pytagoras, Herodot, Demokryt; owszem sam Mojżesz był ich elewem, wtajemniczonym do magii, a więc razem z tamtymi był masonem (Tamże).

³ List rabina lizbońskiego do rabina brzeskiego. Obrazy litewskie Ignacego Chodźki, tom II.

przez rozumniejszą część masońców; jedna wywodzi rodowód masonii od Templaryuszów, druga od niemieckiego cechu murarskiego w XIII wieku.

W ciągu XV, XVI i XVII w. masonia przebywała wewnętrzny proces formacyi, którego pojedyncze fazy nie tu miejsce opisywać. Dopiero z początkiem wieku XVIII występuje ona taką, jaką ją znamy dzisiaj, jako instytucya anti-chrześcijańska, internacjonalna. Stało się to głównie przez połączenie się z masonią angielską „alchemicznego towarzystwa „Różanego krzyża“, *Rosi-crucians*, *Rosecroix*, czyli, czciciele siły rodzenia.

Sekciarze ci uczyli, że chrystyanizm niczem innem nie jest, tylko dalszym rozwojem gnostycyzmu, który zjawił się i zakwitnął w II wieku po Chrystusie, i miał głośną swą szkołę w Aleksandryi. Mieszanina ta doktryny Zoroastra, stawiająca rozum ludzki jako najwyższą powagę nie tylko wiedzy ale i wiary, indyjskiej symboliki i talmudu, pogańskiego kultu natury i zasad miłości bliźniego Chrystusa, zdaniem Rosikrucyantów, to jedyna prawdziwa religia. Kościół katolicki skoślawił i popsuł ten prawdziwy gnostycyzm, oni, Rosikrucianci, przywracają go do pierwotnej czystości. Ażeby zaś znaleźć środki do życia, trudnili się alchemią¹⁾, zyskali wziętość w Anglii i nazywali się: „Towarzystwem alchemicznym Rosikrucyantów“. Koryfeuszami ich byli: naturalista alchemik Jan Teofil Desaguliers, i pastor protestancki Jakób Anderson; znakomitszymi członkami: Jerzy Payne, King, Calvert, Lumden, Madden, Elliot. Mieli oni swój rytuał zapożyczony od Indów, swój regulamin, swoje stopnie, swoje alchemiczne tajemnice i przysięgę dochowania tychże. Sami z siebie nie dosyć silni, porozumieli się z pokrewnem sobie duchowo „Bractwem Mularzy wolnych i przyjętych“, i na walnym zebraniu 24 czerwca w dzień św. Jana, roku 1717, w szyn-

¹⁾ Tak twierdzi masoniński autor; w gruncie rzeczy było inaczej. Rosikrucianci zajmowali się magią, a pozorowali ją studjami nad alchemią. Od nich to przyjęła masonia do swej symboliki słońce, księżyc, gwiazdy, używane emblematy w magii na Wschodzie. Mam pod ręką dwa tomy albumu magicznych kart tego kształtu, jak karty do gry. — Tom I. ma tytuł: *La clef de Salomon, oeuvre hieroglyphique, nommé aussi la Roue et le Prothée des Rosecroix, retrouvé et rétabli par Eliphas Levi*, kart 48. — Tom II. p. t. *La Roue ou le Prothée des Rosecroix*, kart 52. Objasnienia dopisane ręką brata Levi koło r. 1871.

konwni „pod jabłonią“ na Charles Street w Londynie, dokonała się fuzya czyli zjednoczenie Rosikrucyantów i Wolnomularzy pod nazwą „Wielkiej loży Anglii“. W kilka lat potem, 1723 roku, brat Anderson ułożył „Księgę ustaw Mularzy wolnych i przyjętych“, ogłoszoną drukiem oficjalnie, z rozkazu Wielkiej zjednoczonej loży Anglii w Londynie, 1781 roku, wyznającej ryt szkocki o 33 stopniach, z których tylko pierwsze trzy są symboliczne, a wszystkie inne stopnie wyższe.

„Tak więc dzień 24 czerwca 1717 roku stał się dniem narodzin Wolnomularstwa; dawne „Bractwo Budowniczych, Bractwo wolnych Mularzy, Bractwo Różanego krzyża, zniknęło na zawsze, a „Wolnomularstwo“ ognisko czystego gnostycyzmu powstało na przeciw Kościoła chrześcijańskiego, który jest ogniskiem gnostycyzmu fałszywego i zbękartalego“. Tak woła pompatycznie wspomniany wyżej wielki komandor jednej z piętnastu zjednoczonych w Lożanie łóż masonskich, w swem dziele „*Maçonnerie pratique*, str. 36—38 (Paryż 1875 r.) i dodaje: „Zachowano nazwę Masonów wolnych i przyjętych odnoszącą się do budowy kościoła św. Pawła, aby uniknąć nawet podejrzenia co do właściwego celu świeżo narodzonej framasonii. Lecz tym celem była zawsze propaganda i tryumf gnostycyzmu czystego i liberalizmu racjonalistycznego na całym świecie. Propagandę tę prowadzono z taką energią, że w siedmiu latach, od 1723—30, emisaryusze „Wielkiej loży Anglii“ pozakładali loże wolnomularskie we wszystkich krajach Europy. Aby zaś uniknąć wszelkiego podejrzenia, że nowa framasonia jest czemś innem, jak dawne „bractwo Mularzy wolnych i przyjętych“, zachowano wszystkie nazwy, wszystkie ceremonie i wszystkie szczegóły, które ono otrzymało od „Bractwa Budowniczych“. Jedną tylko zmianę przyjęto: majstrowie formują osobny stopień, różny od czeladników, i pod tą potrójną klasyfikacją uczniów, czeladników i mistrzów, armia gnostycyzmu wyruszyła w pole na zdobycie świata“.

Z ust tedy pierwszego dygnitarza braci masonów mamy to cenne wyznanie, że masonia nie jest czem innem, tylko wznowioną sektą gnostycyzmu, że z natury i założenia swego jest przeciwniczką Kościoła Chrystusowego, że więc obalenie wszelkiej objawionej

wiary, a postawienie na to miejsce kultu natury, jest jej właściwym celem.

W powiedzeniu tem tkwi jeszcze inna wielka prawda; należy ją zgłębić. Masonia tem samem, że jest, według słów brata komandora, „ogniskiem gnostycyzmu“ — jest wielkim zbiornikiem wszystkich sekt anti-chrześcijańskich, które w ciągu XVII wieków z niego się wyłęgły, aby chrześcijaństwo podkopać i wywrócić. Każda z nich dźwigała się i upadała, jednak nie zginęła zupełnie, pozostało zawsze z niej coś błędu i jadu i komunikowało się jak rozczyzn sektom innym. Oddzielnie wzięta, każda była niedość silną, aby się utrzymać i istnieć, ale wszystkie połączone razem staćby się mogły potęgą. Ten proces zlania się tylu sekt w jedną odbywał się wiekami, bez niczyjej myśli przewodniej, na pozór przypadkiem, istotnie zaś siłą rzeczy. Wolnomularstwo przyjmowało je kolejno i asymilowało w jedną wielką anti-chrześcijańską sektę, noszącą w swej symbolice i rytach ślady widoczne i Manichejczyków, i Templaryszów, i Budowniczych, i Rosikrucyantów, i starych Magów, i misteryów wschodnich. Rozścieliło pod nimi jako substrat: gnostycyzm, kult natury, a ponad nimi rozciągnęło najrozleglejszą tolerancję niedowiarstwa, i wystąpiło z otwartą przyłbicą do obalenia chrześcijaństwa.

To jest klucz do zrozumienia pism i literatury masonskiej, symboliki przeróżnych systemów, stopni i całego rytuału, który zresztą obliczony jest na to głównie, aby profanów w błąd wprowadzić i właściwe cele i dążności masonii ukryć przed nimi.

Nie umiem powiedzieć, do jakiego stopnia bracia masoni, a przynajmniej bracia wyższych światel czyli stopni, oddawali się i oddają studiom teologicznym nad gnostycyzmem. Kodeks masonski pozwala każdemu bratu wyznawać religią jaką chce, poleca nawet w krajach katolickich, aby bracia masoni chodzili do kościoła, modlili się i spowiadali i komunikowali się jak na dobrych katolików przystało. „Framasonia, słowa są statutu francuskiego Wschodu, szanuje religię i opinie polityczne każdego z swoich członków, ale zakazuje formalnie na swoich zebraniach wszelkiej dyskusyi w kwestyi religijnej i politycznej“¹. Cóż z tego, kiedy w całym tym

¹ Constitution, Status et Réglements généraux de l'Ordre maçonnique en France. Paris 1873. Titre 1. art. 2.

kodeksie masonskim niema jednego zdania, któreby chrześcijańskie pojęcia przypominało; przeciwnie regulamin, łóż, kapitał i warstatów, rytuał i katechizm masonski, wszystko przepełnione jest sentencjami racjonalistycznymi, pojęciami czysto pogańskimi, i duch wiejący z tych kart przejmując dziwnym jakimś chłodem i wstrętem do chrystyanizmu.

W symbolice masonskiej znajdują się wprawdzie godła chrześcijańskie: krzyż, krucyfix, figura Chrystusa w grobie i w chwili zmartwychwstania, ale to wszystko ma tam zupełnie inne znaczenie jak to, które chrystyanizm do tych obrazów przywiązuje. Znak krzyża oznacza bowiem krzyżowanie się ras, rodzenie, generację; Chrystus w grobie, symbol zimy i ludzkości pogrzebanej w obскурantyzmie i przesadach chrześcijaństwa; Chrystus zmartwychwstały symbol wiosny i ludzkości oswobodzonej przez masonię. Era masonska nie rozpoczyna się od Narodzenia Chrystusa Pana, ale od „przywróconego światła“ czyli stworzenia, jak to u Turków i innych pogan bywa. Nowy rok masonski nie od Imienia Jezus 1 stycznia, ale od 1 marca się zaczyna. Nazwy nawet miesięcy, przyjęte w kalendarzu chrześcijańskim, odrzucone, zastępuje je proste numerowanie 12 miesięcy od 1-go marca poczynając. Słowem w masonii dzieje się wszystko na przekór chrystyanizmowi. Co do mnie, mam to przekonanie, że masonia nie przyjęła ryczałtowo doktryn ani gnostycyzmu syryjskiego, ani aleksandryjskiego, i nie zrobiła sobie z nich dogmatu masonskiego *credo*, uchwyciła wszelako główny moment i punkt zasadniczy gnostycyzmu. Przebywał on różne fazy, różne tworzył szkoły i sekty. Doceci czyli Fantyzyści, Walentynianie, Cerdonici i Marcionici, Ofici, Setyci, Archontycy, Karpokraci i Epifanici, socjaliści czystej krwi, głoszący wspólność kobiet i majątku, podobni im Nikolaici, Antynomiści, Adamici, Borboryanie, Kainici, najniebezpieczniejsi z nich Manichejczycy, wszystkie te sekty w II, III i IV wieku po Chrystusie, wszystko to wyznawcy gnostycyzmu w swój sposób pojętego.

Nie więc dziwnego, że i masonia przyjąć mogła gnostycyzm eklektyczny, to jest wybierając z różnych faz i szkół gnostycyzmu to, co się jej na razie najodpowiedniejsze wydało. I stąd to powstały różne szkoły czyli systemy masonów: Hermentyków czyli Chimistów, Kabalistów, Martynistów, Swedenbor-

gistów czyli Illuminatów, Teozofów, Masonów Egipskich i Eklektyków. Wszelako wszystkie te fazy, szkoły i sekty gnostyczne mają to wspólne, że γωσις, to jest badanie, zatapianie się rozumu w najważniejszych zagadnieniach ludzkości uważają za charakterystykę i główne znamie swoje.

Ale w tej pracy badawczej nad rozwiązaniem wielkich zagadnień człowieka i świata, rozum napotyka co chwila na nieprzebyte trudności, zamiast więc ratować się nauką Chrystusową i przyjąć ją całkowicie, wołał Gnostyk syryjski lub aleksandryjski szukać pomocy w rozumie Indów, Syryjczyków, Egipcyan lub w kabale Żydów i ulepił sobie z tych okruchów system γωσις, ani loiczny, ani mądry, ani tłumaczący wszystkiego, a mason XVIII, lub XIX wieku wziął już tę γωσις gotową i wystąpił otwarcie z propagandą wolnego badania, wolnej nauki, wolnej wiary, a obalenia przesądu, jako jedynej przeszkody tamującej wolny polot myśli i badań. Naturalnie, że tym przesądem to wszelka objawiona wiara, w szczególności zaś wiara katolicka, która ze wszystkich religii objawionych domaga się najwięcej ofiary rozumowej. Masonia tedy, pomimo uroczystych upewnień i przepisów regulaminowych, że kwestye religijne nie wchodzą w jej sferę i tykać takowych braciom łoży nie wolno, pomimo że do łona swego przyjmuje ludzi najrozmaitszych wyznań religijnych — to jednak tem samem, że propagandę gnostycyzmu przyjęła na siebie, wystąpić musi stanowczo przeciw Kościołowi; kryje się czasami z tym antagonizmem, czasem znów występuje z nim jawnie, zawzięcie, z fanatyzmem atireligijnym, jak to np. obecnie ma miejsce we Włoszech i we Francyi.

Za rozumem idzie wola. Rozum brata masona, zwaliwszy powagę wyższego rozumu, konieczną siłą loiki musi dążyć do obalenia wszelkiej powagi ściężniającej jego wolę. Krępują tę wolę przepisy Kościoła, a więc precz z księżmi. Krępuje je silna władza monarsza, a więc precz z monarchami, chyba, że zechcą wejść sami do grona wolnych braci i dopomódz im w ich robotach uszczęśliwiających wolną, niepodległą ludzkość.

Ktokolwiek się nawinie, pojedynczy człowiek, czy korporacya, jak tylko uznaje wyższą powagę religijno-moralną nad rozum — wróg to jest, precz z nim. Stąd masonia, chociaż w rytuale do różnych stopni i w dogmatyce swojej bardzo wiele rozprawia o cnocie,

o zdeptaniu namiętności i występku, nie zna innego kodeksu moralnego, krom przyzwoitości zewnętrznej i czysto naturalnego poczucia honoru, zresztą jestto najprozaicniejszy kult natury, jaki wyznawali w misteryach swoich starzy Egipcyanie, lub pod formą mitologiczną Helada i Rzym światowładny.

Na dowód tego, niech mi będzie wolno przytoczyć dosłowny tekst z świętych ksiąg masonskich.

Głośny dokument koloński z 1535, na którym między innymi podpisany „brat“ Filip Melanchton, wywodzi początek masonii od „bractwa św. Jana“ 1440 r. Pod lit. A czytamy w tym dokumencie: „Bractwo albo zakon na podstawie reguły św. Jana połączonych Braci wolnych Mularzy, nie bierze swego początku od Templaryuszów, albo od jakiegokolwiek duchownego lub świeckiego zakonu rycerskiego; jest on dawniejszy od wszystkich zakonów, istniał w Palestynie zarówno i w Grecyi, jak w innych częściach rzymskiego państwa daleko przed wojnami krzyżowemi. Bractwo nasze wtenczas powstało, kiedy wskutek spierających się z sobą sekt chrześcijańskich co do moralnej nauki mała liczba wtajemniczonych, z prawdziwą nauką cnoty i prawowitym wykładem tajemnej nauki dobrze obznajomionych, oddzieliła się od tłumów. Przekonani bowiem byli ci uczeni i światli mężowie, jako prawdziwi i od wszelkich pogańskich przymieszek wolni chrześcijanie, że błędami skalana religia (katolicyzm) wydaje raczej spory religijne, a nie pokój. I dlatego zobowiązali się najświętszą przysięgą zachować jak najlepiej i najczystsiej cnotę wydające zasady tej religii, która ludzkiemu umysłowi jest wrodzoną, i jej się całkiem poświęcić, ażeby tym sposobem coraz bardziej prawdziwe światło z ciemności się podnosiło, zwalczało zabobon, a utrwaliło sprawiedliwem wykonywaniem wszystkich ludzkich cnót spokój i dobrobyt między ludźmi... Roku, według rachuby tak zwanej chrześcijańskiej, 1535“.

Dokument koloński w wiernem *facsimile* rozesłany został 1819 r. wszystkim lożom niderlandkim, jak to opowiada *Rocznik niderlandki masonski* 1872 r. Na sto lat pierwej, 1717 r. Joanici złączyli się z innemi tajnemi stowarzyszeniami w wielką lożę Anglii, a dokument koloński wcielony został do księgi ustaw ogłoszonej drukiem 1781 r.

Z ustępu dopiero co przytoczonego wynika, że masonia stawia narówni Kościół katolicki z sektami chrześcijańskimi, zaprzecza a raczej ignoruje wszelką dogmatykę czyli objawioną wiarę, ograniczając spory sekt przeróżnych do kwestyi tylko moralnej.

Wynika dalej, że usunawszy Kościół i objawioną wiarę, stawia masonia natomiast religię przyrodzoną.

Na czem ona polega? Jest to cześć oddawana siłom natury. Najprzedniejszym dziełem natury — człowiek, *μικρος κοσμος*, malutkim światem od starych nazwany, dlatego że w nim skoncentrowane wszystko, co piękne, misterne a co w innych tworach natury rozrzucone. Masonia, odrzuciwszy pojęcie i kult Boga osobowego, stawia na jego miejscu naturę a tem samem najprzedniejsze jej dzieło, człowieka, i czyni go Bogiem. Po nad rozum ludzki nie ma innego rozumu, po nad wolę jego i prawa niemasz woli i praw innych, on sam sobie panem i prawodawcą, początkiem i końcem — apoteozą to pychy i zmysłowości ludzkiej. O wierze w religię objawioną, o moralności z motywów wyższych i mowy tu niema. Siły natury uwiadcniają się najdobitniej w rodzeniu; gnostycyzm syryjski i aleksandryjski, o którym wyżej mówiłem, przyjmował nawet dwupłciowość w bóstwie, i tym sposobem tłumaczył sobie rodzenie eonów z pełności bóstwa, czyli pleromy.

Misterya egipskie i greckie ochydne i obrzydliwe, nie były czem innem tylko kultem sił natury, objawiającej się przedewszystkiem w generacyi. Ze wstydem wyznać muszę, że wczytawszy się pilnie w pisma wolnomularskie, w tłumaczenia symboliki łóżowej, podane przez samychże mularzy wyższych światel, przyszedłem do przekonania, że masonia wyznaje kult siły natury rodzenia, generacyi. Krzyż, kąt, cyrkiel, gwiazda płomieniejąca z literą G, lub z syryjską *jota* pośrodku, dwie kolumny z literami I, B, słońce, księżyc, ziemia i t. p. znaki na kobiercu, ceremoniał nawet przyjęcia do stopnia mistrza, i t. d. wszystko to symbole generacyi. Jan św. 24 czerwca dlatego obchodzony tak uroczyście, bo słońce w tenczas najbardziej zapładnia ziemię, świecąc najdłużej na horyzoncie. Nawet pierwsze przyjęcie ucznia do łoży jest przedstawieniem dramatycznym początku narodzenia boga-natury, wielkiego-wszystko, *Grand Tout*, i poucza, że pojęcie Boga duchowego, nadnaturalnego „jest wymy-

słom kapłanów, dla ucywilizowania barbarzyńców, i że nie istnieje wcale żadna istota czysto duchowa. Dwa bowiem pierwiastki, materia i forma, ogień i woda, płęć męzka i żeńska, są zawsze oboje w jednym i jedno w obydwóch rodzących. Nawet bóstwo jest istotą hermafrodytą, a stworzenie jest tylko indukcyą rodzenia¹⁴. Że ta bezecna teoria: otwiera wrota na oścież wszelkiej demoralizacyi, nie potrzeba dowodzić; tak jak dowodzić nie potrzeba, że ów masonski kult natury jest panteizmem w teorii, a grubym materyalizmem w praktyce.

O objawieniu, o Chrystusie i odkupieniu, o motywach nadnaturalnych wiecznej nagrody lub kary, o umartwieniu i pokucie, o potrzebie modlitwy i łaski, nikt nigdy w żadnej na świecie loży słowa nie usłyszał, i w żadnej masonskiej książce, w żadnej przemowie lub pieśni słowa się nie doczyta. Na odezwach wielkiego Wschodu, na frontonie łóż, pism i w rytuałach masonskich figuruje wprawdzie napis: na większą chwałę wielkiego Budownika świata, pożyczony od jezuickiego *Ad Majorem Dei Gloriam*; ale ten budownik to nie jest Bóg chrześcijański, ale albo czczą formuła bez znaczenia, albo demiurg gnostycki, istota duchowa zła lub dobra, albo twórca siła natury, ale nie Bóg. Prawda, masonia ma swoją trójcę, ale jest nią mąż, niewiasta, dziecię.

A jak ten wielki budownik świata nie chrześcijańskiego w swem pojęciu nie zawiera, tak liturgia masonska cała, będąc kul-tem sił natury, jest przedrzeźnianiem, karykaturą katolickiego Kościoła. Loża przezwana tu świątynią, jest w niej ołtarz, są świece, są krzyże i obrazy; ale na tym ołtarzu zamiast krucyfiksu, młotek, kielnia, cyrkiel, miecz, trupia głowa i piszczele; ale te świece oznaczają stopnie masonskie, a ten krzyż to symbol krzyżowania się ras i generacyi; a te obrazy, to alegorie masonskie odnoszące się także do generacyi. Jest i kaznodzieja „brat mówca“, lecz nie ewangelię Chrystusową głosi, ale albo pochwały braci recytuje, albo symboliczne legendy masonskie, tak zwaną dogmatykę, bałamutnie tłumaczy. Zamiast służby bożej, śpiewów

¹ Taki komentarz ceremoniału przyjęcia do masonii daje nam brat Jan Yarker, w. mistrz rytu dawnego szkockiego, w swej książce: *Speculative Freemasonry* Londyn, 1873, str. 53—54, i brat Ragon w swym: *Cours philosophique et Interpretatif des initiations*. Nancy 1843, str. 108—109, i wielu innych.

kościelnych i procesyi, regulamin łożowy przepisuje wstawanie, klaszanie w dłonie, „podróże“ i śpiewy mularskie; zamiast uroczystej mszy św., masońska biesiada z osobną nomenklaturą i osobnym ceremoniałem. Są obchody żałobne w łoży, ale bez księdza i modlitwy; oracya, „podróż“ koło piramidy żałobnej, sypaniem kwiatów na ogień wszystko się odbywa. Są nawet aparaty masońskie: dalmatyka biała, jedwabna dla najpotężniejszego, najwspanialszego mistrza wielkiego Wschodu, fartuszki, szarfy i rękawiczki dla braci.

Nawet w swej korespondencji urzędowej masonia jest przeдрzeźnianiem katolickiego zwyczaju. „Na chwałę wielkiego Budownika świata. Imieniem i pod przewodnictwem najwspanialszego i najpotężniejszego Mistrza N. N. Wielki Wschód Królestwa Polskiego i W. X. Litewskiego do sprawiedliwej i doskonałej łoży św. Jana, pod osobnym tytułem (n. p.). Przesąd zwyciężony pod Wschodem Krakowa pozdrowienie siłę i jedność. Najmilsi Bracia“ — tak rozpoczyna się każdy okólnik Najwyższej kapituły i w. Wschodu, kończy się zaś: „Jesteśmy z uczuciem najtkliwszego braterstwa, najmilsi Bracia wasi najprzywiązani, najprzychylniejsi bracia wasi“¹.

Jużto przyznać trzeba, że w nadawaniu sobie szumnych tytułów i okazałych dekoracyj i przestrzeganiu formalistycznej, drobiazgowej etykiety, masonia nie jest skąpą.

Po nad to wszystko jednakże góruje masońska przysięga. Składa się ją wśród ceremoniału niesmacznego i upokorzającego, który znów jest przedrzeźnianiem ślubów w zakonach katolickich, a treść jej jest z gruntu niemoralną. Oto rota przysięgi najniższego stopnia masonii:

„Przysięgam przed Bogiem najwyższym, całego świata Budownikiem, na honor i zbawienie moje, jako skrytości mularzowej Mularstwa, z jaknajwiększą u siebie zachowam pilnością; — przysięgam, iż póki życia mego, żadnej nie dam pobudki, ażeby przerzeczone skrytości znacznie lub nieznacznie rozniesione były, ani dopuszczę, ażeby zdradzone albo do publicznej wiadomości, bądź na piśmie, drukowane, rysowane, sztychowane czyli innym jakimbądź sposobem podane były. Nadto przysięgam i obiecuję jak najświętobliwiej

¹ Akt ogłoszenia i Ustawy Wielkiego Wschodu Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Ms. in folio przygotowany dla sądu sejmowego w Warszawie 1828.

dochować i wrazie potrzeby życiem i krwią moją wszystkie statuta i ustawy najpoważniejszej społeczności bronić. W przypadku przestąpienia pozwalam mieć gardło przerzniete, serce i wnętrzności wyszarpane i do morskiej rzucone przepaści, ciało moje na popiół spalone i po wszystkich czterech częściach od wiatru rozproszone, ażeby imię moje z całego ziemi wierzchołku zupełnie wymazane i pomiędzy wszystkimi wolnymi Mularzami w niwecz obrócone zostało; ażeby pamiątki mojej najmniejszej nie pozostał ślad, chyba jedynie dlatego, aby całemu rodzajowi ludzkiemu za obrzydliwość służył. Niech mi najwyższy świata Budownik swej pomocy udziela; na potwierdzenie przysięgi całuję słowa Zbawiciela mego (ewangelia)¹.

Przysięgę tę przed mistrzem katedralnym, siedzącym na tronie, składa uczeń „z zawiązanymi oczami, klęcząc gołem kolaniem prawem na tapczaniku z winklem, trzymając ręką lewą ostrze jedno otwartego cyrkla na obnażonej piersi, ręką zaś prawą przyciskając do płazu szpady, która leży na ołtarzu w poprzek otwartej biblij, a bracia łożowi trzymają gołe szpady nad głową jego². „Kawaler wybrany“, stopień IV, rytu Różanego krzyża, przysięga trzymając puginał zwrócony do obnażonej piersi: „pozwalam być zabitym tym puginałem, jeżelibym kiedy przeciw tym obowiązkom uchybił“. Podobną przysięgę składa „Kawaler szkocki“ — stopień V, rytu Różanego krzyża: klęczy, mając stryczek założony na szyi i dwie szpady, swoją i mistrza katedralnego, krzyżowane, przytknięte do obnażonej piersi³. Pod tą samą grozą kary śmierci i hańby wiecznej składa przysięgę „kawaler Wschodu i kawaler Różanego krzyża“, stopień VI i VII, tego rytu. Nawet w łożach adopcyjnych „mopsów i mopsic“, dama wykonuje przysięgę klęcząc, z zawiązanymi oczami, boso, pod sklepieniem ze szpad skrzyżowanych i pod grozą „wzgardy, hańby i infamii“⁴.

Weźmy pod bliższą uwagę tenor tej pierwszej, najpierwszej przysięgi brata ucznia.

Niemoralny jej moment tkwi najprzód w tem, że uczniowi nie jeszcze nie powiedziano, żadnej jeszcze tajemnicy masonskiej

¹ Tamże.

² Rękopis współczesny.

³ Akt ogłoszenia i ustawy Wolnego Mularstwa. Ms. in folio.

⁴ Ms. *Réglements des Francs-Maçons, écrits par I. Potocki*.

nie odkryto, żadnej nauki nie podano, a żąda się z góry na wszystko, bez względu, czy to się zgodzi lub nie z jego sumieniem, przysięgi na wykonanie doktryny i dochowanie tajemnic łoży.

Z zawiązanemi oczami wprowadza „brat straszny“ ucznia przed ołtarz łoży, mistrz przykładą mu ostrze cyrkla do obnażonej piersi, na obnażonem klęczeć każe kolanie, bracia łożowi krzyżują gołe miecze w formie sklepienia nad jego głową, i tak się ta przysięga odbywa. Jużes nie swój, ale własność łoży, nie wolno ci być sobą, tylko narzędziem w rękę cudzem; rozum twój i sumienie poddasz pod doktrynę i rozkaz łoży, a jednak ani tej doktryny nie znasz, ani moralnej wartości tego rozkazu jasno ocenić nie zdołasz; rezygnujesz z człowieczeństwa, stajesz się maszyną bezwiedną.

Drugi, bardziej jeszcze niemoralny moment przysięgi, to jej tajemniczość. Że każda korporacya domaga się dyskrety od swoich członków, że ustaw swoich nie komunikuje lada komu, rzecz słuszną i dla ogólnego dobra tejeż potrzebna; ale żeby ktoś przysięgał na dochowanie tajemnicy o przedmiocie sobie nieznanym, wątpliwej moralnej wartości, a może szkodliwym i niebezpiecznym państwu lub społeczeństwu, i to pod grozą kary śmierci, ćwiertowania i wiecznej hańby, to rzecz niesłychana, w żadnem stowarzyszeniu uczciwem niepraktykowana.

Mówiono wiele o sekretach jezuickich. W r. 1872, w parlamencie berlińskim robiono Jezuitom publiczne w tej mierze zarzuty, motywując tem potrzebę ich wygnania z Niemiec. Malingkrott, przewodnik podówczas katolickiego centrum, zatelegrafował do prowincyała Jezuitów w Krakowie, ks. Kautnego, prosząc o jeden egzemplarz *Institutum Societatis Jesu*. Posłano mu najnowszą edycję rzymską z roku 1868, dwa tomy in folio. Malingkrott złożył je na stole marszałka izby parlamentu niemieckiego i domagał się, aby mając *corpus delicti* w swem ręku, wykazano gdzie i które są one niebezpieczne państwu sekreta jezuickie, w przeciwnym razie aby odwołano potwarz. „*Das ist nicht nöthig*“ odparł marszałek izby, sekretów nie wykazano, bo ich nie było, dwa tomy instytutu jezuickiego złożono do podręcznej biblioteki parlamentu, i są tam po dziś dzień, a Jezuitów wygnano. Każde najdrobniejsze stowarzyszenie musi swój statut przedłożyć władzy politycznej lub kościelnej do zatwierdzenia, i przed tą władzą żadnych tajemnic mieć się mu nie godzi —

jednej masonii tylko, lubo jej żaden rząd legalnie nie uznał, żadna państwowa lub duchowna władza nie zatwierdziła, wolno pod grozą kar ciężkich odbierać przysięgę na dochowanie tajemnicy o rzeczach, których się w chwili złożenia przysięgi nie zna, które poznawszy, rozum i sumienie potępić każą. Dowodzi to, jak dalece ona jest potężna, jak w krajach, zwłaszcza gdzie ona publicznie dozwolona, urzędnicy państwa i osoby wpływowe do masonii należeć czynnie muszą.

Przypuśćmy teraz, że ów brat uczeń zdradził tajemnicę łoży, co się rzeczywiście wydarzało. Według tenoru jego przysięgi, powinien być ukarany śmiercią. Pytanie, kto ten wyrok śmierci wykona? Jużci nie kto inny, tylko znów jakiś brat mason, którego łoża po zapadnięciu wyroku śmierci w warsztacie w. Wschodu, do wykonania tego wyroku przeznaczy. Zapowiada to wyraźnie mistrz katedralny uczniowi, po udzieleniu mu I stopnia: „Drżij Waćpan, jeżelibyś miał wiarołomcą zostać; wszystkie albowiem ku tobie na to są obrócone oręże, ażeby niemi twoje zdradzieckie przeszyć serce, gdybyś się kiedy tak podłym okazał, sprzeciwiając się przysiędze, dobrowolnie wobec wszystkich około ciebie stojących braci wykonanej“¹.

Proszę zauważyć, że przysięga dochowania tajemnicy składa się we wszystkich dalszych stopniach masonii „pod karami zaciągionemi wraz, w pierwszych wziętych obowiązkach zostawszy mularzem“ — a więc także pod grozą śmierci i wiecznej hańby.

Otóż wymierzanie kary śmierci jest atrybucją najwyższej władzy w państwie, czy nią jest cesarz, król, prezydent, czy biskup lub papież, będący księciem udzielnym. Łoża nie będąc najwyższą władzą, nie będąc nawet żadną władzą w kraju, jeno stowarzyszeniem, zakonem, jak się nazywać zwykła, przywłaszcza sobie to najwyższe prawo kary śmierci nad swymi członkami, a do wykonania tego bezprawia zmusza przysięgą człowieka prywatnego, który, jako uczciwy obywatel państwa, na nieczyje życie targnąć się nie powinien, bo ludzkie i boskie prawa mu tego wzbraniają.

Możnaż sobie wystawić coś nadto niemoralniejszego w sobie, a szkodliwszego społeczeństwu?

¹ Akt ogłoszenia i Ustawy Wolnego Mularstwa. 1786 r. Ms. in fol.

Nawet przypuściwszy, że masonia nie zawsze mściła się śmiercią za zdradę tajemnic swoich, kontentując się tylko, jakto w masonii polskiej bywało, na wypisaniu nazwiska zdrajcy na białej tablicy zawieszanej w loży, i ogłoszeniu tej ekskomuniki i hańby we wszystkich lożach należących do wielkiego Wschodu polskiego — to i tak przysięga ta jest niemoralna.

Moralność bowiem lub niemoralność prawa ocenia się z jego treści, bez względu czy ono bywa ściśle wykonywane lub zaniedbywane; już zaś składający przysięgę masońską wykonuje akt woli, przeciwny V przykazaniu bożemu, obalający podstawę spokoju publicznego społeczeństwa. Toć to są przecie zbrodnie, jeżeli nie w czynie, to w intencji. A gdyby nawet intencji w przysięgającym nie było, to i tak przysięga jest niemoralna, bo jest zwykłym oszustwem, skoro przysięgam na to, czego dotrzymać z góry nie mam zamiaru.

Przypuśćmy wreszcie, że, jak to pan Andrieux, były prefekt policyi w Paryżu, wyrzucony z loży za zdradę tajemnic, w pamiętnikach swoich srogość kar masońskich wyszydzając, dowodzi, że one się wykonują tylko *in effigie*, wśród murów loży, jako igraszka śmieszna, nie szkodząca wcale zdrajcy tajemnic masońskich — to i w tem najłagodniejszym tłumaczeniu roty przysięgi, jest ona niemoralna. Godziż się bowiem używać przyboru tak niesmacznie uroczystego, wzywać Boga na świadka, zaklinać się na honor i zbawienie na igraszkę śmieszna? toć to jawna profanacja przysięgi.

Zresztą, jakkolwiek wydaje się być prawdopodobnem, że w trzech niższych stopniach, gdzie krom symbolicznych, bałamu-tych gadanin, właściwej i ważnej tajemnicy masońskiej żadnej nie-
ma, że w tych, mówię, symbolicznych stopniach rota przysięgi nie jest braną dosłownie — to jednak, nie było tak w stopniach wyższych i najwyższych.

W mało znanych u nas, arecyiekawych pamiętnikach Koszuta, opowiada dyrektor rewolucyi węgierskiej i brat mason wysokich światel, że zamach Orsiniego na życie Napoleona III roku 1858 był zadekretowany w wysokiej wencie w Cesenie za niedotrzymanie obietnicy, danej loży, wskrzeszenia zjednoczonych Włoch; że Orsini, ten sam, który młodzieńcem będąc był najżarliwszym katolikiem, w swoich zwierzeniach, jakie poczynił Napoleonowi, gdy go ten w wię-

zieniu Conciergerie odwiedził, wyznał otwarcie, że prócz niego, kilku innych braci wyższych światel przeznaczonych jest na wykonanie łozowego wyroku śmierci na nim, i że mu zostawiono termin 18 miesięcy. Mając tedy do wyboru śmierć lub posłuszeństwo rozkazom wenty, obrał Napoleon III to drugie. W dzień Nowego roku 1859 dziennik rządowy *Moniteur* ogłosił list Orsiniego przed śmiercią do Napoleona pisany, w którym bliski fakt zjednoczenia Włoch zapowiedziany, a w lecie t. r. wybuchła wojna francusko-austriacka, od której, jak wiadomo, rozpoczęło się dzieło zjednoczenia Włoch.

Po tem bardzo treściwem ale sumiennem, i na źródłach wyłącznie masonskich opartem wyjaśnieniu właściwej natury i dążeń masonii, łatwo zrozumieć dwa uderzające fakty: Najprzód, dlaczego papież rzymscy od Klemensa XII, do Leona XIII, od roku 1738—1884, wolnomularski zakon potępiali i wiernym swoim pod grozą najcięższych kar kościelnych wstępu do niego zabronili. Jako stróże czystości wiary chrześcijańskiej musieli potępić instytucję z natury swojej dążącą do obalenia wszelkiej objawionej wiary, a tem bardziej katolicyzmu, i przed jej zgubnością przestrzedz całą rzeczpospolitą chrześcijańską.

Powtóre, dlaczego masonia tak szybkie i tak olbrzymie czyni postępy, że stała się religią państwa Włoch, Francyi i Brazylii, a w innych państwach jak Belgia, Szwajcarya, Prusy, Anglia, Zjednoczone Stany, Brazylia, i t. d. postawiła ołtarz przeciw ołtarzowi, instytucję swoją przeciw panującym w tych krajach wyznaniom chrześcijańskim, i liczyła r. 1885, jeżeli wierzyć można źródłom masonskim, 17,000 łóż i 1.060,095 członków, należących do sfer najwyższych, decydujących i do klas inteligencyi. Masonia jest sektą bardzo wygodną, nie krępuje w niczem ani rozumu ani woli, ma swoją „dogmatykę“, o której niżej będzie mowa, ale zostawia każdemu pełną swobodę „poszukiwania prawdy“ — rozprawia wiele o „cnocie i obowiązku“ ale głosząc kult natury, otwiera wrota na oścież niskim instyktom i namiętnościom ludzkiego serca, gdyż „wszystko co od natury to dobre“. Bóg masonski, „Natura“, „Wielkie wszystko“ nie rządzi światem, praw nie dyktuje, nie karze i nie nagradza, wieczności do rozporządzenia nie ma, oglądać się nań, a tem mniej obawiać się go nie potrzeba; zato rozum ludzki

i tylko on sam rządzi i rozkazuje, prawa stanowi i sumienie tworzy, on jest Bogiem. Dogadzając tedy dwom najpotężniejszym namiętnościom, pysze i zmysłowości ludzkiej, coś dziwnego, że masonia znajdowała i znajduje licznych adeptów.

W dodatku, stała się dzisiaj potęgą polityczną. Sobie ona przypisuje dzieło rewolucyi wielkiej we Francyi i zjednoczenie Włoch. Jej to robotą były rewolucye 1820 r. w Portugalii, Hiszpanii, Sardynii i Neapolu, rewolucya lipcowa we Francyi i Belgii, nasze zbrojne powstanie 1830 r. i rewolucye 1848 r., które jak uragan przeszły zachodnią i środkową Europę, i obaliły do gruntu monarchię w ścisłem znaczeniu tego słowa. Bez jej pomocy obejść się nie mogą nawet tak wyjątkowi potentaci jak Napoleon I i książę Bismark.

W lipcu 1887 roku, masonski dziennik *Bauhütte* wychodzący w Hamburgu, a za nim *Kuryer Poznański* nr. 170 ogłosił arcyciekawą statystykę Masonów w Niemczech. Łóż masonskich jest w różnych prowincjach królestwa Pruskiego i państwach Rzeszy niemieckiej 364, członków czynnych braci Mularzy 44,016, od zmarłego niedawno króla jegomości Wilhelma i książąt krwi, aż do urzędników i wojskowych niższej rangi. W samym Berlinie jest łóż siedemnaście, w Hamburgu czternaście i t. d.

W kilka dni po śmierci cesarza Wilhelma I umieściła *Neue freie Presse*, organ żydowsko-liberalnej frakcyi w Wiedniu, ciekawą korespondencyę z Rzymu, powtórzoną w *Czasie* nr. 62 b. r.

„Wielki mistrz wszystkich włoskich łóż masonskich, 80-letni Jędrzej Lemmi, przesłał bratu Fryderykowi Wilhelmowi w imieniu wszystkich braci włoskich wyraz kondolencyi z powodu zgonu „wiernego brata Wilhelma“, a zarazem powinszowanie z powodu wstąpienia na tron. Cesarz Fryderyk przyjęty został 5 listopada 1853 r. do wielkiej loży krajowej niemieckiej, w czasie kiedy masonia w Niemczech narażona była na rozmaite ataki, mianowicie ze strony Hengstenberga i Eckerta. Przyjęcie odbyło się w pałacu ówczesnego księcia pruskiego, w obecności wielkich urzędników trzech pruskich wielkich łóż, przyczem nowo przyjęty jednego wieczora posunięty został do trzech pierwszych stopni. Po przyjęciu miał ojciec dłuższą przemowę do syna, w której znajdują się następujące godne uwagi ustępy: „Oddawna życzyłeś sobie być przyjętym do zakonu masonów. Przyjęcie odbyło się w ten sposób,

w jaki sam wstąpiłem do zakonu i jakiego życzyłem sobie dla ciebie. Jakkolwiek przyjęcie to w oświadczeniach swych było ogólnem i aforystycznym, dowiodło ci zapewne, że dzieło zakonu jest bardzo poważne, że jest święte i wzniosłe. Jest tylko jedno wyjście i punkt końcowy dla życia człowieka, który to, co najwyższe, żywo i jasno pojął; do trafnego zrozumienia tego jednego potrzebnego doprowadzi cię zakon, jeżeli będzie i pozostanie twojem stałem usiłowaniem przyjąć w siebie święte nauki, jeżeli je zamienisz w czyn i prawdę. Nie brak głosów, któremi stojący poza obrębem zakonu usiłują go przyćmić i podać w przesądzenie. Jak nikomu nie mogę przyznać prawa wyrokowania o zakonie, którego nie zna, również na podstawie nabytego poznania nigdy nie dam ucha takim głosom. Zaczepiają zakon, że się otacza tajemnicą i są za wygodni, aby się przekonać, że to jeszcze dziś jest potrzebnem. Jak jest zwyczajem tych, którzy chcą niszczyć, że zadawałają się tem co powierzchowne, tak i w tym razie przeciwnicy nie wnikają głębiej umyślnie, aby lepiej nie być pouczonymi“. Jako następca zmarłego dnia 26 kwietnia 1860 roku mistrza zakonu Selasińskiego, objął terazniejszy cesarz Fryderyk w uroczystość św. Jana tegoż roku urząd krajowego mistrza zakonu wielkiej loży masonskiej w Niemczech. Po śmierci Fryderyka Wilhelma IV zatrzymał zmarły cesarz Wilhelm godność protektora łóż masonskich w Prusach, przekazał jednak w dniu 15 stycznia 1861 roku swemu synowi zwykle sprawy protektoratu, również jak przewodnictwo na zgromadzeniach loży w. mistrza w Berlinie“.

Potąd za *Neue freie Presse* Czas. Z relacji tej wynika, że dynastia pruska Hohenzollerów od wieku i dalej (od Fryderyka II) stoi na usługach masonii i jest przez nią forytowana skutecznie. Wynika dalej, że zmarły cesarz Wilhelm równie niejasny i nieloiczny w swej oracyi do syna, jak niejasną i bałamutną jest legenda i doktryna masonska. Oświadczenia dane w loży były zdaniem jego „ogólne i aforystyczne“ a dowieść miały synowi księciu, że „dzieło zakonu jest bardzo poważne, święte i wzniosłe“. Łoża okrywa się tajemnicą, która jest „i dziś jeszcze potrzebną“ a profanów spotyka zarzut, że nie znają zakonu masonskiego „nie wnikają głębiej“ i potępiają go. Trudno w tem rozumowaniu domacać się loiki. Ciemne i transcendentalne wyrażenie: „zakon prowadzi do trafnego zrozumienia tego jednego, co potrzebne człowiekowi, a to jedno pojęcie, to pojęcie

tego co najwyższe“ niczego nie poucza i właściwego konkretnego celu masonii nie wyjaśnia wcale. Jeżeli cała oracya ojca do syna była taką, to klasyczną jej nazwać nie można. A jednak cesarz Wilhelm był protestantem wierzącym, a Prusy były i są państwem wyznaniowem, protestanckiem — cóż dopiero mówić o Francyi lub Włoszech, których rządy i parlamenta jawnie do ateuszostwa się przyznają.

Masonia jest więc dzisiaj potęgą polityczną, i nie liczyć się z nią, może tylko umysł płytki i płochy. Dodajmy do tego, że rozporządza znacznemi kapitałami. Wszystkich niemal firm bankowych właściciele i urzędnicy wyżsi należą do loży; że ma na swoje usługi przeważną część prasy, którą inspiruje, a znaczną ilość dzienników, które pod własną firmą masonską w świat puszcza; że nie mała liczba profesorów uniwersytetu, wyższych i średnich zakładów naukowych, należąc do loży, zasady przewrotu religii chrześcijańskiej i kult natury z katedry i w książkach uczonych szerzy, i niemi młode umysły napawa; że wreszcie poważny poczet niewiast, stojących bądź to na straży świętości ogniska domowego, lub nauczaniem zajętych, a zszeregowanych w łóżach adopcyjnych, kult ten natury do samej podstawy społeczeństwa, do rodziny zanoszą i propagują — a pojmiemy, że z wyjątkiem rodzin rdzennie katolickich, ogół społeczeństwa, wiednie lub bezwiednie, myśli i czuje i rozumie na modę masonską. Wielkie hasła masonii: postęp, wolność, równość i braterstwo, emancypacya człowieka, kobiety zwłaszcza z pod wpływu Kościoła, nienawiść księżom i zakonom i t. d., wszystko to dotarło do klas pracujących i mas ludu. Nie należą one do loży, ale na komendę od loży wydaną pójdą choćby na rzeź braci; teorye masonskie: braterskość i równość, korzystając z tyranii kapitału, wytworzyły socyalizm, który rozsądza potężne skądinąd społeczeństwa, jak niemieckie, iż co lat kilka srogie prawa przeciw niemu knuć muszą.

Powiedzmy teraz słowo o masonii polskiej. (C. d. n.)

Ks. St. Załęski.

CNOTA WE FRANCYI.

La Vertu en France par Maxime Du Camp. Paris. Hachette. 1887.

Jeden z najznakomitszych pisarzy duchownych naszej epoki, angielski Oratoryanin Ojciec Faber, w dziele zatytułowanem: *Bethlehem*, snuje pocieszającą na zaciemnione dni nasze teorię: zdaniem jego, im więcej złego na powierzchni ziemi się rozpościera, tem pewniej liczyć można na równą summę dobrego nurtującą od spodu. Złe bardziej bałaśliwie bezczelnie i głośno stawia swe tryumfy, i stąd pozorne święci zwycięstwa; a tymczasem cicha, mrówcza robota dobrego podkopyje w ukryciu złego postępy, równoważy je, hamuje, i bądź co bądź, przybliża królestwo niebieskie na ziemi. Zło rozlewa się szeroko, lecz powierzchownie, korzenie dobrego puszczają głęboko, i najczystsze odżywiają się sokami. Każda niemal ludzka społeczność przedstawia się:

jak lawa

Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa;
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi.
Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi.

Aż do dna duszy zasmucony widokiem obecnego poniżenia i rozstroju Francyi, p. Maxime Du Camp zstąpił ponownie w tę głąb bezdenną, w oną otchłań dobroczynności i miłosierdzia, która pozwoliła mu nie zwątpić o losie, o wartości swej ojczyzny, która wróciła mu zachwiany dla niej szacunek; natchnęła mu rodzaj: *Sursum corda*, tryskające z głębi rozrzuconego serca, i wreszcie pobudziła go do spisania obszerniejszej książki, ofiarowanej młodzieży, a noszącej cechy ozdobnego, gwiazdkowego wydania, obok powagi

treści i celu. „W obec modnego pesymizmu, w obec systematycznego wyrzucania samegoż nawet imienia Boskiego z naszych szkolnych książek, może będzie na czasie przypomnieć, iż cnota nie jest próżnem brzmieniem, że naród nasz po dawnemu ożywiony bywa tą siłą, z której rodzą się szlachetne czyny, pod wpływem teńnienia Bożego“.

Kto wie azali jeden jeszcze wzgląd nie kierował piórem i pracą autora. Tegoroczny mowca akademiczny, któremu powierzono usprawiedliwienie najnowszego rozdawnictwa nagród cnotcie przyznanych, p. Gaston Boissier na publicznej sesji z ostatnich dni listopada, opowiedziawszy chwalebne czyny nagrodzonych, tak rzecz swą dalej prowadził i zamykał: „Przykłady te w całej prawdzie odsłaniają nam ludzką naturę ze strony wyższych onej instynktów i przyrodzonej w gruncie poczciwości.

„Widok ten, dla nas pełen uroku, w dzisiejszej chwili i pożytecznym bardziej niż kiedykolwiek się stawia. Posiadamy młodą szkołę rozumnych i utalentowanych ludzi, gardzących fantazją i wyobraźnią, acz im jej nie braknie, a kuszących się o zastosowanie do literatury, ściślej naukowej metody, rzekomem opracowaniem dokumentów i przedstawianiem rzeczywistych obrazów, autentycznych wizerunków. Na przeciw tej szkole występujemy także z dokumentami wprawdzie nie zaczerpanemi z sądów kryminalnych, ale dla tego nie mniej wiarogodnych. W innem one człowieka przedstawiają światłe, aniżeli modne powieści: ludzkość w nich się maluje mniej zepsutą niż ją mieć pragną nowożytni pesymiści, atoli nie mnie mam, abyśmy dlatego mieli powód narzekać, i odmawiali wiary przywiedzionym przez nas dodatnim rysom.

„Zarzucano w minionym wieku idylłom Floryana ekliwość bezbarwną: „Braknie wilka wśród tyłu baranków“. Podobnej wymówki dzisiejszym powieściopisarzom chyba zrobić nie można; samych malując wilków, zaniedbali całkiem baranków. Zrazu modą było wyższe sfery społeczne przedstawiać jako ognisko zepsucia, podczas gdy w niższych szukano samych ideałów cnoty. Dziś posunięto się dalej, nie oszczędzając już ani robotników, ani wieśniaków.

„Nie można twierdzić, aby owe wizerunki całkiem były zmyślone. Błędem jest tylko, iż autorowie tychże podają wyjątki za

ogólne prawo i prawdę. Przedstawiają nam jakąś jedną wstrętną stronę naszej społeczności, zaręczając, iż jest to wierny obraz całości. Cudzoziemcy odrazu temu zawierzają. Owszem, powtarzają z urąganiem, iż podobnie zgangrenowany naród zasługuje na karę, na ogień z nieba, i chętnie się za narzędzia pomsty niebios na nową Sodomę podawają. Ale i swoi, i zacni ludzie, którym wystarczyłoby spójrzeć na około siebie, aby dostrzedz mnóstwo przykładów uczciwości i cnoty, biorą za dobrą monetę przesady nowożytnego piśmiennictwa. Człowiek zawsze chętniej zawierzy temu, co przeczyta, aniżeli temu, co sam zobaczy. Druk każdemu imponuje, zwłaszcza gdy talentem podszyty, a trudno się otrząsnąć z raz odebranych wrażeń. Dlatego, gdybyśmy z nich nasze pojęcia czerpali, rychłoby nam zawierzyć przyszło, iż cnota na dobre z powierzchni ziemi uleciała“.

Dlatego tem potrzebniej jej szukać, jej świadczyć, choćby raz na rok, wynagrodzeniem za całoroczne zaniedbanie i niepamięć. Zwrot to do publicznych posiedzeń akademii, która przed niewielu dniami święciła 104-tą rocznicę ustanowienia przez zacnego p. de Monthyon pierwszej nagrody cnoty. Dla nas jest coś wstrętnego w onej ziemskiej nagrodzie, tak ze stanowiska chrześcijańskiego, jak i z przyrodzonego u Polaków sromu w dziedzinie zasługi i dobrych uczynków. Posuwamy może to szlachetne uczucie zbyt daleko, aż do zaniechania posłannictwa dobrego przykładu, w przesadzonej troskliwości, aby prawica nie wiedziała co czyni lewica. Ale jakiegobądź wrażenie nam sprawia publiczne sławienie i odznaczanie żyjących zasług wieńcami akademii, trudno zamknąć oczy na korzystne strony tego dorocznego święta. Zrazu szczupły był tylko fundusz, do rozporządzenia przez p. de Monthyon oddany, i zaledwie jedną udzielano nagrodę. Dziś namnożyły się fundacye, rozszerzył zakres działania, a zarazem urosły archiwa cnoty. Corocznie od lat stu czterech, jeden z wymowniejszych członków uczonego grona, podejmuje się szczegółowego sprawozdania i pochwały dobrych uczynków i dobrych ludzi. Nie łatwe to zadanie wobec utartego mniemania, że cnota zabawną być nie umie. To też jeden z mowców żartobliwie powtarzał, iż jeśli się dobrze wywiąże z polecenia, godzien byłby udziału w nagrodach przyznanych za-cnym lub heroicznym uczynkom. Nie ulega wątpliwości, że owe

sprawozdania wiodą ku cnocie, zachęcają do jej uszanowania, zagrzewają do jej ukochania; a skądinąd pieniężne zasilki tracą wstrętną cechę doczesnej nagrody, aby nieraz dźwignąć dzieło słabymi siłami rozpoczęte, ustalić początkującą instytucję, zapewnić spokojną starość ludziom starganym pracą i ofiarą życia.

Jedną jeszcze korzyścią owych fundacyj, to utrwalenie pamięci dobrych przykładów, podniosłych faktów i rysów. Chcąc zgromadzić w jakąś ustaloną formę i całość obrazy cnoty francuskiej, wystarczyło p. Du Camp zajrzeć w roczniki akademii, odczytać seryę przemów, otworzyć archiwa i pełnemi rękoma zaczerpnąć z tej skarbnicy szlachetnych wspomnień. Serce i pióro zarówno się znalazły na wysokości przedmiotu. Umiał dobrać farb, ugrupować pojedyncze typy, wprowadzić jak największą rozmaitość w jednostajną dobroczynności opowieść. Przesuwają się przed nami postacie mężczyzn i kobiet, całkiem od siebie różne, okrom jednego podobieństwa — poświęcenia. Trafnych uwag, zwrotów pełnych aktualności nie braknie. Najbardziej atoli pociesza i nęci samą właśnie różnorodność typów, dowodząca, że cnota nie zna ciasnej sfery, lecz dla każdego stanu jest przystępną.

I tak przesuwają się przed nami kilka przykładów wierności sług dobrych, nawet wyzwolonych niewolników, których dusza była równie jasną, jak skóra ciemną; mamy obraz pocziwego dorózkarza, przybierającego do grona własnych dzieci opuszczonego podrzutka; czytamy dzieje córki, która życie poświęciła ojcu, choć ten ani na jej miłość, ani na szacunek nie zasługiwał; poznajemy prototyp sławnego romansu p. Claretie, *Les mémoires d'un interne*, w tej dziewczynie, która się poświęciła służbie idyotek, byle się dostać do domu obłąkanych, w którym matka jej była zamkniętą; podziwiamy przykład siostrzanej miłości w onej ubogiej wieśniaczce, która z niebezpieczeństwem życia czuwała nad zdziczałym aż do zwierzęcości waryatem; wzruszamy się historią aktora, który nie zadawałnając się rolami cnotliwych ojców i mężów, jakie wieczorami odgrywał, dni swe poświęcał niesieniu pomocy bliźnim, dzieląc się z nimi nie tylko szczupłemi dochodami, lecz i czasem, czytując ociemniałym, opatrując rany, ciesząc i ratując biednych lub smutnych; w służącej znanego filantropa Oberlina poznajemy założycielkę pierwszej ochronki; otrzymujemy i wizerunek dobrego ple-

banu i obraz żołnierza padającego na posterunku, bo jak mawiał dzielny obrońca Khartum, Gordon: „Żołnierz nigdy nie może, nie potrafi zrobić więcej, aniżeli tego prosta powinność jego wymaga“; z wzruszeniem śledzimy dzieje studenta, który w najświetniejszej chwili gimnazjalnych powodzeń opuszcza szkołę, aby codziennym zarobkiem ocalić matkę od szpitala; z grozą czytamy opowieść o tej gorącego serca dziewczynie, która przez wodę i lasy spieszyła nawiedzać opuszczonych i chorych, aż raz w odludnem szalasie, strzegąc konającej trędowatej staruszki, noc całą spędziła na zapieraniu wszystkimi siłami słabych drzwi, przez które wdierał się — czychający na trupa wilk drapieżny; rozczuła nas wspomnienie nie doszłej synowicy, która straciwszy narzeczonego, całe życie poświęciła jego rodzicom; porywa opis poświęceń prostej kobiety, która nie tylko w ambulansach, lecz wśród bitew, kulami nie tknięta, spieszyła na pomoc ginących i rannych; przeraża historia dzielnej istoty, słynącej z poświęcenia w czasie oblężenia Paryża, którą kommuna ujęła i rozstrzelała, dość niezręcznie, aby jej życie zostać. Wśród tego nawału pięknych przykładów, kilka na dłuższe zasługuje wspomnienie, ze względu na treść bardziej zajmującą i wdzięczniejsze jeszcze, jeśli być może, opracowanie przedmiotu.

Dzieje marynarza Bellota wyjątkowo nie zostały z archiwów akademickich zaczerpnięte. Zasłużone wieńce Francya złożyła na wilgotnej mogile bohaterskiego swego syna, pochłoniętego w nurtach oceanu lodowatego. Porucznik Bellot poczesne zajmuje miejsce w tym nieprzeliczonym już dziś szeregu ofiar zawodnej żądz odkrycia północnej drogi, pozwalającej okrętom dostać się z Atlantyku na ocean Spokojny, docierając zarazem do niedościgłych biegunowych kresów. Od lat trzystu, sroga zima udaremnia powtarzające się ustawicznie w tym celu uczone wyprawy.

Jedną z najślawniejszych wiośl ku północy Sir John Franklin. W poprzednio dokonanych żeglugach doszedł był do przekonania, iż gdzieś, po za lodów pasmem znajdować się musi morze wolne i nie zamrożone. Z tą myślą, nie zniechęcony ciężarem szóstego już krzyżyka, Franklin ponownie wypłynął w maju 1845 r., na statkach noszących złowrogie miano: *Erebus* i *Terror*. Gdy przez trzy lata nie było o nich wieści, całą Anglię ogarnął słuszny niepokój, podsycony troską Lady Franklin, która nie ustawała

w zbrojeniu coraz to nowych okrętów, i ostatni grosz poświęcała na odszukanie małżonka. Obliczono, iż tak prywatnym jak publicznym kosztem urządzone wyprawy celem odnalezienia Sir John'a Franklina kosztowały ni mniej ni więcej, tylko milion czterysta sześćdziesiąt sześć funtów szterlingów, a było takich wypraw z kolei dziewiętnaście! Żadnego z towarzyszków Franklina odszukać się nie udało. Z świadectwa Eskimosów i odkopanych w śniegu szczątków, ostatecznie przekonano się, iż nieszczęśliwi dożyli wiosny 1850 r., aby w pięć lat po wypłynięciu, paść ofiarą głodu.

Do jednej z pierwszych wypraw, wdowim żalem Lady Franklin zorganizowanej, przyłączył się porucznik Bellot, młody Francuz, z jakim nas p. Maxime Du Camp zapoznaje. *Il n'y a de tentant que l'impossible*, mawiał Michelet, „a są charaktery, dla których trudność, wysilenie, heroizm, nie zwalczonym bywa magnesem. Syn prostego kowala, Józef Bellot miał ojcowskie odziedziczyć rzemiosło, gdy bystrość jego i pilność w nauce zwróciły nań uwagę władz miejskich, które mu zapewniły wyższe wykształcenie. W szesnastym roku życia wstąpił do marynarki, z odznaczeniem składając wszystkie egzamina. Dwudziestoletni młodzieniec już sobie był zdobył krzyż legii honorowej i wyższą rangę aspiranta 1-szej klasy. Małeńki był to człowieczek, zwinny, śmiały, o ciemnej cerze i czarnych oczach, z których przeświecał rozum i dobroć serdeczna. Odważny w obec niebezpieczeństwa posiadał jeszcze cenniejszą odwagę codzienną, powszednią, nigdy nie dając się opanować rozpaczom ni zwątpieniu. Niewyczerpany zasób swobody wewnętrznej i wesołego humoru ułatwiał mu zniesienie nędz przygodnych podbiegunowemu życiu. Do tych zalet dodajmy dźwignię głębokich uczuć religijnych. Pod tym względem znalazł w komendancie goeletki: *Prince Albert*, Anglika Kennedy, godnego towarzysza. W godzinach najciemniejszych żeglugi, gdy morze lodem się ścinało, ziemia pod śniegiem znikła, noc utrzymywała się bez przerwy, mróz śmiercią ścisnął, a szkorbut między załogą grasował, Bellot i Kennedy powtarzali z przekonaniem: „Cokolwiek się stanie, i włos nam z głowy nie spadnie bez woli Najwyższego“. Zaiste, dodaje p. Du Camp, wiara nie tylko góry przenosi, ale snadź ułatwia i przedarcie się przez lodowate puszcze.

Wolontaryusz podbiegunowych niebezpieczeństw, został dobrze

w Anglii przyjętym, a po macierzyńsku powitany przez Lady Franklin, która przeciw nadziei nadzieję chowała. Nie wielki statek, z załogą 18 zaledwie ludzi, wypłynął w pierwszych dniach czerwca 1851 r. Niebawem stracono z oczu Orkady: „Ostatni nasz węzeł z Europą się zerwał, pisze Bellot. Na jak długo? Bóg to jeden wiedzieć może, ale niech się dzieje wola Jego święta, bo wszystko, co On czyni, jest dobrem“.

Statek przepływa cieśninę Davis, dostaje się na morze Baffinu, aby 10 lipca zawinąć do portu w Uppernawik. Najbardziej to wysunięty ku północy posterunek europejskiej cywilizacji, niby ostatnie czaty doglądające biegu podbiegunowych lodowców. Prawdziwe to dziś *Ultima Thule*, dalej już droga wiedzie utarta ku nędzy, zimnu, chorobie, w stronę nieustających lodów i szkorbutu. Lodowce okrażają wątłą łupinę statku: niechno się zbliżą, zetną się z sobą, a słaba okrętowa budowa na trzaski się rozleci. *Ice bergi*, góry lodowe piętrzą się nad poziomem fali, coraz to dziwniejsze przybierając kształty, pałaców, katedr, wieżyc, jaskiń zapadających się z łoskotem, aby olbrzymie na okół wytwarzać bałwany. Bellot podziwia te cuda przyrody, których widok nigdy mu się nie uprzykrza: „O ludzie! ludzie! czem wasze budowy? czem piramidy i Kremlin i kopuła św. Piotra? Oto góry sterczące na ośmset stóp z wody, których podnóże zatapia się na dwa tysiące stóp w głębi morza; oto kopuły, sklepienia liczące czterysta stóp wysokości“!

Wszystko tu zamarłem w tych podbiegunowych strefach: śnieg wszelką zasul roślinność, woda słodka zamarzła, życie zwierzęce zginęło: „Samaż moralna natura jakoby zrzekła się rządów, zostawiając chaos, w którym wszystko się miesza i roztrąca nawzajem“. Jakże człowiek ma się obronić wśród śmierci, która go otacza ze wsząd? Kapitan Kennedy opowiada Bellotowi, iż na wybrzeżach Labradoru, względnie mniej wydzielonych od północnych ziem, widział starca, który w zimie pożarł żonę i dwoje dzieci, „nie mając już nic do jedzenia“. Żadnego środka przeciw wciskającemu się zimnu znaleźć nie można. Przez 45 dni z rzędu słońce nie zachodzi wcale, później nie wschodzi już więcej, a mgły ciemne księżyc zasłaniają. Śnieg blaskiem oślepia, mróz znieczula ucho, pie-

kło to Dantejskie, w najgłębszym kręgu zastępujące ogień wieczny wieczystemi lodami.

Żegluga po morzach południowych, gdzie wszystko światłem i błękitem, nie przygotowała młodego porucznika na smutki i próby północnej wyprawy. Ale dusza jego umiała stanąć na wysokości trudów i doświadczeń chwili. Że cierpiał wiele, nie ulega wątpliwości, ale z tych cierpień się nie zwierza, nie zdradza ich nawet w poufnych zapiskach. Serce otoczył Horacyuszowem *aes triplex*, i w tej przeciągłej walce z żywiołami, nie podobna w nim dostrzedz nadwątlenia woli lub bezsilnego zwątpienia. Cały bez zastrzeżeń ni wytechnienia, poświęca się wymaganiom ciężkiego zawodu. Ilekroć ludzie załogi pod wpływem chłodu, głodu, jednostajności nędz codziennych, tracą ochotę i serce, sam widok Belłot'a ducha im dodaje: „Alboż nie potrafimy zrobić to, co robi ten mały Francuzik“? A „Francuzik“ i czynem, i przykładem, i dobrą radą staje się duszą wyprawy.

Płynąc wśród lodów, bacząc wciąż na powierzchnię fali grożącej ścięciem, posuwano się ku północy w nadziei dobiecia do portu Leopolda, położonego u wstępu do cieśniny Barrow. Tam *Prince Albert* zamierzał przezimować, korzystając z zapasów żywności złożonych na tem miejscu przez poprzedniego żeglarza. Tymczasem mdle cisze opóźniają postęp drogi, ilekroć wiatr opada, żagle na nie się nie zdadzą; mija czas drogocenny, Bellot zaczyna się lękać, azali lody nie zatamują drogi: „kiedyż doczekamy się czasu, w którym każdy statek będzie miał maszynę parową? jakbyśmy dziś błogosławili najmniejszą sprężynę, któraby nas pchnęła naprzód!“ Niepogoda w sierpniu, wrześniu, utrudnia żeglugę: „Paro, paro, czemuż nam na pomoc nie przybywasz?“

Nareszcie dnia 5 września, w okolicy portu Leopolda, Kennedy siada na łódź wspólną z pięcioma majtkami, dla rekognoskowania lądu. Wiatr dmie z północy, lodów na morzu pełno, ale jeszcze droga otwarta. W tem po ósmej godzinie, lody się zbiegły, ustaliły, pchnęły statek ku południowi. Ani myśli dotrzeć teraz do portu. Kapitan dawno z oczu zniknął. Czy stanął w zatoce Leopolda? czy ocalał wraz z ludźmi, którzy mu towarzyszyli? Niepokój gnębi serca. Zapomniano o Franklinie, troszcząc się o los bliższych współmarynarzy. Należy myśleć o zimowych leżach, a usta-

liwszy je jako tako, Bellot postanawia spieszyć na odsiecz kapita-
tana, i jeśli podobna, odprowadzić go do statku.

Z dniem 16 września rusza naprzód w towarzystwie trzech
wypróbowanych majtków. Termometr znaczy 21 stopni niżej zera.
Mimo to śnieg pozostał miękki, co utrudnia pochód. Wieczorem
chronią się w doraźnie z śniegu i lodu zbudowanych przytułkach,
ogrzewają się herbatą. Zamieć się wzmacza, po trzech dniach walki
z żywiołami, wracają w rozpacz na statek, gdzie względny czeka
ich spoczynek i dobrobyt, a jednak i tu oddech śpiących opada
śniegiem, lzy do powiek przymarzają.

Tymczasem Bellot nie wyrzeka się zamiaru spieszenia na po-
moc kapitanowi: czeka tylko na ustalenie się drogi. Gdy śnieg
prymarzał należyście, ponownie rusza w drogę, z sankami zaprzęzo-
nemi psami północy. Tyle wytrwałości miało niebawem otrzymać
nagrodę. Odnalazł kapitana Kennedy w porcie Leopolda, gdzie na-
gromadzone przez admiralicyę zasoby pozwoliły mu przez cały mie-
siąc przetrzymać. Po sześciu tygodniach nieobecności, komendant
wrócił na pokład swego okrętu.

Nie jednostajniejszego nad zimowe leże załogi podbiegunowej.
Ludzie w łowach szukają rozrywki, ale zwierzyny mało, raz po
raz zjawia się pardwy, zabłąka lis zwabiony wonią kuchni okręto-
wej. Jeśli się uda ubić trafem niedźwiedzia, zapas świeżego mięsa
na długo się odnowi. Ale nad mróz większym wrogiem wilgoć
rozwijająca szkorbut i reumatyzmy.

Człowiek chyba cudem wytrzyma i przetrzyma tak przeciwnie
życia warunki. Sam nawet Bellot, mimo zahartowania duszy nad
stał wytrzymalszej, uległ wpływowi zgubnego klimatu, czytamy bo-
wiem w jego dzienniczku pod datą 11 grudnia: Wiatr dmie wście-
kle, przeciskając się przez podwójne ściany drzewa i śniegu, które
nas otaczają. Nie wiem czy on powodem moralnego niedomagania,
które mi dolega, ale od dwóch dni cierpię na napad ponurej mi-
zantropii, przedstawiającej mi wszystko w najczarniejszych barwach.
Zniechęcenie to nie trwa jednak długo, w kilka dni później do-
daje: „Zimę mamy względnie łagodną, kiedy niema wiatru to i 30
stopni mrozu nie dokuczy. Nawykliśmy znajdować, iż 20 stopni
poniżej zera jest wcale przyzwoitą miarą ciepła“.

Postanowiono zagłębić się nieco w stały ląd, celem od-

szukania śladów Franklina. Wyruszone 3 marca, aby dopiero 31 maja powrócić. Psy ciągnęły sanki, ludzie łódź po śniegu. Przez te trzy miesiące żadna przykrość, żadna nędza nie została oszczędzoną uczestnikom wycieczki. Bellot do najcięższych wprzegął się trudów, nigdy żadnej nie wydając skargi, co najwięcej wspomina, iż już czas wracać, bo żywności braknie, bo skrwawione dziaśła zwiastują początki szkorbutu, bo nawet zapas pemmikanu, czyli sproszkowanego mięsa żubrego się wyczerpał. Nigdzie śladu Franklina nie znalazłszy, garstka odważnych znów stanęła na statku. Ale i tam choroby powaliły część załogi. Szczęściem drzewa nie brakło na krukwie dla osłabionych i kalek. Jakież uczucie owładło Bellotem, gdy po tylu niebezpieczeństwach, odnalazł się w swej kajucie! W dzienniczku przepisuje on psalm Dawidowy: „Duszo moja, chwal Pana i Boga twego! Niech wszystko co we mnie jest podniesie się, aby sławić i błogosławić Imię Jego święte!“.

Ale wraz powietrze się ogrzewa zwiastując koniec okresu nędz nieprzerwanych. W czerwcu i lipcu błyska słońce, przeglądają mchy z szczelin, przeciągają żórawie, pojawiają się wieloryby. Bellot, jak wszyscy uczeni ludzie, braki swe tylko zatwierdza: „Ileżbym rzeczy przygotował, ile ciekawych przedsiębrałbym studyów, gdyby mi przyszło podobną wyprawę wznowić!“.

Łódź mięknąć zaczyna, gnije, żeby użyć wyrazu marynarzy. Zrazu wycinają oni kanał dla uwięzionej przez jedenaście miesięcy goeletki, nareszcie w październiku 1852 r. przybijają do portów Szkocyi.

Wrażenie, jakie Bellot sprawił na towarzyszach podróży, było tak wielkie, iż gdy nie rozpaczająca o losie męża Lady Franklin, nową wnet zaczęła urządzać wyprawę, kapitan Kennedy prosił, aby mu było wolno pod komendą „małego Francuza“ ruszyć ku biegunom. Bellot komendy odmówił, ale w r. 1853 przyłączył się znów do załogi *Fenixa*, parowca kosztem Lady Franklin wyprawionego, który dalej miał dotrzeć aniżeli *Prince Albert*. Mimo doświadczenia polarnych trudów, młody Francuz z większym jeszcze animuszem ponowną rozpoczynał kampanię. Niebawem powierzono mu wycieczkę po lodach, celem spotkania innej angielskiej załogi. Niestety! zerwał się orkan, który oddzielił od lądu olbrzymi kawał lodu, na którym właśnie znajdował się Bellot w towarzystwie dwóch marynarzy. Zamiast śnieżna podwajała niebezpieczeństwo. Na dniu

18 sierpnia 1853 r. z rana, młody oficer oświadczył towarzyszom, iż okraży całą wyspę pływając, celem zbadania kierunku lodów. Po chwili jeden z marynarzy zaczął go nawoływać, a nie otrzymując odpowiedzi, zaszedł nad szczelinę, u której brzegu znalazł kij, na którym się Bellot opierał. Dzielny porucznik zniknął był niepowrotnie w głębokich wodach, które się nad nim zwały.

Więcej niż ktokolwiek, jak pisze p. Du Camp, Bellot uosabnia wytrwałość w poświęceniu, ciągłość ofiary. Niejednym bohaterskim wślawił się on czynem, ale przez całe lata nie przestał być bohaterem. Nie skorzy też do pochwał Angliey, uchylali przed nim czoła, a jeden z ich największych uczonych mawiał: „Widziałem rzadko równych mu, nigdy zaś nie spotkałem lepszego“.

Z pola męskiego heroizmu w obec rozhukanych żywiołów, przejdźmy w dziedzinę skromniejszych usiłowań, opowiadając za p. Du Camp dzieje ludowej nauczycielki w Lugdunie. Została nią z wyboru, z powołania. „Wychowanie dzieci, to nie urząd, lecz posłannictwo!“ słusznie powtarza autor. U kobiet zmysł pedagogiczny nieraz bywa wrodzonym. Wiedzą one lepiej od nas, że rozumowaniem i surowością niewiele się od dziecka otrzyma, że zbudzeniem uczucia, odwołaniem się do serca, łatwiej osiągnąć można skutki. Zachęta, pieśczoła, wyrzut z łagodnym uczyniony smutkiem, nierównie więcej od kar może być skutecznym. Nie mała to sztuka trafić do serca dziecka; kobiety w tem przodują, co więcej, umieją nieraz zwalczyć, opanować najdziksze natury, najoporniejsze charaktery. Mistrzem w tej sztuce okazała się p. Anna Gros, zwłaszcza gdy osiadłszy w mieście rodzinnem, podczas wojny niemieckiej, spostrzegła do jakich ostateczności opuszczenia i złego dzieci roboczych przedmieść dochodzić zwykły. Idąc za popędem serca obok szkółki, a raczej ochronki płatnej, otworzyła dla starszych chłopców niedzielną bezpłatną szkołę. Znalazło ich się w około niej niebawem spore grono, ukochała te natury dzikie lecz bogate, ukochała swoich „niedzielných rozbójników“, jak ich z uśmiechem sama nazywała. I rzeczywiście, prawdziwi, niedoletni rozbójnicy, chętnie garnęli się do niej, wsłuchiwali w jej opowiadania i, nie domyślając się nieraz zawartej w nich poważnej nauki życia, sądzili, że im było danem miły tylko przepędzić wieczór lub popołudnie. Początki bywały trudne: należało wyrostków najprzód przekonać, iż nie go-

dzi się ani kraść, ani zabijać, a nauczyć ich myć się i czesać. Od jakich charakterów p. Gros rozpoczęła swe dzieło odrodzenia? wystarczy kilka przypomnień najprzód chłopca, który sam się przyznał, iż w przystępie gniewu utopił trzech towarzyszków zabawy. Byłaż to przechwałka? nie, chłopiec nie kłamał nigdy, składał tylko dowody swej siły i mściwości: „sprzeciwiali mi się, zepchnąłem ich do rzeki i patrzałem, jak się długo brzechтали rozpaczliwie“. Ten sam nieświadomy zbrodniarz w rękach p. Gros zamienił się w najlepszego syna, w doskonałego żołnierza, i z niebezpieczeństwem życia kilka już osób z nurtów Rodanu wybawił. Innego nazywano „dzieckiem ognia“, tak słynał z zapалу do bójek. Robotnicy śmieli się z jego wściekłości, podjudzali dziecinną namiętność, aby przyglądać się krwawym nieraz zapasom. Pewnego dnia „dziecko ognia“ pojawiło się w niedzielnej klasie Anny Gros. — Przychodzisz mi tu dokazywać bratku, otóż wiedz, że w czasie nauki bić się nie wolno. — Pół żartem, pół seryo otrzymała od niego przyrzeczenie, iż już tylko raz na dzień bić się będzie. Później co drugi dzień zobowiązał się wznowiać gwałtowne spory, i mimo żartów i docinków towarzyszków, dotrzymał słowa. W tym przypadku, jak w tylu innych, p. Gros odgadła, że w każdym dziecku, jakkolwiek gwałtownem i zdziwiałem, tkwi jakieś wrodzone rycerskie uczucie, życiem nieraz stłumione, w młodych latach najsilniejsze. Umiała odwołać się zawsze do tego nieraz uśpionego uczucia. I oto dziecko kłótlive i dzikie, nagle zamieniło się w uczciwego człowieka, czułego jak dawniej na przykre słowa i urazy, ale przekładającego upokorzenie sprawione cudzą obelgą, nad osobiste w obec siebie samego zawstydzenie, gdyby się sprzeniewierzył dobrowolnie zaciągniętym zobowiązaniom. „Moc duszy zasadza się nierównie więcej na zwycięstwo nad sobą, aniżeli na zwalczaniu przeciwników. Takie wewnętrzne zwycięstwa posiadają moc rodzajną i rozwijają w człowieku obcą mu przedtem siłę woli“.

Anna Gros poskramia ich złości ucząc ich dalej, jak sobie mogą i powinni dopomagać. Jeden z uczniów niedzielnych z braku zdolności liche czynił postępy. Spostrzegł to towarzysz, i postanowił mu chętniej udzielić pomocy. Co wieczór, wychodząc razem z fabryki szkła, gdzie przez cały dzień pracowali bez wytchnienia, młodzi czeladnicy stawali z książką w rękę pod najbliższą uliczną

latarnią, i tam, mimo znużenia i sennaści, jeden tłumaczył, objaśniał, uczył, drugi ćwiczył się w opornie dotąd przyjmowanej nauce.

Jako wypróbowany wódz, który umie z każdej sposobności korzystać, aby osiągnąć zwycięstwa, p. Gros chwytła w lot spojrzenia, wrażenia, najmniejsze ruchy, najcichsze szepty. Pewnego razu w gronie „rozbójników“ znalazł się chłopiec tak moralnie i fizycznie nie okrzesany, że zdawało się, iż żadne wpływy nie dotrą, nie przebiją się przez tę grubą i dziką powłokę. Powracał on często, ale dobra nauczycielka nie zdołała go nawet zniewolić do ostrzyżenia kędzierzawej czupryny i zachowania jakiegobądź ochędóstwa. Anna śledziła, czekała sposobności, choćby najdrobniejszej na pozór. Znalazła ją niebawem. Jednej niedzieli zaszła do szkoły p. Gros ciekawa jej metody pani, przybrana starannie i wykwintnie. Między innemi miała na głowie kapelusz czarny z różą. Jakiś wpływ tajemny ów sztuczny kwiatek wywarł na obdartym uliczniku? Dość że przez całą lekcję zapatrzonej w owej róży, przyglądał jej się w niemym zachwycie. Baczna nauczycielka dostrzegła ów zachwyt, i po klasie przywołała chłopca: „W przyszłą niedzielę ta sama pani tu wróci, jeśli się umyjesz i uczeszcesz, posadzę cię obok niej“. Na dzień oznaczony stawił się odmieniony do niepoznania, wyczesany, wymyty, złany wodą. — Cóż to? bluza twoja cała jeszcze mokra? spytała nauczycielka. Wyprałem ją wcześniej w Rodanie, i dotąd nie uschła, ale nie ma obawy, wyschnie wnet na mnie.

Od tej godziny — od tej róży — dodaje p. Du Camp — od tego kwiatka, który na nim wywarł wpływ tajemniczy, dziecię okrzesać się dało, zachowując jeno energię i siłę pierwotnej swej dzikiej natury. Wie on komu to zawdzięcza. Na zapytanie p. Gros czy kocha matkę, odparł szybko: „kocham ją, ale mam ich dwie, jedną, która mnie urodziła, i panią“. Gdy „pani“ raz zachorowała, co niedziela podejmował cztery godziny uciążliwej drogi, byle o jej zdrowiu zasięgnąć wieści.

Historyjki, które opowiada swym uczniom, mają dar więzienia ich uwagi. Cały ten mały światek zasłuchany, zmagnetyzowany jej słowem, zda się wisieć u jej ust, czekając co dalej im powie. Między najuważniejszymi znalazło się dwóch braci, uderzyło to wszystko Annę, iż nigdy razem nie przychodzili, lecz na przemian pojawiali się w klasie. Gdzież Ludwik? zapytała raz wychodzącego

Janka. — Siedzi na drzewie. — I cóż on tam teraz robi? — Czeką na trzewiki, które mu podam, gdy się skończy lekcya, a nastąpi opowiadanie. W przyszłą niedzielę na mnie przyjdzie kolej słuchać powiastki, a jemu lekcya przypadnie. Jakto, moje biedne chłopcy, alboż tylko jedną na dwóch posiadacie parę obuwia? — Zapewne i dlatego też, gdy wielkie błoto lub ślota, lepiej nam czekać na drzewie, aż nadejdzie kolej wejścia do szkoły. Ma się rozumieć, że pocziwa Anna zakrzętała się około dostarczenia drugiej pary butów pilnym chłopaczkom.

Starszy od nich słuchacz jej wykładów, imieniem Michał, nie był bynajmniej wzorem dobrego czeladnika. Lubił pić i hulać, a jednak zaglądał niekiedy do niedzielnej szkółki. Pewnego razu p. Anna opowiadała o powinności utrzymywania starych rodziców z należytem uszanowaniem i troskliwością. Michał coraz się więcej rozczulał na wspomnienie, że jego matka żadnego nie miała przytulku, sypiając gdzie się udało, najczęściej pod jakim wozem. Tego dnia nie pił wcale, mimo docinków towarzyszy. Skończyło się, już mi się pić nie chce, odpowiadał na ich żarty. Zamiast wódki, kupił parę desek, zbil niekształtne schronisko, do którego wprowadził staruszkę. Nędzna i ciasna to buda, ale przynajmniej znalazła dach nad głową, i matka zasnąć mogła spokojnie, bez obawy przed deszczem, zimnem lub psami.

Ten sam Michał dziś jest dobrym rzemieślnikiem, pracowitym ojcem rodziny; matka przy nim mieszka; w domu stosunkowy panuje dobrobyt. Nie dawno jeszcze odzywał się on do swej dawnej mistrzyni: „Pani mnie zbawiłaś opowiedzianą powiastką. Byłem pospolitym pijakiem, zrozumiałem nagle, że mam winien matce pomoc i opiekę i zbudowałem dla niej schronisko. Był to pierwszy wysiłek, kosztował mnie nie mało. Reszta się wywiązała sama z siebie, i wnet poznałem całą potęgę oszczędności. Teraz czuję błogosławieństwo Boże nad sobą. Gdyby nie pani, byłbym dziś zgubiony“.

Takich przykładów możnaby przytoczyć bez liku. Uwydatniają one właściwość Anny Gros w ujarzmianiu niesfornych natur. Maxime Du Camp, nie znajdując lepszego wyrazu, nazywa ją *une dompteuse*. Dzikie zwierze rozkielznane w człowieku, a bardziej jeszcze w dziecku wystawionem na zepsucie warsztatów i fabryk, w niej znalazło pogromcę. Nie używa ona szkolnej do tego metody, wy-

starcza jej własne serce, aby wskazać środki i rozświecać drogę; kocha dzieci i dlatego umie się z nimi obchodzić, dusze ocala, umysły hartuje na walki życia. To też żadna doczesna nagroda nie opłaci usług oddanych krajowi tak szczerze zrozumianem posłannictwem wychowania.

Oczywiście, kreśląc wizerunek Anny Gros, autor miał na myśli różnicę jej nauczania z odchrześcijanionym i pogańskim systemem obecnego szkolnictwa. Zwrotów bowiem ku dzisiejszej chwili nie braknie, jak to już napomknęliśmy wyżej. I tak np. w opowieści o *wilkołaku*, człowieku zwierzęcem obłąkaniem dotkniętym, słuszną i trafną napotykamy uwagę: „Niegdyś nigdzie nie uznawano umysłowej choroby, dziś wszędzie jej dowodów szukają: w obu razach ludzkość ku ostateczności swe wnioski posuwa, zamiast się trzymać średniej, roztropnej drogi. Niegdyś wszystkich waryatów miano za zbrodniarzy; dziś wszyscy zbrodniarze za waryatów uchodzą. Stosy, na których niegdyś palono opętanych, zapewne były okrutniejsze, ale nie były dowodem nierozsądniejszej ciemnoty, aniżeli te domy zdrowia, gdzie dziś zamykają winowajców, zamiast ich odesłać do więzienia, na jakie przestępstwami swemi zasłużyli“.

W ogóle autor lekceważy sobie rzekome postępy i orzeczenia medycyny sądowej, psychicznej czy innej. Opisując na jednym miejscu chorobę dzieciątka, będącego osiłą rzewnej powieści, dodaje żartobliwie: „Apertury, zawłoki, pijawki, puszczenie krwi, wszystko to bywało wówczas w modzie. Środki i formułki, które do niedawna leczyły skutecznie, dziś uchodzą za zgubne i śmiertelne. Sztuka lekarska co dziesięć lat zmienia kierunek, a ludzkość dla tego ani zdrowszą, ani bardziej chorą nie jest. — Czy mam zażywać antymonium? — pytano jednego z najslawniejszych eskulapów przeszłego wieku. — I owszem, odpowiedział zagadniony, lecz spieszcie się, dopóki jeszcze to lekarstwo skutkuje“.

Z powodu szerszej opowieści o miłosiernym plebanie, autor zwraca się do znęcających się nad duchowieństwem wolnodumców, *ceux qui s'intitulent libres penseurs, sans doute parce qu'ils ne pensent à rien*. „Modą dziś i obyczajem w pewnych sferach lżyć księży i obwiniać ich o wszelkiego rodzaju występki. Satysfakcyi tej szukają z upodobaniem podle serca, nie bowiem łatwiejszego

nad napaść na ludzi nie chcących się bronić. Utarty to komunał, że ksiądz żyje z ołtarza: patrząc jednak na to, co po wsiach naszych się dzieje, możnaby raczej twierdzić, że dla ołtarza umiera, nigdy nie ustawając na drodze powinności. W ilu to parafiach proboszcz nie tylko jest dusz pasterzem, lecz nadto i pocieszycielem, lekarzem, podporą słabych, dźwignią upadłych, żywicielem zgłodniałych? Znałem plebanów, którzy sypiali na wiązce owsianki, rozdawszy całą pościel swoją ubogim. Hojność nie jednego jałmużnika tem pełniejszą zasługi, że własne ubóstwo ją krępuje. Lada robotnik więcej miewa dochodu, aniżeli proboszcz miejscowy. Ileż parafij, w których akcydensa nie przechodzą 500 franków, a beneficjum zaledwie 900 fr. dostarczy! Jak z tego ustawić budżet, któryby starczył na przyzwoite utrzymanie i na udzielanie pomocy wszystkim, którzy jej zażądata: w każdym bowiem wypadku, w każdej biedzie, w każdym nieszczęściu, dotknięty niem najprzód na probostwo spieszy. Drzwi zaś plebanii nigdy nie bywają zamknięte, wedle słowa Ewangelii: *Pukajcie, a będzie wam otworzono*. Życie naszych księży to ciągle walka z własną biedą, z biedą tych, których w około ratować trzeba. Rozgrywają się tam cuda poświęcenia, oszczędności, ofiar osobistych, które zdumiewać mogą, a przenikając tajniki nie których przeznaczeń, pytać przychodzi, co więcej podziwiać należy, czy siły fizyczne, zdolne tyle wytrzymać niedostatków i trudów, czy cuda dokonane pod natchnieniem i wpływem miłości bliźniego?

„Księży sądzić należy po uczynkach ich, nie zaś po intencjach, jakie im złość przeciwników dowolnie przypisuje. Jeżeli kapłan poratował nieszczęśliwych, pokrzepił słabych, wzbudził skrupułę w zbłąkanych, własnym chlebem podzielił się z żebrakiem, niechajże będzie błogosławionym, albowiem dobrze uczynił i stał się przedstawicielem Boga w tem właśnie, co jest najwyższą cechą bóstwa — w dobroci. Nie obchodzą nas jego polityczne opinie, choćby i miał takowe. Dla głodnych kawałek chleba większą bywa jałmużną aniżeli kartka wyborcza; pociecha gojąca rany serca, słowo wracające nadzieję zrozpaczonemu, chyba większą ma wagę i cenę od zaklęć i obietnic twórców teoryj społecznych. Marzyć o szczęściu ludzkości zapewne dobrą jest rzeczą, ale nieść bezpośrednią pomoc cierpieniom bliźniego, z pewnością więcej znaczy“.

Z pośród ślicznych opowieści p. Du Camp, jedna z najładniej napisanych nosi tytuł: „Gościnny“ — *l'hospitalier*. A że staropolską gościnności cnotę bohater onej powiastki podniósł do ideału miłosierdzia, przypomnimy jeszcze główne onej rysy.

Jan Laffray, wieśniak francuski z nad Loiry, otrzymawszy w kilku kampaniach napoleońskich chwalebne rany i blizny, wrócił wcześniej od towarzyszków broni w progi rodzinne, a ożeniwszy się podług wyboru serca, wiódł życie spokojne i pomyślne na ojcowskim zagonie. Winniczka przynosiła mu sporo grosiwa, pracowita żona rządnością podnosiła dobrobyt domowy, jednego im tylko brakło do szczęścia, nie mieli dzieci, nie było dla kogo przyrabiać majątku.

Pewnego dnia, w zimie 1813 r., patrząc z progu na sypiący się śnieg i mroźną zadymkę, zoczył opodał szkółki wiejskiej małego kominiarczyka, który acz zziębnięty do kości, zdawał się na coś czekać i czegoś wyglądać. Zagadnięty odparł, że wybiegająca szkolna dziatwa niekiedy mu oddaje resztki śniadania, które mu się zawsze przydadzą. — Alboż nie masz rodziców, rodziny? — Nie mam już nikogo. — Skądżeś rodem? — Hen daleko, za górami.

W tem otworzyły się drzwi szkoły i hałaśliwie wypadła gromada dzieci. Jeden z chłopców rzucił kominiarczykowi kromkę nie-dojedzonego chleba. Głodny chłopczyzna ze smutkiem podjął nie obfite żniwo. — Czy nie jadłeś dziś śniadania? zapytał wieśniak. — Nie miałem dotąd nic w ustach. — Gdzie sypiasz? — Jak się uda, w pierwszej lepszej stodole lub oborze. — A z czego mieć będziesz dziś obiad? — Nie wiem.

Laffray zabrał kominiarczyka do chaty, skąd rozchodziła się miła woń kapuśniaka i kartofli ze sperką. Zgłodniałego nakarmił, przenocował, a na pożegnanie mu powiedział: Ilekroć tędy będziesz przechodził, pamiętaj, że u nas znajdziesz wieczerzę i nocleg.

Nazajutrz pocziwy wieśniak chodził zadumany. Wspominał nędzę żołnierskiego życia, długie pochody bez wypoczynku, głód i chłód, noclegi pod gołym niebem, dni znużenia i znoju. Dziś owe przypomnienia wlewały w jego serce nieskończoną litość dla tych wszystkich, którzy cierpią, którym głód lub pragnienie dokucza, którzy nie mają gdzie skłonić głowy w przymusowej wędrowce.

Latem, jak latem; ale zimą, kiedy mróz ścina oddech, kiedy noc przeciąga się bez końca, kiedy sama nawet przyroda zda się odpychać nieszczęśliwych i pchać ich ku śmierci!...

Iluż podobnych biedaków przeszło tą drogą, przechodzi dotąd przez wioskę! a nie przyjął żadnego, nie spostrzegł, nie ugościł! Godneż to serca chrześcijańskiego, godne wysłużonego żołnierza? Nie, odtąd każdy, na wzór onego kominiarczyka, gotowy pod jego dachem znajdzie przytułek, kiedy dzieci Bóg nie dał, biedni podróżni ich zastąpią. Dom duży, sypialnia się łatwo znajdzie, stół da się rozciągnąć. Wina dostarczy własna piwnica, a i chleba nie zabraknie. Namysliwszy się gruntownie, poradził się żony: — Cóż na to powiesz, kobieto? — Powiem, żeś dobry i że masz słuszość. — Uściskali się tedy i zgodzili na powzięty zamiar.

Pamiętać trzeba, iż Laffray nie miał wtedy lat trzydziestu. Inni w tym wieku lubią się bawić, hulać po karczmach, włóczyć się po jarmarkach. Wiara pchnęła go na tory niegdyś przez rycerskie zakony uprawiane. Jasnowidzenie miłości natchnęło mu owo wielkie słowo: „Nędza bliźniego jest grzechem tego, który mogąc jej ulżyć, ulgi takowej nie przynosi“.

Pod tem hasłem dom jego naddrożny na oścież się otworzył. Robotnik szukający zarobku, żołnierz wracający za urlopem, żebrak zgłodniały, rzemieślnik lub czeladnik, wędrowiec czy podróżny, każdego przyjmował, witał, ugaszczal, byle tylko zebrał dowody uczciwości, byle się upewnił, że ratuje pracę i potrzebę, a nie próżniactwo lub włóczęgę. Niepewnych, nietrzeźwych, wypraszał bez ogródki. Potrzebujących i pocziwych, nietylko hojnie i bezpłatnie podejmował, lecz jeszcze nie rzadko opatrzył na drogę.

Oczywiście, zwiększenie rozchodu do zdwojonej pracy przynaglało. Zaczne stadło prześcigało się też w robocie, a następnie i w posłudze miłosiernej. Czasem po kilka razy wypadało rozpalać ognisko, dla coraz to innych przechodniów. Pewnego dnia, do piętnastu zgłodniałych zasiadło u stołu. — Chyba ich dziś jest nadto! ozwał się ktoś z uśmiechem. — Od przybytku głowa nie zaboli, odparł wesoło gospodarz.

Po chrześcijańsku, Laffray obsługiwał gości od Boga zesłanych i dla miłości Boga przyjmowanych. Nie zasiadł do stołu, dopóki się wszyscy nie najedli. Żona również o wszystkich miała

pieczę i nigdy żadnemu przybyszowi się nie skrzywiła. Oboje tedy dopomagali sobie wzajemnie, wyrzucając sobie razporaz mniemaną nieogłędność: Strach o przyszłość z taką kobietą, która nigdy o jutrze nie myśli! — Nie złożymy ani grosza z takim marnotrawcą! — Sąsiedzi uśmiechali się, wiedząc co o tych sprzeczkach trzymać.

Jakoż w istocie ci poczeiwi ludzie oszukiwali się, okradali wzajemnie, każde z osobna, w obawie starości i nędzy, składało oszczędzone grosze, na przypadek jakiej nieprzewidzianej klęski. Kryjówki obierali bezpieczne, to na zapiecku, to gdzieś pod dachem. Cóż, kiedy po jakimś czasie, jedno lub drugie odnajdywało zawsze próżną skarbonkę, zrabowaną kryjówkę. — Znow mi wszystko porwałś? — Nie pamiętasz tego dziadka, co tu prawie nagi przechodził niedawno. Wszakże trudno było go odesłać bez obuwia i odzieży. Małżonkowie się poswarzyli, pomruczeli, aby się uściskiem serdecznym pogodzić.

Nieraz żona wycerowała odzież przechodniów, wyprała ich bieliznę, nieraz mąż buty wyczyścił, chodaki pozbijał.

Pewnego dnia Laffray ruszył na jarmark okoliczny, aby sprzedać spory zasób gomółek smacznie przez żonę zrobionych. — Nie daj się tylko oszukać powtarzała za odjeżdżającym, jest ich z pewnością za 80 franków. Wieczorem już zdaleka mąż pochylał głowę jakby słusznej spodziewając się bury. Osiołek za nim idący zniknął pod ciężarem mnóstwa drewnianych chodaków. Żona odgadła co się stało. — Nie wstydz się zawsze miewasz dobre pomysły! Rozjaśniony Laffray odparł wesoło: — Przynajmniej bosych otdąd mieć już nie będziemy gości. Pokazało się, że cały dochód z sera obrócił na zakupienie chodaków.

W r. 1846 wielkie nieszczęście rozbiło dom gościnny. Towarzyszka życia i zasługi pierwsza poszła po nagrodę. W stadle tem nie było innej myśli jeno poświęcenie, miłość bliźniego, współzawodnictwo ku dobremu. Nieraz mąż żonie porywał kaftanik lub spódnice dla jakiej biednej dziewczyny! nieraz żona wynosiła z garderoby mężowskiej część odzieży przydatnej dla obdartego przechodnia. Klócili się, sprzecali, aby się wzajemnie cieszyć hojnością zobopólną. Po stracie żony Laffray podwoił pracy, aby nie sfolgować gościnności. Zawsze stół był zastawiony, łóżka posłane, woda

ogrzana, dla obmycia znużonych stóp pielgrzymich. Akademia uwiadomiona o pięćdziesięcioletnim istnieniu gościnnego domu, pochylonemu wiekiem starcowi przesłała nagrodę, aby tem świetniej i hojniej mógł obchodzić swe złote z miłosierdziem chrześcijańskim śluby.

Aby te wszystkie odżywić przykłady, wypadło autorowi szperać w archiwach akademickich. Nie z zakurzonych dokumentów, nie z legalizowanych dowodów, lecz z serca rozdartego oburzeniem na widok niesprawiedliwości, zaczerpnął on obrazu końcowego, istnego hymnu pochwalnego na cześć uosobienia onej miłości bliźniego w wypędzanych z szpitalów paryskich córkach św. Wincentego.

„Gdzie szukać Siostry Miłosierdzia? wszędzie jej pełno. Jakie czyny cnotliwe przywołać? wszystkich ona zdolna. Całe jej życie jest pasmem cnoty czynnej, czujnej, wynagradzającej, która w niej niby przyrodzoną własnością: heroizm dla niej chlebem powszednim, poświęcenie normalnym stanem. Św. Wincenty tak umiał wlać w dzieło swoje własną gorącą i miłą duszę, iż po dziś dzień, jak wtedy, gdy obiegał zaułki Paryża, szukając porzuconych niemowląt, dusza ta drga i ożywia jego dziedzictwo. Siostra miłosierdzia znajduje się wszędzie, gdzie potrzebną litość i współczucie. Widzę ją przy żłobkach, w szkółkach, szpitalach, ambulansach, w krajach cywilizowanych, które próbuje wyrwać z błota zepsucia, wśród barbarzyńskich pokoleń, które usiłuje zdobyć dla oświaty. Towarzyszyła ona naszym żołnierzom aż na pole bitwy, nieraz obok nich padając. Poszła w ślad zbrodniarek na zamorskie wygnanie i galery, aby przynajmniej dusze ich z upadku dźwignąć. Gdy nadejdzie zaraza, ona się pierwsza nadstawia, ona ostatnia z placu schodzi. Persowie mniemają, że istnieją pośrednie między Bóstwem a człowiekiem istoty. Azali takowemi nie byłyby właśnie Siostry Miłosierdzia?

Widziałem je na wielu odmiennych polach działania, zawsze z równem dla nich uwielbieniem. Życie ich nie ma nic kontemplacyjnego w sobie; porwane wirem czynności ustawicznej, nie znają chwili wytchnienia ni przystanku; modlą się jednak, modlą wyższą czynu modlitwą. Pokorne a wesole zawsze, swobodnie noszą szeroki nad czołem kornet, niby rozpięty żagiel okrętu płynącego w stronę nagrody i nadziei, a tymczasem życie swe oddają na po-

slużę wszelkich nędz, wszystkich ułomności i niedostatków ludzkich.

Szara ich suknia, o którą bije duży różaniec, wydzwanający z daleka dobrą wieść, że nadechodzą z pomocą dobrze znaną ludowi naszemu, który je kocha i szanuje, bo wie, że ich nigdy nie wzywał daremnie. A jednak dziś w imieniu tego właśnie ludu obracają się przeciw Siostróm, i wyrzucają je z tych przytułków, gdzie wnosiły własne rozpogodzenie, gdzie szafowały pociechą, gdzie noc smutku rozświecały płynącą z góry jasnością.

„Pewien radzca miejski, zawzięty przeciw zakonom, szukał przyczepki, któraby mu pozwoliła upozorować legalnie wypędzenie Sióstr z szpitala. Daremnie! zastał wszystko w wzorowym porządku. W tem widzi jakieś ustronne, a szczelnie przymknięte drzwi. Tam może co wynajdzie, co odszuka, odkryje jakie nadużycia, zgorszenie. Była to trupiarnia. Młoda zakonniczka sama obmywała, ubierała nieboszczyków w migotliwem świetle lampki gazowej, a dokonawszy żałobnej roboty, modliła się na zimnych głazach za dusze umarłych. Co tu pani robisz? zawołał zdziwiony urzędnik, wszak to obowiązek stróża szpitalnego. Siostra spuściła oczy, jakby schwyтана na gorącym uczynku: Daruj mi pan, ale on żonaty ma dzieci, a to są trupy cholerycznych!

„U córek św. Wincentego podobne fakta nie są wyjątkami. Ofiara u nich utrwalałom stanem. Nie należą do siebie, do życia, lecz żyją dla cierpienia, poświęcają się bez zastrzeżenia, by można pół duszy dla siebie zostawić. Może zadrzą przebiegając ciemny korytarz, lecz nie zadrzą na polu bitwy. Dla tego właśnie czoła ich bywają tak pogodne, oblicza tak uśmiechnięte. Żyć zawsze dla drugich, nie jestże to środek najpowszedniejszy zapomnienia o sobie i zabezpieczenia wewnętrznego pokoju?

„A wśród tych poświęconych istot, nie podobna bez niesprawiedliwości wyróżnić jedną od drugich. Dziwne to, jedyne wojsko, w którem każdy szeregowiec bohaterem, każdy ma za sobą jaki czyn waleczny, i nie pomny na minioną zasługę, znów po nowe sięga“.

Tu autor opisuje każdodziennie zajęcia Sióstr Miłosierdzia w domach, z których je bezwzględnie dziś wyrzucają. Idzie za nimi do ochronek, szpitalów, apteki, obiega poddasza i piwnice, przy-

tułki nędzy, których drogę miłość bliźniego odgaduje. „Opis ten czynności jednej Siostry Miłosierdzia da się zastosować do wszystkich. Cnota u nich stała się naturalną niby czynnością, która raz nakrecona i w bieg puszczona, dalej nieświadomie postępuje. Alboż się one domyślają, że wyrzeczenie posunięte do tego stopnia, że podobna wytrwałość jest po prostu bohaterstwem? Alboż kwiat wie, że pachnie? Bardzo o tem wątpię.

„Prostota ich uwydatnia jeszcze cnotę, która u nich zda się przyrodzonym, nie zaś zdobytym darem. Niczego nie pragną, niczego nie żalują, bo nie mają czasu na nie się oglądać; wciąż się cudzemi zajmując biedami i bólami, straciły poczucie własnych smutków lub cierpień. Kiedy zasłabną, a zalecisz im odpoczynek, odpowiadają stale: Nie mamy czasu chorować. Tam każdy umiera na posterunku, mężnie stojąc do końca i bez strachu patrząc w oczy śmierci.

„Z dniem, w którymby Siostr Miłosierdzia jej zabrakło, Francya utraci najlepszą część swą cnoty“.

Wymowny ten hymn na cześć wydalaných, nie stanowi ostatniej karty tej pięknej książki, w której drzeworyty artystyczne uzupełniają i ilustrują barwną opowieść autora. Znalazł się i przypisek, streszczający pociechę, jakiej doznał p. Du Camp, jakiej doznają i jego czytelnicy, na widok bujnej rodzajności tej ziemi francuskiej, która, mimo porastających ją ostów i kąkol, tak obfite zawsze wydaje żniwo dobrych uczynków. „Nie każdemu danem aż do bohaterstwa się podnieść, ale każdy *dobrym* być może. Piękne i świetne czy dobre i święte uczynki, wszystko to jedno, aby świadczyć o duszy narodu: wystarczy poświęcać się niedoli bliźnich, aby się przyczynić do zbawienia i sławy, i czi swęj ojczyzny. Wytrwałość w dobrem stwierdza zawsze rodziną narodu szlachetność, prawość jego woli i wyższość ideałów.

„Przykładów przypominanych w niniejszej księdze dostarczyli przeważnie ubodzy, których cnota jaskrawszym blaskiem w skromnem położeniu świeciła. Nie trzebaby stąd wnioskować, iż cnota wyłącznym małuczkich udziałem“. Tu autor przypomina, iż w książce swęj o miłosierdziu paryskim omówił szeroko dobroczynność klas uprzywilejowanych. „Jakkolwiek lekkomyślna nieraz i z wielu względów okrzyczana społeczność francuska, przypominać nie przestaje

dobrego Samarytanina: spieszy z pomocą, gdy zoczy gdzie ranę lub biedę, opatruje, dźwiga i przytula nieszczęśliwych. Owszem: twierdzićby można, iż we Francyi dobroczynność jest niemal narodowym instynktem: dla ubogich stanowi ona pociechę; dla bogatych jest powinnością; dla wszystkich zaś rozkoszą serdeczną, o podwójnej korzyści: ukojenia cierpień bliźnich i własnego udoskonalenia“.

Na tych słowach i my staśmy! Odgłos cnoty niespożytej niech zrównoważy wstrętne i sromotne echa, niesione z drogiej sercem katolickim, sercem polskim Francyi, przez codzienne czasopiśma. Z areny nienawiści politycznych, danem nam było zejść na niwę uprawianą miłosierdziem, i zbadać właściwsze tętna serca Francyi. Rozpamiętywując przykłady cnoty, która, dzięki Bogu, w katolickiej Francyi kwitnąć jeszcze i owoców wydawać nie przestaje, mogą Francuzi i my, co wszyscy tradycyjną sympatyę do ojczyzny ich żywimy, zawołać z przeświadczeniem i pociechą: „Jeszcze Francya nie zginęła!“

M.



KARDYNAŁ JAN CHRZCICIEL FRANZELIN, I JEGO ZNACZENIE W KATOLICKIEJ NAUCE.

Z radością czynię zadość życzeniu Redakcyi *Przeglądu* w skreśleniu wspomnień o ś. p. kardynale Franzelinie; ta skromna praca będzie zarazem hołdem wdzięczności złożonym przez przywiązanego ucznia nieodżałowanemu swemu nauczycielowi. Szczupłość miejsca, jakie mi tu wolno zająć, i brak tych szczegółów i dokumentów, jakich dziś potrzebuje biograf, pozwalają mi tylko krótki nakreślić szkic życia i działalności Kardynała, mimo to jednak pochwlebam sobie, że w tych ciasnych rozmiarach zdołam przedstawić jak najwierniejszy obraz nie tylko uczonego, ale i świątobliwego męża, jako też jego znaczenie na polu umiejętności katolickiej.

I.

Aldein, małe górskie miasteczko w południowym Tyrolu, między Botzen a Trydentem, było miejscem urodzenia Franzelina. Urodził się dnia 15 kwietnia 1816 r. i był drugim z kolei dziećciem, po którym czworo jeszcze przyszło na świat. Rodzice jego, Peregrinus i Anna z Wieser'ów Franzelinowie byli to pobożni i zaciężni ludzie; lecz całe ich bogactwo ziemskie ograniczało się na małą miejską realność, wystarczającą jednak zupełnie na opędzenie niezbędnych, a skromnych ich potrzeb. Z lat jego dziecinnych wspomnieć należy o wypadku, którego ślady fizyczne tj. broda nieco skrzywiona i głowa cokolwiek ku prawej stronie pochylona

pozostały mu na całe życie. Zdarzyło się, że rozjuszony byk chwycił dziecko na rogi i wyrzucił wysoko w górę, przyczem spadając mały Jaś okrutnie się okaleczył.

Pierwsze nauki odbył Franzelin w gimnazyum OO. Franciszkanów w Botzen i tam już niepospolitemi zdolnościami połączonymi z nadzwyczajną pilnością okazał, jak daleko może kiedyś zejść. Stroniąc od zabaw i rozrywek rówieśników, zatopiony ustawicznie w ukochanych księgach, czynił młodzianki Jan zadziwiające postępy w naukach; tak dalece, że już w trzeciej klasie gimnazyalnej czytał z łatwością i przyjemnością Liviusza. Poważne te zajęcia, którym się całą duszą oddawał, nacechowały młodą jego twarzyczkę wyrazem przedwczesnej powagi i surowości tak, iż nauczyciele i koledzy nazwali go z tego powodu: „Janem Lwie-czoło“; to jednak nie przeszkadzało mu bynajmniej, wielką uprzejmością i usługomością jednać sobie serca wszystkich. Nie była to wcale ta powaga, co z dumy i lekceważenia innych wypływa, ale ta, która wynika z brania na seryo życia i nauki, i łączy się z pokorą. Był też głęboko przejęty duchem prawdziwej pobożności, którą podsycał częstą modlitwą i przystępowaniem co tydzień do św. Sakramentów, a zachowywał ją i bronił życiem nieskalanem. O. Patiss T. J., serdeczny jego przyjaciel z czasów szkolnych, w dwóch słowach streszcza całe życie jego w Botzen: „uczył się i modlił“.

Zbliżył się nareszcie czas ukończenia nauk gimnazyalnych — należało pomyśleć o obraniu sobie jakiego zawodu. Wuj jego, baron Andrzej Alojzy Dipauli v. Treuheim, rzeczywisty, tajny radca dworu, człowiek wpływowy, ofiarował mu u siebie gościnę i dał możność uczęszczania na wydział filozoficzny i prawny w Inzbruku. Świetne mu się teraz otwierały widoki przyszłej kariery, które też nie małe wywierały wrażenie na serce i umysł Franzelina, tak zapalonego do nauk, lecz z drugiej strony młodzieniec czuł nieprzeparty pociąg do zakonu OO. Jezuitów, których jednak znał tylko z książek. Spowiednik jego, O. Gabryel Sprenger Franciszkanin — który miał być jego doradcą w powzięciu ostatecznego postanowienia, sam wahał się i nie wiedział co radzić. Żyła natenczas w Kältern, małym miasteczku nie daleko Botzen, bardzo świątobliwa dziewczyna, słynąca wielu nadzwyczajnymi łaskami boskimi, nazwiskiem Katarzyna Moerl. Spowiednikiem jej był O. Sojer, także Franciszkanin i przyjaciel O. Sprenger'a. Do niej więc udali się ci Ojcowie, by

prosiła Boga o oświecenie, jaki zawód ma sobie obrać Franzelin. Odpowiedź była krótka i stanowcza: „Wstąpić do zakonu Jezuitów“.

Franzelin wziął tę odpowiedź za głos Boży, i wyrzekłszy się wszelkich nadziei ziemskiej wielkości i znaczenia, do których mu jego wyjątkowe zdolności dawały niezaprzeczone prawo, wstąpił razem z swym przyjacielem, Jerzym Patiss, dnia 27 lipca 1834 r. do nowicyatu w Gracu. A był to właśnie nowicyat prowincyi zakonnej galicyjsko-austriackiej — która później na dwie odrębne została podzielona. Z tym samym szlachetnym zapalem, z tą samą niestrudzoną energią, z jaką dotąd oddawał się naukom, zabrał się młody nowicyusz do pracy nad wykształceniem swego życia nadprzyrodzonego, nad nabyciem doskonałości moralnej. Reguły zakonne wskazywały mu drogę, a w wypełnianiu ich, jak świadczą zapiski jego przełożonych, był rzadkim dla wszystkich wzorem: *omnibus raro proluxit exemplo*. Surowość dla swego ciała i ducha pokuty posuwał tak daleko, iż przełożeni zmuszeni byli nakazać mu umiarkowanie w tym względzie. Wyrzeczenie się zupełne wszystkiego, czego człowiek w skutek naturalnych swych i wrodzonych żądź pragnie, było zasadą jego życia. W notatkach z czasu swoich rekolekcyj miesięcznych (w r. 1835) mówi: „Wyrzekam się od tej chwili na zawsze świata i nie chcę brać udziału we wszystkich jego pociechach, a czynię to w obecności Boga mego, w Trójcy świętej jedyne go, który mię stworzył, w obecności Najświętszej Panny Maryi, Anioła Stróża, świętego Ignacego, Ojca naszego i wszystkich moich świętych Patronów“.

W jaki zaś sposób zamierzał połączyć cnotę z nauką, mówi w tejże samej zapisce: „Cnota jest duszą wiedzy, nauka bez cnoty jest trupem. Dobra jest wiedza i potrzebne są talenta, lecz cnota lepsza od nich. Najwyższa pochwała, jaką można dać Jezuicie, to: że jest zarówno gruntownie uczonym, jak i cnotliwym. Umiejętność bez miłości Boga nadyma nas tylko jak puste pęcherze. Miłość Boga bez nauki pożyteczna jest wprawdzie, lecz sobie — nie bliżniemu“. Zasady te były fundamentem, na którym wznosiła się budowa całego jego życia duchowego, a że nie były to czcze frazesy, o tem świadczą całe jego życie późniejsze, aż do ostatniego teńnienia.

Po ukończeniu nowicyatu wysłano go do Tarnopola na stu-

dya filozoficzne, gdzie też równocześnie uczył się filologii i języka polskiego. Po dwóch latach został tamże t. zw. magistrem czyli nauczycielem niższych klas, (gimnazjum Tarnopolskie należało wówczas do OO. Jezuitów). Na tem stanowisku spędził lat sześć tj. trzy w Tarnopolu — a drugie trzy we Lwowie w konwikcie szlacheckim. Przez ten czas przyswoił sobie i polubił nie tylko polski język, ale też polską ziemię i ludzi, a przywiązanie to przechowało się w jego sercu i w późniejsze lata; losy kraju naszego zawsze żywo go obchodziły. Jako profesor teologii w Rzymie okazywał zawsze serdeczną opiekę ojca i przyjaciela Polakom; uczniowie jego ks. Wojciech Morawski i ks. Julian Feliński doznawali szczególniejszych jego względów. Również i jako kardynał nie zapominał o Polsce, i przy każdej nadarzonej sposobności starał się czynem i wpływem swoim pamiętać tę okazywać.

Nadszedł wreszcie czas rozpoczęcia studyów teologicznych. W roku 1845 udał się do Rzymu — do *Collegium Romanum*, w którym podówczas wykładali profesorowie znani całej Europie. Karol Passaglia i Jan Perrone wykładali teologię dogmatyczną. Obaj wywarli stanowczy wpływ na przyszły kierunek naukowy Franzelina. Dziecięca prostota i głęboka pokora Perrone'go była żywym i świetnym dowodem, iż „cnota jest duszą wiedzy“, a pobożność i pokora sprawdzają błogosławieństwo Boże na trudy naukowe. To też Franzelin osiągnął tę wiedzę, która „nie nadyma“. Z drugiej znów strony Passaglia skierował studia jego na tory, któremi aż do końca w teologicznych swych pracach postępował. Passaglia odznaczał się głęboką znajomością Pisma św. i Ojców Kościoła i był zarazem teologiem na wskrós pozytywnym. Ojcowie i Pismo św. były to źródła, z których nie tylko dowodził istnienia poszczególnych dogmatów, lecz także i ich rozumienie wyłącznie czerpał; scholastyczne rozumowania i spekulacye były dlań rzeczą podrzędną, na których nie raz ostrzył swój sarkastyczny dowcip; Franzelin nauczył się od Passaglii znakomicie wyzyskiwać dla nauki Pismo św. i Ojców, lecz zarazem potrafił się ustrzedz owej ironii względem scholastyki, z której jak ze złotodajnej kopalni wydobywał bogate skarby, albo raczej narzędzia do głębszego i wszechstronniejszego poznania dogmatów. Nie było żadnej gałęzi nauk teologicznych, w którą by nie włożył wielkiej części niestrudzonej swej pracy. Pismo św., staro

żyte języki wschodnio-kościelne, historię Kościoła i historię dogmatów — wszystko to znał doskonale, ale podporządkowywał pod jeden główny przedmiot, i ku niemu zawsze kierował, a celem tym była nauka wiary czyli teologia dogmatyczna. To też nie dziwnego, że w obec tego pożerającego zapалу, z jakim się tym pracom oddawał, zdrowie jego ucierpieć musiało.

Już w nowicyacie, w skutek zbyt dużego wyęczenia umysłowego, miewał niekiedy wybuchy krwi, które go tak osłabiły, że zupełnie zwątpiono o jego zdrowiu i, by przynajmniej ostatki gasnących sił ocalić, myślano już o wypuszczeniu go z zakonu. Było to prawie cudem, iż człowiek tak wątłego zdrowia, był w stanie ponosić trudy zawodu nauczycielskiego przez lat tyle, a to tem więcej, że tak silnym głosem wykladał, iż nie tylko liczni słuchacze każde słowo doskonale rozumieli, lecz gdy go zapal unosił, to literalnie szyby drżały w ogromnej sali Kolegium rzymskiego. Sam powiedział, zaczynając 70-ty rok życia, iż nigdy nie przypuszczał, by mógł dożyć tak późnego wieku. A trzeba i na to zwrócić uwagę, że nigdy się nie oszczędzał, owszem, dla siebie samego nie miał żadnych względów, gardził stanowczo wszelkimi wygodami i pracował ciągle, wytrwale, z żelazną prawdziwie energią. Dlatego też nie lubił, gdy mówiono o stanie jego zdrowia i litowano się nad nim. Kończył szybko taką rozmowę słowami: „To nic, za kilka dni będzie wszystko dobrze“. W czasie jednej takiej choroby, polecił mu lekarz wstrzymać się od wszelkiej natężającej pracy, pozwalając na krótkie tylko łatwe i przyjemne czytanie. Nazajutrz zastaje go z hebrajską biblią w ręku. „Tak to Książd wypełniasz moje polecenie?“ mówi niekontent. „Tak jest, panie Konsyliarzu — bo nie znam nic łatwiejszego i przyjemniejszego nad tę książkę“!

Lecz wróćmy do ciągu historii. Nadzwyczajny zapal do nauk w czasie studyów teologicznych nie opuszczał go nawet w godzinie rekreacji poobiedniej i wieczornej. Zwykle przygotowywał na ten czas jakie teologiczne zagadnienie, albo jakąś kwestyę z historii kościelnej lub powszechnej i starał się zwrócić na nią rozmowę kolegów, ciesząc się serdecznie, gdy z tego powodu wywiązywała się żywa, ogólna dysputa. Nieraz ścierano się wtedy nie na żarty. Tej młodzieży nieskażonych obyczajów nie mogło zbywać na szlachetnym ogniu w szukaniu i bronieniu prawdy. Włosi zwłaszcza łatwo się

zapałali, ale i Franzelin nie był wcale zimnym, ani flegmatycznym. Uczone ciosy, które sobie zadawali na tych duchowych turniejach, a w których Franzelin szczególnie się odznaczał — miały jednak tę niezrównaną zaletę, że nie raniły i nie obrażały nikogo, lecz tylko pobudzały do coraz większego zapału w badaniach naukowych.

Wśród tych zajęć nadszedł rok 1848, rok ogólnych wstrząśnień, burz i przewrotów, którym z kolei uległ też i Rzym. Pierwszą ich ofiarą padło *Collegium Romanum*. Przy odgłosie dzikich wrzasków podburzonego motłochu: *abasso* i *Gesuiti* odbyły się ostatnie wykłady dnia 29 marca, a 30 nastąpił wyjazd wszystkich kleryków zakonnych i ich profesorów. Lord Clifford ofiarował im przytułek w swym zamku w Ugbrook w Devonshire (w Anglii). Franzelin wybierając się w drogę pobudził wszystkich do homerycznego śmiechu; ukazał w stroju podróżnym — ze sterczącymi ze wszystkich kieszeń książkami i rzekł: „no, jużem gotów w drogę“. Wyjazd jednak nie poszedł tak gładko, jak się spodziewano. Franzelin z O. Patrizim i Piancianim mieli jechać przez bramę *del Popolo*. Tu zatrzymano ich powóz; nazwiska Patrizi'ego i Pianciani'ego były w przekonaniu dyżurnego oficera zbyt znakomite, by je można było przepuścić bez wyższych informacyj. Wzięto ich tedy pod areszt policyjny, i upłynęło kilka dni, zanim mogli opuścić miasto.

Dalsze studia teologiczne prowadził Franzelin w Ugbrook a ukończył w Lovanium. Jeszcze jako słuchacz teologii, tak był znany ze swej nauki i zdolności, iż przełożeni postanowili przeznaczyć go na profesora.

Nauczycielski swój zawód rozpoczął w Vals we Francji (w r. 1849—1850); uczył tu egzegezy i języka hebrajskiego. W tym samym czasie tj. roku 1849 dnia 23 grudnia przyjął w sąsiednim mieście Le Puy święcenia kapłańskie, mając lat trzydzieści i trzy.

Tymczasem przy pomocy wojsk francuskich stłumiono rewolucję w Rzymie, a Jezuici mogli znów zająć niedawno opuszczone swe *Collegium Romanum*. W r. 1850 powrócił także i Franzelin do Rzymu. Powierzono mu tu ważny urząd prefekta studyów w kolegium Niemieckiem, a przytem w kolegium Rzymskiem uczył języka arabskiego, syryjskiego i chaldejskiego.

Gdy w r. 1857 O. Schrader w skutek starań arcybiskupa, kardynała Rauschera, został powołany do Wiednia, a O. Passaglia

uwolniony od obowiązków, Franzelin objął jedną z zajmowanych przez nich katedr dogmatyki, na której zostawał przez lat 19, to jest aż do czasu swego wyniesienia na kardynała.

Widok tak licznych bo 200—300 słuchaczy, których ze wszystkich krajów całego świata wysyłano do kolegium Rzymskiego, by z tego ogniska wiary mogli czerpać katolicką wiedzę, przejął Franzelina prawdziwie apostolskim zapalem dla swego zawodu. Dlatego też starał się przedewszystkiem o to, by nauka religii, którą ich karmił, nie była tylko powierzchowną, lecz aby wszyscy nabyli pełnej świadomości i głębokiego zrozumienia prawdy chrześcijańskiej. I istotnie, to przejęcie i niezachwiane przekonanie, jakie cechowały jego wykład, były już same przez się zdolne wzbudzić i utrwalić uczucie wiary w sercach uczniów, choć czasem nie dość rozwinięty ich umysł nie mógł na razie zrozumieć i ocenić całej trafności i siły jego dowodów. Ale jakże sumiennie przygotowywał się zawsze do tych wykładów! Poza czasem prelekcij zawsze można go było zastać w bibliotece przy wielkim i długim stole założonym różnymi pootwieranymi foliantami Ojców, egzegetów i teologów. Tu on od rana do nocy przesiadywał i studyował. We wszystkich prawie ważniejszych kwestjach teologicznych nie było żadnego Ojca Kościoła, którego by nie przeczytał, żadnego scholastyka z dawniejszych lub nowszych, u którego by nie szukał światła, i żadnego herezyarchy lub przeciwnika, którego by nie ścigał we wszystkich jego kryjówkach, i nie dosiegał i pobijał nieprzerpą swoją dyalektyką. Jakże porywające były wtedy jego słowa, wyrażenia i porównania gdy chciał jasno i dobitnie wyłożyć pojęcie i prawdziwe znaczenie jakiego dogmatu! Nie było tam ani jednego niepotrzebnego słówka — wszystko, co z jego ust wychodziło, miało głębokie znaczenie i dzielność ku wyjaśnieniu nauki lub archeologii kościelnej.

Ale na nieszczęście znakomity ten przymiot nauczyciela stanowił nie małą trudność dla znacznej części jego uczniów. Nie łatwo można go było zadowolnić odpowiedzią. Młody kleryk nie zawsze był w stanie ocenić całej doniosłości jakiegoś słowa lub pochwycić ściśle jego znaczenie, i aby się nie wydawało, że się wyuczył na pamięć, przemieniał niekiedy wyrazy — a wtedy zdarzało się, że nowe wyrażenie zmieniało zupełnie sens i myśl odpowiedzi.

Ale nie go tak nie martwiło, jak gdy kto niewłaściwie lub tylko niedokładnie używał terminologii. Z drugiej znów strony nie mógł znieść, gdy się kto wyuczył dosłownie. Wykład jego musiał się stać własnością ucznia, nie własnością pamięci — lecz rozumu, miarą zaś zrozumienia było dla niego dokładne i właściwe wyrażanie się. Jak był wymagającym, to się szczególnie okazywało w publicznych i domowych t. zw. cyrkulach. Odbywały się one, jak to jest zaprowadzone we wszystkich szkołach Jezuickich, w formie dysput. Jeden z uczniów objaśniał i udowadniał pewną wyznaczoną tezę, i musiał jej bronić w obec dwu innych, którzy byli obowiązani ją zbijać argumentami, na jakie się tylko zdobyć mogli. Dla obudwóch stron nie było to wcale łatwą rzeczą przy Franzelinie. Ten, który miał objaśniać i bronić, musiał być przygotowanym, iż przy każdym prawie słowie dostanie poprawkę; już to, że dowód nie dosyć ścisły, już że objaśnienie nie dostateczne, lub też, że słowa nie dokładne i nie trafnie dobrane; a poprawkom tym towarzyszyły często wyraźne oznaki niezadowolenia — tak, że trzeba było się zdo- bywać na wielką cierpliwość i odwagę, by wysłuchać i wytrzymać spokojnie tak ostrą krytykę. Strona oponująca nie miała bynajmniej łatwiejszego zadania. Jeżeli argumenta wymierzone przeciw wyło- żonej nauce nie odnosiły się do istotnych trudności, lub też jeżeli nie były dość stanowcze i dobitne, wtenczas niecierpliwie chodził tam i napowrót, wołając: *Quid jocularis! Non est locus et tempus jocandi!* Jeżeli wtedy który z śmielszych odezwał się do niego: „Ależ Ojczy, nie gniewaj się na nas, czynimy co możemy, ale jako początkujący teologowie nie jesteśmy w stanie odrazu, nawet pojąć wszystkiego do głębi, a cóż dopiero dobierać najściślejszych i naj- dokładniejszych wyrażen” — uśmiechał się zwykle i mówił: „Ależ ja się nie gniewam! tylko Panowie musicie się koniecznie starać, wnikać głębiej w te rzeczy, i przyzwyczajając się do większej ścisłości w wyborze słów. Ja zaś będę się starał być łagodniejszym”. Do- bre te jednak postanowienia nie długo trwały. Przy najbliższej dyspacie milczał wprawdzie i dozwalał mówić obu stronom, ale gra muszkułów na twarzy, nerwowe ruchy palców, niespokojne po- ruszania się na krześle — były najlepszym dowodem, jaką walkę toczył z sobą, by się zachować spokojnie; wreszcie przerywała się ta sztuczna cierpliwość i jednym tchem wypowiadał wszystkie błędy

i usterki, jakie zauważył od początku dysputy. Najwięcej do znośzenia miała od niego młodzież odznaczająca się większymi zdolnościami; bo podczas dysput uczniów mniej zdolnych siedział spokojnie z wyrazem świętej rezygnacyi i poddawał się smutnej rzeczywistości. Być uczniem Franzelina — było i dla najzdolniejszych rzeczą nie łatwą — ale za to można było nauczyć się myśleć ściśle, logicznie, i swe myśli akuratanie wyrażać. Surowość ta, a nieraz i oburzenie — nie była bynajmniej wynikiem gniewliwości lub złości na słuchacza, iż nie ocenia należyte jego nauk — wypływała ona jedynie z wielkiego przeświadczenia o ważności przedmiotu i z gorącej miłości tej prawdy objawionej, którą nam Chrystus przyniósł i zostawił.

Muszę tu zwrócić uwagę na jeden jeszcze punkt jego dydaktyki, odkrywający nową a wielką jej zaletę. Przejęty sam pięknnością i wzniosłością wiary, umiał też z prawdziwym zapalem malować ją i rozwijać przed słuchaczami, i przelewać ten święty ogień w ich dusze. To, co wykladał, nie było suchymi formułami, które wprowadzie przemawiają do rozumu, lecz nie rozgrzewają serca. Uczniów swych starał się przejmować miłością prawd chrześcijańskich — dla tego też wielu z nich wyznaje, że obecnie mają największą przyjemność, jeśli mogą objaśniać wiernym z ambony św. tajemnice wiary według wzniosłych poglądów ukochanego swego nauczyciela, i dzielić się z nimi nie tylko światłem odeń zaczerpniętem, lecz także owem ciepłem serdecznem, jakim ich zagrzewał. Kto go słyszał mówiącego i jakkolwiek rozumiał, ten przyzna, iż niema żadnej przesady w tem, co powiedział jeden z jego wielbicieli: „Iż sprawdził na sobie maksymę Korneliusza a Lapide, który mawiał, że nauczyciele prawd Boskich mają naśladować nie tylko Cherubinów, co do głębokiej znajomości tajemnic Bożych, lecz także i Serafinów w żarliwej miłości ku Bogu“. I rzeczywiście, jego oczy błyszczące podczas wykładu dziwnym ogniem, nadludzki i uduchowniony cały wyraz twarzy, świadczyły, że nie tylko głową, ale w równej mierze uczył i sercem.

Takim był Franzelin jako nauczyciel. Sława jego profesorska rozeszła się wkrótce po Rzymie i doszła aż do najwyższych sfer. To też niebawem zaczęto mu poruczać inne jeszcze, a bardzo ważne czynności i urzędy. Najprzód został konsultorem do spraw

kościola Wschodniego w kongregacyi *De propaganda fide*, do czego zdolnym go czyniła wielka znajomość języków wschodnich — następnie został kwalifikatorem św. Officjum, a gdy na tym urzędzie w krótkim czasie dał się poznać z jasności i gruntowności swych elaboratów, mianowano go konsultorem tejże kongregacyi. W pracach przygotowawczych do soboru Watykańskiego, brał udział jako członek komisji dogmatycznej, a i na samym soborze zasiadał, jako teolog papieski. Po ukończeniu obrad soborowych został członkiem Kongregacyi do nadzwyczajnych spraw kościelnych. Jak wielki ciężar, ważne te obowiązki dodały do jego nauczycielskiego brzemienia ten tylko może ocenić, komu wiadomo, jak wielkiej doniosłości są sprawy obrabiane i załatwiane w tych kongregacyach. Zadaniem teologa kongregacyi jest, sprawy te zbadać wszechstronnie i jak najgruntowniej, a następnie na posiedzeniu kardynałów przedłożyć obszerny i dokładny referat; często referaty takowe czyta sam Ojciec św., by lepiej poznać stan rzeczy. Jeżeli się przytem zważy, z jaką sumiennością i bezstronnością starał się przedstawiać fakta i ich skutki, z jaką troskliwością uważał, by przez zbyt pospieszny sąd lub ocenę, albo przez wyrażenie nie dość obmyślane, nie zaszkodzić, ani dobru Kościoła, ani osobom interesowanym — wtedy dopiero można mieć wyobrażenie o całym zakresie i ogromie działalności Franzelina. Wszystkie te jego prace leżą w archiwach właściwych kongregacyj, i dlatego niepodobna nam było naocznie sprawdzić, ile tam na tych zapyłonych półkach spoczywa wiedzy i pilności, ile godzin pracy i mokołu!

Do tych prac obowiązkowych przybywało mu jeszcze niemało zajęcia nadobowiązkowego, którego się podejmował ze względów przyjaźni i koleżeństwa. Nietylko bracia jego zakonnicy, lecz także i inne osoby, aż do najwyższych dostojników kościelnych, udawały się do niego o zdanie lub poradę w różnych trudniejszych kwestiach. Przenikliwy i daleko sięgający jego pogląd, spokojny i mądry sąd, jakim się zawsze kierował, sprawiały — że wszyscy, którzy go się radzili, ufali bezwzględnie jego zdaniu, i całkowicie na niem polegali. Ks. Kleutgen nie napisał ani jednej stronicy uczonych swych rozpraw, którejby pierwiej nie był poddał krytycznej ocenie Franzelina, który z gotową zawsze usłużnością starał się

słowem lub pismem zadość czynić wszystkim tego rodzaju żądaniom.

Wszystkie te tak liczne obowiązki wypełniał Franzelin bez szemrania, nie przykrząc sobie nigdy, ani uskarżając. Wymagało tego posłuszeństwo, wymagała służba Kościoła — a to był dla niego dostateczny powód, by pracować do upadłego, bez żadnego względu na siebie. Czy może przy tylu rozlicznych zajęciach zaniedbywał nauczycielskie swe obowiązki? Ośm tomów uczonych dzieł jego świadczy najlepiej, że także jako profesor postępował zawsze naprzód. Obok tak różnorodnych zajęć, wychodziły teologiczne jego dzieła, jedno po drugim — najprzód litografowane, a później po wielu przekreśleniach i poprawkach szły do druku. Każdy, kto tylko jest obeznany z nowoczesną literaturą teologiczną, może ocenić niezwykle ich zalety; dzieła te stanowią godne *pendant* do dzieł poprzedników jego na katedrze *Collegium Romanum*, tj. do dzieł Bellarminów, Suarezów, Vasquezów, Toledów i t. d.

Ale, czyż jeden człowiek był w stanie podolać temu wszystkiemu? Zapal dla sprawy Boga używał siłom jego dziwnej wytrzymałości i wytrwałości, oraz sprężystości, która sprawiała, że Franzelin nie cofał się nigdy przed żadną, choćby najzmundniejszą pracą. Przytem umiał znakomicie korzystać z czasu. Chociaż zawsze liczył się z nim skrupulatnie, i nie zmarnował nigdy chwili — to jednak teraz tak go sobie skąpił, że nie chciał nawet godziny poświęcić wytchnieniu, i trzeba było uciekać się aż do posłuszeństwa, by go na pewien czas odciągnąć od pracy. Nie prosił nigdy o pozwolenie wyjścia na przechadzkę, tak iż O. Minister musiał posyłać do niego drugiego Ojca z poleceniem: „O. Minister kazał powiedzieć, by ksiądz poszedł ze mną na przechadzkę“. Franzelin wstawał wtedy, kładł wszystko na bok i szedł się przejść. Podczas letnich wakacyj było w zwyczaju, że scholastycy udawali się na dwa tygodnie na wieś do willi w *Gallero* (na stokach gór Albańskich, między miasteczkiem *Ariccia* i *Gonzaro*); — profesorowie brali także zazwyczaj udział w tej willegiaturze. Franzelin musiał także wyjeżdżać *volens nolens*, ale razem z nim wyruszała też znaczna część biblioteki na świeże powietrze — i większą część dnia spędzał nad stosem książek. W późniejszym jednak wieku zdołał

wmówić w przełożonych swych, że może się śmiało obejść bez tego odpoczynku. Takim był Franzelin w wszechstronnej swej działalności.

Czy może w obec tej wyczerpującej pracy ucierpiała moralna strona życia jego? Czy nauka pochłonęła w nim zamięłowanie cnoty i pobożności? Przeciwnie, z cnót właśnie czerpał Franzelin siły do tego pracowitego żywota. Niewyczerpanem źródłem, z którego wypływał niezmordowany zapal dla sprawy Bożej i Kościoła, była podziwienią godna pokora jego. Przeświadczenie o swej nieudolności było dlań bodźcem do wyężdżania wszystkich sił, robił co tylko mógł, czego tylko od niego wymagano, byle tylko nie być nieużytecznem stworzeniem na świecie. Dlatego to w pracach jego naukowych widzimy coraz nowe studia nad jednym i tym samym przedmiotem, nigdy bowiem nie dowierzał sobie, czy rzecz jaką uchwycił z właściwej strony, czy ją wyczerpał należycie; dlatego też nie trzymał się uparcie raz powziętego zdania, lecz, jeżeli się przekonał, że zdanie to nie jest dość pewne, to nie wstydził się zaniechać go i wytworzyć sobie inne. W pewnej dyspacie trzymał się jeden z jego uczniów *egzegezy* pewnego tekstu Pisma św., którą Franzelin wykladał poprzednich lat. Na to odezwał się Franzelin: „Przed czterema laty powiedziałem to wprawdzie, ale od tego czasu zmieniłem zdanie“. I by tę zmianę zdania umotywować dodał: „Za 4 lata można przecież uczynić pewien mały postęp“. Gdy się dowiedział o swej nominacji na kardynała, skarżył się przed swym prowincyałem — O. Cardellą: „Inni mają różne zdolności i mogą być bardzo użyteczni, ale ja nie mam żadnych, co najwięcej potrafię jako tako uczyć“. Gdy temuż samemu O. Cardelli oznajmił Pius IX, iż po śmierci kardynała Tarquini'ego chciałby któremu z Ojców tegoż towarzystwa dać kardynalski kapelusz, wtedy wymienił Franzelina, „który tak piękne referaty do kongregacji pisze i jest tak pokorny“. Zresztą i Pan Bóg w swej opatrności czuwał, by go nauka nie wbiła w pychę; a to przez skrupuły. Nie były to jednak wcale owe bezpodstawne obawy, których źródłem wyobrażenia, lecz zacięta walka z pokusami przeciwko wierze, co go szczególnie przy sprawowaniu śś. czynności dręczyło. Rozrzewniającem było patrzeć, jak odprawiał Mszę św. Na twarzy jego malowała się z jednej strony szczerza pobożność, lecz zarazem nerwowe, niespokojne ruchy świadczyły o ciężkiej wewnętrznej walce, jaką wtedy

staczał. Im więcej jednak miał do znoszenia od natarczywej pokusy, tem ognistszym, tem więcej przekonywującym był wtedy jego wykład. Czuliśmy wtedy wszyscy, że to były zapasy z niewidzialnym przeciwnikiem, i umiejętne nacieranie, by mu broń z ręki wytrącić.

Widząc niezwykłą tę jego powagę na katedrze i wszędzie, gdzie tylko chodziło o naukę wiary — niktby nie przypuścił, by mógł być naiwnym i wesołym, jak dziecko, a jednak widocznem to było w jego życiu codziennem. Przysłuchiwał się rozmowie zawsze uprzejmy i uśmiechnięty. Gdy szło o rzeczy obojętne, był małowowny, lecz gdy rozmowa wchodziła na ważne kwestye z zakresu historyi, lub teologii, albo na bieżący stan rzeczy, stawał się wymownym, i z bogatej skarbnicy swej pamięci wydobywał istne klejnoty wiedzy, tak iż Ojcowie nazywali go „swoją chodzącą encyklopedyą“. Dziecięcą jego wesołość można było podziwiać głównie wtedy, gdy bywał na letniem mieszkaniu pośród swych uczniów. W większej gromadce młodzieży znajdzie się zawsze kilku, którzy szczerem i wesołym dowcipem umieją uprzyjemnić i ożywić rozmowę. Franzelin śmiał się w takim razie serdecznie. Często też zdarzało się, że jego własna osoba, tak zrosła z książkami i studjami, dostarczała materiału do takiej rozmowy, a czasem i dłuższej zabawy. I tak pewnego razu urządzono komiczną dysputę na temat: *rusticatio Franzeliniana*, na której z wielką erudycją i powagą dowodzono *pro i contra*, czy willegiatura odbywana wśród stosu książek może nosić to miano, czy też jest to tylko *purum putumque ens rationis*. Innymi razy odbywał się t. zw. cyrkul czyli dysputa domowa, na której najzdolniejszy na aktora kleryk występował w roli prezydującego profesora, i wtenczas biedny Franzelin musiał się przypatrywać swemu własnemu, a bardzo wiernemu sobowtórowi ze wszystkimi minami, nerwowemi ruchami, a zwłaszcza z całem nudzeniem, dręczeniem swych uczniów! Nie było w tem jednak nic złośliwego lub bolesnego, wszystko to bowiem wypływało z miłości do uwielbianego profesora. To też Franzelin brał zawsze żywy udział w ogólnej wesołości i śmiał się nieraz do łez ze swego wizerunku, — lecz niestety, nie to nie wpływało na jego poprawę — i gdy przyszedł prawdziwy cyrkul, dawał z siebie jeszcze lepsze, tylko już wcale nie komiczne przedstawienie. Przy takich i tym podobnych zabawach składał zupełnie swoją profe-

sorską powagę i stawał się po prostu miłym kolegą swych uczniów, którzy też korzystając z tego, zarzucali go najrozmaitszemi pytaniami do rzeczy, i nie do rzeczy, a on na wszystkie odpowiadał zawsze z niewyczerpaną dobrocią i uprzejmością. Z tym brakiem wszelkiej zarozumiałości łączyła się u Franzelina niezwykła pobożność; obie te cnoty dopełniały się i podtrzymywały wzajemnie. Gdy się modlił — czy to przy Mszy św., czy też odmawiając Różaniec — to widać było po nim, że jest tem cały przejęty, całkowicie zjednoczony z Bogiem, zupełnie zapomniawszy o sobie. W poufnych zwierzeniach mawiał: „Trzeba się kontentować, że się służy Bogu według możliwości, a nawet czemś mniejszem“.

Przy tak głębokiej pokorze nic dziwnego, że i posłuszeństwo, zaparcie samego siebie, duch ubóstwa i wyrzeczenie się przyjemności tego życia doszły w nim do wysokiego stopnia doskonałości.

Największą dlań przykrością było, gdy go odrywano od książek, gdy jednak tego życzył sobie jego przełożony, to bez wahania i bez najmniejszego znaku niezadowolenia wstawał natychmiast i szedł, gdzie go wzywano. Nie wymawiał się nigdy brakiem czasu, i dlatego punktualnie przychodził na wszystkie wspólne zebrania, przerywając najpilniejsze nawet zajęcia, aby tylko nigdy nie stanowić wyjątku; a to właśnie najlepiej świadczy o ciąglem jego zaparciu i panowaniu nad sobą. W swoim pokoju nie lubił nic zbytecznego: łóżko, stół, pare krzesełek, półki z kilku książkami — to było wszystko. W dzień pracował w bibliotece, wieczór zaś, ponieważ nie wolno było siedzieć w bibliotece przy lampie — brał do siebie książki, jakie mu były na razie potrzebne i odnosił je nazajutrz rano. Jak dalece był skrupulatnym w przestrzeganiu św. ubóstwa, świadczy o tem następujące zdarzenie. W roku 1873 Rzymskie kolegium zostało zabrane przez piemonckich przywłaszczycieli, a Jezuici wypędzeni, jednakowoż każdemu pozwolono zabrać z sobą to, co miał w celi. Gdy więc do Franzelina wszedł urzędnik i zapytał: „Czy te rzeczy należą do Pana?“ tenże pomnąc na ubóstwo, które nie dozwala posiadać nic na własność odrzekł: „Mam prawo używalności wszystkich tych rzeczy“. Odpowiedź ta nie zadowolniła owego urzędnika, i dlatego powtórzył swoje pytanie po raz drugi i trzeci, ale innej odpowiedzi nie otrzymał, aż wreszcie jakiś wyższy urzę-

dnik, który był świadkiem tej sceny zakończył ją mówiąc: „Prze-
stańże już pan dręczyć tego biednego człowieka!”

Mimo to że Franzelin ukrywał się jak tylko mógł ze swoją
nauką, zwrócił jednak na siebie uwagę Pius IX i tak, że ten za-
raz po śmierci kardynała Tarquini'ego powziął zamiar wynieść go
na tę godność. Ponieważ jednak zakon Towarzystwo Jezusowe
w ogóle i każdy jego członek w szczególności przez osobny ślub
obowiązuje się nie przyjmować żadnych godności kościelnych, chyba
pod grozą ciężkiego przestępstwa — przeto Ojciec św. zwlekał wy-
konanie tego projektu przez 2 lata, ale nareszcie kazał ówczes-
nemu generałowi zakonu, O. Piotrowi Beckx'owi, aby oznajmił
Franzelinowi niezłomną wolę Papieża, iż ma zostać kardynałem.
O. General otrzymawszy tę wiadomość pospieszył natychmiast
do Rzymu i błagał Ojca św., by odstąpił od tego zamiaru, lecz na-
próżno — i trzeba było być posłusznym. Pius IX nie chciał się
nawet zgodzić na krótką zwłokę. Franzelin bowiem pracował wła-
śnie nad traktatem teologicznym *de Ecclesia*, do wykończenia któ-
rego potrzeba mu było jeszcze ze dwa lata pracy.

Kardynał Bilio, który najwięcej w tej sprawie był czynny,
miał sobie polecone obwieścić Franzelinowi wolę Ojca św. Gdy
przybył do niego i po niejakiem wstępie powiedział: „Mój Ojcze!
przyszedłem tu z umyślnym rozkazem Ojca św.; nakazuje On Ci,
byś z *Collegium Germanicum* (tam bowiem mieszkał po wypędze-
niu Jezuitów z kolegium Rzymskiego) przeniósł się do kolegium
kardynałów“ — Franzelin tak był tem zdumiony i przerażony, iż
zdawało się, że zemdleje. „To być nie może, nigdy tego nie bę-
dzie!“ — odpowiedział drżąc ze wzruszenia; potem wstał z krze-
sła i chodząc po pokoju wzburzony do najwyższego stopnia, błaga-
jąc Boga, by tego nie dopuścił. Wreszcie przemówił do niego
kardynał: „Ależ Ojcze Franzelin, uspokój się, muszę wyznać, że
mię nie bardzo budujesz! Spodziewałem się po Tobie, że chętnie
spełnisz ten czyn posłuszeństwa. Ojciec św. każe, a zatem Waszej
Wielebności nie pozostaje nic innego, jak tylko słuchać!“ Uspokoił
się nieco, lecz wybuchnął długim, serdecznym płaczem. Tegoż sa-
mego dnia popołudniu zabrał go kard. Bilio ze sobą, by go przed-
stawić papieżowi. Franzelin rzucił mu się do nóg i zapewniał ze
łzami, że nie może być kardynałem, że nie posiada po temu żad-

nych zdolności. Lecz Pius przerwał mu mowę słowami: „A jakież zdolności miał Piotr św.? umiał on tylko robić wiosłem!“

Wracając z Watykanu wstąpił do ks. rektora kolegium Niemieckiego i rozpaczliwym głosem zawołał: „Teraz już po mnie, zginąłem!“ i powtarzał to z boleścią raz po raz. Rektor, nie wiedząc jeszcze co zaszło w Watykane, chciał go pocieszać, lecz gdy to nie pomagało, rzekł w końcu: „Ależ mój drogi, co to ma znaczyć? Wstydź się tak mówić! Spełnij najprzód swój obowiązek, a potem dopiero myśl o śmierci!“ Skarżył się też przed swoim prowincyałem na to nowe utrapienie, mówiąc: „A to prawdziwie kara Boża!“ Nadzwyczajna ta trwożliwość pochodziła z wielce małego mniemania o sobie, był on przekonany, że nie jest zdolny do czegoś innego, jak do swoich wykładów cyrkulów i dysput.

Było to w pierwszych dniach lutego. Franzelin wykladał jak zwykle w *Collegium Germanicum* milcząc o tem, co zaszło, jak gdyby chciał zapomnieć o przykrym śnie, smutek tylko jego zdradzał, iż mu się przytrafiło coś niezwykłego. Wreszcie rozeszła się wszędzie wieść, iż Franzelin został kardynałem. Dnia 14 marca miał mieć ostatni wykład. Wszyscy słuchacze oczekiwali z największą ciekawością, co też powie o tem swoim niespodziewanem wyniesieniu. Lecz Franzelin skończył wykład, nie uczyniwszy o tem najmniejszej wzmianki.† Gdy odchodził słuchacze wyrazili swą radość przez huczne i przeciągłe oklaski — na to zbładł jak trup i cichym głosem wyrzekł kilka słów, które tylko niektórzy tuż przy nim stojący zrozumieli, poczem pobiegł co tchu do swego pokoju.

Nominacya jego została uchwalona na posiedzeniu konsystorza w dniu 3 kwietnia. W ostatnią sobotę pobytu swego w kolegium spełnił czyn prawdziwie chrześcijańskiej pokory, który wszystkich wzruszył i zbudował. Gdy odmówiono modlitwę po jedzeniu w refektarzu, ukląkł przed każdym z Ojców i alumnów i ucałował im nogi.

Ponieważ w *Collegium Germanicum* nie można było urządzić mieszkania dla przyszłego kardynała, przeto miał zamieszkać w kolegium Belgijskiem na Kwirynale. Dzień i godzinę opuszczenia dotychczasowego swego mieszkania trzymał w głębokiej tajemnicy, bojąc się wszelkich owacyj. Lecz gdy 3-go rano chciał Franzelin ujść w cichości z kilku Ojcami, zauważyli to alumni i pobiegli na

dół, by mu w bramie przynajmniej wyrazić ostatnie swe podziękowanie i pożegnać go; cichym głosem odezwał się wtedy do nich, mówiąc, że zawsze starał się podawać im czystą naukę katolicką, następnie prosił, by mu przebaczyli, jeżeli był dla nich za surowy i zakończył upomnieniem: „Nie ubiegajcie się nigdy o wysokie godności kościelne; tylko droga idąca na dół jest pewną i równą“. Tak rozstał się z *Germanicum* ze łzami w oczach.

Pomijam uroczystości powinszowań, którym z ciężkiem sercem musiał się poddać nowy kardynał. Piętnastego kwietnia przeniósł się do kolegium Południowo-amerykańskiego, które się mieści w dawnym nowicyacie Tow. Jezusowego.

Żywot jego jako kardynała można streścić w kilku słowach. Zapalony zawsze do pracy i niezmordowany w niej, nie oszczędzał się teraz zupełnie; posłuszeństwo już mu w tem nie przeszkadzało. W ciągu 10-ciu lat swego kardynalstwa, wyjechał tylko trzy razy i to na krótko na świeże powietrze, a i na zwykłej rekreacyi poobiedniej ukazywał się tylko 3 razy do roku, w największe święta. Pracował ciężko od rana do nocy, albowiem sześć kongregacyj, których był członkiem, dawały mu dosyć do czynienia, a wszystkie akta, jakie tylko przechodziły przez jego ręce, czytał zawsze z największą sumiennością, roztrząsał wszystkie kwestye aż do najdrobniejszych szczegółów i pisał wszystko własnoręcznie, by nie narazić na szwank spraw sekretnych. Obok tych zajęć śledził bacznie bieg wypadków codziennych, aby mógł w razie potrzeby złożyć Stolicy św. dokładny i wiarogodny raport. Co tylko miało jakąkolwiek styczność ze sprawami Kościoła, to pociągało całą jego uwagę. I tak np. biskupi irlandzcy, którzy przybyli do Rzymu w celu naradzenia się ze Stolicą św. o sprawach swych dyecezyj, opowiadali, jak byli bardzo zdziwieni widząc, że kardynał Franzelin zna lepiej od nich stosunki ich kraju.

Z niesłychaną tą pracowitością umiał łączyć nadzwyczajną pobożność. Ranne godziny były poświęcone modlitwie — wstawał regularnie o godz. 4-tej i aż do wpół do szóstej odprawiał rozmyślanie, następnie szedł (codziennie) do spowiedzi; o 6-ej odprawiał Mszę św. — poczem słuchał jeszcze drugiej, w czasie której odprawiał dziękczynienie po swojej. Rachunek sumienia szczegółowy św. Ignacego czynił codziennie na piśmie, aż do wigilii

śmierci. Nigdy nie usuwał się od wspólnych nabożeństw domowych. Jak sobie cenił modlitwę, o tem dowiedział się w niemiły sposób jego służący. Był to stary człowiek, który już 34 lata służył dwom innym kardynałom. Był on ulubieńcem Franzelina, gdyż stanowił żywy kalendarz wszystkich czynności przywiązanych do godności kardynalskiej, a zarazem udzielał swemu panu dokładnych wskazówek, co i jak miał czynić. Lecz pomimo tego powiedział mu raz kardynał: „Angelo, nie mogę cię dłużej trzymać“. — „A to dlaczego Eminencyo?“ — „Dlatego że nie jesteś dobrym chrześcijaninem“. — „Eminencyo! słucham Mszy św., odmawiam Różaniec, spowiadam się co miesiąc, odmawiam różne modlitwy rano i wieczór. I cóżem zawinił Eminencyo?!“ — „Nie chodzisz na wspólne modlitwy ze służbą kolegiąlną“. „Eminencyo, od dzisiejszego dnia będę chodził najregularniej“. I w samej rzeczy Angelo dotrzymał postanowienia i odzyskał całkowicie dawną łaskę pana.

Owe wyrzeczenie się, jakie uczynił w nowicyacie, było i teraz jego dewizą. Jadał zwykle osobno w swoim pokoju, lecz ponieważ wracał często dopiero o 2-giej godzinie z Watykanu lub z posiedzeń Kongregacyi — to dostawały mu się tylko resztki pozostałe od ogólnego stołu; a nie pozwolił nigdy, by mu przyrządzono coś lepszego; podczas obiadu musiał mu zawsze który brat czytać jaki żywot jednego z braci swych zakonnych (przez O. Patrignani). Przytem jadł tyle tylko, ile było niezbędnem do utrzymania życia; pościł ściśle i często, spełniając w czasie postu inne jeszcze uczynki pokutne. Życie umartwione, jakie dotychczas prowadził, stało się teraz jeszcze surowszem. W ubóstwie, jako kardynał tak postąpił, że ubiór jego stanowiła nietylko najprostsza, ale bardzo licha i wytarta sutanna, i gdyby nie spowiednik, co go zmusił, by sobie sprawił porządniejsze ubranie, byłby w owej zniszczonej rewerendzie i dalej chodził na posiedzenia kardynałów. Bieliznę miał tak ubogą i lichą, iż ów Angelo powiedział mu pewnego razu, że jego chustki do nosa nie zdalyby się nawet do czyszczenia lamp. Stary, podarty a gruby, bo w jednym tomie brewiarz był mu tak drogi, że w żaden sposób nie chciał się go pozbyć. Ofiarował mu wprawdzie ktoś inny nowszy i piękniejszy, lecz po jego śmierci znaleziono go nietkniętym. Gdy mu urządzano mieszkanie, wyłożono wszystkie pokoje dywanami; lecz gdy będąc raz u kardynała Bilio zobaczył,

że i bez dywanów można być kardynałem — darował wszystkie swoje do kaplicy Matki Boskiej, a sobie sprawił zwykłe rogożki, jakie widział u kard. Bilio.

Nie chciwość to, ani skąpstwo pobudzało go do tych oszczędności, lecz czynił to z zamiłowania ubóstwa, a cały jego dochód kardynalski szedł na rozmaite dobre uczynki. Przedewszystkiem leżały mu na sercu misye katolickie, i przez 10 lat swego kardynalstwa, wydał na nie 28.600 lirów. Nie usuwał się też nigdy z pomocą w publicznych lub prywatnych klęskach. Zwykle w takich czasach posyłał jałmużnę na ręce proboszczów, nie wymieniając swego nazwiska. Nadto wspomagał biedaków, cisnących się codziennie do jego drzwi.

Jak zaś kochał swój zakon i jego reguły — będąc już kardynałem, można sądzić z tego, że wiernie — o ile się tylko to dało pogodzić ze stanem kardynała — wypełniał wszystkie jego przepisy i zwyczaje; co miesiąc kazał sobie czytać przy stole reguły zakonne. Pewnego razu rzekł doń Ojciec św. Leon XIII, iż chciałby jeszcze jednego Jezuitę zrobić kardynałem, a mianowicie O. Mazzellę. Franzelin prosił J. Świątobliwość, by tego nie czynił, mówiąc, iż się to sprzeciwia ustawom zakonu. Na to odpowiedział Ojciec św., że ustawy zakonne nakazują szczególne posłuszeństwo papieżowi. Franzelin spuścił głowę i zamilkł. Nauka, modlitwa i ciągle zaparcie siebie, oto treść życia Franzelina, jako kardynała — taka sama, jak kiedy był tylko prostym zakonnikiem.

Tymczasem życie jego było już na schyłku. Szóstego grudnia 1886 r. miało się odbyć posiedzenie Propagandy. Franzelin tymczasem wyglądał tak źle i cierpiąco, że brat infirmarz jako też wierny jego sługa, radzili mu, by nie chodził na to posiedzenie. Ale uważając to za zbyt uczynne pieszczenie się, poszedł. Gdy wrócił, nie mógł już wejść na wschody, musiano nieść go na krzesło; pomimo wielkiego osłabienia, załatwiał jeszcze zwykle swoje czynności, a na drugi dzień pojechał do Watykanu słuchać kazania. 8-go wezwano lekarza, a ten oświadczył wręcz kardynałowi, że już nie ma dlań ratunku, że przy wielkiem szanowaniu się mógłby jeszcze przedłużyć gasnące życie. Lecz Franzelin nie umiał tego nigdy. Udał się zaraz na drugi dzień po tem oświadczeniu na posiedzenie kongregacji św. Oficyum. Powróciwszy, upadł zupełnie na siłach, lecz siła

woli podtrzymywała go jeszcze. Wieczorem odbył jeszcze spowiedź przed ojcem duchownym swego zakonu, ten zabronił mu mieć naza-jutrz Mszę św. Ale nie było potrzeba zakazu, gdyż w nocy bardzo mu się pogorszyło. Przywołany lekarz powiedział, że zagraża pa-raliż płuc, i że już czas przyjąć ostatnie Sakramenta. Spokojnie i z wielką pobożnością gotował się chory do tej ostatniej w życiu pociechy religijnej. Gdy ks. rektor kolegium wszedł, niosąc Prze-najświętszy Sakrament, zawołał kilkakroć: *O bone Jesu, o bone Jesu! Credo in te, spero in Te, amo Te super omnia — super omnia!* — poczem odmówił Skład Apostolski i spowiedź powsze-chną — po przyjęciu św. Wiatyku powtarzał ciągle i z najgłębszem przejęciem: *O bone Jesu!* Wieczorem przyszedł posłany od Ojca św. Mgr. Marini, przynosząc mu jego błogosławieństwo i zapytał się, jak się ma. Kardynał odpowiedział: „Monsignorze, ściele się do stóp Jego Świątobliwości, za ten dowód Jego dobroci dla mnie, całuję stopy Jego Świątobliwości“ — poczem prosił Mgr. Mari-niego, by Ojciec św. raczył wydać rozporządzenie co do rozma-itych aktów, jakie miał sobie powierzone. Gdy Monsynior odpowie-dział, że będzie prosił o to natychmiast, gdyż Ojciec św. oczekuje wiadomości o jego zdrowiu, powtórzył kardynał raz jeszcze: całuję stopy Jego Świątobliwości i proszę także oświadczyć kardynałowi, sekretarzowi stanu, że nie będę mógł przyjść jutro na posiedzenie, poczem dziękował raz jeszcze Monsyniorowi, że się trudził do niego i powtarzając: Ściele się do stóp J. Świątobliwości — pożegnał wysłannika Ojca św.

Noc upłynęła spokojnie — ale bezsennie, w ciągłej modli-twie, którą z cicha odmawiał — często też powtarzał głośniejsze słowa: *Gesù mio — misericordia*. Prosił brata, który go doglądał w chorobie, by wyszedł na chwilę z pokoju. Ten wyszedł, lecz usłyszawszy jakiś szelest, myślał, że się co stało, otworzył więc drzwi, chcąc wejść, lecz chory wołał: „Nie wchodzić, nie wcho-dzić“. Wrócił się więc, ale już zobaczył, że chory nie leżał w łóżku, lecz klęczał na ziemi.

Rano zażądał raz jeszcze Komunii św., po której dano mu i ostatnie olejem św. namaszczenie. Rozrzewniające było pożegnanie jego z 90-cio letnim generałem zakonu, O. Piotrem Beckx, który przyszedł go odwiedzić, pomimo że sam był chory. „Ojciec gene-

rale — odpowiedział na zapytanie, jak się ma — bardzo źle ze mną, nie mogę mówić. O. generale, proszę Cię o przebaczenie za wszystkie moje grzechy, za wszystkie zgorszenia, jakich się dopuściłem w życiu zakonnem. *Deus propitius esto mihi peccatori*. O. generał pocieszał go mówiąc: *Deus propitius tibi erit et benignus*, — poczem chory powtórzył znów kilka razy *Jesu amo te* i modlił się po cichu.

Kardynał Mazzella, brat zakonny chorego kardynała, przyszedł go także odwiedzić i był przy nim do ostatniej chwili. Chory zapytał się go: „Jak się masz Eminenco?“. Kardynał odpowiedział: Mam się dobrze, ale jak się ty masz — na co Franzelin odpowiedział: „Polecam się miłosierdziu Najśw. Serca Jezusowego“.

Około 10-ej prosił O. Duchownego, by mu dał odpust na godzinę śmierci, jeżeli jest do tego usposobionym. O. Duchowny dawał mu otuchy i udzielił żadanego odpustu, przyczem chory z wielkiem nabożeństwem odmówił przepisane modlitwy.

Nie przestając się modlić, wtrącał często jako modlitwy strzeżone teksty z Pisma św. łacińskie lub niemieckie, w których był bardzo biegły. „Jezu mój, o Jezu, kocham cię nadewszystko“. — Bądźcie we mnie, bezemnie nie możecie nic uczynić. — „Tak Panie, ale z łaską Twoją wszystko mogę“. — „Wybrałeś mię“... — Następnie odmówił Ojciec nasz i zakończył słowami: „żałuję — boli mię to... Wierzę... *amo te super omnia*, — *super omnia*“. Chciał też odmawiać z pamięciienne godziny kanoniczne, lecz pamięć go już zawiodła. Przyszedł też wielki penitencyaryusz, kardynał Monaco della Valletta — a zarazem telefonem nadeszła wiadomość, że Ojciec św. przysłał mu swoje błogosławieństwo. Proszono kardynała by dał to błogosławieństwo w imieniu Ojca św., lecz dla lez nie mógł przemówić ani słowa, uczynił tylko znak krzyża świętego nad chorym i oddalił się w milczeniu. Siły ubywały widocznie, chociaż nie można było zauważyć właściwego konania. Ojcowie z kardynałem Mazzella i alumni Amerykańskiego kolegium, otaczający łożo umierającego, zaczęli odmawiać modlitwy przy konających, wśród których zasnął Franzelin spokojnie — tak spokojnie, że nie spostrzeżono nawet gdy już nie żył. O 1-ej minut 22 przekonano się, że dusza jego już nie na ziemi, ale u Tego, który będzie dla niej zapłatą zbytnie wielką“.

Kardynał Mazzella uwiadomił Ojca św. o tem, czego był świadkiem, który kazał sobie dokładnie opowiadać ostatnie chwile Francelina — poczem rzekł: „Czuję głęboko tę stratę. Podziwiałem zawsze naukę i roztropność nieboszczyka kardynała, przedewszystkiem zaś głęboką jego pokorę. Przychodził do mnie jak dziecko ze swojemi skrupułami i obawami. Im więcej uniżał się przedemną, tem więcej poważałem jego cnotę i świątobliwość“.

Oto krótki rys życia kardynała Franzelina. Pokorne zaparcie się samego siebie, jest charakterystycznym rysem ziemskiej jego pielgrzymki. Był on zawsze wierny natchnieniu, które mu przyszło jeszcze w nowicyacie: „Dobra jest nauka, potrzebne talenta, ale od obojga lepszą jest cnota“.

(Dok. nast.)

Ks. A. Langer.



FOTOGRAFIA W SŁUŻBIE ASTRONOMICZNEJ.

I wywiódł go z domu, i rzekł mu:
Wejrzyj na niebo, a zlicz gwiazdy, jeśli możesz.
Ks. Rodzaju XV, 5.

Nauka Kopernika poruszyła ziemię, i wskazała jej przynależne stanowisko w obec reszty wszechświata; nowe wynalazki dozwoliły nam niebawem zapoznać się z bezgranicznym prawie jego obszarem. Słabym zmysłem człowieka przyszedł w pomoc wynalazek lunety, który odsłoniwszy przed nim miliony niewidzialnych dotąd światów, nieporównanie potężniejszych niż ziemia i aniżeli słońce, wskazał mu wielkość dzieł Stwórcy. Zaczął się świetny okres astronomii; umiejętność ta zrobiła olbrzymie postępy, i praca w tym kierunku idzie odtąd bez przerwy. Żaden z dawniejszych a zdrowych jej nabytków nie został zatracony, — przybyło wiele nowych. Równocześnie i w zgodzie obok siebie wzrastał dobytek i obfitość zebranego i na obrobienie czekającego materiału; owoce dotąd zebrane świadczą chlubnie o tej pracy uszlachetniającej człowieka, lecz świadczą również, że jeszcze wiele, bardzo wiele do pracy pozostaje.

Porównyując stan astronomii, w jakim ona jeszcze w bliższych nam czasach, bo przed kilku dziesiątkami lat się znajdowała, tudzież jej zadania, środki pomocnicze i metody, jakich używała, ze stanem dzisiejszym, celami dziś zamierzonymi i środkami do ich dopięcia użytymi i spożytkowanymi, z trudnością omal przychodzi stwierdzić, że to jest ta sama umiejętność, która przecież więcej

niż wszystkie inne doświadczalne nauki, konserwatywnego jest charakteru. Przed paru jeszcze dziesiątkami lat usiłowania i prace astronomów prawie wyłącznie były skierowane ku zbadaniu obserwacją i rachunkiem zależności ruchów ciał niebieskich od prawa ogólnego ciężenia, a dodatkowo tylko, jako praca podrzędnego znaczenia, jawiły się opisy zewnętrznego ustroju ciał do naszego systemu słonecznego należących, lub też luźne, mniej lub więcej szczęśliwe pomysły o budowie wszechświata, uporządkowaniu i ugrupowaniu gwiazd. Odtąd pole działalności astronomicznej wiedzy nadzwyczaj się rozszerzyło i to w kierunkach, których wówczas najbystrzejsze nawet oko wytknąć nie byłoby zdolalo. Technika, zawarwszy ścisły i nierozzerwalny sojusz z fizyką i chemią, stworzyła w tym czasie potężne środki pomocnicze i podniosła metody obserwacyjne do precyzji dawniej niedościgłej, a z postępów tych zaczęła astronomia najprzód zbierać bogatsze niż przedtem owoce w kierunkach dotąd uprawianych, czyli na poprzednio wytkniętej drodze.

Nierównie atoli ważniejszym i głębiej w rzecz wnikającym jest nowy kierunek, jaki się teraz zaznaczył. Ze szczęśliwego mianowicie związku powyż wspomnianych dwóch nauk z astronomią, wyrosła odrębna, nowa gałąź tej ostatniej, która pod nazwą astrofizyki dozwoliła wglądać w naturę i historję rozwoju ciał niebieskich, jako też otwarła pogląd na inne siły, obok siły ogólnego ciężenia w wszechświecie działające. Przy wielkiej mnogości interesujących faktów, jakie w tym kierunku na każdym kroku się odsłaniają, nie można się wcale dziwić, że obecnie wielka liczba astronomów i astronomicznych zakładów ze szczególną predylekcyą i zamiłowaniem w tę stronę się zwracają, bo też tam wielkie i żyzne niwy do uprawy, które bujnych i nieznanych dotąd owoców każą się spodziewać. A chociaż jeszcze teraz astrofizyki mimo wszystkich jej dotychczasowych zdobyczy nie można wcale kłaść na równi z astronomią, w ściślejszem słowa znaczeniu pojmowaną, bo ta, jak przedtem tak i w przyszłości, z powodu nienaruszalnej pewności jej matematycznych podstaw i fundamentów, przy ustawicznym dążeniu, aby spostrzeżenia szły zawsze równym z postępami teoryi krokiem, a wreszcie przy wytężonej baczności, aby pod urokiem nowości od konsekwentnego postępowania po uświęconych od wieków torach, nie odstępowała, całkiem słusznie pier-

wsze miejsce między wszystkimi doświadczalnymi umiejętnościami zajmuje, — to przecież w obec do dziś zdobytych wyników całkiem uzasadnioną jest nadzieja, że także i ona odnośnie do ścisłości swych badań z biegiem czasu odpowie wszystkim wymogom tak praktycznym jak i teoretycznym, pod powagą prastarej i rzeczywistej, a nie idealnej nauki stawionym.

Jak dotychczas, astrofizyka trojakiiego rodzaju pracę przed sobą postawiła, a mianowicie: 1) badanie rozmaitego stopnia blasku gwiazd, czyli jak pospolicie wyrażać się zwykliśmy, ich wielkości, a dział ten znany jest w nauce pod nazwą *fotometrii gwiazd* (Astrophotometria); 2) badania fizyczno-chemicznego ustroju ciał niebieskich, a które można uważać jako rozszerzenie dotychczasowego programu, ograniczającego się na wyznaczaniu ich dróg, po części zaś także ich zewnętrznego obrazu i wyglądu, a ten znów dział nosi nazwę *analizy spektralnej*; wreszcie najmłodszy stosunkowo dział stanowi *fotografia nieba*, zajmująca się, w ogóle mówiąc, zbieraniem obrazów fotograficznych sklepienia niebieskiego i ciał na niem rozsianych. Dla wszystkich tych 3 działów astrofizyki punktem wyjścia i matematyczną podstawą jest optyka, czyli nauka o świetle, i wszystkie trzy mają już do dziś swych zasłużonych reprezentantów i pracowników, którzy dla nich odrębne środki pomocnicze i narzędzia stworzyli. W niniejszej pracy z trzecim działem, tj. fotografią nieba, obszerniej czytelnika poznamy zamyśliśmy, a da on nam poznać, jakto ta sztuka, której produkty na każdym kroku dzisiaj spotykamy, tylko z wielkim wysiłkiem pracy i rozumu człowieka nad usunięciem licznych przeszkód i trudności w przyrodzie samej tkwiących, dała się wreszcie nagiąć do nowej służby w dziedzinie astronomii, — z drugiej strony zaś, jak astronomia na wzór mądrego i zapobiegliwego gospodarza, który wszystkie doświadczenia nabyte i ulepszenia na niwy swoje wprowadza, aby tylko lepsze z niej wydobyć plony, i ona także wszystkie wynalazki i sztuki ostatnich lat spożytkowała, aby tylko pole swego działania rozszerzyć, i sztandar swej wiedzy na jak najdalszych granicach dostępnych człowiekowi zatknąć i obwarować.

I. Historya zastosowania fotografii do astronomii.

Niedawne to temu czasy, bo zaledwie pół wieku dobiega, gdy o nowym wynalazku świat się dowiedział. Była nim *dagerotypia*, nosząca swe miano od jej wynalazcy Ludwika Daguerre'a¹, który wspólnie z Józefem Niepcem² po długoletnich próbach i doświadczeniach, znany w optyce pod nazwą *Camera obscura* przyrząd, a skonstruowany w połowie 16 stulecia przez neapolitańskiego fizyka Jana Baptystę Portę, zastosował do otrzymywania stałych obrazów, w miejsce znikomych i chwilowych, jakie na cienniku przy demonstrowaniu szkolnem otrzymywane bywają. Jak każdy wynalazek, tak i ten początkowo bardzo niedomagał, i potrzebował jeszcze wiele pracy i nowych doświadczeń, nim omal zupełnie przeistoczony wystąpił pod nazwą fotografii, której dziś zastosowanie w najrozmaitszych kierunkach, pięknych i praktycznych, powszechnie i wszędzie znajdujemy. Wielkie zasługi około udoskonalenia dagerotypii i posunięcia tej sztuki naprzód położył zmarły przed dwiema dziesiątkami lat Jan B. L. Foucault, fizyk francuski, którego imię głośne jest w nauce z powodu prac jego optycznych i doświadczeń pendułowych, stwierdzających obrót wirowy ziemi.

Wynalazek Daguerre'a po raz pierwszy podał do publicznej wiadomości Franciszek Arago, znakomity matematyk i fizyk, opisując takowy w gorących i pełnych nadziei słowach³ na posiedzeniu akademii paryskiej dnia 7 stycznia 1839 r. Między zaletami tego wynalazku, z którego proponuje Arago zrobić wspaniałomyślny prezent całemu światu, a to przez ogłoszenie jego tajemnic za poprzedniem wyjednanem przez akademię u ministerstwa spraw wewnętrznych dla obu wynalazców pensji dożywotniej (dla Daguerre'go 6000 fr.; zaś dla Niepce'go, a właściwie pozostałego po tymże syna 4000 fr.), podnosi on tam szczególnie nowość pomysłu, artystyczny pożytek, szybkość wykonania, a wreszcie nie dające się

¹ Daguerre (Ludwik Jakób Mandé), sławny malarz dekoracyjny, wynalazca dioramy, ur. w Cormeilles, 1789, um. 1851 w Bry-sur-Marne.

² Niepce (Józef Nicefor) oficer kawalerii francuskiej żył od r. 1765 do 1833 w Châlons.

³ Fr. Arago's „Sämmtliche Werke“ T. VII. pg. 376 ff.

jeszcze obliczyć usługi i pożytki, jakie on naukom w przyszłości przynieść może. Ale co więcej, — już wtedy Arago wyraźnie zaznacza i przewiduje możność zastosowania tego wynalazku do fizyki i astronomii, twierdząc, że będzie to kiedyś nieoceniony środek i pomoc do badań i poszukiwań właściwych tym dwom umiejętnościom. Opowiada także o pierwszych próbach w tym kierunku zrobionych, a mianowicie o dość udatnym obrazie księżyca przez Daguerre'go otrzymanym, z czego wynika, że tegoż uważać należy jako pierwszego, który zapomocą promieni świetlnych naszego trabanta, umieściwszy w ognisku lunety płytę fotograficzną, chemiczne skutki na niej otrzymał.

Zważywszy, że pierwsze okazy nowo wynalezionej sztuki przedstawione przez Daguerre'a powyż wspomnianemu sprawozdawcy i wnioskodawcy, jako też innym uczonym francuskim, ograniczały się tylko do obrazów zdjętych z większych przedmiotów, jak np. z kościołów, mostów, Luwru, Tuilleryów i t. p., w ogóle mówiąc z przedmiotów stałych, architektonicznych i monumentalnych, a możliwość zdejmowania obrazów z przedmiotów ruchomych lub żyjących, dopiero była na ustach, ale nie w czynie, łatwo zrozumieć, że szerokie nadzieje, w motywach wniosku Arago'a zawarte, zwłaszcza zaś z Astronomią styczność mające, zdawały się trochę przedwczesne i wybujałe. To też byli i tacy, którzy po zapoznaniu się bliżej z tą rzeczą, podówczas w pieluchach jeszcze leżącą, widząc, na jakie trudności takie jej zastosowanie natrafić musi, mało, a przynajmniej niewiele sobie z tego wynalazku w tym kierunku obiecywali. A jednakże stało się tak, jak Arago przewidywał, i w ogóle wielka jego zasługa w tem, że Francyi prawa do pierwszeństwa wynalazku wydrzeć nie pozwolił¹. Z roku na rok udoskonalala się ta sztuka, a niespuszczana nigdy z oka przez astronomów, z roku na rok coraz więcej uzasadniała nadzieje w niej przez nich położone, aż wreszcie dziś posunięta do doskonałości, stanęła z po-

¹ Po złożeniu sprawozdania akademii um. przez Arago'a o wynalazku Daguerre'a, zgłosił się doń listownie dnia 29 stycznia 1839 Henryk W. F. Talbot, angiłik, zamożny obywatel i fizyk, zastrzegając sobie pierwszeństwo pomysłu, które atoli Arago jako spóźnione przedstawia. (Arago's „Sämmtliche Werke“ T. VII, p. 296.)

mocą swoją do olbrzymiego i monumentalnego zadania, o którym poniżej mówić będziemy.

Powiedzieliśmy powyżej, że już pierwszy Daguerre w r. 1839 próbował sił nowej sztuki, i to za namową Arago'a, na ciałach niebieskich, i że otrzymał dość udatny obraz księżyca. Takim atoli nazwać go było można tylko wówczas. Z powodu bowiem licznych trudności, zwłaszcza, że konieczne do tego urządzenia, jakoteż zaledwo wynalezione procesy fotograficzne jeszcze wiele do życzenia pozostawiały, otrzymano stosunkowo do późniejszych tak niedokładny obraz, że na nim tylko różnice oświetlenia między większymi partjami powierzchni naszego satelity, a więcej żaden szczegół nie był widoczny. Dopiero w marcu roku następnego, zasłużony wielce nauce a dziś już zmarły amerykańnik, J. W. Draper, który się gorąco temu przedmiotowi poświęcał, otrzymał na swoim prywatnem obserwatorium w New-York za pomocą reflektora Newtona kilka dagerotypów księżyca o 25 mm. średnicy, na których już niektóre z największych łańcuchów gór i pierścieni rozpoznać się dały. Czas na ekspozycję do tego potrzebny wynosił 20 minut, i ta to właśnie okoliczność, że na wywoływanie skutków świetlnych tak długiego potrzebowano wówczas czasu, a czego przyczyną była nieznajomość preparatów i odczynników chemicznych na światło bardzo czułych, była znów powodem licznych prac daremnych i nieudanych. W tak długim bowiem czasie, potrzebnym do wywołania skutków na płycie dagerotypowej, księżyc przy właściwym mu chyżym ruchu po niebie, stawał się dla aparatu obraz jego zdejmującego, przedmiotem niestałym i ciągle ruchomym; a chociaż za pomocą t. z. aparatu zegarowego, posuwającego ciągle lunetę w ślad za księżycem, starano się ruch tegoż skompensować, to przecież pozostawała jeszcze paralaksa, obrót wirowy samejże kuli księżycowej i idące za tem zmiany w oświetleniu jego powierzchni, a te wszystkie okoliczności, chociaż nieznaczne i niedostrzegalne w krótkim czasie, w dłuższym jednak stawały się wielką i nieuniknioną na razie dla rzeczy przeszkodą.

Lepiej pod tym względem już od samego początku stała sprawa ze słońcem. Działanie jego światła na płyty dagerotypowe było bowiem tak nagle i silne, że, aby uniknąć doświadczonego początkowo spalenia płyt, musiano czas ekspozycji do minimum do-

prowadzić. Odpowiedni do tego przyrząd, t. z. błyskawiczne zamknięcie obmyślili dwaj znani i zasłużeni fizycy francuscy Fizeau i Foucault, i z pomocą niego w r. 1845 otrzymali w $\frac{1}{60}$ sekundy czasu znakomitą fotografię słońca, której *fac simile*, pomieszczone w astronomii Arago'a, wskazuje małą przewyżkę siły światła środka tarczy słonecznej w stosunku do jej brzegów, jak również dwie piękne grupy plam. Łatwo więc pojąć, że przy zdjęciach obrazu słońca, czyli przy tak krótkotrwałej tu potrzebnej ekspozycji, nie potrzebowano zmieniać pierwotnego kierunku lunety, aby dzienny ruch ziemi znów skompensować, — ten bowiem wynosi w tym czasie 0.25'' łuku, co dostrzegalnego przesunięcia obrazu w lunecie wywołać nie jest w stanie.

To były więc pierwsze próbki, a było takich i więcej, wszystkie zaś odnosiły się tylko wyłącznie do słońca i do księżyca, z mniej lub więcej pomyślnym skutkiem. Ten stan trwał aż do końca czwartego dziesiątka lat. Dopiero w r. 1850 amerykański astronom W. C. Bond († 1859), i dyrektor obserwatorium w Cambridge, zaczął się w tym kierunku puszczać i na dalsze wycieczki, a mianowicie zaczął dagerotypię także i do gwiazd stósować, poczynając od najjaśniejszych. Za jego przykładem i pod jego kierunkiem dagerotypista Whipple w Harvard College otrzymał również parę obrazów gwiazd największych, ale mała czułość jego płyt dagerotypowych i błędy w ruchu aparatu zegarowego przy jego lunecie, nie dozwoliły mu sięgnąć do gwiazd słabszych. Największą atoli przeszkodą w tem przedsięwzięciu był zbyt długi czas ekspozycji. To też, chociaż otrzymana przez Bonda fotografia znanej podwójnej gwiazdy Mizar (w konstelacji niedźwiedzia wielkiego) wraz z jej towarzyszem Alcor zdawała się wiele na przyszłość obiecywać, a bardzo udatny według zdania tak kompetentnego sędziego, jak Dr. B. A. Gould, dyrektor obserwatorium w Albany, obraz jaśniejszych gwiazd z grupy Plejad, otrzymany znów został przez L. Rutherforda w New York, to przecież te próby jakoś nie pociągały ku sobie i zapal do nich ostygł. Natomiast zwróciła się fotografia w następnych latach znów z wielką energią do ciał systemu słonecznego i zjawisk z nim spokrewnionych. Tak np. poraz pierwszy próbowano w r. 1851 zdjąć obraz całkowitego zaćmienia słonecznego, do którego to zjawiska, jako zwykle

krótkotrwałego, zastosowanie fotografii było bezsprzecznie wskazaniem. Nie osiągnięto jednak na teraz zbyt zadawalniających rezultatów. Fotografowi Beyerowi w Warszawie, który się na to zjawisko przygotował, nie udało się nic zrobić, zaś L. Busch, następca Bessla w Królewcu i ziomek nasz Berkowski tamże bawiący podówczas, otrzymali wprawdzie w 84 sekundach obraz, ale rozmazany i nie bardzo wyraźny, na którym jednak protuberancje słoneczne i korona ślad swój pozostawiły.

Donioślejsze bez wątpienia niebawem postępy w fotografii nieba zawdzięczać należy Warrenowi de la Rue, zamożnemu fabrykantowi papieru, a później prezesowi towarzystwa astronomicznego i chemicznego w Londynie, który się całkiem wyłącznie tej nowej gałęzi astronomicznej praktyki poświęcił, i w r. 1852 nowe wówczas jeszcze postępowanie z kolodyonem, jako odczynnikiem chemicznym, w miejsce dotąd używanego jodu lub chlorku srebra, do naukowego zastosowania wprowadził. Aż ważna to była sprawa. Głównym bowiem powodem niepowodzenia dotychczasowego i opuszczania chwilami rąk było także i to, że zdjęcia dagerotypowe do rozpowszechniania obrazów się nie nadają, a ich reprodukcja tylko innemi sposobami, tj. zapomocą robienia ich podobizn, była możliwą. Udoskonalenie procesu kolodyalnego, który dagerotypią wkrótce prawie z gruntu przekształcił, pod dwójakim względem stanowiło epokę dla fotografii samej i jej zastosowania do nieba; najprzód skróciło ono bez porównania czas ekspozycyi przy używaniu dawniejszych odczynników chemicznych potrzebny, a następnie obok dagerotypii był to jakby wynalazek sztuki drukarskiej, pozwalający z jednej matrycy dowolną ilość zbierać obrazów.

Warren de la Rue urządził sobie w r. 1856 specjalne do celów fotograficznych obserwatorium w Cranford koło Londynu, gdzie umieścił teleskop Newtona, otworu 32 cm., do którego sam zrobił zwierciadło, i aparatem zegarowym opatrzył. Roku następnego otrzymywał on tym instrumentem dobre obrazy księżyca w 9 sekundach, Jowisza w 12 sek., Saturna w 1 minucie, a niektórych większych gwiazd w 2 lub 3 minutach. Z otrzymanych przez siebie fotografii robił on także stereoskopiczne obrazy, pozwalające widzieć wszystkie ważniejsze szczegóły tak na powierzchni naszego satelity, jak również słońca i Jowisza. W r. 1859 skonstruował

przyrząd własnego pomysłu, tz. photo-heliograf, przeznaczony wyłącznie dla słońca, a który wszystkim późniejszym do tegoż samego celu służącym narzędziom za wzór służył. Tymto przyrządem, mającym półtora metra odległości ogniskowej a 0·3 m. średnicy, w latach 1862 do 1872, czyli w ciągu całego peryodu zmienności plam słonecznych, zrobił on 2778 fotografii słońca w 1721 dniach, i tym sposobem doprowadził do skutku projekt J. Herschla z r. 1854, dążący do tego, aby codziennie, o ile możliwa, fotografować słońce dla zbadania ruchu jego plam i t. zw. pochodni. W r. 1860, z powodu nadchodzącego dnia 18 lipca całkowitego zaćmienia słońca, zrobił ekspedycję do Hiszpanii, i tu w Rivabellosa, wiosce nad rzeką Ebro położonej, z narzędziami swemi się usadowiwszy, otrzymał na kolodyonie 31 fotografii zaćmienia, które potem w jednym z dzieł swoich opisał i rysunki ich podał. Zdobyte te jego były bardzo ważne, bo one dowiodły tego, co już Arago przedtem twierdził, że protuberancje są fizyczną przynależnością do słońca, nie zaś optycznem, jak niektórzy dotąd utrzymywali, zjawiskiem, na brzegach księżyca w czasie zaćmienia słońca się jawiącem. Nadto, ponieważ na jego fotografiach znajdują się protuberancje, których przedtem żaden obserwator lunetą nie dostrzegł, a sprawdził ich byt A. Secchi, dyrektor obserwatorium *Collegium Romanum* w Rzymie, który ze swoją ekspedycją w tym samym celu podjętą, bawił podówczas w Desierto de las Palmas (w Hiszpanii), tudzież amerykański astronom S. Alexander na wyspie Aulezavik (w Labradorze), wypada stąd, że wpływ ich na płyty fotograficzne, czyli działanie chemiczne, jest większym, aniżeli wpływ optyczny na oko, okoliczność, która przypomina t. zw. pozafioletowe promienie widma słonecznego.

Równocześnie omal z Warrenem udało się także korzystającemu z jego wskazówek i ulepszeń prof. Bondowi, a przy zastósowaniu również kolodyonu do preparowania płyt fotograficznych, otrzymać w 8 sek. gwiazdę podwójną γ z konstelacji niedźwiedzia wielkiego, zaś w 2 sek. inne gwiazdy 1-szej i 2-giej wielkości. Zatrzymując ruch aparatu zegarowego (czyli zatrzymując lunetę w jej pierwotnem nastawieniu) otrzymał także Bond na kliszy obraz ruchu gwiazdy α z gromady Liry, i nawet można powiedzieć, że obserwatorium t. z. Harvard College w Cambridge (Amer.) było pier-

wsze, które zdobyło dobre obrazy fotograficzne gwiazd stałych i wykazało, że one do pomiarów pozycji względnych tychże gwiazd korzystnie użytemi być mogą.

Obok tamtych dwóch prowadził wytrwale dalej swoje prace i próby w tym kierunku, wspomniany już wyżej L. Rutherford.

W r. 1857 zaopatrzwszy swoją lunetę w aparat zegarowy, otrzymał nią fotografię księżyca zadowalniającą, — ale na ówczesne czasy. Bo chociaż te okazy sztuki fotograficznej były dla laika piękne, nie były niemi przecież dla astronoma, który dla swych porównawczych studyów teraźniejszych i przyszłych potrzebował i rozglądał się nie za pozorną pięknoscia, lecz za szczegółami, któreby co do wyrazistości przewyższały jego obserwacye oczne, — a tego tam nie było. Zobaczmy dlaczego?

Otóż główną tego przyczyną, a pojawiającą się w ogóle przy fotografiach wszystkich ciał niebieskich o większej rozciągłości, są zbyt małe wymiary ich obrazów ogniskowych, tj. na płycie fotograficznej w ognisku lunety ustawionej, otrzymanych. Następująca tablica, w której odległości ogniskowe lunet w metrach, zaś wielkości średnicy obrazów niektórych ciał niebieskich, niemi uzyskanych dane są w milimetrach, pouczy nas o tem, czego po takich obrazach oczekiwać i spodziewać się można.

Odległość ogni- skowa	Słońca lub księżyca	Jowisza	Saturna		Mgławicy w Andro- medzie
			kuli	pierścienia	
2 ^m	19 ^{mm}	0.5 ^{mm}	0.2 ^{mm}	0.5 ^{mm}	87 ^{mm}
4	37	1.0	0.4	0.9	175
6	56	1.4	0.6	1.4	262
8	75	1.9	0.8	1.8	349
10	93	2.4	1.0	2.3	436

Widzimy więc z tego, że przy zastosowaniu np. lunety o 10 metrowej odległości ogniskowej do celów fotograficznych, czyli lunety jednej z największych, jakie dotychczas posiadamy (taką jest luneta wiedeńska, mniej więcej wysokości 2-piętrowego domu), otrzymujemy obraz księżyca mało co większy nad 9 cm. w średnicy, — a że na takim obrazie trudno rozglądać się za bardzo

licznymi szczegółami na powierzchni księżycy dzisiaj znanymi, zrozumieć łatwo.

Rzeczy tej możnaby wprawdzie pozornie zaradzić w ten sposób, że płytę fotograficzną ustawi się poza ogniskiem lunety, skutkiem czego obraz się powiększy. Ale tak jak patrząc lunetą, binoklami, lupą i t. p. można obraz przedmiotu obserwowanego widzieć większym, odsuwając ich szkła od niego, czyli zwiększając odległość ogniskową, staje się to jednak kosztem wyrazistości obrazu, którąśmy mieli, gdy też luneta, binokle i t. p. w ognisku, czyli jak zwykle mówimy, do oka była nastawioną, — tak i tu się dzieje; powiększając odległość ogniskową odpowiednią czułości płyty fotograficznej, tracimy na wyrazistości obrazu przez nią obserwowanego, a prócz tego w takim razie potrzebnem jest przedłużenie czasu ekspozycji, co także nie jest z korzyścią. Aby więc zdobyć większe obrazy w razie potrzeby, omija się tę trudność częściowo w ten sposób, że obraz np. księżycy, zdjęty w wymiarach w powyższej tablicy przytoczonych, bywa następnie przy reprodukcji jego fotograficznej powiększany, — i w ten też to sposób były wielkie fotografie księżycy przez Drapera i Rutherforda robione, tj. że oryginał obrazu 10 razy w średnicy był powiększany. Powiedzieliśmy częściowo, gdyż i tą drogą nie otrzymuje się bezwzględnie czystych i wyraźnych obrazów, równych w tej mierze oryginałowi. Przy fotografowanych ziemskich przedmiotach radzi się temu przez retuszowanie i to nie tylko samych kliszy, ale nawet powiększonych z nich obrazów; przy fotografiach ciał niebieskich tego czynić nie można, gdyż tym sposobem traciłoby się zaufanie do wierności obrazu.

Przy fotografowaniu księżycy zachodzi jeszcze inna utrudniająca sprawę okoliczność. Otóż widzi się tam na jego fotografiach, że tylko niektóre partyje obrazu są ostro odznaczone, reszta zaś mniej lub więcej słabiej i rozmazane. Pochodzi to stąd, że natężenie oświetlenia nadbrzeżnych części powierzchni księżycy jest większe aniżeli centralnych. Można to już widzieć lunetą, ale więcej aniżeli na oko, wywiera to swój wpływ na kliszę fotograficzną. Tak więc, eksponując ją przez czas odpowiedni światłu partyj centralnych księżycy, brzegi jego bywają zadługo eksponowane i szczegóły zamazane — robiąc przeciwnie, centralnym znów partyjom za krótki czas

się zostawia do wywołania skutków na kliszy, czyli obrazu ich się nie dostaje. Aby temu znów zapobiedz, poszedł Rutherford pośrednią drogą, tj. zdejmował tylko obrazy częściowe z partyj o równem oświetleniu, i dlatego też jego okazy mniej więcej były najudatniejsze. Czy zaś w przyszłości fotografia znajdzie sposoby na otrzymywanie równie dobrych obrazów z wszystkich części niejednostajnie oświeconego przedmiotu, przesądzać trudno, — tymczasem zaś wszystkie inne metody, do celu nie prowadzą.

Otrzymane przez Rutherforda około r. 1870 obrazy księżyca, a które powiększone w średnicy od 5 do 6 dm. zostały rozpowszechnione ogólnie w Ameryce, odpowiadały po części wymogom naukowym, a nawet na posiedzeniu akademii paryskiej w r. 1872 astronom tameczny H. Faye wskazał ich wielkie znaczenie do poznania geologii tego ciała niebieskiego, i zmian topograficznych zdarzyć się mogących na jego powierzchni. W każdym razie była to rzecz bardzo nęcąca astronomów do siebie, zwłaszcza z powodu ogromnej różnicy czasu i pracy, jakich potrzeba do przedstawienia księżyca zapomocą fotografii, a zapomocą rysunku odręcznego, na obserwacyi lunetą opartego, a ściśle mówiąc, z pamięci robionego. Podczas gdy tam bowiem obraz żądany w kilku sekundach się otrzymuje, potrzebował zasłużony księżycopisarz Mädler około 7 lat (1830—36) czasu, zaś J. Schmidt, dyrektor obserwatorium w Atenach, więcej niż 30 lat (1840—74) usilnej pracy i to pod wiecznie pogodnem niebem Grecyi, do wykonania swej pięknej, i co prawda, monumentalnej karty księżyca.

Prócz prac nad księżycem, zajmował się także Rutherford fotografiami słońca, jego widma, niemniej także zdjęciami planet i gwiazd większych, jakoteż gwiazd podwójnych, a obrazy grupy Plejad i Praesepe, otrzymane przezeń w r. 1868, obejmują już gwiazdy 9 nawet wielkości.

Okolo rozwoju fotografii słońca w tychże czasach położyła niemałe zasługi akademja petersburska, przyjąwszy w r. 1861 do programu prac obserwatorium wileńskiego, które się atoli już w r. 1876 spaliło, regularne fotografowanie plam słonecznych za pomocą foto-heliografu umyślnie w tym celu w Anglii, a według wzoru Warrena i pod jego okiem wykonanego. W ślad za tym przykładem poszedł szereg znaczny różnych zakładów astronomicznych,

i zebrał wielką ilość cennego materiału obserwacyjnego, który już do niektórych ważnych wniosków doprowadził, po części jednak oczekuje dalszego obrobienia i naukowego spożytkowania. Szczególniej w czasie przygotowań do obserwacji przejścia Wenusy poprzedzającą tarczą słoneczną w r. 1874, wiele studyów nad fotografią słońca robiono, w nadziei, że na tej drodze pewniejsze niż dotąd rezultaty dla parallaksy jego, drogą obserwacji bezpośrednich otrzymane, mogą być zdobyte. I w ogóle, wszystkie dotychczasowe prace przeglądając, a pominęliśmy ich tu wiele, bo prócz wspomnianych przez nas badaczy, zasłużyli się jeszcze na tem polu Anglicy: Bates, Crookes, Forrest, Fry, Hartnup, Howells, Philipps, sławny astronom Huggins i t. p., — można powiedzieć, że do czasu tegoż zjawiska nie miała fotografia zastosowania innego i głębszego, jak tylko do reprodukcji widoku ciał niebieskich, czyli do astronomii fizycznej, mało zaś, bo tylko kilka próbek spotkać można, było zastosowanych do wyznaczenia ich pozycji, czyli do astronomii matematycznej. Otrzymane stąd rezultaty nie sprawiły też donośnego postępu w umiejętności, zwłaszcza gdy zebrane obrazy były często gorsze co do czystości i szczegółów, aniżeli otrzymywane wprost. Atoli konstrukcyja narzędzi i manipulacyja fotograficzna ulepszały się przy tych pracach ciągle, a z tem ulepszaniem rosła znów ciągle nadzieja należytego ich kiedyś zużytkowania do celów i zadań wyższych.

Po roku 1874, w którym fotografia do obserwacji przejścia Wenusy zastosowana, mimo wielkich przygotowań i starań nie dała rezultatów takich, jakich się po niej spodziewano, a co najwięcej dostarczyła tylko cennych dla przyszłości wskazówek, jak się z nią przy takich zjawiskach obchodzić, niebawem, bo już w r. 1882 nadarzyła się sposobność skorzystania z poprzednich doświadczeń, i rzeczywiście też teraz otrzymano daleko lepsze obrazy różnych faz tego zjawiska, aniżeli za pierwszym razem. Wszystkie otrzymane zdjęcia fotograficzne słońca oddane zostały osobnej *ad hoc* wyznaczonej komisji astronomów w Berlinie, która miała się zająć wymiarami, obrachunkiem i porównaniem z obserwacyami bezpośrednimi odnośnych spostrzeżeń — dotychczas atoli wyniki tych prac nie są ogłoszone.

Zastosowanie w fotografii około r. 1870 suchego kolodyonu,

który dozwala na przedłużanie czasu ekspozycji w miarę potrzeby, następnie znów około r. 1880 bromku srebra i żelatyny, które dają wielką czułość płytom fotograficznym, uprościli znacznie operacye i zwiększyły ważność poszukiwań naukowych. Bo też, podczas gdy dagerotypia ograniczać się musiała do pojedynczych tylko zdjęć księżyca, słońca lub zaćmień, gdyż próby z gwiazdami dały ujemne rezultaty, i dopiero proces kolodyonowy zrobił to częściowo, zastąpienie tego ostatniego przez żelatynę umożliwiło resztę. Była ona w porównaniu do kolodyonu tem, czem była fotografia niebieska dotychczasowa, w porównaniu do dagerotypii. Pierwszą ważną zdobyczą przy jej zastosowaniu była fotografia mgławicy Oryona, przez H. Drapera, syna znanego nam już W. Drapera, w r. 1881 otrzymana. Wprawdzie zostawiała ona trochę do życzenia, z powodu bowiem zbyt długiej, bo całogodzinnej ekspozycji na otrzymanie obrazu mgławicy potrzebnej, jaśniejsze gwiazdy po nad nią będące obraz ten trochę zdeformowały — ale też to był pierwszy dopiero krok w tym kierunku. Czem atoli była ważną tą zdobycz, to, że na fotografii tej znajdowała się także gwiazda 14 do 15 wielkości, która tą lunetą, jaką była fotografia robiona, zaledwie tylko mogła być widzialną, — a więc było wielki krok naprzód, wskazujący, że fotograficzna płyta może się z okiem ludzkim puścić w zapasy. Na nieszczęście umarł Draper wkrótce potem; ale pozostała po nim wdowa, aby pamięć jego uczcić, dała znaczny fundusz pod jego nazwiskiem dla obserwatorium w Harvard College celem dalszego kontynuowania tych prac i badań, które też tam bardzo gorliwie i ciągle są prowadzone.

Czyściejszy i wyraźniejszy obraz tejże mgławicy otrzymał w r. 1883 A. Common, któremu fotografia astronomiczna zawdzięcza wiele cennych prac, na swoim prywatnem obserwatorium w Londynie. O tymże czasie tj. w r. 1883, rozpoczęli bracia Pickering w Cambridge (Amer. półn.) pracować systematycznie na fotograficznej drodze nad kartografią nieba, która się jednak tylko do gwiazd gołym okiem widzialnych, czyli do 6 wielkości włącznie ogranicza, a jak się zdaje, głównie podjęta była w celu zbadania, o ile fotografia, jako środek pomocniczy dla fotometrii, której od wielu lat starszy E. Pickering, dzisiejszy dyrektor obserwatorium tamecznego, się oddawał, może być użyta. Podobnie i Dr. Dawid Gill, dyrektor

obserwatorium na przyładku Dobrej Nadziei, podjął z energią w r. 1885 zamiar wykonania fotograficznej karty całego południowego nieba, a to znów celem wydania katalogu gwiazd od 1 do 9 wielkości. Wcześniej jeszcze niż tamci, bo już w r. 1870, zajął się kartografią nieba B. A. Gould, dyrektor specjalnie do badania południowych jego okolic zbudowanego obserwatorium w Cordobie. W ciągu 14 lat otrzymał on tam około 1300 fotografii, obejmujących 70 konstelacji, a 100 gwiazd podwójnych aż do 11 wielkości. Z tych wszystkich prac jednak mało dotąd poznano, prócz, że każda płyta fotograficzna braci Pickering przedstawia część nieba o powierzchni 20° kwadratowych, i że liczba wykonanych płyt na początku 1886 roku do 100 dochodziła; a że takich płyt dla całego południowego nieba najmniej tysiąc liczyć potrzeba, wynika stąd, że wykończenie tego zadania około 10 lat jeszcze wymagać będzie. Ponieważ dotychczas nie opracowano gotowych zdjęć fotograficznych, zatem sąd jeszcze niemożliwy, o ile dokładność wyprowadzić się z nich mających względnych pozycyí gwiazd, odpowie wymaganiom, i czy na wszystkich płytach pożądana jednolitość, jasności gwiazd się tycząca, osiągnięta została, czyli inaczej mówiąc, czy jedna i ta sama skala do oceny wielkości gwiazd, fotografowanych w różnych czasach i na płytach różnie w rzeczywistości, choć pozornie jednako preparowanych, będzie mogła być zastosowana. (C. d. n.)

Dr. Wierzbicki.

OO. REDEMPATORYŚCI W POLSCE.

(Ciąg dalszy.)

Dwadzieścia dwa lat niespełna bawili OO. Redemptoryści w Warszawie, a przez ten krótki przeciąg czasu, ileżto burz przeszło po naszej ziemi, jak przeróżne koleje przechodziła Warszawa, niegdyś stolica rozległego mocarstwa. Zrazu królewska rezydencya, ognisko nowej oświaty i postępu, szerzonego skwapliwie przez ostatniego króla, później odarta z tytułu królewskiej siedziby, poddana pod panowanie rosyjskie, we dwa lata znów w skutek nowych układów między ościennymi narodami, dostaje się pod berło pruskie, aż wreszcie wśród katastrof Europy, wśród ruiny mocarstw widzi się znowu stolicą królewską, zmniejszonego wprowadzie, ale zawsze odrębnego państewka, noszącego imię księstwa Warszawskiego. W tym to czasie przemian politycznych, przypada działalność OO. Benonów. Dla nas rzeczą ważną poznać ten ich stosunek do rządów kolejno po sobie następujących. Tu leży rozwiązanie zagadki, jaka to wina ciąży na Zgromadzeniu OO. Redemptorystów. Przeciwnicy ich zarzucają im jakąś zdradę, ale natury jej bliżej nie określają, czy to był istotnie jakiś fakt na korzyść wroga, jakieś sprzeniewierzenie się obowiązkom obywatelskim, czy też tylko przyjazne usposobienie lub okazywanie przychylności nieprzyjacielskiemu mocarstwu. Owszem niema nawet zgody, względem jakiego to państwa byli oni przedawczykami. Najliczniejsi, bo Sobieszczański, Skarbek, Kraszewski i Morawski powiadają, że tam było porozumiewanie się jakieś i stosunki z Prusami. Jeden tylko p. Wisłocki natrąca — a nie dowodzi, że musieli oddać jakieś znaczne

usługi Rosyi, skoro ich fawor spotkał od Buxhōwdena w brzęczącej monecie; inni piszący o tem zapewniają, że była zdrada, ale jaka nie mówią — gdyż sami nie wiedzą.

Odpowiedź na te zarzuty byłaby łatwa i w sądach najsurowszych i najsprawiedliwszych wystarczałoby dowieść, że nie masz zgody na winę, aby zyskać uwolnienie od kary i zarzutu. Rzeczą to dowiedzioną i pewną, że ile razy ujawni się ewangeliczne *Et non erat conveniens testimonium illorum*, a zwłaszcza względem osoby lub Zgromadzenia, które było kamieniem obrażenia dla namiętności ludzkich — tam nie winy w oskarżonym, ale raczej pobudek oskarżenia trzeba szukać w oskarżycielach. Nie nowina to przecie, gdyż stało się to nie jeden, nie sto razy, że niewinny całym rygorem sądu został potępiony.

Aby oczyścić OO. Benonów od hańbiącego zarzutu, dośćby było przeciwstawić świadectwa powag w kraju i Kościele, które ich uważają za ofiary intryg i podejrzeń. Dla ludzi dobrej wiary wystarczy przekonanie, że skoro byli to ludzie sumienni, pełni poświęcenia i miłości bliźnich, sprawie Bożej oddani — tam nie może być ani mowy o podłym przemieszczeniu, które piętnuje nie tylko sąd państwa i opinia publiczna, jako czyn niemoralny i występny w sobie, ale zakazuje go pod grozą kary wiecznej — Bóg! a to dla ludzi oglądających się szczerze na Boga, jest najsilniejszym motywem do ustrzeżenia się podobnego czynu.

Gdyby to był zakon podupadły, zostający w rozprzężeniu o fakt taki możnaby go podejrzewać i wytłumaczyć, ale nie w zakonie świeżo zawiązanym, w epoce jego pierwszego zapалу, zaparcia się i poświęcenia, jakim było zgromadzenie Redemptorystów — a zwłaszcza młody ich klasztor w Warszawie — przypuścić podobną podłotę — niepodobno. Ale dowody te jasne i przekonujące dla psychologów i ludzi bezstronnie sądzących, nie dla wszystkich wystarczą. Przypatrzmy się więc lepiej, jaki stosunek istniał między OO. Benonami ku rządowi stojącym u steru.

Kiedy O. Hoffbauer przybył w 1786 r. do Warszawy, nie tylko na wstępie przedstawił się królowi Stanisławowi, ale mając kilkakrotnie u niego posłuchanie, każdą razą był od niego łaskawie przyjęty. Owszem, przychyłność królewska otaczała ich zakład skutecznie. W aktach konsystorza warszawskiego znajdujemy doku-

ment ręką O. Hoffbauera pisany, w którym tenże powiada: „Najjaśniejszy Pan (Stanisław August) wyznaczył na utrzymanie zakładu roczną pensję 1200 złp. z funduszy edukacyjnych, a nadto „z własnego skarbu rozkazał rokrocznie dodawać 5184 złp. do powyższej pensji“. W internacie Ojców kształcił się, jak świadczy M. J. Hube, młody kuzyn królewski, za którego sam król płacił dwa czerwone złote miesięcznie. Ufał więc OO. Benonom król Stanisław i uznawał ich błogą działalność.

Krótko, bo rok z górą trwały rządy rosyjskie w Warszawie. Po zdobyciu Pragi i wkroczeniu wojsk do stolicy 8 list. 1794 objął komendę miasta generał Fryderyk Wilhelm von Buxhöwden. O stosunku jaki łączył OO. Benonów z rządem ówczesnym rosyjskim, nie mamy ani śladu. Jedyna wzmianka Hubego o darowiznie 43349 złp., którą potwierdza Haringer dodając, że OO. Benoni nie z tego nie otrzymali. Prawdę mówiąc, mniejsza o to, czy otrzymali, czy nie; ale czyż sama asygnacya takiej sumy nie rzuca złego światła na OO. Benonów? cóż znaczy ta hojność generała nieprzyjawnego mocarstwa, dla Zgromadzenia innego wyznania w świeżo zwyciężonem mieście? Ale z drugiej strony, czyż w obec braku motywów, można ich zaraz potępić i ogłosić za przedawczyków? Czyż nie mogło to stać się z inicjatywy samego Buxhöwdena, który, jak wiadomo, zostawił po sobie dobrą pamięć w Warszawie, tak że go ludność warszawska żegnała z żalem, kiedy ustępował miejsca Prusakom. Czyż użyteczność zakładu i uczucia humanitarne nie mogły go skłonić do hojności z cudzej zresztą kieszeni? Jeśli na zakład Bergonziniego i Gagatkiewicza, w którym leczono tych, co zbrojny opór Moskwie stawili, nie wahał się on ofiarować 5000 złp., czyż trudno zrozumieć, czemu dla zakładu sierót i młodych wyrzutków okazał się hojniejszym? Klasztor OO. Benonów, jak wiemy, miał wielu przyjaciół wśród najwyższych nawet stanów, ubóstwo Zgromadzenia widocznie było wiadomem, skoro M. J. Hube tak dokładne o nim podaje daty. Pomoc była tem konieczniejsza, że szkatuła królewska nie mogła wypłacać asygnowanej im sumy. Czyż nie mógł król sam, albo ktoś z możnych a mających wpływ u generała Buxhöwdena skłonić go do tego czynu? Zresztą M. J. Hube poświęcający stosunkowo długie wspomnienie, nie byłby się z pewnością tak życzliwie o nich wyrażał, a znając jak widać z ca-

łego pamiętnika wszystko, co się ich tyczyło, nie omieszkalby krótką wzmianką natrącić, za co tak bojnje wynagrodzeni zostali. W końcu zarzut zdrady na korzyść Rosyi, czyni jeden tylko historyk, i to w formie domysłu, nie popierając go najmniejszym dowodem, a więc *gratis assertum, gratis negatur*.

Przeważna część literatów zarzuca im przychyłość dla Prus „tajne konszachty“ „porozumienia“ jakieś z Prusakami. Ogólnie bowiem uważano OO. Benonów za Niemców jako kierowników bractwa niemieckiego. Sumienny nawet badacz dziejów i krytyczny autor Sebastian Brunner przedstawia w życiorysie O. Hoffbauera rząd pruski, jako przychylny dla Zgromadzenia i biada, że się skończył z nastaniem księstwa Warszawskiego. *Zum Unglück war nur auch im Ganzen Congregation wohlwolende und gerechte preussische Regierung in Polen zu Ende*¹.

W istocie w początkach swego panowania okazali Prusacy nader wiele przychyłości Ojcom. „Zakład nasz, pisze w tymże czasie O. Hoffbauer do swego generała, przyczynia się nie mało do „utrwalenia naszego domu, rząd bowiem bardzo się łaskawym okazuje dla tych, co się poświęcają wychowaniu młodzieży“. A w innym liście donosi temuż: „Rząd tak sprzyja naszemu zakładowi, że go przenosi nad wszystkie inne“. Nie brakło i dowodów życzliwości, oto wyznaczył rząd sporą sumę na utrzymanie zakładu, którą O. Hoffbauer z podzięką przyjął, tembardziej, że niemal wszyscy uczniowie bezpłatnie się u Ojców wychowywali².

Ale nie długo miały trwać te fawory i różowe nadzieje Ojców, którzy w gołębij prostocie uwierzyli w przychyłość pruską całem sercem. *Wohlwolende und gerechte preussische Regierung*, wnet zaczęło kroczyć józefińskim torem, albo raczej wedle tradycyi domu brandenburskiego. Rząd bowiem pruski działał z planem z góry ukartowanym, a dążącym do zagłady klasztoru. A jeśli z początku nie zdradzał się ze swemi zamiarami, to wcale inny był powód do tego, niż sympatya dla Zgromadzenia. Podobnym moty-

¹ Cl. M. Hoffbauer und seine Zeit von Sebastian Brunner, Wien 1858 str. 97.

² Bedrängnisse des ehr. Dieners Gottes Cl. M. Hoffbauer während der preussischen Regierung in Warschau von Michael Haringer. Regensburg 1883.

wem jak do zatrzymania Jezuitów po kasacie, powodował się rząd w postępowaniu początkowem z OO. Benonami. Zakład ich jako najlepiej prowadzony, zwrócił ich oko, rząd dbający o oświatę w kraju nowo mu przydzielonym, nie chciał na razie pozbywać się sił nauczycielskich, jakimi byli OO. Benoni. Z czasem, kiedy się wykształcił już zastęp profesorów, pokazało się jawnie, co znaczyły te poparcia pieniężne i opieka rządu — były to preludya do zamiany zakładu na szkołę państwową.

W cztery lata po objęciu panowania, wyszedł dekret z królewskiej kancelaryi, który odsłonił zamiary rządu pruskiego względem OO. Benonów. Reskrypt ten zaadresowany do O. Hoffbauera rozpoczynał się od słów: „Jakkolwiek przekonani jesteśmy, że „twemu nadzorowi powierzony zakon, z szczerą gorliwością o dobro „moralne, oddawał się wychowaniu, to jednak państwo, pragnąc „odnieść pożądane owoce z tej gorliwości, musi przeprowadzić „dykalaną reformę tak co do nowicyatu, w którym się kształcą „członkowie Zgromadzenia, jak i co do zakładu naukowego. Państwo „przez naukowe i wychowawcze zakłady dąży do moralnie dobrego „i pożytecznego wykształcenia swoich przyszłych obywateli w różnych zawodach. Do tego zaś potrzebuje nauczycieli, którzyby należnych wiadomości i uzdolnienia nabyli. Dotąd atoli przygotowanie, jakie odbierał nowicysz zakonny, nie było żadną miarą odpowiedne do jego przyszłego powołania jako nauczyciela. Przytem „nauka i sposób wychowania w waszym zakładzie nie były takie, „jak być powinny“.

Potem następuje długi szereg rozmaitych przepisów, normujących po myśli rządu wychowanie zakonnie w nowicyacie i naukę ich i przygotowanie na profesorów państwowych. I tak, co się tyczy przyjęcia do zakonu potrzebny wiek oznaczony tj. 24 lat skończonych, nadto pozwolenie kamery pruskiej. Pozwolenie to atoli zawisłe od wyniku egzaminu, który kandydat zakonny złożyć powinien przed komisją rządową. Egzamin ten ma pokazać, czy młody aspirant zna gruntownie język polski i niemiecki, a przytem obyty jest z geografią, historią powszechną i naukami przyrodniczymi.

Po uznaniu przez komisję za zdolnego, może taki być przyjęty do nowicyatu, który odbywać ma w szatach świeckich, za-

konny bowiem strój wolno mu przybrać albo w dzień złożenia ślubów, albo po nominacyi na profesora, co atoli osobnego pozwolenia kamery wymaga.

Zadaniem nowicyatu ma być przysposobienie kandydata zakonnego do zawodu nauczycielskiego. Stąd ma być ćwiczony w rozmaitych wypracowaniach pisemnych, w języku polskim i niemieckim, przejść gruntownie kurs matematyki, wprawić się w rysunki ręczne z linią i cyrklem, poduczyć się nauk przyrodniczych, fizyki, technologii, o ile te wiadomości potrzebne są do praktycznego życia, odbyć kurs pedagogiki, nie tylko teoretycznie ale i praktycznie, ucząc w jednej z klas pod nadzorem nauczyciela pedagogii.

Co się tyczy nauczycieli stanowi reskrypt, że ci mają być zupełnie wolni od obowiązków kapłańskich, aby się mogli cali oddać profesurze. Każdy z nich musi złożyć egzamin przed komisją z przedmiotu, który ma uczyć i otrzymać jej potwierdzenie. Godzin szkolnych ma mieć każdy cztery na dzień, a w wykładzie swoim ma się trzymać książek przez kamerę przeznaczonych. Szkoła zaś ma być otwartą dla wszystkich wyznań, nauka przeto religii katolickiej ma być w osobnych godzinach wykładaną, w którym to czasie akatolicka młodzież słuchać będzie innych wykładów lub ćwiczyć się w rękodzielnictwie.

Przechodząc szczegółowo do szkoły chłopców, wzbrania reskrypt uczenia języka łacińskiego *der Unterricht der lateinischen Sprache hört in dieser Schule mit dem 1 Mai völlig auf*, a to z powodu bezkorzyści dla biedaków, jakimi byli prawie wszyscy wychowañcy Ojców, i szkody którą ponoszą nabyciu innych, potrzebniejszych im wiadomości. Zato poleca reskrypt naukę rękodziel różnych, jako obowiązującą. W szkole zaś żeńskiej, w której mogą się tylko znajdować dziewczęta do 14 roku, nauka ograniczać się powinna na czytaniu i pisaniu, o ile możności po polsku i po niemiecku, rachowaniu z pamięci i kobiecych robotach.

Aby dokonać swego zamiaru przeistoczenia tej szkoły, nakazuje reskrypt wygotować najdokładniejszy spis osób, przebywających w klasztorze z datami wieku wstąpienia, rozpoczęcia nowicyatu, złożenia ślubów, przyczem ma być podany dzień reskryptu kamery, pozwalającego na rozpoczęcie nowicyatu. Dalej najdokładniejszy opis szkoły chłopców, z podaniem nazwisk uczniów, ich

wieku, czasu pobytu w zakładzie, stanu ich rodziców a wreszcie rzemiosła, w jakim pobierają naukę. Podobny wykaz ma być podany ze szkoły dziewcząt, z wyszczególnieniem do jakich robót bywają zaprawiane, czy owoce ich prac idą na sprzedaż, i w jaki sposób się to dzieje.

Po tylu gorzkich pigułkach dla Ojców następuje zapewnienie łaski, że kamera królewska na wszystko się zdobędzie *wird alles mögliche thun*, co uzna za odpowiednie celowi i przedewszystkiem zakładowi Benonów, przyzwoli na wszystkie polepszenia, przyznając im potrzebne zasilki z funduszu szkolnego. Nie trudno zrozumieć, w jaki kłopot wprawił Ojców ten re-skrypt, krzyżował im cele i dążności, a odbierał główne zadanie ich zakonowi. W tym to czasie znajdowało się w Warszawie 10 Ojców, ci wszyscy mieli zaniechać pracy w kościele, a poświęcić się szkole — nie pozostawało chyba nic, jak zamknąć kościół i przerwać wszelkie nabożeństwo, misyonarze mieli się nagle przedzierzgnąć w fachowych nauczycieli i zamiast ambony i konfesyonału zasiąść na katedrze nauczycielskiej. Ale to niepodobne było do skutecznienia, choćby się i chcieli zgodzić na wolę rządu, bo w Zgromadzeniu byli Polacy i Francuzi, nie władający zupełnie niemieckim językiem, a z drugiej strony Niemcy nie byli dość biegli w polskim, a tu — trzeba było umieć dokładnie oba języki, polski i niemiecki.

Niemniej bolał O. Hoffbauera zakaz uczenia łaciny, gdyż ten rozwiewał jego najpiękniejsze nadzieje i widoki na przyszłość. Zakładając szkołę, pragnął przedewszystkiem przygotować dobrych kandydatów do kleru i wykształcić dla swego Zgromadzenia zdolnych pracowników. Naraz zakład miał się stać szkołą ludową — bezwyznaniową, w której kapłani katoliccy zakonni mieli uczyć według książek przeznaczonych dla młodzieży przez rząd protestancki, a były pomiędzy niemi i takie, jak zapewnia Haringer: *die ein katholischer Priester unmöglich gebrauchen konnte*.

A wśród pocisków wymierzonych przeciw zakładowi szkolnemu OO. Benonów, nie brakowało ciosów skierowanych przeciw samemu Zgromadzeniu. Cóż bowiem znaczył zakaz przyjmowania przed ukończonym 24 rokiem do nowicyatu, noszenia sukni zakonnej, dalej ów egzamin przed komisją protestancką i nieprzyjazną, jak ją nazywa w jednym z listów swoich O. Hoffbauer, konieczny

przed przyjęciem a drugi nieodzowny do otrzymania pozwolenia na złożenie ślubów. W cóż zamieniał się nowicyat, który ma być szkołą życia zakonnego, jeśli nie w seminaryum nauczycielskie, wymogi bowiem kamery nie zostawiały czasu wcale na kształcenie duchowe i ćwiczenia pobożne. Gdzież wreszcie znaleźć kleryków, co by po skończeniu 24 roku życia, poddali się chętnie tylu trudnościom i wystawiali na niepewne przyszłość swoją, kiedy każdy z nich mógł łatwiej dojść do celu swego na innej drodze.

Równocześnie i konsystorz warszawski odebrał nakaz, aby złożył jak najdokładniejsze sprawozdanie o instytucie zgromadzenia OO. Benonów, a ponieważ konsystorz zwlekał z odpowiedzią, ponowny rozkaz z dnia 28 kwietnia rozporządził, aby sprawozdanie żądane w przeciągu czterech tygodni nadesłane było. Nie zadowolnił się wcale jednak rząd nadesłaną przez Ojców do konsystorza odpowiedzią, którą tenże do kamery *in originali* odesłał i w kilka tygodni nowy nakaz przychodzi w imieniu króla — do ordynaryatu biskupiego z dopiskiem *citissime*, który przypomina, że reskrypt kwietniowy nakazywał wyraźnie bliższe podanie szczegółów, którzy z członków Zgromadzenia odają się kaznodziejstwu i administrowaniu Sakramentów, dalej żądał, aby nadużyciom przeróżnym, które się dzieją w kościele Benonów skutecznie konsystorz zapobiegł i doniósł dokładnie rządowi o rozporządzeniach, jakie wydał w tej mierze. „Tymczasem, brzmi list królewski, odpowiedź wasza nie zawiera z tego, zadawałnacie się tylko przesłaniem protestu Hoffbauera przeciw naszemu rozporządzeniu wniesionemu, żeby żaden nowicyusz przed złożeniem ślubów nie nosił sukni zakonnej; a przecież łatwiej wam było wykazać Benonom bezzasadność ich żądań, a to na mocy waszego prawa kanonicznego, które i my znamy“.

„Z nadesłaniem remonstracy Hoffbauera zadanie wasze bynajmniej się nie skończyło, i nam przesłał on podobny protest, na który należną odebrał odprawę, jak się o tem przekonać możecie z dołączonego odpisu.

„A więc ponownie nakazujemy, abyście nam natychmiast, najpóźniej w przeciągu 14 dni donieśli, jakie wydał ordynaryat rozporządzenia na mocy dekretu naszego z 28 kwietnia co do tego zakonu, i spodziewamy się, że powierzona wam władzę nad kla-

„szostrami w dyecezyi spreżyście i roztropnie sprawować będziecie, „zwłaszcza jeśli zakonnicy są zarazem pasterzami dusz, gdyż wtedy „według kanonicznych zasad pod szczególnym waszym nadzorem „zostają“.

Szkoda wielka, że protest O. Hoffbauera gdzieś zaginął i nie masz go w aktach konsystorza warszawskiego, co atoli zawierał nie trudno się domyślić z listu, jaki on pisał do O. Tannoji, dnia 1 paźdz. 1801.

„Blagam cię usilnie i Ojców naszych w Włoszech, abyście „nasze Zgromadzenie polecali Boskiemu miłosierdziu, gdyż żyjemy „tu w wielkim ucisku, a nie tylko my, ale i wszyscy zakonnicy. „Rządem, pod którym zostajemy, zawładnął duch bezbożności, i przeto „rozpoczęto uciskać kler katolicki pod każdym względem. Wprawdzie „wprost nie wzbraniają kultu katolickiego, ale maszyna tak jest „nakręcona, że on powoli sam upaść musi.

„I tak wyszło najprzód rozporządzenie, żeby się nikt nie „ważył odnosić do papieża, nawet biskupom nie wolno tego, bez „uprzedniego porozumienia się z ministeryum.

„Wszystkim zakonom wzbroniono wszelkiej łączności z prze- „łożonymi zagranicznymi i poddano je zupełnie pod władzę bisku- „pów. Żadnemu zakonowi nie wolno przyjmować nowicyuszów bez „zezwoienia rządu, a jeśli kandydat nie pochodzi ze szlachty, musi „się postarać wprzód o uwolnienie od wojska u komendanta tej „prowincyi, w której się urodził. Na oko wprawdzie nie ma jeszcze „wyrażnego zakazu przyjmowania do nowicyatu, ale w istocie „istnieje on. Do tego przyszło, że w klasztorach tutejszych prócz „domu misyonarzy nie masz ani jednego nowicyusza, a my mamy „tylko dwóch. Lazaryści i my otrzymaliśmy pozwolenie przyjmować „do nowicyatu, ale teraz ukazało się nowe rozporządzenie, które „tak utrudnia przyjęcie, że sami przełożeni nie chcą z niego korzy- „stać“.

Tu zacytowawszy O. Hoffbauer wszystkie obostrzenia, zawarte w reskrypcie królewskim a tyczące się przyjmowania i kształcenia nowicyuszów, „Takie rozporządzenie, pisze dalej, uniemożliwia speł- „nienie rad ewangelicznych. Skoro je tylko wydano, odpowiedzie- „liśmy pisemnie, że nam nie wolno bez wyższego upoważnienia „cośkolwiek przyjąć, co się sprzeciwia ogólnej praktyce tak Kościoła

„greckiego jak łacińskiego. Sądzę, że inni przełożeni zakonów odpowiadzieli w podobnym sensie. Żyjemy tu w ciężkim ucisku Kościoła. O jak szczęśliwiście wy, drodzy bracia, że macie króla, który jako katolik broni kleru. Do kogoż się my uciec mamy?

„Jęczymy pod groźną prawicą. Rząd uformował tu tak zwaną katolicką radę¹, ale wśród jej członków nie masz ani jednego katolika. Prezydent tego kolegium nie jest ani luteranem, ani kalwinistą, ani Zwinglianem, nie jest on nawet chrześcijaninem, ale jest to całkiem bezbożny człowiek i najsroższy wróg klasztorów, i ten to człowiek rozkazuje biskupom, całemu klerowi i decyduje o kwestyach religijnych.

„Z jaką pogardą obchodzi się rząd z klerem, z tego już można poznać, skoro prezes katolickiej rady trojaki ma urząd, ma on pieczę: 1) nad klerem katolickim, 2) nad żydami, 3) nad ze-psutemi niewiastami. O jak okropnie jest poniżonem tu królewskie kapłaństwo. Miasto to pełne jest bezbożnych — i tylko ciąglemu cudowi Boga przypisać należy, że lud prosty idzie ogólnie za przykładem przodków swoich, trwa w dobrem i coraz bardziej ślanknie słowa Bożego, im więcej my tych maluczkich przez kazania zasilić usiłujemy. Piszę to, abyście tem goręcej Boga za nami prosili, im lepiej nasze smutne położenie poznajecie¹.

Nie pomógł protest zaniesiony do stóp tronu przez O. Hoffbauera, ale w istocie twardą dano mu odprawę. W odpowiedzi, wystosowanej do O. Hoffbauera na d. 1 lipca tegoż roku, objaśnia rząd stosunek swój do szkół. „Jakkolwiek skłonni jesteśmy, ażeby wedle zasad naszego ustawodawstwa, zakonne zgromadzenia zachować nienaruszenie przy ich instytucie, to jednak instytut nie może być przeciwny zasadom, które postawił interes państwa jako konieczne i obowiązujące.

„W interesie bowiem państwa leży, aby wszystkie naukowe i wychowawcze zakłady, w których się mają przyszli obywatele wychować i wykształcić do swego zawodu, były zupełnie niezależne od wszelkiego wyznania religijnego, ponieważ zgoda i harmonia wśród najróżniejszych wyznań i należących do nich człon-

¹ Haringer. Leben des ehr. D. G. Cl. M. Hoffbauer str. 55. — Be-
drängnisse des ehr. D. G. str. 16.

„ków jest fundamentem, pokojowej politycznej jedności — ta zaś
„nigdy pomyślniej się nie rozwija, jak gdy się od najwcześniejszych
„lat młodego wychowania rozpocznie, nadto gdy poddany może
„jednakowe wychowanie odebrać od państwa, to może przystać do
„kościola jakiego chce, byle tylko spełniał obowiązki obywatelskie.
„Stąd żadne zakłady wychowawcze i naukowe nie mogą być uwa-
„żane za kościelne i poddane *foro ecclesiastico*, ale zostają pod
„bezpośrednim nadzorem państwa, i jemu tylko przysłuża prawo
„warunki nakładać, pod którymi komuś bez względu na to, czy
„jest jednostką, czy zbiorowem ciałem, może dać pozwolenie na
„udzielanie nauki, a zarazem i może mu określić sam sposób nau-
„czania. Samo się przez się rozumie, że ustawodawstwo formalną
„stronę nauki o tyle niezmiennym przepisom poddaje, o ile ona
„prawami ująć się daje. To prawo przysługujące państwu, wypływa
„z jego władzy policyjnej, jak z najwyższej władzy opiekuńczej;
„przeto musicie się wy i wasz zakon poddać przepisom, które my
„za konieczne i odpowiednie uważamy... Gdybyśmy chcieli dawać
„przepisy, jak ma być wychowywany i kształcony zakonnik oddający
„się życiu kontemplacyjnemu, to argumenty przeciw temu na insty-
„tucie i konstytucjach zakonnych oparte, byłyby zupełnie słuszne,
„skoro ten zakon państwo toleruje. Ale skoro się jakiś zakon po-
„święca wychowaniu, a przez to wpływ wywiera na dobro państwa,
„to musi się bezwarunkowo poddać prawom publicznego wychowa-
„nia. Jak zaś będziecie chcieli połączyć posłuszeństwo dla tych
„przepisów z waszemi konstytucjami, to pozostawia się waszemu
„sumieniu i roztropności“.

Po tym doktrynerskim wstępie następuje szereg przepisów i obostrzeń zawartych w kwietniowym reskrypcie, list zaś kończy się słowami: „Spodziewamy się po waszej roztropności i uległości, że się poddacie niniejszym rozporządzeniom, które mają na oku jedynie dobro waszego Zgromadzenia. Spodziewamy się tegoż tem więcej, że z naszego szkolnego funduszu pobieracie tak znaczne wsparcie, które wam będzie natychmiast odjętem, skoro się nie zastosujecie do planu organizacyjnego, któryśmy jako niezmienny, na dniu 4 stycznia wydali“.

Niedługo nie sam zakład naukowy, ale kościół i nabożeństwo u Ojców odprawiane miało posłużyć za powód do zaczepki. Ta cią-

gła misya z kazaniami przy natłoku ludności, strasznie się nie podobala Prusakom, co radziby wprowadzić zimny protestancki formalizm do Kościoła katolickiego w swoich krajach. Naparty więc przez rząd konsystorz, na wyraźne zadanie policyi określił godziny nabożeństwa w kościele św. Benona, nakazując im zamykać kościół w miesiącach letnich o godzinie ósmej, w zimowych zaś o dwie godziny wcześniej. W uniżonem zaś sprawozdaniu do rządu, zapewnia go, że „odtąd troskliwie baczyć będzie, aby pomienione Zgromadzenie nie dało więcej powodu do słusznych zażaleń“¹.

Alte to rządu nie zadowolniło, i w nowym reskrypcie z 4 maja 1801 r. tłumaczy konsystorzowi, że jakkolwiek nie myśli poddanym swoim stawiać zapory w spełnianiu obowiązków religijnych, to jednak nie może być obojętnym na nadużycia. Powołuje się na praktykę Kościoła katolickiego w tej mierze, który starał się przez różne prawa przeszkodzić, aby pod pozorem czei Bożej nie były naruszane obowiązki obywatelskie i prawa państwowe, przeto żąda, by konsystorz doniósł królewskiej kamerze, pod jakimi warunkami zostali przyjęci Benoni do kraju i na jakie nabożeństwa otrzymali pozwolenie. Przytem, jeśli by uważał jakieś zmiany za konieczne, ma je przedłożyć rządowi. Gdyby zaś nie istniały żadne przepisy co do Benonów, ma się konsystorz zająć jak najrychlej zredagowaniem konstytucyi dla nich w duchu Kościoła katolickiego wprawdzie, ale z wszelkiem uwzględnieniem interesów państwowych².

Śladu w aktach konsystorskich nie ma o jakichkolwiek nadużyciach ze strony Ojców, ale konsystorz zamiast wziąć ich w obronę, z obawy niełaski, gwał pod rozkazami rządu i spełniał każde jego polecenie. I tak na sam donos policyi, że wieczorne nabożeństwo jest powodem skandalów, gdyż wielu pod pozorem nabożeństwa urządza sobie miłosne schadзки, nakazał konsystorz wczesne zamykanie kościoła OO. Benonom. Co atoli najlepiej maluje usposobienie rządu pruskiego dla Ojców a powolność konsystorza na rozkazy władzy świeckiej, to historia ze statuą Matki Boskiej.

¹ Bedrängnisse des ehr. Cl. M. Hoffbauer str. 22.

² Bedrängnisse str. 23.

Było to w roku 1802. O. Hoffbauer sprowadził z Wiednia statwę Najśw. Panny bolesnej, którą tamże otrzymał w darze, a nie mogąc jej na razie pomieścić w kościele, ustawił ją w altance ogrodowej przed kościołem. Straszny to był wybryk w oczach rządu. „Doniesiono nam, pisze do konsystorza 5 kwietnia 1802 r., że Benoni „otrzymali z Wiednia, cudowny obraz Matki Boskiej i tenże przy „wielkim napływie ludności w kościele wystawili. Ponieważ wedle „kanonicznych praw, żaden przedmiot czci nie może być wystawiony „bez wyraźnego pozwolenia biskupa, a to może być tylko udzieleniem za naszym przyzwoleniem, rozkazujemy przeto, abyście nam „donieśli, czy to doniesienie jest prawdziwe i na czym się właściwie opiera, czy z waszą wiedzą obraz Maryi został w kościele „wystawiony, a jeśliby tak było, żądamy szczegółowego w tej „mierze sprawozdania, a to najdalej w przeciągu trzech dni“¹.

Przyciśniony konsystorz na dniu 7 kwietnia donosi, że powołał do odpowiedzialności O. Hoffbauera, który się tłumaczy, że jedynie dla ozdoby kościoła sprowadził tę statwę, i nigdy nie myślał podawać ją za cudowną, a więc nie potrzebował uwiadomić o tem konsystorza. Ale ponieważ statua ustawiona w altanie ściągła mnóstwo ludzi, nakazał konsystorz OO. Benonom zamknąć altanę.

Tymczasem przygotował O. Hoffbauer miejsce w kościele i przeniósłszy w nocy statwę do kaplicy P. Jezusa Miłosiernego, dnia 9 kwietnia poświęcił ją uroczyście. Wywołało to nową burzę, konsystorz zapytany od rządu donosi mu dnia 12 kwietnia, że o całym tym obchodzie nie został zgola uwiadomiony. Oburzony tą samowolnością OO. Benonów rząd, nakazuje konsystorzowi powołać O. Hoffbauera i następujący protokół z nim spisać:

1) „Skąd i za jakim pośrednictwem Benoni otrzymali tę statwę. Dla udowodnienia prawdziwości swych zeznań, ma O. Hoffbauer przedłożyć całą korespondencję tyczącą się tej rzeczy, którą należy do rządu przesłać“.

2) „Czy odebrali wyraźny zakaz, aby bez aprobaty konsystorza nie wystawiali tej statuy ku czci publicznej“.

3) „Co ich skłonić mogło do tego, skoro powinni byli wie-

¹ Bedrängnisse str. 26.

„dzieć, że wedle praw Kościoła nie wolno żadnego obrazu święćć
„i wystawiać ku czci publicznej bez zezwolenia ordynaryusza“.

4) „Kto tę statnę poświęćć“.

5) „Czemu ją w nocy wniesiono, czy ją wniesli kapłani ze
„Zgromadzenia i z jakimi ceremoniami, i czy byli temu przyto-
„mni wierni“.

6) „Jeśli by się to ostatnie zdarzyło, skąd wiedział lud o tem
„obchodzie uroczystym“.

7) „Czy kościół Benonów nie odbiera jakich darów z okazji
„czci tej statuy, i pod jakim tytułem się to dzieje“.

Dalej poleca reskrypt konsystorzowi, by wymógł na O. Hoff-
bauerze, żeby nie tając prawdy odpowiedział na te pytania, jak
się tego domaga obowiązek i sumienie. Wreszcie by zapobiedz wy-
mówkom O. Hoffbauera, że statua nie jest ku czci publicznej wy-
stawiona, ma się sam biskup, albo przezeń delegowany komisarz
udać do kościoła, aby się naocznie przekonać, czy lud rzeczywiście
nie oddaje czci tej statui, i czy kościół Benonów nie ma z tego
jakiej korzyści.

Najśmieszniejsza jest ostatnia klauzula — oto komisarz ów ma
się przekonać, czy przypadkiem nie zawieszono na owej statui pa-
ska zakonnego Benonów, takiej bowiem ozdoby wyraźnie „zakazuje
„konstytucya Urbana VIII, *Incep. Sacrosancta Tridentina*, i biskup
„powinien tak przybrany obraz natychmiast z kościoła wyrzucić“.

Protokół ten miał być wygotowany w czterech dniach, aby
rząd przez dalsze rozporządzenia „mógł uratować podkopaną po-
„wę konsystorza przez nieposłuszeństwo Benonów i stosownie
„podobnym występkom skutecznie zaradzić na przyszłość“.

W uniżonym raporcie konsystorz, uniewinniając w kilku
punktach OO. Benonów, przyznaje ich winę w tym względzie, że
statnę Matki Boskiej bolesnej bez zezwolenia konsystorza w swo-
jem kościele wystawili, „gdyż wedle Koncilium Trydenckiego ro-
„zumieją się także i takie obrazy i figury, do których lud zbyt-
„ma nabożeństwo, tak że lękać się potrzeba, aby nie przerodziło się
to w zabobon i nadużycie“. Dlatego przyrzeka konsystorz czuwać
nad tem najtroskliwiej, aby się to nie przydarzyło w kościele OO.
Benonów.

Cała ta farsa skończyła się poleceniem konsystorzowi, aby

spełnił jak najwierniej dane przyrzeczenie, i „nie dał się krzewić „zabobonowi wśród ludu, przez co ginie cel publicznej służby Bo-
„żej“.

Podobnych szykan na każdym niemal kroku doznawali OO. Redemptoryści ze strony rządu pruskiego, zwłaszcza w przyjmowaniu członków i odprawianiu misyj, jak świadczą o tem dekrety z 12 maja 1806 i 30 wrz. 1801. W pierwszym odmawia pozwolenia na złożenie ślubów, dwom egzaminowanym nowicyuszom, Stanisławowi Hausnerowi i Józefowi Goebłowi, gdyż jak się dekret wyraża, Zgromadzenie i bez tego dosyć jest liczne¹; w drugim takie warunki kładzie przy odprawianiu misyi, że nie pozostawało Ojcom, jak tylko zaniechać ich².

Ale dość tych dekretów pruskich. Przytoczone wystarczą, żeby się przekonać, czy mogli OO. Redemptoryści żywić jakieś sympatyje dla Prus, i że twierdzenia o „tajnych konszachtach„ i „porozumiewaniu z Niemcami“ — są tylko prostym wymysłem bez najmniejszej podstawy.

(C. d. n.)

Ks. Zdzisław Bartkiewicz.

¹ Bedrängnisse str. 22.

² Tamże 24—25.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Józef Ignacy Kraszewski, zarys historyczno-literacki, skreślił *Piotr Chmielowski*. Kraków. Nakład G. Gebethnera i Spółki. 1888, str. 534.

Świeżo tkwią jeszcze w pamięci: czy to wybryki, czy nie taktowne tylko uniesienia, czy może poniekąd nawet złośliwe napaści, jakich dopuszczano się w dziennikach, w ulicznych i knajpowych zbiegowiskach, przeciw osobom i pismom, co składając pełne czci wieńce na trumnie znakomitego, idealnie pracowitego pisarza, nie chciały w nim uznać moralnego reprezentanta Polski. Pamiętamy dobrze te bolesne chwile, kiedy w obec majestatu śmierci, wyprawiano orgije w znaczeniu moralnem, anonując *żałobnymi* plakatami pojawienie się numeru pisma *humorystycznego*, drukując rozwlekłe telegramy z Genewy o tem, co powinno było zostać *po za kotarą prywatnego życia*, a czego żaden tak zwany „konserwatywny“ dziennik przez szacunek dla nieboszczyka i samego siebie nie ogłaszał; drukując wstrętne, obrzydliwe nawet dla tak zwanych postępówców, pismo Z. Milkowskiego. Rozszalały się wichry w głowach i sercach i niosły z sobą wszelakie śmiecie na świeżą mogiłę. Ci, co chcieli pozować na wielbicieli zmarłego, plugawili i jego pamięć i poważną chwilę.

Biorąc w rękę książkę Chmielowskiego można było doznać pewnego lęku, czy nie będzie ona ukoronowaniem tego wszystkiego, czy to nie jakie pieczywo pozytywistyczne, przekładane konfiturą à la Milkowski, lub jaka ewangelia fetyszów. Zaledwie kilka mie-

sięcy upłynęło od chwil owych, toż autor nie mógł w tak krótkim czasie obmyć się z wpływów i wrażeń, jakich w kole swych sojuszników zapewne doznawał.

Z pewną obawą o ducha książki, a z niejaką niechęcią do znanej u pana Chmielowskiego oschłości w traktowaniu rzeczy, braliśmy w rękę tę najnowszą jego pracę. Jeżeli jaki zawód miłym nazwać można, jeżeli jaki zawód prawdziwą sprawia radość, to zawód, jaki nam pan Chmielowski uczynił.

Że książka napisana pracowicie, że bogata w szczegóły, że wyczerpuje źródła i materyały, to u pana Chmielowskiego nie zadziwia, do tego nas przyzwyczail, bo mrówczej skrzętności, wytrwałej pracowitości nie tylko nikt mu nie odmawiał, ale każdy uznawał je i oceniał. Ale w tem nowość, że krytyk taką tu okazał przedmiotowość, taki spokój olimpijski, że obiektywizm wyniósł do godności bohaterstwa, skoro i dotychczasowego autora w sobie pokonał i przedstawił Kraszewskiego takim, jakim był, jakim znaliśmy go, i za takiego uznawali, a nie takim, jak go obóz pana Chmielowskiego w fetyszyzmie swoim z glorią wszelkich geniuszów, z aureoli wszelkich męczenników w olbrzymi posąg wyrzeźbił, usiłując mu dać za pedestał nie literaturę, ale Polskę całą.

Książka Chmielowskiego, podzielona na dziesięć rozdziałów, zawiera z początku pracę, umieszczoną w dziele „Nasi powieściopisarze“ — poczem zupełnie jest nową, chociaż na studiach oddawna, a systematycznie czynionych, opartą. Młodość Kraszewskiego, zarodki charakteru człowieka i pisarza dopatrzone bystro, zbadane dokładnie, wykazane przekonywująco, a poparte i ilustrowane czy to korespondencją, czy pamiętnikiem Kraszewskiego. Geneza i objawy wrażliwości i drażliwości Kraszewskiego, jako człowieka i pisarza, stosunki jego z „Tygodnikiem Petersburskim“, z krytyką; chwiejność zasad i wyobrażeń, brak jasnego programu politycznego i społecznego w późniejszej działalności publicystycznej, zmienność w sądach o wypadkach i ludziach, wiele miłości własnej, która zadraśnięta sprawiała, że sam sobie się sprzeciwiał, wszystko to wykazane, wyjaśnione, uzasadnione z powagą krytyka, który kocha przesadę, z godnością pisarza, który pragnie oświecać opinię publiczną, a nie chce jej bałamucić.

Względy, zrozumiałe dla wszystkich, nie pozwoliły autorowi

ściśle i obszernie opracować stosunków Kraszewskiego z Wielopolskim i z ruchem 1863 r. Procesu lipskiego również nie wyjaśnił krytyk dowodząc, że w obec niedostatku materiałów wyjaśnić się go nie da w zupełności, ale przyznaje, że Kraszewski nie stanął wówczas na wysokości swego zadania, że zachowanie się jego w obec sądu nie odpowiadało doniosłości położenia, w jakim się znalazł.

Rozprawić się ze wszystkimi dziełami Kraszewskiego, ocenić je, dać o każdym bodaj krótki referat, rozpatrzeć się w tych setkach, ba! w tysiącach postaci, przez fenomenalnego powieściopisarza stworzonych, jest sprawą prawie nie możebną; to też nie mógł jej podjąć się autor i nie chciał kusić się o to, aby wyczerpującą, pomnikową o Kraszewskim utworzył monografię. Wykazał głównie wewnętrzny rozwój powieściopisarza, pochwycił przeważne znamiona jego twórczości i najważniejsze, typowe powieści z różnych okresów wewnętrznego rozwoju, pod różnymi wpływami zewnętrznymi pisarza, w grupach ułożył, i chociaż przeważnie raczej po reportersku je traktował, w całości dał bodaj w konturze estetyczną charakterystykę.

Duch książki jest taki, jakim być winien: sumienny, wyrosły z dobrej woli, z pracowitych studyów, pełen szacunku i dla znakomitego powieściopisarza, którego ocenia, i dla publiczności, której tę ocenę podaje.

Mimo tych zalet, książka Chmielowskiego nie jest doskonałością, nie jest pomnikową wcale. Czyni ona wrażenie dobrze zbudowanego, ale tymczasowego budynku. Wiele rzeczy nie dopowiedzianych, wiele zbytych pobieżnie, nawet pominiętych zupełnie. Czuć to i widać szczególniej w ostatnich jej rozdziałach; doznaje się nawet niezadowolenia do pewnego stopnia, że Chmielowski albo nie miał informacji, albo z nich w całej pełni korzystać nie pragnął. Stosunek Kraszewskiego do tak zwanych konserwatystów, podany w obrazie nietylko bez barw, ale nawet o niedostatecznym rysunku. W ostatnich rozdziałach czuć pośpiech, może znużenie; jest kronika, niema historyi. Wszędzie też Kraszewski człowiek, usuwa na plan drugi Kraszewskiego pisarza. Ów „wewnętrzny rozwój“, o który głównie chodziło krytykowi, jak w przedmowie przyznaje, wysłyszony wybornie, lecz w tem właśnie i niedostatek książki. Poznajemy co myślał, co czuł, czego pragnął, czemu ulegał Kra-

szewski, ale za mało o tem i co i jak robił, działał; jak wpływał na innych, jak i czem wpłynął na literaturę, na nowszą generację pisarzy. Czy stanął jak słońce, i wprawił w ruch koło siebie planety, czy kometa był dla literatury, czy słońcem, — tego wszystkiego dowiedzieć się trudno od krytyka, a nawet zgadywać z jego książki nie łatwo.

Nie nazwiemy tego niezręcznością autora, bo książkę swoją taką mieć pragnął, takie jej dał w przedmowie ułożenie, a przyznać trzeba, że to, co zapowiedział, spełnił. To też nie posądzając autora o niedbałość, wykazujemy niedostatki, jakie w książce o takim założeniu powstać musiały.

Ale są w niej tu i owdzie ustępy, bez których mogło się było obejść wybornie. W nich to za przelotną chwilę odzywa się nałóg krytyka, ustępuje ów bohaterski obiektywizm, a pan Chmielowski szczypie po dawnemu, bodaj piętą kościoła. Na str. 101 np. widzi zły wpływ na młodzież szkolną w tem, że „reguły wymagały spełniania obrządków religijnych“, na str. 115 przypuszcza, że Kraszewski w „Historyi o bladej dziewczynie“ umieścił żywioł religijny „pod wpływem zbliżenia się do ludzi o wybitnych poglądach katolickich, a nawet ultrakatolickich“. Nie rozumiemy tego. Wszakże Kraszewski był katolikiem, zatem katolicyzmu nie potrzebował szukać zewnątrz siebie. To uporeczywe u pana Chmielowskiego odmawianie katolicyzmu tym ludziom, którzy nie mają bądź chęci, bądź możliwości manifestowania go w robotach literackich, lub publicystycznych, jest niewłaściwem pozbawianiem piętna religijnego czy drugich, czy samego siebie?

A że Kraszewskiego poza katolicyzmem stawiać nie można, najlepiej dowodzą przez krytyka przytoczone (str. 177) słowa Kraszewskiego: „katolicyzm nie potrzebuje do siebie ciągnąć i krajać wszystkiego pod swoją miarę; on jest tak wysoki, że niema niczego, z czemby się porównania lękał, a jako absolutna prawda wszelką prawdę w świecie politycznym, socyalnym miał już, jako pierwiastki, w sobie“.

W innem miejscu (str. 195) powiada autor, że młodzi przeciwnicy „Tygodnika Petersburgskiego“ „religię chrześcijańską wysoko cenili“. Proszę! jacy grzeczni? Szkoda, że krytyk nam nie wyjaśnił, jaką religię wyznawali, gdy chrześcijańską cenili.

Na str. 292 zupełnie jednostronnie przedstawia krytyk audyencyę Kraszewskiego u Piusa IX. Zmartwychwstańcy tam schłostani, chociaż autor nie pozwolił im zabrać głosu ku obronie. Nie wydaje się wyroku na obwinionego, nie wysłuchawszy obrony.

Na str. 363 czytamy, że „katolicyzm ultramontański“ propagowano w W. Ks. Poznańskim i w Galicyi „pod ułudnym, ale pociągającym pozorem zachowania i obrony narodowości“. O ile wiemy, propaganda po takie pozory sięgać nie potrzebowała, bo o zachowanie i obronę narodowości troszczono się u nas bez propagandy, o której mowa, a propaganda, bez używania pozorów świeckich, płynęła z pobudek kościelnych; jaką zaś dźwignią narodowości jest Kościół pod rządami innej wiary, o tem pan Chmielewski lepiejby od nas wiedzieć powinien.

Na str. 409 mówi krytyk o genezie pozytywizmu warszawskiego. Gdyby ten pozytywizm był takim tylko i tem tylko, czem jest w książce autora, prosiłbym zaraz, by mnie tam na rekruta przyjęto, a kto wie, czyby który z członków redakcyi *Przeglądu* nie podał się tam na kapelana.

Na str. 463 czytamy znowu, gdy mowa o jubileuszu Kraszewskiego: „Stronnictwo tu rządzące, stańczykowskie, mające do jubilatą urazę od czasu „Rachunków“, usiłowało wprawdzie ile możliwości zdusić zapal objawiający się powszechnie, samo od wszelkich przygotowań usuwało się, i dopiero w ostatniej chwili, gdy cesarz Franciszek Józef uczcił Kraszewskiego orderem, przystąpiło do złożenia swego zimnego hołdu; — ale nie zdołało powstrzymać gorączkowego usposobienia, z jakim naród cały przez licznych przedstawicieli składał dowody czci dla niestrudzonego pracownika“. O ile wiemy, nietylko stronnictwo wymienione przez autora, ale i wielu, wielu innych, a największych czcicieli Kraszewskiego, pragnęło uczcić jak najświetniej znakomitego pisarza, ale sprzeciwiało się personifikowaniu w Kraszewskim majestatu narodowego. Przeszłość znakomitego autora nie dawała do takiej personifikacyi dostatecznej podstawy, a lękano się o przyszłość, czy Kraszewski udźwignie na barkach swoich reprezentacyę Polski, czy będąc hetmanem pisarzy, zdoła hetmanić narodowi całemu. Że ci, co się tego lękali, ci, co pragnęli uczcić pisarza najzasłużeńszego, a nie

przewodcę narodu, że ci zupełną mieli słuszość, dowodzi książka pana Chmielowskiego.

Na str. 506 cieszy się autor, że znalazł u Kraszewskiego subtelną ironię „zwłaszcza w przedstawieniu stosunków rządu księżego w Krakowie“. Co też Kraków zawinił autorowi, że powtarza ten frazes narodzony w knajpach lwowskich, a może i warszawskich? Można by tu na upartego wcale inne upatrywać pokątne rządy, ale księżyich nie dopatrzylismy się dotąd.

Że (str. 511) o „*pokątnej* opozycji ze strony klerykałów“ co do umieszczenia zwłok Kraszewskiego na Skalce pisze pan Chmielowski, to zapewne musi mieć o tem jakieś specjalne informacje, my tu atoli o tem nie wiemy. Jak jubileuszowi, tak i pogrzebowi starano się tu nadać właściwą miarę. Chciano pogrzebać *wielkiego pisarza*, wzór pracy i wytrwałości, ale nie reprezentanta Polski.

W stylu krytyka więcej tu życia i barwy, niż w poprzednich pracach, ale niech nam wolno będzie wystąpić w obronie języka przeciw takim wyrażeniom, jak: „zawarunkowany“, „przyszedł do posiadania własnej wioski“, „głośność“, „przyszedł do zdrowia“, „myślowo (215)“, „treściowy взгляд“, (244) „pod wpływem *listowania*“ (253), „przychodzi do przekonania“ (312) i t. d.

Nie szczędziliśmy słów i miejsca dla pana Chmielowskiego, bo mimo wytkniętych niedostatków, mimo przytoczonych dysonansów, w całości wzięta książka o Kraszewskim jest pracą i czytania, i uwagi, i pamięci godną; jest — jak powtarzamy — plodem obiektywizmu krytycznego, o ile tyczy Kraszewskiego. Widzieliśmy, że obiektywizm opuszczał przelotnie autora, ile razy wypadło mu dotknąć „katolików“, „klerykałów“ etc. — ale: cóż bez „ale“?

Czesław Pieniążek.

O autorach żywotu Piotra Kmity i opisu wojny kokoszej. Rozbiór krytyczny napisał *Dr. Józef Korzeniowski*. (Odbitka z VI. t. Pamiętnika wydz. filolog. i filozof.-hist. ak. Um. Kraków 1887).

Wśród potężnie rozwiniętych dzisiaj naszych badań historycznych, wiek XVI zarówno licznym zastępem pracowników, jako i doбором dzieł znakomych, przednie zajmuje miejsce. Tu też wymienićby należało przedewszystkiem prace i studia profesorów naszej *Almae Matris* ostatniego 20 lecia, całą epokę czasów Zygmuntońskich obejmujące, wskazać wiele innych, acz pomniejszych, nie mniej przecież ważnych i nie przemilczeć wreszcie dzieł historyków rosyjskich, z których *Przegląd* w swoim czasie dawał sprawę piórem Jasieńczyka

i Wołyniaka. Mimo to jednak nie można jeszcze powiedzieć, że już wszystko zrobione, gdyż wiele pozostaje do należytego i gruntownego zbadania tych kwestyj, które dziś niedość nam się przedstawiają. Takich zaś pytańników dziejowych dla szczupłej ilości źródeł współczesnych nie mało liczy wiek złoty, głównie pierwsza jego połowa, na którą przypadają początki t. zw. reformacyi. Atoli, dzięki umiejętnej krytyce historycznej, jedno z tych pytań, iście zagadkowych, zostało rozwiązaniem a rozwiązaniem, jak uważamy, szczęśliwie i świetnie. Mówimy tu o pracy pod powyższym przytoczonej tytułem.

Rozbiór krytyczny Dra Korzeniowskiego dzieli się, jak tytuł wskazuje, na dwie ściśle ze sobą związane części. W pierwszej (do str. 16) sporną do tychczas kwestyę autorstwa „Vita Petri Kmithae de Wisnicze, palatini Cracoviensis“ nie tylko posuwa naprzód, ale ją stanowczo rozstrzyga na rzecz Stanisława Górskiego; w drugiej (od str. 16—24) również krytycznie występuje przeciw hipotezie Dra W. Kętrzyńskiego, który, wbrew powszechnie przyjętemu mniemaniu, najprzód w rozprawie „O Stanisławie Górskim, kanoniku plockim i krakowskim i jego dziełach“ (Rocz. Tow. Przyj. nauk pozn. VI. str. 129 nst.), a następnie w przedmowie do wydania Concionum, to Orzechowskiego dziełko p. t. „Conciones in maximo totius Regni Poloniae conventu apud Leopolum de republica habitae A. D. MDXXXVII“ Górskiemu przypisał.

Jakże tedy dochodzi nasz autor do tych rezultatów, jak dowodzi? Zaznaczywszy na wstępie swej pracy znaczenie dziełka Vita Petri Kmithae, które jest prawie jedynym źródłem historycznym do dziejów polskich pierwszej połowy XVI. w., określa czas jego powstania na rok 1566 lub początek następnego, podaje treść jego, a z charakterystycznych cech żywota wnosi, że jego autorem być musi Stanisław Górski, kan. krak. i plock., sekretarz niegdyś Tomickiego, później Bony, — znany i zasłużony redaktor Tomicyanów. Wniosek ten „dla ścisłego, szczegółowego udowodnienia autorstwa“ popiera korespondencyą Górskiego z Hozyuszem i Dantyszkciem, stwierdza zaś i rozstrzyga dwoma współczesnymi rękopisami zbioru dzieł i korespondencyj Orzechowskiego, przez samego Górskiego dokonanego, z których jeden znajduje się w archiwum XX. Czartoryskich w Krakowie, drugi w Bibliotece hr. Branickich w Suchej. Zestawienie obydwóch tekstów najdowodniej wykazuje, że nikt inny „Żywota“ nie napisał, tylko Górski, który przy układaniu Vitae miał przed sobą kodeks „Orichowianów“, w Suchej dziś przechowany, jak to okazują noty Górskiego na marginesach rzeczzonego rękopisu i obficie, bo „pełną dłonią i bez skrupułu“ czerpał z niego. Wreszcie, dodaje nasz autor, okoliczność, że Górski pisał żywoty ludzi współczesnych, znakomitych (Krzyckiego, Maciejowskiego, Zebrzydowskiego) potwierdza jego autorstwo biografii ostatniego z Kmitów pana na Wiśniczu. —

Jeżeli G. jest autorem V. P. K., nie może być równocześnie autorem Concionum, bo G. i autor dyaryusza stoją na dwóch przeciwnych biegunach; między nimi leży przepaść — jak określił p. Bostel¹ — jaka musi dzielić go-

¹ Kwart. hist. zesz. pierwszy z 1887 r. str. 18., w studjum krytycznem: „Orzechowski czy Górski“, gdzie tę samą rzecz traktuje przeciw hipotezie Dra Kętrzyńskiego, lecz w obec braku szerszych źródeł dochodzi tylko do rezultatów negatywnych, że „autorstwu G. Vitae P. K. nic nie stoi na przeszkodzie (str. 10)

rażącego adherenta króla i rządu, od liberalnego demokraty szlacheckiego. Dr. Kętrzyński — jak zaznaczyliśmy — odmawia G. autorstwa Vitae, przypisując mu Conciones; przeciwnie Dr. Korzeniowski, który opierając się na poprzednio udowodnionym fakcie, że autorem „Żywota“ jest G., rozbiera ściśle dowody, jakich użył lwowski historyk na poparcie swego twierdzenia, i nowe podaje ze źródeł współczesnych, które nie dwuznacznie przechylają sprawę autorstwa na rzecz Orzechowskiego; bo jego „alibi“ w r. 1537, główny dowód Dra Kętrzyńskiego nie tylko udowodnionym nie jest, ale owszem akta konsystorskie w Przemyślu, które zbadał p. Korzeniowski stwierdzają, że był Orzechowski wtedy w kraju, a rękopisa Tomicyanów dowodzą, że osobisty brał udział w wojnie kokoszej pod Lwowem. W końcu podaje nasz autor jeszcze raz charakterystykę Górskiego i przytacza nadzwyczaj ważny w tej kwestyi rękopis z XVI i XVII w. z bibl. dzikowskiej, w dwóch miejscach stwierdzający prawdziwość jego twierdzeń.

Do zarzucenia rozprawie mamy niewiele. Przedewszystkiem powtórzyć wypada życzenie, już gdzieindziej wyrażone, że pożądanym byłby przejrzystszy układ w pierwszej części w znakomitej zresztą charakterystyce dzieła i autora Vitae P. K.; powtórze zda się nam autor niedokładnym na str. 16 pisać: „...sąd autora Concionum zgodny“... gdy tymczasem niżej na str. 19 i 20 odmiennie czytamy zdanie. Zbytecznie wreszcie dodawać, że gruntowna rozprawa niniejsza, dotychczasowe wątpliwości w pewnik naukowy stawiająca, cennym jest przyczynkiem do dziejów literatury politycznej XVI w.

X. I. F.

Nowocześni bohaterowie. Nowelle i opowiadania Juliana Łętowskiego.
Warszawa r. 1888, t. 1.

Pięć powiastek, a raczej obrazków w rodzaju modnych i tyle lubianych dzisiaj *Szkieł*, złożyło się na barwny ten tomik. Formą jednak raczej niż treścią przypominają one ten ulubiony dzisiaj rodzaj beletrystycznych utworów. Lekkie, zaledwie zarysowane, dałyby się porównać do tak zwanych gwasz w dziedzinie dzisiejszego malarstwa, których koloryt nęci z daleka, choć zgola nie mają pretensyi do głębszego artyzmu, ani wkraczają w dziedzinę utworów prawdziwej sztuki. Tak by jednym pociągiem pióra, dała się określić charakterystyka książki, którą mamy przed sobą. Za to jaskrawego realizmu, trzymającego jak w kleszczach tego rodzaju utwory dzisiejszego wieku, w obrazkach p. Łętowskiego dopatrzyć nie podobna. Atmosfera tu jasna, czysta oblewa nas dokoła. Czytając te kartki. nie bez pewnego nawet poczucia piękna skreślone, odczuwamy wrażenia, jakiego niezawodnie doznawać musi ów pieszy wędrowiec, który przedzierając się długo przez lasy, gąszcze i zarośla, wkracza wreszcie na otwartą polankę, pokrytą zielonością, do której zalatuje wprawdzie aromat leśnego kwiecia, ale pod stopami perli mu się rosa łąki, która ożywczo działa na strudzone jego płuca i od znużenia chorobliwego chroni.

i że „St. G. autorem Concionum nie jest (str. 23)“, gdy tymczasem autor rozbiór krytyczny podaje niezbite dowody i realne wyniki. Dla objaśnienia dodać należy, że praca p. Korzeniowskiego, chociaż wcześniej napisana, później ogłoszoną została.

Bohaterowie w obrazkach p. Łętowskiego — to nie lud nasz wiejski, nie kmić polski, nie wykształcenie nasze społeczeństwa warstwy, ale najniższe właśnie sfery rzemieślnicze w kraju: szewcy, murarze, cieśle i t. p. Wśród nich właśnie obraca się autor i czytelnika za sobą uprowadza. Czem zaś u nas ta klasa społeczna dotąd, wie każdy. Że ją właśnie za wzory do swych typów autorowi obrać się podobało, właściwie za złe poczytać mu tego nie mamy prawa. Zaletą zaś tych studyów autora jest ich prawda, nie okraszona, nie ubarwiona tak wszechwładnym dziś realizmem, naga, (w niektórych ustępach może zanadto), zawsze jednak o głębokiej analizie psychicznej autora świadcząca. Żył się on z tą sferą, poznał jej odcienia i tajniki, maluje barwnie, bez kastowych uprzedzeń, bez zawiści, z zacięciem niemal Hogartowskiem — jak wytrawny artysta. Przyswoił on sobie i język tych tłumów, nie przesadza, nie karykaturuje nigdy. Z subtelnością prawdziwego artysty maluje on tych Maćków, Grześków, Marcinków, którzy jak w szkle kalejdeskopowem przesuują się przed nami, których znał, widywał z nas każdy...

Radzibyśmy być bezstronni, nie wahamy się przeto podjąć i ujemną stronę literackiego utworu p. Łętowskiego. Dotkliwie często czuć się u niego dają usterki w konstrukcyi, że się tak wyrazimy, w architektonice literackiej, czego już na wstępie widzimy dowody w pierwszej jego nowelce p. t. „Ciężkie czasy“. Głównym i jedynym bohaterem jest tu starzec siedmdziesięcioletni, złożony niemocą, przykutym paralizem do krzesła. Odeszli go śludzy, wiatr zawiewa od okna, przy którym go posadzono. Żali się nieborak, nie mogąc zaradzić temu położeniu, a dla zabicia czasu w głos prowadzi monolog, rozpamiętuje swą przeszłość, z której tworzy się cała nowella, kilkadziesiąt jednak stronic druku obejmująca. Opowiadanie barwne, słuchamy go z zajęciem, ale mimowolnie nasuwa nam się myśl, czy też prawdopodobna, aby ten starzec niemocą złożony, któremu cztery jego ściany służą tu za audytorium, bez szwanku dla sił gasnących mógł podobną wymyśleć sobie zabawę, czyby jej zresztą podolał, i jak natrętnego owada wciąż odpędzamy od siebie myśl grożącego mu nowego od uznienia niebezpieczeństwa, zapalenia płuc bodajby.

Najpiękniejszy, najświeższy zapewne tego zbioru obrazek to *Imieniny Marcinka*. Ubogi, kilkonastoletni wyrostek, terminator u szewca doczekał się dnia swojego święta. Marcinek to dziecię warszawskiego bruku, łobuz w całym znaczeniu tego wyrazu, pieści go tylko stara sługa szewca, ona jedna o dniu imienin pamięta, wyprasza, osłania od popędliwości majstra i majstrowej. Nikt go wwiązaniem nie powitał, a dzień ten uroczysty w jego życiu, schodzi mu na ulicy, na zleceniach i posyłkach chlebodawcy, jedynym towarzyszem jego jest pies majstra, który się doń przywiązał, podziela z nim złą i dobrą dolę w dniu tym. Wiele życia w tym obrazku, mnóstwo typów ulicznych przewija się tu przed oczami czytającego, schwyconych z prawdą, pocutych pocziwie. Ulica zwłaszcza Syreniego grodu, doczekała się tą razą mistrzowskiego odbicia.

Zbyt może jaskrawy, na realizm zakrawający jest trzeci obrazek *Bieda*, w którym autor każe nam być świadkami urodzin dziecka w chacie ubożego wyrobnika. Opis to może zbyt subtelny — szczegóły nadto może jaskrawe. Po przeczytaniu tej nowelki nie pozostawałoby może jak otworzyć kurs publiczny o położnictwie — a na ciężkie czasy wyszak i to przydatne by być mogło.

Najwięcej może pisarskiego talentu, najwięcej daru obserwacyjnego

rozwinął autor w ostatniej tego zbiorku nowelli: *Josek Gesundheit i spółka*. Obrazek ten poświęcony malunkowi ludu wybranego, którego byt, dola i charakterystyka, zaprzątęła już w ostatnich czasach tyłu koryfeuszów pióra, a zajmować nie przestanie zapewne i w najbliższej przyszłości. Typy jednak p. Lętowskiego, pomimo dosadnej charakterystyki, wzięte z życia gorąco, wolne są jednak zupełnie od tak zwanej judofobii, a nacechowane prawdą. Josków takich spotykamy wszędzie, przedzierających się przebojem przez ciernie i głogi najędzniejszego żywota, aby zająć następnie poważne miejsca na ławach gield, zarówno jak i banków krajowych.

Oto mniej więcej treść i zawartość książki p. Lętowskiego. Rozrywka większą w niej pono grała rolę, niż tendencya lub pochop do umoralnienia. Sfery, w które nas wprowadza autor, nie każdemu sympatyczne być potrafią — od tych które nam maluje czuć woń barlogów i poddaszy — nadobna czytelniczka nie dotrze wśród nich do atmosfery buduarów, przesiąkniętych jaśminem i rezedą. C'est donc à prendre ou à laisser.

Tadeusz Jerzy Stecki.

Podręcznik austriackiego prawa wekslowego. Napisał *Dr. Józef Retinger*. Kraków 1888. Nakładem Żupańskiego i Heumanna.

Ubogiej jeszcze stosunkowo naszej literaturze prawniczej przybyło dziełko, które ogół prawników powita niewątpliwie z wielką radością. W szeregu praktycznych podręczników obejmujących wykład poszczególnych gałęzi prawa brakowało dotąd przystępnej książki, któraby objęła systematyczny wykład prawa wekslowego. Wydany przed kilkunastu laty tekst ustawy wekslowej w przekładzie Dra Retingera oddawna został wyczerpany, a innego nie było, stąd też brak w tym kierunku dotkliwie uczuć się dawał w kołach prawniczych. Obecne wydanie ustawy wekslowej obejmuje obok wyborowego przekładu tekstu samej ustawy wekslowej i procesu wekslowego, również obfitą judykaturę najwyższego trybunału, która w praktycznem zastosowaniu stanowi najwłaściwszy jej komentarz. Na podstawie tych orzeczeń zaopatrzył autor tekst ustawy objaśnieniami uprzedniającymi nawet mniej obeznanym; dokładne zrozumienie ustawy niezbędne dzisiaj nie tylko dla prawników, ale i osób prywatnych, jak np. kupców lub urzędników finansowych instytucji. Nie wątpimy też, że sumiennie i z godną uznania skrzętnością i naukową ścisłością opracowana książka Dra Retingera, znajdzie rychło jak najszerze rozpowszechnienie w kołach sądowych i prawniczych. Ozdobna i gustowna forma zewnętrzna tego wydawnictwa wyróżnia je również bardzo korzystnie w rzędzie dotychczasowych naszych prawniczych publikacji.

P.



Die Gründung einer grossen christlich-socialen Allianz von Herren und Damen aller Stände. Ein Beitrag zur Lösung der socialen Frage. Pustet w Regensburgu 1888, str. 16.

Jest to nowy pomysł dążący do rozwiązania kwestyi socyalnej według zasad chrześcijańskich. Pojawianie się takich pomysłów nikogo dziś nie dziwi. Wszak kwestya socyalna stoi obecnie na porządku dziennym i góruje ponad wszelkimi innemi sprawami. Tysiące pism peryodycznych omawia ją, tysiące dzieł więcej lub mniej uczonych usiłuje ją rozwiązać. O niej myśli robotnik fabryczny i mały przemysłowiec; nią się zajmują parlamenta, usiłując ją drogą prawodawstwa spokojnie rozwiązać i na właściwe sprowadzić tory; że wspomnę o nowych ustawach uchwalonych w berlińskiej i wiedeńskiej radzie państwa, a to: o zabezpieczeniu robotników na wypadek kalectwa i o zabezpieczeniu tychże na wypadek choroby. Ona zajmuje żywo umysły biskupów, między którymi głośni są: kardynał i prymas Anglii, Manning, kardynał Gibbon, biskup Ketteler, biskup Stumpf z Strasburga, którego *Moniteur de Rome* wraz z innymi niemieckimi i austryackimi biskupami chwali za to, że w swych diecezalnych seminariach zaprowadzili naukę socyalnej umiejętności.

Ona znalazła wielkiego patrona w osobie miłościwie panującego Ojca św. Leona XIII., który od wstąpienia na tron w roku 1878, dnia 20 lutego, szczególną na nią zwraca uwagę, jak tego dowodzą encykliki: *Inscrutabili Dei consilio*, z dnia 21 kwietnia 1878 r., w której wykazuje przyczynę złego leżącą w tem, iż wzniosła powaga Kościoła została obecnie wzgardzoną i usuniętą, a podaje środki mogące uzdrowić zranione i schorzałe społeczeństwo; *Quod Apostolici muneris*, z dnia 28 grudnia 1878 r., którą potępia niebezpieczne sekty socyalistów, nihilistów i komunistów, i wzywa do zawiązywania stowarzyszeń rękodzielników, któreby pod opieką religii wszystkich członków jednoczyły i ze swego stanu zadowolnionymi czyniły¹; *Diuturnum illud deterrimumque bellum*,

¹ „Opportunum videtur artificum atque opificum societates fovere, quae

z dnia 29 czerwca 1881 r., w której wyrażona jest zasada, iż najwyższą powagą w sprawach duchownych jest Kościół, iż władzy prawowitej świeckiej pod żadnym pozorem nie wolno się sprzeciwiać, i dana nauka panującym i podwładnym, jak mają swe obowiązki wykonywać, by straszne znaki zbliżającego się rozstroju całego społeczeństwa usunąć; *Humanum genus*, z dnia 20 kwietnia 1884 r. wymierzona przeciw wolnomularzom; i *Immortale Dei* opus z dnia 1 listopada 1885 r., która skreśla cały system katolicki o polityce socyalnej i oznacza ściśle stosunek obydwu powag, tj. duchownej i świeckiej. A nawet i liberalna prasa, która w czasie kulturkampfu szydziła jeszcze „z tak zwanej socyalnej kwestyi“, w ostatnich latach wywiesiła sztandar w celu rozwiązania tejże kwestyi na gruncie liberalnym¹.

Jednem słowem, wszystko się uwija, by tę sprawę groźną, a w straszne skutki brzemienną, rozwiązać według swej modły, i wszystko zwraca uwagę na robotnika fabrycznego i rękodzielnika; jedni by ich uszczęśliwić, inni by w mętnej wodzie dla siebie ryby łowić.

U nas w Polsce, dzięki głębokiej wierze, jaką żywią w sercach swych chłopek i rękodzielnik, nie masz jeszcze kwestyi socyalnej. Wprawdzie dają się już słyszeć tu i owdzie głosy niezadowolnienia i chęćka burzenia, ale są to symptomata sporadyczne, i wpływu na społeczeństwo nasze nie wywierają.

Mimo to należy się to ważne teraźniejszości pytanie dobrze zrozumieć, aby nieszczęście nieprzygotowanych nie zaszło; wypada więcej uwagi zwracać na to, co się w około nas dzieje, i teraz już stawiać tamy i zapory, by straszna lawa, jaką wszyscy myślący przewidują, i nas nie zalała i nie zdławiła.

A nie są to czeze groźby i postrachy. Do starcia między

sub religionis tutela constitutae omnes socios sua sorte contentos operumque patientes efficiant, et ad quietam ac tranquillam vitam agendam inducant“.

¹ *Historisch-politische Blätter*, w 5` zeszyście z r. 1888, w num. 101-5 na str. 340: „Noch in der Mitte der kulturkampfbewegten siebenziger Jahre ging die liberale Presse mit souveränem Spott über die „sogenannte sociale Frage“ hinweg, deren Existenz rundweg bestritten wurde; — und erst im laufenden Jahrcent vollzog sich allmählig der Umschwung und zwar mit beschleunigter Schnelligkeit, so dass nun auch auf den „liberalen“ Parteiprogrammen das Sociale den ersten Rang einnimmt“.

dwoma stanami, tj. między proletaryatem a kapitalistami przyjdzie, jeżeli w inny sposób złemu się nie zaradzi¹.

I któż ma temu zaradzić?

Zagadnienie socyalne jest w istocie swej zagadnieniem obyczajowym, a jako takie może być jedynie przez Kościół katolicki rozwiązaniem. Atoli ono jest również i zagadnieniem prawniczym, a jako takie należy do zakresu państwa. O ile zaś jest zagadnieniem o miłości bliźniego, o tyle dotyka panów i fabrykantów; zaś jako zagadnienie własnej pomocy odnosi się do robotników i przemysłowców. Wreszcie o ile zawisło tegoż rozwiązanie od wychowania, należy ono do szkoły i rodziny.

Te oto wszystkie czynniki muszą iść ręką w rękę, jeżeli ta straszna kwestya socyalna ma być na drodze pokojowej rozwiązana. Niektórzy domagają się zupełnego jej rozwiązania od Kościoła katolickiego. Wprawdzie Kościół jest fundamentem i królem społeczeństwa; ale mimo to dalszą budowę i utrzymanie porządku społecznego może tylko państwo prowadzić. Kościół przygotowuje serca; reszty ma dokonać państwo i społeczeństwo. Gdyby większą swobodę dały państwa Kościołowi, dokonałby natenczas tego dzieła tak samo, jak dokonał go po przyjsciu Chrystusa Pana na świat.

I dlatego to chrześcijańscy socjaliści stawiają programy, mające na drodze pokojowej według zasad Kościoła katolickiego kwestyę socyalną rozwiązać.

Takie jest też założenie broszury wydanej w Ratisbonie. Autorowi tejże nie chodzi o to, ażeby zachęcić czytających do

¹ Dr. Rudolf Meyer w znakomitem swem dziele: „Der Emancipationskampf des vierten Standes“, Berlin 1882, w tomie I. str. 3 tak się wyraża: „Ich kann unsere heutige Zeit nicht für krank halten, sondern ich halte sie für die Periode eines beginnenden Kampfes zweier Gesellschaftsklassen gegen einander. Dieser Kampf aber ist unvermeidlicher, durch die Entwicklung der menschlichen Gesellschaft nach einer bestimmten Richtung hin erzeugt und zu ihrer weiteren Entwicklung nach einem bestimmten Culturziele hin, also Gott gewollten Ziele, nothwendiger“. Toż samo stwierdza organ katolików niemieckich: „Christlich-socialen Blätter“ w num. 12 z dnia 15 czerwca 1872 r.; i ks. Hitze w dziele „Kapital und Arbeit“, Paderborn 1880, gdy na str. VII. tak się wyraża: „Die Wogen der socialen Bewegung gehen hoch. Auch ein Machtwort „Socialistengesetz“ wird sie nicht beschwören“; że nie wspomnę rewolucyjnego „Vorbot“ z r. 1870.

natychmiastowego zawiązania wielkiego chrześcijańskiego aliansu w pewnym kraju i pod pewnym zarządem, ale raczej o to, ażeby tę myśl, którą sam głęboko odczuł, szerokie koła ludzi myślących rozważały, badały, oceniały, a później dopiero w życie wprowadziły. Boć sam na str. 14 mówi: „Dałby Bóg, ażeby z czasem zawiązał się powszechny międzynarodowy alians do przeprowadzenia chrześcijańsko socjalnych usiłowań, a tem samem i do rozwiązania socjalnej kwestyi“.

Autor podaje trzy środki, mające złagodzić i uleczyć zło społeczne, a to:

1. Zjednoczenie wszystkich chrześcijańskich towarzystw i zakładów dobroczynnych już istniejących.

2. Systematyczne powoływanie do życia takichże towarzystw i zakładów.

3. Systematyczne, według planu z góry ściśle określonego, działanie panów i pań wszelkich stanów poza stowarzyszeniami.

W odezwie do tego olbrzymiego dzieła tak woła autor: „Wielkiego celu nie można osiągnąć małymi środkami, przy rozbiciu w atomy wszelkich sił. Wielkie zagadnienia domagają się wielkich odpowiedzi; głęboko wkorzenione zło silnem tylko lekarstwem może być uleczone; grożące niebezpieczeństwo całemu porządkowi społecznemu może być tylko zjednoczonymi siłami odparte. Obecnie stoi przed nami pytanie takiej doniosłości, i ono ma niebezpieczeństwo grożące usunąć. A tem niebezpieczeństwem jest owo wielkie zagadnienie społeczne z głównymi swemi częściami, tj. kwestya robotników przy wielkich fabrykach, kwestya drobnego przemysłu i kwestya agraryjna. Zagadnienie to stoi przed oczyma naszymi z całą swą grozą i straszną wielkością; ono wstrząsa dusze nasze, skoro slyszymy te straszne słowa: pauperyzm, proletaryat, deorganizacya, zatomizowanie stanów, rozluźnienie klas robotniczych, rozbrat kapitału z pracą, wyzyskiwanie słabych i ubogich przez bogaczy i możnych, ogólna, moralna i materyalna nędza, walka o byt milionów, wzrost socjalnej demokracji, komunizm, anarchizm, nihilizm i t. p. Ileż to boleści tak strasznych a tak niezliczonych, ileż nędzy i zguby tak doczesnej, jak i wiecznej, ileż niebezpieczeństw grożących społeczeństwu mieści w sobie każdy wyżej przytoczony wyraz. Ale za-

razem każdy ów wyraz mieści w sobie i napomnienie skierowane do nas wszystkich. Wielu nie potrzebuje tego napomnienia“.

Podnosi dalej autor usiłowania zacnych ludzi, dążące do ulżenia nędzy społecznej, już to przez powoływanie do życia towarzystw robotniczych i rękodzielniczych i zakładów dobroczynnych, już to przez udzielanie zapomóg i jałmużny, już to przez materyalne i moralne wsparcie. Ale czuje, że wszystko to odbywa się na własną rękę, bez ściśle wytkniętego celu, bez jednolitego kierunku, i dla tego woła: „Któż udzieli tym bohaterskim sercom nowej zachęty i pomocy, nowych żołnierzy, nowych związkowych? Kto złączy owe bardzo często rozproszone siły? Wielu przypatruje się bezmyślnie temu ciągle rosnącemu złemu; a przecież zjednoczonymi siłami bardzo wiele możnaby dokonać. Inni potrzebują zaś tylko zachęty i pouczenia, aby się wprzęgli do wspólnej pracy. Te spostrzeżenia powinny nas pobudzić do zawiązania wielkiego, chrześcijańsko-socyalnego aliansu“.

Odezwa ta kończy się owem napomnieniem: „Zaiste, czas już wielki energicznie i stanowczo wziąć się do dzieła i zjednoczonymi siłami na wszystko się pokusić, co tylko może ratować tysiące i miliony, ba, nawet całe społeczeństwo. Na bok tedy wszelka lękliwość, małoduszność, połowiczność i lenistwo! Godzi się usunąć wszystkie niezgody i nieporozumienia, wszystkie narodowe waśnie, wszelkie partyjne namiętności. Wypada wznieść się ponad osobiste zapatrywania w sprawach drugorzędnych. Godzi się szlachetnem a ofiarnem usiłowaniem i wielkiem sercem poświęcić się za prawdziwą socyalną pomyślność i pracować bez wytechnienia, by miliony ratować. Jednostka mało tu zdziała, wielkiego dzieła tylko taki socyalny alians może dokonać“.

Program tego wielkiego aliansu zawiera pięć punktów, które omawiają nazwę „Alians“, objaśniają cel jego i podają środki; mówią dalej o członkach, o kierownictwie i o ukonstytuowaniu się tego aliansu.

Alians ów nie ma być ściśle jakimś określonym stowarzyszeniem, ale ma obejmować wszystkie towarzystwa. Zadaniem zaś jego jest, według zasad chrześcijańskiej sprawiedliwości i miłości porządek w społeczeństwie utrzymać, które to zadanie mają wspólnie panowie i panie wykonać. Odwołuje się zaś dlatego i do

pań, albowiem chrześcijańskie niewiasty mają wybitne i uszczęśliwiające powołanie w dziedzinie społecznej.

Celem tego aliansu jest uleczenie i złagodzenie wszelakiej socyalnej nędzy; ale nie we wszystkich stanach, tylko między robotnikami przy wielkich fabrykach, przemysłowcami małymi, rękodzielnikami i rolnikami.

Środki mające doprowadzić do tego celu są:

1. Szerzyć zdrowe pojęcia i dokładne poznanie zła społecznego; jakoteż zasady, które są w stanie uleczyć i złagodzić to złe, i podawać środki zaradcze. Autor dlatego to stawia na pierwszym miejscu, boć wiadomo, że pomiędzy ludem i robotnikami źli ludzie szerzą fałszywe pojęcia o kwestyi socyalnej.

2. Zachęcać wszechstronnie wszystkie stany społeczne do zbawiennej działalności w dziedzinie społecznej. Z tego widać, jak głęboką posiada autor znajomość ludzi. Ilużto bowiem ludzi szlachetnego serca chętnie by pomocną rękę podało, by ulżyć nędzy ogólnej. A nie czynią tego, bo niema ktoby ich do tego zachęcił. Otóż owe tysiące zacnych dusz należy obudzić z uśpienia i do wspólnej zaprzęgnąć pracy.

3. Popierać moralnie i materyalnie istniejące już zakłady dobroczynne i stowarzyszenia.

4. Zakładać nowe stowarzyszenia humanitarne i produkcyjne tam, gdzie one jeszcze nie istnieją, i to w tym celu, by moralnie i materyalnie podnieść pracujące stany.

5. Popierać wszechstronnie już to słowem i piórem reformy socyalne, jużto wpływem na parlamenta; atoli z powstrzymaniem się od wszelkiej agitacyi politycznych.

6. Gorliwie popierać wszystko to, co do zbawiennej organizacji stanu rolniczego, rękodzielniczego i włościańskiego dopomaga, i co poczucie sprawiedliwości i miłości ustalić może. Chrześcijańsko-socyalny alians powinien mieć to przekonanie, że dobroczynne datki, stowarzyszenia humanitarne i zakłady dobroczynne tysiąca ludzi nędzę ulżyć, i tysiące niezliczone w czasie i dla wieczności uratować mogą; ale zarazem i to mieć przeświadczenie, że stała a trwała pomoc i zupełne uleczenie choroby socyalnej nie może się obejść bez zmiany systemu gospodarstwa państwowego i to tylko za współudziałem Kościoła, państwa i wszystkich stanów

i że w ten tylko sposób, nie tylko sama choroba, ale i korzenie tejże mogą być wykarczowane.

Członkami tegoż aliansu mogą być ludzie wszystkich stanów. „Szczególniej atoli, są to słowa autora, pożądanem jest, aby katolicki kler, szlachta i wszyscy majątni i możni, dalej wykształceni wszystkich stanów, urzędnicy, adwokaci, lekarze, nauczyciele, dziennikarze i t. d., a za pozwoleniem władzy i wojskowi należeli do tego aliansu“.

Członkami honorowymi mogą być wysoko położone osobistości i ci, którzy sute dary na ten cel złożyli.

Zwyczajni członkowie dzielą się na cztery klasy: 1 klasę tworzą ci, którzy regularnymi datkami alians wspierają.

Do 2 klasy należą czynni członkowie, którzy już to w stowarzyszeniach, już po za temi dla wspólnego celu pracują.

Trzecią klasę tworzą literaci, a czwartą duchowni, którzy moralnym i religijnym wpływem współdziałają w usunięciu złego.

Rozdział 4 broszury omawia kierownictwo tegoż aliansu, piąty zaś ukonstytuowanie się tegoż.

* * *

Skoro w Filadelfii zawiązane przed 17 laty towarzystwo „rycerzy pracy“ zwane „Knights of labour“ mieści w sobie dzisiaj dwa tysiące pomniejszych towarzystw, a przeszło dwa miliony członków i to z samej północnej Ameryki; czyż w Europie taki alians nie miałby się udać. Zaiste potrzeba tylko dobrej woli. A gdy się to stanie, kwestya socyalna zostanie szczęśliwie rozwiązana, a społeczeństwo od groźnych przewrotów zwolnione. Kościół bowiem i religia Chrystusowa dokona wtedy z łatwością reszty, bo wszyscy ludzie będą się trzymali prawideł wiary i obyczajów katolickich, które jedynie uszczęśliwiają.

I zaiste, gdyby wpływ Kościoła nie był paraliżowany, do takiego rozbratu w społeczeństwie nie byłoby doszło. Wszakże religia katolicka powagą Bożą zaleca władcom państwa, ażeby wykonywali sprawiedliwość, i surowy sąd zapowiada tym, którzy jej nie przestrzegają przeciwko nakazowi Króla królów. Religia przekleństwo rzuca na złych małżonków, surowy wyrok ogłasza przeciw

rodzicom, nie dbającym o religijne wychowanie dzieci. Ona wysoko ceni bohaterskie poświęcanie się jednostek, urzędy i dostojęstwa przyodziwa czcią i powagą, zagrażając tymże zarazem ścisłą odpowiedzialnością, jeżeli niepamiętni na wierność, sprawiedliwość i ogólne kraju dobro, siebie tylko mają na celu. Religia zaleca bogaczom uczynki miłosierdzia; ona jedna woła: „Lecz wielkim jest zysk: pobożność z przestawaniem na swem. Albowiem nie przynieśliśmy nic na ten świat, bez wątpienia że też nic wynieść nie możemy. Ale mając żywność i czem się odziać, na tem przestawajmy. Bo którzy chcą bogatymi być, wpadają w pokuszenie i sidła djabelskie i w wiele pożądliwości niepożytecznych i szkodliwych, które pogrążają ludzi na zatracenie i zginienie“. (I. Tym. VI, 6). Religia poleca leniwym pracę, skąpcom szczodroblivość, bogaczom hojność, a ubogim przestawanie na małym.

Jedynie religia Chrystusowa za pośrednictwem Kościoła zdoła zupełnie uleczyć zło społeczne i rozwiązać kwestyę socyalną; oby tylko ludzkość dała chętny posłuch jej rozkazom, i czynem je urzeczywistnić chciała!

Ks. A. Kopyciński.



Z pism czasowych.

Z Gazety Narodowej o teatrze.

„Teatr ma być naszą narodową szkołą; zakładem wychowawczym dla młodych i starych pokoleń, ma podtrzymywać, wzmacniać, kształcić polskiego ducha“ — w ten sposób i daleko jeszcze szumniejszymi wyrazami określone zadanie teatru spotykamy ledwie nie każdego tygodnia nawet w bardzo poważnych naszych pismach. Stosownie do tego określenia pisma te, wysokością zadania teatru przejęte, poświęcają mu długie szpalty (nie znajdując w ten sposób miejsca na inne, gdzieindziej za ważniejsze uznane sprawy); każda nowa sztuka jest ewenementem; gra każdego artysty, czy artystki, powinszowania, które od kolegów czy znajomych odbierają; najdrobniejsze sprawy codziennego ich życia, uczestnicząc w przywilejach

członków rodzin panujących, stają się przedmiotem, jeśli już nie artykułów, to przynajmniej kronikarskich wzmianek, z dworską akuracnością wydawanych biuletynów. Stosownie również do tego określenia, sprawa teatru uznana jest za sprawę narodową, którą groszem swym ma popierać nie tylko ten, co z teatru korzysta, ale sejm i cały kraj, a więc nawet i przeważnie ci, co z „nędzą naszą“ i głodem walczą — a nawet miasto, którego nie stać na opatrzenie niezbędnych potrzeb zdrowotnych, jak zdrowej wody i kanalizacji, łożyć musi krocie tysięcy już nie dla założenia teatru, ale dla wystawienia nowego, wytworniejszego teatru, abyśmy w tym przynajmniej względzie innym miastom europejskim sprostali. Moralne cele stoją przecież wyżej od materyalnych; i dla postawienia „świątyni sztuki i szkoły moralności“, czyż nie warto pić zgnilą wodę i dodawać centy do centów podatkowych?

Jedno tylko zachodzi pytanie, czy teatr dzisiejszy, teatr — jaki mamy w Krakowie i we Lwowie — jest w rzeczy samej „świątynią sztuki i szkołą moralności“? czy spełnia tak wysokie zadanie moralne i cywilizacyjne, żeby się godziło mieć dla niego ten kult i czynić dla niego takie ofiary? — O francuskim teatrze wręcz przeciwnie mają zdanie, już nie tylko moralizatorowie, ale nawet literaci. Głośny powieściopisarz w ostatniej swej nowelli szydzi z rozumu tej burżuazji, która ma osobny kodeks moralny dla teatrów: „Panienka, zwłaszcza jeśli ma wkrótce wyjść za mąż, może się „przyglądać w świetle kinkietów wiarołomstwu i jego skutkom; gdy „jednocześnie najelementarniejsza moralność nakazuje ostro czuwać, „aby nie zbrudziła sobie umysłu książkami, z których mogłaby się „dorożumieć tego, co jej w teatrze w pełnem oświeceniu pokazuje“.

Otóż, czy nasz teatr różni się tak radykalnie od francuskiego (i niemal wszystkich innych), że podczas gdy te są szkołą zepsucia, nasz jest „szkołą moralności i świątynią sztuki“, godną wszelkiej czci i wszelkich ofiar? Na pytanie to bezwątpienia ważne, odpowiada sprawozdanie umieszczone w *Gazecie Narodowej* z 6 Maja b. r., a podpisane przez znanego feletonistę *St.* Powtarzamy ją tu dosłownie, bo to sprawa ważna i wszystkich interesująca; bo choćbyśmy nawet byli największymi zwolennikami „świątyni sztuki“ samych w sobie, to jeszcze czuwać by należało, aby te świątynie w innego rodzaju domy się nie zmieniały; bo wreszcie, jak wszy-

scy mamy płacić na teatr, to też mamy wszyscy się domagać, aby te pieniądze na korzyść, a nie na szkodę kraju się obracały.

Oto ów artykuł, napisany widocznie w chwili zanego, łatwo zrozumiałego, moralnego oburzenia, które i autorowi i *Gazecie* honor przynosi:

Pewna miara zepsucia wsiąkła już tak dalece w nasze stosunki towarzyskie, że mało kto gorszy się swobodnym językiem na scenie i obrabianym na różne tony tematem wiarołomstwa. Gdyby tak jakiego Katona wprowadzić do teatru, to właściwie codziennie słyszelibyśmy lament na zepsucie. Lecz nasze formy demokratyczne, nasze życie publiczne, zamieniają nawet miłość w rzecz publiczną, i mają na to sofizmat, że lepsze zgorszenie jawne, niż w ukryciu. Wygodny sofizmat — lecz wolimy, aby go zdala trzymano od naszych żon i córek...

To wygląda na kazanie. Nieprawdaz? Popisywać się dziś z pruderyą — *fi, mauvais genre! Tout est pur pour les coeurs purs* — jak mówi Michelet. Tak jest... dopóki te czyste serca nie zostaną nareszcie ciąglem powtarzaniem brudów zmięte, zbrukane, rozdeptane. A jeśli społeczeństwo samo dość jest cierpliwe, a raczej, dość bierne, że protestu przeciw temu nie podnosi — to jest rzeczą znawców sztuki, kierowników sceny, opiekunów widowisk publicznych, ażeby trzymali się twardo pewnej granicy, na której ustępowanie słabostkom wieku nie bije po prostu w twarz najkardynalniejszych pojęć etyki. Wenus medycejskiej można przebaczyć jej nagość, bo jest ideałem piękna. „Damie kameliowej“ czy „Hrabinie Sarze“ można przebaczyć ich wiarołomstwo, bo są głęboką wiwisekcyą duszy — chcą nawet, by lekkim tematami operetek przebaczać, bo je zbawia piękność muzyki — lecz gdzież jest kres tej pochyłości? Czyż mamy i tam być cierpliwi, gdzie bezgraniczne wyuzdanie rywalizuje z bezdenną głupotą, z trywialnością cyrkowych clownów, z cynizmem ulicznych *yoyus*, ze smakiem rozkiełznanych odalisk kawiarnianych? Jest to potworne, co nam w tej chwili na myśl przychodzi, ale mimo woli wyrwa się z ust pytanie: A gdzież jest cenzura obyczajowa? Gdzież ów drażliwy stróż publicznej moralności, dla którego np. „Szumi Marica“ Urbańskiego była obyczajowo podejrzaną? Jeśli kapłani Melpomeny zbyt łaskawie holdują wyuzdanym kaprysom tej muzy — czyż nie jego to rzecz, aby nareszcie wyrzekł swe „veto“ przy wyciąganiu na sceny takich nieskończenie płaskich i gorszących utworów, jak wczorajszy „Decoré“ Meilhaca? Ściągamy na siebie całą burzę gromów za ten okrzyk: *Policei!* — lecz choćby tam *Bouffes parisiens* czy nawet „Variété“ trzęsły się od oklasków — my zawsze powtórzymy, że milszy nam zakaz cenzora, niż podobne cyniczne niedorzeczności na scenie. Do dzisiejszej Francji Wilsonów, Rochefortów i Boulangerów trudno zaiste iść na naukę moralności, i wolimy ochronić od tego nasze żony i córki.

Czy po tem wszystkiem mamy jeszcze pisać o wczorajszej premierze? Jest pewna literatura *à la Robida*, którą z szczególną predylekcyą rozszerzają portyerowie fogsalów kolejowych, najwłaściwsza dla kawalerskich saloników i pewnego rodzaju damskich budoarów. Zostawmy ją w tej atmosferze. Jeśli czasem wybuchnie ona w jakimś teatrzyku paryskim, to ratuje ją wściekły

temperament podochoconych absyntem aktorów, żargon paryskiego bruku, *bons mots* kursujące po ulicach Paryża, coś, co jest chwilowem odbiciem dyszącego zmysłami wielkomięjskiego życia. U nas — najniedorzeczniej przekładane, grane powolnie, na trzeźwo — już co do samej wartości reprezentacyjnej stają się wyskokiem bezrozumu, i są podobne do czegoś, czegoś takiego... na co tylko Cambronne w bohaterskich czasach Francyi miał odpowiedni wyraz.

St.

Rozmaitości.

Ciekawy znajdujemy artykuł w *Revue des deux mondes* (z 1 maja r. b.) pod tytułem: *Upiory i umiejętność*, a napisany z powodu książki *Phantasms of the living*, która w roku zeszłym ukazała się w Anglii. Poważni pisarze angielscy: Gurney, Myers i Podmore starannie zebrali pięćset dziewięćdziesiąt przygód nadzwyczajnych, których widzami były osoby godne zaufania, i ogłosili je drukiem. Ażeby mieć wyobrażenie o tych przygodach, przytaczamy jedną z nich w dosłownem tłumaczeniu; opowiada ją p. Wingfield, mieszkający w Belle-Isle-en-Terre (Côtes-du-Nord). „Dnia 25 marca 1880 r. czytając dość długo wieczorem jak zwykle, położyłem się spać; śniło mi się, iż czytałem leżąc na kanapie, w tem spostrzegam brata mego Ryszarda, siedzącego naprzeciw mnie na krześle. Śniłem, żem mówił do niego, lecz on potakiwał tylko głową miasto odpowiedzi; potem wstał i wyszedł z pokoju. Po przebudzeniu się spostrzegłem, żem jedną nogę wysunął był z łóżka na dywanik, a zarazem usta moje starały się wymówić imię mego brata. Wrażenie było tak głębokie i żywe, iż wstałem i poszedłem z pokoju sypialnego do bawialnego dla odszukania brata. Brata tam nie zastałem, ale nie mogłem oprzeć się chęci przypatrzenia się krzesłu, na którym widziałem go siedzącego. Powróciłem napowrót do sypialni, lecz dopiero nad ranem zasnąłem. Wrażenie snu po przebudzeniu zostało tak żywe, iż zaraz po wstaniu zapisałem tę przygodę, dodając w końcu: *God forbid* (niech Bóg odwróci). W trzy dni potem otrzymałem wiadomość, że brat mój Ryszard umarł d. 24 marca, o god. 8½ wiecz., w skutek spadnięcia z konia na polowaniu“. Wszystkie przygody są podobnego rodzaju.

Opowiadania tego rodzaju nie są rzeczą nową dla nikogo, każdy w dzieciennym wieku, a i potem, nasłuchiwał się ich dosyć; lecz nową i ciekawą jest rzeczą, że poważni pisarze angielscy rzecz tę umiejętnie traktują, że tak postępowe i liberalne czasopismo, jakim jest *Revue des deux mondes* nie waha się nader pochlebnie przemawiać za dziełem i poszukiwaniami tego rodzaju. Autor artykułu w *Revue*, jak i autorowie samego dzieła nie przyznają, że wszystkie szczegóły przygód przez nich przywiedzionych rzeczywiście przydarzyły się; sądzą, iż należy coś odrachować na karb wyobraźni, która mogła dopełnić braki zmysłu spostrzegawczego, przyjmują jednak opowiadania za wiarogodne, a nadto utrzymują, że podobne fakta nie tylko licują z umiejętnością, lecz winny być przez nią podnoszone i badane. Stare niańki, pisze Chandos, wierzą w upiory, uczeni im wiary nie dają; stąd rzeczą jest nieby-

wała, aby łączyć z sobą takie wyrażenia jak *upiory i umiejętność*; nie słyszano dotąd, aby ktoś podawał umiejętnym badaniom opowiadania o upiorkach! A jednakże dlaczegooby to było niemożliwe? Któż może stawiać granice prawdzie i poszukiwaniom, kto może rozstrzygać, że to jest podobne a tamto niepodobne! Co się mnie tyczy, jestem nadzwyczaj wdzięczny pp. Gurney i Myers za ich odwagę. Nie dbają oni o to, aby byli zganieni lub pochwaleni przez tych mędrków (*esprits forts*), którzy nabyli umiejętności w kawiarni lub sklepie korzennym, a wierzą tylko temu, co na własne widzieli oczy. Sam wyraz upiór wywołuje u tych wielkich filozofów knajpowych wzruszenie ramionami i uśmiech pogardliwy... Autorowie angielscy byli wyżsi po nad te zaściankowe zapatrywania, zadali sobie trud nielada, nie brali rzeczy na wiatr, rozpatrywali każdą przygodę nader starannie... Ci panowie oddali wielką usługę rzeczywistej nauce... Należy o tem pamiętać, że deklamacje o postępach nowożytnej nauki są dziś rzeczą okropnie oklepaną. Przypatrzwszy się dobrze i z bliska widzimy, że tak wysoko podnoszona sława dzisiejszej umiejętności jest sztuczną; dzisiejsza umiejętność jest dalszym ciągiem dawniejszej i nie więcej. Wypełniamy tylko kartki rozdziałów oddawna przygotowanych... Jeżeli dbamy o to, aby umiejętność nie strupiejszała, trzeba ją pchnąć naprzód, trzeba jej wytknąć szersze granice!⁴.

Z tego widać, że wolnomyślni pisarze na Zachodzie dalej zaszli niż nasi. Ci ostatni jeszcze po staremu nie chcą słyszeć o żadnym fakcie przechodzącym zwyczajny bieg natury. Jeszcze nie dawno temu pewien tygodnik petersburski upominał w nader przychylny sposób *Przegląd katolicki*, aby w XIX-ym wieku nie poruszał takich rzeczy, jak np. kwestyi o szatanie! (sic!) zupełnie jak gdybyśmy jeszcze byli za panowania Woltera.

Księgarnia Łukasiewicza sztuki prawdziwie dokazała wydając za 1 złr. kompletny zbiór dzieł Mickiewicza na papierze wcale nie złym, drukiem zwyczajnym (garmontem), nie zbyt drobnym i nie ściętnionym, jak to bywa zwyczajem w bardzo tanich wydawnictwach. A jest to nie tylko sztuka, ale prawdziwa przysługa dla młodzieży szkolnej i klas uboższych, między którymi to tanie wydawnictwo spopularyzuje dzieła naszego wieszca.

Cena egzemplarza brosz. w czterech tomach 1 złr., w pięknej oprawie płóciennej złr. 1.70.



SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Pielgrzymki: francuska, belgijska, portugalska, holenderska, katalońska, austriacka, polska. — Odpowiedź Ojca św. — Dzienniki włoskie o pielgrzymce polskiej. — Podburzanie Polaków i Irlandczyków przeciw Papieżowi. — Dekret Kongregacyi Inkwizycyi w sprawie irlandzkiej. — Zwolnienie prześladowania we Francyi. — Rozwój katolicyzmu w Norwegii.

Ostatni miesiąc nazwać by można miesiącem „pielgrzymek“; w licznych zastępach w ogóle wybornie zorganizowani przybyli do Rzymu pielgrzymi: francuscy, austriaccy, kroaccy, polscy i ruscy, belgijscy, portugalscy, holenderscy, katalońscy; stawali zazwyczaj pod wodzą swych biskupów przed Ojcem św. i kolejno, stosownie do swych potrzeb, otrzymywali od niego ojcowskie rady i napomnienia, połączone i uświęcone zawsze ojcowskiem błogosławieństwem. Nie łatwo zebrać w jeden obraz wszystkie wzniosłe myśli, pragnienia i uczucia wyrażone w adresach i przemowach pielgrzymów; w najgłówniejszych zarysach wszystkie one wprowadzić do siebie podobne, ale przypatrzwszy się bliżej, poznać dopiero można, jaka w nich, równie z odmiennych dziejowych tradycyj jak z dzisiejszego ustroju rzeczy zrodzona, panuje różnorodność.

Francuzi przez usta arcybiskupa z Avignon i wicehrabiego de Damas, wyrazili swe mocne przekonanie, że losy Francyi najściślej jak dawniej, tak i dzisiaj związane są z losami Papieństwa, i że jeżeli Francya może się poszczycić bohaterami, to dlatego że

religia chrześcijańska wybrane swe dzieci w bohaterów zmieniła. I dzisiaj Francya chwytą się wszelkich środków, zakłada przede-wszystkiem i wspomaga szkoły chrześcijańskie, aby obronić i ocalić dusze swych dzieci; aby przekształcić je w bohaterów miłości; — a obok tych szkół powstały i wzrosły wszelkiego rodzaju dzieła, mające na oku ten sam cel: wskrzeszenie na ziemi społecznego królestwa Pana naszego Jezusa Chrystusa. Belgijczycy zebrani w liczbie około 1500 osób dziękowali Leonowi XIII za szczególne dowody miłości okazywane królowi, biskupom, uniwersytetom i katolickim szkołom belgijskim; za kanonizację św. Jana Berschmansa; stwierdzili głośno i uroczystie, że uznają i nigdy uznawać nie przestaną w Papiestwie „zawsze równem światłem gorejącego ogniska, z którego „promienie prawdy na cały świat się rozsypują“. Portugalczycy, słusznie dumni z dawnych swych dziejów, czynów i tryumfów, uznali w obec świata całego, że świetne te kartki swej historii zawdzięczają prze-ważnie, jeśli nie wyłącznie gorliwości w wierze chrześcijańskiej, wierności dla Stolicy Piotrowej, że „najwyższym ich zaszczytem jest przyczynienie się do rozszerzenia nauki Jezusa Chrystusa między pogańskimi mieszkańcami Azji, barbarzyńskimi Afrykańczykami, dzikimi ludami Ameryki“. Przeszło 400 Holenderczyków, których ojczyzna po raz wtóry już w tym jubileuszowym roku swych pielgrzymów do Rzymu wysłała, wynurzyło swe silne przekonanie, które przedewszystkiem sprowadziło ich do wiecznego miasta: O tyle będziemy silnymi i pewnymi zwycięstwa w walce z wszystkimi błędami i z wszystkimi nieprzyjaciółmi prawdy, o ile ścisłymi węzłami złączeni będziemy z Stolicą Piotrową; o ile się zbliżymy do tego ogniska życia i światła; do tej katedry, z której zawsze płynęła i dzisiaj płynie zdrowa nauka, wskazująca na właściwe choroby naszego czasu, ucząca, jakimi lekarstwami zwalczyć je można. Pielgrzymi katalońscy, podobnie jak austriaccy, podnieśli z szczególnym naciskiem konieczność wrócenia Papieżowi niezależności, i choć nie w tych samych wyrazach, ogłosili to samo jakby wyznanie wiary, które w imieniu 4000 pielgrzymów przybyłych ze wszystkich krajów podległych austriackiemu berłu, w imieniu całej katolickiej Austrii, złożył przewodca pielgrzymki, hr. Pergen: „Ty jesteś namiestnikiem Jezusa Chrystusa“.

„Tyś jest dla nas opoką, na której Chrystus Kościół swój zbudował“.

„Twoja nauka jest wiarą naszą“.

„Twoje radości radościami naszymi“.

„Twoje boleści naszymi boleściami“.

„Twoje obawy są również naszymi obawami“.

„Twoje nadzieje są naszymi nadziejami“.

„Za co się modlisz, za to i my się modlimy“.

„Wesele, któregoś doznał w dzień jubileuszu, było wesełem i radością całej katolickiej Austrii“.

„I my dzielimy Twe smutki z powodu bolesnego położenia, w którym się obecnie znajdujesz“.

„Domagasz się wolności w wykonywaniu świętego Twego posłannictwa, i my wspólnie z Tobą się jej domagamy“.

„Zachęcasz nas do niezłomnego holdowania prawdzie, a my Ci przysięgamy, że nigdy sprzeniewierzyć się jej nie chcemy...“

Milo pomyśleć, że między tymi, w których imieniu wygłoszone zostały wspaniałe te obietnice, uroczyste niejako śluby wierności i miłości dla wiary katolickiej i Stolicy św., znajdowali się i polscy pielgrzymi. Ale milej jeszcze pomyśleć i dziękować Bogu należy, że i w adresie naszej pielgrzymki, odczytanym przez arcybiskupa lwowskiego, wyrażone zostały tak jasno, a energicznie uczucia wszystkich prawdziwych i dobrych Polaków, że publicznie zadany został kłam wszystkim tym, którzy, rozgłaszając podstępne wieści o nieufności Polaków dla Stolicy św., nieufność tę zasiać się starali. „Wyznajemy, słowa są adresu, że najściślej z Tobą związani jesteśmy, i ślubujemy wierną z Tobą łączność zawsze zachować; pokornie słuchać Twych nauk i wierne posłuszeństwo głosowi Twemu, jako głosowi Piotra, zawsze okazywać. Nie powierchowną, ale z pełni serca płynącą miłość żywimy dla Ciebie, „Ojciec Święty; miłość, jaką wdzięczni synowie winni są najlepszemu „ojcu. To też jako prawdziwi synowie całym sercem współczujemy „z twymi troskami i smutkami, z twymi potrzebami i krzywdami; „które w Tobie cierpi cały Kościół, całe chrześcijaństwo“...

Jeżeli trudno zebrać w krótkim streszczeniu, zaznaczyć paru rysami charakterystyczne cechy wszystkich tych, tak licznych, różnych, a w tak harmonijną całość zlewających się przemów i adre-

sów; tem trudniej w jeden obraz ułożyć, nauki i napomnienia zawarte w tak jędrnych, że do streszczenia zdawałoby się niepodobnych odpowiedziach Papieża. Odpowiedź daną naszym pielgrzymom podał już *Przegląd* w majowym numerze; Leon XIII zachęcał nas, jak pięknie i słusznie zauważono, do cnót najbardziej nam podobno potrzebnych, a których brak krwawo nieraz opłaciliśmy: do wzajemnej zgody i wystrzegania się zgubnej, niczem nieusprawiedliwionej nieufności, która doświadczonych opiekunów, najlepszych przyjaciół, gotowa w chwili czy istotnego, czy urojonego niebezpieczeństwa zdrajcami obwołać. A jak nam, podobnie i innym narodom nakreślił Ojciec św. w swych przemowach program działania równie z historyczną tradycją, narodowymi cnotami i wadami, jak i z potrzebami chwili obecnej się liczący. Francuzom przypomniawszy, jakie i ile węzłów łączyło zawsze piękną ich ojczyznę z Kościołem i Stolicą św.; wynurzył silną swą nadzieję, że Francya, rozumiejąc wielkie swe i wspaniałe powołanie, nie przestanie nigdy być narodem głęboko katolickim. Czyż może zginąć kraj, pytał Papież, pokryty tylu instytucjami pobożnemi, w którem tak różne dzieła miłosierdzia wciąż się rodzą i bujnie się rozwijają; który w najdalsze, najmniej znane strony świata wysyła legiony apostołów i misjonarzy? Nie! — taki kraj nosi w swem łonie pierwiastek życia i zmartwychwstania, zapowiadający lepszą przyszłość, a aby tę przyszłość przyspieszyć, należy przedewszystkiem, jak doskonale zrozumieli francuscy katolicy, starać się o chrześcijańskie szkoły, „gotować w nich ojczyźnie pokolenia posłuszne Bogu i Kościołowi Jego, kształcić w nich bohaterów gotowych na wszelkie ofiary w imię obowiązku i dla obowiązku“. Tenże sam plan działania: staranie się o chrześcijańskie szkoły, podał również i zalecił Papież pielgrzymom austriackim, *nawiązując widocznie swe słowa do olbrzymiego ruchu, powstałego w Austrii w ostatnich miesiącach za szkołą wyznaniową*:

„Bardzo słusznie czynicie jednocząc w sercach waszych po-
 „święcenie dla Papieża z miłością dla waszego monarchy: pragnie
 „tego również Kościół, który nakazuje swym synom cześć i posłu-
 „szeństwo dla książąt świeckich, jako ścisły obowiązek, i pragnie,
 „aby będąc szczerymi katolikami, byli zarazem znakomitymi oby-
 „watelami i najwierniejszymi poddanymi. Nie mniej Kościół, tro-

„szcząc się zawsze o prawdziwe dobro i prawdziwe szczęście państw, otacza młodzież dopomagając w tem synom swoim, z nieustającą miłością i gorliwością, macierzyńskimi staraniami; i bardzo silnie zaleca panującym, aby mądrymi prawami zapewnić się starali, wzrastającym pokoleniom wykształcenie i wychowanie prawdziwie chrześcijańskie“.

W przemowie do Belgijczyków obsypał Papież szczegółnymi pochwałami katolicki uniwersytet Lowański; wyraził nadzieję, że uniwersytet ten nowemi katedrami wzbogacany, stanie się, jak w ubiegłych wiekach, chwałą i zaszczytem Belgii; i znów do szkół w ogóle się zwracając przypomniał, jak „ważną jest rzeczą, aby młodzież „w szkołach, w konwiktach, na łonie swych rodzin otrzymywała „wykształcenie wolne od wszelkiej błędnej nauki, wychowanie „sadniczo katolickie“. „Abyście tem pewniej i silniej, mówił Papież „do Holenderczyków, zapewnić sobie mogli zwycięstwo w walce „podjętej w imię prawdy i cnoty, zachęcamy was usilnie do zakładania i popierania szkół, wszędzie, gdzie znajduje się ludność katolicka, nawet w najuboższych wsiach i wioskach; do starania się „o chronienie młodzieży przed wszelką błędną nauką; o udzielanie „jej wychowania i wykształcenia, zgodnego z katolicką wiarą i moralnością“. Portugalczykom równie jak i Katalończykom zalecił „Ojciec św. szczególnie męstwo i zgodę w obronie wolności i praw „Kościoła: „Gorąco pragniemy, aby Kościół w królestwie waszem „mógł z pełną wolnością wykonywać dobroczynną swą działalność, „i w szkole swej wykształcić sobie dobrane hufce dzielnych pracowników równie z zakonnego, jak i z świeckiego kleru; hufce ożywione duchem Chrystusowym, pielęgnujące w ojczyźnie waszej „i roznoszące w najdalsze kraje dobrodziejstwa wiary i prawdziwej „cywilizacji“ ...

Na zachęty i nauki papieskie odpowiadali pielgrzymi dziękczynnymi, pełnymi entuzjazmu okrzykami i pieśniami, które choć w odrębnych ułożone słowach, wyrażały tę samą myśl, co odśpiewana chórem przez naszych pielgrzymów podnosząca umysł i napełniająca go błogą nadzieją lepszej przyszłości pieśń wielkanocna: *Wesoły nam dziś dzień nastał*. Echa tych okrzyków i pieśni; echa wszystkich tych uroczystości będących ciągłym, wyraźnym we wszystkich przemówieniach wyrażonym protestem przeciw dzisiejszym

władcom Rzymu, rozeszły się daleko poza watykańskie mury, i pojąć nie trudno, jaką goryczą napęlić musiały wszystkich, dla których, naturalnem następstwem dzisiejszego stanu rzeczy w wiecznem mieście, każdy tryumf Papiestwa nową jest obelgą i klęską. Jakiej taktyki trzymali się wolnomularze włoscy względem pielgrzymów; jak kolejno to ich lżyli, to znów dyplomatycznie im schlebiając, lub rozpuszczając najfałszywsze pogłoski, starali się zasiał w ich sercach choć parę ziarn niechęci i nieufności dla Stolicy św., o tem, biorąc miarę z jednego przykładu, pouczyć nas może kampania, podjęta przez liberalne dzienniki włoskie, z powodu polskiej pielgrzymki; kampania podjęta wrzekomo z miłości i interesu dla Polaków, w istocie rzeczy i wyłącznie z nienawiści dla Papieża.

Na czele tych dzienników, które nagle na dany sygnał zago-rzały tak gwałtownym uczuciem dla biednej, przez Watykan ciężko prześladowanej Polski, stanęły *L' Italie* i *Popolo Romano*. Pierwszy w skandalicznej swej „Kronice Watykańskiej“ podpisywanej przez smutnie znanego *Urbain de Châtillon*, inaczej *Vittore, Simmaco, Fra Pacomio*, który dla różnych pracując gazet, różnymi pseudonimami bezwstyd swój chciałby okryć; roni łzy nad smutnym losem Polski przez Papieża poświęconej dla dyplomatycznych względów; głosi, że Watykan lgnąc do bogatych, nie dba z natury rzeczy o ubogich Polaków; a bawiąc się w półśłówka, rzuca całe mnóstwo nieokreślonych, niczem nieuzasadnionych, dziś już przez wszystkich, nawet przez nieprzyjaciół Stolicy św. za fałszywe uznanych podejrzeń, rachując, że choć te podejrzania w sercach się nie przyjmą, to przecież jakiś niesmak po sobie zostawia. *Popolo Romano* w tonie stosunkowo umiarkowanym, zaręczając, że czuje najgłębszą sympatyę dla Polaków, a admiracyę dla ich literatury, ostrzega ich delikatnie przed „realną, pozytywną polityką Leona XIII, która, choć nie zawsze jawnie, dąży do jednego tylko celu, tj. do ściśnięcia stosunków z rozmaitymi rządami, zostawiając Boviom i Cavallottim do obrabiania humanitarną tezę o łączności ludów“; a choć na spokój się sili, ukryć nie może niezadowolenia, że „nie można mówić na seryo o sporze między Watykanem i Polakami; że ci ostatni, zamiast głośno na publicznej audyencyi wystąpić ze swymi żalami i skargami, słuchać woleli w pokorze i milezeniu tryumfującej papieskiej alokucyi“. Czytając takie wynurzenia i życzenia le-

piej się rozumie, z czyjego poduszczenia a przynajmniej dla kogo pracowali ci, którzy i tutaj u nas i w Rzymie między pielgrzymami, wciąż nowe, coraz fałszywsze i coraz straszniejsze rozpuszczali wieści, siali nieufność i zniechęcenie, do kroków rozpaczliwych a najgłówniejszych dla nas samych pobudzić chcieli.

Tę samą grę wstrętą, którą wolnomularze włoscy, nadużywając obłudnie najświętszych naszych uczuć, chcieli nas wciągnąć w swe szeregi i użyć za narzędzie przeciw Papieżowi, rozpoczęli jednocześnie z katolicką Irlandyą: siejąc rozgoryczenie, namawiając wprost do buntu, dosłownie niemal powtarzając w sprawie polskiej użyte zarzuty i obelgi. Papież zdradził Irlandyę, wstrzymał na korzyść Anglii, prawdopodobnie za obietnice dyplomatycznych jakich korzyści, potężny tamtejszy ruch narodowy, zakazał duchowieństwu stawać w obronie ziemi swej ojczystej: oto oskarżenia, które w najbrutalniejszy sposób za granicą powtarzane i w pewnej części polskiej prasy choć słabszym echem i z widocznym niezrozumieniem rzeczy się odbiły. Niektórym wydawało się, że Ojciec św. wdał się w jakąś *polityczną* interwencję; mówiono dużo z powodu tej wrzekomej interwencji o *dyplomatycznym* Papieżu, kiedy tymczasem w całej tej kwestyi nie chodziło ani o politykę, ani o dyplomację, ale tylko o jasne orzeczenie, czy pewne środki, używane przez Irlandczyków w walce z Anglikami, zawierają się jeszcze w granicach moralności chrześcijańskiej, czy bronią tego rodzaju z czystym sumieniem walczyć wolno.

Liga „rolna“, zwana równie ligą „narodową“, obejmująca dziś całą niemal Irlandyą i istotne państwo w państwie stanowiąca, prócz innych dwóch zwłaszcza środków używała przeciw angielskim właścicielom ziemi, tak zwanego: *Planu Kampanii* i *Boycottowania*. „Plan Kampanii“ zasadza się na tem, że dzierżawca ziemi, której właściciel zbyt wielkie stawia wymagania i wysokości czynszu w sprawiedliwy sposób uregulować nie chce, nie oddaje winnego czynszu w ręce właściciela, lecz do kasy Ligi, która natomiast sama proces przyjmuje i prowadzi, a w razie niepomyślnego wyroku kosztą płaci i bierze na siebie utrzymanie i wyżywienie wypędzonego z dzierżawy. Ktoby się śmiał sprzeciwić rozkazom Ligi; ktoby zapłacił właścicielowi czynsz, którego tenże wbrew sądowi Ligi się domaga; na tego nałożony jest srogi interdykt, wykluczający zasadzonego

w ścisłem tego słowa znaczeniu ze społeczeństwa ludzkiego, co nie-raz doprowadza, choć może nie z rozkazu Ligi, i do mordu. Pierwszą ofiarą takiego interdyktu padł niejaki kapitan Boycott, i od niego straszne te sądy otrzymały nazwę „Boycottowania“. Dowodzić nie potrzeba, bo zbyt smutne i liczne fakta: pożogi i morderstwa, okazały jawnie, ile niebezpieczeństw kryje się równie w „Planie Kampanii“ jak i w ściśle z nim złączonem Boycottowaniu, że środki to są w wysokim stopniu niechrześcijańskie i niemoralne. To też, skoro tylko wiadomem było, że Kongregacya Inkwizycyi ma sobie poruczone zbadanie tej sprawy i wydanie odpowiedzi na pytanie: „Czy w sporach zachodzących między właścicielami a dzierżawcami irlandzkimi, wolno chwycić się środków znanych pod nazwą „Planu Kampanii“ i „Boycottowania“? — nie można było ani na chwilę wątpić, jak odpowiedź ta wypadnie. Ligi rolnej mimo próśb i starań rządu angielskiego, Papież nie potępił, bo sama w sobie, choć rządowi badzo niewygodna, złą moralnie nie jest; ale niecne, moralnie złe środki przez Ligę używane, właśnie ze względu na własne dobro Irlandczyków, na to, aby słusznej swej sprawy zbrodniami nie plamili, i aby z obowiązku swego jako nauczyciel Kościoła wyjaśnić zamęt w sumieniach powstały potępić musiał, a potępienie to, jak sami rozumnie myślący Irlandczycy głośno wyznają, jest najlepszym dowodem rzeczywistej troskliwości i miłości Papieża dla biednej ich ojczyzny.

Nie dziw też, że najpoważniejsze organa nie tylko angielskie ale i irlandzkie, z prawdziwą wdzięcznością ogłosiły rzymski dekret, widząc w nim jakby jakąś oliwną różeczkę pokoju zbawiennego równie dla Anglii, jak i dla Irlandyi, jakby zwiastuna lepszej przyszłości, która wypędziwszy równie teroryzm jak i despotyzm, sprawiedliwość by wreszcie do Irlandyi przyniosła. *Daily Telegraph*, najbardziej może rozszerzony ze wszystkich angielskich dzienników, nazywa ogłoszony przez Kongregacyę wyrok „czynem zasługującym na wdzięczność całej ludzkości“. *Times* równie jak i *Daily Chronicle* zwracają z naciskiem uwagę, że akt ten, dla tego zwłaszcza tak jest ważnym i powinien być obfitym w błogie skutki, ponieważ Papież nie wystąpił w nim jako polityk, ale jako najwyższy obrońca i przedstawiciel zdrowych zasad sprawiedliwości i moralności. *Morning Post* przewiduje, że decyzya Kongregacyi w wyższym stopniu

przyczyni się do uspokojenia Irlandyi, niż wszystkie *Crimes Act*. Organ Gladstona, *Daily News*, wołałby naturalnie, aby dekret Kongregacyi w innym czasie, a nie za ministerstwa Salisburego był się okazał; nie bardzo wierzy w praktyczne skutki tego aktu, ale mimo tych oportunistycznych zastrzeżeń, lojalnie wyznaje, że treści dekretu nie zarzucić nie można, i że stronnicy Gladstona nigdy nie pochwali „planu Kampanii”. Ważniejsze, bo znamionujące opinię na szczęście przeważającą w samej Irlandyi, są słowa *Irish Times*, a zwłaszcza dublińskiego organu Parnella *Freemans's Journal*: „Lud irlandzki przyjmie dekret Papieża i Propagandy z najgłębszą czcią. Nie zachwiać nie potrafi starej jego a silnej wiary, „której pozostał wiernym w najsmutniejszych dniach swej historii, „a biada temu, ktoby śmiał choć z daleka podejrzewać wierność „naszego ludu względem Rzymu i Papieża, zasiadającego obecnie „na stolicy św. Piotra“.

Ostre to odparcie wszelkich kłamliwych insynuacji, silne zatwierdzenie wierności dla Stolicy św., potrzebnem było nie ze względu na irlandzkie skargi lub żale; ale znowu głównie ze względu na wolnomularzów włoskich, którzy za Irlandczyków w niebogłosy skarżyli się i żalili, nie wiedząc zazwyczaj wyraźnie, czego Papież zakazał, głosząc wbrew wszelkiej prawdzie, że „Liga rolna” została potępioną. Tenże sam Urbain de Châtillon, który skruszył dopiero co kopię za sprawę polską, wystąpił z niemniej rycerskim animuszem w obronie uciśnionych Irlandczyków, domagając się, jak dowcipnie odezwał się jeden z dzienników, aby Papież uroczystym aktem dał dyspensę Irlandczykom od wykonywania siódmego i piątego przykazania. *Tribuna* i *L'Italie*, nie szczędząc klerowi irlandzkiemu gorzkich zarzutów, wezwały go następnie wręcz i otwarcie do buntu przeciw Rzymowi. Jak widzimy, identycznie ci sami dziennikarze, i te same dzienniki, które tak gorąco zajmowały się polską sprawą, niemniej gorąco zajęły się sprawą irlandzką, a niewątpliwie, jak trafnie zauważa *Moniteur de Rome*, z niemniejszym zapalem rzuciłyby się na Stolicę świętą, gdyby niełatwa ta, przez wiele miesięcy ciągnąca się, wszechstronnie badana kwestya, inny była wzięła obrót, i Watykan zachował był milczenie. „Patrzenie!” wołaliby, jak już nawet niektórzy gorliwsi wołać zaczęli; patrzenie! oto Papieżowi brak odwagi do napiętnowania tych zbrodni. Strach go opę-

tał, i zapomina na święty swój obowiązek waleczenia przeciw wszystkiemu, co płynie z zasad rewolucyjnych?...“ Czy z tej, czy z tamtej strony, czy w obronie Anglii, czy w obronie Irlandyi; walczyć za Rosyę, czy za Polskę, na Papieża uderzyć — o to mniejsza; wszystko: rozum, sprawiedliwość, bezstronność, zdrowy rozsądek nagiąć się muszą do z góry przyjętego systemu i wszelka broń równie jest dobrą w tej walce na zabój z Watykanem i Papieżem.

W wzburzonej „Bulanżeryzm“ Francyi, spoglądającej z trwogą i niepewnością na najbliższą przyszłość, zabłysło w ostatnich paru tygodniach jakby parę światełek, zdających się zapowiadać, choć bardzo jeszcze niewyraźnie, jutrenkę dni lepszych. Prezydent Carnot w czasie podróży swej po Francyi dał poznać nie dwuznacznie, że radby zapobiedz przynajmniej najsmutniejszym objawom zbyt długo już ciągnącej się i zbyt smutnej w swych skutkach walki z Kościołem i wszelkimi jego instytucjami. Zwiedzając szpital w Bordeaux zostający pod kierownictwem szarytek, zwrócił się Carnot do przełożonej i głośno ją zapewnił, że zawsze z prawdziwą radością widzi u łoża chorych habit córek św. Wincentego. Innej szarytce, przypinając dobrze zasłużony krzyż legii honorowej, rzekł, że w niej cały zakon odznaczyć i podziękować mu pragnie. Jednocześnie Jules Simon oświadczył się w senacie bardzo rozumnie i energicznie za zupełnem uwolnieniem duchowieństwa od służby wojskowej.

„W tej kwestyi, jak w wielu innych, mówił słusznie głośny senator — republikanin, jętrząc sumienia wierzących, szkodzicie najbardziej własnej swej polityce... Chcecie powołać młodych księży do służby ambulansowej, zgadzam się na to; lecz zarazem zwracam waszą uwagę, że każąc im służyć w ambulansach, odciągacie ich od innych prac, którym gdzieindziej się poświęcali, a którym odtąd poświęcać się nie będą mogli. Ciężką wziąć na siebie chcecie odpowiedzialność. Obowiązkiem i służbą księdza jest nieść rannym i umierającym na placu boju pociechy, wiary i jej nadzieje. Mówię o tem wszystkim ze stanowiska politycznego. Obowiązkiem jest dobrej polityki przyczyniać się do rozwoju tego wszystkiego, co duszę żołnierza podnosi i uszlachetnia. Boć trudno żądać męstwa w spełnianiu trudnych obowiązków, w ponoszeniu ofiar tam, gdzie brak wiary w przyszłe, wieczne życie. Ale to jeszcze nie wszystko; nie rozchodzi się tutaj jedynie o pole bitwy, o szpitale, nie wszyscy księża mogą być kapelanami; nie zapominajmy o parafiach, o kościołach, w których kapłani napęłniają pociechą i nadzieją serca matek, serca nieuzbrojonego ludu, nie zelektryzowanego odgłosem walki, echem dział. A wy chcecie odciągnąć część duchowieństwa od służby parafialnej? Chcecie usunąć jeden z wielkich owych żywiołów, z których ukształcone są narody; chcecie usunąć żywioł, któremu naród nasz, krzewiciel cywilizacji po całym świecie, zawdzięcza swą

wielkość i geniusz? Zastanówcie się dobrze! Trzeba krajowi zachować to, z czego zrodziła się jego siła i sława. Możecie poświęcić dwa lub trzy tysiące sług przy ambulansach; ale nie wolno wam dotknąć niczego z tego, co z duszą narodu naszego związane!“

Ciekawszym jeszcze w swoim rodzaju objawem jest długi artykuł dziennika *Voltaire*, jawnie antyklerykalnego organu Floqueta, który nagle zmieniwszy front, ocenia w bardzo surowych wyrazach prześladowczą politykę Crispiego, wysławia dyplomatyczną mądrość i roztropność Leona XIII, i w gorących słowach ostrzega Francuzów, „aby rozwijając pragnienia i dążenia naszego liberalnego i świeckiego społeczeństwa, nie naśladowali brutalnych kroków Crispiego; „nie dali się skusić, mimo gwałtownej potrzeby oszczędności, do „zwinięcia ambasady watykańskiej, lecz owszem trzymali się ściśle „i stale względem zagranicy, polityki katolickiej“.

Zapewne, wszystkie te fakta i głosy same w sobie niewielkiego są znaczenia; są to dotychczas tu i owdzie wypływające raczej dobre i rozumne chęci niż czyny; ale zawsze i te chęci pocieszającym są znakiem, i dają jakąś przynajmniej nadzieję, że wreszcie, po tylu deklamacjach o wolności, zabłyśnie we Francyi *era* wolności nie tylko dla złych i dla złego.

W Norwegii, jak ostatnim razem wspomnieliśmy, katolicyzm robi stosunkowo bardzo szybkie postępy, tak szybkie, że głęboko zaniepokoiły przedstawicieli spokojnie dotąd królujących i rozszerzających się dysydenckich wyznań. Dowodem tego zaniepokojenia jest publiczna odezwa rosyjskiego konsula dla północnej Norwegii, Ostrowskiego, który w gorących słowach wzywa wszystkich wyznawców prawosławia, do podtrzymywania klasztoru świeżo w Laponii rosyjskiej założonego, „w celu postawienia tamy straszmemu najazdowi Laponii przez Kościół katolicki, dążący nadludzkimi wysiłkami do pozyskania sobie tych krajów“. Rząd norwegski znowu, wiedząc jak wielkie wrażenie wywierają na protestantów ceremonie katolickie, zaprowadził dla kościoła państwowego rytuał bardzo do katolickiego zbliżony. Ale połowiczny ten krok, równie samowolny, jak stojący w rażącej sprzeczności z dotychczasowymi zasadami skandynawskiego protestantyzmu, nie potrafi uratować tego, co samo ze wszech stron się wali. Dziennik *Arbeideren*, organ bardzo rozszerzonego stowarzyszenia robotniczego, złożonego naturalnie z sa-

mych niemal protestantów, ogłosił w ostatnim czasie kwestyona-
ryusz, który rzuca bardzo ciekawe i jaskrawe światło na stan umy-
słów i obecne stosunki religijne w Norwegii. Dziennik pyta się:

„Dlaczego księża katolicy bardziej poświęcają się dla ubogich, niż księża
protestanckiego kościoła państwowego?”

Dlaczego księża Kościoła katolickiego bardziej zajmują się ludem i jego
potrzebami?

Dlaczego Kościół katolicki protekuje Irlandczyków?

Dlaczego, przeciwnie, państwowy kościół anglikański prześladowuje Irland-
czyków?

Dlaczego Kościół katolicki zdołał nadać ruchowi robotniczemu w Ame-
ryce zdrowy kierunek?

Dlaczego katolicy z radością nakładają na siebie ofiary dla wspomoże-
nia swych księży?

Dlaczego księża katolicy mówią kazania popularnie, tak że lud może
ich zrozumieć; gdy przeciwnie księża naszego państwowego kościoła mówią
kazania dla ludu niezrozumiałe?

Dlaczego w kościołach protestanckich tylu śpi?

Dlaczego kościół państwowy rzuca tyle oszczerstw na Kościół katolicki,
który i wolność i niezależność zachował?

Dlaczego ewangeliczny, luterski kościół państwowy, prześladował i za-
bijał dawnych naszych księży katolickich? Dlaczego zamilcza własne swe zbro-
dnie, a wciąż czerni katolicki Kościół, dawniej w naszym kraju panujący, któ-
remu nie jest godzien rzemysków u nóg rozwiązać?

Czy księża państwowego kościoła mniemają, że potrafią nas utrzymać
w wieczystej głupocie? Tak?! A dlaczegoż księża katolicy przychodzą w po-
moc robotnikom, a kościół państwowy ich odpycha?”

Bądź co bądź, zwłaszcza razem wzięte, ważne to są objawy,
a w ich świetle nie jest może nieuzasadniona i zbyt śmiała nadzieja
tych, którzy spodziewają się i sądzą, że dni panowania protestanty-
zmu w Norwegii już są policzone.

Ks. Jan Badeni.

Z Berlina.

Związek protestancki. — Zjazd frankfurcki. — Burza przeciw zakonom. —
Uchwały na zjeździe. — Uroczystość jubileuszowa w Göttingendze.

Chociaż się skończyło otwarte prześladowanie religijne, nie ustała
jednak podjazdowa walka przeciwko katolickiej ludności, a w tej tak

zwanej „cichej pracy“ odznaczają się przeważnie kaznodzieje protestancy. Jak protestantyzm w ogólności na liczne rozpada się odcienia, które nienawiścią tylko przeciwko Rzymowi sprowadzić się dają do jednego mianownika, tak też obecnie w różnych kierunkach pracują przeciwnicy nasi nad wzmocnieniem protestantyzmu — wyrażenie, które czytelnicy najlepiej zrozumieją, gdy sobie przypomną frazesy o wzmocnieniu niemieczyzny przeciwko propagandzie polskiej. Jedni z protestantów, zwący się prawowiernymi, dążą do utrwalenia powagi kaznodziejów i do urządzenia hierarchii w łonie protestantyzmu na podobieństwo katolickiej hierarchii, aby tym sposobem nadać swemu wyznaniu większą jednolitość zewnętrzną. Jakkolwiek liberalni protestanci temu stronnictwu predykanów zarzucają zachcianki katolickie, nie trzeba się ludzi: nienawiść ortodoksów przeciwko nam może większą jest niż w obozie liberalnym. Jedni i drudzy zgodni są chyba w tem jeszcze, że z publicznego skarbu, do którego i my składamy swoje podatki, domagają się nowych milionów na rzecz protestantyzmu. To też żądanie najpierw będzie uwzględnione przez rząd pruski, nie skłonny zresztą wcale do tego, aby z rąk wypuścić stanowczą przewagę nad kościelną organizacją protestantów.

Podczas kiedy ortodoksi tymczasowo cicho się zachowują, zaczęli wielką wrzawę liberalniejsi kaznodzieje, założeniem tak zwanego związku protestanckiego. Jeślibyśmy mogli dać wiarę zapewnieniom ich, zamierzają oni jedynie podnieść walkę przeciwko ultramontanom, nie zaś przeciwko katolickiej ludności. Na takie plewy zaś dziś już nawet młodych wróblu nie chwyta się. To też nie ulega wątpliwości, że zadaniem nowego związku jest podburzać protestantów przeciwko katolicyzmowi. Do tego celu dążąc, nie zważa związek protestancki na dogmatyczną różnicę w zapatrywaniach religijnych, lecz wszystkich dysydentów do swych szeregów przypuszcza. Związek powstał w Erfurcie. Dotychczas pozakładano kilka filii; w Berlinie zrobił związek fiasco: garstka ortodoksów nie sprzyja mu, a dla mas ludności nie przedstawia sprawy religijnej żadnego interesu. Przewódca związku podali na zjeździe frankfurckim, gdzie się ukonstytuował związek w połowie sierpnia, liczbę członków na 10.000 osób; trudno wiedzieć, ilu jest członków czynnych, bo w Turynii i Saksonii miejscami podobno całe gminy,

wraz z niewiastami i dziećmi, zapisano jako uczestników. Zjazd frankfurcki wysłał także telegram do cesarza Wilhelma; czy z politycznych względów nie udzielono żadnej odpowiedzi, czy tylko ogłosić jej nie pozwolono, nie wiemy w tej chwili. Nie myślimy kreślić przebiegu rozpraw na zjeździe franfurckim, jakkolwiek przemówienia niektóre jaskrawe rzuciły światło na fanatyzm protestancki i na przyszłość, jaką ta nienawiść zgotować może katolickiej ludności. Jeden z profesorów uniwersytetu w Bonn dowodził, że cała literatura niemiecka, nauka i sztuka, ba nawet język uważać należy za wynik protestantyzmu: łatwo tedy zrozumieć, dla czego tak często katolicy Niemcy uchodzą za wrogów państwa. Na jeden jeszcze szczegół zwrócić należy uwagę. Na zjeździe występowało oczywiście także przeciwko naszym zakonom, a nawet przeciwko Siostrom Miłosierdzia i innym zakonnicom, poświęcającym życie swoje na usługi chorych, przeważnie protestantów. Zakonnice te zażywają w Niemczech największej czci, tak iż wszystkim prośbom protestanckiej ludności o pomoc np. w Berlinie zadość uczynić nie mogą. Na zjeździe frankfurckim zarzucono im propagandę religijną. Jeden z obecnych kaznodziejów, pastor wojskowy z Monasteru w Westfalii, uważał sobie za obowiązek stanąć w obronie Sióstr i sądził, że wystarczy sformułować rezolucję przeciwną takim zgromadzeniom religijnym, któreby mogły kiedyś naruszyć zgodę między protestancką a katolicką ludnością. Otóż ten wniosek upadł; sądzono bowiem, że nie godzi się robić takiej różnicy, lecz w czambuł potępić wszystkie zakony i zgromadzenia religijne.

Uchwały, przyjęte przez zjazd frankfurcki, pouczają czytelników, jaki duch ożywia nowy związek, duch całkiem odmienny od przewodniej myśli zgromadzeń Niemców katolików.

Pierwsza uchwała brzmi: „Uważamy za obowiązek państw poszczególnych, aby koniec położono upośledzeniu, które gnębi kościoły ewangelickie, gdyż na wielu miejscach jest on pozbawiony dostatecznych środków materyalnych; państwo powinno dostarczać im niezbędnych środków, aby zwolennicy protestantyzmu mieli dostateczną opiekę duchowną, a duchowni pobierali odpowiednie wykształcenie“.

Druga uchwała podnosi straty protestantyzmu, wynikające z małżeństw mieszanych, i narzeka na zgubny wpływ, jaki wynika

dla spokoju życia rodzinnego i dla jedności społeczeństwa z postępowania Kościoła rzymskiego w małżeństwach mieszanych.⁴ Związek domaga się tedy usilnie, aby protestanckie kościoły silną a ile możliwości jednolitą normę zaprowadziły w zachowaniu się względem małżeństw mieszanych, a mianowicie względem osób protestanckich, których dzieci mają się wychowywać w rzymsko-katolickim wyznaniu. Związek domaga się, aby protestantom ostro przypomniano obowiązek stałości w protestantyzmie.

Trzecia uchwała twierdzi, co się z prawdą nie zgadza, że procesy publiczne rzymskiego Kościoła, zaprowadzone w większej części Niemiec, nawet po miejscowościach z ludnością mieszaną pod względem wyznaniowym, przyzwyczaiły ludność rzymsko-katolicką do pretensyi, aby protestanci nie tylko stósowali się do tych aktów obrzędowych, lecz nadto je czcياً otaczali. „Takie zastósowywanie się i wyrażanie czci ubliża honorowi protestantów i stałości w wierze, zwłaszcza że Rzymczyki wcale nie wywdzięczają się za to podobnem uszanowaniem względem kultu protestanckiego“. Związek protestuje przeciwko wrzekomemu naciskowi, jaki ludność rzymsko-katolicka wywiera na protestantów z powodu procesyj; a protestując przeciwko temu „pogwałceniu“ protestanckiej wolności sumienia, domaga się związek, aby zakazem publicznych procesyj położono temu koniec.

W oczach związku, opiewa piąta uchwała, uchodzi to za publiczne zgorszenie, że rzymsko-katolickie dzienniki i książki ciągle bezkarnie, w najniegodziwszy sposób odzierają ze czci imię męża, któremu Niemcy protestanckie zawdzięczają szczyt swej wolności duchowej i moralnej. Związek sądzi również, że coroczny a ludowy obchód urodzin Marcina Lutra silne obudzi poczucie protestanckie w Niemczech, przeto też poleca członkom swoim, aby dzień ten godnie obchodzili uroczystościami ludowymi.

O uchwale wrogiej zakonom — zajmującej czwarte miejsce — już była wzmianka. Domaga się ona, aby rząd nie dopuszczał zakonów, przynajmniej w miejscowościach przeważnie protestanckich. Związek pragnął wykluczyć Siostry Miłosierdzia z takiej miejscowości, gdzie niema parafij katolickich, ale ostatecznie zaniechano tego żądania, domagając się tylko jak największej czujności względem Sióstr. Zważywszy, że protestantki jakoś nie garną się do pie-

lęgowania chorych, wzywa je związek, aby do tego dzieła miłosierdzia chrześcijańskiego bardziej się poczuwały.

Na zjeździe frankfurckim narzekano, że we wschodnich prowincjach pruskich protestanci nie bardzo jeszcze poczuwają się do solidarności ze związkiem, ale utyskujących powinno było pocieszyć przemówienie kaznodziei Loefflad'a z ziemi warmińskiej, który z zaciekleścią wystąpił przeciwko ludności katolickiej. Twierdził on, że zwłaszcza w Brunsberdze protestanci jęczą pod jarzmem katolickiem. Przeważna część protestantów nie śmie przyznawać się do swego wyznania z obawy strat materyalnych. Urzędnicy niżsi nie odważają się posyłać swych dzieci do szkoły protestanckiej, skoro dostojnik, od którego są zależni, jest katolikiem. Ten nacisk, jaki katolicy warmińscy wywierają, ma być tak wielki, że ani szewe, ani praczka nie są od niego wolni. Tymczasem władze pruskie napominają protestantów, aby hałasu nie robili, „a przecież“ — zawołał wspomniany pastor — „gdy nas mają pożreć, wolno nam krzyczeć. Jeśli przez lat 10 pójdą rzeczy obecnym trybem, cała Brunsberga będzie katolicką“.

Podobne jeremiady usłyszeli zebrani z ust pastora Hoffmann'a z Wrocławia o Szląsku. Rozwodził się on nad wzrostem katolickiej a upadkiem protestanckiej ludności. Nie pominął też walki narodowościowej i ubolewał, że nie tylko dzieci z małżeństw mieszanych przyczyniają się do wzrostu katolicyzmu, lecz także wędrowni robotników polskich. Coraz więcej ubywa pastorów, znających język polski. Jakkolwiek mówca zajmował się tematem politycznym, nie przeszkodziło mu to jednak wyrazić niezadowolenia, że berlińska władza policyjna związek protestancki zalicza do stowarzyszeń politycznych, nad którymi władza policyjna rozciąga dozór. Oczywiście, obaj mówcy grzeszyli ogromną przesadą, a po części nawet wprost mijali się z prawdą, jeśli nie rozmyślnie, to przynajmniej faktycznie. To też pastor Heinroth z Górnego Szląska uważał sobie za obowiązek wytknąć tę przesadę.

W ogólności to, co się dzieje w łonie związku protestanckiego, nie może jakoś znosić światła dziennego. Nie tylko wspomniany już pastor z Warmii wyraźnie oświadczył, że o takich sprawach, jakie poruszył, tylko z największą dyskrecją mówić można, lecz nadto na tajnem posiedzeniu związku roztrząsano sposoby, jakimi

związek powinien zwalczać katolicyzm w prasie. Nie będzie tedy dziwną dla nas rzeczą, jeśli cała prasa niekatolicka głośnem odezwie się echem przy najmniejszej sposobności, bo członkowie związku będą prasę zasilali odnośnemi artykułami.

Jest rzeczą pewną, że związek nowy da się także we znaki ludności polskiej przez zaostrzenie stosunków wyznaniowych, i tak już naprężonych, oraz przez wycieczki dziennikarskie. Nie potrzeba dodawać, że przeważną część związku tworzą kaznodzieje i nauczyciele, których działalność w prowincjach wschodnich dostatecznie znamy. Wiadomo z ustaw antypolskich, jakie zadania włożono na nauczycieli, mianowicie protestanckich; jakie zaś będzie zadanie pastorów w nowych koloniach niemieckich, łatwo się domysleć. Już teraz mnoży się w zastraszający sposób liczba kościołów protestanckich i pastorów w Prusach zachodnich i w Poznańskim, ale będzie jeszcze daleko gorzej, gdy nowe kolonie zaczną rozrastać się na dobre.

Że takie rozprawy, jak wspomniane, nie przyczynią się do utrwalenia pokoju w dziedzinie kościelnej, rozumie się samo przez się. Do podobnych objawów należy przemówienie profesora teologii na 150-letniej uroczystości jubileuszowej uniwersytetu w Göttyndze. Sama chwila uroczysta, a nadto obecność księcia pruskiego Albrechta, zawiadowcy kraju brunświckiego, i ministra oświaty Gossler'a powinny były natchnąć mowę poważnemi myślami, tymczasem przemówienie jego było po prostu polemiką przeciwko orzeczeniu Ojca św., że liberalizm i socjalizm są owocem protestantyzmu. Pan Ritschl sądzi owszem, że św. Tomasz z Akwinu i kardynał Belarmin są ojcami socjalizmu i liberalizmu. Na dobitkę jeden z organów na usługach rządu pruskiego zostających, oświadczył, że Ritschl nie wyszedł wcale po za granice, nakreślone mu przyzwoitością, a przyboczny organ ks. Bismarka powtórzył, aczkolwiek z pewnem zastrzeżeniem, *in extenso* wywody odnośne; nadto podały wszystkie dzienniki rządowe całą mowę Ritschl'a. Zachowawcza *Kreuz-Ztg.* nie laskawa wprowadzie na liberalniejsze zapatrywania teologiczne Ritschl'a, ale w tym razie czuje się z nim solidarną. W tę samą stronę trąbią dzienniki narodowo-liberalne. Jedynie postępową prasę wystąpiła przeciwko Ritschl'owi, a to tylko dla tego, że mówca na wstępie wspomniał o większości w ostatnim parlamen-

cie niemieckim, składającej się z centrum i postępowców, do których to stronnictw prasa rządowa lubi zaliczać także socyalistów, Francuzów i — Polaków.

W obec takich stosunków nie milczą oczywiście także katolickie dzienniki, a gdy czasem w wysokim stopniu wyrażą nieufność swoją i obawy względem przyszłej jakiej walki kościelno-politycznej, to dziwić się temu nie bardzo można, ale tu i owdzie nie zawadziłoby zachować większy spokój: toć można być bardzo czujnym i bardzo stanowczym, nie wykrzykując ciągle: *Hannibal ante portas*. Należy owszem wyzyskiwać obecną sytuację, stworzoną mianowicie po ostatniej noweli kościelno-politycznej.

Ostatnią ustawą zajmuje się ciągle jeszcze prasa, mianowicie katolicka, a ponieważ sprawa religijna w wysokim stopniu zajmuje umysły, nie dziw, że rząd i stronnictwa polityczne szczególną miały uwagę na tegoroczny zjazd stowarzyszeń katolickich z całych Niemiec. Zrazu usiłowano, aby zjazd w Trewirze zebrał się pod prezydencją księcia Isenburg'a, jako męża nie stojącego na stanowisku Windthorsta, ale starania te spełzły bezskutecznie i wywołały nadto rozdrażnienie w obozie katolików. Naznaczono na godność przewodniczącego hrabiego Ballestrem'a, magnata szląskiego, członka frakcyi centrum. Nie spodobało się prasie rządowej i to, że kongres tegoroczny odbył się w Trewirze, pod opieką niejako biskupa tamtejszego, ks. Korum, zaliczonego do tak zwanych nieprzejeżdżanych. Kiedy nie udało się tym usiłowaniom ubocznym z góry wpłynąć na zjazd, na którym Windthorst przede wszystkim odegrał ważną rolę, to taka *Kreuz-Ztg.* nie szczędziła pracy, aby spowodować polityków katolickich do zajęcia życziwej dla rządu postawy, a inne dzienniki usiływały zjazd cały przedstawić jako fakt zupełnie obojętny, gdzie rozmaici mowcy palną kilka mówek, a publiczność bez właściwej dyskusyi, wśród oklasków nie znaczących zgodzi się na cały szereg rezolucyj, nie mających praktycznej doniosłości.

Zaledwie nadeszły jednak pierwsze doniesienia o zjeździe Trewirskim do Berlina, a już rozpoczęła *National-Ztg.* w ulubiony sposób darzyć ten przejaw życia katolickiego komentarzami pełnemi jadu stronniczego. Organ liberalny zwrócił się głównie przeciwko Windthorstowi, chyba dla tego, że mu powszechna sympatya, ja-

ką się przewódca stronnictwa środkowego we wszystkich sferach cieszy, w najwyższym stopniu jest niemiłą. Dr. Windthorst pochwalił bowiem pierwszego burmistrza trewirskiego, który w imieniu starego miasta katolickiego serdecznemi słowy powitał uczestników zjazdu. Z przemówienia sędziwego Windthorst'a wyprowadził organ liberalny wniosek, że naczelnik administracyi miejskiej w Trewirze zajął postawę wyzywającą. Tymczasem nawet taki organ jak *Post* zaznaczył, że pan de Nys powiedział mowę wcale nie polityczną, lecz natchnioną uczuciem katolickiem, a *National-Ztg.* miała pod ręką streszczenie tego przemówienia: organ liberalny wystąpił tedy znowu ze świadomością w złej wierze. Dr. Windthorst zaznaczył po prostu, że uznania godną jest rzeczą, iż człowiek, zajmujący wybitne stanowisko w Trewirze, urzędnik posiadający w zupełności zaufanie rządu, nie waha się publicznie przyznawać się do wiary katolickiej. Chyba więc to samo już zasługuje na naganę w oczach *National-Ztg.* Nie byłoby warto o tem mówić, gdyby organ liberalny nie miał na wewnętrzną politykę pruską takiego wpływu, jaki ma właśnie *National-Ztg.*

Windthorst był w Trewirze w bardzo wesołym humorze. Sam przyznał się do tego, że ciężaru swego wieku nie czuje, że owszem zdaje mu się, jakoby dopiero miał lat 25. W przeświadczeniu swej siły oświadczył też, że podnosząc wraz z cesarzem sędziwym potrzebę religii dla życia społecznego, nie przestanie domagać się całkowitej i nieuszczuplonej swobody dla Kościoła katolickiego i na samym wstępie zjazdu, wyraźnie o tem domaganiu się wspomniał sądząc, że żebrać o łaskę katolicy nie potrzebują. Wnosząc okrzyk na cześć Papieża i cesarza Wilhelma, zostających teraz w tak serdecznych stosunkach, zapowiedział jednakowoż dr. Windthorst, że powie jeszcze mowę polityczną, suchą, prawniczą o tych wszystkich sprawach, które nie zostały jeszcze pomyślnie załatwione, a potrzebują tego koniecznie. Tę mowę wypowiedział Windthorst na zakończenie zjazdu wśród grzmiących oklasków blisko 7000 osób (więcej do sali w żaden sposób wejść nie mogło), które, nawiasem powiedziawszy, bilety wstępne dość drogo opłaciły. Ale już na wstępie nie szczędził przywódca centrum przycinków politycznych, a wnosząc toast na cześć kobiet katolickich w pierwszy dzień zjazdu, podniósł doniosły ich wpływ na życie polityczne

i na ruchliwość katolików; przyrównywał tę działalność do męstwa starodawnych Niemek, o których Tacyt wspomina, że one to mężów, szukających w czasie bitwy schronienia poza warownią wózków obozowych, do walki zagrzewały, nie pozwalając by spoczęli. leniwie i tchórzliwie. Ze zgrozą zapisali liberalni sprawozdawcy o przebiegu zjazdu fakt, że młode Niemki sędziwego mówcę, palającego ogniem młodości, po rękach całowały. Co też w obec takiego wpływu znaczą artykuły prasy liberalnej i rządowej? Warto podnieść, że baron Schorlemer-Alst nie przybył do Trewiru. Aby z tego faktu nie wyprowadzono błędnych wniosków, imieniem nieobecnego oświadczył dr. Windthorst, że nagle przeszkody nie pozwoliły mu wziąć udziału w pracach zjazdu, jednakowoż sercem i myślą związany jest z uczestnikami jego. Schorlemer przewodniczył wówczas w innym mieście obradom związku chłopskiego, gdzie tego „króla chłopskiego“ nie łatwo było zastąpić.

Zjazd trewirski jest w pierwszym rzędzie doniosły jako dowód, że lud katolicki nie myśli opuszczać stronnictwa środkowego. W tym rozumieniu przyjął wyraźnie Windthorst oznaki czci i uwielbienia, jakimi go otoczono. Sytuację kościelno-polityczną określił przewodniczący hr. Ballestrem temi słowy: że znajdujemy się w porze wstępnych układów pokojowych (Praeliminarfrieden), po zawieszeniu broni i nakreśleniu linii demarkacyjnej, a powinniśmy po ustąpieniu starszych żołnierzy z szeregów pomyśleć o zastąpieniu ich młodszymi siłami. Za rezultaty już osiągnięte dziękował Windthorst w pierwszym rzędzie Leonowi XIII, oświadczając, że je zawdzięczamy jednomyślności i stałości biskupów i duchowieństwa, w których to przedmiotach lud wraz z Papieżem pokłada ufność, że dalsze usiłowania nie będą bezskuteczne. I ludowi i posłom przez katolików wybranym zawdzięcza się rezultat osiągnięty, ale to wszystko nie zadowalnia zupełnie Windthorsta, gdyż nie należy ustawać w pracy, dopóki nie będzie przywróconą sytuacja z przed walki. Nie mógł naczelnik stronnictwa środkowego pominąć milczeniem zasług prasy katolickiej, zagrzewając ją do dalszej pracy polecając czujność i stałość, i zwrócił uwagę, że sytuacja obecna wymaga odmiennych form w przedstawianiu rzeczy.

W przyszłości — na to zwrócił Windthorst słusznie uwagę — przeważnie chodzić będzie o szkołę. — Obecnie panuje wszechwła-

dnie w szkole państwo, a Kościół jest chyba tolerowany do czasu; i rodzice i Kościół nie mają wpływu koniecznego na wychowanie publiczne. To powinno się zmienić. W tym celu dążyć winni katolicy w Prusach do zniesienia ustawy o dozorze szkolnym, na mocy której nawet nauka religii bywa udzielana imieniem rządu, a nie imieniem Kościoła. Windthorst podniósł niebezpieczeństwa, które stąd wynikać mogą, że rząd nie pozwoli księdzu przestąpić progów szkolnych. Grzmiące oklaski powitały oświadczenie Windthorsta, że nauka religii powinna być wyłącznie w ręku Kościoła, że tedy odnośny wniosek przedstawi sejmowi pruskiemu.

Oczywista rzecz, że zjazd, mianowicie na poufnych zebraniach, zajął się także sprawami specjalnych stowarzyszeń katolickich, mianowicie tych, które się poświęciły opiece duchownej i materyalnej katolików poza granicami Niemiec lub żyjących na rozproszaniu wśród protestantów. Sprawy socyalne, mianowicie: spoczynek niedzielny, usunięcie dzieci szkolnych i mężatek z fabryk, określenie maksymalnej pory roboczej, zajęły w wysokim stopniu uwagę zjazdu, na którym tacy znawcy spraw socyalnych, jak poseł dr. Hitze, byli obecni. Ostatni, młody stosunkowo jeszcze kapłan, poświęcił się wyłącznie pracom, odnoszącym się do kwestyi socyalnej. Jest on sekretarzem katolickiego związku przemysłowców, wydaje przegląd społeczny, tygodnik dla robotników, rozechodzący się w 13,000 egzemplarzach, i podobnej treści książeczki, z których np. *Häusliches Glück* w Niemczech rozeszło się w 230,000 egzemplarzach, a niebawem okaże się w kilku tłumaczeniach, między innymi także i w języku polskim. Władze pruskie i stronnictwa wcale nam nie życzliwe uznają otwarcie zasługi gorliwego a skromnego pracownika na tem polu.

Ze względu na potrzeby socyalne i duchowne domagał się zjazd znowu powrotu wszystkich zakonów, nie wyjmując Jezuitów. Ostatnie mianowicie żądanie bardzo w oczy kłuje liberalną, zachowawczą i rządową prasę. Niektóre dzienniki lubią rzeczy tak przedstawiać, jakoby ogromna zachodziła różnica w zapatrywaniach papieża i episkopatu pruskiego z jednej, a stronnictwem środkowym wraz z niższem duchowieństwem z drugiej strony. Jest to wierutny fałsz, aczkolwiek przyznać trzeba, że tu i owdzie w obozie katolickim panują rozmaite poglądy, na jakiej mianowicie drodze

dałyby się osiągnąć pewne ustępstwa. Napróżno upatrują rządowi dziennikarze zasadniczą różnicę między wspólnym listem pasterskim biskupów we Fuldzie zebranych, (z powodu jubileuszu papieskiego) a wystąpieniem Windthorsta, boć i biskupi podnoszą to, że jednego nam jeszcze nie dostaje na polu kościelno-politycznem. Tak samo i Papież nie wypiera się stronnictwa środkowego, najlepsze swej gwardyi pobocznej — jak się protestancka *Kreuz-Ztg.* wyraża — ani gromi go. Komitet trewirski uwiadomił bowiem Ojca św. o mającym nastąpić zjeździe, a w tem piśmie pełno było zwrotów o stosunkach kościelno-politycznych i o potrzebie dalszej na tem polu pracy. W odpowiedzi owej nie wspomina wprawdzie Leon XIII wyrażnemi słowy o centrum, ale podnosi jednomyślność między duchowieństwem a ludem, który w ścisłej zostaje zgodzie z biskupami. Słowa papieskie, pełne pochwały dla wodzów i dla zwartych szeregów walecznego ludu, nie mogą być inaczej zrozumiane, tylko jako zachęta do wytrwania na dotychczasowej drodze. Kiedy mimo to świeżo rządowa prasa, a mianowicie przyboczny organ ks. Bismarka, oświadcza, że interesy Kościoła będą zagrożone, jeśliby słowa Windthorsta podziały na szerokie masy ludności katolickiej, to podobne artykuły jaskrawe rzucają światło na zamiary berlińskie i na położenie katolików.

Zjazd trewirski przyjął także uchwałę o potrzebie terytorjalnej udzielnosci głowy Kościoła. Adwokat Dr. Porsch z Wrocławia uzasadnił tę uchwałę. Zwrócił on uwagę, że nie powinno być normą, by papież cierpiał ucisk i był męczennikiem, jakkolwiek i w takim razie Kościół istnieć nie przestanie; powołał się mowca między innemi na głośne oświadczenie kanclerza niemieckiego, że gdyby był katolikiem, uważałby papieństwo za swojską instytucję, i że jako minister państwa uznającego równouprawnienie wyznaniowe, winien szanować poglądy Niemców katolików na papieństwo. Ks. Bismark wypowiedział to zdanie w roku bieżącym d. 21 kwietnia w izbie panów.

Zjazd trewirski, który powrót do stosunków z przed walki postawił jako cel dążeń kościelno-politycznych ludu katolickiego, wyraził osobne podziękowanie sejmowej frakcyi centrum.

Na zjeździe była także wzmianka o nowej koncesyi rządu pruskiego na rzecz kościelnej i obywatelskiej swobody duchowieństwa; poświęcę temu przedmiotowi krótką uwagę. Wiadomo, że

rząd pruski może założyć protest przeciwko nominacyi proboszczów. Ks. biskup Kopp prosił czasu swego w sejmie wyraźnie o to, aby rząd przez to nie krępował kościelnej działalności i obywatelskich praw duchowieństwa, a więc w takim proteście nie powoływał się na fakty, któreby się odnosiły do jednej i drugiej strony życia kapłańskiego. Większość odrzuciła ten wniosek, chociaż minister Gossler oświadczył, że na przyjęcie wniosku, jakkolwiek niedogodnego rząd mógłby się zgodzić. W praktyce znaczy to, że np. rząd mógłby oprzeć się nominacyi księdza, który zbierał podpisy pod petycyę polską, lub wystąpił przy agitacyi wyborezej. Otóż katolicka *Schlesische Volksztg.* doniosła, że rząd pruski kazał oświadczyć w Rzymie, iż w myśl ks. biskupa Koppa nie będzie już protestów opierał na powodach i faktach tego rodzaju. Wiadomość ta została po części przyjętą z niedowierzaniem; Windthorst wspominał o niej, ale z jego słów wynika, że on też miał pewne wątpliwości, czy ustępstwo rzeczywiście zostało uczynione. Chodzi o to, jakie znaczenie miałyby koncesya pruska. Sądzę, że miałyby tylko formalne znaczenie. Trudno przypuścić, że rząd pruski miał tak uparcie obstawać przy notyfikacyi proboszczów, gdyby ta notyfikacya miała tylko znaczenie oddania biletu wizytowego. Rząd pruski nie lubi pozornych ustępstw z strony, z którą prowadzi układy. Rząd pruski nie zrzuca się prawa protestu przeciwko księżom, nie dobrze widzianym przez biurokracyę. Minister Gossler nazwał wniosek ks. biskupa Koppa „niewygodnym“; mojem zdaniem to tak zrozumieć trzeba, że urzędnicy, śledzący z istnie pruską skrzętnością wszelkie kroki każdego księdza, musieliby oprzeć ewentualny protest na innych faktach, nie zaś na takich, które mają styczność z religijnemi obowiązkami księdza, lub są wynikiem jego swobody obywatelskiej. Protest więc nastąpi zawsze, skoro przedstawiony na probostwo kandydat będzie persona ingrata — ale uzasadnienie protestu będzie inne.

Na Szląsku zbierali księża podpisy konfratrów, którzy gotowi byli nie przyjmować probostw ani starać się o nie, skoro jakkolwiek kandydat na odnośną parochję został odrzucony przez rząd. Zaniechano później zbierania podpisów, wrzekomo z powodu powyższej koncesyi, lecz może także i z innych powodów. Sprawa ta nie została dostatecznie wyjaśnioną.

X.

Słowo o opodatkowaniu spirytusu.

W obec tak żywo obchodzącej nasze społeczeństwo kwestyi nowego prawa o opodatkowaniu spirytusu, nie od rzeczy będzie zestawić kilka ogólnych uwag, opartych na najnowszych badaniach o tym przedmiocie, a dotyczących społecznej i moralnej jego doniosłości.

Podatek od spirytusu głównym państwom przynosi od głowy jednego mieszkańca przecięciowo¹:

w Angli	13 frank. — cnt. —	Anglik wypija rocznie	2½ litr
w Niderlandach	11 " 80 "		
w Stanach Zjednoczonych	7 " 50 "		
w Rosyi	6 " 40 "		
we Francyi	6 " 35 "	— Francuz " " 14 "	
w Belgii	3 " 65 "	— Belg " " 12½ "	
w Niemczech	1 " 75 "	— Niemiec " " 13½ "	
w Austro-Węgrzech . . .	1 " 11 "		
w Badeńskim	— " 50 "		
w Württemberskiem . . .	— " 40 "		

W tablicy tej uderza każdego, że nie tam państwa osiągają z podatku najwyższy dochód, gdzie ludność najwięcej spożywa alkoholu i tak: Anglia ma dochodu z głowy dwa razy z górą tyle co Francya, mimo że spożycie ma się w odwrotnym stosunku, Anglik spożywa bowiem na głowę 2½, Francuz 4 litry. Niemcy mają dochodu z głowy cztery razy mniej niż Francya, pomimo, że Niemiec spożywa 8½ litrów alkoholu (nie wchodzi tu w rachubę piwo) — tj. przeszło dwa razy więcej niż Francuz.

A cóż dopiero powiesz czytelniku na naszą biedną Galicję, która zapłaciła w roku 1880² podatku od spirytusu 2,081.957 złr., a że ludność tegoż roku wynosiła 5,926.172, przeto państwo dostało z głowy Galicyanina 35 centów (z ułamkiem), a jednak i pomimo że wypija on rocznie spirytusu 7¼ litrów, czyli Austria ma

¹ Ob. R. Stourm prof. n. polit. „L'impôt sur l'alcool dans les principaux pays“, daty brane (pomijając fluktuacye wypadkowe) te, które podają istotną normę dochodu. — Oraz: „Rocznik statystyki Galicyi za rok 1886“ — i Szczepański „Nędza w Galicyi“.

² Biorę ten rok, gdyż spis ludności w tymże roku ostatnio był sporządzony, dla ściślejszego wyprowadzenia cyfry przeciętnej.

dochodu z głowy Galicyanina 39 razy mniej niż Anglia, — pomimo że Galicyanin wypija prawie 3 razy tyle spirytusu co Anglik ($7\frac{1}{2}$ — $2\frac{1}{2}$ litr.). Wymowne porównanie!

Przegląd tych cyfr wykazuje jasno, że wysokość spożycia na miejscu, jakkolwiek niezbędną jest podstawą wielkich dochodów państwa, nie jest ich główną zasadą. I że wydajność podatku zależy właściwie od tego, czy państwo potrafi lub nie ową zasadę wyzyskać.

W czemże więc ta zasada leży? Rozpatrując z tego punktu widzenia tabliczkę porównawczą na czele przywiedzioną, zobaczymy, że wyliczone kraje podzielić można na dwie kategorie. Do pierwszej zaliczyć trzeba te, gdzie wydajność podatku jest wysoka, a sam podatek cięży na wytworze zupełnie skończonym czyli gotowym do spożycia. Kraje te potrafiły wyzyskać spotrzebowanie, a razem ująć je w karby.

Do drugiej wejdą kraje, gdzie wydajność podatku jest mniejszą, a podatek obliczony wedle ilości surowych materiałów (np. ziemniaków, żyta, ryżu) do przerobienia. Jednocześnie zaś spożyciu wolno rozwijać się bezkarnie, żadnych z tego owoców nie przynosząc, owszem ujemnie działając w sferze moralnej, a przez to i ogólnie społecznej.

W pierwszej grupie wybitne miejsce zajmują Anglia, Francja, Holandia i Stany Zjednoczone. W drugiej znajdziemy Niemcy, Austryę, Bawaryę, Württembergię i t. d.

Statystyka takimi niezbitymi argumentami stanowczo potępia podatek obliczony od produktu surowego do przerobienia przeznaczonego. A wszak sąd statystyki ma za sobą powagę, jako sąd „doświadczenia na piśmie i w cyfrach“, jak słusznie ją nazwano.

Monopol wódczany, przedmiot zasadniczych sporów w parlamencie niemieckim, to ostateczności w drugim kierunku w porównaniu z nieograniczoną wolnością spożycia — bodaj czy nie więcej jeszcze przedstawia stron ujemnych do skrytykowania. Jednak monopol bezpośrednio nie interesuje państwa naszego ani kraju — gdyż „kwestya spirytusowa“ obraca się obecnie około opodatkowania fabrykacyi, nie zaś ujęcia jej w monopol. Przyjrzyjmy się przeto z kolei najkorzystniejszemu systematowi opodatkowania, a tym jest niewątpliwie przyjęty przez Anglię, Francję i Stany Zjednoczone.

Pierwszą korzyść z niego uwydatnia tabliczka na początku podana tj. wydajność, czyli rentowność budżetowa. I rzeczywiście, w Anglii podatek od spirytusu stanowi 500 milionów tj. $\frac{1}{4}$ dochodów państwa, w Niderlandach 50 mili. tj. $\frac{1}{6}$ dochodów, we Francji 260 mili. tj. $\frac{1}{10}$ dochodów, w Stanach Zjednoczonych 460 mili. tj. $\frac{1}{6}$ dochodów.

Czyż poślednią to kwestyą dla państwa, jak Austria, trapiącego silnie deficytem?

Ale nietylko skarb bezpośrednio ciągnie zysk z tego systemu opodatkowania; równocześnie i zdrowotność mieszkańców, a nade wszystko moralność o wiele się podnoszą w miarę podniesienia podatku nałożonego właściwie na szkodliwą wadę ludzką. Ciężar podatku, jeśli nie wykorzenia złego, bo to niemożliwe na tej drodze, to przynajmniej podaje rękę czynnikom, właściwie do wykorzenia powołanym, przynajmniej i tamując wady tej rozrost. I oto druga o wiele zaprawdę ważniejsza korzyść do wliczenia w aktywa angielsko-francusko-amerykańskiego systemu.

Aby osiągnąć dwa te korzystne rezultaty, niezbędnymi są na-przód 1) wysoka taryfa opłaty, zwłaszcza 2) ściśle bardzo i surowe środki dla ich zabezpieczenia.

Wspomniane kraje nie wahały się ustanowić tych surowych środków, wzmacniając je jeszcze, ilekroć taryfy podatku podnoszono. A powodziło się to zupełnie, gdyż podatek od produktu skończonego nadaje się wybornie do zabezpieczenia należności skarbowych. Niema tu bowiem obawy, jak przy spodatkowaniu materiału surowego, aby nie zatamować przemysłu i produkcji. Podatek od produktu skończonego niedopuszcza sposobności wyjątkowego jakiegoś zysku bądź w czasie fabrykacji, bądź przy wyjściu z fabryki. Nie zachęca tego lub owego sposobu fabrykacji specjalnego, na czym cierpią nieraz inne sposoby, właściwie może ze względów lokalnych etc. Państwo ogranicza się do roli widza w czasie pędzenia i dopiero po jej ukończeniu, w czasie sprzedaży występuje, by oszacować produkt wedle istotnej wartości, zawsze łatwej do skonstatowania. Wówczas już ani taryfy wysokie, ani formalności nie zakłócają naturalnych warunków rozwoju przemysłu.

Zbliżać się zdaje do tego zapatrywania nauki nowa ustawa, a więc i Austria ciężać zaczyna do grupy pierwszej, zdrowo, eko-

nomicznie rozwijających się krajów. System bowiem opłaty od zacieru zarzucony nawet w Rosyi od lat kilkunastu, zamieniony być ma podatkiem od wyprodukowanego alkoholu. Powrócić mają aparaty kontrolujące ilość wyprodukowania t. zw. zegary, a mamy niepłonną nadzieję, że organa wykonawcze do kontroli powołane ani sprzedajnymi, jak u naszych sąsiadów, ani rutynicznymi do absurdu, jak u nas w niedawno pożegnanej epoce, nie będą. Aparaty do kontroli o tyle ulepszone, iż nie dadzą się, jak bywało za pomocą mikroskopijnych pompek i t. p. wynalazków nastawiać wedle życzenia. A jeśli organa skarbu powołane do kontroli zechcą, jak mamy nadzieję, połączyć ścisłą sumienność z rozsądną giętkością i sprawnością, to liczyć możemy na pomyślne skutki tej ustawy.

We Francyi zaufanie skarbu a w ślad za niem poszanowanie swobody handlowego ruchu idzie tak daleko, że gorzelnicy i hurtowi składnicy spirytusu używają prawa kredytu. Mogą podtrzymywać przez czas nieograniczony spirytualia bez opodatkowania, ale też handlarze *en gros* mogą je kupować i zachowywać nieopłacone, byleby przed skonsumowaniem każdy spirytus uiścił się skarbowi. Anglia i Stany Zjednoczone pobierają opłatę zaraz u wyjścia z gorzelni. Obostrzenie to uwydatnia tylko liberalność (przepraszam za wyrażenie) systemu pobierania opłaty francuskiego w porównaniu z tamtymi. Nie narusza jednak wcale podstawy wspólnej podatku spirytusowego w trzech tych państwach, polegających na obłożeniu wytworu skończonego; podstawy wzmocnionej jak najsurowszemi formalnościami, któremi opisane jest gorzelnictwo i obieg spirytusu, kolejno aż do chwili, gdy dostaje się do rąk spożywey.

Streszczając ogół historycznych faktów, prawideł i statystycznych danych, przekonywamy się, że podatek od spirytusu przynosił i przynosi owoce wszędzie, gdzie tylko formalności protekcyjne, na jego korzyść ustanowione ściśle i śmiało były stosowane. Kraje przodujące pod tym względem bez obawy przeciążały alkohol wygórowanym podatkiem i otaczały produkcję, obieg i sprzedaż jego jak najostrzejszemi przepisami. Osiągały tą drogą znakomite i coraz większe źródła dochodu; a jednocześnie hamowały, o ile w ich mocy, nadużycie spożycia.

Wzorem pod temi dwoma względami ustawodawstwo Anglii. Budżet jej, jak wspomnieliśmy, czerpie z alkoholu piątą część swych

dochodów, a równorzędnie, trunki gorące, przyniecione ciężarem podatku 10-12 razy przewyższającego ich wartość, okazują statystycznie wyraźną tendencję ustępowania napojom higieniczniejszym.

Może więc i u nas ta ustawa mieć dodatnie następstwa, a kiedy już w zasadzie jest ona postanowiona, należy całą uwagę na to zwrócić, aby sposób jej wykonywania nie narażał sumiennych producentów na daremne mitęgi, a z drugiej strony nie zostawiał handlarzom i szynkarzom tej nieograniczonej swobody nadużyć, która w sąsiednim nam kraju udaremnia zbawienne skutki wysokiego opodatkowania spirytualiów. *Caveant Consules.*

Seliha.

Stowarzyszenie robotników pod wezwaniem św. Franciszka Ksawerego.

Wśród tylu bractw, stowarzyszeń, kongregacyj, jakie za naszych czasów powstały, może najpożyteczniejsze są te, które działają wprost na najniższe klasy, do tych bowiem, w krajach zwłaszcza bogatych i przemysłowych, zepsucie ma najłatwiejszy przystęp, a oświata, tak jak tym klasom bywa podana, przeważnie ujemnie działa. Widzimy że oprócz demoralizacyi która się tak łatwo wkrada, tam gdzie brak oświecenia religijnego i nędza materyalna grunt jej przygotowują, jeszcze inne działają prądy: teorye socjalistyczne buntując przeciwko społeczeństwu, lechcąc miłość własną jednostek dowodzeniem jej praw i znaczenia, szerzą zwłaszcza między robotnikami ducha rozprężenia i niezależności, których skutkiem są tak częste obecnie bezrobocia, sprowadzające wprawdzie ruinę niektórych przedsiębiorców, ale daleko częściej nędzę i coraz większe obniżenie moralne samychże robotników. Potrzeba więc działania, któreby tamę jakąś położyło tym zgubnym prądom, jest oczywista; ale jaki rodzaj działania byłby najskuteczniejszy? oto pytanie tem ważniejsze, że środki zwykle przez Kościół używane, jak katechizacya, misye, wogóle praca w ambonie i w konfesyjonałach nie dosięgają w tych krajach do samego jądra klas zagrożonych, gdyż ludność uchyla się coraz bardziej z pod jej zbawionego wpływu.

Zdaniem naszym stowarzyszenie o którym mamy mówić, najtrafniej rozwiązało to pytanie; zasadą bowiem Arcybractwa św. Franciszka Ksawerego, którego ogólnym celem jest nawrócenie grzeszników, ale specjalną gałęzią, umoralnienie klas roboczych — zasadą więc tego stowarzyszenia jest nawrócenie robotnika przez robotnika, utworzenie kółka z lepszych, wybranych, któreby przez namowy, przez dobre przykłady, przez zwyciężenie fałszywego wstydu w spełnianiu obowiązków religijnych, działało na towarzyszy i podnosiło ich poziom moralny. Tego rodzaju działanie pokazało się nie tylko w teorii, ale w praktyce najskuteczniejsze, czego będą dowodem cyfry, które niżej przytoczymy.

Najprzód jednak słówko o początkach stowarzyszenia; w sercu prostego robotnika o niczem wielkiem nie marzącego, powstała pierwsza myśl tego dzieła, które pod technieniem łaski Bożej rozrosło się na wielkie rozmiary. Było to w r. 1853 w Brukseli, pewnego dnia w oktawie uroczystości św. Franciszka Ksawerego; ubogi ślusarz zapukał do rozmownicy kolegium OO. Jezuitów, i O. Calven spowiednikowi swemu przedstawił prosty zarys Stowarzyszenia, tak jak mu je natchnęła modlitwa przed statua wielkiego Apostoła Indyi; mianowicie, aby utworzyć kongregacyą z samych mężczyzn, wyrobników, ku chwale Bożej i zbawieniu dusz. O. Calven nie tał ani przed sobą, ani przed nieznanym dotychczas penitentem, trudności podobnego zadania, ale zachęcił pocziwego ślusarza do rozpatrzenia się pomiędzy towarzyszami, azali znajdzie kilku dobrej woli, którzyby z nim razem popracowali nad rozwinięciem tej myśli Bożej. Po kilku dniach znalazło się ich piętnastu, poczęli się zbierać w mieszkaniu ślusarza, a w kilka tygodni potem O. Calven w tymże nędznem mieszkaniu — była to piwnica — ustanowił kongregacyę, która jego obrała za dyrektora, ślusarza za prezesa, i już w następną niedzielę 22 Stycznia 1854 r. zebrała się publicznie na własne nabożeństwo i komunią jeneralną. Po tych pierwszych krokach nowe stowarzyszenie szybko się rozwija: 26 lutego obrano za stałe miejsce zgromadzeń kaplicę św. Anny; 28 maja nuncyusz apostoł. Gonella rozdał członkom pierwsze medale, a 20 lipca potwierdził statuty. W rok potem Pius IX nadał kongregacyi tytuł Arcybractwa na całą Belgią, któryto tytuł Leon XIII rozszerzył na świat cały w drugim roku swego pontyfikatu.

Zanim pójdziemy dalej, przypatrzmy się statutom; są one bardzo proste, tak, aby trudności nikogo nie odstręczyły.

Jakiż jest cel Stowarzyszenia?

1. Obrona zasad porządku i moralności, i przekonanie robotnika, że interes jego dobrze zrozumiany, wymaga zgody i uległości względem majstrów lub fabrykantów, a że tę zgodę i uległość tylko na wierze katolickiej oprzeć można.

2. Zapobieżenie bezrobociom.

3. Podanie robotnikom sposobu umieszczenia się w innym zakładzie, gdy opuszczą ten w którym pracowali.

Podział członków: 1. Stowarzyszenie składa się z samych mężczyzn, robotników, z pomiędzy których dyrektor wybiera kilku, których obowiązkiem będzie wyłączne staranie koło nawrócenia zbłąkanych towarzyszy.

2. Stowarzyszenie dzieli się na sekcye nie mające żadnej wyższości jedne nad drugimi, każda pod zarządem Starszych.

3. Starsi czuwają nad tem, aby członkowie ich sekcji uczęszczali na zebrania i zdaje z tego sprawę Wydziałowi.

4. Wydział centralny konsystuje w Brukseli i na czele jego stoi dyrektor jeneralny. W każdej prowincyi jest wydział zależny od centralnego, którego zadaniem jest propagowanie Stowarzyszenia.

Obowiązki członków: 1. Członkowie stowarzyszenia powinni przede wszystkim świecić dobrym przykładem, jako najlepszym środkiem umoralnienia drugich.

2. Winni się zbierać co tydzień na wspólne zebrania; celem tych zebrań jest zachowanie ducha porządku, oszczędności i moralności przez nauki a także przez uczciwą rozrywkę.

3. Każde miejscowe kółko będzie miało wspólną kasę dla udzielenia pomocy potrzebującym.

Powyższe streszczenie statutow przokonywa nas, że nakładają one obowiązki nieliczne, proste, a kładę nacisk na to apostołstwo łatwe, koleżeńskie, na tę sumienność w pracy i ducha karności, które jedynie dobrego robotnika stworzyć mogą. Moglibyśmy przytoczyć wiele przykładów dobrodziejstw zdziałanych przez Arcybractwo św. Franciszka, szczęścia domowego, często powodzenia materyalnego przywróconego w wielu rodzinach, ustania zgorszenia, zaniedbania złych nałogów, nawrócenia jednych członków przez dru-

gich, czasem heroicznych aktów cnoty i poświęcenia, a wreszcie budujących śmierci z medalem św. Franciszka na piersiach, a z modlitwą do niego na ustach. Nieraz się zdarzyło, że nieszczęśliwe dotąd żony lub matki przychodziły ze łzami w oczach dziękować dyrektorowi za spokój, jaki zagościł w domowym kółku, odkąd mąż czy syn należy do stowarzyszenia; nieraz w szpitalach Siostry Miłosierdzia stwierdziły, że nie tylko z budującą cierpliwością znoszą chorobę, i z rezygnacją umierają, ale członkowie Stowarzyszenia przykładem i namową najlepiej działają na towarzyszy cierpień. Te świadectwa jeszcze wymowniejsze są od cyfr, choć i cyfry, jak wnet zobaczymy, są imponujące.

Arcybractwo to zaprowadzone zostało w Anglii r. 1865; a jeśli gdzie, to w tym kraju fabrycznym *par excellence* takie stowarzyszenie potrzebne. W r. 1868 przyjmuje się ono i rozwija w Paryżu; w tym samym roku już przekracza granice Europy i naprzód w Chinach, potem w Ameryce (w Meksyku) powstają filie Stowarzyszenia. W r. 1883 założyciel i dotychczasowy dyrektor O. Calven, mimo podeszłego wieku i wątłego zdrowia objeżdża Hiszpanią, aby w ojczyźnie św. Franciszka Ks. rozszerzyć grono jego czcicieli i naśladowców; podróż ta odniosła nadspodziewany skutek, gdyż wszyscy biskupi i większa część duchowieństwa podała rękę gorliwemu misyonarzowi i obiecała współpracownictwo. Rozrost Arcybractwa zawsze jednak najznaczniejszy w Belgii; nie ma tam dycezyi nie ma prawie miasta, żeby nie było zaprowadzone. Wszędzie członków bywa od 50 do 150, a sprawozdania posyłane na zebrania doroczne, świadczą wymownie o żywotności i dobrym duchu kółek miejscowych. Ogółem w Belgii jest obecnie przeszło 83.000 członków, samych robotników.

O tej głównej gałęzi Arcybractwa jako o najpraktyczniejszej, najwięcej podajemy szczegółów; ale nawrócenie grzeszników to dzieło na szersze rozmiary, które wiele wymaga; są więc i inne gałęzie pracy, w których każdy może mieć udział; jest przedewszystkiem; *Stowarzyszenie modlitwy* (Association de prières) utworzone w tym celu, aby na działanie Arcybractwa ściągnąć łaski i błogosławieństwo Boże. Każdy, co się wpisze do tej asocjacji i zobowiąże do odmawiania codziennie 3 Ojcie nasz i 3 Zdrowaś Marya za nawrócenie grzeszników, może mieć w niej udział i zyskać liczne odpusty.

Jest dalej *Sekcyja św. Stanisława Kostki*, urządzona na wzór Stowarzyszenia dla robotników, z tą różnicą, że należą do niej wyłącznie wyrostki od chwili pierwszej Komunii aż do 20-go roku życia.

Biblioteka do użytku członków, w obec zalewających świat złych książek i dzienników, niezmiernie ważną oddaje przysługę, dostarczając dobrych pism i dając możność rozszerzać takowe; dla tego książki wolno pożyczać nawet nie-członkom.

Towarzystwo uczciwych rozrywek, odwołując robotnika od zabaw niebezpiecznych, daje mu rozrywki godziwe, które i czas wolny od pracy zajmują, i obok potrzebnego wypoczynku, często umysł jego podnoszą i kształcą.

W tych kilku słowach naszkicowaliśmy cel, środki i skutki Arcybractwa. I u nas potrzeby pod względem umoralnienia robotnika są jeśli nie groźne, to wielkie; zwłaszcza niedziela a często i poniedziałek schodzą na trwonieniu zarobku tygodniowego, i w tem należy upatrywać źródło nędzy wielu rodzin. Zresztą musi ta potrzeba żywo czuć się dawać, kiedy — jak wiadomo — kilku ludzi dobrej woli zaczęło w naszym mieście gromadzić rzemieślników i tak wspólnemi praktykami religijnemi, jak uczciwą rozrywką starało się podnieść ich poziom moralny. Takie pojedyncze usiłowania możeby były skuteczniejsze, gdyby weszły pod zakres działania zgromadzenia już zorganizowanego i obdarowanego aprobatą i przywilejami Kościoła. Myśl tę rzucamy bez żadnego nacisku sądząc, że jeżeli praktyczna, podjęta będzie przez tych, którym dobro społeczne nie obojętne, i którzy zawsze gotowi poświęcić dlań nie tylko osobiste zapatrywania, ale swą pracę, swe mienie i siły.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica.

PIELGRZYMKA I UKŁADY. Przez <i>Ks. Maryana Morawskiego T. J.</i> (dodatek)	I
SPRAWA SZKOLNA W SEJMIE KRAJOWYM i wnioski ks. Liechtensteina. Przez <i>J. Popiela</i>	1
NAUKA RELIGII W GALICYJSKICH SZKOŁACH ŚREDNICH. Luźne uwagi byłego katechety. Przez <i>Ks. Zygmunta Lenkiewicza</i>	38

Artykuły naukowe i literackie.

ZARYS TEORYI JĘZYKÓW ŻYJĄCYCH W SZKOLE. Przez <i>Dra Karola Petelenza</i>	181
NOWE STUDYUM O BAJKACH KRASICKIEGO. Przez <i>Dra Hugona Zathęya</i> (c. d.)	17
„SPOWIEDŹ“ LWA TOLSTOJA. Przez <i>Ks. M. Morawskiego T. J.</i>	56
OO. REDEMPTORYŚCI W POLSCE. Przez <i>Ks. Zdzisława Bartkiewicza T. J.</i> (c. d.)	73, 378
STANOWISKO WŁOŚCIAN W POLSCE (c. d.). Przez <i>Ks. Józefa Waligórę</i>	83, 207
ZARYSY INSTYTUCYJ ZAPOROŻA Przez <i>Maryana Dubieckiego</i>	159

ZAPISKI Z PODRÓŻY PO INDYACH III. Przez <i>Mgra Władysława Zaleskiego</i>	196
OBROŃCA JĘZYKA I NARODOWOŚCI ŁUŻYCZAN. Przez <i>S. Matusiaka</i>	222
O MASONII W POLSCE, na źródłach wyłącznie masonskich. Przez <i>Ks. Stanisława Załęskiego T. J.</i>	295
CNOTA WE FRANCYI	318
KARDYNAŁ JAN CHRZOCIEŁ FRANZELIN i jego znaczenie w katolickiej nauce. Przez <i>Ks. A. Langera T. J.</i>	341
FOTOGRAFIA W SŁUŻBIE ASTRONOMII. Przez <i>Dra Wierzbickiego</i>	363

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

DR. LISKE XAWERY. — AKTA GRODZKIE I ZIEMSKIE z czasów Rzeczypospolitej polskiej.	102
I. W ZIMOWY WIECZÓR. II. PANNA ANTONINA. Przez <i>Elizę Orzeszkową</i> . (<i>Tadeusz Jerzy Stecki</i>).	113
PIEŚNI I LEGENDY DZIEJOWE. Przez <i>Podolanę</i>	115
OSKAR I WANDA. Obraz dramatyczny w 15 odsłonach. <i>Z teki Anhelego</i>	115
HIERONIM ŁASKI. Przez <i>Aleksandra Hirschberga</i> (<i>D. Bostel</i>).	235
Z WAKACYJ. Przez <i>Hr. St. Tarnowski</i>	243
PISMA PROZĄ KAJETANA KOŹMIANA	248
PAMIĘTNIKI HR. STANISŁAWA WODZICKIEGO. Nowa biblioteka uniwersalna.	248
DRUGIE STO ZDAŃ DWUWERSZOWYCH. Przez <i>Ks. A. S. Krasńskiego</i> , b. biskupa Wileńskiego.	249
JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI, zarys historyczno-literacki, skreślił <i>Piotr Chmielewski</i> (<i>Czesław Pieniążek</i>)	393
O AUTORACH ŻYWOŹU PIOTRA KMITY i opisu wojny kokoszej. Rozbiór krytyczny. Napisał <i>Dr. Józef Korzeniowski</i>	398
NOWOCZEŚNI BOHATEROWIE Nowelle i opowiadania <i>Juliana Łętowskiego</i> (<i>Tadeusz Jerzy Stecki</i>).	400
PODREČNIK AUSTRYACKIEGO PRAWA WEKSŁOWEGO Napisał <i>Dr. Józef Retinger</i>	402

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Z LITERATURY FRANCUSKIEJ. Jeszcze publikacye historyczne. — Literatura poświęcona „Dziewicy Orleańskiej”. — Francuzi o historyi zagranicznej. — Studya społeczne i antysemickie. — Biografia Rafała. — „Towarzystwo Rzymskie”. — Opis podróży po Irlandyi. — Melchior de Vogüé. — Literatura rosyjska we Francyi. — Powieść i nowelle. — Rozrost dziennikarstwa	116
---	-----

MISÈRE ET REMÈDES, par le Comte d'Haussonville, ancien député	250
ESSAI SUR LE LIBRE ARBITRE, sa theorie et son histoire. Par George L. Fonsegrive.	257
LA RUSSIE JUIVE. Par Kalixt de Wolski.	260
L'EPOSITION VATICANE ILLUSTRÉE. Journal officiel, par la Commission promotrice	263
DIE GRÜNDUNG EINER GROSSEN CHRISTLICH-SOCIALEN ALLIANZ von Herren und Damen aller Städte. (Ks. A. Kopyciński)	403

Z pism czasowych:

KURJER KRAKOWSKI. — NOWA REFORMA. — LES ETUDES RELIGIEUSES HISTORIQUES	125
Z GAZETY NARODOWEJ O TEATRZE	410

Rozmaitości:

Pievers Konversation's Lexicon	127
Römische Quartalschrift	128
La France révolutionnaire par Ch. d'Hericault	263
Zapowiedziana w „Bibliotece Rodzinnej” powieść: Ben-Hur	264
Zywot Bogarodzicy N. P. Maryi i Jej Oblubienca św. Józefa	264
Revue des deux mondes	413
Księgarnia Łukaszewicza	414

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Kwiecień.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Agitacya za szkołą wyznaniową w Austrii. — Wniosek szkolny Windthorsta. — Mowa Bonghiego o szkołach włoskich. — Manifestacye na cześć Giordano Bruno. — Narodowy męczennik. — Pielgrzymki do Rzymu. — Adres do Papieża katolików amerykańskich. — Laicyzacya więzień, szpitalów i szkół we Francyi. — Rozprawy nad ambasadą rzymską. Przez Ks. Jana Badeniego T. J.	129
LISTY z NAD BAŁTYKU: XIV. Grobowce arcybiskupów ryskich. — Błogosławiony Mejnard. — Otwarcie jego grobu w r. 1883. — Zmiana taktyki u luterskich predykantów. — Sarkofag ostatniego arcybiskupa ryskiego. — Grobowiec burmistrza Ekego. — Pamiątki bitwy pod Kirchholmem. Przez br. Gustawa Manteuffla	140
SZKOŁA LUDOWA W AUSTRII I WNIOSEK LIECHTENSTEINA. Przez Karola br. v. Vogelsanga	150

Maj.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Agitacya przeciw i za wnioskiem ks. Liechtensteina. — Zdżyczenie austriackiej młodzieży szkolnej. — Starokatolicka propaganda w północnych Czechach. — Lai-cyzacya szkół we Francyi. — Walka przeciw Kościołowi w parlamencie francuskim. — Kulturkampf włoski. — Nowy kodeks karny. — Wolnomularska prasa włoska o układach Rosyi z Watykanem. — Wyznania króla szwedzkiego o Kościele katolickim. Przez <i>Ks. Jana Badeniego T. J.</i>	265
ZE ŚWIATA NAUK, ODKRYĆ I WYNAŁAZKÓW: Z dziedziny Marsa. — Sahara północy. — Nowy pomysł wodociągów Paryża. Przez <i>E. Wereszczyńskiego T. J.</i>	273
LISTY O RUMUNII. V.	278
ALBUM POLSKICH TERCYARZY ŚW. FRANCISZKA OFIAROWANE OJCU ŚW. Przez <i>Ks. E. Skrochowskiego</i>	288
MUZYKA KOŚCIELNA W DYECEZYI TARNOWSKIEJ	293

Czerwiec.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Pielgrzymki: francuska, belgijska, portugalska, holenderska, katalońska, austriacka, polska. — Odpowiedź Ojca św. — Dzienniki włoskie o pielgrzymce polskiej. — Podburzanie Polaków i Irlandczyków przeciw Papielowi. — Dekret Kongregacyi Inkwizycyi w sprawie irlandzkiej. — Zwolnienie prześladowania we Francyi. — Rozwój katolicyzmu w Norwegii. Przez <i>Ks. Jana Badeniego T. J.</i>	415
Z BERLINA: Związek protestancki. — Zjazd frankfurcki. — Burza przeciw Zakonom. — Uchwały na zjeździe. — Uroczystość jubileuszowa w Göttynndze. — Zjazd trewirski . . .	426
SŁOWO O OPODATKOWANIU SPIRYTUSU. Napisał <i>Seliha</i>	438
STOWARZYSZENIE ROBOTNIKÓW POD WEZWANIEM ŚW. FRANCISZKA KSAWEREGO	442

